

F O N D A L E E



玉戰

W · O · J · N · A  
O J A D E I T

# **WOJNA O JADEIT**

**Tom drugi sagi o Zielonych Kościach**

**Fonda Lee**

**Przełożył Michał Jakuszewski**

**Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2023**



# Spis treści

- Klany zielonych kości
- Rozdział 1. Niebo czeka
- Rozdział 2. Przekazanie płomienia
- Rozdział 3. Wygnaniec
- Rozdział 4. Ślepe uliczki
- Rozdział 5. Wszystko, co może zapewnić przewagę
- Rozdział 6. Nowi zieloni
- Rozdział 7. Perswazje prognostyczki
- Rozdział 8. Sprawy rodzinne
- Rozdział 9. Uwiwanin i jego półkości
- Rozdział 10. Absurdalne marnotrawstwo
- Rozdział 11. Port Massy
- Rozdział 12. Niezbędne działania
- Rozdział 13. Po przedstawieniu
- Rozdział 14. Łaska dla starego wojownika
- Rozdział 15. Spotkania w Niebiańskiej Światłości
- Rozdział 16. Nie jestem złodziejem
- Rozdział 17. Filar Południowej Pułapki
- Rozdział 18. Klub Biała Latarnia
- Rozdział 19. Ponowne spotkanie w Lybonie
- Rozdział 20. Komplikacje
- Rozdział 21. Zmiana planów
  - Interludium 1. Zaginiony i znaleziony
- Rozdział 22. Sala uraz
- Rozdział 23. Poszukiwacze okruchów
- Rozdział 24. Scheda
- Rozdział 25. Przechwycenie
- Rozdział 26. Sprecyzowanie oczekiwań
- Rozdział 27. Czysto praktyczna decyzja
- Rozdział 28. Nie aż tak głupi
- Rozdział 29. Otwieranie i zamykanie drzwi
- Rozdział 30. Dzień bohaterów
  - Interludium 2. Dwa trony
- Rozdział 31. Nie ugnij się
- Rozdział 32. Rozmowy przeprowadzone za późno
- Rozdział 33. Niebezpieczne miejsce
- Rozdział 34. Przyjaźń klanu
- Rozdział 35. Obcy sojusznicy

Rozdział 36. To, na co zasłużyłeś  
Rozdział 37. Groźby i spiski  
Rozdział 38. Tylko imitacja  
Rozdział 39. Spotkanie filarów  
Rozdział 40. Szefowie  
Rozdział 41. Zieleń i pierdolenie  
Rozdział 42. W trudnym położeniu  
Rozdział 43. Rodzinny jadeit  
Rozdział 44. Pośrednik  
Rozdział 45. Obietnica w parku  
Rozdział 46. Niewybaczalne  
Rozdział 47. Powrót do pracy  
Rozdział 48. Poczwórna Wygrana  
Rozdział 49. Zagłada Domu Szczurów  
Rozdział 50. Cierpliwość  
Rozdział 51. Pechowcy  
Rozdział 52. Poważna sprawa  
Rozdział 53. Grzechy i kompromisy  
    Interludium 3. Przeklęte piękno  
Rozdział 54. Ciało nie kłamie  
Rozdział 55. Końcowe przygotowania  
Rozdział 56. Bez zaskoczenia  
Rozdział 57. Nagłe wypadki  
Rozdział 58. Decyzja Białego Szczura  
Rozdział 59. Z rodziny Kaulów  
Rozdział 60. Koniec ugody  
Rozdział 61. Przekraczanie granic  
Rozdział 62. Nadal trwa wojna  
Rozdział 63. Nareszcie w domu  
Epilog. Trafiłeś we właściwe miejsce  
Podziękowania  
Mapy

Tytuł oryginału: *Jade War. The Green Bone Saga: Book Two*

Copyright © 2019 by Fonda Lee

Copyright for the Polish translation © 2023 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Elwira Wszyńska, Magdalena Górnicka

Mapa: Tim Paul Illustration

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-67793-61-2

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10

00-657 Warszawa

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 733 50 10

[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

*Dla wszystkich mistrzów sztuki walki,  
z którymi ćwiczyłam i od których się uczyłam*

# KLANY ZIELONYCH KOŚCI

## A TAKŻE ICH WSPÓŁPRACOWNICY I WROGOWIE

### **Klan Bez Szczytów**

Kaul Hiloshudon – filar

Kaul Shaelinsan – prognostyczka

Emery Anden – Kaul przez adopcję, niedawno ukończył naukę w Akademii  
Kaul Dushurona

Kaul Lanshinwan – były filar klanu, starszy brat Hila i Shae; nie żyje

Kaul Seningtun – Płomień Kekonu, patriarcha rodziny, nie żyje

Kaul Dushuron – syn Kaul Sena, ojciec Lana, Hila i Shae; nie żyje

Kaul Wan Riamasan – wdowa po Kaul Du, matka Lana, Hila i Shae

Maik Kehnugo – róg klanu Bez Szczytów

Maik Tarmingu – filarowy Kaul Hila

Kaul Maik Wenruxian – żona Kaul Hila, kamiennooka

Woon Papidonwa – cień prognostyka, dawniej Filarowy Kaul Lana

Hami Tumashon – pierwszy szczęściodawca

Juen Nurendo – pierwsza pięść Maik Kehna

Lott Jinrhu – palec klanu

Yun Dorupon – były prognostyk Kaul Sena i Kaul Lana; zdrajca

Aun Uremayada – matka Emery Andena; nie żyje

Haru Eynishun – była żona Kaul Lana

Teije Runo – kuzyn w drugiej linii Hila i Shae



Kyanla – gosposia w rezydencji Kaulów

### *Inne Pięści i Palce*

Vuay Yudiyo – druga pięść Maik Kahna

Iyn Roluan – pięść wysokiej rangi

Vin Solunu – palec wysokiej rangi, mający talent do Postrzegania

Heike, Dudo, Ton – palce z klanu, dawni koledzy z roku Emery Andena

Doun, Yonu, Tyin, Hejo – Zielone kości odpowiadające przed filarowym

### *Ważni latarnicy*

Eiten – właściciel gorzelnii Przekłete Piękno, dawna pięść okaleczona przez Gont Ascha

Pan Une – właściciel restauracji Podwójne Szczęście

Pani Sugo – właścicielka Klubu dla Dzentelmenów Boski Bez

Pan Enke – deweloper, prezes Grupy Budowlanej Enke

### **Klan Góra**

Ayt Madashi – filar

Ree Turahuo – prognostyk

Nau Suenten – róg

Ayt Yugontin – Włócznia Kekonu, adopcyjny ojciec Mady, Ima i Eoda; nie żyje

Ayt Imminsho – adoptowany starszy syn Ayt Yu; nie żyje

Ayt Eodoyatu – adoptowany drugi syn Ayt Yu; nie żyje

Gont Aschentu – były róg klanu; nie żyje

Waun Balushu – pierwsza pięść Gont Ascha i Nau Suena

Iwe Kalundo – pierwszy szczęściodawca

Ven Sandolan – prezes firmy przewozowej Gwiazda Kekonu, latarnik klanu

Ven Hakujon – starsza rangą pięść klanu, syn Ven Sanda

Koben Atocho – dziecko, urodzony jako Ayt Ato, syn Ayt Eoda

Seko – pięść klanu, kieruje białymi szczurami

Mudt Jindonon – donosiciel; nie żyje

### **Ti Pasuiga**

Zapunyo – przemytnik jadeitu, przywódca Ti Pasuiga

Iyilo – ochroniarz Zapunya

Soradiyo – rekruter i dowódca skorpen

Bero – złodziej jadeitu

Mudt Kalonun – złodziej jadeitu, syn Mudt Jina

### **Inni na Kekonie**

Jego Niebiańskość Książę Ioan III – aktualny suweren Kekonu

Son Tomarho – kanclerz Kekońskiej Rady Książęcej, wierny klanowi Bez Szczytów

Guim Enmeno – minister spraw domowych, wierny Górze

Pan Kowi – członek Rady Książęcej, wierny klanowi Bez Szczytów

Tau Marosun – profesor studiów międzynarodowych na Królewskim Uniwersytecie Jan

Mistrz Aido – prywatny nauczyciel jadeitowych dyscyplin

Durn Soshunuro – filar klanu Czarny Ogon

Doktor Truw – lekarz posługujący się mocami zielonych kości

Wielki Instruktor Le – Dyrektor Akademii Kaul Dushurona

Toh Kitaru – prezenter prowadzący wiadomości w Ke-końskiej Stacji Państwowej

### *Przedstawiciele rządu espeńskiego*

Gregor Mendoff – ambasador Republiki Espeonii na Kekonie

Quire Corris – sekretarz spraw międzynarodowych

Pułkownik Leland Deiller – dowódca bazy Marynarki Wojennej na Eumanie

Podpułkownik Jay Yancey – zastępca dowódcy bazy Marynarki Wojennej na Eumanie

## **W Port Massy**

### *Keko-Espeńczycy*

Dauk Losunyin – filar Południowej Pułapki  
Dauk Sanasan – żona Dauk Losuna, jego „prognostyczka”  
Dauk Corujon – „Cory”, syn Losuna i Sany

Rohn Torogon – „róg” Południowej Pułapki  
Pan I Pani Hian – rodzina goszcząca Emery Andena  
Shun Todorho – „Tod”, zielona kość, kolega Cory’ego  
Etto Samishun – „Sammy”, zielona kość, kolega Cory’ego  
Ledt Derukun – „Derek”, kolega Cory’ego  
Sano – odźwierny w sali uraz

### *Paczki*

Blaise „Byk” Kromner – szef paczki z Południowego Brzegu  
Willum „Chudziak” Reams – pierwszy przodownik paczki z Południowego Brzegu  
Moth Duke – przodownik z paczki z Południowego Brzegu  
Carson Sunter – płaszcz z paczki z Południowego Brzegu

Joren „Mały Jo” Gasson – szef paczki z Baker Street  
Rickart „Cwany Ricky” Slatter – szef paczki z Wormingwood, siedzi w więzieniu  
Anga Slatter – pełniąca obowiązki szefa paczki z Wormingwood, żona Rickarta Slattera

# ROZDZIAŁ 1

## NIEBO CZEKA

Tylko szaleniec mógłby obrabować grób zielonej kości. Wyłącznie ktoś, kto nisko sobie ceni własne życie, mógłby choć wpaść na taki pomysł, ale jeśli ktoś był tego rodzaju osobą, dzisiejsza noc oferowała wyjątkową szansę. Chłodne, suche dni późnej zimy nie ustąpiły jeszcze miejsca nieustannym wiosennym deszczom, a chmury, wiszące nisko nad wierzchołkami drzew w Parku Wdowy, zasłaniały wschodzący księżyc. Na ulicach Janloonu panował niezwykły spokój. Chcąc okazać szacunek, ludzie przerywali swe zwyczajowe czynności i wywieszali w oknach ceremonialne latarnie będące przewodnikami duchów, dla uczczenia pamięci Kaul Seningtuna, bohatera wojennego, patriarchy klanu Bez Szczytów oraz Płomienia Kekonu. Beru i Mudt na wszelki wypadek nie zabrali żadnych świateł, ale na cmentarzu nie było nikogo, kto mógłby zauważyć ich obecność.

Dozorca imieniem Nuno spotkał ich przy bramie pięć minut przed chwilą oficjalnego zamknięcia.

– Proszę. – Podsunął Berowi czarną torbę na śmieci. – Pośpieszcie się. Nocni ochroniarze pojawią się za jakieś pół godziny.

Byli tu tylko we trzech, lecz mimo to Nuno szeptał. Jego oczy, ukryte w pofałdowanych od słońca oczodołach, co chwila kierowały się ze strachem na chaszczce i nagrobki. Złodziei uważano na Kekonie za godną najwyższej pogardy hołotę, a rabusie grobów stali jeszcze niżej. Kula w tył głowy i rachunek za koszty wysłany krewnym – takiego wyroku mogli się spodziewać rano, jeśli dadzą się złapać.

Bero przyjął plastikową torbę z rąk Nuna. Pochylił się w cieniu kamiennego muru i wydobył ze środka dwie niebieskie koszule oraz czapeczki ozdobione logo Cmentarza Niebo Czeka. Obaj z Mudtem włożyli je pośpiesznie. Nuno poprowadził ich serpentynową ścieżką do jednego z największych i najbardziej spektakularnych grobowców na całym cmentarzu.

Przed ogromnym pomnikiem z zielonego marmuru wykopano nowy grób. Jutro Kaul Seningtun zostanie pochowany obok swego wnuka, Kaul Lan-shiwana, byłego filaru klanu Bez Szczytów, którego zamordowano i pochowano szesnaście miesięcy temu. Szesnaście miesięcy! To była wieczność. Sfrustrowany Bero przez cały ten czas nie przestawał knuć i czekać na swój jadeit.

Nuno osobiście wykopał ten grób dziś po południu. Przy grobie nadal stał ciągnik z zamontowaną łyżką koparki. Bero stanął na krawędzi prostokątnej dziury w ziemi. Wietrzyk poruszał trawą u jego stóp, wypełniając powietrze intensywną wonią wilgotnej ziemi. Po plecach młodzieńca przebiegł dreszcz ekscytacji. Tego właśnie potrzebował przez cały ten czas – żeby ktoś inny wykonał za niego większą część roboty. Za pierwszym razem, gdy wyposażeni w łopaty zakradli się tu z Mudtem, przeszkodziła im grupa pijanych nastolatków, którzy krążyli na oślep po cmentarzu, strasząc się nawzajem. Za drugim razem zaczęło lać i ledwie zdążyli naruszyć wilgotną ziemię, nim zjawili się ochroniarze i omal ich nie złapali. Po tym incydencie Bero doszedł do wniosku, że wskazana będzie większa ostrożność. Musieli opracować lepszy plan i poczekać na odpowiednią chwilę.

Ku jego zaskoczeniu Mudt przykucnął i pierwszy skoczył do pustego grobu. Chłopak uniósł wzrok i wytarł dłonie. W jego szurzących oczkach pojawił się błysk. Bero zdjął torbę z ramienia i wyjął z niej potrzebne narzędzia. Dał je Mudtowi, po czym również zeskoczył do grobu. Jego buty uderzyły z łoskotem o świeżo odsłoniętą glebę. Dwaj nastolatki wymienili spojrzenia zachwyceni śmiałością swego planu. Potem wspólnie zaatakowali łopatami ścianę grobu, przekopując się niczym krety do sąsiedniej trumny.

Nuno obserwował ich, stojąc obok ciągnika. Żuł zwitek betelu, udając, że właśnie zrobił sobie chwilę przerwy od ciężkiej pracy przy kopaniu grobu. Rzadko mu się zdarzało korzystać z koparki. Ciała większości Kekończyków poddawano kremacji i składowano w kolumbariach bądź grzebano w małych, wykopanych ręcznie mogiłach. Z uwagi na brak miejsca nawet ciała członków bogatych rodzin, takich jak Kaulowie, mogących sobie pozwolić na duże grobowce, grzebano w odległości najwyżej trzydziestu centymetrów od siebie, nie minęło więc wiele czasu, nim łopata Bera uderzyła o twardą trumnę. Chłopak stłumił krzyk triumfu i zdwoił wysiłki. Ziemia sypała się w górę i lepiła do jego spoconych dłoni, a gdy unosił rękę, by otrzeć pot z czoła, zostawały na nim brudne ślady. W ogóle

nie czuł zmęczenia, tylko ekscytację i niemal niemożliwą do wytrzymania niecierpliwość – z pewnością dlatego, że należny mu jadeit był już tak blisko i wołał do niego z trumny człowieka, którego zabił.

– Kaul Lan był filarem klanu Bez Szczytów – zauważył Mudt cichym, lecz przesyconym chciwością głosem. Odezwał się po raz pierwszy od chwili przybycia na cmentarz. Liczył sobie tylko piętnaście lat, był trzy lata młodszy od Bera, miał chude ramiona i musiał wkładać w kopanie mnóstwo wysiłku. Choć było już prawie zupełnie ciemno, można było zauważyć, że jego twarz poczerwieniała. – Na pewno miał więcej jadeitu niż inni, zgadza się? Nawet niż bracia Maik.

W jego oczach pojawił się mściwy błysk. Miał własne powody, by pragnąć zdobyć zieleni.

– Możesz się o to założyć, keke – potwierdził Bero, nie odwracając uwagi od kopania.

– Skąd mamy pewność, że jadeit w ogóle tu jest? – W szepcie Mudta pojawiła się nuta niepokoju. – Klejnoty zielonej kości przypadały w spadku jego rodzinie, chyba że nieprzyjaciel zabrał je po wygranej walce. Wojowników często grzebano z ceremonialną odrobiną jadeitu, ale w trumnie Kaula mogło się znajdować tylko kilka drobnych klejnotów albo w ogóle nic. Biorąc pod uwagę, że religia i kultura bardzo mocno potępiały okradanie zmarłych, a w dodatku groziła za to kara śmierci, wysiłek i ryzyko wiążące się z rabowaniem grobów rzadko były opłacalne, nawet dla przestępców najsilniej dotkniętych jadeitową gorączką.

Bero nie odpowiedział Mudtowi. Nie mógł mu oferować żadnych gwarancji, poza tym, że kiedy miał przecucie pewnego szczególnego rodzaju, zawsze go słuchał. Teraz również nawiedziło go podobne wrażenie. Jakby los się do niego uśmiechnął. Kapryśne prądy fortuny niosły ludzi to w jedną, to w drugą stronę, Bero był jednak przekonany, że poświęcają mu szczególną uwagę i mogły go zanieść dalej niż większość ludzi. Miał w życiu mnóstwo pecha – od momentu, gdy jako wrzeszczącego noworodka wyrwano go z macicy matki, która nie pożyła zbyt długo, ale z drugiej strony nadal żył, podczas gdy wielu ludzi, których znał, opuściło już ten świat. A teraz znalazł się blisko jadeitu.

Widać już było bok trumny. Lśniąca wiśniowa powierzchnia przybrała z czasem matową, brązową barwę, lecz nadal wyraźnie kontrastowała z czarną ziemią. Obaj odłożyli łopaty, owiązali sobie szczelnie nosy i usta

chusteczkami, a na koniec włożyli grube rękawice robocze. Bero podniósł bezprzewodową piłę szablą.

– Daj mi światło – rozkazał głosem stłumionym przez tkaninę.

Mudt zapalił kieszonkową latarkę i przesunął wiązkę blasku po boku trumny. Bero włączył piłę. Gdy usłyszał jej przenikliwy wizg, omal nie podskoczył. Mało brakowało, a upuściłby niebezpieczne narzędzie na ziemię obok własnych stóp. Plama jasności na drewnie przesuwiała się szaleńczo przez moment, nim w końcu się uspokoiła. Serce Beru zabiło gwałtownie. Wbił brzeszczot w trumnę Kaul Lana i zaczął piłować.

Wyciął otwór wielkości ekranu telewizora, po czym wyłączył piłę i ją odłożył. Przy pomocy Mudta odciągnął kawał drewna. W powietrzu unosiły się kurz oraz strzępki poliestrowej wyściółki. Jakiś przedmiot spadł na ziemię obok ich stóp. Bero krzyknął z zachwytu i osunął się na ziemię, tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymując się przed wzięciem w ręce skarbu, którego blask ujrzał w świetle latarki – naszyjnika z jadeitowych paciorków. Każdy klejnot był nieskazitelny i świetliście zielony. Oddzielały je cienkie, czarne przekładki. Łańcuszek zrobiono ze srebra. Dla przywódcy zielonych kości była to nie tylko ozdoba, lecz również potężna broń, nieodłączny element jego tożsamości. Ten bezcenny przedmiot można było kupić tylko za krew.

Mudt oprzytomniał pierwszy. Złapał Bera za ramię.

– Wszyli je w wyściółkę. Może być tego więcej.

Wsadzili ręce w uszkodzoną wyściółkę i niemal natychmiast znaleźli dwie skórzane opaski na przedramiona, wysadzone klejnotami. Kaul nosił też ciężki od jadeitu pas. Być może on również tu był, ukryty głębiej w trumnie.

Nim jednak zdążyli przeszukać ją dokładniej, na krawędzi grobu pojawił się Nuno i spojrzał na nich z góry. Po jego ogorzałej twarzy przebiegały nerwowe tiki.

– Musicie stąd zwiewać. Wysłałem ochroniarzy do tylnej furtki, by sprawdzili wyłamany zamek, ale niedługo wrócą. Trzeba tu posprzątać.

– Rzuć mi torbę – zażądał Bero.

Nuno go posłuchał. Dwaj nastolatki włożyli wycięty z trumny kawałek drewna z powrotem na miejsce i oblepili go wilgotną ziemią najlepiej, jak mogli. Bera przeszył głęboki ból na myśl o jadeicie, który zapewne tu zostawią, lepiej jednak będzie, jeśli uciekną jak najszybciej z tym, co udało im się zdobyć. W przeszłości nadmierna ambicja kilkakrotnie koszto-

wała go bardzo drogo. Uważając, by nie dotknąć jadeitu nagą skórą, owinał cenne zdobycze w kilka warstw tkaniny workowej i wsadził je do torby razem z narzędziami. Następnie wytarł uwalane ziemią ręce o spodnie, przerzucił torbę przez ramię i wyciągnął rękę, by Nuno pomógł mu wyjść z grobu. Dozorca odsunął się od niego.

– Nie będę się zbliżał do kradzionego jadeitu – oznajmił, szczerząc zęby w grymasie niesmaku.

Udało się im go przekupić wyłącznie dlatego, że wpadł w długie tak poważne, iż Bero przez długi czas gryzł się myślą o tym, ile zagarniętego błysku musiał sprzedać, by sfinansować całe przedsięwzięcie.

Kazał Mudtowi spleść dłonie i oparł na nich stopę. Bero wygramolił się z grobu i spojrzał z góry na młodszego chłopaka. Przez chwilę czuł pokusę, by go tu zostawić. Zdobył już jadeit i nie miał ochoty się nim dzielić. Mudt mógłby go jednak wsypać. Poza tym miał gęstą krew i Bero musiał przyznać, że do tej pory okazał się użyteczny.

Przykucnął przy grobie i pomógł Mudtowi się wygramolić. Nuno uruchomił koparkę i wsypał ziemię z powrotem na miejsce. Kiedy skończył, grób wyglądał mniej więcej tak samo jak przedtem. Gdyby ktoś przyjrzał się uważniej, zauważyłby ślady stóp, a także fakt, że jedna ze ścian jest nieco nieregularna, było to jednak mało prawdopodobne.

Bero i Mudt zdjęli chusteczki z twarzy i otarli z nich pot oraz brud. Nuno poprowadził ich w dół stoku. Nikt nie zwracał na nich uwagi, a nawet gdyby ktoś ją zwrócił, wyglądaliby na trójkę cmentarnych robotników, którzy właśnie skończyli pracę.

– Oddajcie mi szybko te koszule i czapeczki – odezwał się Nuno, gdy dotarli do bramy. Ściągnęli brudne ubrania i wrzucili je do torby na śmieci. – Dostaliście to, po co tu przyszliście, tak? Niech bogowie przeklą wasze dusze. – Splunął. – A teraz dawajcie drugą połowę forsy.

Bero skinął głową i przykucnął, by otworzyć boczną kieszeń torby. Mudt z całej siły uderzył z tyłu w głowę dozorca ścisłanym w dłoni kamieniem, a potem popchnął go na ziemię. Bero wyprostował się, trzymając w ręce mały pistolet. Wystrzelił dwa razy. Za pierwszym trafił Nuna w czoło, za drugim w policzek.

Gdy huk ucichł, oszołomieni nastolatkwie gapili się na ciało przez kilka sekund. Kiedy odwrócili zabitego na plecy, okazało się, że w jego szeroko otwartych oczach malują się zaskoczenie i niepokój. Rany wlotowe były zaskakująco małe, a krew wsiąkała już w suchą ziemię.



W pierwszej chwili Bero pomyślał, że plan udał się zaskakująco dobrze i słusznie postąpił, zatrzymując Mudta przy sobie. W drugiej, że całe szczęście, że dozorca był drobnym mężczyzną, bo w przeciwnym razie trudno by im było przenieść ciało. Zdyszani i spoceni z wysiłku i strachu zawlekli je do płytkiego zagłębienia w pobliskich chaszczach. Bero sprawdził kieszenie kurtki dozorca w poszukiwaniu portfela.

– Zabierz też zegarek – wysyczał do Mudta. – Niech to wygląda na napad rabunkowy.

Wyciągnęli kółko z kluczami z kieszeni ofiary, przykryli ciało gałęziami i liśćmi, a następnie pobiegli ku bramie. Bero przeklinał, szarpiąc się z zamkiem, a Mudt pochylił się, dysząc ciężko. Ręce wspierał na kolanach i szeroko wybałuszał oczy, widoczne tuż poniżej przetłuszczonej grzywki.

– O kurwa, o kurwa, o kurwa, o kurwa.

Furtka wreszcie się otworzyła. Zamknęli za sobą ciężkie zasuwę, Bero przycisnął mocno torbę do piersi i obaj zerwali się do biegu, by skryć się wśród drzew Parku Wdowy. Oddalali się od latarek ochroniarzy, zmierzając ku światłom miasta leżącego w dole.

# ROZDZIAŁ 2

## PRZEKAZANIE PŁOMIENIA

Kaul Hiloshudon stał na czele tłumu żałobników, którzy przybyli tu, by złożyć jego dziadkowi ostatnie wyrazy szacunku. Mnóstwo ludzi kierowało dziś na niego spojrzenia i zauważyliby, gdyby robił wrażenie podekscytowanego bądź zatopionego w myślach. Dlatego wpatrywał się w trumnę nakrytą drogą białą tkaniną i poruszał wargami w rytm melorecytacji pokutników. Trudno mu jednak było skupić uwagę na rytuałach i osłonić zmysł Percepcji przed obecnością tak wielu wrogów.

Jego dziadek żył długo i to życie było ważne. Walczył o niepodległość kraju, a później, dzięki polityce, biznesowi oraz wielkiemu klanowi, który zbudował, wywarł trwałe wpływy na nowe kekońskie państwo. Zmarł spokojnie pośrodku nocy, w zaawansowanym wieku osiemdziesięciu trzech lat, jak zwykle siedząc w wózku inwalidzkim przy oknie w rodzinnym domu. Z pewnością należało to uznać za łaskę bogów. W ostatnim roku życia, gdy dręczyła go demencja i obniżenie tolerancji na jadeit, dziadek stał się okrutnym, nieznośnym starcem, zgorzkniałym z powodu licznych żalów, i nie miał nic dobrego do powiedzenia o fakcie, że przywództwo klanu Bez Szczytów przeszło w ręce tego z jego wnuków, którego lubił najmniej – ale przeciętny obywatel nic o tym nie wiedział. W Dzielnicy Świątynnej przez pełne dwie doby trwało publiczne czuwanie. Hilo miał wrażenie, że na pogrzebie zjawiała się połowa mieszkańców miasta. Druga połowa zapewne oglądała całe to wydarzenie w telewizji. Śmierć Płomienia Kekonu oznaczała koniec ery, odejście pokolenia, które uwolniło wyspę od cudzoziemskiej okupacji i odbudowało jej dobrobyt. Każda ważna osoba publiczna musiała uczestniczyć w tym pogrzebie. Również Ayt Madashi.

Filar Góry stała samotnie po drugiej stronie tłumu. Miała na sobie długą białą kurtkę i białą chustkę. Otaczali ją jej ludzie. Hilo ledwie ją widział z miejsca, gdzie stał, ale nie potrzebował wzroku. Z łatwością Postrzegał jej

gęstą jadeitową aurę. Wściekłoby się na myśl, że pojawiła się w miejscu, gdzie jego starszy brat Lan obracał się w proch, gdyby tylko pozwolił sobie o tym myśleć. Nie chciał jednak sprawić rywalce takiej satysfakcji.

Wczoraj Ayt wydała publiczne oświadczenie wychwalające Kaul Sena jako bohatera narodowego, ojca kraju oraz ukochanego towarzysza i przyjaciela jej nieżyjącego ojca Ayt Yugontina. Niech bogowie obdarzą uznaniem ich obu. Dodała, że smutno jej z powodu walk, jakie niedawno wybuchły między klanami stworzonymi przez tych dwóch wielkich ludzi, i wyraziła nadzieję, że spory uda się rozwiązać, by cały kraj mógł się rozwijać w niepodważalnej jedności, której przykładem ongiś było patriotyczne bractwo wojowników, zwane Towarzystwem Jednej Góry.

– Co za bzdury – warknął Hilo.

Ani przez moment nie wierzył, że Ayt Mada kiedykolwiek zrezygnuje ze swych celów, którymi były pozbawienie życia jego i jego rodziny, zniszczenie klanu Bez Szczytów i przejęcie całkowitej kontroli nad produkcją jadeitu. Wystąpienia prasowe nie mogły wymazać długu krwi.

– To dobry PR – sprzeciwiła się Shae. – Przypomniała ludziom o związkach łączących dziadka z jej ojcem i w ten sposób zasugerowała, że reprezentuje dziedzictwo wszystkich zielonych kości.

Poza tą krótką analizą przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny jego siostra nie odzywała się prawie w ogóle, nawet poza okresem oficjalnego dwudniowego czuwania. Hilo zerknął na nią. Trzymała się prosto, ale pod warstwą białego żałobnego pyłu pokrywającego jej twarz widział podkrążone oczy. Zwykle ostra jadeitowa aura Shae wydawała się przytłumiona. Kochała dziadka i zawsze cieszyła się jego względami. Płakała gorzko po jego śmierci.

Hilo ponownie skierował uwagę na tłum. Zjawili się również inni przywódcy klanu Góra. Obok Ayt Mady stał niski mężczyzna o ulizanych włosach – Ree Turahuo, prognostyk klanu. Miejsce obok niego zajął mężczyzna o grubo ciosanych rysach, z krótko ostrzyżoną, upstrzoną siwizną bródką i włosach takiej samej barwy. Hilo nie wiedział zbyt wiele o Nau Suenzenie, który zastąpił Gont Ascentu na stanowisku rogu klanu, ale pogłoski i informacje zebrane przez szpiegów mówiły, że zasłynął jako sprytny specjalista od wojny partyzanckiej. Podczas wojny szotarskiej był sabotażystą i zamachowcem pracującym dla Ayt Yu. Gdy wojna wielu narodów się skończyła, miał zaledwie dwadzieścia trzy lata. Sądząc po nieprzyciągającym uwagi wyglądzie oraz pozbawionej wyrazu jadeitowej aurze,

nie był nawet w połowie tak imponujący i niebezpieczny jak jego poprzednik. Hilo podejrzewał jednak, że to zmyłka i w związku z tym powód do niepokoju.

Bogowierczy pokutnicy w białych pogrzebowych szatach – całe dwa tuziny, ponieważ pogrzeb był ważny i zjawiły się tłumy – odprawili długi religijny obrządek, podczas którego wielokrotnie recytowano słowa „niech bogowie obdarzą go uznaniem”, powtarzane chórem przez licznych żałobników. Hilo zamknął oczy, skupił znużony zmysł Postrzegania i zagłębił się w mentalny szum tysięcy oddechów oraz bijących serc. Tam. Za grupką członków Góry kryła się znajoma mętna aura człowieka, którego ongiś nazywał wujkiem. Byłego prognostyka klanu Bez Szczytów, zdrajcy rodziny Kaulów. Yun Dorupon był tutaj, pogrążony w żałobie.

– Nie zwracaj sobie nim głowy. Dzisiaj go nie dorwiemy – odezwała się cicho Shae.

Być może zauważyła wyraz skupienia na jego twarzy albo po prostu Postrzegła jego złość. Niemniej Hilo był zaskoczony. Nie spodziewał się, że jego siostra zauważy Doru. Był przekonany, że w ogóle nie zwracała uwagi na otoczenie.

Rzecz jasna, miała rację. Nie mogli dopuścić się aktu przemocy w obecności pokutników, podczas pogrzebu dziadka. A patrząc na to pragmatycznie, było tu zbyt wielu wojowników Góry. Setki ich pięści i palców zajęły miejsca naprzeciwko ludzi klanu Bez Szczytów. Gdy Hilo zwiększył zasięg swego Postrzegania, intensywna aura wszystkich zebranych tu zielonych kości upodobniła się do nieustannego szumu rozmów na ruchliwej ulicy. Klany zjawiły się w wielkiej liczbie, by dokonać pokazu siły, dzisiaj jednak przestrzegały rozejmu, by uczcić pamięć tego samego człowieka.

Wreszcie gęsty tłum zaczął się rozpraszać. Hilo miał przed sobą długą, nieuniknioną robotę. Będzie musiał ze smętną miną przyjmować kondolencje od członków wewnętrznego kręgu ludzi wiernych klanowi – latarników, polityków i najważniejszych rodzin zielonych kości. Wcześniej przy wejściu na cmentarz doszło do jakiegoś zamieszania. Maik Kehn wysłał jednego ze swoich pięści, by zbadał sprawę.

Teraz Kehn wrócił do Hila.

– Mówią, że nocą znaleziono na cmentarzu zwłoki – wyszeptał.

– Tylko jedne? – zapytał filar z grymasem ironii. – Czyżby wszystkie pozostałe uciekły?

Róg prychnął cicho. Hilowi nigdy nie udało się wydobyć zeń więcej śmiechu. Uniósł jednak szerokie bary na znak rozbawienia.

– W krzakach odkryto ciało cmentarnego dozorca. Zabito go strzałami w głowę. Podobno chodziło o długi. To nie wygląda na ważną sprawę, ale wiesz, jacy są ludzie. Krzyczą o pechu, kiedy mucha wpadnie do czarki z hoji.

Hilo skinął głową. Pogrzebu Płomienia nie powinny skalać żadne złe wieści.

– Porozmawiaj z kierownikiem cmentarza. Niech wyciszy sprawę. – Spojrzał z niechęcią na długą kolejkę ludzi czekających, by złożyć mu kondolencje. Nie Postrzeżał już nigdzie w pobliżu Ayt Mady ani Doru. – Powiedz Tarowi, żeby dał mi godzinę. Potem wracam do domu, bez względu na to, ilu dupolizów będzie jeszcze tu czekało.

\* \* \*

Minęły dwie i pół godziny, nim Hilo wreszcie wrócił do rezydencji Kaulów. Na długim podejździe i na rondzie parkowało mnóstwo samochodów. Po publicznym pogrzebie urządzono prywatną stypę dla członków rodziny i najwyższych rangą zielonych kości z klanu Bez Szczytów. Szyba w samochodzie była opuszczona do połowy i Hilo słyszał dźwięki muzyki oraz czuł zapachy z grilla urządzanego na podwórku. Jeśli ktoś dożył osiemdziesięciu lat, uważano to za godny uczczenia fakt, świadczący o przestrzeganiu Boskich Cnót oraz o łaskawości bogów, gwarantującej wpuszczenie do owczarni nieba, gdy nadejdzie dzień obiecanego Powrotu. Hilo uważał, że to jedno z wierzeń, które miały więcej sensu w czasach wojny, gdy trudno było o dobrą opiekę medyczną. Tak czy inaczej, gdy oficjalna żałoba po Kaul Senie się skończyła, zdjęto białe zasłony i na nieformalnym przyjęciu panowała znacznie weselsza atmosfera. Z pewnością potrwa ono dość długo.

Maik Tar zaparkował duchesse priza tuż przed głównym wejściem do domu, po czym odwrócił się i spojrzał na filar.

– Ludzie, z którymi zgodziłeś się dzisiaj spotkać, nadal czekają, Hilojen. Mam przysłać ich do ciebie, czy się ich pozbyć?

– Gdzie moja siostra? – zapytał filar. – Czy już wróciła?

– Czeka na ciebie w domu.

Zrezygnowany Hilo zgasił papierosa w popielniczce.

– Przyślij ich.

Tar obrzucił szefa współczującym spojrzeniem.

– Zostawię ci coś do jedzenia. Chcesz coś konkretnego?

– Trochę wędzonej wieprzowiny.

Hilo wysiadł z samochodu, wszedł do domu i z niechęcią skierował się do gabinetu. To był kiedyś ulubiony pokój Lana i nadal czuł się w nim trochę nieswojo. W końcu wprowadził tu pewne zmiany – usunął część regałów, zastępując je telewizorem i większym barkiem, i kazał też przynieść wygodniejsze fotele, ale za każdym razem, gdy tu przychodził, półoficjalny charakter gabinetu przypominał mu brutalnie, że to nie on miał zostać filarem klanu.

Z reguły, gdy spotykał się z podwładnymi, wolał to robić w kuchni albo na podwórku, tam jednak nie mógłby dziś znaleźć prywatności. Musiał też przyznać, że gabinet tworzył aurę oficjalnego autorytetu, bardziej odpowiednią dla spotkań z ważnymi udziałowcami i petentami. Wiedział, że podczas rozmów z takimi ludźmi musi się starać maskować swą młodość i reputację ulicznego wojownika, a także podkreślać znaczenie i dziedzictwo swej rodziny.

Shae była już na miejscu. Siedziała w jednym z obitych skórą foteli. Zmyła puder z twarzy, poprawiła makijaż i przebrała się w ciemną spódnicę oraz beżową bluzkę, ale jej zmęczone, zapadnięte oczy nadal miały niemal oskarżycielski wyraz.

*Czy w ogóle nie kochałeś dziadka?*

– Nie musisz tu zostawać – oznajmił jej Hilo. – Poradzę sobie.

– Co, jeśli jakiś latarnik poprosi cię o wywarcie nacisku w sprawie ustawy o ograniczeniu opłat paliwowych?

Hilo przymrużył powieki.

– Nikt by mnie o to nie prosił.

– Masz rację – zgodziła się. – Dlatego że nie ma projektu takiej ustawy. Przed chwilą to wymyśliłam. – Uśmiechała się tylko półgębkiem, a jej docinki nie miały tej mocy, co zwykle. – Zostanę.

Filar zmarszczył brwi, ale powstrzymał się przed udzieleniem odpowiedzi, choć wyłącznie z uwagi na jej żalobę. Było prawdą, że nie wiedział o politycznej i biznesowej stronie działalności klanu tyle, co ona, ale ciągłe przypomnianie mu o tym świadczyło o złośliwości, którą z pewnością odziedziczyła po ich dziadku.

Hilo ledwie zdążył zdjąć krawat i rozpiąć koszulę, gdy Tar zapukał do drzwi, otworzył je i wpuścił do środka mężczyznę oraz kobietę trzymającą w ramionach małe dziecko. Na ich widok Hilo rozpromienił się natychmiast. Podszedł do mężczyzny i uściskał go ciepło.

– Eiten, przyjacielu – przywitał go. – Ależ twoja córka urosła! Naprawdę ma tylko dziewięć miesięcy? Mogłaby pokonać dwulatka w walce zapaśniczej.

Eiten nie mógł odwzajemnić uścisku filaru ani unieść splecionych dłoni do czoła w tradycyjnym geście szacunku, jednakże gdy usłyszał słowa Hila, zgiął się w płytkim ukłonie, a w jego oczach pojawił się błysk dumy. Miał na sobie czystą białą koszulkę z krótkimi rękawami, zakrywającą kikuty brakujących rąk, oraz miękkie, czarne wsuwane buty.

– Jest naprawdę okropna, Hilo-jen. Płacze godzinami i nie można jej odłożyć nawet na minutkę.

Potrząsnął głową z przygnębioną miną, ale w jego głosie nie było niezadowolenia.

– Z pewnością będzie tak samo zielona jak jej tata – zapewnił Hilo.

Zauważył, że żona Eitena skinęła głową z uśmiechem. W dawnych czasach przekonanie, że grymaśne niemowlęta wyrastają na lepszych wojowników, odnosiło się tylko do chłopców, ale obecnie dziewczęta stanowiły dwadzieścia procent uczniów w Akademii Kaul Dushurona, niektóre kobiety zostały pięściami, a jedna nawet była filarem. Ciągłe mająca kolkę córka była powodem do dumy, a nie zażenowania.

– Boję się tylko, że będzie zbyt zielona, żeby znaleźć męża.

Hilo zauważył, że zerknęła na Shae, wypowiadając te słowa, ale zaraz opuściła wzrok.

– Może kiedy dorośnie, ludzie nie będą już myśleli w ten sposób – odpowiedziała jego siostra, uśmiechając się lekko.

– Progностyczka ma rację, a poza tym jest za wcześnie, żeby się o to martwić.

Hilo położył dłoń na barku Eitena i poprowadził rodzinę ku fotelom. Tuż za Eitenem biegła brązowa małpka. Kiedy mężczyzna usiadł, wskoczyła na poręcz i przycupnęła czujnie obok niego, drapiąc się po piersi. Filar wydobyl z minilodówki kilka butelek napoju gazowanego i postawił je na stoliku. Na rozkaz Eitena małpka skoczyła na blat, otworzyła jedną z nich, włożyła do środka słomkę i zniosła butelkę panu. Eiten zsunął

jeden but, wziął butelkę w palce u nogi i oparł kończynę na drugim kolanie. Z kostki zwisała mu jadeitowa bransoleta.

Hilo usiadł naprzeciwko niego.

– Jak sobie radzicie? – zapytał poważniejszym tonem. – Czy jest jeszcze coś, w czym klan mógłby wam pomóc?

– Zrobiliście już dla nas bardzo wiele. Życie było ciężkie, ale zrobiło się lżejsze, odkąd mamy Zoza. On otwiera przede mną drzwi, zapina mi koszulę, a nawet podciera mi tyłek.

Eiten zachichotał. Palec z klanu skierował Hila do szotarskiej organizacji zajmującej się tresurą małą pomagających niepełnosprawnym (w Szotarze było mnóstwo weteranów wojny) i filar kazał jednemu z latarników wszystko załatwić.

Eiten pochylił się i pociągnął łyk przez słomkę. Kiedy się wyprostował, spojrzał Hilowi prosto w oczy.

– Kiedy Gont Asch uciął mi ręce, obiecałeś, że zabijesz go i zabierzesz mu jadeit. Dotrzymałeś słowa. Powiedziałeś mi, żebym przeżył jeszcze jeden rok, by zobaczyć na własne oczy zemstę klanu oraz narodziny mojego dziecka, a jeśli po roku nadal będę pragnął umrzeć, osobiście spełnisz moje życzenie. – Głos mężczyzny nabrał ostrzejszych tonów, ale się nie załamał. – Minął rok i siedzę przed tobą, Hilo-jen. Czy jeśli poproszę cię, byś spełnił moje życzenie, nie zadając żadnych pytań, to czy nadal będziesz gotowy to zrobić?

Żona Eitena mocniej przytuliła śpiące niemowlę i pochyliła głowę, przygryzając wargę. Jej mąż nie patrzył na nią ani na dziecko. Nie spuszczał spojrzenia z Hila, który Postrzegał w jego jadeitowej aurze osobliwą, niemal bolesną natarczywość.

– Tak – potwierdził. – Dotrzymam słowa.

Eiten skinął głową. Jego aura uspokoiła się wyraźnie. Spojrzał na śpiącą córkę i na jego twarzy pojawił się wyraz uwielbienia.

– Miałeś rację, Hilo-jen. Mam teraz po co żyć i nie chcę już umierać.

Hilo uświadomił sobie, jak ważne było, by Eiten wiedział, że ta opcja pozostawała przed nim otwarta, że decyzja rzeczywiście należała do niego, a na słowie filaru zawsze można polegać. Eiten spojrzał na niego.

– Nie chcę jednak do końca życia pozostawać bezczynny i zależny od innych. Zaliczałem się do najlepszych pięści klanu Bez Szczytów. Wiem, że już na nic ci się nie przydam, ale pragnę poprosić cię o przysługę. Czy zgodzisz się mnie wysłuchać?



– Proś, o co tylko zechcesz – odpowiedział Hilo. – Z chęcią spełnię twoją prośbę, jeśli tylko będzie to leżało w moich możliwościach.

– Mój teść jest producentem hoji. Choć jego gorzelnia nie jest duża, to trunek, który produkuje, należy do najlepszych w kraju. Sprzedaje go eleganckim sklepom i restauracjom. Chciałby się przenieść do większego budynku, ale starzeje się i potrzebuje wspólnika, żeby kierować firmą. Mimo że zdaję sobie sprawę, że dla klanu to tylko mały biznes, chciałbym prosić biuro prognostyka o patronat, bym mógł przejąć kierownictwo nad rodzinnym interesem żony. Moje ciało jest okaleczone, ale umysł nadal mam sprawny i myślę, że sprawiłoby mi satysfakcję, gdybym mógł pracować nad rozbudową firmy jako latarnik.

Hilo spojrział z uśmiechem na jego żonę.

– A co ty sądzisz o tym pomysle, pani Eiten? Czy twój mąż ma zadatki na producenta hoji światowej klasy?

– Od lat pomagaliśmy ojcu w prowadzeniu gorzelnii i mój mąż zawsze marzył o tym, by pewnego dnia przejąć interes – odpowiedziała żona Eitena cichym, ale przepojonym pewnością głosem. – Był jednak pięścią i musiał służyć tobie oraz klanowi. To zawsze miało pierwszeństwo. Cieszę się, że żyje, wyłącznie dzięki tobie, Kaul-jen, i w głębi serca czuję, że to dla niego druga szansa. Dobrze sobie z tym poradzi, a gdy córka trochę podrośnie, będę mu pomagała, oczywiście.

– Mówiłeś, że potrzebujecie nowej lokalizacji – podjął Hilo, ponownie zwracając się do Eitena. – Prowadzimy renowację i rozbudowę całego parteru Poczwórnej Wygranej. Moglibyśmy zrobić miejsce dla waszej gorzelnii. Jest tam wielka piwnica. Czy to dla was do przyjęcia? Zaopatrywalibyście w hoji wszystkie kasyna na ulicy Dla Ubogich.

Eiten szeroko otworzył oczy.

– Hilo-jen, to znacznie więcej, niż się spodziewaliśmy...

– Potrzebuję w tej części Pacy kogoś, komu mógłbym zaufać – przerwał mu Hilo. – Zawsze istnieje groźba, że Góra spróbuje odzyskać to, co jej odebraliśmy w zeszłym roku. Róg dba o to, by okolica zawsze była broniona, ale czułbym się pewniej, gdybym miał godną zaufania zieloną kość, kogoś, kto zawsze będzie wyęczał wzrok i słuch. Czy dasz radę produkować waszą świętą hoji i jednocześnie służyć klanowi, Eiten-jen?

Mężczyzna przełknął z wysiłkiem ślinę i skinął głową.

– Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem. Dziękuję, Hilo-jen. Zawsze będę twoim wojownikiem, walczącym w taki sposób, jakiego ode

mnie zażadasz.

Hilo uśmiechnął się i wstał. Pozostali podążyli za jego przykładem. Ten ruch obudził niemowlę, które zaczęło szukać matczynej piersi, a potem wydało z siebie przeszywający wrzask. Hilo skrzywił się, po czym się roześmiał.

– Musisz nakarmić tę małą demonicę. Szczegóły uzgodnimy później.

– Zbierz dokumentację finansową firmy swego teścia z ostatnich pięciu lat i wyślij ją do biura prognostyka, razem z podaniem o przyznanie patronatu – poprosiła Shae. – To przyśpieszy sprawę.

Eiten i jego żona ponownie wyrazili wdzięczność. Brązowa małpka wypila resztę brzoskwiнового napoju i popędziła za swoim panem.

Gdy Hilo dowiedział się, że Eiten radzi sobie tak dobrze, jak to tylko możliwe, i przekonał się, że jest w stanie spełnić jego prośbę, nastrój znacznie mu się poprawił. Dwa następne spotkania obyły się bez komplikacji. Mały klan Czarny Ogon przysłał przedstawiciela z wyrazami kondolencji w postaci pieniędzy i kwiatów oraz zapewnieniami o niezachwianej i trwałej przyjaźni. („Zapewne zaraz popędzi do Ayt Mady i przekaże jej te same słowa” – stwierdziła Shae zaraz po jego wyjściu). Potem zjawił się współnik w interesach ich dziadka, który pragnął napisać hagiograficzną biografię Płomienia Kekonu, rzecz jasna za pozwoleniem filaru i z klanową aprobatą. Hilo ucieszył się, że dobrze im dziś idzie, i spojrzął na zegarek, gdy do gabinetu wpuszczono panią Teije.

Natychmiast ogarnęło go przeczucie, że ta rozmowa mu się nie spodoba. Wyczuł nagłą zmianę w aurze Shae za swymi plecami, co sugerowało, że odniosła takie samo wrażenie.

– Witaj, ciociu Teije – rzekł, całując kobietę w suchy policzek. – Dawno się nie widzieliśmy.

Ta przerwa mogłaby być dłuższa, pomyślał, ciesząc się, że kobieta nie nosi jadeitu i nie może Postrzec jego prawdziwych uczuć.

– Witaj, ciociu – odezwała się Shae z podobnie fałszywą radością.

Pani Teije liczyła sobie sześćdziesiąt lat i była ciotką kuzyna ich ojca. Kaul Sen miał tylko jedną, starszą siostrę, która dożyła wieku dorosłego. Wyszła za mąż za mężczyznę nazwiskiem Teije Jan i miała z nim czworo dzieci. Rodzina Teije była spokrewniona z Kaulami i liczniejsza od nich. Sam ten fakt mógłby ich uczynić jedną z najpotężniejszych rodzin na Kekonie, ale żaden Teije nigdy nie osiągnął nic godnego uwagi ani nie zdobył wysokiej pozycji w klanie. Tylko garstka członków tej rodziny zdołała

ukończyć Akademię i zostać zielonymi kośćmi. Dwóm udało się osiągnąć pozycję niskich rangą pięści. Reszta rodziny to byli mało znaczący latarnicy i nienoszący jadeitu cywile. Niektórzy mieli wykształcenie i porządną pracę, a inni nie, ale prawie wszyscy zawdzięczali swe osiągnięcia związkowi łączącym ich z Kaulami.

– Bogowie nie są sprawiedliwi – stwierdził kiedyś przy kolacji dziadek Hila. – Wiele odebrali jednej części naszej rodziny, by dać to drugiej. Dlatego bądźcie dobrzy dla kuzynów. Kto wie, co mogłaby osiągnąć rodzina Teije, gdyby jej członkowie mieli więcej rozumu albo gęstszy krew.

Pani Teije była pulchną kobietą o krótko ostrzyżonych, szorstkich włosach. Ciągłe zaciskała usta, jakby próbowała przełknąć coś niesmacznego.

– Kaul-jen, Kaul-jen, niech bogowie opromienią cię swą łaską – wychrypiała. – Jesteś moją jedyną nadzieją.

Osunęła się na jeden z foteli, pocierając oczy zmiętą chusteczką.

– O co chodzi, ciociu? – zapytał Hilo.

– O mojego syna, tego nicponia Runa – wyjaśniła kobieta. – Wpakował się w kłopoty na Uwiwach. Tylko bogowie wiedzą, co w ogóle robił w tym grzesznym miejscu, ale ktoś popełnił straszliwy błąd. Runa aresztowano i zamknięto w więzieniu.

Hilo stłumił westchnienie i nadał twarzy uspokajający wyraz.

– Ciociu Teije, nic dziwnego, że tak się zdenerwowałaś, ale jeśli to rzeczywiście był błąd, łatwo będzie wszystko naprawić. Możemy zapłacić za jego uwolnienie. Ile wynosi kaucja?

– Ach – odparła kobieta z zawstydzoną miną. – Kaucję już zapłacono. – Runo wyszedł z więzienia dwa tygodnie temu. – Hilo zrobił zdziwioną minę. – My jej nie zapłaciliśmy. Rodzina zbierała pieniądze, ale nim udało się nam zgromadzić wystarczająco wiele, usłyszeliśmy, że kaucję wniósł bogaty nieznajomy i Runa przekazano pod jego nadzór.

– Kim jest ten nieznajomy? – zapytał Hilo.

– Nazywa się Zapunyo – odpowiedziała pani Teije. – Mówią, że to zły człowiek. Przemysłnik. Przemysłnik jadeitu. – Patrząc na nią, można było odnieść wrażenie, że chętnie by splunęła, gdyby nie zadbane dywany w gabinecie Kaulów. – Mój syn jest „gościem” tego człowieka. Próbowaliśmy negocjować, proponowaliśmy mu pieniądze, ale Zapunyo odpowiedział, że będzie rozmawiał tylko z filarem klanu.

Ciotka Teije wstała i uklękła przed Hilem, chwytając go za dłonie.

– Błagam, Kaul-jen, musisz uwolnić Runa. Jest krnąbrny i często sprawia kłopoty, ale to dobry chłopak. Mój mąż nie chciał do ciebie przyjść. Przekleństwo na jego upór! Powiedział: „Jeśli poprosimy Kaulów, żeby pomogli nam rozwiązać nasze problemy, zawsze będą patrzyli na nas z góry”. Ale ja o to nie dbam. Wiem, że masz dobre serce i dbasz o swoich ludzi, tak samo jak twój dziadek, niech bogowie obdarzą go uznaniem.

Hilo skrzywił się mimo woli, słysząc to porównanie, ale poklepał kobietę po zaciśniętej dłoni. Nie patrzył na Shae, poczuł jednak, że w jej aurze pojawiła się nuta niepokoju. Przez długi czas przyglądał się płaczącej minie pani Teije, nim wreszcie podjął decyzję.

– Nie martw się, ciociu. Zrobię, co tylko będę mógł, by Runo odzyskał wolność i wrócił do ciebie. Czym byłby klan Bez Szczytów bez rodziny Teije? Udam się na Uwiwy i porozmawiam z Zapunyem.

Pani Teije zaniósła się szlochom, raz po raz dotykając czoła splecionymi dłońmi. Hilo pomógł kobiecie wstać i wyprowadził ją z gabinetu, pocierając dłonią jej pochylone plecy. Potem zamknął za nią drzwi i odwrócił się w stronę siostry, która przez cały czas siedziała nieruchomo na krześle obok. Nie miała zadowolonej miny.

– Niepotrzebnie rozbudziłeś jej nadzieje.

Opadł na fotel naprzeciwko niej i rozsiadł się wygodnie, wyciągając nogi przed siebie.

– A co miałem zrobić? Odesłać ją z przekonaniem, że jakiś uwiwański cwaniak bezkarnie uwięził jej syna? On należy do naszej rodziny, jest zieloną kością.

Shae przymrużyła powieki.

– Chyba nie zamierzasz ryzykować życia dla Teije Runa?

Runo był w Akademii trzy roczniki przed Hilem i Shae. Dobrze sobie radził ze śpiewem, piłką sztafetową i spotykaniem się z całą listą dziewczyn jednocześnie, ale poza tym nie wyróżniał się niczym szczególnym. Po zakończeniu nauki otrzymał jeden jadeit, a drugi zdobył w ciągu dwóch lat służby jako palec. Później postanowił wyruszyć w świat i poszukać szczęścia. Klanowe plotki głosiły, że Teije został zieloną kością do wynajęcia i był strażnikiem w kopalniach i szybach naftowych w rozdartych wojną okolicach świata, a przez pewien czas służył jako ochroniarz bogatemu oligarsze z Marcucuo. Hilo nie widział go od lat i nie miał ochoty oglądać. Nie szanował ludzi wykorzystujących jadeitowe zdolności do korzyści osobistych i niedających nic klanowi, któremu zawdzięczają zieleni.

– Runo nic mnie nie obchodzi – odparł. – Przecież wiesz, że nie chodzi o niego. Wojna między klanami bardzo pomogła przemysłnikom jadeitu. Ten sęp Zapunyo utuczył się w ciągu dwóch ostatnich lat i zrobił się bezczelny. Sądząc po wieściach, które ostatnio dotarły do nas z Szotarą, ma jeszcze więcej powodów, by sądzić, że czarny rynek będzie rozkwitał.

W Szotarze wybuchł konflikt między rządem centralnym a proygutańskimi separatystami z położonej najdalej na wschodzie prowincji Oortoko. Zapewne wtrąca się do niego wielkie mocarstwa, co doprowadzi do eskalacji i wzrostu popytu na jadeit ze strony legalnych i nielegalnych armii na całym świecie.

– Hilo – odparła z powagą Shae. – Zapunyo próbuje cię zmusić do spotkania na swoich warunkach i w swoim kraju, gdzie skorumpowany rząd i policja są na jego usługach. Jeśli tam się znajdziesz, narazisz się na niebezpieczeństwo. Nie warto tego robić dla kogoś tak bezużytecznego jak Teije Runo.

– Faktycznie jest bezużyteczny, ale należy do naszej rodziny. – Hilo wstał i się przeciągnął. Skrzywił się, gdy złapał go kurcz w mięśniu barku. Widoczne ślady po brutalnym pobiciu przez Gont Ascha i jego ludzi przed ponad rokiem dawno już zniknęły, ale bóle w różnych miejscach nadal nie pozwalały mu zapomnieć o tym wydarzeniu. – Jak to by wyglądało, gdyby Uwiwanin wziął jako zakładnika kekońską zieloną kość, jednego z naszych krewnych? Zapunyo wie, że nie możemy tego tolerować. Chce w ten sposób przyciągnąć moją uwagę.

– Wyślij Kehna albo Tara.

Hilo pokręcił głową. Zadaniem prognostyczki było doradzanie filarowi, przedstawianie mu starannego i logicznego rachunku kosztów i strat. Shae wykonywała swój obowiązek, doradzając mu ostrożność, ale nigdy nie pracowała po militarnej stronie klanu i niektórych spraw po prostu nie rozumiała. Hilo nie okrył się sławą dzięki temu, że trzymał się z tyłu i wysyłał innych, by rozwiązywali ważne problemy za niego. Nie zamierzał teraz się zmieniać, zwłaszcza że właśnie dzięki reputacji, jaką zdobył, gdy był rogiem, dobrze sobie radził jako filar czasu wojny.

– Muszę porozmawiać z Zapunyem osobiście – upierał się. – W nieporozumieniu między przyjaciółmi nie ma nic złego, ale nieporozumienie między wrogami to całkiem inna sprawa.

Shae wyraźnie miała ochotę spierać się dalej, ale w tej samej chwili Tar zapukał do drzwi i uchylił je, by wsunąć głowę do środka.

– Robi się już ciemno. Impreza na podwórku dobiega końca. Czy nadal chcesz porozmawiać z Andenem, Hilo-jen?

Nastrój Hila zmienił się diametralnie. Kąciki jego ust opadły, a mięśnie barków się naprężyły, jakby spoczął na nich wielki ciężar.

– Porozmawiam z nim – odparł cicho. – Sam – dodał, spoglądając na siostrę.

Tar się oddalił. Shae wstała.

– To ja cię przekonałam, że powinieneś z nim pomówić. Nie słuchałeś mnie przez wiele miesięcy, nawet nie wymawiałeś jego imienia, a teraz chcesz, żebym wyszła. – Przeszyła brata podejrzliwym, oburzonym spojrzeniem. – Masz zamiar go zastraszyć albo skłonić pochlebstwami do powrotu do klanu i włożenia jadeitu. Znam cię, Hilo.

– Chcę z nim pomówić w cztery oczy, Shae – odparł filar twardym głosem. – To, co wydarzyło się tamtego dnia, to sprawa między nami. Powinniśmy mieć szansę omówić to jak należy.

Prognostyczka wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę. Jej aura była pełna irytacji. Wreszcie ominęła go i wyszła bez słowa. Filar został sam w pustym gabinecie brata.

# ROZDZIAŁ 3

## WYGNANIEC

Emery Anden siedział na ławce pod drzewem wiśni na dziedzińcu rezydencji Kaulów, ściskając w dłoniach butelkę limonkowego napoju. Unikał kontaktu wzrokowego z innymi żałobnikami. Długie stoły wypełnione jedzeniem ozdobiono girlandami białych serc. Harfista grał sentymentalne i podnoszące na duchu melodie. Było tu mnóstwo ludzi, ale z szacunku dla zmarłego wszyscy rozmawiali cicho. Jedynym niegustownym elementem całego spotkania był tymczasowy płot z niebieskiego plastiku, otaczający część dziedzińca, na której trwały prace nad renowacją domu prognostyka.

Anden nie mógł twierdzić, że był blisko z Kaul Senem, Płomień Kekonu był jednak jego przybrany dziadkiem i chłopak zawdzięczał mu wszystko. Uczynił go członkiem rodziny Kaulów i zapewnił mu naukę w Akademii Kaul Dushurona, podobnie jak własnym wnukom. Już od dzieciństwa Anden uważał, że pewnego dnia odwdzięczy się patriarsze, zostając jedną z najlepszych zielonych kości klanu Bez Szczytów. A teraz dziadek nie żył i dług Andena pozostanie niespłacony.

Późnopołudniowe cienie gęstniały, tłum rzedniał coraz bardziej, a Anden nadal czekał. Podszedł do stołu z napojami po kolejną butelkę i nagle się zorientował, że śledzi go mnóstwo zainteresowanych, nieprzyjaznych spojrzeń. Była tu większość ważnych osobistości z klanu Bez Szczytów. Wiedzieli, kim jest Anden i co zrobił w zeszłym roku. Najpierw uratował klan przed zagładą, a później, w dzień zakończenia nauki, odmówił przyjęcia jadeitu i filar publicznie się go wyrzekł.

Nagle zauważył garstkę kolegów z Akademii. Lott, Heike i Ton stali ze swymi rodzinami. Rozmawiali i rzucali spojrzenia w jego kierunku. W piersi Andena obudziło się echo dawnych uczuć, stłumionych z powodu nieużywania. Lott Jin opierał się od niechcienia o stół. Nadal garbił się leniwie, a zarazem nerwowo, ale przez ostatni rok najwyraźniej wiele ćwiczył.

Miał teraz szersze bary, wypełniające szarą marynarkę, i ściął krótko włosy, by grzywka nie opadała mu na oczy.

Anden odwrócił wzrok, czując że do twarzy napływa mu ciepło. Mieszkał w Marenii już od z górą roku i zdarzały się chwile, gdy potrafił odepchnąć od siebie wspomnienie hańby i cieszyć się życiem. Jednakże gdy wrócił do Janloonu i znowu znalazł się w tym domu, pośród członków klanu, ożyły wspomnienia o dniach i tygodniach po wygnaniu i o wszystkim, z czego zrezygnował.

Wrócił na ławkę pod drzewem i z przerażeniem zauważył, że Ton idzie w jego stronę. Lott i Heike zostali na miejscu, przyglądali się, ale nie podchodzili bliżej.

– Anden – odezwał się Ton, dotykając czoła w nieformalnym geście pozdrowienia. Odchrząknął. – Dawno cię nie widziałem. Cieszę się, że wszystko z tobą w porządku.

Anden uniósł z niechęcią wzrok i spojrzał w oczy byłemu koledze z klasy.

– Miło mi cię spotkać, Ton-jen.

Ton skinął głową, nerwowo dotykając dwóch pierścieni z jadeitami, które nosił na lewej dłoni. Był teraz palcem w klanie, odpowiadał przed rogiem i jego pięściami, patrolował terytorium klanu Bez Szczytów i bronił go, starając się zachować niepewną przewagę, jaką zdobyli nad Górą. Ton sprawiał wrażenie, że zastanawia się, co powiedzieć, by przerwać krępujące milczenie, ale nagle zjawił się Maik Tar. Pochylił się ku Andenowi.

– Jest już gotowy się z tobą zobaczyć – rzekł cicho.

Anden wstał, zostawił na ławce opróżnioną butelkę i podążył za filarowym do budynku. Zatrzymał się przy wejściu do gabinetu, chcąc zaczekać krótką chwilę, by lepiej się przygotować, ale Tar otworzył drzwi i chłopak nie miał innego wyboru, jak wejść do środka. Filarowy zamknął drzwi, tłumiąc głosy ludzi nadal kręcących się na zewnątrz.

Filar siedział w największym z obitych skórą foteli. Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy Anden ostatnio go widział, lecz zarazem się zmienił. Zachował młodzieńczy wygląd i nadal otaczała go lekko bezczelna charyzma. Anden nieraz był świadkiem tego, jak objawiała się jako ciepło i sympatia w kontaktach z przyjaciółmi albo jako straszliwa groźba, gdy miał do czynienia z wrogami. Niemniej tytuł filaru zmienia wszystkich. W oczach i wyrazie ust Hila dostrzegało się teraz pewną sztywność, bardziej złowrogi



i lepiej kontrolowany aspekt jego osobowości. Przedtem Anden raczej się z tym nie spotykał.

Rozejrzał się w poszukiwaniu Shae, ale nie było jej w pokoju. Ze wszystkich członków klanu tylko z nią utrzymywał w zeszłym roku regularne kontakty. Liczył na to, że będzie obecna przy spotkaniu. Przełknął ślinę, uniósł splecione dłonie do czoła i pochylił się, oddając honory filarowi.

– Kaul-jen, przykro mi, że straciłeś dziadka.

Jeszcze całkiem niedawno Hilo wstałby, uściskał ciepło kuzyna, pocałował go w policzek i zaprowadził z uśmiechem do najbliższego fotela.

„Andy, nie bądź taki sztywny” – skarciłby chłopaka. „Wyjmij kij z dupy i siadaj”.

Tym razem jednak tego nie zrobił. Nie ruszył się z miejsca.

– On był również twoim dziadkiem, Andy – rzekł z zimnym wyrzutem.

– Pod każdym względem oprócz krwi. To on uczynił cię członkiem tej rodziny.

– Nie zapomniałem o tym – zapewnił cicho Anden.

– Czyżby?

Hilo przesunął się do przodu i podniósł paczkę espeńskich papierosów leżącą na blacie. Wyjął jednego i włożył do ust, po czym ku zaskoczeniu Andena podsunął mu paczkę. Chłopak pochylił się i wyciągnął papierosa, nie patrząc filarowi w oczy. Hilo zapalił swojego, po czym przesunął zapalniczkę po blacie w stronę kuzyna i znowu rozsiadł się wygodnie.

– Co z siebie zrobiłeś, Andy? – Głos filaru był łagodny, lecz pełen wyrzutu. – Shae powiedziała mi, że mieszkasz w Marenii. Dziewiętnastoletni mężczyzna wyszkolony na zieloną kość żyje w wiosce razem z bezja-deitowymi rybakami i starcami.

Anden ukrył rumieniec, spoglądając na papierosa, którego zapalał.

– Mam tam pracę – odparł. – Jest pewna i wystarcza mi na utrzymanie. Za miesiąc zaoszczędzę tyle pieniędzy, że będę mógł wynająć mieszkanie i przestanę być ciężarem dla twojej mamy.

W oczach Hila rozbłysnął nagły gniew.

– A co ze strażnikami, którzy cię pilnują? Czy pensja, którą dostajesz w sklepie z meblami, wystarczy, żeby pokryć wydatki na nich?

Anden wzdrygnął się, słysząc ton filaru.

– Kaul-jen, klan nie powinien ponosić żadnych dodatkowych wydatków z mojego powodu. Potrzebujecie wszystkich swoich zielonych kości do

wojny z Górą. W Marenii nikt mnie nie zaatakuję, a nawet gdyby ktoś to zrobił, sprawiedliwość wymaga, żebym sam sobie z tym poradził.

– Nie bądź głupi – warknął Hilo. – W zeszłym roku zabiłeś Gont Ascha i odwróciłeś losy wojny. Myślisz, że Ayt Mada o tym zapomni? – Hilo znowu przesunął się do przodu. – Wie, że możesz się stać jedną z najpotężniejszych zielonych kości w kraju.

– Nie. Jeśli już nigdy nie włożę jadeitu – wymamrotał chłopak. – To byłoby pogwałcenie *aisho*...

– Ayt znajdzie sposób na ominięcie *aisho*, jeśli będzie tego chciała. Nie musi wysyłać zielonych kości z guan dao przeciwko jednemu bezjadeitowemu człowiekowi mieszkającemu w wiosce rybackiej. Nie wyszeptala dotąd twojego imienia, bo na razie jej się to nie opłaca. Kto wie, może myśli, że jeśli chwilę zaczeka, będzie mogła cię zwerbować.

Anden uniósł nagle głowę.

– Nigdy nie przejdę na stronę Góry, nawet jeśli miałyby od tego zależeć moje życie. Może i nie jestem zieloną kością, ale to jeszcze nie znaczy, że zdradzę klan i przystanę do jego wrogów.

– Czy to samo powiedziałaś człowiekowi, który rozmawiał z tobą w zeszłym miesiącu?

Anden nie odpowiedział, ale dłoń, w której trzymał papierosa, zadrżała lekko. Nieznajomy łysy mężczyzna podszedł do niego w supermarkecie.

– Podziwiam cię za to, co zrobiłeś – oznajmił z konfidencjonalnym uśmiechem. – Nie chciałeś przyjąć jadeitu i zostać zieloną kością. Zabójcą. Z pewnością jesteś uczciwym człowiekiem. Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował pracy, mieszkania albo przyjacielskiej przysługi, możesz śmiało do mnie zadzwonić.

Mężczyzna wręczył Andenowi wizytówkę z numerem telefonu.

– Shae go sprawdziła. Ma powiązania z Górą – oznajmił Hilo. – Są cierpliwi, ale już wkrótce spowodują, że będziesz miał nieoczekiwane kłopoty, a wtedy być może zadzwonisz pod numer na tej wizytówce. Jeśli tego nie zrobisz, czekają cię gorsze trudności.

Anden zaciągnął się pośpiesznie i zgasił papierosa. Wreszcie zrozumiał, dlaczego został tu zaproszony. Być może filar mu nie wybaczył, ale nie chciał też, by członek jego rodziny, choćby nawet wygnany, był narażony na manipulacje nieprzyjaciela.

– Andy – kontynuował Hilo. Jego głos nadal brzmiał twardo, ale pojawiła się w nim nuta bólu. Anden w końcu spojrzał kuzynowi w oczy. Filar

również zgasił papierosa, krzywiąc usta w nagłym grymasie. – Jesteś moim bratem. Gdybyś odzyskał rozsądek, choć raz w ciągu minionego roku poprosił, bym przyjął cię z powrotem, gdybyś porozmawiał ze mną i przyznał, że popełniłeś błąd, podobnie jak ja przyznałem, że również nie byłem bez winy, wybaczyłbym ci natychmiast i zgodziłbym się cię przyjąć. Jak mógłbym postąpić inaczej? Ale ty tego nie zrobiłeś. Trzymałeś się z dala od rodziny i zmarnowałeś rok życia.

– Powiedziałeś, że nie chcesz już więcej mnie widzieć – mruknął chłopak.

– Któż nie gada głupot, kiedy się rozgniewa? – warknął Hilo. – Upokorzyłeś tego dnia samego siebie, obraziłeś klan i znieważyłeś mnie.

Gniew i resentment wezbrały w Andenie, rozpraszając poczucie winy.

– Czy przyjąłbyś mnie, nawet gdybym odmówił noszenia jadeitu? A może mam dla ciebie wartość tylko jako zielona kość?

– Jest ci przeznaczone zostać zieloną kością – odpowiedział Hilo. – Oszukujesz samego siebie, jeśli sądzisz, że jest inaczej. Shae zdjęła jadeit i odeszła, próbowała udawać, że jest kimś innym, i zobacz, co się stało. Gdyby tego nie zrobiła, może wszystko wyglądałoby inaczej. Może Lan nadal siedziałby w tym pokoju zamiast mnie. Odmawiając noszenia zieleni, zachowujesz się jak gęś, która nie chce się zbliżyć do wody. – Hilo westchnął. – Nie próbuj mi wmawiać, że się nad tym nie zastanawiasz.

Zastanawiał się. Pewnie, że się zastanawiał. Pamięć o jadeicie, o mocy, jaką mu dawał, o ekstazie i przerażeniu towarzyszącym ostatniej walce, podczas której zabił jedną z najpotężniejszych zielonych kości w Janloonie – czasami wszystko to budziło w nim pragnienie o niemal seksualnej intensywności, czysto zwierzęcy głód. Mimo woli spojrział na koszulę Hila. Dwa górne guziki jak zwykle były rozpięte. Gdy chłopak ujrzał długi szereg klejnotów zdobiących obojczyki kuzyna, wypełnił go strach, a jednocześnie pożądanie. Poczł nagły ucisk w brzuchu. Nadal pragnął zostać Kaulem.

Silniejsze od tego pragnienia było jednak widmo obłądu i życia w nieustannym strachu przed sobą samym. Gdy tylko zastanawiał się nad możliwością ponownego włożenia jadeitu, jego umysł wypełniały mroczne wspomnienia – szalone krzyki matki tuż przed śmiercią na śwędziawkę; Lan ostatniego dnia, gdy Anden go widział, zmęczony, skłonny do raptownych zmian nastroju, osłabiony od nadmiaru jadeitu; a wreszcie on sam po walce z Gontem, kiedy obudził się w szpitalu odwodniony i dręczony gorączką, na wpół obłąkany od żądzy zieleni i zabijania.

Potrząsnął głową.

– Nie zrobię tego, Hilo-jen. Jadeit zmieniliby mnie w potwora. Nadal jestem wdzięczny rodzinie i pozostaję lojalny wobec klanu. Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz, poza tym jednym. Nie włożę zieleni.

Filar nie odpowiadał mu przez pewien czas. Anden nie ośmielił się powiedzieć nic więcej. Zapadła cisza. Gdy Hilo znowu się odezwał, jego głos był pełen rezygnacji i wolny od gniewu. To uświadomiło Andenowi, że filar gorąco pragnął innego rozstrzygnięcia tej rozmowy, nie chciał być zmuszony wypowiedzieć słów, które wypowiedział teraz.

– Wysyłam cię do Espenii. Shae już wszystko załatwiła. Odlatujesz w przyszłym tygodniu.

Anden wytrzeszczył oczy. W pierwszej chwili nie chciał uwierzyć w to, co usłyszał.

– Do Espenii?

– Jeśli nie chcesz być zieloną kością, tutaj na nic mi się nie przydasz. Nie możesz zostać w Marenii. Nie stać mnie na to, by pilnować cię dniem i nocą, żebyś mógł robić fotele bujane i zbierać muszelki nad morzem, podczas gdy Góra będzie się zastanawiała, kiedy wykonać swój ruch. Jeśli nie zamierzasz nosić jadeitu, musisz robić w życiu coś innego. Polecisz do Espenii i zdobędziesz wykształcenie.

– Nigdy tam nie byłem – sprzeciwił się Anden.

– Jesteś pół-Espeńczykiem. Powinieneś dowiedzieć się czegoś o tym kraju, nauczyć się języka – odparł filar.

Anden był tak zdumiony, że w pierwszej chwili nie był w stanie nic powiedzieć. Hilo nigdy dotąd nie wspominał o jego cudzoziemskim dziedzictwie, nie sugerował, że Anden nie jest prawdziwym Kekończykiem i pełnoprawnym członkiem rodziny Kaulów.

Ta nagła zmiana zraniła chłopaka być może bardziej niż cokolwiek innego. Anden stracił resztki panowania nad sobą.

– Chcesz się mnie pozbyć – wykrztusił. – Skazujesz mnie na wygnanie.

– Cholera, Andy – warknął Hilo. – Pytam cię po raz ostatni. Czy uklęknieś przede mną i ponownie złożysz wszystkie przysięgi, a potem włożysz jadeit i zostaniesz zieloną kością, członkiem naszej rodziny?

Chłopak złapał się mocno poręczy fotela. Zaciskał zęby tak mocno, że czuł ucisk w gałkach ocznych. Nie był pewien, co wyszłoby z jego ust, gdyby je otworzył. Hilo wstał, podszedł do jego fotela i spojrzał z góry na chłopaka. Napinał mięśnie, pochylając nieco barki, jakby chciał złapać

kuzyna, żeby go objąć albo zrobić mu krzywdę. Anden poczuł, że oczy zachodzą mu łzami.

– Proszę, Hilo-jen – wyszeptał. – Nie wysyłaj mnie tam. Nienawidzę Espeńczyków i ich kraju.

– Kto wie, może ci się tam spodoba – odparł Hilo. – Nie będziesz sam. Klan ma tam kontakty. Zadbają o ciebie, kiedy będziesz daleko od domu. Za parę lat otworzą się przed tobą możliwości. Wtedy będziemy mogli porozmawiać.

Anden pomyślał, że w zasadzie mógłby mu odmówić. Po raz drugi okazać nieposłuszeństwo i uprzeć się, że zostanie w Marenii. Nawet jeśli mógłby tam liczyć jedynie na nudne, wypełnione rutyną życie, znajdowałby się na Kekonie, a nie gdzieś za granicą. Był jednak przekonany, że gdyby tak postąpił, Shae przestałaby mu pomagać. Nie byłby już dłużej członkiem rodziny. Kekonem rządziły klany. Gdyby stał się wyrzutkiem, jego perspektywy wyglądałyby naprawdę kiepsko. Hilo stał bardzo blisko niego i chłopak wyczuwał granice jego aury. Postrzegał determinację kryjącą się za słowami kuzyna. Hilo podjął decyzję, choćby nawet z niechęcią. Był filarem, a po śmierci Kaul Sena ostatnie słowo w rodzinie Kaulów bezdyskusyjnie należało do niego.

Anden wstał i dotknął czoła splecionymi dłońmi, oddając honory.

– Jak sobie życzysz, Kaul-jen – rzekł pozbawionym wyrazu głosem. Nie odważył się ponownie spojrzeć na kuzyna, odwrócił się tylko i opuścił gabinet.

Gdy szedł oszołomiony korytarzem, zauważył Shae siedzącą na głównych schodach. Wyglądało to dziwnie. Siedziała na stopniach sama w niemal całkowitej ciemności, nadal ubrana jak do pracy. Dłonie splotła wokół kolan. Wstała, gdy go zobaczyła. Na oświetlonym blaskiem latarń dziedzińcu robotnicy znosili do kuchni resztki jedzenia i składali stoły. Słysząc było odjeżdżające samochody.

– Anden... – zaczęła.

– Mówiłaś, że z nim rozmawiasz – przerwał jej chłopak oskarżycielskim tonem. – Że znajdziesz jakiś sposób, żebym mógł wrócić do domu. Ale to ty wpadłaś na pomysł wysłania mnie do Espenii, prawda?

Shae wypuściła powietrze z płuc.

– Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej. Będziesz tam bezpieczniejszy, nauczysz się czegoś i zdobędziesz doświadczenie. Espenia to nasz najważniejszy sojusznik i partner handlowy. Na dłuższą metę skorzystasz na tym,

jeśli pomieszkaś tam przez pewien czas i zdobędziesz wykształcenie. Potem, gdy będzie miał sens twój powrót...

– A czy zastanowiłaś się nad moimi pragnieniami? – Był pewien, że Hilo nie zrobiłby mu tego, gdyby nie nalegania prognostyczki. – Może ty marzyłaś o wyjeździe, ale ja nie chcę opuszczać Kekonu. Nic mnie nie obchodzi Espenia ani espeńskie wykształcenie. Nigdy nie radziłem sobie dobrze z nauką. Tylko...

Tylko z jadeitem. Był cudownym dzieckiem, gdy chodziło o jadeitowe dyscypliny.

Shae położyła dłoń na jego ramieniu.

– Jesteś jeszcze młody. Nie wiesz, co może cię czekać.

Odsunął się od niej gwałtownie.

– Żałuję, że nie zginąłem w walce z Gontem.

Opuściła rękę.

– Nie mów tak – odparła ostrym tonem, ale Anden nie dbał o to, że ją zdenerwował. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z domu. Usłyszał, że kuzynka postąpiła dwa kroki za nim. Potem się zatrzymała i pozwoliła mu odejść.

# ROZDZIAŁ 4

## ŚLEPE ULICZKI

– Kurwa, to fatalna wiadomość – stwierdził Maik Kehn.

Z twarzy kierownika Cmentarza Niebo Czeka odplynęły wszelkie kolory. Poruszył grdyką, przelękając ślinę z nagłym strachem.

– Maik-jen, rzecz jasna, zapewnimy ponowny pochówek w stalowej trumnie. Szczątki pozostały nienaruszone, wyłącznie...

– Nie chodziło im o ciało – mruknął Maik. – Dostali to, czego chcieli.

Podejrzeń nie wzbudziło zamordowanie dozorczy, tylko czarna torba na śmieci znaleziona obok ciała. Były w niej dwie brudne koszule mundurowe oraz czapeczki pracowników cmentarza. Dlatego sprawdzono ostatni wykopany przez dozorcę grób – należący do Kaul Seningtuna – i odkryto naruszoną ścianę ziemi oraz ukrytą za nią uszkodzoną trumnę Kaul Lana.

– Podwójcie liczbę strażników, ale nikomu o tym nie mówcie – polecił kierownikowi Maik. – Jasne?

Mężczyzna pokiwał z wigorem głową. Róg nie czuł potrzeby formułowania dalszych grózb. Cmentarz z pewnością nie chciałby, żeby wyszło na jaw, iż rabusie grobów wtargnęli na jego teren, przekupując jednego z pracowników. Kierownik już pociągał się nerwowo za płatek ucha – tylko dla odegnania pecha albo dlatego, że zastanawiał się nad możliwością ucięcia go w całości i wysłania Kaul Hilowi, by powstrzymać jego gniew. Kahn zapisał sobie w pamięci, że musi zwiększyć liczbę ludzi klanu patrolujących Park Wdowy. Następnie wykonał dwa telefony.

Najpierw zadzwonił do swojej dziewczyny, by ją zawiadomić, że nie spotkają się dzisiaj, bo będzie zajęty sprawami klanu. Lina spokojnie przyjęła tę wiadomość. Była wyrozumiałą i praktyczną kobietą, piękną na swój prosty sposób, krzepką i mającą krągłe kształty. Takie Kehn lubił najbardziej. A co ważniejsze, nie była zieloną kością. Rola rogu klanu Bez Szczytów zajmowała mu większość spędzonego na jawie czasu i nie potrzebował

dodatkowego jadeitu w swej sypialni. Pamiętał, jak kończyły się romanse Tara. Kehn poznał Linę dzięki swej siostrze Wen. Była nauczycielką w miejskim college'u w Janloonie, pochodziła z licznej rodziny, miała własne życie, pracę, przyjaciółki, a także dzieci rodzeństwa, którymi pomagała się opiekować. Dlatego nie będzie miała pretensji do rogu, zawsze stawiającego klan na pierwszym miejscu.

– Będziesz mógł przyjść na osiemdziesiąte urodziny mojej babci w piątą dzień? – zapytała Lina przez telefon. – Rodzice byliby zachwyceni, gdyby zjawił się róg klanu.

Kehna czasami bawiło, że ludzie zapraszają go teraz na wszelkie uroczystości i uważają jego obecność za symbol prestiżu oraz świadectwo przychylności klanu. Kiedy był dzieckiem, nie zapraszano go niemal nigdzie, ponieważ nikt nie chciał być kojarzony ze zhańbionym nazwiskiem Maik. W klanie Bez Szczytów nagły awans ich rodziny stał się czymś w rodzaju legendy, budzącej podziw i zazdrość. Wiązała się z nim też rosnąca liczba towarzyskich zobowiązań.

– Być może – odparł niezobowiązująco.

Potem zadzwonił do brata.

Tar przeklinał długo i głośno.

– Lepiej powiedzmy mu o tym razem – stwierdził wreszcie.

Kehn się z nim zgodził. Sam również zastanawiał się nad tym, jak przekazać złe wieści szefowi. Hilo-jen wymagał, by ważne wiadomości przekazywano mu natychmiast, ale z drugiej strony nie lubił, gdy zawiadamiano go o problemach bez wzmianki o tym, co zrobiono dla ich rozwiązania. Choć Kehn doceniał fakt, że filar nadal uczestniczy w działaniach militarnej strony klanu, nie mógłby dowodzić swymi ludźmi, gdyby pięści zwracały się ze wszystkim bezpośrednio do Hilo-jena, jak dawniej. W minionym roku dokładał wielu starań, by powstrzymać filar przed wykonywaniem zadań rogu, gdy tylko było to możliwe.

Dlatego później po południu zaczął rozmowę od pozytywnych informacji.

– Dałem już przydziały wszystkim nowym palcom, które dostaliśmy w tym roku z Akademii. Większość umieściłem w Dzielnicy Portowej albo w Pasze, bo tam Góra najprędzej czegoś spróbuje. A także w Junko i w Kuźni, gdzie mamy problemy z przemysłem i z handlem błyskiem. Przyznałem też sporo awansów. Mniej więcej połowa licznego rocznika, jaki



dostaliśmy z Akademii w zeszłym roku, dotarła do trzeciej albo przynajmniej drugiej klasy.

Hilo pokiwał głową i zapytał o szczegóły, ale się nie uśmiechnął. Od pogrzebu Kaul Sena filar ciągle był przygnębiony. Być może przejął się śmiercią staruszka bardziej, niż chciał przyznać. A może wzmianka o Akademii przypomniała mu o jego kuzynie Andenie, którego musiał wysłać za granicę.

Rozmawiali o interesach jeszcze przez pewien czas, nim wreszcie Kehn i Tar wymienili spojrzenia. Ten drugi skinął na kelnera i poprosił, by nalał im wody. Hilo zjadł ostatni chrupiący kotlecik z kalmarów, po czym spojrzał na braci, przenosząc niecierpliwie spojrzenie z jednego na drugiego.

– Przestańcie się zachowywać jak nerwowe panienki. Do rzeczy. Czego mi nie powiedzieliście?

Kehn wyjaśnił, że obrabowano rodzinny grobowiec Kaulów. Zwykle potrafił zachować spokój i mówić rzeczowo nawet w trudnych sytuacjach. Dlatego lepiej było, żeby to on, a nie Tar, opowiedział o wszystkim Hilowi, nawet jeśli zadanie uporania się z tym problemem zapewne przypadnie jego bratu. Słuchając jego słów, Hilo zapadł w niepokojące milczenie i bezruch. Wszyscy trzej siedzieli w prywatnym boksie w restauracji Podwójne Szczęście. Było popołudnie pierwszego dnia, więc w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich podsłuchać. Mimo to Kehn rozglądał się co chwila, by się upewnić, że w restauracji nie ma innych zielonych kości, które mogłyby Postrzec, że jadeitowa aura filaru rozjarzyła się nagle niczym płonący tłuszcz.

– Wysłałem ludzi do Parku Wdowy – kontynuował Kehn. – Rozmawiamy z każdym, kto znał zabitego dozorcę. Zawiadomiliśmy też naszych informatorów. Nie podaliśmy im żadnych szczegółów, ale mają mieć oczy otwarte. Może ktoś z Góry chce zgłosić pretensje do jadeitu Lan-jena.

– Nie wierzę, żeby to była Góra – sprzeciwił się Tar. – Nikt z zielonych kości nie upadłby tak nisko. I nie byłby tak nieostrożny, żeby zostawić ciało i porzucone ubrania prawie na widoku. – Wziął sobie kilka prażonych orzechów z półmiska stojącego pośrodku stołu. – Gdyby Góra chciała znowu coś zacząć, znalazłaby tysiąc lepszych sposobów. Ayt to podstępna suka, a o Nau nic nie wiem, ale żadne z nich z pewnością nie tknęłoby jadeitu umarłego.

Filar nadal nie powiedział ani słowa ani się nie poruszył.

– Kimkolwiek mogą być złodzieje, z pewnością dowiemy się, jeśli spróbują sprzedać na czarnym rynku taką ilość jadeitu – stwierdził Kehn.

Hilo wreszcie się odezwał. Z początku jego głos brzmiał przerażająco cicho.

– Wszyscy ludzie, którzy wiedzieli, że Lana pochowano z jego zielenią, noszą nazwisko Kaul albo Maik. Jest tylko jeden wyjątek. Jebane psie gównu, które zamordowało go podstępnie. Jakiś wynajęty zbir, jakiś nikt! –

Głos filaru przeszedł w krzyk. Uderzył pięścią w blat z taką siłą, że aż podskoczyły talerze. Jego aura zakotłowała się gwałtownie i obaj bracia Maik musieli wziąć się w garść, żeby nie odsunąć się od stołu – Myśleliśmy, że dawno uciekł z miasta albo Góra go zabiła. Ale on nadal żyje. I ma jadeit Lana.

Maikowie umilkli. Tar nie chciał spojrzeć filarowi w oczy. Przed rokiem Hilo prosił filarowego, by odnalazł ocalałego właściciela karabinu maszynowego porzuconego w miejscu zamordowania Lana. Tar wykonał prawie wszystkie pozostałe zadania, jakie zlecił mu Hilo, bezlitośnie usuwając z terytorium klanu Bez Szczytów dziesiątki informatorów Góry oraz noszących jadeit przestępców, ale w tym jednym przypadku nie udało mu się wymierzyć klanowej sprawiedliwości.

– Góra mogła za tym nie stać... – Hilo przeszył obu szwagrów ostrym spojrzeniem. – Ale to Góra rozkazała zabić Lana i ktoś w klanie wie, kim jest złodziej. Znajdźcie skurwysyna, bez względu na to, kogo będziecie musieli załatwić po drodze. A później mnie o tym zawiadomcie.

\* \* \*

Maik Tar ponownie zajął się zadaniem, które zlecił mu filar. W noc zamordowania Lana na nabrzeżu znaleziono dwa pistolety maszynowe i ciało jednego nastolatka. Przed kilkoma miesiącami po długich staraniach Tar zdołał zidentyfikować zabitego chłopaka jako członka gangu złodziei napadających na ciężarówki. Kierował nim informator Góry nazwiskiem Mudt Jindonon. Było prawdopodobne, że ocalały zabójca był członkiem tego samego gangu. Problem w tym, że Mudt Jin nie żył. Tar zabił go w zeszłym roku.

Niemniej ktoś z Góry dostarczał mu jadeit i błysk, a także informacje umożliwiające prowadzenie przestępczej działalności na terytorium klanu Bez Szczytów. Przed śmiercią Mudt podał mu opis zielonej kości o nazwi-

sku, którego nie znał. Opis pasował do kilku podwładnych Gont Ascha. Tar nie mógł w tej chwili łatwo dotrzeć do żadnego z nich, ale Hilo na nowo zainteresował się tą sprawą i to skłoniło filarowego do powrotu na trop. Filar przydzielił mu dwóch dodatkowych ludzi, miał więc teraz cztery palce odpowiadające bezpośrednio przed nim, a dzięki bratu mógł też korzystać z usług szerszej sieci szpiegów klanu Bez Szczytów. Wykorzystał wszystkie te zasoby, by dotrzeć do celu.

Z początku Tar nie był zachwycony tym, że usunięto go z części klanu, którą kierował róg, ale teraz cieszył się z nowej pozycji. Część zadań, które wykonywał jako filarowy, miała rutynowy, administracyjny charakter, inne jednak były bardzo ważne. Tar cieszył się, że nie przypadła mu robota jego brata, który musiał dowodzić setkami członków klanu i nigdy nie był w stanie dorównać Hilo-jenowi. Funkcja, którą pełnił obecnie, odpowiadała mu znacznie bardziej. Nie musiał radzić sobie z licznymi szczeblami klanowej hierarchii ani przejmować się zdaniem latarników bądź opinii publicznej. Odpowiadał tylko przed filarem, który ufał mu bez zastrzeżeń.

Zastawienie pułapki na nieprzyjacielską zieloną kość na terytorium wrogiego klanu nie było łatwym zadaniem. Tar zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Jego celem był pięć Góry niewysokiej rangi, o imieniu Seko. Miał on wiekową matkę mieszkającą w dzielnicy Błonia. Wczesnym rankiem czwartego dnia kazał zadzwonić do Seka z fałszywą wiadomością, że matka zemdlą po drodze do sklepu i zabrano ją do Centralnego Szpitala w Dzielnicy Świątynnej. Seko natychmiast tam popędził.

Na skrzyżowaniu ulic między Małym Młotkiem a Pachą drogę zagroziła mu barykada. Za jego samochodem zatrzymały się dwa kolejne pojazdy, uniemożliwiając mu ucieczkę. Gdyby niepokój o matkę nie odwrócił jego uwagi, mógłby Postrzec zbliżających się napastników. Dał się jednak całkowicie zaskoczyć. Ludzie siedzący w pierwszym samochodzie podziurawili opony jego auta kulami i rozwalili tylną szybę. Seko wypadł z samochodu z wrzaskiem furii i popędził w stronę barykady, przywołując Lekkość, by ją przeskoczyć. Jednakże Tar przewidział ten manewr i ulokował tam dwie zielone kości specjalizujące się w Odbijaniu. Ustawiona przez jego ludzi bariera powstrzymała Seka w locie. Spadł na ziemię niczym rzucona w powietrze lalka. Leżał oszołomiony, całą energię zużył na Stal mającą go uchronić przed skutkami upadku. Nie zdążył wyciągnąć pistoletu ze schowka w desce rozdzielczej i nie miał też ze sobą guan dao, a tylko wysadzany jadeitami karambit. Nim zdążył go wyciągnąć, ludzie Tara unie-

ruchomili go Siłą i wyrwali mu broń. Następnie związali jego ręce i nogi, zakneblowali go i rzucili na skrzynię jednego z samochodów.

Tar był zadowolony. Wszystko poszło gładko. Cała operacja trwała niespełna pięć minut. Patrole Kehna dopilnowały, by ulica była pusta, nie doszło więc do uszkodzeń własności. Nie ucierpieli też żadni cywile, pomijając drobną niedogodność, jaką było zamknięcie drogi na krótki czas. Janloończycy byli przyzwyczajeni do zdarzających się niekiedy incydentów klanowej przemocy, ale otwarta wojna toczona w zeszłym roku wyczerpała ich cierpliwość i filar nie chciał żadnych zbędnych zakłóceń, by opinia publiczna nie zwróciła się przeciwko klanowi Bez Szczytów.

Tara korciło, by zadzwonić z automatu telefonicznego do Hilo-jena i przekazać mu dobre wieści, doszedł jednak do wniosku, że to byłoby przedwczesne. Zaczeka, aż zdobędzie konkretne informacje. Poza tym musiał zdążyć przed poranną godziną szczytu. Ulice już teraz wypełniały się kurierami na rowerach i samochodami dostawczymi. Jadąc bocznymi ulicami, zapuścił się głęboko na teren dzielnicy Junko. Słyszał łomotanie i stuki dobiegające z tyłu pojazdu, ale nie przejmował się tym. Skrzynię samochodu wzmocniono warstwą stali tak grubą, że nawet Siła kogoś noszącego dwa razy więcej jadeitu niż Seko mogłaby co najwyżej spowodować wgniecenia. Po pewnym czasie hałasy ustały, pozostawiając tylko szybkie bicie serca spanikowanego więźnia oraz przenikliwą aurę desperacji dobiegającą z tyłu.

Zabrali Seka do starego klubu nocnego, zbudowanego przed pięćdziesięciu laty jako schron przeciwlotniczy. Klub od kilku miesięcy stał pusty. Planowano go wyburzyć i zbudować w tym miejscu blok mieszkalny. Nadgarstki jeńca zakuto w łańcuchy i połączono je ze sznurem zwisającym z belki sufitowej. Wisiał z rękami uniesionymi nad głową. Czubki jego wojskowych butów ledwie dotykały podłogi. Tar przyjrzał się mu. Seko miał na sobie ciemne ubranie, w uszach nosił jadeitowe kolczyki, a w nosie kółko z tego samego materiału. Miał krótką, dobrze przystrzyżoną bródkę i arogancki wyraz twarzy. Nawet w tak rozpaczliwej sytuacji wykrzywił usta w pozbawionym wesołości uśmiešku.

– Jesteś Maik Tar – stwierdził. – Pies tropiący Kaula Hilo.

Uśmiezek zniknął z jego twarzy, gdy Tar wyrwał mu jadeit z nosa i z uszu. Pięć ryknął z bólu. Tar skinął na swoich ludzi, rozkazując im stanąć przy drzwiach, a potem złamał po dwa najmniejsze żebra po obu stronach ciała Seka.

– Gdzie jest moja mama? – wycharczał jeniec zmienionym nagle głosem. – Czy wszystko z nią w porządku?

– Oczywiście – potwierdził Tar. – Zapewne wraca teraz ze sklepu. Uważasz nas za zwierzęta? W klanie Bez Szczytów nie łamiemy *aisho*. Nie używamy tych, którzy nie noszą jadeitu, jako marionetek i narzędzi. – Splunął pod stopy Seka. – Bardzo skutecznie ukrywałeś swoje imię i zacierałeś ślady, kiedy przybywałeś na terytorium klanu Bez Szczytów. Minęło sporo czasu, nim zdołałem cię wytropić. Dopadłem już większość twoich małych szczurów, a teraz pomożesz mi znaleźć resztę.

– Nie ma znaczenia, co ci powiem. I tak mnie zabijesz – zauważył Seko. Tar wzruszył ramionami.

– Jasne, ale czy nie wolałbyś umrzeć szybko i oszczędzić cierpienia mamie? Z pewnością nie chciałbyś wisieć tu całymi dniami i w dodatku cierpieć z powodu odstawienia jadeitu. Sam nie chciałbym tego oglądać. Nie jesteś taki jak ci uzależnieni, których trzymasz na smyczy. Jesteś zieloną kością z Góry i masz trochę szacunku dla siebie, czyż nie tak?

Seko skinął zwisającą bezwładnie głową. Mięśnie jego barków napinały się potężnie.

– W porządku. Teraz się rozumiemy, pierdolony cykorze. – Tar przetoczył w otwartej dłoni jadeit zabrany jeńcowi. – Rozumiesz, problem polega na tym, że Góra nie poniosła odpowiedzialności za śmierć Kaul Lana. Ktoś opowiedział dwóm zabójcom o jego zwyczajach, dał im fullertony i wysłał ich do Boskiego Bzu. Tak sobie myślę, że tym kimś byłeś ty.

Po chwili Seko ponownie skinął głową, nie unosząc jej.

– Pracowali dla twojego kreta Mudt Jina, zgadza się? – zapytał Tar, ukrywając ekscytację.

– To było dwóch śmieci, którzy kradli z ciężarówek modne torebki, portfele i inny taki syf – odpowiedział Seko. – Dwójka dzieciaków z gorączką jadeitową. Nie spodziewaliśmy się, że są do czegośkolwiek zdolni.

– Jak się nazywali?

– Kurwa, skąd mam wiedzieć? Nie pamiętam ich nazwisk.

To nie była odpowiedź, jaką pragnął usłyszeć Tar. Obawiał się, że Seko powiedział prawdę, ale i tak złamał mu dwa kolejne żebra.

– Musisz mi powiedzieć coś więcej, kurewski kozojebco – dodał. – Bo inaczej zmienię zdanie i nie pozwolę, żebyś spotkał bogów w jednym kawałku.

Seko zwisał bezwładnie, oddychając z wysiłkiem przez rozdziawione usta. Wyginał lekko ciało. Tar wyszedł na dwór, by pozwolić jeńcowi spędzić trochę czasu w ciemności i dokładniej przeszukać wspomnienia. Czasami po dłuższym zastanowieniu ludziom wracała pamięć.

Ponieważ nie jadł jeszcze śniadania, poszedł do sklepu na rogu i kupił torebkę okrągłych ciasteczek z masłem orzechowym oraz karton słodzonego mleka. Junko było w pierwszej kolejności dzielnicą przemysłową, pełną cegły oraz szarego betonu. Nie wyglądało zbyt atrakcyjnie, ale klan Bez Szczytów był tu silny. W drzwiach albo oknach lokali wieszano białe latarnie, a ludzie na ulicach oddawali honory, gdy zobaczyli jadeit na palcach i na szyi Tara. Filarowy wrócił do budynku i podzielił się posiłkiem z dwoma swoimi palcami – Dounem i Tyinem. Tradycyjnie to stanowisko miało administracyjny charakter i nie wymagało kontaktów z pięściami i palcami, ale podczas wojny Kaul Hilo wprowadził pewne zmiany. Rozkazał Tarowi i jego ludziom odnaleźć oraz wyeliminować agentów Góry działających na terytorium klanu Bez Szczytów. Tar powołał małą ekipę do zadań specjalnych, które w normalnej sytuacji byłyby dodatkowym brzemieniem dla rogu. Chcąc uniknąć nieporozumień, Tar miał zamiar zasugerować Hilowi, że jego ludzie powinni nosić jakiś inny tytuł niż palce, ale nie był jeszcze pewien jaki.

Wysypał ostatnie okruszki na otwartą dłoń i w tej samej chwili jego Postrzeganie wypełniła gwałtownie świadomość, że wydarzyło się coś bardzo niepożądanego. Naprężył mięśnie, nagle zaniepokojony, i zbadał okolicę. Po chwili uświadomił sobie, że wrażenie dobiega z wnętrza budynku – gwałtowne bicie serca, straszliwy ból, rozbłysk przerażenia i triumfu. Otworzył metalowe drzwi i ze zdumieniem ujrzał, że Seko szarpie się na sznurze, a krew spływa mu z szyi na czarną koszulę. Tar wyciągnął karambit i przeciął sznur, na którym wisiał mężczyzna. Seko spadł na ziemię, bezwładnie jak worek. Poruszał ustami, próbując złapać powietrze, ale w jego oczach błyszczała pogarda. Tar pochylił się nad nim, powtarzając przekleństwa. Widział, że życie odpływa z jeńca wartkim strumieniem. Spróbował zahamować ten proces, użyć własnej energii, by spowodować krzepnięcie krwi, ale Przenoszenie nigdy nie było jego silną stroną. Po kilku sekundach Seko zmarł. W zakrwawionych dłoniach, nadal zakutych w łańcuchy, ścisnął mały nóż.

Tar za późno uświadomił sobie, że popełnił błąd. Odebrał jeńcowi karambit i jadeit, sądząc, że to uczyni go bezbronnym, ale determinacja

dodała siły mięśniom oraz woli pięści Góry. Seko zdołał unieść stopy do wysokości rąk i wyciągnąć nożyk, ukryty w jednym z wojskowych butów. Następnie podciągnął się na łańcuchach i poderżnął sobie gardło.

W filarowym rozgorzała furia. Kopnął trupa i nadepnął na niego. Jednakże, gdy już się uspokoił, nie mógł zaprzeczyć, że jest pod wrażeniem. Wojownik, któremu odebrano jadeit, zdołał mimo to przechytrzyć wrogów i zginąć śmiercią, jaką sam dla siebie wybrał. Matka Seka powinna być dumna z tak zielonego syna.

Tyle że to nie zmieniało faktu, że Tar – ku swemu zawstydzeniu i frustracji – znalazł się w ślepej uliczce, gdy chodziło o poszukiwania ocalałego zabójcy i skradzionego jadeitu.

Kehn jak zwykle wykazał się bardziej stoickim podejściem.

– Musimy poczekać, aż znowu się pokaże – powiedział bratu przez telefon. – Wygląda na to, że nasz złodziej to lekkomyślny chłopak, który ukradł mnóstwo zieleni. Nikt, kto ma tak wiele jadeitu, nie pozostaje w ukryciu zbyt długo.

Zdrowy rozsądek Kehna poprawił samopoczucie Tara, lecz tylko na krótki czas. W następnym tygodniu ludzie Góry opuścili Włócznie, przekradając się przez granicę, by pomścić śmierć Seka. Zabili jednego z palców Kehna, a Tyina wysłali na dwa tygodnie do szpitala. Ponieważ kule uszkodziły witrynę sklepową, a dwoje cywilów odniosło rany z powodu szerokiego Odbijania, incydent znalazł się na pierwszych stronach gazet. Pod nagłówkiem „Nie widać końca klanowej przemocy” umieszczono zdjęcie zwłok zielonej kości z klanu Bez Szczytów, leżących w kałuży krwi pod stłuczoną szybą sklepu Market Jollo Plus.

# ROZDZIAŁ 5

## WSZYSTKO, CO MOŻE ZAPEWNIĆ PRZEWAGĘ

– Z pewnością zaszło jakieś nieporozumienie, Kaul-jen – mówił pan Enke. Krępy, siwowłosy latarnik marszczył czoło z wyraźnym niezadowoleniem i choć przemawiał z szacunkiem, stroszył gęste brwi, a w jego wlepionych w Shae oczach widniał wyraz oburzenia. – Moja firma od z górą dziesięciu lat jest liderem wśród komercyjnych przedsiębiorstw deweloperskich w Janloonie. Jestem latarnikiem klanu Bez Szczytów od dwudziestu pięciu lat, a moja rodzina zawsze płaciła daninę. Dwaj moi synowie są zielonymi kośćmi. Jeden jest pięścią. Służył pod rozkazami twojego brata, gdy ten był rogiem, a teraz odpowiada bezpośrednio przed Maik Kehnem. Jak to możliwe, że ten kontrakt przyznano mniejszej firmie, która ma bardzo krótką historię współpracy z klanem, a w dodatku nie jest w pełni kekońska?

– Tamta firma obiecała wcześniejsze ukończenie prac za niższą cenę – odpowiedziała siedząca za biurkiem Shae. – Klan ceni lojalność i przyjaźń wieloletnich latarników, ale kontrakt przyznano z powodów ekonomicznych.

Pan Enke prychnął z niedowierzaniem.

Shae wyczuła, że Hami Tumashon i Woon Papidonwa, siedzący tuż za nią po lewej i po prawej stronie, poruszyli się nerwowo, usłyszawszy jej słowa.

– Nie jestem pewien, jak definiujesz „względy ekonomiczne”, Kaul-jen – sprzeciwił się wyraźnie poirytowany latarnik. – Pytam jednak: jaki pożytek z klanu, który nie dba o interesy swych najbardziej lojalnych członków? Czy przyjaźń klanu Bez Szczytów znaczy mniej niż niewiarygodne cyfry na kartce papieru? Czy nie jesteśmy już Kekończykami tylko Espeńczykami i nie sprzedajemy się tym, którzy przedstawiają najkorzystniejsze warunki?

– Jeśli prognostyczka pozwoli... – Hami złamał zasady, odzywając się w tej chwili, ale wyraźnie miał na celu uspokojenie sytuacji. – Mógłbym



zapropnować kompromis. – Shae zacisnęła usta, ale skinęła głową. – Panie Enke, klan musi dbać nie tylko o interesy latarników, lecz również o dobro kraju – podjął Hami. – Z pewnością w tym punkcie wszyscy się zgadzamy. Mniejsze firmy powinny mieć szanse sukcesu, a zagraniczne inwestycje są korzystne dla gospodarki. To jednak nie znaczy, że klan nie ceni wierności twojej i twojej rodziny. W gruncie rzeczy mamy nadzieję, że twoja firma nie przestanie rosnać, inwestując w personel i sprzęt. Jeśli prognostyczka się zgodzi, możemy wynegocjować obniżkę daniny, by pomóc ci w tym zadaniu.

Hami zerknął na Shae, która skinęła lekko głową.

– To brzmi rozsądnie.

Pan Enke nie sprawiał wrażenia do końca usatysfakcjonowanego tym ustępstwem.

– Zgoda – mruknął jednak po chwili zastanowienia. – Zbyt długo ufałem klanowi Płomienia Kekonu, niech bogowie obdarzą go uznaniem, by jeden niefortunny incydent mógł zakłócić naszą przyjaźń. – Spojrzenie, jakim obrzucił Shae, sugerowało, że jej nie darzy takim zaufaniem. – Wykorzystamy korzyści z obniżenia daniny i zrobimy, co tylko będziemy mogli, by następnym razem przedstawić korzystniejszą ofertę.

Gdy Woon zamknął drzwi za wychodzącym latarnikiem, Shae spojrzała na Hamiego.

– Dlaczego odezwałeś się bez mojego pozwolenia? – zapytała. – To było przedwcześnie i oferowałeś mu zbyt wiele.

– Mianowałaś mnie pierwszym szczęściodawcą po to, bym mówił, co myślę – burknął, po czym wstał i ruszył ku drzwiom. – I to właśnie zrobiłem. Źle rozegrałaś sytuację. Rodzina Enke jest stara i ma duże wpływy w klanie. Nawet jeśli miałaś uzasadnione powody, by podjąć takie decyzje, uznali, że okazałaś im brak szacunku. – Zatrzymał się i obejrzał. – W tej chwili, Kaul-jen, potrzebujesz poparcia latarników bardziej niż stu milionów zaoszczędzonych dniów.

Hami otworzył drzwi gabinetu Shae, wpuszczając na moment do środka hałasy – dzwonienie telefonów i stukot maszyn do pisania – dobiegające z sąsiednich pomieszczeń. Potem drzwi zamknęły się i dumna jadeitowa aura szczęściodawcy oddaliła się korytarzem.

Shae osunęła się na krzesło. Hami miał rację. Enke źle przyjął jej defensywną reakcję i zimne słowa o względach ekonomicznych. To zmusiło pierwszego szczęściodawcę do ingerencji i zaproponowania rozwiązania,

nim ona zdążyła to zrobić. Wyszła na młodą, naiwną kobietę, nadmiernie ulegającą wpływowi zagranicznego wykształcenia, a nie na doświadczoną prognostyczkę klanu zielonych kości. Finanse rozumiała, strategii i polityki mogła się nauczyć, ale kierowanie klanem wymagało nie tylko zrozumienia szerokiego zakresu jego gospodarczej działalności, lecz również godzenia ze sobą najwyraźniej sprzecznych interesów i oczekiwań jego członków.

– Co powinnam zrobić? – spytała. Usłyszała irytację we własnym głosie.

Woon nie zareagował na tę zmianę tonu. Zbyt długo już ze sobą współpracowali, zbyt często w ubiegłym roku siedzieli razem do późna w nocy, by mogła w kontaktach z nim cały czas zachowywać profesjonalizm, jak w przypadku rozmów z Hamim czy innymi osobami pracującymi w urzędzie na Statkowej. Cień prognostyczki spojrział na swe splecione dłonie, a potem odchrząknął.

– Mogę ci jedynie powiedzieć, co moim zdaniem zrobiłby Lan-jen. Wezwałby pana Enkego do gabinetu i z uwagi na jego wysoką pozycję w klanie dałby mu szansę dorównania korzystniejszej ofercie. Gdyby latarnik nie był w stanie tego zrobić, oznajmiłby mu z żalem, że, niestety, jest zmuszony podpisać kontrakt z innym deweloperem, zapytałby jednak, co może oferować mu klan, by jego interes stał się bardziej konkurencyjny.

Przygnębiona Shae wpatrzyła się w mokre od deszczu okna. Ostatnie sześć tygodni poświęciła żałobie po dziadku i na krótki moment niemalże zapomniała o tym, jak bardzo brakuje jej Lana.

Woon pochylił się na krześle, wspierając łokcie na kolanach.

– Klan przypomina wielki, stary statek, Shae-jen. Jest potężny, ale trudno nim sterować. Wiem, że pragniesz wprowadzić zmiany i udoskonalenia, ale powinnaś to robić ostrożnie. W niepewnych czasach ludzie szukają zapewnienia, że wszystko nadal będzie wyglądało tak, jak się tego spodziewają. Będą mówili, że skrzywdziłaś rodzinę Enke, podobnie jak wciąż mówią, że skrzywdziłaś Kowi Dona.

– Nie będę organizowała biur na zasadach koleśiostwa, jak Doru – obruszyła się z pasją. – Kowi Don otrzymał pozycję szczęściodawcy tylko dlatego, że jest synem radcy.

Woon pochylił głowę.

– Ty również siedzisz w tym gabinecie tylko dlatego, że należysz do rodziny Kaulów.

Wypowiedział te słowa bez nuty gniewu, ale Shae i tak się skrzywiła. To była prawda. Zdawała sobie sprawę, że ma długą drogę przed sobą, jeśli pragnie dowieść swej wartości na Statkowej. W zeszłym roku klan ledwie zdołał uniknąć zagłady, i choć w wojnie na ulicach doszło do czegoś w rodzaju sytuacji patowej, Góra była większa i jej sytuacja finansowa nadal pozostawała lepsza. Klan Bez Szczytów dominował w pewnych sektorach, takich jak budownictwo i nieruchomości, ale boom budowlany, jaki nastąpił w dziesięcioleciach po zakończeniu wojny narodów, znacznie osłabł, podczas gdy wiele gałęzi, w których większe udziały miała Góra, takie jak produkcja przemysłowa, handel detaliczny i transport, nadal prężnie się rozrastało. Dlatego byli zmuszeni agresywniej rozszerzać swoją działalność, jeśli klan Bez Szczytów miał w przyszłości zatriumfować. Wszelkie działania, które podejmowała Shae jako prognostyczka, mogły poprawić ich pozycję w stosunku do przeciwnika bądź ją pogorszyć. Opuściła ramiona.

– Potrzebujemy wszystkiego, co może nam zapewnić przewagę, choćby nawet niewielką – sprzeciwiła się słabym głosem. – To właśnie jest motywem stojącym za wszystkimi decyzjami, nawet jeśli niektóre z nich nie podobają się ludziom.

– Zaufanie również zapewnia przewagę – zauważył Woon.

– Myślisz, że klan mi nie ufa?

– Jesteś bardzo bystra, Shae, i pracujesz wyjątkowo ciężko. Wszyscy to widzą – odparł Woon z pasją wyjątkową u kogoś, kto z reguły przemawiał łagodnie. – Co więcej, jesteś jedną z Kaulów. Wszystko to budzi zaufanie, ale latarnicy zachowują lojalność wobec klanu dla korzyści, jakie może im to zapewnić. A ostatnio raczej zamykałaś przed nim drzwi, zamiast je otwierać.

Milczała przez dłuższą chwilę. Nad Janloonem wisały chmury, ciężkie od wiosennego deszczu. Z oddali morze i niebo miały taki sam matowy, szaroniebieski kolor.

– Bardzo się cieszę, że jesteś ze mną, Papi-jen.

Mówiła szczerze. Gdyby Lan nie zginął, to Woon siedziałaby teraz w gabinecie prognostyka. Mimo to całkowicie poświęcał się pracy cienia, jej szefa sztabu. Nigdy się nie skarżył ani nie okazywał goryczy. Woon nie był wyjątkowo inteligentny ani sprytny i nie miał też zbyt silnej osobowości, ale podobnie jak Lan sprawiał wrażenie zrobionego z wyjątkowo solidnego i niezawodnego materiału. Shae rozumiała, dlaczego przez tak długi

czas był przyjacielem i pomocnikiem jej brata. Wsparła dłoń na jego ramieniu.

– To był ciężki dzień. Wracaj do domu, nie musisz na mnie czekać.

Wstał i odsunął jej dłoń. Postrzeżenie powiedziało Shae, że jego aura pulsuje jakimś nagłym, tłumionym uczuciem.

– Ja również mam jeszcze robotę do wykonania – stwierdził. – Nie musisz się śpieszyć, Kaul-jen. Jak zwykle odwiozę cię później do domu.

Były filarowy zostawił Lana samego wieczorem w dniu, gdy go zamordowano. Odkąd został jej cieniem, ani razu nie wrócił do domu przed nią.

Gdy Woon wyszedł, Shae przez jakieś dwie godziny studiowała leżące na biurku papiery. W ciemniejących szybach okiennych pojawiło się jej odbicie. W janloońskim śródmieściu zapaliły się światła, zmieniając drapacze chmur w kolumny blasku. Zadzwonił telefon. Uniosła słuchawkę i usłyszała lekko nosowy głos Ree Turahuo.

– Kaul-jen, cieszę się, że jeszcze jesteś w pracy. Miałem nadzieję, że będziemy mogli szczerze porozmawiać, jak prognostyk z prognostykiem.

Shae odłożyła sprawozdanie. Sznur telefonu rozciągnął się, gdy odsunęła się od stołu.

– O czym chciałbyś pomówić, Ree-jen? – zapytała spokojnym, wolnym od pasji głosem.

– W przyszłym miesiącu wreszcie ma się zebrać rada Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego. Uczłonowcy będą głosować, czy przywrócić wydobywanie jadeitu – odpowiedział Ree. – Jak zamierzają głosować w tej sprawie klan Bez Szczytów i jego sojusznicy wśród mniejszych klanów?

– Filar rozważa wszystkie istotne czynniki – odpowiedziała. – Jeszcze nie podjął decyzji.

– Nie wykręcaj się, Kaul-jen. – Głos Ree przybrał ostrzejsze brzmienie. – Wszyscy wiemy, że brat polega na twojej radzie w podobnych sprawach. To ty podejmujesz takie decyzje. Czy zamierzasz przeciągać tę niepotrzebną przerwę, czy pozwolisz, by wróciła normalność?

– Kopalnie będą mogły wznowić działalność, gdy tylko podejmie się wszelkie niezbędne kroki, by zapobiec kolejnym nadużyciom ze strony Góry – odpowiedziała Shae. – Nie jestem jeszcze pewna, czy reformy wprowadzone przez Radę Książęcą okażą się wystarczające.

Uśmiechnęła się, żałując, że nie może Postrzec reakcji drugiego prognostyka. Gdy finansowe nieścistości, które odkryła przed niespełna dwu laty w księgach KSJ wyszły na jaw i okazało się, że Góra potajemnie wydoby-

wała nadmiarowy jadeit za plecami rządu i innych klanów zielonych kości, wybuchł wielki skandal. Ayt publicznie oznajmiła, że winne były zaniedbania oraz błędy organizacyjne, ale niewielu w to uwierzyło, nawet w jej własnym klanie. Rada Książęca uchwaliła ustawę wprowadzającą ograniczenia w zakresie własności, mające zapobiec przejęciu kontroli nad KSJ przez jeden klan, wprowadziła coroczne niezależne audyty, powołała komitet nadzorczy, a także wprowadziła kilka innych kroków, mających zapewnić bezpieczeństwo krajowym zasobom jadeitu. Tymczasem od osiemnastu miesięcy kopalnie były nieczynne, do państwowego skarbcza nie napływał nowy jadeit, oficjalny eksport zamarł, a tysiące abukejskich robotników przeszły na utrzymanie rządu.

– Jeśli wydobywanie nie zostanie przywrócone, sprawa wróci do Rady Książęcej, bogowie wiedzą na jak długo – oznajmił nerwowym tonem Ree. – Zmarnujemy nadchodzącą porę suchą i straszliwe zakłócenia gospodarki potrważą kolejny rok. Czy tego właśnie chcesz?

– Chcę, żeby Góra poniosła karę za swoje nadużycia.

Im dłużej potrwa zawieszenie wydobywania, tym trudniej będzie opinii publicznej zapomnieć o winie Góry.

Nastała chwila przerwy.

– Prędzej czy później skończą się wam zapasy jadeitu, który sprzedajecie Espeńczykom – odezwał się wreszcie drugi prognostyk. W jego głosie pojawiła się nuta sprytu. – Czy naprawdę możecie sobie pozwolić na wyczerpanie zasobów klanu? – Nastąpiła chwila przerwy. Shae wyobraziła sobie pełną samozadowolenia minę Ree. – Tak, oczywiście wiemy, że wyprzedajecie swoje rezerwy. Dlatego cudzoziemcy nie narobili dotąd większego smrodu. Przypuszczam, że Rada Książęca i obywatele Kekonu zainteresowałiby się informacją, że klan Bez Szczytów poprawia swą sytuację finansową, sprzedając jadeit bezpośrednio Republice Espanii.

– A ja przypuszczam, że nasi oficjalni sojusznicy z Espanii byłiby zainteresowani wiadomością, że Góra potajemnie sprzedaje jadeit ich wrogom, Ygutańczykom – odpowiedziała zimno Shae. – Zwłaszcza gdyby espeńskich żołnierzy wysłano do Szotaru, żeby walczyli z buntownikami szkolanymi i popieranymi przez Ygutan. Raczej nie będą zadowoleni, kiedy się zorientują, że żołnierze przeciwnika noszą kekoński jadeit.

– Te słowne przepychanki niczemu nie służą, Kaul-jen – warknął Ree. – Możesz wierzyć, że przeciąganie skandalu służy interesom klanu Bez Szczytów, ale zastanów się nad dylematem, przed którym stoją obie nasze

strony. Ograniczenia podaży jadeitu zachęciły przemytników i spowodowały wzrost przestępczości. Ludzie mają już dość przelewu krwi i problemów z gospodarką. Boją się też, że kryzys w Oortoko zmieni się w wojnę między zagranicznymi mocarstwami i rozszerzy się na cały region. Oczekują, że zielone kości będą w takim przypadku broniły Kekonu. Czy jesteś pewna, że w tej chwili to robimy, Kaul-jen?

Shae nie odpowiedziała.

– Ty i ja nie jesteśmy pięściami, widzącymi świat tylko w czerni i czerwieni – dodał Ree. – Moja filar również taka nie jest, choć nie jestem tego pewien, gdy chodzi o twojego brata. Ayt-jen proponuje spotkanie między naszymi klanami, z gwarancją bezpieczeństwa dla wszystkich uczestników.

# ROZDZIAŁ 6

## NOWI ZIELONI

Bero czuł się jak nowo narodzony. Jak człowiek, którym zawsze było mu pisane zostać. Nie musiał już spać na podłodze w mieszkaniu ciotki. Miał teraz własne lokum, na drugim piętrze dziewięciopiętrowej kamienicy w Kuźni. Nie było nadzwyczajne – drzwi ledwie się trzymały na zawiasach, instalacja wodociągowa była stara, a ściany cienkie. Sąsiadka, pani Waim, była zrzędliwą staruszką pachnącą ziołowymi tabletkami na gardło. Ciągle waliła w jego drzwi, gdy puszczał muzykę albo robił zbyt wiele hałasu. Nic z tego nie miało jednak znaczenia. Codziennie budził się około południa, szedł do łazienki i spoglądał w lustro, by zobaczyć jadeit wiszący na jego szyi. Następnie rozprostowywał ramiona, unosił głowę i odwracał się w jedną, a potem w drugą stronę, by przyrzeć się swemu odbiciu pod różnymi kątami. Na koniec brał w rękę karambit i unosił go przed sobą. Podo- bało mu się to, co widział. Siła. Moc. Szacunek.

Dwa razy dziennie podwijał sobie ramię gumową stazą i wstrzyki- wał dawkę SN1. Regularnie, jak w zegarku. Zaznaczał to na wiszącym na ścianie kalendarzu. Mudt – nie młody Mudt Kal, lecz jego ojciec, nieżyjący już Mudt Jin – powiedział mu, że pominięcie jednego zastrzyku albo zro- bienie jednego za dużo może skończyć się śmiercią. Kiedy błysk docierał do jego mózgu, Bero czuł się niewyciężony. Cudzoziemcy dali Kekonowi również kilka dobrych rzeczy. Jedną z nich był błysk. Po co miałby poświę- cać całe dzieciństwo na ćwiczenia w jakiejś wojskowej szkole o drakoń- skim reżimie, skoro istniały nowocześniejsze metody? Jadeitowa energia wypełniająca jego żyły była ostra i gorąca, lepsza niż cokolwiek innego na świecie, lepsza niż pieniądze albo seks. Smak, jaki poczuł dwa lata temu – gdy po raz pierwszy wziął w rękę jadeit, tylko na kilka minut – był niczym w porównaniu z tym. Całe jego poprzednie życie było bezbarwnym, nud-

nym, półświadomym snem, z którego wreszcie się obudził. Idąc ulicą, czuł się jak tygrys przechodzący przez stado bydła.

Wieczorami chodził do nielegalnego klubu treningowego w Pralni, zwanego Domem Szczurów. To była jedna z nielicznych w mieście melin, w których ludzie noszący nieusankcjonowany jadeit mogli się bezpiecznie spotykać, ćwiczyć, wstrzykiwać sobie SN1 i chwalić się zielenią, której nie mogli pokazać publicznie. Często spotykał tam Mudta i obaj ćwiczyli Siłę na betonowych blokach albo wbiegali na ściany, posługując się Lekkością. Ich umiejętności nie były stabilne. Bero jednego dnia potrafił podskoczyć metr w górę, ale następnego niewiele wyżej niż bez pomocy jadeitu. To przyprawiało go o frustrację, ale nie zniechęcało. Nie liczył na to, że od razu stanie się świetny. Musi więcej ćwiczyć i zdobyć więcej klejnotów, nim będzie w stanie mierzyć się z zielonymi kośćmi.

Po paru godzinach szedł do baru. Kupował sobie kolejkę, a następnie zaczynał sprzedawać błysk w słabiej oświetlonych częściach lokalu. Miał regularnych klientów, którzy zjawiali się co tydzień, i niezłe zarabiał. Dlatego nie musiał pracować, w przeciwieństwie do Mudta, który zamieszkał z jakimiś odległymi krewnymi i skłamał, że ma więcej lat niż w rzeczywistości, by dostać robotę jako magazynier w sklepie z obuwem. Większość klientów Domu Szczurów stanowili mężczyźni między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia, mieszkający w ubogich częściach północno-zachodniego Janloonu – Dzielnicy Portowej, Kuźni, Pralni oraz Mieście Rybaków. Niektórzy nosili tatuaże gangów. Bero podejrzewał, że wielu znalazło się w konflikcie z prawem z innych powodów niż posiadanie nielegalnego jadeitu. Kilku sprawiało wrażenie szanowanych ludzi mających legalną pracę, którzy z jakiegoś powodu postanowili zaryzykować życie, by nosić zieleń. Nikt z bywalców domu nie przeszedł oficjalnego szkolenia, a wielu było takich, którzy nie przeszli żadnego. Musieli codziennie brać SN1, żeby utrzymać utrzymać tolerancję jadeitu na poziomie, jaki zielone kości osiągały po latach ćwiczeń. Dom mógł być pewien, że nie zabraknie mu klientów.

Niewyszkolony zmysł Postrzegania Bera działał z przerwami. Nie miał zbyt wielkiego zasięgu, ale z reguły chłopak potrafił określić, kto z ludzi przebywających w tym samym pomieszczeniu nosi jadeit. Czasami się zdarzało, że spojrzał na kogoś i przez chwilę odczytywał jego uczucia albo zamiary. Nie potrzebował jednak zbyt wielkich talentów w tej dziedzinie, by wyczuć bliską wrogość ciekawość, z jaką spoglądano na niego w klu-



bie. Kiedy wychodził na miasto, ukrywał jadeit pod postawionym kołnierzem koszuli albo kurtki i trzymał się tak daleko, jak tylko mógł, od zielonych kości, które mogłyby zwrócić na niego uwagę i zacząć zadawać pytania. Jednakże tutaj, w Domu Szczurów, ludzie widzieli, ile klejnotów nosi, i chcieliby się dowiedzieć, jak to możliwe, że nastoletni chłopak zdobył tak wiele zieleni.

Ale nigdy go o to nie pytali. Pierwsza zasada Domu Szczurów głosiła, że takich pytań się nie zadaje. Nie miało znaczenia, czy jadeit ukradziono, zdjęto z zabitego czy kupiono na czarnym rynku. Jedynym, co łączyło wszystkich tutaj, była egzekucja, gdyby złapały ich zielone kości z któregoś z wielkich klanów. Na szczęście nadal były zbyt zajęte walkami między sobą, by zwracać uwagę na innych. Dom Szczurów był miejscem, w którym nieusankcjonowani użytkownicy jadeitu mogli swobodnie rozmawiać, poddawać próbie swe moce i przechwalać się głośno po pijanemu, że pragną obalić tych, którzy pilnują, by wąska elita zachowała monopol na jadeit.

Mówili o sobie „nowi zieloni”.

Bero był przekonany, że w jego prywatnym świecie prawie wszystko wygląda, jak trzeba, pomijając tylko fakt, że wkrótce zabraknie mu błysku. Jego początkowo spory zapas szybko się kurczył, ponieważ nie tylko go używał, lecz również sprzedawał. Dlatego, gdy pewnego wieczoru człowiek, którego czasami widywał w klubie, skinął na niego i powiedział: „Hej, może tak ty i twój kolega wypilibyście ze mną kolejkę? Mam dla was propozycję i myślę, że chętnie jej wysłuchacie”, Bero zawołał Mudta i przyciągnął mu krzesło.

Mężczyzna miał wąską, ogorzałą twarz, a włosy ścięte na skroniach prawie do skóry, pośrodku zaś uformowane w zlepiony żelem czub. To sprawiało, że wydawała się jeszcze węższa. Wyglądał na Kekończyka, ale mógł być mieszanej krwi. Mówił z cudzoziemskim akcentem. Miał około trzydziestu lat i przedstawił się jako Soradiyo.

– Czy to szotarskie imię? – zainteresował się Bero.

– Można by tak powiedzieć – zgodził się Soradiyo pozbawionym emocji głosem i obrzucił obu chłopaków oceniającym spojrzeniem – Nie boicie się nosić tyle jadeitu?

Bero przyjrzał się mu uważnie. Wyczuwał otaczającą go jadeitową aurę, ale mężczyzna ukrywał swą zieleni pod ubraniem. Kimkolwiek był, nie chciał przyciągać do siebie uwagi, nawet w Domu Szczurów.

– To mój jadeit i będę go nosił – oznajmił. – Jeśli zielone kości mnie capną, to trudno. Każdy musi kiedyś umrzeć.

– Mamy więcej klejnotów niż niektóre pięści – pochwalił się z pasją Mudt. Jego policzki się zaczerwieniły. – Nauczę się tak wiele, że będę mógł pokonać każdą zieloną kość. Nie obchodzi mnie, jak długo to potrwa.

Fatalistyczna brawura była czymś częstym wśród nowych zielonych, ale ostatnio podobne słowa wypowiadano rzadziej i ciszej. Bero słyszał, że parę lat temu do klubu przychodziło wielu kapusiów pracujących dla Góry. Zielone kości dawały im jadeit i błysk na rozkaz Gont Acha, który pragnął umieścić jak najwięcej agentów na terytorium klanu Bez Szczytów. Jednakże po śmierci Gonta Góra się wycofała, a ludzie klanu Bez Szczytów zabijali wszystkich nowych zielonych, których zdołali znaleźć. Kaulowie ofiarowali amnestię wszystkim agentom Góry, którzy się ujawnią, oddadzą jadeit i zdradzą nazwiska współników. Wielu przyjęło tę propozycję, uznając, że lepiej stracić zielen, lecz zachować głowę, niż pozwolić, by dopadł ich Maik Tar ze swoimi ludźmi.

Soradiyo uniósł kieliszek i rozciągnął mięsiste wargi w uśmiechu, który wydawał się zachęcający, lecz zarazem pogardliwy.

– Wiara to pierwszy krok do spełnienia marzeń – oznajmił.

Bero prychnął lekceważąco. Z jakiegoś powodu pragnął zaimponować temu człowiekowi, mimo że go nie lubił.

– O czym chciałeś z nami porozmawiać? – zapytał.

Soradiyo przesunął krzesło, by nie kapąła na niego woda z rury pod sufitem. W Domu Szczurów nie było okien, na suficie i ścianach zaznaczały się wilgotne plamy, a o trzeciej nad ranem powietrze przesyciła woń potu i papierosowego dymu.

– Jestem werbownikiem – oznajmił Soradiyo. – Szukam ludzi, którzy spełniają dwa warunki. Noszą jadeit i coś jest nie w porządku z tą częścią ich mózgu, w której rodzi się strach przed śmiercią.

– Brzmi bardzo zachęcająco – zadrwił Bero.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– Pytam o to, czy chcecie zostać skorpenami. – Tak nazywano przemytników jadeitu. Tych, którzy wywozili klejnoty z kraju. – Płacimy pieniędzmi i błyskiem, a z czasem również zielenią. Zarobicie więcej niż na handlu błyskiem. Znacznie więcej.

– Pracujesz dla kogoś? – zapytał Bero.

– Jestem zaprzysiężonym członkiem Ti Pasuiga. Wiecie, co to znaczy?

Ich milczenie było wystarczającą odpowiedzią. Soradiyo odsłonił zęby w uśmiechu. Jego słowa nie wydawały się już przesadą. Praca dla największej i najślawniejszej organizacji zajmującej się przemytem jadeitu rzeczywiście mogła doprowadzić odważnego człowieka do wielkich bogactw albo do straszliwej śmierci. Soradiyo mechanicznie stukał o blat knykciami zniekształconej dłoni.

– Interesy idą dobrze. Popyt jest większy niż kiedykolwiek dotąd. Ale poleganie na Abukei jest zbyt ryzykowne. – Odporni na jadeit tubylcy nie emitowali aury i nie cierpieli z powodu dramatycznych, a niekiedy śmiertelnych skutków nadmiernego wystawienia na zieleń. Dlatego najczęściej wykorzystywano ich jako kurierów w czarnorynkowym handlu jadeitem. Z drugiej jednak strony różnili się wyglądem od pozostałych mieszkańców Kekonu i budzili podejrzenia na wszystkich posterunkach granicznych. –

Na szczęście w dzisiejszych czasach każdy może przewozić jadeit, jeśli tylko ma nieograniczony dostęp do błysku. Możecie nawet uchodzić za zielone kości. – Wstał i sięgnął po kurtkę. – Zastanówcie się nad tym. Wróć tu o tej samej porze w następny czwarty dzień i będziecie mogli mi powiedzieć, czy chcecie opuścić tę nędzną dziurę i znaleźć się wśród wielkich graczy.

Po jego wyjściu Mudt otarł nos rękawem.

– Nie potrzebujemy tego zasranego *barukana* – stwierdził. Mamy już wszystko, czego potrzebujemy. Sami zdobyliśmy jadeit. – Postukał w opaski, które nosił na ramionach. – Możemy ćwiczyć tutaj, aż staniemy się naprawdę dobrzy i będziemy mogli mierzyć się z każdym. Wystarczający dobrzy, by pokonać Maików.

– Za dużo gadasz – warknął Bero i wstał, żeby kupić następną kolejkę. Po drodze minął stolik, przy którym siedzieli ludzie tnący przedramiona, żeby ćwiczyć Stal. Jeden z nich zaklął z bólu i spadł z krzesła, gdy w jego ciało wniknęło ostrze.

Przyszło mu na myśl, że problem z Mudtem polega na tym, że ma on własne zdanie na każdy temat i nie wie, kiedy się zamknąć. Nigdy nie zdobyłby jadeitu ani błysku na własną rękę. To Bero zaplanował akcję na cmentarzu. To on zabił dla jadeitu. Już dwa razy. Mudt tego nie zrobił. W ostatecznym rozrachunku potrafił tylko wykonywać rozkazy i właściwie nie zasługiwał na zieleń.

# ROZDZIAŁ 7

## PERSWAZJE PROGNOSTYCZKI

Królewski Uniwersytet Jan, usytuowany na zachodniej granicy Janloonu, jest najstarszą akademicką instytucją na Kekonie. W ciągu trzystu lat swej chwalebnej historii przetrwał okresy wojny i okupacji. Niektóre ze starych, kamiennych budynków, które Shae mijiała po drodze, pamiętały czasy zjednoczenia wyspy pod koniec okresu walczących sióstr. Inne, jak gmach Wydziału Studiów Międzynarodowych, były lśniącymi, nowoczesnymi budowlami, ze stali, szkła i betonu. Shae otworzyła dwuskrzydłowe drzwi, weszła do sali wykładowej i zajęła wolne miejsce w ostatnim rzędzie. Wykład już się zaczął. Maro pisał coś na tablicy i nie widział, kiedy weszła, ale gdy ponownie zwrócił się ku studentom, zauważył ją i uśmiechnął się lekko.

– W zeszłym tygodniu mówiliśmy o skutkach wojny wielu narodów i o ekonomicznym oraz politycznym upadku Cesarstwa Tun, po którym nastąpiły dziesięciolecia wewnętrznego konfliktu, a także reform, które umożliwiły Ygutani wypełnienie próżni powstałej na kontynencie Orius. Przez resztę semestru skupimy uwagę na powojennej polityce Republiki Espenii w stosunku do Szotaru i Kekonu oraz na tym, jak wiąże się ona z bieżącymi wydarzeniami.

Shae była zainteresowana tematem wykładu, a Tau Maro był interesującym mówcą – zorganizowanym, posiadającym szeroką wiedzę i entuzjastycznie nastawionym do przedmiotu – ale Shae ciągle wracała w myślach do wczorajszej rozmowy telefonicznej z Ree Turą. Zdziwiła się, gdy godzina upłynęła. Czuła się rozczarowana, że nie słuchała uważniej. Maro napisał na tablicy polecenie zamykające wykład: „Zadaniem na ten tydzień jest napisanie na trzech stronach odpowiedzi na następujące pytanie: W jaki sposób wpływa na Kekon ratyfikacja Paktu Przyjaźni i Wzajemnej Nieingerencji między Tun a Ygutaniem?”.

Gdy studenci zabrali swoje rzeczy i opuścili aulę, Shae wstała z miejsca i przeszła na środek pomieszczenia.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że przyszedłam wcześniej, żeby wysłuchać wykładu? – zapytała. – Jesteś bardzo dobrym nauczycielem.

Maro skończył wycierać tablicę i spojrzał na puste miejsca, nim pochylił się ku Shae i pocałował ją w kącik ust. Jego krótka broda łaskotała ją w policzek. Poczowała woń wody po goleniu mieszającą się z zapachem kredy płynącym z klap i ramion brązowej zamszowej marynarki, włożonej na białą koszulę.

– Absolutnie nic – zapewnił. – Ładnie wyglądasz. Gdzie pójdziemy na kolację?

Wiosenne deszcze wymyły do czysta chodniki na kampusie. Rozległe trawniki porastała bujna zielona trawa. Gdy opuścili tereny uniwersytetu, przemykali obok nich studenci na rowerach. Na Shae nie czekał samochód z szoferem. Przyjechała tu taksówką prosto z biura na Statkowej, zatrzymując się tylko po to, żeby poprawić makijaż i zamienić blezer na czerwony szal wyszywany cekinami. Chciała znowu wziąć taksówkę, ale Maro ją powstrzymał.

– O tej porze piątego dnia szybciej dotrzemy na miejsce metrem. Masz coś przeciwko temu?

Zapewniła go, że nie ma.

Po drodze rozmawiali od niechcienia o wykładzie, kampusie i o aktualnej pogodzie. Shae czuła, że napięcie związane z pracą powoli z niej odpływa. Patrzyła na Mara. Uspokajał ją jego brak pośpiechu. Pozwolił, by pierwszy, zbyt zatłoczony pociąg odjechał, i zaczekał na następny. Krótka ostrzyżona broda sprawiała, że wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. Miał miękkie usta, uważne spojrzenie i duże, atrakcyjne dłonie. Był najprzyjemniejszą niespodzianką, jaka spotkała Shae w minionym roku. Nie pragnęła stałego związku. Czasami nadal wspominała tęsknie Jeralda i marzyła o czymś towarzyskim, ale klanowe obowiązki nie zostawiały jej wiele miejsca na życie towarzyskie. Po śmierci i pogrzebie dziadka spadł na nią nawał pracy w biurze. Nie spotkała się z Marem od z górą miesiąca.

– Wybacz, że tak dawno się nie widzieliśmy – rzekła mu.

Potrząsnął głową.

– Wiem, że ostatnio nie było ci łatwo. Myślałem o tobie, ale nie chciałem się wtrącać. Wiedziałem, że opinia publiczna i tak już poświęca zbyt

wiele uwagi waszej rodzinie. – Po chwili wahania ujął jej dłoń i ją uściskał.  
– Cieszę się, że udało ci się dzisiaj urwać.

Pojechali do Kuchni Golyaani, ekskluzywnej restauracji w Północnym Sotto, niedaleko domu, w którym mieszkała Shae po powrocie do Janloonu. Już od jakiegoś czasu miała ochotę wybrać się tam z Marem. Kelner zaprowadził ich do boksu w kącie sali. Shae zamówiła koktajl, a Maro poprosił o szotarską whisky średniej klasy i szklankę wody.

– Jak ci ostatnio leci? – zapytał.

– Lepiej niż jeszcze niedawno. Brakuje mi dziadka... ale w ostatnim roku życia właściwie nie był już sobą. Kiedyś był jak siła natury. – Pomieślała w zamyśleniu koktajl. – Lubię sobie wyobrazać, że czeka na Powrót w zaświatach, razem z moim ojcem i bratem, że wszyscy są teraz znacznie szczęśliwsi i osiągnęli spokój. – Przerwała, by pociągnąć długi łyk. Nie chciała ulegać melancholii podczas wieczoru, który miał służyć relaksowi. Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na wielkiej łapie Mara. Jego jadeitowa aura była jak lekki koc, pełen interesujących zmarszczek i przyjemny w dotyku.

– A co słychać u ciebie w pracy?

– To samo, co zawsze – odpowiedział mężczyzna, pozwalając jej zmienić temat. – W tym semestrze prowadzę trzy grupy. Nadal też szukam funduszy na zagraniczne kursy. Uczelniana biurokracja nie przestaje mnie zdumiewać. – Westchnął ze znużeniem i rezygnacją. – Media ciągle teraz donoszą o wydarzeniach w Szotarze. Dlatego często wzywają mnie do Gmachu Mądrości.

Shae poznała Mara sześć miesięcy temu, na spotkaniu absolwentów Akademii Kaul Dushurona. Natychmiast doszła do wniosku, że warto będzie zawrzeć z nim bliższą znajomość. Jako prognostyczka musiała śledzić na bieżąco kwestie handlu zagranicznego i stosunków międzynarodowych. Tau Marosun miał trzydzieści trzy lata i był jednym z najmłodszych wykładowców w Wydziale Studiów Międzynarodowych Królewskiego Uniwersytetu Jan, a także politycznym doradcą Rady Książęcej. Fakt, że młody, ale już znany profesor, był atrakcyjnym mężczyzną, zasługiwał na uwagę, ale miał drugorzędne znaczenie. Po kilku tygodniach zaprosiła Mara na kolację, licząc na to, że nawiąże z nim profesjonalną współpracę i pozna nazwiska innych zasługujących na jej uwagę ekspertów. Rozmowa trwała cztery godziny. Zaczęli od spraw związanych z jego specjalnością, ale

szybko przeszli na inne tematy, od janloońskich restauracji, poprzez zagraniczne filmy, aż po sposoby na tanie podróże.

Na koniec Maro nieśmiało zapytał, czy mógłby się jeszcze kiedyś z nią zobaczyć.

Kuchnia Golyaani była lokalem przeznaczonym dla zamożnej klienteli, w którym podawano dania tradycyjnej kuchni tuńskiej, a także szeroki zestaw alkoholi. Był wieczór piątego dnia i większość stolików zajmowali młodzi profesjonaliści mieszkający w dzielnicy Północne Sotto. Światło zawieszonych pod sufitem lamp padało na stylowy kominek z cegieł, czarne blaty stołów oraz półki zastawione dekoracyjnymi butelkami w antycznym stylu, pełnymi suszonych przypraw. Po chwili przyniesiono posiłek – wędzoną kiszkę wątrobową, kawałki bakłażana z ryżem na ostro oraz przepiórkę pieczoną w glinianym garnku. Shae była zadowolona, gdy Maro głośno wyraził swój zachwyt daniami i pochwalił wybór, którego dokonała. Przyglądała się, jak nakłada kawałki bakłażana na ich talerze. Maro wszystko robił ze swego rodzaju subtelnym namysłem. Przed wykładem sporządzał listę tematów, które chciał poruszyć, robił krótkie przerwy, zanim coś powiedział, wachał whisky, nim pociągnął łyk. W niczym nie przypominał Jeralda. Poprzedni chłopak Shae był silnie zbudowany i żywiołowy, pełen wigoru w łóżku, zabawny i czarujący, ale w ostatecznym rozrachunku pozostawał młodym espeńskim oficerem, płytkim i pozbawionym wrażliwości. Maro był inteligentny i miał własne zdanie na każdy temat, ale nie był pretensjonalny, cenił głębokie dyskusje i nowe doświadczenia. Różnił się też znacznie od większości noszących jadeit mężczyzn, jakich znała Shae. Miał dwa kolczyki wpięte dyskretnie w lewe ucho, ale nigdy nie był palcem i klanowe sprawy nie interesowały go zbyt. Pytał o nie tylko wtedy, gdy były ważne dla Shae albo miały związek z polityką wewnętrzną bądź międzynarodową.

– O co pytała cię Rada Książęca? – zainteresowała się kobieta.

– O to samo, o co ja pytam studentów – odparł z lekką nutą ironii. – Ale ze znacznie większą liczbą szczegółów, niż można zmieścić w rozprawce na trzy strony.

Shae przypomniała sobie, co napisał na tablicy pod koniec wykładu: „Zadaniem na ten tydzień jest napisanie na trzech stronach odpowiedzi na następujące pytanie: W jaki sposób wpływa na Kekon ratyfikacja Paktu Przyjaźni i Wzajemnej Nieingerencji między Tun a Ygutanem?”.

– A jak odpowiedziałbyś na pytanie, które im dziś zadałeś?

Maro przełknął kawałek mięsa przepiórki, zanim odpowiedział Shae.

– Że Kekon znajdzie się w bezprecedensowo trudnej sytuacji. Pakt tuńsko-ygutański nie jest niespodzianką. Tun ma zbyt wiele problemów wewnętrznych, by móc się sprzeciwić Ygutanowi, a Ygutańczycy cieszą się ze spokoju na swej najdłuższej granicy, bo to pozwoli im skupić się na przejściu kontroli nad całą Zatoką Origas. Tego z kolei nie mogą zaakceptować Szotar i Espenia. Republika Espenii musi skierować więcej wojsk do tego regionu, a przede wszystkim na Kekon.

Shae skinęła głową.

– Będziemy uwięzieni między Espenosferą a Koalicją Ygutańską.

Kekon był oficjalnie sprzymierzony z Espenią i gościł na wyspie Euman największą bazę Espeńskiej Marynarki Wojennej w całym regionie. Jednakże Kekończycy z reguły nie darzyli Espeńczyków sympatią większą niż innych cudzoziemców. Geograficznie wyspa leżała między dwoma kontynentami, ale bliżej z niej było do Oriusa niż do Speniusa, a w dodatku długotrwała wrogość z Szotarem sprawiała, że trudno było sobie wyobrazić, by oba kraje znalazły się po tej samej stronie, nawet jeśli były sprzymierzone z Espenią. Shae wróciła myślą do irytującej rozmowy z Ree Turą. Na świecie obudziły się siły, wobec których znaczenie tracił nawet konflikt między klanami zielonych kości.

– Sytuacja polityczna jest niebezpieczna – zgodził się Maro. – Ale może też stworzyć dla naszego kraju szansę odegrania większej roli na światowej scenie. – Pociągnął łyk whisky i odstawił szklanekę. – Przez większą część naszej historii byliśmy podzielonymi na liczne plemiona, nieufnymi wobec obcych izolacjonistami. Ale teraz to się zmienia. Jadeit zwabił cały świat pod nasze drzwi i zmusił nas do zaangażowania się w światowe sprawy.

Shae pomyślała o swym kuzynie przebywającym obecnie w Espenii. Była pewna, że postępuje słusznie, gdy przekonywała Hila, by wysłał Andena na zagraniczne studia. Klan Bez Szczytów potrzebował więcej ludzi, którzy znali świat poza Kekonem i byli w stanie zrozumieć zmiany, o których mówił Maro. Ale Anden jej nie uwierzył, a nawet miał do niej pretensję. Przestała na moment jeść i spojrzała na Mara.

– Bardzo mnie dziwi, że ktoś, kto ukończył tak zacofaną, klanową szkołę, jak Akademia Kaul Du, mógł zostać cenionym profesorem studiów międzynarodowych.

Maro skrzywił się i pochylił ku niej.



– Ledwie mi się udało – przyznał. – Mam na myśli jej ukończenie. Mia-  
łem trudności z jadeitowymi dyscyplinami. Chciałem rzucić szkołę w piątej  
klasie, ale to nie wchodziło w grę. Byłem jedynym chłopakiem w rodzinie.  
– Wśród Kekończyków utrzymywało się przekonanie, że każda zasługująca  
na szacunek rodzina musi mieć jadeit. Od jedynego syna oczekiwano, że  
nauczy się walki i będzie nosił zieleń. Maro wydał wargi, po czym dopił  
whisky. – Niemniej, spoglądając wstecz, cieszę się, że ukończyłem szkole-  
nie. Zapewne uczyniło mnie to silniejszym. Wtedy jednak było mi ciężko.  
Na szczęście pomogły mi stopnie w dyscyplinach akademickich, ale właści-  
wie nie byłem stworzony na zieloną kość. W przeciwieństwie do pewnych  
osób, które ukończyły naukę z pierwszą lokatą. – Spojrzał na Shae i trącił ją  
lekką łokciem. – Pamiętam cię z tamtych czasów. Byłem w czwartej klasie,  
kiedy pojawiłaś się w pierwszej. Ale ty mnie nie pamiętasz, prawda?

Z zawstydzeniem przyznała, że nie.

– W porządku, nie spodziewałem się, że będzie inaczej. Byłem mo-  
lek książkowym i w tamtych czasach na nikim nie wywierałem wrażenia. Ale  
ciebie wszyscy znali. Byłaś w tej samej klasie co twój brat i trudno by było  
was nie zauważyć.

– Przeraza mnie myśl, że pamiętasz mnie jako dziesięciolatkę.

Maro parsknął śmiechem – zaskakująco ładnym i dźwięcznym.

– A ja się cieszę, że nie zapamiętałaś mnie jako nieprzystosowanego  
nastolatka, znajdującego się na samym dole hierarchii uczniów Akademii.  
W przeciwnym razie na pewno nie umówiłabyś się ze mną na kolację.  
Wiem, że nie znamy się długo, ale... myślę, że jesteś cudowna. – Jego  
twarz się zarumieniła. Na moment skierował swą uwagę na serwetkę. –  
Jesteś piękna, inteligentna, myślisz o przyszłości i masz otwarty umysł.  
Myślę, że to świetnie, że zostałaś prognostyczką klanu Bez Szczytów.  
Ludzie tacy jak ja tylko mówią o zmianach, ale ty możesz naprawdę je  
wprowadzić.

Nie wiedziała, jak odpowiedzieć. Słowa Mara wypełniły ciepłem jej  
klatkę piersiową, nie była jednak pewna, czy zasługuje na jego bezwarun-  
kowe zaufanie. Klany nadal prowadziły ze sobą wojnę, działalność KSJ  
zawieszono, a przemyt jadeitu się nasilał. Kryzys w Oortoko wciągał  
w konflikt Espenię i Ygutana. Maro sam wspominał o tym, że Kekon z pew-  
nością zostanie wplątany w regionalny konflikt między wielkimi mocar-  
stwami. Nie czuła się przygotowana do poradzenia sobie z tak wieloma

zagrożeniami dla klanu i dla kraju, a swymi decyzjami już narobiła sobie wrogów.

– To nie takie proste. Klan jest jak wielki, stary statek i trudno nim sterować. – Powtarzała słowa, które usłyszała wczoraj od Woon. – Nie jestem pewna, czy nawet jako prognostyczka zdołam cokolwiek zmienić.

Maro opuścił głowę i unióśł brwi w minie wyrażającej powątpiewanie. Shae była pewna, że tak właśnie patrzy na studentów, tłumaczących nieudolnie, dlaczego spóźnili się z oddaniem pracy.

– Po wojnie wielu narodów twój dziadek, niech bogowie obdarzą go uznaniem, pomógł krajowi otworzyć się na zagranicę i osiągnąć dobrobyt. Klany zielonych kości mogą być najbardziej konserwatywnymi z kekońskich instytucji, ale postęp dotarł również do nich. – Ujął dłonie Shae w swe wielkie łapy i skierował na nią spojrzenie tak pełne powagi, że trudno jej było spojrzeć mu w oczy i się nie zaczerwienić. – Byłaś najmłodsza w swej klasie w Akademii, ale wyprzedziłaś wszystkich, nawet Hila. Ludzie mówią, że kierujesz teraz klanem w takim samym stopniu jak twój brat. Urodziłaś się do tej pozycji i szkoliłaś z myślą o niej. Któż mógłby coś zmienić, jeśli nie ty?

Jeśli Maro miał zdecydowaną opinię na jakiś temat, z pewnością potrafił mówić przekonująco. Choć Shae często ostatnio wątpiła w siebie, nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Chciałaby uwierzyć we wszystkie jego słowa.

Gdy kelner zabrał puste naczynia, z kuchni wyszła właścicielka lokalu, latarniczka klanu Bez Szczytów. Była niską, pyzată Tuni, ale z pewnością urodziła się albo przynajmniej wychowała w Janloonie, ponieważ bezbłędnie mówiła po kekońsku.

– Kaul-jen – rzekła, dotykając czoła splecionymi dłońmi i kłaniając się nisko. – To zaszczyt dla naszego skromnego lokalu, że mogliśmy cię ugościć. Czy ci smakowało?

Shae zapewniła, że posiłek był znakomity. Maro wyjął portfel, żeby zapłacić rachunek, ale natychmiast go skarcono.

– Nie, nie. Nie ma potrzeby płacić. Byłeś gościem prognostyczki, a my jesteśmy wierni klanowi Bez Szczytów.

Shae wstała, by ruszyć ku wyjściu, ale Maro nie ruszył się z miejsca.

– Nalegam – oznajmił, patrząc nie na właścicielkę, lecz na Shae. – Nie jestem członkiem klanu i restauracja nie jest mi nic winna. Wiem, że mogłabyś dzisiaj zjeść posiłek za darmo w wielu różnych lokalach, ale pragnę postawić ci kolację. To drobiazg, ale proszę, pozwól mi to zrobić.

Restauratorka spojrzała pytająco na Shae. Prognostyczka się zawahała. Jeśli zaakceptuje ten rycerski, choć kłopotliwy gest, będzie to oznaczało, że odwiedziła lokal nie jako prognostyczka z gościem, lecz jako towarzyszka Mara. Potrafiła sobie wyobrazić plotki i pytania, jakie się pojawią w skłonnych do takich zachowań częściach klanu.

Jednakże prośba Mara miała w sobie pewien naiwny urok. Szczerze pragnął przejść przez wszystkie fazy zalotów i nie potrafiła mu odmówić. Skinęła głową do właścicielki lokalu i uśmiechnęła się do swego towarzysza, po czym usiadła i pozwoliła mu zapłacić rachunek.

– Dziękuję, Maro.

Wyszli na dwór. Beton był wilgotny od zwanej Północnym Potem mżawki typowej dla pory monsunów, jednakże ta wilgoć szybko przegnała smog i miasto pachniało wyjątkowo rześko. Szli pod rękę i rozmawiali. Shae nostalgicznie zwracała jego uwagę na szczegóły okolicy, w której kiedyś mieszkała – księgarnię z papugą na wystawie. Budkę, w której sprzedawano słodkie prażone orzechy zawinięte w papierowe stożki; neony nowego teatru, które pojawiły się, gdy już się stąd wyprowadziła. Zatrzymali się przed wystawą sklepu z płytami. Shae była pod wrażeniem, gdy ujrzała winyle ze ścieżkami dźwiękowymi z espeńskich musicali. Niektóre z nich widziała, gdy studiowała w Windton. Polubiła je, bo były pełne kostiumów i absurdalnego melodramatyzmu.

Maro objął ją w talii. Lubiała to wrażenie, lekki nacisk na jej biodra.

– Czy mówiłem ci już, że nie jesteś taka, jak się spodziewałem? – zapytał.

– To znaczy?

Oparła się o jego bok. Pozwoliła, by Maro zapłacił rachunek, i to umożliwiło jej opuszczenie gardy. Wypełniło ją ciepło zrodzone z alkoholu, kolacji i towarzystwa. Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio spędziła wieczór tak miło, nie martwiąc się wojną ani sprawami klanu.

– Kiedy ludzie słyszą nazwisko Kaul, myślą „bohater wojenny”, „wielki jadeitowy talent” albo „dziedzic potężnej dynastii zielonych kości”. A nie „bezwstydną fanką głupich romantycznych musicali”.

– W głupich romantycznych musicalach nie ma nic złego – zaprotestowała Shae.

– Pewnie, że nie ma – zgodził się Maro, udając powagę. – Nie będę z tobą polemizował w tak ważnej sprawie, zwłaszcza że mogłabyś mnie zabić małym palcem.

– I popsuć sobie tak miły wieczór? – sprzeciwiła się z drwiną w głosie.

Z twarzy Mara zniknął uśmiech, ustępując miejsca wahaniu. Żarty, którymi się przerzucali, mogły się wydawać nieszkodliwe, podkreśliły jednak jedyną dzielącą ich różnicę, której nie sposób było zatrzeć. Na niemal minutę zapadła krępująca cisza.

– Czy mogę ci coś wyznać? – zapytał.

Skinęła głową.

– Nigdy się nie pojedynkowałem. Raz mnie wyzwano, z powodu jakiejś głupiej kłótni po pijanemu, ale udało mi się przeciągnąć sprawę i nie zjawiłem się następnego dnia. Dlatego mam dokładnie tyle samo jadeitu co w chwili, gdy ukończyłem akademię. – Maro przystanął na moment i zwrócił się w jej stronę. Na jego widocznej w świetle latarń twarzy malowała się niepewność. – Nie uważam się za tchórza, ale... nie jestem klanowym lojalistą i nigdy nie zależało mi na zdobywaniu zieleni.

Gdyby któryś z braci Shae uciekł przed pojedyńkiem, dziadek uznałby to za hańbę i kazał go wychłostać. Rzecz jasna, nigdy nie okazało się to konieczne. Hila bito za prowokowanie niepotrzebnych pojedynków częściej niż za cokolwiek innego. W większości krajów pojedynki (jeśli można było tak określić sytuację, w której dwóch mężczyzn strzelało do siebie z dużej odległości) dawno już wyszły z mody albo ich zakazano, ale na Kekonie sprawy miały się inaczej. Zwycięstwo w walce nadal pozostawało najbardziej prestiżowym sposobem zdobycia jadeitu, który nierozłącznie wiązał się ze statusem społecznym. Od mężczyzny będącego zieloną kością oczekiwano, że będzie się pojedynkował, a nawet ci, którzy nimi nie byli, często rozstrzygali spory w ten sposób.

– Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek zakocham się w kobiecie tak zielonej jak ty. Pochodzącej z rodu Kaulów, ni mniej, ni więcej. Myślę, że mężczyźni ubiegają się o jadeit przynajmniej w połowie po to, by zaimponować kobietom, i to oczywiście, że pod tym względem nie mam szans. –

Roześmiał się cicho. Zbliżył się o krok, zmniejszając dystans między nimi, i spuścił wzrok. – Ale tak się stało. Zakochałem się w tobie. Mimo że wiem, że twoja rodzina może nie zaakceptować kogoś takiego jak ja.

Wyobraziła sobie, jak wyglądałaby reakcja Hila, gdyby usłyszał, jak będący zieloną kością mężczyzna wyznaje, że nigdy się nie pojedynkował, by bronić swego jadeitu albo by zdobyć go więcej – niedowierzanie, zdumienie i pogarda. Nagle zalała ją fala dumy i opiekuńczych uczuć.

– Moim zdaniem być wiernym temu, kim się jest, to przeciwieństwo tchórzostwa.

Pochyliła się i go pocałowała.

Ich rozgrzane usta spotkały się nagle. Shae zadrżała, czując jak przez jadeitową aurę Mara przebiega fala przyjemnego zaskoczenia. Potem wypełniła ją roziskrzona żądza. W pępku Shae również rozgorzało pożądanie, szokująco silne i natarczywe. Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio poszła do łóżka z mężczyzną. Nie zdarzyło się to ani razu po tym, jak dwa lata temu zerwała z Jeraldem i wróciła do Kekonu. Złapała Mara za klapy marynarki i wspięła się na palce, by pocałować go mocniej i bardziej natarczywie. Objął jej głowę od tyłu, wsuwając palce we włosy, a drugą ręką otoczył talię, przyciągając Shae do siebie. Między nimi płonęło pożądanie.

Odsunęła się z gwałtownym westchnieniem. Nagle poczuła niepokój, że ktoś ich zobaczy. Tutaj, na terytorium klanu Bez Szczytów, klanowe palce i informatorzy zawsze byli blisko. Już o północy do Hila mogła dotrzeć wiadomość, że widziano prognostyczkę całującą się z nieznanym mężczyzną na rogu ulicy.

– Weźmy taksówkę – wszeptła i podeszła do krawężnika, by zatrzymać pierwszą, która się zjawi.

Na tylnym siedzeniu taksówki splotła nogi z jego nogami. Pochylił głowę w jej stronę i zaczął namiętnie całować jej ucho oraz linię żuchwy.

– Chcesz, żebyśmy pojechali do ciebie?

Dom prognostyka nadal poddawano renowacji, a Shae nie chciała wprowadzać Mara do głównego budynku, gdzie mogłaby być zmuszona przedstawić go bratu.

– Nie – odpowiedziała, wsuwając dłonie pod jego marynarkę. Poczwała żar jego umięśnionych pleców. – Lepiej będzie do ciebie.

Maro mieszkał w trzypiętrowym, pozbawionym windy budynku w historycznej części Wioski Sotto, gdzie pełno było pracowni artystycznych, sklepów z różnaitościami oraz salonów tatuażu, urozmaiczonych gdzieśgdzie nowymi restauracjami oraz plombami budowlanymi. Taksówkarz wysadził ich przed wejściem i weszli na górę, trzymając się za ręce. Na podeście znowu zaczęli się całować. Maro dwukrotnie bez powodzenia próbował wsunąć klucz w zamek. Zaklął, roześmiał się i wreszcie udało mu się otworzyć drzwi. Mieszkanie było duże i panował w nim większy porządek, niż się spodziewała. Nie ulegało wątpliwości, że należy ono do nieznanego intelektualisty. Nie dostrzegła żadnych dekoracji, ale pełno

w nim było półek na książki, czasopisma oraz kasety wideo. Omiotła to wszystko pobieżnym spojrzeniem, nie tracąc czasu na dokładniejsze oględziny. Dotarli do sypialni i ściągnęli ubrania z siebie nawzajem, rzucając je na podłogę. Jedną ręką dotknęła krzyża Mara, a w drugą ujęła jego mosznę. Drażniła sutkami jego pierś. Jego włosy lekko drapały jej ogromnie wrażliwą skórę, wywołując drżenie, podobnie jak jadeitowe aury, mieszające się i łączące ze sobą niczym ciepło ich ciał.

Osunęli się na łóżko. Wsunęła dłoń mężczyzny między swoje nogi. Jednocześnie zaczęła głaskać jego penisa, a po chwili pochyliła się, by wziąć go w usta. Dobrze smakował. Był czysty, ale miał ten trudny do opisania męski odór. Odsunęła się, gdy zaczął dyszeć i poruszać rytmicznie biodrami.

– Masz... – zaczęła, ale wręczył jej prezerwatywę tak szybko, że aż się roześmiała. Otworzyła opakowanie i założyła mu ją, czując jego niecierpliwe drżenie.

– Najpierw doprowadź mnie ustami – wyszeptała i wcisnęła jego barki w swe biodra.

Zabrał się do roboty z wielkim zapałem i sporą biegłością, a gdy Shae poczuła, że wszystkie mięśnie jej ciała znalazły się na progu gwałtownego skurczu, rozsunęła szeroko nogi w geście zaproszenia. Kiedy w nią wszedł, westchnęła głośno i złapała go za pośladki. Starła się przedłużyć rozkoszną wspinaczkę, ale wystarczyło kilka mocnych pchnięć, by przekroczyła granicę. Drżała spazmatycznie, zaciskając nogi wokół jego pasa. Fala orgazmu przepłynęła przez nią i wniknęła w mężczyznę, skłaniając go do zdwojenia wysiłków. Po paru minutach jego jadeitowa aura osiągnęła szczyt razem z nim. Maro krzyknął, odrzucając głowę do tyłu i wyginając plecy.

Oboje osunęli się bezwładnie. Maro pocałował bark Shae, stoczył się z niej i ją objął.

– Dziękuję – wyszeptał w jej szyję. Jego ciepły oddech muskał jej skórę.

Gdy obudziła się rankiem, czuła się wypoczęta i myślała jasno, jakby seks oczyścił cały jej organizm niczym długo spóźniony tajfun. Maro nadal spał. Gdy spojrzała na jego sylwetkę, pomyślała, że wygląda pięknie, choć jest zupełnie nagi. Miała na sobie cały swój jadeit – naszyjnik, bransoletki, kolczyki i łańcuszki na nogi. W porównaniu z nagością Mara wyglądało to na nieprzyzwoitą przesadę. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, żeby to wszystko zdjąć.

Zastanawiała się, czy nie powinna zostać dłużej. Zasnąć, potem znowu się z nim kochać i wyjść do Wioski Sotto na brunch. Wstała jednak, wytarła się ręcznikiem z łazienki, pozbierała rozrzucone ubranie i je włożyła. Przez zasunięte zasłony do pokoju wnikało słabe światło słońca, pozwalając zauważyć rzeczy, które wczoraj umknęły jej uwagi. Zdjęcia z podróży i odbitki starych map wiszące na ścianach. Ryży kot wygrzewający się na parapecie. Na komodzie oprawione w ramkę zdjęcia dwóch dziewczynek w wieku około sześciu i czterech lat.

– Moje siostrzenice – powiedział zaspanym głosem Maro na jej niewypowiedziane pytanie. – To zdjęcie z zeszłego roku. Mam nowsze, ale ich nie oprawiłem.

Shae usiadła na skraju łóżka i położyła dłoń na nodze Mara.

– Było wspaniale.

Wyciągnął rękę i złapał ją za nadgarstek.

– Musisz już iść?

Skinęła głową i wstała z niechęcią.

– Będę musiała przekonać do czegoś filara.

\* \* \*

Shae znalazła brata w sali treningowej za głównym budynkiem. Właśnie kończył poranną sesję z mistrzem Aidem. Postrzegła przyśpieszone bicie jego serca, wysilony oddech i zmęczenie, nim jeszcze otworzyła drzwi. Hilo miał na oczach ciasno zawiązaną opaskę i polegał tylko na zmyśle Postrzegania. Machał trzymanym w dłoni karambitem tak szybko, że nóż zmieniał się w zamazaną plamę. Uderzał w osłony z utwardzanej skóry chroniące tułów i ramiona mistrza. Aido poruszał się zdumiewająco szybko jak na człowieka o posiwiałych włosach. Raz po raz wyprowadzał ataki własnym nożem, poddając próbie Stal filaru.

Przed laty Aido był nauczycielem w Szkole Wie Lona, ale popadł w konflikt z wielkim instruktorem i został prywatnym nauczycielem jadeitowych dyscyplin. Podobnie jak noszący zieleń lekarze, nauczyciele nie byli zobowiązani do wierności wobec konkretnego klanu. Aido uczył kiedyś członków obu wielkich klanów, ale w ostatnich czasach ograniczał się do wysoko postawionych zielonych kości z klanu Bez Szczytów, żeby uniknąć potencjalnego konfliktu interesów. Na nauczaniu jadeitowych dyscyplin można było nieźle zarobić. Zielone kości pragnące zrobić karierę w klanie

po stronie rogu nieźle płaciły za możliwość dalszego doskonalenia umiejętności po zakończeniu szkoły, a nawet ludziom pozbawionym podobnych ambicji radzono, by nie zapominali o ćwiczeniach, bo w przeciwnym razie staną się słabi i powolni, co uczyni ich potencjalnymi celami dla rywali. Utrata biegłości w jadeitowych dyscyplinach przychodziła bardzo łatwo – powoli i niepostrzeżenie jak przybieranie na wadze.

Zadzwoił minutnik ustawiony na stole.

– Znacznie lepiej – stwierdził mistrz Aido, opuszczając ręce. – Odzyskałeś pewność w posługiwaniu się nożem i już nie spowalnia cię nadużywanie Stali.

Hilo nie sprawiał wrażenia zadowolonego. Zdarł opaskę z oczu i podszedł do dystrybutora wody.

– Witaj, Kaul Shae-jen – rzucił Aido i skinął głową, mijając ją po drodze do wyjścia. – Ty również powinnaś się umówić ze mną na sesję. Mój kalendarz na ten miesiąc szybko się zapełnia.

– Z pewnością to zrobię, Aido-jen – zapewniła Shae.

Hilo wypił wodę z papierowego kubka i wyrzucił go do kosza. Wytarł kark ręcznikiem, spojrzął na stojącą przy drzwiach siostrę i wsparł się ciężko dłońmi na ladzie. Sprawiał wrażenie przygnębionego.

– Nie jestem pewien, czy jeszcze kiedyś będę taki jak przedtem.

Minęło wiele miesięcy, nim odzyskał zdrowie po ranach odniesionych w zeszłym roku. Mimo że czasu i uwagi filaru wymagało wiele różnych spraw, miał obsesję na punkcie odzyskania dawnej sprawności bojowej. Shae wiedziała, że poza panem Aido korzysta też z usług dwóch innych nauczycieli. Podejrzewała, że skupienie się na umiejętności walki było dla niego sposobem na unikanie tych obowiązków filaru, które były dla niego nudne bądź sprawiały mu trudności. Bojowa biegłość zielonej kości była jedynym, co rozumiał i nad czym mógł zachować kontrolę.

– Nie musisz już być najlepszy w walce na noże – zauważyła. – Masz ludzi, którzy będą walczyli za ciebie.

– Silni nie walczą za słabych – sprzeciwił się Hilo i ominął ją, idąc ku drzwiom. – Jadłaś śniadanie?

Usiedli za stołem na patio i Kyanla przyniosła im jajka na parze w rosole oraz tacę z ciastkami. Shae opowiedziała bratu o rozmowie z Ree Turą i o propozycji oficjalnego spotkania wysuniętej przez Ayt.

– Chcą przedyskutować warunki zawarcia rozejmu.

– Rozejmu. – Hilo skrzywił się. – Ta suka jest wyjątkowo bezczelna.



Shae wzięła sobie bułkę i rozerwała ją na pół. Przypomniała sobie słowa, które usłyszała wczoraj od Mara, gdy próbował dodać jej pewności siebie. „Kierujesz teraz klanem w takim samym stopniu jak twój brat. Któż mógłby coś zmienić, jeśli nie ty?”.

– Uważam, że powinniśmy się zgodzić – oznajmiła.

Ku jej zaskoczeniu Hilo nie zareagował natychmiast. Przez kilka sekund poruszał szczękami.

– Dlaczego? – zapytał wreszcie.

– Myślę, że wiesz dlaczego, Hilo. Osiągnęliśmy impas. Tar sprowokował kolejną rundę walk, ale ona już mija. Prasa wyrażała się o niej szczególnie ostro, ponieważ wszyscy wiedzą, że w tym punkcie wojna nie ma już żadnego sensu. Półtora roku otwartego konfliktu osłabiło oba klany. Żadna ze stron nie jest wystarczająco silna, by zwyciężyć.

– W zeszłym roku Ayt zrobiła, co tylko mogła, żeby nas zniszczyć, ale bez powodzenia – warknął Hilo. – A teraz płaszczy się przed nami i błaga o rozejm? Czemu mielibyśmy się zgodzić, skoro mamy przewagę?

– Wcale nie mamy przewagi – sprzeciwiła się Shae. – Nawet gdybyśmy zdołali pokonać Górę, brakuje nam zasobów i ludzi, żeby zapanować nad całym miastem. Sam mówiłeś, że ta wojna to dar losu dla przestępców i przemytników, a sytuacja nie przestanie się pogarszać, dopóki oba wielkie klany będą traciły ludzi. Jak długo twoim zdaniem zdołamy toczyć walkę o panowanie nad ulicami?

Zbyt agresywnie broniła swojego zdania. Brat obrzucił ją złowrogim spojrzeniem.

– Sądząc z tego, co słyszę, być może dłużej, niż ty zdołasz utrzymać pozycję na Statkowej.

Shae skrzywiła się, ale nie odwróciła wzroku.

Hilo potarł oczy dłonią.

– Nie jestem głupi, Shae – podjął łagodniejszym tonem. – Czasami czytam raporty, które mi przysyłasz. Wydobywanie jadeitu przerwano, liczba odwiedzających nas turystów spada, wydatki na prowadzenie wojny są wysokie, ludzie się niepokoją. Rozumiem to wszystko. Ale czy rzeczywiście potrafisz uwierzyć, że Ayt zmieniła się tak nagle i pragnie teraz żyć z nami w pokoju?

Shae oplotła palce wokół czarki z ciepłym rosołem. Świetnie pamiętała słowa, które usłyszała od filar Góry w zeszłym roku, jej niezachwianą pewność, że zniszczy klan Bez Szczytów.

– Nie – przyznała. – Ayt postawiła wszystko na swą wizję rządów jednego klanu.

– W takim razie rozejm się nie utrzyma – skwitował Hilo. – Góra po prostu wykorzysta go, żeby się wzmocnić, a potem uderzy na nas jeszcze silniej.

Skinęła z namysłem głową.

– Ale to samo dotyczy nas – zauważyła. – Musimy odzyskać siły i stworzyć długoterminowe plany. Możemy rozpocząć negocjacje, nie zapominając, że rozmawiamy z wrogami.

Jej brat rozparł się niedbale na krześle i prychnął pogardliwie.

– Ludzie mają kurze mózgi. Przed rokiem opinia publiczna była po naszej stronie. Oskarżano Górę o zagarnianie jadeitu i rozpoczęcie wojny. A teraz wszyscy chcą, żebyśmy zwrócili Ayt klucz do KSJ i uścisnęli jej dłoń na zgodę.

– Większość ludzi nie jest zielonymi kośćmi – przypomniała mu Shae. –

To nie jest dla nich osobista sprawa. Martwią się spowolnieniem gospodarki, wzrostem przestępczości i przemytu, a przede wszystkim możliwością, że konflikt z separatystami w Oortoko przerodzi się w wojnę między Espenią a Ygutanem, tutaj, na wschodnim Amaryku. Dwa najpotężniejsze mocarstwa na świecie mogą otoczyć naszą małą wyspę, jedyne źródło jadeitu na świecie. – Przyjrzała się zasepionej twarzy brata. – Dlatego właśnie ludzie nie dbają już o swary między klanami. Nie chodzi im tylko o to, żebyśmy zaprzestali walk. Pragną, byśmy współdziałali ze sobą w obronie interesów kraju. Jeśli tego nie zrobimy, możemy zgubić nie tylko klany, lecz również cały Kekon. Dlatego musimy się zgodzić na spotkanie z Górą. Wiesz, że tego właśnie pragnąłby od nas Lan – dodała nieco ciszej.

– Lan pragnął bardzo wielu rzeczy, których nie dostał.

Hilo umilkł. Poranki były już ciepłe, a wraz z nadejściem wiosny peonie i azalie wypełniły ogród różem oraz bielą. Shae czekała. W minionym roku często siedziała tu razem z bratem – dyskutowali ze sobą, kłócili się zawzięcie albo milczeli – i nauczyła się rozpoznawać szczególny charakter, jaki przybierała jego aura, gdy siostrze wreszcie udało się go przekonać. Gdyby zbyt mocno naciskała na niego opartymi na faktach argumentami, zdenerwowałby się tylko i próbował bronić swego stanowiska. Potrzebował autentycznych i osobistych powodów, by usprawiedliwić swą decyzję.

– Muszę o tym pomówić z Kehnem – stwierdził wreszcie. Zjadł resztę bułki i otarł usta. – Powiedz Ree, że zgadzamy się na rozmowy, ale ustal

termin po moim powrocie z Uwiów.

# ROZDZIAŁ 8

## SPRAWY RODZINNE

Kaul Maik Wen wpadła do sypialni, gdzie jej mąż pakował się przed swoją wyprawą.

– Hilo – wydyszała. Nie chciała okazywać niepokoju, ale z pewnością Postrzegł jej ekscytację, bo opuścił portfel i karambit na łóżko, a potem wziął ją w ramiona.

– Co się stało? – zapytał. – Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – zapewniła. Szczerze mówiąc, ciągle czuła się zmęczona i dziś rano ledwie zdołała utrzymać śniadanie w żołądku, ale nie to skłoniło ją do wbiegnięcia po schodach na piętro. Dłoń, w której trzymała kwadratową kopertę oraz dokumenty, drżała, gdy wręczała je Hilowi. – Znalazłam to w papierach, które kazałeś mi wynieść z gabinetu.

Po wprowadzeniu się do głównego budynku Hilo i Shae przez długi czas zostawiali sypialnię i gabinet Lana nietknięte. Wen wzięła na siebie zadanie zmiany tej sytuacji. Bardzo lubiła starszego brata męża i szczerze żałowała, że nigdy nie pozna go jako szwagra, ale umarli niczego już nie potrzebowali. Lepiej zadbać o tych, którzy nadal żyją. Kazała wynieść meble z sypialni i pomalować ściany. Zamierzała zrobić z niej pokój dla dzieci. Chcąc zachęcić Hila, by wprowadził zmiany również w gabinecie, kazała zapakować wszystkie papiery oraz książki Lana do pudeł i również je wynieść. Jej mąż z początku się sprzeciwiał.

– Zostaw wszystko na miejscu – mówił. – I tak nie będę korzystał z tego pokoju.

W końcu jednak zrozumiał, że trzeba to zrobić, i pozwolił żonie zająć się tym problemem. Poprosił ją tylko, by sprawdziła, czy w pudłach nie ma czegoś ważnego. Dziś rano zajęła się tym zadaniem i znalazła zamkniętą kopertę.

Została zaadresowana do Lana i wysłano ją dwa tygodnie przed jego śmiercią. Adresem zwrotnym była skrytka pocztowa w mieście Lybon, w Stepenlandzie. Wręczyła mężowi dwie gęsto zapisane kartki, a także zdjęcie sześciomiesięcznego niemowlęcia.

– Co to jest? – zapytał.

– Twój bratanek – odpowiedziała Wen. – Eyni była w ciąży, gdy opuściła Kekon. Wskazała na początek listu, zwracając jego uwagę na tekst.

*Nie potrafię powiedzieć Ci tego w żaden inny sposób. To Twój syn. Wybacz, że nie powiedziałam Ci o tym wcześniej, ale nie byłam pewna, kto jest ojcem. Gdy już się urodził, to stało się oczywiste. Ma nos i oczy po Tobie, a nawet wyraz twarzy... wygląd Kaulów. Wiesz, co mam na myśli. Ma na imię Nikolas i jest pięknym, zdrowym dzieckiem.*

Hilo przesunął z niedowierzaniem wzrokiem po reszcie tekstu. Wen już go czytała i знаła zakończenie.

*Wiem, że to dla Ciebie szok. Nie jestem pewna, co powinnam teraz zrobić. Mimo że nasz związek okazał się nieudany, chcę, żeby Niko znał swego biologicznego ojca. Może powinniśmy porozmawiać o moim powrocie do Kekonu. Nie miałabym do Ciebie pretensji, gdybyś odpowiedział, że nie chcesz mieć już ze mną nic wspólnego, ale nadal mnie obchodzisz. Odpisz, proszę.*

Hilo odłożył list i przyjrzał się zdjęciu.

– Nie widzę podobieństwa, o którym pisze – przyznał po chwili.

Wyrwała mu fotografię.

– Jesteś ślepy – skwitowała. Dziecko na zdjęciu przypominało wszystkie niemowlęta – okrągła buzia, wielkie oczy, miękkość i słodycz – ale nie sposób było wątpić, że to syn Kaul Lana. Miała ochotę nakrzyczeć na męża.  
– Musisz napisać do Eyni.

Hilo skrzywił się i usiadł na skraju łóżka. Nikt w rodzinie nie utrzymywał kontaktów z byłą żoną jego brata od chwili jej wyjazdu. Z pewnością jednak słyszała o śmierci Lana.

– Nie chciałyby listu ode mnie – odpowiedział. – Nigdy nie lubiliśmy się z Eyni. Co miałbym jej teraz powiedzieć?

Wen przykucnęła u kolan męża i wpatrzyła się w jego oczy. Wiedziała, że Hilo nie przepadał za żoną starszego brata, ale co to miało za znaczenie? Jego osobiste uczucia wobec Eyni liczyły się znacznie mniej niż los dziecka. Gdy tylko zobaczyła zdjęcie Nikolasa, jej serce wypełniło ciepło.

– Napisz jej, że może wrócić do Janloonu – odpowiedziała. – Pragnie tego, ale potrzebuje pozwolenia filaru.

– Będzie chciała sprowadzić ze sobą tego cudzoziemca, z którym zdradzała Lana – sprzeciwił się ostrym tonem Hilo.

– Jestem pewna, że Lan odłożyłby na bok kwestie honoru i pozwoliłby im wrócić, gdyby to oznaczało, że jego syn będzie mógł zamieszkać na Kekonie. – Wen położyła list i zdjęcie z powrotem na jego kolanach. – Napisz do Eyni i wyjaśnij, że dopiero teraz znaleźliśmy list. Zapewnij, że wybaczylimy jej i może wrócić do Janloonu i wychowywać tu syna, żeby znał swoją rodzinę. Niko ma już teraz jakieś dwa lata. To nie jest w porządku, żeby mieszkał daleko od domu i wychowywał się w bezjadeditowej kulturze, otoczony przez cudzoziemców.

Filar potarł oczy dłonią, a potem skinął głową.

– Masz rację – zgodził się. – Nie mógłbym uznać Eyni za siostrę, ale dla dobra dziecka będę tolerował ją i tę męską kurwę, z którą uciekła. – Złożył list i schował go do koperty, ale nadal patrzył na zdjęcie, najwyraźniej próbując się pogodzić z myślą, że to dziecko to jego bratanek, o którego istnieniu dotąd nie wiedział. – Może to ty powinnaś do niej napisać – zasugerował.

Wen natychmiast sobie uświadomiła, że to lepszy pomysł.

– Oczywiście – zgodziła się i wstała. – Łatwiej jej będzie przyjąć zapewnienia od kobiety. Napiszę do niej dzisiaj i poproszę, żeby nas odwiedziła i pokazała nam dziecko.

To wyraźnie zachęciło Hila. Wyglądało to tak, jakby chmury nagle się rozstały i na ziemię padły promienie słońca. Rozciągnął usta w swym krzywym, chłopięcym uśmiechu, którego Wen nie potrafiła uchwycić na zdjęciu ani na rysunku pomimo wielokrotnie podejmowanych prób. Oddał jej list, ale zdjęcie schował do kieszeni koszuli.

– Wspomnij w liście, że jestem gotowy zapomnieć o przeszłości. Kiedy wróci do Janloonu, klan będzie jej pomagał. Znajdziemy dla niej dom, pracę, wszystko, czego będzie potrzebowała. Tobie uwierzy łatwiej niż mnie. I oczywiście syna Lana będę traktował jak własnego.

Wen zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go z wdzięczności. Jej mąż potrafił być krótkowzroczny i uparty, czasami kurczowo trzymał się zasad albo nie chciał zapomnieć o osobistych urazach, nawet gdy kłóciło się to z rozsądkiem, posiadał jednak pewną cechę bardzo wartościową u wszystkich, a szczególnie u przywódcy klanu. Potrafił zawsze stawiać innych przed sobą, bez względu na opinię ogółu oraz osobiste koszty.

Objął żonę w talii i dotknął płaską dłonią jej brzucha.

– Kiedy będziemy mogli powiedzieć innym? Po pogrzebie dziadka i wszystkim, co się ostatnio wydarzyło, ludziom przydałyby się jakieś dobre wieści.

– Gdy tylko wrócisz – odpowiedziała Wen. Nagle przeszło ją ukłucie strachu. Jej słowa mogły sprowadzić pecha na jego podróż. Ucisnęła męża mocno.

– Martwię się – wyznała. – Myślę, że twoja siostra ma rację. Nie warto podejmować takiego ryzyka.

– Będę miał ze sobą Tara – rzucił od niechcienia Hilo.

– To znaczy, że będę musiała bać się o was obu.

Hilo objął ją w talii.

– Góra pragnie mojej śmierci. W Janloonie niebezpieczeństwo grozi mi każdego dnia. Czemu miałabyś szczególnie obawiać się tej podróży?

– Ayt proponuje rozejm, ponieważ w tej chwili nie może sobie pozwolić na to, żeby cię zabić – odpowiedziała Wen. – Gdyby to zrobiła, doprowadziłaby do dalszej eskalacji przemocy, a brak jej zarówno wojowników, jak i poparcia opinii publicznej, żeby z tym sobie poradzić. Tutaj jesteś bezpieczniejszy.

– Widzę, że rozmawiałś z Shae – stwierdził jej brat z lekkim rozbawieniem i irytacją. – Obie najwyraźniej przemyślałyście tę sprawę, ale ja też się nad tym zastanawiałem. – Hilo wstał i zapakował do torby ubranie na zmianę oraz przybory toaletowe. – Zapunyo to przemytnik. Jego siła opiera się na tym, że nie przyciąga uwagi. Opłaca rząd i policję na Uwiwach, żeby móc spokojnie kierować swoją organizacją. Myślisz, że gdyby chciał się mnie pozbyć, zadawałby sobie trud, żeby mnie zwabić na swój teren? Gdyby uwiwański przestępca zamordował kekońskiego obywatela, filar klanu zielonych kości, wiadomość obiegałaby cały świat. Przestałby być bezkarny. Rządy obu krajów dopadłyby go prędzej czy później. Nie zaryzykuje wszystkiego, co udało mu się zbudować.

Wen nie próbowała z nim dyskutować, ale niepokój jej nie opuszczał. Hilo schował portfel i paszport. Była przyzwyczajona do tego, że ją zostawiają. W dzieciństwie stała przed wejściem do Akademii Kaul Dushurona, patrząc, jak jej bracia idą tam, dokąd ona nie mogła pójść. Widziała, jak wyrosli na potężnych mężczyzn, noszących jadeit i naznaczonych bliznami, szanowanych przez klan, który kiedyś nimi gardził.

Odniosła też jednak własne zwycięstwa. Kiedy miała czternaście lat, jej bracia przyprowadzili do domu kolegę. To zdarzało się bardzo rzadko. Nie wielu ludzi chciało odwiedzać Maików. Kaul Hilo miał szesnaście lat, był w takim samym wieku jak Tar, ale już mówiono, że jest najbardziej wojowniczym z wnuków Płomienia i pewnego dnia na pewno zostanie rogiem. Tego dnia, i wiele razy w przyszłości, Hilo z chęcią jadł kolację przy ich skromnym stole w Papai, a nie we wspaniałej rezydencji swej rodziny na Wzgórzu Pałacowym. Okazał szacunek ich matce i przerzucał się słowami z Kehnem i Tarem, jakby byli jego braćmi. Gdy matka strzeliła palcami, rozkazując Wen nalać herbaty gościowi, dziewczyna nieśmiało wykonała polecenie. Większość ludzi unikała patrzenia na nią dłużej, niż to było konieczne, i pociągała się za płatki uszu, by odegnąć pecha kamiennookiej. Hilo odwrócił się, by jej podziękować, lecz nagle znieruchomiał, na dłuższy moment zatrzymując spojrzenie na jej twarzy. Potem się uśmiechnął i ponownie zajął się posiłkiem oraz rozmową z jej braćmi.

Wen skończyła nalewać herbatę i wróciła na miejsce. Trzymała ręce na kolanach i nie odrywała wzroku od talerza. Jej twarz płonęła gorączkową pewnością, jakiej nie czuła nigdy wcześniej. *To jest chłopak, za którego wyjdę.*

Zdawała sobie sprawę, że naprawdę ma teraz za co dziękować. Nawet świadomość, że jest kamiennooką, nie dręczyła jej już tak bardzo. Dzięki temu mogła być użyteczna dla prognostyczki, pomagać jej w wojnie z wrogami klanu Bez Szczytów. Miała też nadzieję, że wkrótce czeka ją więcej radości. Mimo to wrażenie, że wszyscy ją opuszczają – nieprzyjemne poczucie bezradności i resentyment przypominające ucisk w żołądku – nadal było trudne do zniesienia.

– Nie lekceważ go – szepnęła. – Obiecuj, że będziesz ostrożny.

Hilo wziął schowany w pochwie karambit i przypiął go sobie do pasa.

– Obiecuję. – Spojrzał na zegarek, podniósł torbę i krótko pocałował Wen w usta. – Będę ojcem. Wiem, że to wszystko zmienia.



# ROZDZIAŁ 9

## UWIWANIN I JEGO PÓŁKOŚCI

Zabierający dziesięciu pasażerów turbośmigłowiec potrzebował niespełna dwóch godzin, by dotrzeć z Kekonu na Tialuhię, największą z trzynastu wysp Uwiwa. Gdy Hilo opuszczał Janloon, było tam pochmurno i deszczowo, a po wyjściu z samolotu spotkały go tropikalny upał i oślepiający blask słońca. Przed lotniskiem czekały na nich dwa białe wynajęte samochody z szoferami – filar poprosił przedtem Tara, by je załatwił – a także komitet powitalny złożony z dziesięciu uzbrojonych mężczyzn. O nich nie prosił, ale nie zdziwił się na ich widok.

Tar i jego człowiek Doun pierwsi wysiedli z samolotu, po czym otoczyli Hila z obu stron, gdy ten również zszedł po schodach na dół. Jeden z dziesięciu nieznajomych podszedł bliżej, by ich przywitać. Był wysoki i na pierwszy rzut oka z twarzy nie przypominał Uwiwanina, trudno jednak było to ocenić z uwagi na ciemną opaleniznę. Na jego szyi wisiał gruby złoty łańcuch z pięcioma zielonymi klejnotami.

– Kaul Hiloshudon, witaj na Tialuhii – rzekł. Całkiem niezłe mówił po kekońsku. – Pas Zapunyo przysłał nas, byśmy cię przywitali i zapewnili, że bezpiecznie dotrzesz do jego rezydencji, w której będziesz mile widzianym gościem.

Hilo przyjrzał się uważnie mężczyźnie, po czym przeniósł wzrok na jego stojących z tyłu towarzyszy. Wszyscy byli podobnie ubrani – spodnie khaki i jedwabne koszule, ciemne okulary i zielone klejnoty wprawione w ciężkie łańcuchy, masywne pierścienie bądź metalowe bransolety. Stłumił drwiący uśmieszek.

– Pojedziemy własnymi samochodami – oznajmił. – Możecie nas eskortować.

Oprócz Maika Tara i Douna Hilo przywiózł ze sobą również trzech ludzi Kehna – Juena, który był pierwszą pięścią klanu, oraz dwa palce, Vina

i Lotta. To był starannie zaplanowany wybór. Juen był jednym z najlepszych wojowników w klanie i na jego umiejętności można było liczyć, gdyby coś poszło źle, lecz zarazem śledził wydarzenia na polu walki najdokładniej ze wszystkich członków klanu Bez Szczytów. Hilo chciał wykorzystać okazję, by porozmawiać z nim w samolocie i dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja na ulicach, a także usłyszeć jego opinię na temat tego, jak sprawdza się Kehn jako pięść. Vin był palcem już od dwóch i pół roku i wkrótce miał zostać awansowany na pięść. Hilo słyszał, że jest on jednym z najbardziej utalentowanych członków klanu Bez Szczytów, jeśli chodzi o Postrzeganie. Lott z kolei był tylko młodszym palcem i ukończył Akademię w zeszłym roku, był też jednak synem jednego z czołowych pięści klanu, zamordowanego przez Górę w szczytowym momencie wojny. Hilo interesował się przebiegiem kariery Lotta i zamierzał wykorzystać tę podróż, by dokładniej ocenić jego potencjał.

Wsiadł do jednego z wynajętych samochodów z Tarem i Lottem, a drugi wysłał przodem z Juenem, Dounem oraz Vinem. Ludzie Zapunya wsiedli do trzech identycznych srebrnych sedanów. Jeden ruszył na czele, a dwa pozostałe zamykały kolumnę. Spektakularny konwój eskortował ich przez trzydzieści minut. Najpierw jechali długą, płaską autostradą, mijając plantacje trzciny cukrowej, herbaty oraz owoców, ciągnące się po obu stronach, następnie zaś zbieżyli w krętą drogę o kiepskiej nawierzchni, wijącą się pośród wzgórz, na których roiło się od kóz, przydrożnych straganów z wyrobami rękodzielniczymi oraz ogorzałych od słońca robotników w szerokich słomianych kapeluszach. Niektórzy z nich witali samochody szczerbatymi uśmiechami i machaniem rąk, a gdy ich minęły, długo śledzili je wzrokiem. Hilo pomyślał, że Uwiwanie robią wrażenie sprytnego ludu, który jest całkowicie zależny od bogatych i potężnych cudzoziemców i nie nawidzi siebie z tego powodu. Za dnia mogli być najprzyjaźniejszymi ludźmi na świecie, by nocą ukraść ci portfel i poderżnąć gardło.

Tu i ówdzie widział wyblakłe znaki drogowe z szotarskimi napisami. Nawet na nowszych, gdzie napisy były po uwiwańsku, dostrzegał wiele słów zapożyczonych z szotarskiego. Większość Uwiwan nosiła też jednowyrazowe nazwiska – szotarskie lub uformowane na szotarską modłę. Podobnie jak Kekon, Uwiwy znalazły się pod okupacją Cesarstwa Szotaru przed wybuchem wojny wielu narodów. Jednakże – w przeciwieństwie do Kekonu – na całym archipelagu nie znalazłoby się ani kawałka jadeitu. Nie było tu też zielonych kości, które mogłyby rozpocząć wieloletnią rebelię

przeciw okupantom. Opór szybko stłumiono i przez siedemdziesiąt lat Szotar rządził tu żelazną ręką. Po porażce w wojnie wielu narodów Cesarstwo było zmuszone zwrócić Uwiwy rdzennym mieszkańcom, ale niepodległość przyniosła w najlepszym razie mieszane rezultaty. Zubożałe państwo słynęło na świecie z upraw rynkowych oraz pięknych plaż przyciągających turystów. Wielką rolę odgrywał również przemysł jadeitu.

– Kaul-jen – odezwał się w pewnej chwili Lott. – Kim są ci ludzie pracujący dla Zapunya?

– To *barukani* – wyjaśnił Hilo. – Szotarscy gangsterzy.

– Noszą mnóstwo blagierskiego jadeitu. Jakby obrabowali sklep kostiumowy – zauważył pogardliwie Tar.

– Nie bądź zbyt pewny siebie – warknął Hilo. – Tam, dokąd jedziemy, będzie ich kilku na każdego z nas. Wydaje ci się, że jeśli niegustownie się ubierają, to znaczy, że nie są niebezpieczni?

Nadal był niezadowolony z Tara, który ostatnio wykazał się nieostrożnością i nie udało mu się odnaleźć zabójcy Lana ani odzyskać skradzionego jadeitu. Filarowy umilkł, a jego aura zrobiła się szorstka.

Samochody skręciły w wysypaną żwirem drogę, która pięła się na szczyt wzgórza i opadała w dolinę położoną między dwoma wzniesieniami. Spod kół trysnęły tumany pyłu. Konwój okrążył sztuczne jezioro otoczone ogrodem pełnym drzew liściastych i kamiennych uwiwańskich bożków ustawionych między tropikalnymi kwiatami. Na końcu drogi, po drugiej stronie jeziora, znajdowała się czerwona piętrowa rezydencja w starym szotarskim stylu kolonialnym – wielkie kwadratowe okna, kryty ceglana dachówką dach ze szczytami, szeroka weranda wsparta na kamiennych kolumnach oraz parterowe skrzydła odchodzące od centralnej budowli. Samochody zatrzymały się przed wejściem.

Gdy się zbliżali, Hilo dostrzegł wieże strażnicze, na których stali uzbrojeni w karabiny wartownicy. Naliczył też wielu strażników w samym domu, na dodatek do tych, którzy eskortowali ich z lotniska. Wsiadając z samochodu, zauważył zamki elektroniczne we wszystkich drzwiach oraz kamery monitoringu i czujniki ruchu dyskretnie umieszczone w każdej szczelinie oferowanej przez tradycyjną architekturę. Rezydencja Zapunya była luksusową fortecą. *Barukan*, który przedtem z nimi rozmawiał, ruszył przodem i otworzył przed nimi drzwi. Hilo skinął na Vina, rozkazując mu iść tuż za nim. Weszli na frontowe schody.

– Ilu? – zapytał cicho.

– Dwudziestu dwóch w domu i w jego otoczeniu, Hilo-jen – wyszeptał Vin. – Czternastu ma jadeit, ale... nie tak wiele, jak próbują zademonstrować.

Hilo skinął głową, zadowolony, że potwierdzono jego ocenę.

– Zachowajcie czujność – rozkazał.

Vin skinął głową. Postrzeżenie palca rzeczywiście było znakomite. Większość klejnotów ostentacyjnie noszonych przez ochroniarzy Zapunya była nieczynna i miała tylko dekoracyjny charakter. „Blagierski jadeit”, jak mówili Kekończycy. Hilo zauważył, że tylko jeden z pięciu klejnotów na naszyjniku mocno opalonego dowódcy jest autentyczny. Jednakże dla każdego, kto nie był zieloną kością i nie potrafił zauważyć, że jadeitowa aura nie zgadza się z liczbą widocznych klejnotów – to znaczy dla prawie wszystkich Uwiwan – *barukani* wyglądali na równie groźnych jak najlepsi kekońscy wojownicy, choć żaden z pięści z klanu Bez Szczytów nie nosiłby jadeitu w tak nieudolny sposób, na zwisających z szyi łańcuchach albo bransoletkach. W prawdziwej walce to by się nie sprawdziło.

Jak już powiedział Tarowi, podobne pozerstwo nie musiało oznaczać, że ochroniarze Zadunya nie są groźni, niemniej czuł do nich pogardę. Po szotarsku słowo *barukan* mogło znaczyć zarówno „gość”, jak i „obcy”, i używało się go na określenie niepożądanego, lecz nieuniknionego przybysza, na przykład inspektora z centrali firmy albo kłótlivej teściowej. W ostatnich dwudziestu latach stało się ono jednak synonimem keko-szotarskich gangsterów. Podczas okupacji Kekonu, przed pokoleniem, setki tysięcy Kekończyków przymusowo zesłano do Szotaru bądź emigrowali tam dobrowolnie. Ich potomkowie byli zmarginalizowaną mniejszością i wielu z nich wkraczało na drogę przestępstwa oraz handlu nielegalnym jadeitem.

Kekończycy zwali *barukanów* półkościami i patrzyli na nich z litością pomieszaną z pogardą.

Najemnicy Zapunya poprowadzili Hila i jego ludzi na górę po szerokich krętych schodach z marmuru. Potem minęli wielki salon z fortepianem i wysokimi półkami na książki i otworzyli dwuskrzydłowe szklane drzwi na taras wychodzący na prywatne jezioro. Zapunyo siedział w żółtym cieniu przy wielkim ogrodowym stole, jedząc obiad w towarzystwie trzech młodych mężczyzn. Ten, który siedział po prawej, był z nich najstarszy i mógł mieć jakieś dwadzieścia pięć lat. Dwaj pozostali zajęli miejsca po lewej. Pierwszy wyglądał na dwadzieścia lat, najmłodszy zaś był nastolatkiem,

mniej więcej szesnastoletnim. Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy są synami Zapunya.

Dowódca *barukanów* zatrzymał się u podstawy stołu.

– Pas – rzekł, posługując się honorowym tytułem używanym zarówno w Szotarze, jak i na Uwiwach. – Przybyli twoi goście.

– Serdecznie dziękuję, Iyilo. – Przemysłnik uniósł wzrok, ale nie wstał. –

Kaul Hiloshudon, filarze klanu Bez Szczytów, długo czekałem na okazję spotkania z tobą. Usiądź, proszę. Zjedz coś.

Zapunyo mówił po kekońsku z akcentem, ale łatwo było go zrozumieć. Nieśpiesznie cedził słowa lekko ochrypłym głosem. Był niewysokim mężczyzną o ciemnej cerze, miał krzywe zęby na przedzie, a niski wzrost sugerował, że w dzieciństwie nie odżywiał się zbyt dobrze. Godne zaufania źródła twierdziły, że ma cukrzycę. Jego matka zapadła na tę chorobę w wieku czterdziestu kilku lat i zmarła z tego powodu. Zapunyo miał na sobie luźną żółtą koszulę, a wokół szyi owiązał sobie jasnoniebieską chustkę. Wyglądał na stuprocentowego Uwiwanina, jak doświadczony nadzorca z plantacji, powszechnie jednak wiadano, że jest półkrwi Kekończykiem. Krew odziedziczona po ojcu oraz małe dawki SN1, wstrzykiwane codziennie razem z insuliną, zapewniły mu tolerancję na jadeit niezbędną w zawodzie przemysłnika. Sam jednak nie nosił zieleni.

Naprzeciwko Zapunya i jego synów ustawiono jedno krzesło. Tar cofnął się w róg tarasu, a cztery pozostałe zielone kości stanęły za plecami filaru. Ochroniarze Zapunya zajęli zbliżone pozycje za swoim szefem. Hilo nie potrafił powstrzymać uśmiechu na widok tego komicznego żywego obrazu. Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie nad blatem zastawionym tropikalnymi owocami, marynowanymi jarzynami i wędzonym mięsem, podczas gdy kilkunastu uzbrojonych po zęby pomocników stało bez słowa za plecami ich obu. Zapunyo celowo zaaranżował tę scenę tak, by wyglądała jak spotkanie między równymi sobie rangą królami, a obecność jego synów miała świadczyć, że to on jest tu gospodarzem.

Przyszedł służący i napełnił szklanki wodą z sokiem cytrusowym. Hilo nie tknął ani wody, ani jedzenia, nie dlatego, że bał się, że Zapunyo spróbuje go otruć, lecz dlatego, że nie bardzo wierzył w czystość wody na Uwiwach.

– Gdzie jest Teije? – zapytał, rozsiadając się wygodnie na krześle.

Zapunyo nałożył sobie srebrną łyżeczką różowy miąższ podzielonej na cztery części papai.

– Zapewne siedzi przy basenie. – Zjadł odrobinę mięszu, po czym otarł sobie chusteczką kącik ust. – Twój kuzyn z pewnością potrafi się bawić. Wiesz, w jaki sposób wpadł w kłopoty z policją? Chciał sobie wziąć tej samej nocy trzy kobiety, a prawo pozwala najwyżej na dwie. Miał wielkie szczęście, że dowiedziałem się o tej sytuacji. W tutejszych więzieniach człowiek może umrzeć z powodu jakiejś choroby, nim jeszcze zaprowadzą go przed oblicze sędziego. Nie chciałbym, żeby stosunki między naszymi krajami popsuło tak pechowe wydarzenie.

– Nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś wsadził go z powrotem do celi, ale nie chcę oglądać łez jego biednej matki – odparł Hilo. – Zadałeś sobie mnóstwo trudu i użyłeś wielu wykrętnych słów, by sprawić, że przybędę tu osobiście. Najwyraźniej wydaje ci się, że mamy coś do omówienia. Zjawiłem się tu wyłącznie dlatego, że szczerze mnie interesuje, co sęp taki jak ty może mieć do powiedzenia filarowi takiemu jak ja.

Hilo spodziewał się, że przemytnik okaże gniew, a przynajmniej się obruszy, ale Zapunyo tylko skinął głową, jakby tego właśnie się spodziewał.

– Zielone kości myślą staromodnie – oznajmił, przesywając Hila spojrzeniem małych czarnych oczek. – Podejrzewam, że niektórzy Kekończycy nadal wierzą, iż jadeit pochodzi od bogów, a oni są potomkami Jenshu, najbliższymi bogom ze wszystkich narodów. Nieraz słyszałem takie opowieści. Dlatego trzymacie się jadeitu, strzeżecie go zazdrośnie, jakbyście się bali, że razem z nim stracie własne dusze, zamiast myśleć o tym, jak moglibyście się podzielić tym cudownym darem z całym światem.

– Tak jak ty to robisz – zauważył z ironią Hilo. – Dzielisz się jadeitem z całym światem.

– Jestem przedsiębiorcą – odparł Zapunyo. – Dostrzegam popyt i zaspokajam go. Jeśli ludzie czegoś chcą, a regularni dostawcy im tego nie zapewniają, pojawia się szansa dla innych. Mój kekoński ojciec nie zostawił mi nic, a matka jedynie ból i smutek, ale to dzięki ojcu nauczyłem się dbać o własne interesy, a dzięki błogosławionej mamie dzielić się z innymi tym, co mam, choćby tego było bardzo niewiele. Dlatego chciałem z tobą porozmawiać.

Hilo spojrział na lśniącą taflę jeziora i zadał sobie pytanie, jak wielką część zrodzonego z czarnorynkowego handlu jadeitem majątku Zapunya pochłoneła budowa tej sztucznej oazy na wzgórzach, a także wynajęcie broniących jej ludzi, ufortyfikowanie oraz zapłacenie wszystkich niezbędnych

łapówek. Zapunyo nazwał swą organizację Ti Pasuiga, co po uwiwańsku znaczyło „Plemię”. Miał noszących jadeit podwładnych i kazał składać przysięgi wierności służącym mu ludziom. Być może rzeczywiście gardził kekońskimi zwyczajami i wierzeniami, ale to nie przeszkodziło mu upodobnić swej organizacji do klanu, by lepiej służyła jego celom. Filar znowu spojrzął na niego.

– Zaprosiłeś mnie tu po to, by złożyć mi biznesową propozycję. Mów.

Zapunyo nałożył sobie na talerz trochę marynowanych zielonych fasolek oraz kawałków bakłażana.

– Mój biznes, podobnie jak każdy, opiera się na ludziach. Trudno mi jednak znaleźć ludzi do pracy, gdy zielone kości natychmiast zabijają każdego, kto próbuje wywieźć z kraju choć odrobinę jadeitu. Klan tak potężny jak wasz ma na głowie ważniejsze problemy. Musicie bronić swego terytorium w Janloonie przed wrogami, a do tego potrzeba ludzi i pieniędzy. Po co marnować zasoby na walkę z czymś, co nikomu nie szkodzi? Nie ma żadnego powodu, byśmy byli wrogami. Urodziłem się w biedzie, a mimo to zadowolam się tylko ochłapami z Kekonu i od czasu do czasu dzielę się swymi niewielkimi zarobkami.

Hilo skinął głową.

– Chcesz, żebym przestał zabijać twoje skorpeny, a w zamian za to oferujesz mi działkę ze swoich zysków ze sprzedaży jadeitu, który nielegalnie wywozisz z naszego kraju.

– Przyjmujesz daninę od najróżniejszych biznesów, Kaul Hilo. Czy uważasz pieniądze, które dostajesz od burdelu, za gorsze od tych, które pochodzą ze sklepu spożywczego? Kekon sprzedaje jadeit rządowi Espenii i jej sojuszników. Czy ich pieniądze są lepsze od moich? – W głosie powoli cedzącego słowa przemytnika po raz pierwszy pojawiła się niebezpieczna nuta urazy. Zapunyo odwrócił głowę w obie strony, wskazując na swoich synów. Najstarszy jadł głośno i z zapałem, od czasu do czasu unosząc spojrzenie znad talerza. Nie sprawiał wrażenia zainteresowanego rozmową. Jego dwaj bracia łypali na Hila jak jeżące sierść psy. – Moi synowie mają znacznie więcej, niż ja miałem w ich wieku. Ich życie jest nieporównanie lepsze. Pociesza mnie myśl, że pewnego dnia przejmą mój interes, i gdyby stało mi się coś złego, zapamiętają moich wrogów. Starzeję się i coraz rzadziej myślę o sobie, a coraz częściej o tym, że pragnę zostawić to, co zdobyłem w tym życiu, swoim dzieciom oraz ich dzieciom. Masz już dzieci, Kaul-jen?

– Nie – odparł Kaul.

– Jeśli bogowie pozwolą, być może wkrótce spotka cię to błogosławieństwo. Wtedy zrozumiesz, że jestem taki sam jak inni ojcowie i inni biznesmeni. Pragniesz, by twoja rodzina oraz twój kraj byli bezpieczni i dobrze im się powodziło, Kaul-jen, a jadeit jest środkiem do osiągnięcia tego celu. – Zapunyo zatoczył krąg ręką, wskazując swój dom, swych synów i pracowników, a także całe Uwiwy. – Nie możesz twierdzić, że różnimy się od siebie aż tak bardzo, czyż nie tak?

Hilo odsunął nietknięty talerz na bok i pochylił się na krześle. To był drobny ruch i nie było w nim żadnej widocznej groźby, ale jego zielone kości i ci z *barukanów*, którzy władali zmysłem Percepcji, naprężyli mięśnie, wyczuwając zmianę w jego jadeitowej aurze.

– Mamy ze sobą tyle samo wspólnego, co twoi *barukani* z zielonymi kośćmi. To znaczy nic – oznajmił filar cichym, przesyconym pogardą głosem, nie spuszczać spojrzenia z Uwiwanina. – Dla ciebie jadeit to tylko rzecz, coś, co można ukraść i sprzedać. Dlatego sam go nie nosisz. Chciałeś się ze mną spotkać, by osobiście przekazać mi swoje myśli, i jestem ci za to wdzięczny. Ja przybyłem tu z tego samego powodu i teraz udzielę ci odpowiedzi w najprostszych możliwych słowach. Trzymaj się z dala od Kekonu. Nie jesteś latarnikiem i nie uzyskasz żadnych ustępstw od klanu Bez Szczytów. Jeśli zdesperowani Abukei pragną przemycać dla ciebie jadeit, to trudno. Jest jednak różnica między psem, który zjada odpadki pod twoim domem, a tym, który wskakuje do środka przez okno, by ukraść jedzenie z twojego stołu. Ten pierwszy jest irytujący, ale można go zignorować, ten drugi zaś stanowi problem i trzeba go zabić. Wiem, że masz w Janloonie agentów, którzy werbują skorpeny spośród kekońskich przestępców. Wiem, że twoje łodzie lądują w ukrytych zakątkach, przywożąc bandy szabrowników kradnących jadeit z zamkniętych kopalń. Rozkazałem swoim pięściom i palcom zabijać wszystkich złodziei zieleni, których dopadną. Nie zrozum mnie źle. Ja rozumiem twoją sytuację. Dwa ostatnie lata były dla ciebie bardzo dobre. Kopalnie zawiesiły działalność, Góra i klan Bez Szczytów toczą ze sobą wojnę, a teraz konflikt w Szotarze spowoduje, że ceny jadeitu wzrosną jeszcze bardziej. Niech ci się jednak nie zdaje, że zieleń zmieni twoją zgrają półkości w klan, i nawet nie próbuj sobie wyobrazić, że pieniądze mogą uczynić cię filarem. – Hilo wreszcie wyczuł gniew Zapunya. Zauważył, że jego zasłonięte wąsami usta zacisnęły się w wąską linię. – Powinieneś wycofać się z tego interesu, dopóki jesteś do przodu. Jeśli



posuniesz się dalej i przyniesiesz swój smród do Kekonu, stracisz wszystko. Zielonych kości nie można kupić za brudne uwiwańskie pieniądze.

– Pieniądze to pieniądze. Zawsze są brudne i każdego można kupić. – Prowincjonalna serdeczność, jaką do tej pory demonstrował Zapunyo, zniknęła raptownie. Przymrużył powieki maleńkich oczek. Wyglądał jak mangusta szczerząca ostre kły. – Pomyliłem się, sądząc, że możesz być rozsądnym, inteligentnym człowiekiem. Obaj wiemy, że masz wrogów, do których mogę się zwrócić.

Hilo parsknął śmiechem.

– Tylko spróbuj. Ayt Madashi skrzyłaby ci kark. Góra zamordowała mojego brata i wypowiedziała wojnę mojej rodzinie, by zyskać kontrolę nad kekońskim jadeitem. Jeśli Ayt nie chce zawrzeć kompromisu z innymi zielonymi kośćmi, czemu miałaby rozmawiać z tobą? – Hilo wstał szybkim, gładkim ruchem. Iyilo i inni *barukani* stojący obok Zapunya zamierzali sięgnąć po broń. Hilo poczuł, że Tar i jego ludzie przesunęli się w przód. Ich aury ożywiły się nagle. – Zapłaciłeś kaucję za tego pasożyta, mojego kuzyna, i uczyniłeś go gościem w swoim domu, zgódźmy się więc, że nie ma potrzeby psuć tak miłego wieczoru, mimo że jestem zieloną kością, a ty złodziejem jadeitu i w zasadzie powinienem cię zabić. Odbiliśmy interesującą rozmowę i wymieniliśmy opinie. Wszystko, co wydarzy się później, choćby nieprzyjemne, nie będzie niespodzianką. Dla żadnego z nas.

Zapunyo nie ruszył się z miejsca. Włożył do ust ostatni kawałek zimnego przyprawionego mięsa i zaczął poruszać ustami, wlepiając w Hila spojrzenie oczu, które ciągle przymykał po latach narażenia na pył i słońce. Splótł krótkie palce na brzuchu.

– Z pewnością jestem rozczarowany – oznajmił przemytnik. –

Wyświadczyłem waszemu klanowi wielką przysługę, zaprosiłem cię do mojego domu, zaoferowałem ci jedzenie i picie, ale nie otrzymałem za to podziękowania. Zielone kości przywiązują wielką wagę do honoru, ale jeśli nie okażecie innym uprzejmości, zostaniecie z tyłu. Pod jednym względem masz jednak rację. Nie ma potrzeby psuć tak pięknego popołudnia. Nie zaliczam się do dumnych ludzi, Kaul-jen, i jestem przyzwyczajony do tolerowania zniewag, ponieważ człowiek, który zaczął w życiu od zera, nie uważa, że cokolwiek mu się należy.

Zapunyo machnął od niechcenia ręką, wskazując na drzwi prowadzące na patio.

– Zabierzcie swojego kuzyna i wracajcie do domu. Iyilo was zaprowadzi.

\* \* \*

Zgodnie z tym, co powiedział Zapunyo, Teije Roni siedział przy basenie usytuowanym za domem. W jednej upierścienionej dłoni trzymał drinka. Na rozłożonym obok ręczniku leżała na brzuchu młoda, szczupła kobieta w kostiumie kąpielowym. Z odtwarzacza płynęły skoczne espeńskie piosenki. Hilo podszedł do kuzyna i stanął obok niego. Teije poruszył się i zdjął ciemne okulary. Najwyraźniej drzemał. Przez kilka sekund gapił się z oszołomioną miną na przybysza, po czym wstał pośpiesznie, odstawił drinka i poprawił kąpielówki.

– Kuzyn Hilo! – zawołał, rozpościerając ramiona z zaskoczeniem oraz zachwytem.

Filar uderzył go w twarz. Teije krzyknął z bólu i zatoczył się do tyłu. Hilo przyłożył mu raz jeszcze i mężczyzna zwałił się na ziemię. Zahaczył stopą o drinka. Szklanka przewróciła się i stłukła. Kobieta w kostiumie kąpielowym wrzasnęła przeraźliwie i oddaliła się, krzycząc po uwiwańsku. Hilo brutalnie kopnął kuzyna w bok.

– Kaul-jen, błagam, przestań, zaczekaj! – zawołał Teije, odczołgując się od filaru na rękach i kolanach.

Hilo szedł za nim. Kopnął krewniaka w brzuch i w krocze, a potem uderzył go jeszcze kilka razy w twarz i w tułów.

Teije Runo nie zaliczał się do drobnych mężczyzn. Był pół głowy wyższy od Hila, miał szerokie bary, długie ręce i dbał o kondycję. Mimo to zasłonił głowę rękami i skulił się, gdy Hilo zasypywał go ciosami. Kobieta uciekła z wrzaskiem do domu. Iyilo stał z boku i przyglądał się temu biernie, podobnie jak inni *barukani*. Tar zachichotał. Gdy filar skończył, żadna kość nie była złamana, ale naoliwione ciało Teijego pokryły liczne siniaki. Mężczyzna jęczał żałośnie.

– Wstawaj i ubierz się – rozkazał Hilo. – Odjeżdżamy stąd.

# ROZDZIAŁ 10

## ABSURDALNE MARNOTRAWSTWO

Po piętnastu minutach opuścili rezydencję Zapunya. Tym razem nie eskortowali ich *barukani* w srebrnych samochodach. Hilo o to nie prosił, a Iyilo tego nie zaoferował. Opalony na ciemny brąz ochroniarz stał przy frontowych drzwiach i obserwował ich odjazd. Jego twarz niczego nie wyrażała, ale gdy filar wsiadał do samochodu, Postrzegł wrogość w jego aurze. Iyilo mógł być tylko wynajętym szotarskim zbirem, ale jak wszyscy mu podobni miał powody do resentymentu i nienawiści wobec Kaulów i innych tego typu ludzi. Jadeit i pochodzenie uczyniły zielone kości narodowymi bohaterami i nieoficjalnymi władcami Kekonu, a w Szotarze z ich powodu uważano *barukanów* za przestępców i intruzów. Hilo był przekonany, że gdyby Zapunyo wydał taki rozkaz, Iyilo i jego ludzie spróbowaliby z wielkim zapałem udowodnić, że zasługują na jadeit w takim samym stopniu, jak ich kekońscy goście, zabijając ich wszystkich.

Tym razem Hilo kazał Tarowi, Vinowi i Teijemu wsiąść z nim do pierwszego samochodu, a Juena, Douna oraz Lotta wysłał w drugim. Teije był całkowicie zastraszony. Przykładał do opuchniętej wargi owinięty w papierowy ręcznik lód i przez całą drogę nie odzywał się ani słowem. Tar otworzył okna.

– Zauważyliście, że ten kurdupel i jego barukańskie psy nawet nie chcieli nam spojrzeć w oczy? Po prostu pozwolili nam odejść. Jeśli to są najwięksi twardziele na Uwiwach, nic dziwnego, że to taki chujowy kraj.

Hilo nie odpowiedział. Zganił już dziś raz filarowego i nie chciał go dodatkowo deprymować. Tar czasami za dużo gadał, kiedy czuł się zagrożony. Był lojalny i odważny, ale nie miał pojęcia o strategii. Hilo wspominał Wen o tym, że Zapunyo nie odważy się ich zaatakować na terenie swej posiadłości. To byłoby zbyt ryzykowne. Za bardzo jawne.

Odchylił do tyłu siedzenie samochodu i zamknął oczy. Wyglądał, jakby wypoczywał, być może nawet się zdrzemnął. Słońce grzało mu twarz. Miał przed oczami ścianę czerwieni, nadającą kolor nawet zmysłowi Percepcji, gdy powiększał jego zasięg. Cały czas zachowywał czujność. Gdy dotarli do lotniska, usiadł nagle i otworzył oczy. Na pasie startowym, na którym czekał ich wycarterowany samolot, parkowało pięć samochodów policyjnych i dwa motocykle.

– Vin – odezwał się Hilo.

– Dwunastu ludzi – odpowiedział natychmiast palec. – Hilo-jen... oni chcą nas zabić.

Hilo skinął głową.

– Chodzi im o mnie! – zawołał spanikowanym głosem Teije Runo, odzywając się po raz pierwszy od chwili, gdy wyjechali z posiadłości Zapunya. – Myślą, że próbuję ucieczki.

– Gównu ich obchodzisz – warknął Hilo. – Są na żołdzie Zapunya.

Dwaj policjanci skinęli na nich, każąc im się zatrzymać. Hilo powiedział kierowcy, żeby ich posłuchał. Drugi samochód stanął za nimi. Filar się odwrócił.

– Zostaniesz w samochodzie – rozkazał Teijemu. – Obiecałem twojej mamie, że przywiozę cię do domu, ale jeśli mnie nie posłuchasz, złamię jej pierdolone serce.

Hilo wysiadł z samochodu. Jego zielone kości podążyły za nim.

– Ręce go góry! – zawołał jeden z policjantów przez megafon. – Ręce do góry!

Fakt, że posługiwał się łamanym językiem kekońskim, był kolejnym dowodem na to, że policjanci świetnie wiedzą, z kim mają do czynienia, i że zaaranżowano tę sytuację. Hilo uniósł nad głowę puste dłonie i ruszył naprzód.

– Stój! – zawołał policjant z megafonem. W jego głosie pojawił się strach. – Stój! To ostatnie ostrzeżenie!

Hilo się nie zatrzymał. Nadal szedł nieśpiesznie naprzód.

– Rozumiecie po kekońsku?! – zawołał. – Nie powstrzymacie nas przed wejściem do samolotu. Ale dam wam szansę. Wycofajcie się. Zielone kości nie zabijają tych, którzy nie noszą jadeitu, chyba że złamię nasze prawa albo opowiedzą się po stronie naszych wrogów.

Postrzeżenie Hila wypełniło gwałtowne łomotanie serc. Wyczuwał też napięcie własnych ludzi. Ich jadeitowe aury wyrywały się do przodu

niczym konie za bramką startową. Przed sobą czuł woń strachu i nieustępliwej determinacji.

– Nawet jeśli Zapunyo rządzi tą wyspą i musicie brać od niego pieniądze, nie warto za to ginąć! – zawołał filar i postąpił kolejny krok naprzód.

Policjanci otworzyli ogień.

Hilo już zaczął się poruszać. Opuścił gwałtownie ręce i uwolnił szerokie, opadające w dół Odbicie, które spadło na zbliżające się kule niczym pionowa wichura. Wystraszeni policjanci wystrzelili za dużo pocisków. Wszystkie strzały w pierwszej salwie – co najmniej trzydzieści – były wymierzone w filar klanu Bez Szczytów. Tego właśnie chciał, gdy ruszył naprzód pierwszy. Skupiony ogień łatwiej było Odbić. Zatrzymane w locie pociski wbiły się w nawierzchnię, daleko od celu. Kilka jednak przeleciało tak blisko, że Hilo musiał osłonić się Stałą.

Jego zielone kości rzuciły się do ataku. Aury Tara i Juena rozbłyły Siłą oraz Lekkością. Obaj przeskoczyli nad radiowozami. Tar roztrącił grupkę policjantów, trzymając w dłoni karambit, a Juen wylądował na dachu jednego z samochodów, wgniatając go, a następnie przykucnął i wyprostował się, trzymając w obu rękach pistolety, i zaczął oddawać celne strzały do przeciwników.

Doun, Vin i Lott biegli tuż za swymi pięściami. Dwaj Uwiwanie odwrócili się i pobiegli w stronę samolotu. Lott wydobył dwa cienkie noże do rzućcia, które nosił w pochwie na krzyżu, i rzucił nimi jednocześnie, w tej samej chwili przywołując wąskie jak ostrze brzytwy Odbijanie, które zgrabnie odsunęło od siebie tory ich lotu. Przeszyły powietrze, oddalając się od siebie niczym zęby wideł. Jeden wbił się w plecy pierwszego policjanta, między łopatkami, drugi zaś w kark jego towarzysza.

Hilo wkroczył w chaos walki, ściskając w dłoni karambit, złapał jednego z przeciwników i poderżnął mu gardło od tyłu. Kolejny policjant odrzucił pistolet, gdy zabrakło mu naboju, i z całej siły zamachnął się czarną pałką, celując w głowę Hila. Ten uchylił się i ciął przeciwnika w wewnętrzną stronę przedramienia. Pałka wysunęła się z bezwładnej dłoni i Hilo złapał ją lewą ręką, nim zdążyła spaść na ziemię. Wspomagając się Siłą, uderzył policjanta w kolana stalową pałką, a potem wyprostował się i wbił rękojęść w jego podbródek, łamiąc mu żuchwę. Uwiwanin padł na ziemię.

Hilo rozejrzał się w poszukiwaniu kolejnego przeciwnika, ale nie zostało mu już nic do roboty. Jego ludzie byli przyzwyczajeni do walki

z innymi zielonymi kośćmi, a to było coś zupełnie innego. Ich przeciwnicy byli kiepsko wyszkoleni i całkowicie pozbawieni talentu. Nawet nie byli Kekończykami. Przyglądając się ich ciałom, poczuł, że nagle wypełniła go potężna nienawiść do Zapunya – niemal równie silna jak ta, którą czuł do Ayt Mady. Uwiwański król zbrodni siedział sobie bezpiecznie w swej posiadłości, strzeżony przez *barukanów*, którzy mogliby stawić realny opór zielonym kościom, ale nie narażał na niebezpieczeństwo ani ich, ani siebie. Rozkazał skorumpowanym policjantom postarać się, by Hilo zginął, stawiając opór podczas aresztowania.

Cóż za absurdalne marnotrawstwo.

Niektórzy z leżących na ziemi ludzi jeszcze żyli, ale żaden nie stanowił już zagrożenia. Hilo nakazał swoim pięściom ich zostawić. Wrócili do samochodów po swoje rzeczy i po Teije Runa, który pobladł na widok tego, co się wydarzyło, i pozwolił, by zaprowadzili go do samolotu. Kekoński pilot miał związki z klanem i nie wysłał zawiadomienia o ataku, lecz czekał spokojnie, jak mu kazano.

Bark Juena drasnęła kula, a inny pocisk przebił łydkę Douna, nie naruszając kości.

– Byłem nieostrożny, Kaul-jen – przyznał ten drugi. Krzywił się z bólu, ale wyraźnie wstydził się tego, że został ranny w tak jednostronnym starciu.

Hilo znalazł w samolocie apteczkę i kazał pilotowi natychmiast startować. Dwusilnikowa maszyna pomknęła pasem startowym i wzbiła się ku niebu, zostawiając w dole zakrwawioną nawierzchnię.

\* \* \*

Podczas lotu Hilo sprawdził stan Juena i Douna. Upewnił się, że krwawienie ustało, a napoje gazowane w pokładowej lodówce chronią ich przed odwodnieniem. Tar był już w nieco lepszym nastroju. Najwyraźniej przemoc na pożegnanie pomogła mu rozładować frustrację. Położył się na siedzeniach i zasnął. Hilo usiadł obok Lotta w ostatnim rzędzie. Chłopak patrzył przez okno na ocean w dole.

– Spotkałem tylko jedną zieloną kość, która potrafiła tak rzucać nożami i w dodatku kierować nimi za pomocą Odbijania.

– Wiem. Mojego ojca – odparł Lott, nadał wyglądając przez okno. Jego jadeitowa aura świadczyła, że jest podenerwowany i zbity z tropu, choć – jak to nastolatki – udawał, że wcale tak nie jest.

– Pod innymi względami zbytnio nie przypominasz taty – ciągnął Hilo. Ramiona młodzieńca zeszywniały.

– Przykro mi, że cię rozczarowałem, Kaul-jen.

– Nie to miałem na myśli – sprzeciwił się filar. – Twój ojciec był tak zielony, jak to tylko możliwe. Zaliczał się do moich najgroźniejszych i najbardziej lojalnych pięści, niech bogowie obdarzą go uznaniem. Potrafił jednak być okrutny bez powodu i większość ludzi w ogóle go nie obchodziła. Ty nie sprawiasz na mnie takiego wrażenia.

– Zabiłem tych ludzi, tak? Po to zabrałeś mnie ze sobą. Żeby się przekonać, jak się sprawdzę w walce.

Hilo był pewien, że w innej sytuacji Lott nie odpowiedziałby filarowi klanu tak nieuprzejmie, ale chłopak niedawno zabił po raz pierwszy, ciągle targały nim emocje i nie wiedział, jak sobie z nimi poradzić. Hilo zdawał też sobie sprawę, że nie istnieje żaden uniwersalny sposób. Każdy reagował inaczej. Niektórzy wymiotowali, inni byli podekscytowani, a jeszcze inni nic w ogóle nie czuli.

– Zabiłeś tylko jednego – zapewnił Lotta. – Tego, którego trafiłeś w kark. Ten drugi wyżyje.

Hilo nie był tego pewien, ale nie zaszkodzi tak powiedzieć, jeśli chłopak poczuje się lepiej z tego powodu. Palec nie odpowiedział ani nawet nie odwrócił głowy.

– Lott-jen, patrz na filar, kiedy do ciebie mówi – rozkazał Hilo ostrym tonem.

Lott wzdrygnął się, jak chłopak przyzwyczajony do częstych kar, i popatrzył na Hila z poczuciem winy w oczach. Wyraz jego twarzy wahał się przez chwilę między niepewnością a sprzeciwem, młodzieniec nie odważył się jednak stawić czoła rozkazującemu spojrzeniu filaru. Opuścił wzrok.

– Wybacz, że nie okazałem ci należnego szacunku, Kaul-jen – wyszeptał.

Już od pierwszego spotkania Hilo zorientował się, że Lott zalicza się do wiecznie naburmuszonych, ulegających nastrojom nastolatków. Przez pewien czas można było to tolerować, ale teraz był już dorosłym mężczyzną i zieloną kością. Musiał się nauczyć właściwego zachowania. Nie odwrócił spojrzenia, a jego oczy nie utraciły surowego wyrazu, ale po jakiejś minucie odezwał się łagodniejszym głosem:

– Zawsze wybaczam przyjaciołom, bo w przeciwnym razie, jak ludzie mogliby być ze sobą szczerzy? Nie zabrałem cię ze sobą po to, byś dowiódł swojej wartości. Zrobiłem to dlatego, że w zeszłym roku pierwszy stanąłeś przede mną i złożyłeś przysięgę przed wszystkimi absolwentami. Zapamiętałem to. Takie rzeczy są ważne, gdy decyduję, których braci pragnę poznać lepiej i których chcę mieć u swego boku podczas walki na śmierć i życie.

Tym razem Lott nie odwrócił wzroku. Po krótkiej chwili skinął głową, a jego aura uspokoiła się nieco, choć nie do końca. Hilo pochylił się i sięgnął do lodówki po dwie butelki napoju z mango. Otworzył je i wręczył jedną Lottowi. Chłopak przyjął ją i od razu wypił połowę.

– Nie znałeś ludzi, z którymi dzisiaj walczyłeś, i nigdy nie zrobili ci nic złego. Dlatego boli cię świadomość, że ich zabiłeś. To naturalne. Gdybyśmy nie czuli tego bólu, nie byłibyśmy lepsi od zwierząt. Oczywiście zdarzają się ludzie, którzy tacy są, nawet wśród zielonych kości, ale na szczęście nie ma ich zbyt wielu.

On również pociągnął łyk napoju.

– Ludzie rodzą się samolubni. Niemowlęta to najbardziej egoistyczne stworzenia ze wszystkich, mimo że są całkowicie zależne od innych i same nie przeżyłyby nawet jednego dnia. Dorastając, uwalniamy się od tego samolubstwa. Na tym właśnie polega cywilizacja. To stawia nas wyżej od zwierząt. Jeśli ktoś krzywdzi mojego brata, krzywdzi również mnie. Na tym opierają się przysięgi klanowe. Ci ludzie nie byli twoimi wrogami. Byli naszymi. Rozumiesz to, Lott Jin?

– Tak, Kaul-jen – zgodził się palec po chwili wahania.

Hilo wsparł ciepłą dłoń na jego ramieniu i trzymał ją tam przez chwilę. Potem wstał i przeniósł się na inny fotel, by dać Lottowi czas na przemyślenie tych słów. Gdy Hilo był rogiem, uważał doradzanie nowym palcom za jedno ze swych najważniejszych zadań. Starał się zauważać tych, którzy byli najbardziej obiecujący, i stać się ich mentorem. Nadal nie miał pewności co do Lotta, ale cieszył się, że miał szansę porozmawiać z nim osobiście. Czasami kilka słów mogło mieć wielkie znaczenie.

Opróżnił butelkę i położył ją na pustym siedzeniu obok. Pochylił głowę ku małemu okienku i wlepił spojrzenie w odległy horyzont. Czaszkę wypełniały mu hałas i wibracja produkowane przez śmigła. Między Uwiwami a domem nie było nic do oglądania poza oceanem dzielącym Kekon od jego najbliższych sąsiadów. Po drugiej stronie tego ciągnącego się bez końca



akwenu leżały Espenia i Port Massy, miasto, w którym mieszkał teraz Anden.

Hilo zerknął na swego siedzącego po drugiej stronie przejścia kuzyna, Teije Runa, który nadal miał ponurą minę i przykładał łód do posiniaczonej twarzy. Filar poczuł gwałtowne pragnienie, by wyrzucić go z samolotu i obserwować, jak spada do oceanu na dole. Znowu wyjrzał przez okno, ale mars, który pojawił się na jego czole, był głębszy i bardziej złowieszczy niż ten, który przed chwilą próbował usunąć z czoła Lotta.

# ROZDZIAŁ 11

## PORT MASSY

Tydzień po pogrzebie przybranego dziadka Anden wsiadł do samolotu i rozpoczął jedenastoipółgodzinny lot. Miał wrażenie, że wchodzi do celi wypełnionej więźniami, których jutro czeka egzekucja. Tyle że zamiast małego jak pudełko do butów relikwiarza i pokutnika, prowadzącego modlitwy oraz medytacje mające ulżyć jego sumieniu w przygotowaniu na życie przyszłe, czekały tu na niego wystrzępione czasopisma pełne plotek i opowieści o życiu bogaczy, a także stewardesy, które krążyły po wypełnionym papierosowym dymem wnętrzu, by oferować pasażerom koce oraz gorącą herbatę.

Anden połknął tabletkę nasenną i przespał większą część lotu. Kiedy się obudził, samolot zbliżał się już do lądowania. Zaspany chłopak uniósł zasłonę, by zobaczyć zagraniczne miasto, do którego go wygnano. Metropolia Port Massy kryła się pod grubą warstwą mgły, zabarwionej na pomarańczowo przez późnopołudniowe słońce. Wyglądała jak ogromna kolczasta bestia śpiąca pod kocem. Drapacze chmur z betonu i stali piętrzyły się w gęstych skupiskach przy samym brzegu, a potężna rzeka Camres uchodziła do Zatoki Whittinga, by połączyć się z północnym Oceanem Amaryckim. Anden wypatrywał charakterystycznych budowli, które widział na zdjęciach i w telewizji – Mostu Żelaznego Oka, Gmachu Masztowego oraz pomników Strażników Portu. Do tej pory właściwie nie wierzył, że opuścił Kekon, ale teraz w końcu to do niego dotarło. Gdy koła samolotu podskoczyły na pasie startowym, jego serce przyspieszyło w odpowiedzi, wypełnione bojaźnią i strachem.

Odebrał walizkę i zatrzymał się, nerwowo przyglądając się tłumowi, aż wreszcie zauważył parę starszych wiekiem Kekończyków, trzymających tabliczkę z jego imieniem. Podeszedł do nich.

– Państwo Hian? – zapytał.

Spojrzeni na niego z zaskoczeniem, jakby nie był tym, kogo się spodziewali. Mężczyzna miał oczy o łagodnym spojrzeniu i krótką, szorstką brodę – siwą, ale ciemniejszą od jego włosów, kobieta zaś szeroką, rumianą twarz, o zaskakująco nielicznych, jak na jej wiek, zmarszczkach.

Chłopak postawił walizkę na ziemi.

– Jestem Emery Anden – rzekł. – Dziękuję za to, że otworzyliście dla mnie swój dom. Niech bogowie opromienią swą łaską was i waszą dobroć.

Dotknął czoła splecionymi dłońmi i pokłonił się, uprzejmie oddając im honory.

Oboje mogli być początkowo zaskoczeni wyglądem Andena, ale uspokoiły ich jego płynny kekoński oraz pełne szacunku zachowanie.

– Ach, to dla nas żaden kłopot, chętnie gościmy studentów – zapewnił pan Hian. Uśmiechnął się i dotknął czoła w uprzejmym geście. Jego żona postąpiła tak samo.

– Jak zniosłeś lot? – zapytała. – Trwa bardzo długo, prawda? Odwiedzaliśmy Kekon tylko dwa razy od chwili przybycia tutaj. Lot jest za długi! Moje stare ciało nie potrafi już tego znieść.

Jej mąż spróbował wziąć walizkę Andena, ale chłopak szybko go powstrzymał. Ruszył za państwem Hian na krótkoterminowy parking.

Pan Hian prowadził, a żona siedziała z przodu obok niego. To był najstarszy i najmniejszy samochód, jakim Anden w życiu jechał. Siedzenia obito brązową tkaniną, tablicę zrobiono z drewnopodobnego materiału, a okna otwierały się tylko do połowy wysokości. Anden siedział z tyłu, obserwując ulice i budynki. Powietrze było wilgotne, lecz znacznie różniło się od wonnego potu Janloonu. Tutejsza wilgoć była chłodna i smakowała popiołem. Z odpływów chodnikowych buchała para. Ludzie pośpiesznie przechodzili obok wystaw sklepowych z manekinami prezentującymi barwne, błyszczące stroje. Przy dworcu kolejowym ulicznicy muzycy bębnilo w odwrócone do góry dnem wiadra. Przechodnie ich ignorowali. Z rur wydechowych piętrowych autobusów buchały czarne opary. Największe miasto w Espenii sprawiało wrażenie nieprzyjaznego, pozbawionego słońca miejsca. Wypełniała je gorączkowa aktywność, a cegła i beton miały barwę sepii. Wszędzie, gdzie spojrzał, widział Espeńczyków.

– Masz rodzinę w Espenii? – zapytał od niechcienia pan Hian.

– Nie – odparł Anden. – Mój ojciec był Espeńczykiem, ale urodziłem się na Kekonie – dodał, zdając sobie sprawę, że w tym z pozoru niewinnym

pytaniu w rzeczywistości chodziło o jego pochodzenie. – Nigdy przedtem tu nie byłem.

Czuł się dziwnie, w ogóle wspominając o ojcu, jakimś cudzoziemskim żołnierzu, którego nigdy nie widział i nie miał ochoty oglądać. Jeszcze dziwniejsza była świadomość, że znalazł się w ojczyźnie tego człowieka.

Pan i pani Hian mieszkali w części miasta zwanej Południową Pułapką, po gorszej stronie Camres. To była dzielnica klasy pracującej, zamieszкана głównie przez imigrantów. Wypełniały ją wielopiętrowe, ciasno upchane budynki mieszkalne. Andenowi przypominało to janloońskie dzielnice – Papaję albo Kuźnię. Jego gospodarze mieszkali w jednym z lepszych domów, żółtym jednopiętrowym szeregowcu wychodzącym na ruchliwą dwupasmową ulicę. Anden wniósł walizkę do środka i ruszył wąskimi schodami na górę, do gościnnej sypialni, której okna wychodziły na zaułek z tyłu domu. Pokój był mniej więcej tej samej wielkości jak ten, w którym mieszkał w akademiku, znacznie mniejszy od sypialni, do której się przyzwyczaił w wakacyjnym domu Kaulów na plaży w Marenii. Było tu jednak przytulnie, narzuta była gruba i miękka, a na ścianie nad wezglowiem łóżka widniała akwarelowa kopia obrazu przedstawiającego spowitą mgłą górę. W wazie stojącej na komodzie umieszczono trzy niebieskie sztuczne kwiaty.

Pani Hian zrobiła prawdziwy kekoński obiad – kurczak na czarno w mleku, jarzyny sauté i makaron w sosie czosnkowym. Na widok dobrze znanego jedzenia Anden poczuł gorącą wdzięczność. Z zadowoleniem kilka razy poprosił o dokładkę, by okazać uznanie gospodyni.

– Zjedz ile możesz – zachęcała go pani Hian. – Espeńska kuchnia nie jest za dobra. Zawsze powtarzam synowi, by częściej przychodził na obiad, ale on ma bardzo dużo pracy, a tutaj trudno jest dojechać. Dlatego chudnie.

Hianowie mieli dwóch synów. Starszy, o którym mówiła kobieta, mieszkał w północnej części miasta, ale pracował w dziale sprzedaży firmy produkującej sprzęt medyczny i dużo podróżował. To on dziesięć lat temu sprowadził rodziców do Espanii. Młodszy syn był na studiach podyplomowych na Uniwersytecie Watersguarda w Adamont Capita. Robił doktorat z historii.

– Taki tytuł na nic się nie zda – westchnął pan Hian. – Ale dzieci robią, co chcą.

Po posiłku pani Hian uprzątnęła talerze, a Anden wyjął podarunki, które kazała mu przywieźć Shae – butelkę drogiej hoji, kopertę ze znaczną sumą

w espeńskich thalirach oraz zielony ceramiczny imbryk, który owinał w gazetę, żeby nie potłukł się podczas podróży. Hoji i pieniądze miały tylko symboliczne znaczenie. Anden nie wątpił, że klan będzie płacił miesięcznie sporo pieniędzy państwu Hian za to, że zgodzili się go gościć. Imbryk był ważniejszy. Mężczyzna uniósł pokrywkę. Pod spodem umieszczono okrągłe godło klanu Bez Szczytów. Gdy ofiarowano w darze coś zielonego, co było ozdobione symbolem klanu, oznaczało to przyjaźń zielonych kości i podnosiło status obdarowanego. Kiedy prezent wręczano komuś spoza klanu, oznaczało to uznanie wagi wyświadczonej przysługi i obietnicę rewanżu w przyszłości.

Państwo Hian serdecznie podziękowali Andenowi i postawili imbryk na półce w kuchni, obok zdjęć synów. Pan Hian nalał gościowi kieliszek znakomitej hoji i oboje upili łyk przy stole.

– Czy ludzie na Kekonie boją się wojny? – zapytał.

W pierwszej chwili Anden był zdeorientowany. Myślał, że jego gospodarz ma na myśli konflikt między Górą a klanem Bez Szczytów.

– Chodzi ci o wydarzenia w Szotarze – odezwał się, gdy tylko się tego domyślił. – Przypuszczam, że tak, choć nie śledziłem wiadomości zbyt uważnie.

Nie dodał, że przez ostatni rok mieszkał w sennej nadbrzeżnej wiosce, ukrywając się przed swoją hańbą.

– Tutaj bardzo dużo się mówi o oortokańskiej wojnie – wyjaśniła pani Hian.

Wschodnia prowincja Szotaru, znana jako Oortoko (Ortykvo po ygutańsku) graniczyła z Ygutanem i od dawna była terytorium spornym, zamieszkanym przez wielu ludzi ygutańskiej narodowości. Przed trzema miesiącami siły powstańców ogłosiły ją terytorium niezależnym od Szotaru. Szotarski rząd nie uznał tej jednostronnej deklaracji i wysłał żołnierzy mających stłumić rebelię. Szotarczycy przekonali się jednak, że buntownicy są dobrze wyszkoleni, i poprosili Espenię o pomoc.

– Jeśli espeńscy żołnierze będą walczyli z rebeliantami w Szotarze, konflikt może się przerodzić w wojnę z Ygutanem. – Pan Hian pokręcił głową. Miał zatroskaną minę. – Mój bratanek mówi, że Kekon również zostanie wciągnięty w wojnę, bo Espeńczycy wykorzystają go jako bazę i zażądają jadeitu dla swoich żołnierzy.

– Jestem pewien, że ma rację – odparł Anden. – Ludzie z biura prognozyka wiedzą, co się dzieje. – Bratanek jego gospodarza był starszym szczę-

ściodawcą pracującym w biurówcu klanu na Statkowej. Ukończył Akademię razem z Kaul Lanem i Woon Papidonwą. To on zapewnił Shae, że jego stryj zaopiekuje się Andenem podczas pobytu chłopaka w Espenii.

– A co z tobą, Anden? – zapytała pani Hian. – Czy osiągnąłeś już pozycję w klanie? – Nie zapytała, czy jest „członkiem” albo „częścią” klanu. Większość ludzi w Janloonie miała jakieś związki z którymś z klanów zielonych kości, ale posiadanie „pozycji” w klanie oznaczało wysoki status i zwykle wiązało się z noszeniem jadeitu.

Być może bratanek pana Hiana powiedział im, że Anden ukończył Akademię Kaul Dushurona, i dlatego zdziwili się, nie widząc na nim żadnej zieleni. Anden się zawahał. Nie chciał, by jego gospodarze byli o nim niskiego zdania, ale wolałby też ich nie okłamywać.

– Osiągnąłem, ale mój kuzyn jest filarem i zdecydował, że powinienem wyjechać do Espenii na studia.

Przez moment udawał przed sobą, że kuzynem, o którym wspomniał, był Lan, a nie Hilo. Przeszyło go ukłucie litości dla samego siebie. Gdyby Lan żył, Anden nie znalazłby się w takiej sytuacji.

Hianowie pokiwali głowami. Z pewnością domyślali się, że za tą historią kryje się coś więcej, ale nie zadawali już więcej pytań.

– Masz szczęście, że twoja rodzina jest tak bogata i potężna, że może sponsorować twoją edukację, nawet jeśli oznacza to, że wysłali cię na drugi koniec świata – stwierdził pan Hian. – Z pewnością jesteś bardzo zmęczony. Powinniśmy położyć się spać.

– Panie Hian... – zaczął Anden, ale mężczyzna przerwał mu, unosząc rękę.

– Twój kuzyn powierzył cię naszej opiece – oznajmił. – Dopóki jesteś w Espenii, powinieneś traktować nas jak rodzinę. Możesz pytać o wszystko, o co zapytałbyś własnych krewnych.

Anden skinął głowę.

– Wujku, jak ci się podoba życie w Espenii?

Stary mężczyzna podrapał się z namysłem po brodzie.

– Jest całkiem niezłe – odparł. – Oczywiście to nie Kekon. Jedzenie, język oraz zwyczaje Espeńczyków zawsze będą się nam wydawały trochę dziwne. Ale są tu też dobre rzeczy. A co najważniejsze, tutaj mieszkają nasi synowie. Dom jest tam, gdzie rodzina.

Anden łyknął proszek i długo spał w samolocie. Dlatego teraz nie mógł zasnąć. Pokój w akademiku, rezydencja Kaulów w Janloonie oraz dom na

plaży w Marenii były cichymi miejscami, oddalonymi od ruchu ulicznego. Tutaj przez całą noc słyszał rozmowy, samochody, syreny oraz inne odgłosy miasta. Przez kilka godzin leżał w łóżku bezsenne i czuł się straszliwie przygnębiony.

\* \* \*

Shae zapisała go na Immersyjny Kurs Espeńskiego dla Osób Obcojęzycznych (IKEOO), prowadzony w college'u w Port Massy. Wiosenny cykl zaczynał się w przyszłym tygodniu. Pan Hian pokazał Andenowi, do którego autobusu musi wsiąść, i pojechał z nim pierwszego dnia. Anden znał po espeńsku może ze trzydzieści słów, przeważnie wywodzących się z popkultury. W Akademii uczono tego języka, ale on po jednym semestrze zrezygnował z nauki na rzecz dodatkowego kursu Odbijania. Był wówczas przekonany, że znajomość espeńskiego na nic mu się nie przyda. Jeśli pragnął zostać pięścią klanu Bez Szczytów, biegłość we władaniu jadeitem była znacznie ważniejsza.

W programie uczestniczyło pięćdziesięciu studentów z całego świata. Było wśród nich czworo Tuni i dwoje Szotarczyków, ale Anden był jedynym Kekończykiem. Nauczycielką była gburowata kobieta o włosach koloru pszenicy. Gdy Anden odpowiedział na jej pytanie, skąd pochodzi, w pierwszej chwili pomyślała, że chodzi mu o Callon, miasto w Stepenlandzie. Uczestnicy kursu zajęli miejsca przy okrągłych stołach i nauczycielka zachęcała ich, by się poznali ze sobą. Anden postanowił, że będzie uprzejmy, ale nie przybył tu po to, by szukać przyjaciół. I całe szczęście, bo podczas przerwy obiadowej bardzo szybko uformowały się grupy oparte na przynależności etnicznej. Anden mógłby usiąść razem z grupką Tuni, ale nie zrobił tego, ponieważ instynktownie im nie ufał. Kekończycy tradycyjnie uważali się za lepszych od sąsiadujących narodów.

Jego zdaniem istniały dwa sposoby na poradzenie sobie z tą sytuacją. Mógł pogрузić się w rozpacz i przeżyć cały rok na automacie albo zaciśnąć zęby i udowodnić, że to również go nie złamie. Mógł być jednym z najmniej zaawansowanych uczniów, ale będzie pracował więcej niż pozostali. Nauka z książek nigdy nie była jego silną stroną, nie zdziwił się więc, że czytanie i pisanie po espeńsku sprawia mu trudność. Wkrótce jednak przekonał się, że z rozumieniem języka mówionego radzi sobie znacznie lepiej. Gdy tylko mógł, siadał w kampusowej strefie gastronomicznej, na

publicznych ławkach albo na przystankach autobusowych i podsłuchiwał prowadzone w pobliżu rozmowy, często powtarzając słowa w myślach i formując je bezgłośnie ustami. Uczepił się myśli, że im szybciej ukończy naukę, tym wcześniej będzie mógł wrócić do domu.

W następnych miesiącach czas, którego nie spędzał na zajęciach ani nie poświęcał na naukę, starał się wykorzystać na pomaganie gospodarzom. Praca w sklepie meblarskim w Marenii nauczyła go radzić sobie z narzędziami i z codziennymi obowiązkami. Naprawił słabo się trzymające na zawiasach drzwi, uszczelnił powodujące przeciągi okna i zrobił z kilku bezużytecznych desek półki na buty. Pomagał też Hianom załatwiać sprawunki i nosił im różne rzeczy.

– To my powinniśmy ci płacić za to, że z nami jesteś! – zawołała pewnego dnia pani Hian. – Mieszkali już u nas studenci, ale większość z nich pragnęła tylko poznawać miasto i dobrze się bawić. Za ciężko pracujesz.

Anden zorientował się, że ich dzielnica przypomina patchwork. Sąsiadowało tu ze sobą kilka enklaw rozmaitych kultur. W promieniu dwunastu przecznic od szeregowca Hianów mieszkało wiele kekońskich rodzin, ale wystarczyło, że Anden przeszedł przez ulicę, by wkroczył do całkowicie tuńskiej dzielnicy. Mieszkańcy krzyczeli na dzieci w swym gardłowym języku, a przed każdym gankiem w powietrzu unosiła się gryząca woń potraw gotowanych w glinianych naczyniach na przenośnych piecykach. Reszta rozległej Południowej Pułapki, ciągnącej się od Lockwood na zachodzie aż po Quince na wschodzie, należała do Espeńczyków z klasy niższej i pracującej.

Pewnego popołudnia Anden spóźnił się na autobus. Ponieważ dzień był ciepły, jak na wiosnę w Port Massy, postanowił, że wróci do domu Hianów na piechotę. Zajęło mu to prawie dwie godziny, ale był dumny z tego, że sam znalazł drogę w obcym mieście i lepiej poznał jego topografię. Po drodze poczuł pragnienie, więc wszedł do sklepu na rogu, żeby kupić coś do picia i torebkę orzechów. Odliczył miedziane espeńskie monety i położył je na blacie. Właściciel, rosy mężczyzna z wąsami, powiedział mu po espeńsku coś, co zabrzmiało wesoło i uprzejmie. Chłopak nadal obawiał się mówić w tym języku, skinął więc tylko głową i uśmiechnął się. Ten problem nie przestawał go prześladować – na pierwszy rzut oka można go było wziąć za Espeńczyka i często czuł się zażenowany, gdy obcy ludzie próbowali z nim rozmawiać.



Gdy zmierzał ku wyjściu, do środka weszło dwóch mężczyzn. Nie tracili czasu na oglądanie towaru, lecz od razu podeszli do lady i zaczęli coś mówić do właściciela – początkowo serdecznym tonem, w którym jednak szybko pojawiła się twarda nuta groźby. Anden zatrzymał się w wejściu i odwrócił się akurat na czas, żeby zobaczyć, że właściciel otworzył kasę i nerwowo odlicza monety, a następnie wręcza je jednemu z intruzów. Spojrzał przelotnie na Andena, jakby liczył na jego pomoc. Kekończyk zatrzymał się, dotykając jedną ręką drzwi. To nie byli jego rodacy, nie wiedział, co się dzieje, i nie chciał się wplątać w paskudną sytuację.

Suma, którą wręczył im właściciel, najwyraźniej była niewystarczająca. Padły kolejne ostre słowa. Jeden z mężczyzn złapał za dwie najbliższe szafki i pociągnął je do przodu. Batony i okulary przeciwsłoneczne posypały się na ziemię. Właściciel sklepu sprzeciwił się gniewnie. Drugi mężczyzna złapał go za włosy i walnął jego czołem o ladę z bolesnym stukiem. Następnie popchnął go do tyłu. Właściciel upadł z trzaskiem i zniknął Andenowi z oczu. Dwaj napastnicy wyszli. Anden zszedł im z drogi. Jeden z nich zatrzymał się na moment.

– Czego się gapisz? – warknął do chłopaka. Anden po raz pierwszy tak wyraźnie zrozumiał coś, co powiedziano do niego po hiszpańsku. Drugi mężczyzna pociągnął jednak pierwszego za sobą. Zatrzasnęli drzwi.

Serce Andena tłukło jak szalone. Miał wrażenie, że powinien coś zrobić, ale nie był pewien co. Instynkt podpowiadał mu, że lepiej nie wchodzić w drogę dwóm napastnikom, nie wiedział jednak, jak powinien postąpić w Hiszpanii ktoś, kto stał się świadkiem kłopotów. W Janloonie uciekłby i zawiadomił o incydencie palec z klanu albo nawet pięść, gdyby zdołał znaleźć kogoś o tak wysokiej randze.

Sprzedawca jęknął i zaczął się podnosić zza lady. Najwyraźniej nie ucierpiał zbyt poważnie. Anden wolał nie mieć więcej do czynienia z nieszczęśnikiem i – nie zważając na wstyd – uciekł na ulicę.

Pan i pani Hian byli zaniepokojeni, że przyszedł tak późno, i skarcili go za to, że nie zadzwonił, by po niego przyjechali. Zdenerwowali się jeszcze bardziej, gdy im wytłumaczył, że wrócił na piechotę, i opowiedział o tym, co wydarzyło się po drodze.

– To ludzie z paczek. Pracują dla szefa Kromnera. Nie chodź tam nigdy!  
– zawołała pani Hian.

Anden nie miał kłopotów z informacją, że do pewnych części miasta nie powinno się chodzić. W gruncie rzeczy dziwnie uspokoiła go myśl, że

w Port Massy są klany i terytoria, podobnie jak w Janloonie. Podejrzewał, że sprzedawca był kimś w rodzaju latarnika, a dwóm napastnikom rozkazano pobrać należną daninę. Cieszył się, że nie wtrącił się jak idiota w klanowe sprawy, o których nic nie wiedział, niepokoiła go jednak dziwna brutalność tej sytuacji. Na Kekonie rzadko się zdarzało, by zielone kości tak traktowały nawet najbardziej krnąbrnych latarników. Klany miały swój udział w każdym aspekcie życia społecznego. Odmowa zapłaty umiarkowanego trybutu oznaczała utratę patronatu klanu, co utrudniłoby życie pod bardzo wieloma względami. Niegodny zaufania latarnik mógł mieć kłopoty z otwarciem rachunku bankowego, kupieniem domu albo znalezieniem szkoły dla dzieci. Nie trzeba było mu grozić ani używać przeciwko niemu przemocy.

Anden zastanawiał się nad tym wszystkim, jedząc zupę rybną z imbirrem.

– Dlaczego właściciel sklepu nie poprosi tego Kromnera o wyrozumiałość? – zapytał. Był pewien, że znacząca część obowiązków jego kuzynki Shae polega na negocjowaniu umów z latarnikami, choć nieco ważniejszymi niż właściciele małych sklepików.

Pan Hian zachichotał, ale spoważniał nagle, gdy sobie uświadomił, że Anden nie żartuje. Wstał i zaczął grzebać w kartonowym pudełku stojącym na podłodze, zawierającym wciąż rosnącą stertę starych gazet. Wreszcie znalazł numer „Dziennika Portmassańskiego” sprzed tygodnia i zaczął przerzucać strony, aż znalazł to, czego szukał. Położył gazetę na stole i wskazał palcem zdjęcie grubego Espeńczyka w ciemnym garniturze, pod krawatem i wysiadającego z czarnego zt toro. Towarzyszyła mu kobieta w długim białym futrze. Anden nadal nie czytał zbyt dobrze po espeńsku, ale nagłówek miał coś wspólnego z korupcją w policji.

– Blaise Kromner to zły człowiek – wyjaśnił pan Hian. – Przestępca. Sprzedaje narkotyki i handluje kobietami. Jego ludzie wykonują całą robotę za niego i dlatego nie można go złapać. Ma piękny samochód i nosi drogie ubrania, ciągle chodzi na przyjęcia i robią mu zdjęcia. Myślisz, że obchodzi go jakiś sklepikarz? Że w ogóle wie o jego istnieniu? – Mężczyzna złożył gazetę i wrzucił ją z powrotem do pudełka. – Anden-se, paczki nie są jak klany. Dbają tylko o pieniądze. Nic nikomu nie dają, tylko zabierają. Ten sklepikarz musi ciągle płacić i płacić, ale nic w zamian nie dostaje.

\* \* \*

Dwa tygodnie później otrzymał kolejną szokującą nauczkę w kwestiach kultury. Tym razem znacznie bliżej domu. Wracał wieczorem z torbą pełną zakupów, które zrobił dla Hianów, gdy nagle usłyszał krzyk dobiegający z jednego z otwartych okien.

To zdarzało się często. Mieszkająca tam kekońska para ciągle walczyła ze sobą jak zwierzęta. Czasami krzyczeli na siebie nawet późną nocą. Wyraźnie usłyszał głos mężczyzny.

– Zabiję cię, jebana pizdo!

Anden usłyszał łoskot, a potem kolejne krzyki obu stron. Nagle kobieta wybiegła w nocnym ubraniu prosto na ruchliwą ulicę.

Za chwilę mogła wpaść prosto pod nadjeżdżający samochód, niczym koza, która urwała się ze sznurka. Młody rowerzysta skręcił nagle i zeskończył z pojazdu, przeklinając z zaskoczenia. Anden upuścił torbę z zakupami i ruszył w tamtą stronę, mimo że natychmiast się zorientował, że nie zdąży na czas.

Rowerzysta skoczył ku oszalałej kobiecie i pociągnął ją na chodnik, pomagając sobie Siłą i Lekkością. Samochody przemykały o szerokość dłoni od nich, trąbiąc głośno. Zdumiony mąż kobiety – pijany, wściekły i rozebrany do pasa – wypadł na ulicę, wrzeszcząc coś niezrozumiale. Rowerzysta odwrócił się i rzucił w niego Odbijaniem, trafiając w kolana. Tamten zachwiał się, ale znowu ruszył naprzód. Drugie Odbijanie uderzyło w niego na wysokości pasa. Usiadł ciężko na chodniku, jakby nagle wpadł na sznur od bielizny.

Jego żona wbiegła do domu sąsiadów, płacząc głośno. Nawet nie podziękowała rowerzyście. Po dłuższej chwili jej mąż podniósł się i wycofał do domu. Mamrotał przekleństwa, ale nie odważył się spojrzeć na rowerzystę.

Anden wreszcie odzyskał głos.

– Jesteś zieloną kością! – zawołał po kekońsku.

Młodzieniec spojrział na niego z drugiej strony ulicy i odgarnął rozczochrane włosy, by lepiej przyjrzeć się Andenowi. Wybuchnął śmiechem, odsłaniając szereg białych zębów.

– A ty jesteś głupim wyspiarzem! – zawołał w odpowiedzi. Otrzeptał spodnie i podniósł rower.

Anden gapił się na niego, rozdziawiając usta ze zdumienia. Nie widział u rowerzysty żadnego jadeitu, ale musiał gdzieś go mieć. Chłopak wszedł na sfatygowany rower i obejrzał się na Andena, który nadal stał na chodniku. Rozsypane zakupy leżały wokół niego.

– Myślałeś, że nigdzie poza wyspą ludzie nie noszą jadeitu?

Pomachał drwiąco ręką i oddalił się, napinając mięśnie łydek i pochylając muskularne barki nad kierownicą. Anden śledził go wzrokiem, aż zniknął mu z oczu.

Przyszło mu na myśl, że być może nie wszystko w Espenii jest nieznośnie dziwne.

# ROZDZIAŁ 12

## NIEZBĘDNE DZIAŁANIA

Spotkanie między filarami Góry i klanu Bez Szczytów odbyło się w miasteczku Gohei, odległym o około siedemdziesięciu pięciu kilometrów od serca Janloonu. Ostatni raz Kaul Hilo i Ayt Mada spotkali się rok temu, w Gmachu Mądrości, podczas trwających kilka dni negocjacji prowadzonych przez komitet mediacyjny powołany przez Radę Książęcą. W przeciwieństwie do tamtego wydarzenia, które było tylko spektaklem urządzonym na użytek publiczności i oba klany świetnie zdawały sobie sprawę, że nie dojdzie do żadnego porozumienia, o spotkaniu w Gohei wiedziała jedynie garstka zielonych kości ze ścisłego przywództwa obu skonfliktowanych stron. Gohei pozostawało pod kontrolą małego klanu Czarny Ogon, który nie był lennikiem Góry ani klanu Bez Szczytów i nie był też winien wierności żadnemu z nich. Spotkanie odbywało się na neutralnym gruncie i miało potrwać tylko jedno popołudnie. Oba klany zapłaciły za obecność dwóch wysokich rangą pokutników ze Świątyni Boskiego Powrotu. Wszystkie te szczegóły uzgodnili prognostycy, co sugerowało, że dyskusje będą traktowane z powagą.

Hilo, Shae, Kehn i trójka ich najbliższych współpracowników – Tar, Woon oraz Juen – przybyli do Gohei tuż przed południem i udali się do domu filaru Czarnego Ogona. Durn Soshunuro, jego żona oraz troje z czworga ich dzieci przywitali ich z wielkim szacunkiem. Nieobecny był tylko najstarszy syn Durna, czekający w jakimś pobliskim miejscu. To był zrozumiały środek ostrożności i nikt nie mógł mieć o to pretensji do rodziny Durnów, biorąc pod uwagę mało prawdopodobną, lecz niebezpieczną możliwość, że negocjacje załamią się dramatycznie, a gospodarze zostaną uznani za winnych bądź znajdą się w krzyżowym ogniu. Stryj Durna był towarzyszem Ayt Yugontina i Kaul Seningtuna z czasów wojny, ale potem nie chciał zamieszkać w wielkim mieście i przeniósł się na pro-

wincję. Z błogosławieństwem Ayta i Kaula założył własny niewielki klan i przejął kontrolę nad Gohei. W owych czasach mieszkańcy miasteczka zajmowali się głównie rolnictwem. Służyło też ono jako ośrodek handlu z plemionami Abukei oraz miejsce postoju dla wędrowców podróżujących do Janloonu.

W ciągu następnych dziesięcioleci stolica nie przestawała się jednak rozrastać i Gohei zmieniło się w coś w rodzaju dalekiego przedmieścia – po drodze Hilo nie zauważył prawie żadnej przerwy w miejskiej zabudowie. Durn Soshu gorąco pragnął zachować dobre stosunki zarówno z Górą, jak i z klanem Bez Szczytów, ponieważ wiedział, że od tego zależy niezależność jego klanu. Nawet jeśli było tylko kwestią czasu, kiedy Czarny Ogon zostanie lennikiem któregoś z wielkich klanów, Durn był mądrym filarem i pragnął, by to przejście odbyło się pokojowo. Wiedział, do jak skrajnej przemocy są zdolne wielkie klany, i nie chciał, by jego rodzina – tylko połowa z niej nosiła jadeit – padła jej ofiarą. Dlatego oddał cały swój dom do dyspozycji gości i przeznaczył wielki, słoneczny pokój na miejsce obrad. Ustawiono tam odpowiednią liczbę krzeseł, a pośrodku stołu stał dzbanek z zimną herbatą cytrusową oraz szklanki. W kątach stało dwóch pokutników, a dwóch następnych siedziało w przednim i tylnym korytarzu, dzięki czemu całe piętro pozostawało pod duchowym nadzorem. Hilo uprzejmie podziękował Durnowi, a Woon dyskretnie wręczył jego żonie zieloną kopertę z rekompensatą za trudy, jakie poniosła ich rodzina.

Na szczęście Hilo po drodze rozmawiał przez długi czas z Shae i Kehnem, dzięki czemu był mentalnie przygotowany na spotkanie, Ayt Mada i jej ludzie zjawili się bowiem zaledwie po kilku minutach. Gdy weszli do środka, liczba jadeitowych aur naciskających na umysł filaru klanu Bez Szczytów stała się tak wielka, że przyćmiły nawet blask słońca wpadający do środka przez wielkie okna. Po raz pierwszy miał okazję uważnie przyjrzeć się Nau Suenowi. Jego wzrok oraz Postrzeżenie zatrzymały się przez dłuższy czas na człowieku, który zastąpił Gont Ascha. Nau był wysoki i szczupły, i choć miał już pięćdziesiąt parę lat, sprawiał wrażenie kogoś, kto wstawał o wschodzie słońca, by przebiec pięć kilometrów przed śniadaniem. Być może dlatego, że przez wiele lat był instruktorem w Szkole Świątynnej Wie Lona, nosił jadeit na nadgarstkach, na skórzanych opaskach podobnych do używanych przez uczniów. Uważne spojrzenie i chłodna, czujna jadeitowa aura sugerowały, że bardzo niewiele umyka jego uwagi.

Ayt Mada wyglądała tak samo, jak poprzednio. Miała na sobie luźne niebieskie spodnie oraz białą bluzkę. Jej niewzruszone spojrzenie i gęsta aura przyciągały uwagę wszystkich.

– Witaj, Kaul-jen – rzekła i usiadła na jednym z dwóch krzeseł ustawionych bliżej stołu.

Hilo bez słowa zajął miejsce naprzeciwko niej. Rogi i prognostycy zasiedli tuż za filarami, a pozostałe zielone kości stały pod ścianami. Durn i jego żona przynieśli talerze z przekąskami – kawałki owoców, bułeczki z pastą orzechową oraz słone mięsne ciasteczka – i napełnili szklanki chłodną herbatą. Najmłodsze z dzieci Durna – dziewczynka w wielu około ośmiu lat – szło tuż za rodzicami. Gdy oboje filarów skinęło głowami, Durn nalał dziewczynce herbaty i pozwolił jej poczęstować się przekąskami, na dowód, że wszystko z nimi w porządku. Następnie oddał honory filarom, kłaniając się nisko, zasłonił okna, by zapewnić rozmawiającym prywatność, i wyszedł bez słowa.

Ayt przemówiła pierwsza.

– Jak sądzę, twoja prognostyczka wyjaśniła ci, dlaczego urządziliśmy to spotkanie.

Hilo przymrużył powieki, usłyszawszy pogardliwą sugestię, że trzeba mu wyjaśnić nawet najprostsze rzeczy. Jeśli jednak Ayt Mada uważała go za głupiego zbira, nie miał powodu wyprowadzać jej z błędu. Oparł się wygodnie i włożył sobie do ust całą bułeczkę z pastą orzechową. Minęła chwila, nim pogryzł ją na kawałki i przełknął.

– Jesteśmy tu dlatego, że spodziewałaś się, że w tej chwili będziesz już panowała nad całym miastem, a wszyscy, którzy noszą nazwisko Kaul, będą karmili robaki. Tak się jednak nie stało. – Rozpostarł ręce i uśmiechnął się do niej zimno. – Negocjacje zaczynają się wtedy, gdy przemoc zawodzi.

– Gdyby któreś z nas mogło wygrać tę wojnę, posługując się guan dao, to już by się wydarzyło, Kaul-jen – odparła filar Góry z nutą niecierpliwości. – Postawiliśmy siebie, a także cały kraj, w niemożliwej do utrzymania pozycji. Do skarbcza nie napływają pieniądze z eksportu zieleni. Konflikt w Oortoko może się przerodzić w wojnę między wielkimi mocarstwami, chciwie spoglądającymi na nieczynne kekońskie kopalnie jadeitu, którego potrzebują dla swoich armii. Jeśli nie zmienimy kursu, zagrozimy stabilności rządu, pozbawimy oba klany zapasów klejnotów, utracimy poparcie ludzi i uczynimy nasz kraj łatwym celem dla cudzoziemców. Opinia

publiczna świetnie o tym wie, podobnie jak Rada Książęca oraz przemysłowcy tacy jak Zapunyo. Musimy zapobiec tej katastrofie.

Hilo obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem.

– Jeśli KSJ ma wznowić działalność, najpierw trzeba zaakceptować wszystkie nowe zasady. Całość wydobytego jadeitu musi przechodzić przez oficjalne kanały, by nikt nie mógł dopuścić się kradzieży. – Wykrzywił usta. – Powinienem powiedzieć „dalszych kradzieży”. Nadal nie zapłaciła Skarbcowi za „finansowe nieprawidłowości”, które wykrył audyt w zeszłym roku.

Ayt nie przejęła się tym atakiem.

– Nie wracajmy do przeszłości, Kaul-jen. Nikogo nie obchodzą księgi sprzed trzech lat. Jeśli przestaniesz poruszać temat domnianego przywłaszczenia, zgodzimy się przez najbliższe trzy lata otrzymywać niższe przydziały z KSJ. Nasi prognostycy mogą wyliczyć wszystko dokładnie, by usatysfakcjonować radę nadzorczą.

Hilo wzruszył ramionami. Nie spodziewał, że Góra zgodzi się na ustępstwa w sprawie jadeitu, który już ukradła, podejrzewał więc, że to wszystko, na co może liczyć.

– W porządku. To załatwia sprawę KSJ. Przejdźmy do przemytu. Ludzie Ti Pasuiga działają w mieście i całym kraju. Zapunyo nic nie obchodzi granice między klanami. Cudzoziemców również nie. Rozejm musi oznaczać, że obie strony zobowiążą się walczyć z czarnym rynkiem w równym stopniu. Musimy zniszczyć skorpeny, handlarzy jadeitem oraz zagranicznych gangsterów, którzy rozplenili się niczym chwasty, kiedy byliśmy zajęci walkami między sobą. Gdyby jedna ze stron włożyła więcej wysiłku w rozwiązanie tego problemu, druga z łatwością mogłaby to wykorzystać i zająć niebronione terytoria.

Ayt pochyliła głowę.

– Mój róg będzie współpracował z waszym, by skoordynować nasze wysiłki w walce z przemitem. Zgadza się, że trzeba go wyeliminować. Nie podejmiemy prób zajęcia waszych terytoriów, pod warunkiem, że sporne obecnie dzielnice zostaną sprawiedliwie podzielone.

– Sprawiedliwie podzielone – powtórzył ze wzgardą Hilo.

Żaden podział nie mógłby usatysfakcjonować obu stron. Zeszłoroczne trzydniowe negocjacje w Gmachu Mądrości dowiodły tego z niezachwianą pewnością. Każdy podział terytorium między dwoma klanami można było bez końca podważać jako niesprawiedliwy. Sama myśl o oddaniu czegokol-



wiek Górze doprowadzała go do furii, wiedział jednak, że tę kwestię można rozstrzygnąć tylko szybko i szczerze.

– To zależy, czy mówimy o obszarze, czy o wartości.

– O wartości – uściśliła Ayt Mada.

Hilo skrzywił się z niezadowoleniem. Tego należało się spodziewać. Obejrzał się, wymienił parę słów z Shae, po czym znowu spojrzął na Ayt.

– Zatrzymamy ulicę Dla Ubogich i resztę Pachy.

Największe kasyna w mieście były nie tylko najbardziej zyskownymi zdobyczami klanu i miały symboliczne znaczenie, lecz również strategicznie uzupełniały biznesy klanu w branży hotelarskiej.

– W takim razie musimy odzyskać Włócznie na południe od Patriotycznej i otrzymać Sogen – odpowiedziała natychmiast Ayt. Najwyraźniej przewidziała, jakie będą priorytety rywala.

– Trzy czwarte Sogenu – zgłosił kontrpropozycję Hilo. – Wszystko na zachód od Dwudziestej Ulicy.

To pozwoliłoby klanowi Bez Szczytów zachować kontrolę nad strefą położoną po obu stronach Bulwaru Haino i stworzyć bufor chroniący Stare Miasto. To i tak byłoby poważne ustępstwo, zwłaszcza że Tar i jego ludzie tak ciężko walczyli o tę dzielnicę w zeszłym roku. Hilo Postrzegał niezadowolenie swego filarowego, ale przybywając tutaj, wiedzieli, że będą musieli coś oddać.

– Nasi prognostycy muszą wszystko obliczyć i wspólnie to zaakceptować.

– Oczywiście – zgodziła się Ayt.

– I wydacie nam Yun Doruona – dodał Hilo.

– Mieszka w osadzie o nazwie Opia, bez żadnej ochrony – odparła Ayt tak spokojnie, jakby zapytano ją o godzinę. – Wasi szpiegzy mogą to potwierdzić.

Hilo wyczuł lekką zmianę w aurze Shae.

– Jeszcze jedno – dodał. – Mój kuzyn Anden. Wiesz, że nie nosi jadeitu. Dopóki to się nie zmieni, nikt z Góry nie może się do niego zbliżyć, bez względu na to, gdzie będzie przebywał. Obecnie studiuje za granicą, ale świat z każdą chwilą staje się coraz mniejszy. Jeśli spotka go coś podejrzanego, uznaję, że winni są ludzie obecni w tym pokoju. Nie powinniśmy przypominać tu o *aisho*, jakbyśmy byli przedszkolakami, ale najwyraźniej tak to wygląda w dzisiejszych czasach.

– Dopóki pozostanę filarem, a Emery Anden nie będzie nosił jadeitu, nie będziemy się do niego zbliżać ani szukać zemsty za śmierć Gont Ascha. – Głos Ayt był zimny jak lód, ale kącik jej ust uniósł się z lekkim rozbawieniem. – Czy osiągnęliśmy porozumienie, Kaul Hiloshudon?

Hilo nie spodziewał się, że kiedykolwiek znajdzie się w takiej sytuacji. Śmierć, tak jest, z całą pewnością, ją wyobrażał sobie bardzo często, ale nie to, że znajdzie się w zasięgu ręki od swej rywalki i będzie spokojnie negocjował z nią zawarcie pokoju. Nie był bogowiercą i nie wierzył w życie pozagrobowe, wyobraził sobie jednak, że duchy wszystkich, którzy zginęli za klan, unoszą się gniewnie nad nim. Jego brat Lan, wiele jego pięści – Satto, Goun i Lott, żeby wymienić tylko trzech – i niezliczone palce, które przysięgły mu wierność. Większość z nich stanowili młodzi wojownicy, którzy zginęli u progu życia.

Przez mgnienie oka był bliski mdłości ze wstrętu do samego siebie. Jak Shae zdołała go przekonać do wyrażenia zgody na coś takiego? Zawsze naciskała na niego, by podejmował przemyślane, rozsądne decyzje, ale rozsądne niekoniecznie znaczyło słuszne. Wiedział, że Ayt Postrzeże rozbłysk emocji w jego jadeitowej aurze, podobnie jak on wyczuwał, że ukryta za jej spokojem nienawiść do niego nie osłabła nawet w najmniejszym stopniu. Filar Góry podjęła te rozmowy z konieczności, podobnie jak on.

– Tak – rzekł Hilo. – Na oczach nieba i na jadeit.

– Na oczach nieba i na jadeit – zgodziła się Ayt Mada, powtarzając skróconą wersję słów kończących dłuższe tradycyjne przysięgi zielonych kości. W ten sposób przypieczętowali decyzje podjęte podczas spotkania, czyniąc je oficjalnymi słowami filaru, wołą klanu. Określono zasadnicze intencje paktu, natomiast wynegocjowanie szczegółów będzie zadaniem prognostyków.

Ayt spojrzała za siebie, by powiedzieć coś swemu rogowi i prognostykowi.

– Zanim odjedziemy, chcę przez parę minut porozmawiać z Kaul Hilo-jenem w cztery oczy. – Spojrzała na Hila z miną jeszcze bardziej nieprzeniknioną niż zwykle. – Jak filar z filarem.

Nau Suen i Ree Tura wstali z krzesel i wyszli z pokoju, zabierając ze sobą swych asystentów. Po chwili wahania Hilo zerknął na Kehna oraz Shae i skinął głową, nakazując im również odejść. W ich jadeitowych aurach wyczuwało się nieufność wywołaną tą niezwykle prośbą, oboje wstali jednak i opuścili pomieszczenie. Pozostali ludzie z klanu Bez Szczy-

tów podążyli za ich przykładem. Nikt z zielonych kości nie oddalił się zbyt-  
nio. Hilo Postrzegął, że stoją tuż obok, gotowi powrócić na wezwanie fila-  
rów.

Zachowanie Ayt zmieniło się nagle, stało się niemal swobodne. Wsparała  
się jednym łokciem o blat i wzięła sobie parę kawałków owoców oraz mię-  
snych ciasteczek na mały talerzyk. Rękaw jej bluzki opadł, odsłaniając spi-  
rale osadzonych w srebrze jadeitów.

– Porozmawiajmy szczerze, Kaul-jen – rzekła. – Nie chcesz być filarem.  
Nie pasujesz do tej roli, w przeciwieństwie do swego dziadka i brata.

– Nie zapomniałem, że przypadła mi ona z twojego powodu – odpowie-  
dział Hilo bardzo zimnym głosem.

– A ja nie zapomniałam, że zabiłeś dziesiątki moich zielonych kości  
i zamordowałeś Gont Ascha. Oboje używaliśmy metod i podstępów, jakie  
uważaliśmy za konieczne w czasie wojny. Zawsze należy się spodziewać  
nieoczekiwanych strat. – Wstała i podeszła do okna, zabierając talerzyk.  
Rozsunęła nieco zasłony, by spojrzeć na okolicę – niskie zielone wzgórza  
podzielone na tarasy, ludzie trudzący się w oddali, brudna od błota furgon-  
etka wyprzedzająca zaprzężony w wołu wóz na drodze za posiadłością  
Durnów. Powoli zjadła przekąski z talerza i się odwróciła. Jej sylwetka  
rysowała się ostro na tle światła padającego przez okno, ale twarz skryła się  
w cieniu. – Kaul Lan urodził się na filar i odebrał odpowiednie szkolenie.  
Ty nie. Czy rzeczywiście wierzysz, że możesz odnieść sukces w dyploma-  
cji, interesach czy w jakiegokolwiek sytuacji, w której nie będziesz miał  
w ręce karambita? Zapomnij na moment o ślepej żądzy zemsty i spróbuj  
przez chwilę myśleć bezstronnie, jeśli jesteś do tego zdolny. Nie rozkaza-  
łam zabić twojego brata i wydałabym ci jego zabójców, gdybym tylko wie-  
działa, kim są. – Ściszyła głos i po raz pierwszy, odkąd Hilo pamiętał, prze-  
mawiała do niego tonem zbliżonym do rozsądnego. – Zjednoczenie naszych  
klanów nadal jest możliwe. To rozwiązanie byłoby najlepsze dla wszyst-  
kich. Skończyłyby się walki na ulicach i nieustanna rywalizacja o zyski  
oraz wpływy polityczne. Działając wspólnie, zielone kości mogłyby poło-  
żyć kres przemytowi, przejąć kontrolę nad handlem jadeitem oraz błyskiem  
i stać się niepokonaną siłą powstrzymującą cudzoziemców.

Ayt odsunęła się od okna.

– Nawet twoi wrogowie muszą przyznać, że masz dwie zalety, Kaul-jen.  
Zawsze dotrzymujesz słowa i jesteś urodzonym rogiem. Nau Suen jest za  
stary, by być rogiem Góry przez więcej niż kilka lat. Możesz zapewnić

korzyści zarówno sobie, jak i całemu krajowi. Przysięgnij, że położysz kres rozlewowi krwi, i zgódź się na połączenie naszych klanów, a będziesz mógł wrócić na swe właściwe miejsce, władać ulicami, nie pozwalając, by jadeit wpadał w ręce przemytników i innych przestępców, stać się zieloną kością, jaką najlepiej potrafisz być, taką, która zostawia za sobą ślad krwi, jak to zrobiłeś na Tialuhii.

Hilo oparł się wygodniej i lekko przechylił głowę.

– Jesteś naprawdę niezwykłą osobą, Ayt-jen – stwierdził po chwili. – Zastanawiam się, jak to jest myśleć jak maszyna i nie dbać o nikogo.

Ayt zeszytywniała wyraźnie, usłyszawszy te słowa. Jej gęsta jadeitowa aura zawrzała.

– Nie sądz, że mnie znasz, Kaul Hilo – wycedziła. Nie podniosła głosu, lecz w jej tonie pojawiła się nuta śmiertelnej groźby.

Hilo wstał z krzesła płynnym ruchem i podszedł bliżej.

– Wiem o tobie kilka rzeczy. Wyszeptałaś imię własnego brata. Współpracowałaś ze zdrajcą z mojego klanu i wspierałaś kryminalistów na naszym terytorium. Kradłaś i sprzedawałaś jadeit za naszymi plecami. Z twojego powodu zginął Lan. Próbowowałaś mnie zamordować i nakłonić moją siostrę, żeby to zrobiła. Czy to nie wystarczy, Ayt-jen? – Zerknął na pokutników stojących nieruchomo w kątach pomieszczenia, jakby chciał zasugerować, że powinni słuchać uważnie, gdy wylicza jej grzechy. Każde jego słowo było jak odrębne i powolne cięcie noża. – Nigdy nie złożę ci żadnej przysięgi.

Na twarzy Ayt gorzała pogarda sugerująca, że filar Góry ma już dość przewidywalnych reakcji.

– Wyciągam do ciebie rękę zamiast noża. Jeśli odrzucisz ten gest, już go nie powtórzę.

– Zatem rozumiemy się nawzajem – odparł Hilo. – To oczywiste, że nadal marzysz o ustanowieniu rządów jednego klanu nad Kekonem, a to oznacza, że bez względu na rozejm, prędzej czy później mnie zabijesz. – Wzruszył ramionami, ale w tym ruchu nie było śladu nonszalancji. – Chyba że ja dorwę cię pierwszy.

Usta Ayt poruszyły się niemal niedostrzegalnie, ale jej potężna aura zalała Hila groźbą gorącą jak rozżarzony piec i bezlitosną jak pożar lasu.

– Wielokrotnie próbowałam przemówić do rozumu upartej rodzinie Kaulów. – Poprawiła jedną ze spiral z jadeitem na przedramieniu. – Ree Tura będzie współpracował z waszą prognostyczką, by ustalić, w jaki spo-

sób zawiadomimy o zawartym porozumieniu Radę Książęcą oraz opinię publiczną. Jestem pewna, że Kekończycy ucieszą się i poczują ulgę na wieść o zmianie nastawienia klanów.

Filar Góry przeszła obok Hila, postawiła talerzyk na stole i wyszła z pomieszczenia.

# ROZDZIAŁ 13

## PO PRZEDSTAWIENIU

Po dwóch tygodniach urządzono oficjalną konferencję prasową, rano dnia po Święcie Łodzi, na neutralnym terenie w Dzielnicy Pomników. Wielka sala balowa w historycznym hotelu Generalska Gwiazda gościła w przeszłości głowy obcych państw, przedstawiciele rządów, dyplomatów oraz dygnitarzy wszelkiego rodzaju. Hilo wątpił jednak, by kiedykolwiek widziano tu jednocześnie filary dwóch klanów i tak wiele zielonych kości. Przez wielkie okna usytuowane za podwyższoną sceną można było zobaczyć zachodnią część Gmachu Mądrości, a także widoczny za szeregiem kwitnących drzew tarasowy szczyt Pałacu Triumfalnego. Wszyscy obecni – w tym również dziennikarze siedzący na krzesłach ustawionych w pierwszych rzędach – z pewnością rozumieli symboliczne znaczenie wyboru tego miejsca. To, co miano dzisiaj ogłosić, będzie równie ważne dla kraju jak wszelkie decyzje rządu.

Przedstawienie zorganizowano nie tylko dla prasy i dla ogółu, lecz również dla samych klanów. Lewą stronę sali zajmowały setki wysokich rangą członków klanu Bez Szczytów – latarników, szczęściodawców i pięści. Prawą stronę zajmowali ludzie wierni Górze. Pod ścianami i w kątach sali stało dwunastu gwarantujących zachowanie pokoju pokutników w długich zielonych szatach.

Kaul Hilo i Ayt Mada zasiedli naprzeciwko siebie za stołem na podwyższeniu. Przed obojgiem umieszczono mikrofony. Shae i Kehn siedzieli za ustawionym w płytkim zagłębieniu stolikiem obok Hila, a Ree Tura i Nau Suen zajęły identyczną pozycję po stronie Ayt. Przywódcy największych klanów na Kekonie, od prawie dwóch lat próbujących zniszczyć się nawzajem, spotkali się, by ogłosić Kekończykom, że zawarli pokój.

Obie strony zgodziły się, by konferencję prasową poprowadził Toh Kita, znany prezenter z Kekońskiej Stacji Państwowej. Toh przedstawił oboje

filarów, których nikomu nie trzeba było przedstawiać. Następnie Hilo i Ayt na zmianę odczytali wspólne oświadczenie dotyczące warunków rozejmu: zmiany w jurysdykcji nad terytoriami, wznowienie wydobywania jadeitu pod zreformowanym nadzorem KSJ, współpraca w walce z nasilającą się plagą handlarzy błyskiem oraz przemytników jadeitu. Dwoje filarów zapewniło na koniec, że mają obowiązki nie tylko wobec członków swych klanów, lecz również wszystkich obywateli.

Pozwolono na niewielką liczbę zaakceptowanych pytań od dziennikarzy. Toh odczytał je kolejno. Ayt zapytano, jakie kroki podejmie, by w jej klanie nie dochodziło więcej do „finansowych zaniedbań”. Filar zapewniła, że bardzo poważnie traktuje zastrzeżenia przedstawione przez Radę Książęcą i opinię publiczną. Ree Tura podał się do dymisji i przed upływem miesiąca mianuje się nowego prognostyka. Hilo nie był zaskoczony, a sam Ree zachował kamienną twarz. Był już bliski wieku emerytalnego i z pewnością brał pod uwagę możliwość, że klan złoży go w ofierze.

Następne pytanie zadano Hilowi.

– Kaul-jen, czy po zawarciu tej ugody ogłosisz, że nie będziesz już szukał osobistej zemsty za śmierć brata?

– Po obu stronach zginęło wielu ludzi... – zaczął Hilo. – Moja żałoba pozostaje niezmienną, ale wiem, że mój brat i mój dziadek, niech bogowie obdarzą ich uznaniem, nie chcieliby, żeby klan skupiał się na kwestii zemsty. Musimy myśleć o przyszłości.

Ściśle mówiąc, nie była to odpowiedź na zadane pytanie, i pięści, które dobrze znały Hila, z pewnością to zauważyły. Niemniej Shae i jej współpracownicy starannie przygotowali się do tego wydarzenia i fakt, że filar skrupulatnie trzymał się tekstu, świadczył, że obie strony zdobyły doświadczenie w podobnych sprawach.

Na koniec zapytano, czy filary mają coś do powiedzenia w kwestii kryzysu w Oortoko i czy uważają, że geopolityczne napięcia między Espenią a Ygutanem są zagrożeniem dla Kekonu.

– Ingerencja obcych mocarstw w szotarskie sprawy bardzo nas niepokoi – odpowiedziała Ayt. – Choć cenimy nasz długotrwały sojusz z Republiką Espenii, musimy jasno oznajmić, że nie pozwolimy się wykorzystywać cudzoziemcom.

– Kekon jest wyspą otoczoną przez większe kraje, a także jedynym miejscem na świecie, gdzie wydobywa się jadeit – dodał Hilo. – Zawsze groziło nam niebezpieczeństwo. Ale też zawsze mieliśmy zielone kości.

Gdy Toh zakończył konferencję, można było odnieść wrażenie, że między filarami zapanowała zgoda. Na scenie, na oczach widzów i kamer, Kaul Hilo i Ayt Mada wstali jednocześnie, wymienili spojrzenia, dotknęli czoł splecionymi dłońmi i oddali sobie honory z pełnym szacunkiem. Gdy Hilo spojrział w oczy rywalki, przepłynęło między nimi coś, co przypominało gratulacje. Oboje dobrze zagrali swe role. Ich jadeitowe aury gorzały obok siebie niczym rozżarzone węgielki i stopiona stal.

Tar i Woon czekali już na Hila i Shae, by sprowadzić ich ze sceny. Woon położył dłoń na plecach prognostyczki w uspokajającym geście i poprowadził ją ku tylnemu wyjściu, gdzie czekały samochody, ale Hilo zatrzymał się jeszcze na moment, by porozmawiać z kanclerzem Son Tomarho. Korpulentny polityk był blady i wyglądał na przepracowanego. Przybrał jeszcze na wadze i sapał lekko, gdy zdołał dopaść Hila. Jego kadencję jako przewodniczącego Rady Książęcej zakłóciły wybuch klanowej przemocy, problemy z gospodarką, a teraz również eskalacja konfliktu militarne go i naciski ze strony zagranicy. Choć radcy mieli jakoby reprezentować interesy zwykłych ludzi, ich przygniatająca większość była powiązana z którymś z wielkich klanów. Trwająca od niemal dwóch lat otwarta wojna między klanem Bez Szczytów a Górą doprowadziła do wzmożenia napięć między frakcjami. W takiej sytuacji o karierze polityków mogły rozstrzygać losy ulicznych bitew. Kierowanie tak podzielonym politycznym gremium z pewnością nie służyło zdrowiu. Sonowi zostały jeszcze niespełna dwa lata do końca sześciolletniej kadencji i Hilo podejrzewał, że grubas nie może się doczekać chwili, gdy będzie mógł opuścić to stanowisko.

– Kanclerzu – odezwał się z wymuszonym uśmiechem, kładąc dłoń na masywnym barku Sona. – Mamy pokój między klanami, jak tego chciałeś. I obaj żyjemy.

Grubas odchrząknął z zakłopotaniem.

– No cóż, przyznaję, że to nie zawsze było pewne. Z chęcią wygłoszę w Radzie Książęcej mowę chwającą ciebie i twoją prognostyczkę. Cały kraj czuje ulgę i wdzięczność. – Son dotknął czoła splecionymi dłońmi i pokłonił się, oddając Hilowi honory. – To wielki dzień, Kaul-jen.

\* \* \*



– Cóż za okropny dzień na zakończenie okropnego miesiąca – poskarżył się Hilo przy kolacji. Nałożył łyżką do miseczek ryżu w sosie kokosowym i podał je wszystkim siedzącym przy stole, podczas gdy Kyanla zabierała naczynia. – Ale przynajmniej udało się uwolnić Teijego.

– To osiągnięcie z pewnością było warte dożywotniego zakazu wjazdu na Uwiwy dla ciebie i wszystkich członków klanu Bez Szczytów – zauważyła z przekąsem jego siostra. – Zapuno dopilnował, by zdjęcia zabitych policjantów pokazano we wszystkich krajowych programach, a nawet paru zagranicznych.

– Shae – skarcił ją Hilo, spoglądając na matkę.

– Każdy wie, że wszyscy Uwiwanie to przestępcy – odezwała się Kaul Wan Ria ku zaskoczeniu obecnych. – Nawet ich policja to kryminaliści. Pomyśl, co by się mogło stać z synem biednej pani Teije, gdybyś go nie uwolnił. Uratowałeś życie cioci, Hilo-se. Serce by jej pękło, gdyby jej syna spotkała krzywda, i to tak daleko od domu. Mam nadzieję, że wyciągnie wnioski z tej nauczki i już nigdy nie opuści Kekonu.

Zaczęła wstawać od stołu.

Wen podniosła się, by jej pomóc.

– Nie zjesz deseru, mammo?

– Nie, ty go zjedz. Musisz więcej jeść, dla dziecka.

Po posiłku zielone kości z rodzin miały czas na porozmawianie o sprawach klanu. Hilo pamiętał, że w dzieciństwie przeganiano go, każąc mu iść się bawić, podczas gdy dziadek, Doru i wewnętrzny krąg współpracowników zostawali w jadalni, pałac i pijąc hoji, a jego matka wycofywała się do swego pokoju, żeby czytać książki albo oglądać telewizję.

Hilo okrążył stół, przechodząc za krzesłami Kehna oraz Tara, i uściskał matkę na pożegnanie. W dzisiejszych czasach rzadko się zdarzało, by cała rodzina Kaulów spotykała się na kolacji.

– Czy w gościnnym pokoju wszystko w porządku? Będzie tam znacznie ładniej, gdy już go wyremontujemy. Wymienimy podłogę i wstawimy nowy sprzęt. Wiem, że podoba ci się w Marenii, ale gdy dziecko już się urodzi, powinnaś zamieszkać bliżej nas.

Hilo miał wrażenie, że po śmierci Lana jego matka postarzała się i skurczyła. Wynajął ludzi, którzy zajmowali się domem na plaży, robili dla niej zakupy i mieli oko na stan jej zdrowia, ale będzie bezpieczniej, jeśli zamieszka za murami posiadłości. Co więcej, wnuczek może nadać jej życiu nowy sens.

Matka poklepała go po ramieniu. Hilo nie próbował się z nią spierać. Mogła nie chcieć się rozstać ze spokojem i samotnością, do których przywykła w Marenii, ale był teraz jej najstarszym synem, więc z pewnością go posłucha. Po prostu musi podejść do tego delikatnie.

Po jej wyjściu Hilo usiadł na swoim miejscu, by zjeść deser. Raz jeszcze obrzucił siostrę pełnym wyrzutu spojrzeniem. Celowo zachowała się nietaktownie. Zawarcie pokoju między klanami było wielkim sukcesem biura prognostyka. Hilo wiedział, że Shae przez wiele tygodni pracowała po godzinach, by doszlifować szczegóły negocjacji. Ale to jeszcze nie znaczyło, że może nie okazywać mu należnego szacunku przy jego ludziach i jego żonie.

– Chcecie się dowiedzieć, co powiedziała mi Ayt Mada w Gohei? – Hilo omiótł spojrzeniem wszystkich obecnych, po czym ponownie skierował wzrok na Shae. – Chciała, żebym dał za wygraną. Żebym klęknął przed nią i złożył przysięgę Górze, ponieważ nie jestem dziadkiem i nie jestem Lanem, więc klan Bez Szczytów ma przejebane.

– Hilo-jen... – odezwał się Kehn z zasepioną miną – ...chciała, żebyś zwątpił w siebie. Fakt, że nie jesteś Płomieniem i różnisz się od Lana, niech bogowie obdarzą ich uznaniem, nie znaczy, że nie możesz stać się równie silnym filarem, być może nawet lepszym od nich. Ja nie mogę stać się takim rogiem jak ty, ale robię, co w mojej mocy.

Wszyscy spojrzeli na niego, nieco zaskoczeni szczerością i mądrością tych słów.

– Nie mianowałbym cię rogiem, gdybym nie wierzył, że poradzisz sobie z tym zadaniem – zapewnił Hilo. – Na tym polega różnica. Ja nie otrzymałem błogosławieństwa dziadka ani Lana.

Wen położyła dłoń na jego udzie.

– Ale masz nasze.

Skinął głową.

– Masz rację. To jedyne, co mam, a czego brakuje Ayt Madzie. Wszyscy tutaj jesteśmy rodziną. Dlatego nie wstydzę się przyznać, że potrzebuję pomocy każdego z was. Obiecuję, że wysłucham wszystkiego, co macie do powiedzenia, nawet jeśli nie będę się z tym zgadzał albo podejmę inną decyzję. Ale gdy już zdecyduję, to będzie słowo filaru i musicie mnie posłuchać.

Te ostatnie słowa były skierowane do jego prognostyczki, która zerknęła nań z ukosa, okazując zadowolające poczucie winy za sarkastyczne słowa,

które wypowiedziała przedtem.

– Zdradzisz nam, jak wygląda prawdziwy plan? – zapytał Tar, czyszcząc zęby wykałaczką.

– Prawdziwym planem jest to, co uzgodniliśmy w Gohei – oznajmił stanowczo Hilo. – Dla wszystkich poza tymi, którzy siedzą za tym stołem. Chcę, żebyście jasno powiedzieli to podkomendnym. Będziemy się trzymać uzgodnionych zasad. Żadnych ataków na terytorium Góry i przelewania krwi albo zabierania jadeitu bez zgody naszej rodziny.

Bogowie w niebie, mówię jak Lan, pomyślał z przygnębieniem Hilo.

– Dotrzymamy umowy – podjął, widząc pełne niedowierzania spojrzenie Tara. – Potrzebujemy pomocy Góry w walce z przemysłem. Jeden klan nie zdoła obronić wszystkich kopalń i całej linii brzegowej. Dlatego tymczasowo zawrzemy pokój. To, co wydarzyło się na Tialuhii, jasno dowodzi, że Zapunyo zamierza rozszerzyć swą działalność na Kekon. Ten kurdupłowaty uwik jest tak ambitny, że myśli, że może wygrać z zielonymi kośćmi. Będzie się ukrywał w swej posiadłości i wykorzystywał przeciwko nam innych. Gliniarzy, przestępców, uzależnionych, każdego, kogo zdoła przekupić albo zastraszyć. To znaczy, że będzie miał swoich ludzi w całym Janloonie. Jeśli już ich nie ma.

– Mamy własnych informatorów – przypomniał filarowi Tar.

– Ale za mało. – Hilo skierował te słowa do obu braci Maik. – Powinniśmy umieścić białe szczury wszędzie, gdzie są nasi wrogowie. Nie tylko na ulicach Janloonu. Musimy wypatrywać następnego ruchu Góry. Ayt spróbuje czegoś sprytnego, zaatakuje nas w sposób, którego się nie spodziewamy i który nie skompromituje jej po tym, jak siedziała obok mnie i uśmiechała się do kamer. Potrzebujemy też ludzi, którym możemy zaufać albo ich sobie podporządkować, na Uwiwach, blisko Ti Pasuiga bądź nawet wewnątrz samej organizacji, żeby przekazywali nam informacje o interesach Zapunya, co pozwoli nam go zniszczyć.

Bracia Maik pokiwali głowami.

– Nie tylko Zapunyo interesuje się kekońskimi kopalniami jadeitu – zauważyła Shae. – A niektóre z zainteresowanych stron mają armię. Bardziej bym się martwiła o Ygutańczyków albo Espeńczyków niż o niego.

Kehn wsparł na blacie skrzyżowane ręce.

– Ygutani nie odważy się zaatakować Kekonu. Na Eumanie jest espeńska baza.

– To nie powstrzymuje Ygutańczyków przed kupowaniem jadeitu od przemytników takich jak Zapunyo albo potajemnie od Ayt Mady. Góra już zbudowała w Ygutanie fabryki błysku, by dotrzymać tajnych umów – przypomniała mu Shae. – Espeńczycy uważają Kekon za źródło jadeitu należące wyłącznie do nich. Możemy mieć kłopoty, jeśli dojdą do wniosku, że ich dostawca niezbędnego na potrzeby wojny materiału nie zasługuje na zaufanie.

– Espeńczycy gówno wiedzą o jadeicie – skwitował Tar. – Nie potrafią sobie poradzić nawet z tym, który już posiadają. Spójrz, co się tam dzieje. Mają zamiar zakazać wykorzystywania jadeitu do wszelkich celów poza militarnymi. Nawet ludzie z sił specjalnych republiki nie mogą go nosić dłużej niż przez trzy lata służby, bo uzależnienie od błysku powoduje, że człowiekowi odbija, dostaje raka albo coś w tym rodzaju, nie jestem pewien. Przy tym stole jest więcej zieleni niż w całym ich plutonie.

Tar sięgnął po papierosa, ale Hilo mu go zabrał. Sam też miał ochotę zapalić, ale Wen powiedziała, że dym papierosowy szkodzi dziecku. Zamiast tego nalał Tarowi kieliszek hoji.

Filarowy przyjął trunek, choć nie miał zbyt zadowolonej miny.

– Tak czy inaczej... – podjął. – Jeśli nawet te głąby o rzadkiej krwi spróbują zająć Kekon, nie mają szans go utrzymać. To by zbyt wiele kosztowało, a dla spenków liczą się tylko pieniądze.

– To nasz największy partner handlowy i sojusznik wojskowy – zauważyła Shae. – Jeśli chcemy rozbudowywać biznesową stronę klanu, potrzebujemy dostępu do espeńskiego rynku. Poza tym mogą na nas naciskać albo nas kontrolować na wiele sposobów, nie uciekając się do inwazji. Już próbują to robić.

– W takim razie dobrze, że mamy prognostyczkę, która mówi po espeńsku i trzyma rękę na pulsie – stwierdził Hilo. – Espeńczyków można udo-bruchać albo przekupić, jak to zrobiłaś w zeszłym roku.

– Mówisz, jakby to było proste – zachnęła się. Ku rozbawieniu Hila wymieniły z Wen spojrzenia mogące oznaczać wzajemne współczucie. – Tak to jest, kiedy jest się prognostyczką jedzącą rodzinną kolację przy stole pełnym byłych pięści.

– Daj spokój, Shae, nie bądź taka. – Hilo dźgnął ją palcem w ramię. – Mogłabyś to zrównoważyć, wprowadzić do rodziny kogoś ze Statkowej. Mama byłaby zachwycona, gdybyś przyprowadziła na kolację Woon

Papiego. On pochodzi z dobrej rodziny zielonych kości, tak? I ma głowę do interesów.

Ku zachwytowi Hila jego siostra zamrugła, a na jej twarzy zaczął się pojawiać rumieniec.

– Woon-jen jest cieniem prognostyka – oznajmiła sztywno. – Nasza znajomość ma czysto zawodowy charakter.

Hilo zachichotał. Maikowie ukryli uśmiechy.

– Jestem pewien, że z twojego punktu widzenia tak jest – zgodził się. – Ach, Shae, jak to możliwe, że pod pewnymi sprawami jesteś tak inteligentna, a pod innymi wyjątkowo tępa? Podejrzewam, że to dlatego, że masz już kogoś na oku. Czy któraś z klanowych rodzin zdołała ci podsunąć jednego ze swych synów?

Widział, że jego szeroki uśmiech zaczyna ją zawstydząć i irytować. To zdecydowanie poprawiło mu nastrój. Nie chodziło o to, że pragnął się z nią kłócić. Po prostu przypomnienie licznych sporów z lat dzieciństwa obudziło w nim nostalgię. Poza tym wcześniej potraktowała go lekceważąco.

Hilo zebrał puste miseczki po deserze. Kyanla przyszła z kuchni, żeby je odnieść, i przyniosła dzbanek z herbatą. Wen naląła jej wszystkim, a Hilo oparł się wygodniej na krześle.

– No dobra, wystarczy żartów – rzekł. – Jak już mówiłem, zawarliśmy dziś pokój z Górą. – Z ust filaru zniknął uśmieszek. Jego głos brzmiał bardzo poważnie. – Kiedy wykonamy swój ruch, nie będziemy się ograniczali do półśrodków. Nie wystarczy, że ich zranimy i rozpoczniemy kolejną krwawą wojnę. Musimy obalić to drzewo raz na zawsze. Oczywiście najpierw musimy znaleźć sposób. Kiedy zaatakujemy, musimy być silni. Nasi ludzie, biznesy i tak dalej. Ayt przygotowywała się przez lata, nim w końcu zdjęła maskę. To okazało się skuteczne. Mało zabrakło, by jej się udało, a z pewnością zadała nam poważne straty. Ale przetrwaliśmy i teraz nadeszła nasza kolej. Wszyscy tu jesteśmy rodziną i wiemy, że to, co wydarzyło się dziś na tej scenie, było tylko przedstawieniem.

Hilo przerwał i przyjrzał się obecnym. Nikt się nie odezwał. Wszyscy wpatrywali się w niego, a w ich spokojnych jadeitowych aurach nie wyczuwało się zaskoczenia.

– Góra z pewnością ma jakieś słabe punkty, o których nie wiemy – podjął. – W przeciwnym razie Ayt z pewnością nie zgodziłaby się na rozejm. Musimy je znaleźć, nawet jeśli będzie to wymagało czasu. Gdy już osią-

gniemy ten cel, zabijemy Ayt Madashi oraz jej zwolenników i zniszczymy jej klan.

\* \* \*

Hilo obudził się wypoczęty, lecz perspektywa nadchodzącego poranka nadal go niepokoiła. Nim zasnął, w jego głowie kłębiły się reminiscencje wieczornej rozmowy. Być może inni janloończycy będą dziś szczęśliwsi, ponieważ klany oficjalnie zawarły pokój, dla Hila jednak nic się nie zmieniło. Jako róg widział, jak pięści pojedynkowały się ze sobą o jadeit, alfonsi i handlarze narkotyków walczyli na noże o najlepsze miejsca na skrzyżowaniach ulic, a psy i wółczęgi o jedzenie. Jedno wiedział z całą pewnością – kompromisy i sytuacje patowe zawsze trwają krótko. Trwały pokój mogło zapewnić jedynie całkowite zwycięstwo.

Miał zamiar pewnego dnia zniszczyć Górę i nie wątpił, że na drugim końcu miasta Ayt Mada snuje plany mające doprowadzić do jego upadku. Nie wiedział jeszcze, w jaki sposób będzie mógł okaleczyć wrogi klan tak skutecznie, że już nigdy nie zdoła zagrozić jego rodzinie. To zadanie wydawało się niewykonalne, nie miał pewności, czy nawet jego dziadek albo Lan wiedzieliby, jak tego dokonać, ale z drugiej strony tylko w ten sposób można było zapewnić przetrwanie klanu Bez Szczytów. Co więcej, istnieli też inni przeciwnicy i inne zagrożenia. Zbyt wiele elementów, a wszystkie kryły się w cieniu, niewidoczne dla jego wzroku.

Przytulił się do Wen i objął jej brzuch. Jeśli się skupił, potrafił Postrzec maleńkie życie wewnątrz jej ciała – ciche, szybkie bicie serca, jak u myszki, zagnieżdżone wewnątrz znajomej energii żony. Myśl, że Wen nosi w brzuchu dziecko, zachwycała go i podniecała zarazem. Zaczął ją pieścić – delikatnie, ale z odrobiną niecierpliwości. Objął dłońmi jej powiększone piersi, obrócił w palcach ciemne sutki, przesunął dłonią po krzywiźnie biodra i po pośladkach, aż wreszcie dotarł między nogi. Wsunął między jej uda żar swego wzrodu. Przetoczyła się i uśmiechnęła do niego sennie, a potem przysunęła się bliżej. Zdjął jej koszulę nocną przez głowę, odwrócił ją na bok i kochał się z nią, być może nieco ostrożniej niż zwykle – z obawy o dziecko, mimo że Wen zapewniała, że nie ma powodu do niepokoju.

Potem odwrócił się na plecy, wyraźnie zrelaksowany.

– Może Tar ma rację, twierdząc, że Espenia nie zaatakuje Kekonu bezpośrednio, ale społeczeństwo się niepokoi – odezwała się Wen. – Od lat beztrudnie przyjmowaliśmy pieniądze od cudzoziemców, żeby kraj się rozwijał, ale teraz opinia publiczna sobie uświadomiła, co to oznacza, gdy obcy dostają coś, co zawsze należało tylko do nas. – Wsparła się na łokciach. – Zaczynają się zastanawiać, czy decyzje, które podjęliśmy, nie narażają nas na niebezpieczeństwo. Czy sprzedając jadeit, nie utraciliśmy dusz albo nie obraziliśmy bogów. A kiedy ludzie się boją, popełniają błędy.

Hilo odwrócił się na bok i spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Dlaczego zawsze to robisz? Kiedy wczoraj rozmawialiśmy przy kolacji, siedziałaś cicho, nie odzywając się ani słowem. A teraz, kiedy leżymy w łóżku, chcesz rozmawiać o sprawach klanu. Jeśli masz coś do powiedzenia, czemu nie powiedziałaś tego wtedy?

Odwróciła się i wsparła podbródek na skrzyżowanych przedramionach. Ku zaskoczeniu Hila sprawiała wrażenie, że to pytanie sprawiło jej ból.

– Nie mam prawa zabierać głosu. Nie jestem zieloną kością.

– Nie jesteś też moją mamą, która wychodzi, jak tylko zaczną się poważne rozmowy. Możesz nie być zieloną kością, ale jesteś moją żoną. Wszyscy jesteśmy jedną rodziną. Masz prawo się odzywać, kiedy zechcesz.

Wen milczała przez chwilę.

– Wolę rozmawiać wyłącznie z tobą. – Ponownie zwróciła się w jego stronę, wspierając głowę na zgiętej ręce. – Kiedy jesteśmy sami, mogę ci mówić wszystko, co tylko przyjdzie mi na myśl. Wiem, że mnie wysłuchasz, nawet jeśli się ze mną nie zgodzisz. Bardzo często rozmawiam ze zwykłymi ludźmi. Właścicielami małych interesów, kontrahentami, urzędnikami, studentami. – Wen wykorzystywała swój talent do dekoracji wnętrz, pracując jako konsultantka dla biznesów powiązanych z klanem. Uczęszczała też na kursy w Miejskim College’u Janloońskim, z myślą o dalszej karierze. – Po prostu powtarzam ci to, co od nich usłyszałam.

Przyciągnął ją bliżej i wtulił jej twarz w swoją pierś.

– Kiedy dziecko się urodzi, znajdziemy ci jakąś nową pracę, żebyś nie musiała tak bardzo martwić się moją.

– Zawsze będę się martwiła – sprzeciwiła się Wen. – Nawet jeśli wiem, że nikt nie jest bardziej zielony od mojego męża. Za każdym razem, gdy to widzę... – przesunęła palcami po obojczyku i piersi Hila, delikatnie dotykając każdego klejnotu – ...wypełnia mnie dumą, ale myślę też o niebezpieczeństwach, jakie ci grożą, o tym, ilu masz wrogów.

– Nie pozwolę, żeby którykolwiek z nich się do ciebie zbliżył – zapewnił Hilo. – Albo do naszych dzieci.

Pocałowali się i dotykali nawzajem jeszcze przez chwilę. Gdy tylko Hilo pomyślał, że musi już iść, Wen odezwała się cicho.

– Eyni przysłała mi odpowiedź. Napisałam do niej długi list i wysłałam go natychmiast. Podzieliłam się z nią wiadomościami o rodzinie i poprosiłam, żeby odwiedziła nas ze swoim chłopakiem i synem. Wiem, że potrzeba czasu, by list dotarł do Stepenlandu i z powrotem, ale minął przeszło miesiąc, nim mi odpowiedziała, a w dodatku napisała tylko kilka zdań.

Hilo usiadł, opierając się plecami o wezglowie łóżka. W głosie Wen rzadko słyszało się podobną urazę. Była ciepłą i serdeczną osobą, ale kiedy ktoś ją zdenerwował, potrafiła zrobić się bardzo uparta i nie chciała ujawnić przyczyn swego niezadowolenia. Będzie musiał wycisnąć z niej coś więcej.

– I co ci napisała?

– Podziękowała mi, że poświęciłam czas na napisanie do niej, ale prosiła, bym nie kontaktowała się z nią więcej. – Wen usiadła obok niego. W jej oczach malował się ból. – Dlaczego napisała coś takiego? Poznałyśmy się, kiedy była żoną Lana. Nie byłyśmy bliskimi przyjaciółkami, ale tylko dlatego, że nie miałyśmy okazji poznać się lepiej. Nie rozumiem takiego braku uprzejmości.

– Zawsze ci mówiłem, że Eyni jest okropnie zarozumiała. – Hilo od początku uważał bratową za płytką, samolubną kobietę, lubiącą piękne stroje, teatr, wino i status związany z pozycją żony filaru, ale właściwie niepasującą do rodziny Kaulów. Zrobił, co mógł, by okazać jej szacunek, ale wyraźnie wyczuwał, że patrzy na niego lekceważąco, uważając go za nieokrzesanego chłopaka (zapewne wtedy rzeczywiście nim był). Nigdy nawet nie próbowała z nim rozmawiać. Lan z pewnością lubił ją, bo była ładna, kulturalna i mogła uchodzić za intelektualistkę, ale Hilo nie zdziwił się, gdy ich małżeństwo się skończyło, a po cichu cieszył się z tego.

– Tym razem to ty musisz do niej napisać – nalegała Wen. – Mnie nie raczyła odpowiedzieć, jak trzeba, ale na list od filaru klanu będzie musiała zareagować.

– Myślałem, że już omówiliśmy tę sprawę – odparł Hilo, ustąpił jednak, widząc determinację na jej twarzy. – Nie sądzę, by to cokolwiek zmieniło, ale jeśli sobie tego życzysz.

Wen skinęła głową usatysfakcjonowana, ale irytacja najwyraźniej jej nie opuściła.



– Jeśli nie będzie się jej chciało przylecieć tutaj, powinieneś odwiedzić ją w Stepenlandzie. To długa podróż, ale myślę, że okaże się opłacalna. Zawsze mówiłeś, że osobiste spotkania są najlepsze – dodała, widząc niedowierzanie na jego twarzy.

# ROZDZIAŁ 14

## ŁASKA DLA STAREGO WOJOWNIKA

Trzy dni po konferencji Shae wybrała się w podróż za miasto, zabierając ze sobą tylko Woonę i Hamiego. Dotarli do Opii późnym popołudniem. Jak zwykle podczas pory deszczowej z góry spływała gęsta mgła, zasłaniająca wierzchołki drzew i ograniczająca widoczność na krętej, jednopasmowej szosie prowadzącej do osady. Opia składała się z kilkadziesiąt budynków z drewna i gliny, wzniesionych z wielkim wysiłkiem na stromych zboczach i ustawionych pod dziwnymi kątami do siebie. W narożnikach niskich dachów z aluminiowej blachy falistej siedziały kury. Bosy chłopak i żółty pies gapili się na troje zielonych kości, które wysiadły z czerwonej cabrioli należącej do Shae. Dzieciak odwrócił się z nagłym krzykiem i pognął wąską, brukowaną dróżką.

Woon zatrzymał się obok Shae. Przyglądała mu się nieco dłużej niż zwykle. Odkąd Hilo zażartował z niej przy kolacji, nie mogła się powstrzymać przed zadawaniem sobie pytania, czy jej brat miał rację i Woon rzeczywiście żywił wobec niej uczucia, których nie zauważała albo lekceważyła je jako opiekuńczość płynącą z poczucia obowiązku. Dziwnie się czuła, widząc szefa sztabu bez służbowego garnituru, a za to z guan dao. Nie przypominał człowieka, którego spotykała co dzień na Statkowej. Sądząc po niepewności widocznej w jego oczach, on tak samo reagował na jej widok.

Woon zasugerował, by zabrali ze sobą kilku ludzi rogu, ale Shae odmówiła. Uważała, że to niemal osobista sprawa. Obowiązek wiążący się z urzędem prognostyczki. Obie strony klanu polegały na sobie nawzajem, lecz jednocześnie ze sobą rywalizowały.

Chłopiec z psem na pewno zawiadomił wszystkich o ich przybyciu, bo mieszkańcy domu stanęli w drzwiach.

– Patrz! Zielone kości! – szeptały do siebie podekscytowane dzieci.

Zarówno mężczyźni, jak i kobiety nosili bawełniane koszule – jedno-barwne albo w kratę. Przyglądali się gościom bez słowa, z ostrożnością i szacunkiem. Gdy Shae i dwaj mężczyźni przechodzili obok, wszyscy dotykali czoł, oddając honory. Opia sprawiała wrażenie osady z innej epoki. Być może czas po prostu o niej zapomniał w swym nieustannym marszu naprzód. Gęsta mgła przesłaniająca wszelkie szczegóły krajobrazu sprawiała, że osada wydawała się jeszcze bardziej odległa i niesamowita. Trudno było uwierzyć, że znajdują się zaledwie dziewięćdziesiąt minut jazdy od Janlooońskiej metropolii.

Hami rozglądał się czujnie. Pod skórzaną kurtką miał pistolet, a do pasa przypiął karambit. Shae potrafiła sobie wyobrazić, jak wyglądał jej pierwszy szczęściodawca w czasach, gdy jeszcze był pięścią.

– Wygląda na to, że Góra mówiła prawdę – stwierdził po chwili. – W pobliżu nie ma innych zielonych kości.

Postrzeżenie Shae mówiło jej to samo. Poszerzała je w różne strony, aż wreszcie za stłumionymi aurami miejscowych, w domu z brązowych desek na końcu ulicy, znalazła znajomą jadeitową aurę, której szukała. Coś w niej się zmieniło, ale nie potrafiła dokładnie określić co.

Podeszła do chaty i popchnęła drzwi. Obróciły się na zardzewiałych zawiasach. Weszła do małej izby, oświetlonej przez pojedynczą żarówkę wiszącą u sufitu.

– Wujku Doru – odezwała się.

Były prognostyk siedział na krześle przy składanym stoliku w kuchennej części izby. Miał na sobie brązowy szlafrok, biały podkoszulek oraz szare spodnie od dresu. Mniej więcej trzynastoletnia dziewczyna, zapewne córka mieszkańców wioski, pochylała się nad miską, w której moczył nogi, nalewając do niej gorącą wodę. Na widok Shae poderwała się nagle i wypuściła z rąk ręcznik.

– Shae-se – wychrypiął Doru. Na jego pomarszczonej twarzy pojawił się uśmiech. – Cieszę się, że cię widzę. – Obejrzał się przez ramię. – Ach, są też Hami-jen i Woon-jen. To znacznie lepiej, niż się spodziewałem.

Shae zwróciła się w stronę dziewczyny.

– Zostaw nas – rozkazała.

Nastolatka spojrzała niepewnie na Doru.

– Tak, Niya-se – odpowiedział jej czule. – Wracaj do rodziców i podziękuj im za całą dobroć, jaką okazali starej zielonej kości w tych ostatnich

tygodniach. Bogowie wszystko widzą i z pewnością opromienią swą łaską ciebie i twoją rodzinę.

Dziewczyna odstawiła puste wiadro i wybiegła z domu, ani na moment nie unosząc wzroku. Shae odprowadzała ją spojrzeniem. Pod cienką koszulą uwidaczniały się kręgosłup oraz małe wzniesienia młodzieńczych piersi.

Spojrzała na Doru.

– Jesteś nędznikiem.

– Nie będę już nim długo, Shae-se. Po to właśnie przybyłaś, prawda? Żeby wymierzyć klanową sprawiedliwość. – Zanurzył z westchnieniem stopy w gorącej wodzie. – Nocami jest tu zimno, znacznie zimniej niż w mieście, mimo że odległość nie jest zbyt wielka. Pamiętam taki chłód, ale byłem wtedy dużo młodszy i nie przeszkadzał mi aż tak bardzo. – W jego oczach pojawił się wyraz nostalgii. – Podczas wojny główny obóz Towarzystwa Jednej Góry znajdował się... ach, może z osiem kilometrów na południe stąd. – Wskazał ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. – Teren był trudny, a droga do Janloonu nie miała tak ładnej nawierzchni, jak obecnie. Opia była dla nas przystankiem na drodze. Shae-se, na całym Kekonie nie znajdzie się większych patriotów niż ci prości wieśniacy. Ukrywali nas przed szotarskimi żołnierzami, opatrywali nam rany, dostarczali do obozu żywność i inne potrzebne zapasy. Byli pierwszymi prawdziwymi latarnikami, znacznie lepszymi niż wszyscy dzisiejsi prezesi korporacji, którzy przysyłali mi drogie pióra i butelki hoji.

– I ci wieśniacy ukrywali cię aż do dzisiaj – zauważyła Shae.

Rozejrzała się po niewielkiej izbie. Oprócz niej była tu tylko jedna sypialnia z wąskim łóżkiem. Za brudnym oknem robiło się już ciemno.

Doru wzruszył ramionami.

– Dopóki mogli. Wiedziałem, że Góra prędzej czy później sprzeda mnie klanowi Bez Szczytów. Współpracowałem z nimi od lat, wykorzystując swą pozycję prognostyka oraz wpływ na Kaul Sena i Lana, niech bogowie obdarzą ich uznaniem, tylko dlatego, że miałem nadzieję na pokojowe rozwiązanie. Gdy utraciłem pozycję w klanie i pokój przestał być możliwy, nie byłem już nikomu potrzebny. Niemniej jestem wdzięczny za to, że to ty jesteś tutaj, a nie ten brutal Maik Tar.

Shae gapiała się na człowieka, który był najlepszym przyjacielem i doradcą dziadka od czasów poprzedzających jej przyjście na świat. Traktowano go jak członka rodziny. Yun Doru wydawał się jeszcze bardziej kru-

chy i wynędzniały niż w chwili, gdy widziała go ostatnio. Włosy mu się przerzedziły i zrobiły się prawie zupełnie białe, oczy zapadły się głęboko, a skóra miała niezdrowy, blady odcień. W świetle żarówki widziało się na niej ciemne plamy.

– No wiesz, ja umieram – dodał Doru z całkowitą obojętnością. Gdy tylko te słowa wyszły z jego ust, Shae uświadomiła sobie, że to prawda. Postrzegła w jego aurze niezdrowe odrętwienie. – Rak wątroby. W zaawansowanym stadium, jak mi powiedziano. – Były prognostyk uśmiechnął się blado. – Mam nadzieję, że nie zapłaciłaś zbyt drogo za moje życie. Jest teraz warte bardzo niewiele, a ponieważ Kaul Sen dołączył już do naszych towarzyszy w drugim świecie, z ulgą podążę wreszcie za nim. To będzie łaska dla starego wojownika. Chciałbym cię jednak prosić o kilka minut rozmowy w cztery oczy.

Shae wahała się przez chwilę.

– Zaczekajcie na dworze – rozkazała Woonowi i Hamiemu.

– Shae-jen – sprzeciwił się Woon, ale obrzuciła go stanowczym spojrzeniem, podkreślając, że mówi poważnie.

– Powiedziałam, zaczekajcie na dworze. Zajmę się tym.

Hami spojrzał na Doru z litością i niesmakiem.

– Spotkał cię los lepszy niż na to zasłużyłeś.

Obaj mężczyźni wyszli z chaty. Shae została sam na sam z Doru. Były prognostyk wyjął nogi z miski i wytarł je ręcznikiem pozostawionym przez dziewczynę. Szyba w oknie zaszała parą i Shae poczuła ziołową woń soli do kąpieli.

– Chcę, żebyś wiedziała, że miałem szczerzy zamiar dotrzymać obietnicy, którą ci złożyłem. Z chęcią pozostałbym bezjadeitowym więźniem we własnym domu, by dotrzymać towarzystwa Kaul Senowi w ostatnich dniach jego życia. – Wargi starca zadrżały. Shae wyczuła nutę żałoby w jego osłabionej aurze. – Był wielkim człowiekiem, największą zieloną kością w naszym pokoleniu, a także moim najbliższym przyjacielem, niech bogowie obdarzą go uznaniem. Złamałem słowo tylko z powodu jego nalegania. Nigdy nie okazałbym mu nieposłuszeństwa.

Wsunął pantofle na boscie stopy, wstał, podszedł do sfatygowanego złotego fotela i zawiązał troki szlafroka wokół pasa. Wydawał się tak słaby, że Shae musiała stłumić dziwne pragnienie, by mu pomóc.

– Co dałeś Górze po ucieczce? – zapytała.

– Nic, Shae-se, choć to nie znaczy, że się nie starałem. – Doru usiadł bardzo ostrożnie w fotelu, krzywiąc się z bólu, którego przyczyna nie była widoczna. – Zwróciłem się do Ayt Mady, kiedy wyglądało na to, że Góra wygra wojnę, bo miałem nadzieję wytargować bezpieczeństwo dla was. Zaproponowałem, że podzielę się wiedzą o biznesach klanu Bez Szczytów, i zaoferowałem pomoc w połączeniu finansowych operacji klanów po zwycięstwie Góry, pod warunkiem, że nie stanie ci się nic złego. O to samo prosiłem dla Andena, bo wiedziałem, że tego byś chciała. Ayt odmówiła. Rozgniewałaś ją i nie miała zamiaru pozwolić ci żyć. Nie potrafię wyrazić, jak wielką ulgę poczułem, gdy Hilo odwrócił losy wojny na ulicach, mimo że to znaczyło, że nikt już mnie nie potrzebuje. Góra pozwoliła mi pozostać w Opii, dla mojego zdrowia. Z początku dali mi strażników. Rzekomo mieli dbać o moje bezpieczeństwo, ale w rzeczywistości byłem więźniem, choć bardziej swego słabnącego ciała niż czegokolwiek innego. – Dopadł go atak kaszlu, długi i męczący. Gdy minął, Doru znowu zwrócił się w stronę Shae. Spojrzenie miał klarowne, a jego twarz przybrała poważny wyraz. – Shae-se, nawet w tym miejscu informacje do mnie docierają. A poza tym zawsze czytam w chmurach. Zapewniam, że się ucieszyłem, kiedy usłyszałem, że klany ogłosiły zawarcie pokoju. Ale dopóki Ayt Mada włada Górą, nigdy nie będziesz bezpieczna.

Shae poczuła, że jej dłonie i stopy nagle stały się zimne.

– Co powinnam zrobić?

– Żeby utrzymać władzę, trzeba odciąć innych od dostępu do niej. Ayt nie ma dziedzica. Niektóre ważne rodziny w Górze mają nadzieję przejąć władzę po niej. Tropią ją jak wilki, czekając, aż się potknie. Rodzina Iwe należy do wewnętrznego kręgu lojalistów, Venowie są bogaci, ale najlepsze prawa i najwięcej do zyskania ma rodzina Kobenów. Ayt to silny filar, ale jest tylko człowiekiem, a w dodatku kobietą. Znajdź jakiś sposób, żeby sprzymierzyć się z jej następcą. Tylko ty, Shae-se, możesz położyć kres wojnie między klanami i znaleźć drogę prowadzącą do realnego pokoju. –

Znowu się rozkaszał. To brzmiało jak zapalenie płuc. – Poza tym mogę ci tylko poradzić jak stary prognostyk początkującemu: słuchaj co mówią inni, ale czytaj w chmurach samodzielnie.

Shae poczuła nagły ucisk w gardle.

– Masz coś więcej do powiedzenia, Doru-jen?

Chwila nadeszła. Położyła dłoń na rękojeści guan dao, ale jeszcze go nie wyciągnęła.

Doru sięgnął za siebie i zdjął z szyi łańcuch z czterema jadeitami. Przez chwilę trzymał klejnoty w pomarszczonych, długopalcych dłoniach. Oczy mu błyszczały.

– Ta zieleń należała do twojego dziadka. Jest własnością rodziny Kaulów.

Położył łańcuch na małym stoliku obok siebie. Jego znajoma jadeitowa aura rozproszyła się niczym dym ze spalonej kłody. Shae Postrzegąa tylko powolne bicie jego serca i charczący oddech.

Kończyny jej ciążyły. Spotkanie nie przebiegało tak, jak się spodziewała. Nienawidziła Doru od lat. Wyobrażała sobie, że zrobi to szybko i na zimno wymierzy sprawiedliwość, by naprawić błąd, który popełniła wcześniej. Nie spodziewała się, że ujrzy chorego, cierpiącego człowieka, stojącego już nad grobem. Nadeszła pora działania, ale ona nie mogła ruszyć się z miejsca. Doru był starym, podstępny zbrojennym i dopuścił się zdrady na samym szczycie klanu, ale gdy złożył dłonie na kolanach i patrzył na nią ze spokojem, przypomniała sobie, że zawsze był dla niej wujkiem, a dla Kaul Sena najlepszym, najbliższym przyjacielem.

Jej klątkę piersiową wypełnił ból. Nie mogła zabić Doru. Dziadek, niech bogowie obdarzą go uznaniem, nigdy by jej tego nie wybaczył.

Były prognostyk westchnął z dziwną satysfakcją.

– Ach, Shae-se, obawiam się, że musisz się jeszcze czegoś nauczyć od swojej rywalki. Żeby kierować klanem zielonych kości, powinnaś niekiedy być zimna jak stal. – Przesunął się na fotelu i otworzył szufladę stolika. –

Cieszę się jednak, że choć straciłem twój szacunek z tak wielu różnych powodów, nadal zachowałeś w sercu odrobinę sympatii do starego wujka. Byłaś ulubienicą dziadka i moją również. Nigdy nie chciałem stać się przyczyną twoich kłopotów ani smutku.

Zorientowała się, co zamierza zrobić, nim wyjął pistolet z szuflady, włożył lufę do ust i wystrzelił.

Drzwi domu otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Woon. Trzymał w ręku guan dao, a jego jadeitowa aura gorzała niepokojem. Wykrzyknął coś, ale Shae nic nie usłyszała. Huk wystrzału uciszył dla niej cały świat. Ciało Doru upadło na fotel i leżało na nim bez ruchu. Długie kończyny zwisały bezwładnie, a starcza głowa przechyliła się na cienkiej szyi. Serce Shae waliło tak mocno, że rytm uderzeń podchodził jej do gardła. Doru poruszył się niezwykle szybko, bez najmniejszego wahania. W ogóle

nie Postrzegła jego zamiarów. Ku swemu zaskoczeniu i wstydomi poczuła, że oczy zaszyły jej łzami.

Hami wszedł do chaty i spojrzał na ciało, ale nic nie powiedział. Było oczywiste, co się wydarzyło. Shae zawiodła, ale Doru zaakceptował klanową sprawiedliwość.

– Zabierzcie jadeit ze stolika – rozkazała. – Jest własnością klanu.

Nie potrafiła się zdobyć na to, by podejść do ciała i zabrać klejnoty. Nie zasłużyła na nie. Odwróciła się i wyszła na dwór. Usłyszała, że Woon idzie za nią, ale Hami został w środku. Jego szacunek do niej zmalął, zdawała sobie z tego sprawę.

Grupka zgromadzonych nieopodal wieśniaków rozstąpiła się na widok Shae, robiąc dla niej miejsce. Weszła między nich.

– Kto jest wójtem tej osady? – zapytała.

Z grupy wystąpił brodaty mężczyzna w średnim wieku. Był ubrany w kombinezon, a na głowie miał kaszkiet. Ostrożnie dotknął czoła splecionymi dłońmi i oddał jej honory ukłonem.

– Dziękuję, że okazaliście dobroć oraz gościnność staremu członkowi klanu w ostatnich dniach jego życia – oznajmiła Shae tak wyraźnie, że wszyscy ją usłyszeli. – Jeśli jego obecność była dla was ciężarem, ofiaruję wam przeprosiny i wdzięczność klanu.

Wójt popatrzył na pobratymców, zanim spojrzał z powrotem na Shae. Było już ciemno i nie potrafiła zbyt dobrze odczytać wyrazu jego twarzy w świetle lamp naftowych zwisających z tyczek przed domami.

– Zawsze karmiliśmy wszystkie zielone kości, które potrzebowały naszej pomocy, i zapewnialiśmy im schronienie – oznajmił wójt.

Nie chciał się dowiedzieć, co się wydarzyło w chacie. Ten zwyczaj utrwał się przez dziesięciolecia wojny i okupacji. Kekońscy wieśniacy pomagali zielonym kościom i ukrywali je, nie mówiąc o tym innym i nie zadając pytań. To pozwalało im uniknąć tortur, którymi posługiwali się szotarscy żołnierze. Mieszkańcy Opii pozostali wierni tej tradycji.

Shae włożyła w rękę wójta kopertę wypełnioną banknotami. Takiej sumy z pewnością nie widziano w osadzie od lat.

– Pochowajcie go w górach, blisko starego obozu buntowników, na południe stąd – poleciła wieśniakom. – Oznaczcie grób napisem „Tu leży zielona kość, kekoński wojownik”.



# ROZDZIAŁ 15

## SPOTKANIA W NIEBIAŃSKIEJ ŚWIATŁOŚCI

Raz na tydzień Wen spędzała popołudnie w łaźni i herbaciarni o nazwie Niebiańska Światłość, lokalu przeznaczonym wyłącznie dla kobiet i położonym jedną przecznicę na zachód od Dwudziestej Ulicy, w dzielnicy Sogen. Ta część miasta należała kiedyś do Góry. Podczas wojny klanów tę okolicę podbił klan Bez Szczytów, ale przed niespełna trzema miesiącami Hilo zwrócił ją Górze w ramach negocjacji, które doprowadziły do zawarcia rozejmu. Nic z tego najwyraźniej nie obchodziło personelu ani klientek lokalu. Właścicielki miały dwie latarnie – białą i jasnozieloną – i zawieszały je na przemian w oknie frontowym, zależnie od bieżącej sytuacji. Płaciły symboliczną daninę, jakiej od nich wymagano, i dzięki temu łaźnia w ogóle nie ucierpiała podczas walk ulicznych. Była miejscem spotkań dla żon, a turystki szukały tu odpoczynku po zwiedzaniu pobliskiej Dzielnicy Pomników. Jej wartość nie była wysoka, a zielone kości nie zhańbiłyby się walką o łaźnię dla kobiet, podobnie jak nie walczyłyby o przedszkole albo zakład pogrzebowy.

Dlatego Wen nie czuła się zaniepokojona, mimo że, formalnie rzecz biorąc, zapuściła się na nieprzyjacielskie terytorium na całe trzysta metrów. Ochroniarz, który ją tu przywiózł, otworzył drzwi i Wen wysiadła z zielonego kabrioletu lomezza 6c, który dostała od męża w prezencie ślubnym. Samochód był piękny, ale niezbyt praktyczny. Spociała się, gdy pokonała krótki odcinek dzielący ją od wejścia i weszła na wyłożone kafelkami schody. Była w siódmym miesiącu ciąży i trudno jej było znieść janlońskie lato. Po wejściu do środka zarejestrowała się w recepcji i zaprowadzono ją do kabiny, żeby się przebrała. Rozebrała się, zostawiła swoje rzeczy i przeszła do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie położyła się na wyściełanym stole, by poddać się peelingowi całego ciała oraz masażowi przedporodowemu. Pięć lat temu, gdy pracowała w małej firmie prawniczej za

niską pensję sekretarki i gnieździła się w małym mieszkanku w Papai, nie mogłaby sobie pozwolić na takie luksusy. Nieźle było być żoną filaru. Nigdy nie aspirowała do tak wysokiej pozycji. Była przekonana, że pozostanie żoną rogu, co zapewniało pewien status, lecz zarazem pozwalało na większą anonimowość. Potrzebne też jednak były hart ducha i samodzielność, jako że praca rogu była niebezpieczna, nieprzewidywalna i wymagała nieustannej gotowości. Lina posiadała te godne podziwu cechy i dlatego Wen przedstawiła ją Kehnowi.

Natomiast żona filaru przede wszystkim miała być widoczna. Wen musiała towarzyszyć mężowi na ważnych uroczystościach, udzielać się podczas klanowych wydarzeń i pozwalać, by ją fotografowano. Doskonale wiedziała, że za każdym razem, gdy pojawia się publicznie u boku męża, ludzie ją oceniają, a w złośliwych umysłach lęgną się opinie, że Kaul Hilo-shudon, drugi syn i filar klanu Bez Szczytów, z pewnością mógłby znaleźć sobie lepszą żonę niż kamiennooka z rodziny o zhańbionym nazwisku, w dodatku ponoć pochodząca z nieprawego łoża. Można ją było uznać za ładną, ale nie brakowało piękniejszych kobiet.

Wen nie zamierzała stać się słabą stroną męża, którą jego wrogowie – czy to w klanie, czy poza nim – mogliby wykorzystać przeciwko niemu. Zadała sobie wiele trudu, by poznać wszystkie ważne osobistości w klanie, zwłaszcza ludzi mogących zazdrościć Maikom szybkiego awansu. Ubierała się perfekcyjnie i dbała o siebie. Jej zdrowie było bardzo ważne. Miała nadzieję kiedyś wrócić do dekoracji wnętrz, ale kilka najbliższych lat będzie musiała poświęcić roli żony i matki. Klan to nie byli tylko ludzie, jadeit i pieniądze. Był również idea, dziedzictwem łączącym przeszłość z teraźniejszością i przyszłością. Siła rodziny opierała się na obietnicy. Lan nie żył, a jego syn był daleko (choć miała nadzieję, że to wkrótce się zmieni). Shae w najbliższym czasie nie będzie miała dzieci, Kehn i Lina jeszcze się nie pobrali, a Wen nie była pewna, co zrobić z Tarem. Rodzinę Teije łączyły z Kaulami więzy krwi, ale nikt nie brał ich pod uwagę. Wiedza, że wkład, który wniesie do klanu, będzie miał kluczowe znaczenie, wypełniała Wen niecierpliwą radością, silniejszą nawet niż u innych przyszłych matek. Dziecko kopnęło ją w żebra i przetoczyło się w jej brzuchu z siłą niewielkiej góry.

– Twoje maleństwo jest już bardzo silne, pani Kaul – zauważyła z uśmiechem masażystka.

Odświeżona po masażu Wen zanurzyła się na moment w basenie z leczniczą wodą, a potem wzięła prysznic i włożyła miękkie spodnie domowe, tank top oraz wełniany szlafrok. Następnie przeszła do herbaciarni i usiadła ze skrzyżowanymi nogami przy niskim stoliku ustawionym w jednym z osłoniętych parawanami zakamarków, mających zapewnić spokój i izolację od ruchliwego miejskiego życia. Większość obecnych tu kobiet była starsza od niej. Wiele pograżyło się w lekturze książek bądź gazet, inne zaś rozmawiały z przyjaciółkami albo grały w szachy cyrkularne lub w karty. Wen zamówiła sezamowiec oraz szklanek zimnej herbaty z przyprawami i cytryną. Kelnerka, pulchna kobieta w zaawansowanym wieku, uśmiechnęła się do niej znacząco i przyniosła jej na talerzyku całą cytrynę pokrojoną na drobne kawałeczki. Istniał przesąd mówiący, że wysysanie codziennie soku z całej cytryny gwarantuje narodziny chłopca, podobnie jak regularne spacerowanie o świcie (albo o zmierzchu, jeśli ktoś chciał mieć córkę), spożywanie ostrych potraw oraz poczęcie w szczęśliwych dniach (określanych za pomocą układu gwiazd w dzień narodzin ojca oraz matki). Wen nie była przesądna – jaki byłby w tym sens, kiedy i tak była kamiennooką? – i zostawiła modlenie się do bogów szwagierce, podziękowała jednak kobiecie, uśmiechnęła się do niej i zaczekała, aż się oddali, nim wyrzuciła cytrynę do najbliższej donicy. Płeć dziecka była już zdeterminowana, po co narażać usta na kwaśny smak?

Do pomieszczenia weszła szczupła kobieta, mniej więcej w tym samym wieku, co Wen. Rozejrzała się nerwowo, zanim podeszła do stolika i usiadła, nie patrząc na siedzącą obok Wen.

– Co u ciebie, Mila? – zapytała Wen cichym, zatroskanym głosem. – Jak się ma twoja córka?

Kobieta odwróciła wzrok, skubiąc palcami długie rękawy. Wen poczuła dla niej litość.

– Wysłałam ją na kilka dni do domu przyjaciółki – wymamrotała Mila.

– To dobrze – stwierdziła łagodnie Wen. – Robisz wszystko, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Tak powinna postępować matka. – Mila potarła powieki i skinęła głową. – Co mi przyniosłaś? – zapytała Wen.

Kobieta wyjęła szarą kopertę i podała ją jej pod stołem. Wen schowała ją do torebki, nie patrząc na nią.

– Nowy prognostyk, Iwe Kalundo, objął urząd w zeszłym tygodniu – zaczęła pośpiesznie. – Ciągłe spotyka się w cztery oczy z najważniejszymi

latarnikami w klanie. Sfotografowałam rozkład jego spotkań na cały miesiąc. Leżał otwarty na biurku jego sekretarki.

– Dziękuję.

Wen podsunęła Mili niepodpisaną kopertę z gotówką, która natychmiast zniknęła w torebce kobiety. Akul Min Mila pracowała jako niska rangą sekretarka w biurze prognostyka klanu Góra, które również znajdowało w Dzielnicy Finansowej, pięć kilometrów na północ od biura Kaul Shae na Statkowej. Była żoną skłonnego do przemocy pijaka, regularnie bijącego ją i jej ośmioletnią córkę. Rodzina męża miała wpływy w Górze i Mila obawiała się konsekwencji, jakie by jej groziły, gdyby opowiedziała o tym komuś z klanu. Pieniądze, które płaciła jej Wen za informacje ukradzione z biura, oszczędzała potajemnie, by móc uciec z córką do krewnych mieszkających w Toshonie, na południowym końcu wyspy.

Informatorka wstała gotowa odejść.

– Mila, nie śpiesz się zbytnio ani nie podejmuj zbędnego ryzyka. Przetrwaaś bardzo długo. Upewnij się, że kiedy odejdziesz na dobre, nikt nie będzie nic podejrzewał.

Kobieta się zawahała. Przygryzła wargę, spoglądając na Wen z czymś w rodzaju bezradnej wdzięczności. Po chwili skinęła głową, odwróciła się i wyszła. Mila nie była zbyt dobrze poinformowana w sprawach interesów prowadzonych przez Górę i nie zawsze wiedziała, czego szukać. Kopiowała, co zobaczyła, gdy tylko nadarzyła się okazja. Część rzeczy, które przekazała Shae, okazała się użyteczna, ale była to mniejszość. Niemniej miała silną motywację. Tym razem Wen czuła ostrożny optymizm. Harmonogram spotkań nowego prognostyka rzuci światło na biznesowe priorytety Góry, a także na to, kto udziela jej największego wsparcia.

Wen wypiła łyk herbaty i potarła spuchnięte stopy. W minionym roku jej i Kaul Shae udało się zwerbować grupkę informatorów. Hilo miał rację, mówiąc przy kolacji Kehnowi i Tarowi, że klan Bez Szczytów musi wszędzie mieć szpicli, nie tylko na ulicach i nie tylko po stronie klanu należącej do rogu. Łaźnia dla kobiet była zapewne najmniej widocznym miejscem w całym mieście, w którym Wen mogła się spotykać ze swoimi agentkami. Rzadko widywała tu zielone kości i z reguły były to młode zestresowane kobiety, potrzebujące chwili wytchnienia od swych partnerów. Robiły sobie pielęgnację twarzy albo masaż i wychodziły, nie zatrzymując się w herbarciarni. Właścicielki świetnie wiedziały, że prowadzą biznes na samej granicy klanowych terytoriów i zdradzenie któregoś z klanów nie tylko nie

przysporzy im żadnych korzyści, lecz również może pozbawić je korzystnego statusu firmy o wątpliwej wartości. Progностyczka klanu Bez Szczytów nie mogła sobie pozwolić na spędzanie podejrzanego długiego czasu w lokalu świadczącym usługi spa, ale jeśli żona filaru pobażała sobie, nie przyciągało to niczyjej uwagi.

Wen rozważała możliwość wyznania Hilowi, czym się zajmuje. Być może w ten sposób dowiodłaby mu, że poważnie traktuje sprawy klanu i potrafi zaangażować się w nie w pełni. Nawet gdyby z zasady tego nie aprobował, z pewnością dostrzegłby ogromną użyteczność jej działalności i dałby się przekonać. Hilo akceptował ludzi takimi, jakimi byli, nigdy jej nie zawstydział z powodu tego, że jej rodzice okryli się hańbą w obu najważniejszych klanach, jej domniemanego nieprawego pochodzenia ani faktu, że jest kamiennooką. Kochała go ogromnie z tego powodu i była bardzo niezadowolona, że ma przed nim tajemnice. Jednakże dla Kaul Hila ludzi oddzielała od siebie ostra granica determinująca ich obowiązki i przeznaczenie. Granica nakreślona przez jadeit.

Po zejściu w ciążę Wen z niechęcią doszła do wniosku, że jej mąż nie zaakceptuje nawet minimalnego ryzyka, jakie podejmowała, spotykając się ze swymi informatorkami w Niebiańskiej Światłości. Co więcej, wyznając wszystko Hilowi, zdradziłaby machinacje Shae, a progностyczka miała prawo zachować w tajemnicy swe metody oraz źródła informacji. Dopóki Hilo sądził, że częste wizyty jego żony w łaźni są nieszkodliwym dogadaniem sobie, w dodatku dobrym dla zdrowia jej i dziecka, nie widział powodu, by jej ich zakazywać. Potencjalna wartość tego, czego mogły się z Shae dowiedzieć o wrogach klanu, była ważniejsza niż spokój umysłu Wen. Nie wolno było narażać na szwank stosunków między filarem a progностyczką. Od tego zależało przetrwanie rodziny. Filar był panem klanu, kręgosłupem jego ciała, ale kręgosłup pozbawiony odpowiedniego oparcia wygnie się i złamie. Nieżyjący szwagier Wen, Kaul Lan, był dobrym filarem, ale do zguby doprowadzili go dementywny dziadek, zdradziecki progностyk i niewierna żona. Za bardzo się starał kierować klanem w pojedynkę, nie prosił o pomoc, choć powinien to zrobić, trzymał siostrę i kuzyna poza klanem w czasie, gdy najbardziej ich potrzebowali. Bardzo się starał być silny i to uczyniło go słabym. Wen nie pozwoli, by to samo przydarzyło się jej mężowi.

Zajęła wygodniejszą pozycję i zajęła się czytaniem książki. Po piętnastu minutach zauważyła, że w herbaciarni pojawiła się jej druga informatorka.

Pachniała solami kąpielowymi, a na nogach miała pantofle. Pani Lonto zbliżała się już do sześćdziesiątki i była fryzjerką, od trzydziestu lat prowadzącą swój salon w bogatej dzielnicy Wyżyny, kontrolowanej przez Górę. Przez wszystkie te lata słyszała mnóstwo opowieści, plotek i domysłów krążących pośród jej klienteli, składającej się głównie z żon, matek oraz kuzynek najwyższych rangą pięści, szczęściodawców oraz latarników klanu. Klientki pani Lonto nie ograniczały się do opowiadania – często z gorzką zazdrością – o pozycji społecznej i majątku najpotężniejszych rodzin w klanie bądź o sojuszach między nimi. Niektóre z nich szeptały ze złością o Ayt Madzie, jedynej kobiecie, która kontrolowała życie ich mężczyzn w większym stopniu niż one.

Pani Lonto od lat regularnie odwiedzała Niebiańską Światłość. To ona złożyła propozycję Wen, a nie na odwrót.

– Pani Kaul, przepraszam, że przeszkadzam – odezwała się pewnego dnia, widząc, jak żona filaru wychodzi z leczniczej kąpieli. Jej twarz drżała pod wpływem desperacji. – Mój syn obraził twój klan i nie wiem, kogo błagać o łaskę.

Syn właścicielki zakładu fryzjerskiego od dawna sprawiał kłopoty. Ostatnio napadł z bronią w ręku na sklep na terytorium klanu Bez Szczytów, bo potrzebował pieniędzy na narkotyki. Zranił przy tym dwóch niewinnych świadków, a jeden z nich był wujkiem wysokiego rangą palca klanu. Na szczęście dla syna pani Lonto janloońska policja aresztowała go i zamknęła w więzieniu, nim klan Bez Szczytów zdołał go dopaść, ale obrażony palec zamierzał odszukać napastnika, gdy tylko go wypuszczą. Powiedział, że jeśli nawet go nie zabije, to spuści mu taki łomot, że będzie błagał, by zamknęli go z powrotem.

Pani Lonto wzięła pożyczkę pod zastaw salonu fryzjerskiego, by zapłacić za terapię odwykową uwięzionego syna, lecz mimo że znała wielu ludzi w Górze, nie chciała prosić nikogo z klanu o finansową pomoc ani o ochronę wyrodnego potomka. Jej wnuk po córce miał dziewięć lat i ubiegał się o przyjęcie do Wie Lon, a ponieważ nie było pewne, czy mu się uda, pani Lonto wołała nie przyciągać uwagi do skazy narkotyków i przestępstwa w najbliższej rodzinie, co całkowicie pozbawiłoby go szans. Wen wysłuchała jej opowieści i porozmawiała z Kehnem, który z kolei pogadał z urażonym palcem, a ten zgodził się zrezygnować z zemsty w zamian za formalne przeprosiny i ucho sprawcy w szkatułce. (Na szczęście dla wszystkich wujek palca w pełni odzyskał zdrowie). Pani Lonto była teraz

w wyraźnie lepszym nastroju. Usiadła naprzeciwko Wen i powiedziała jej, że kuracja jej syna przebiega prawidłowo i już od czterech miesięcy jest czysty. Wen jej pogratulowała. Miło było się dowiedzieć, że pieniądze płacone przez klan Bez Szczytów kobiecie będącej jego oczami i uszami na Wyżynach zostały wykorzystane w dobrym celu.

– Wybacz, pani Kaul, ale w tym tygodniu nie mam ci dużo do powiedzenia. Nowych wiadomości jest bardzo niewiele. Mam zastój w interesie, bo większość ludzi przeniosła się na wybrzeże z powodu upałów.

– Nic nie szkodzi – uspokoiła ją Wen. – Chciałam z tobą porozmawiać o pewnych wydarzeniach z przeszłości. Sądzę, że możesz coś o nich wiedzieć.

Kobieta skinęła ostrożnie głową.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz o rodzinie Kobenów – poprosiła Wen, splatając dłonie na ciężowym brzuchu.

\* \* \*

W ciągu dwóch następnych tygodni odwiedziła Niebiańską Światłość jeszcze trzy razy, żeby spotkać się z dodatkowymi informatorkami, które miały potwierdzić i poszerzyć to, co usłyszała od pani Lonto. Odbyła też kilka z pozoru niewinnych rozmów z najbardziej lubiącymi plotki kobietami w licznej i ustosunkowanej rodzinie Liny, a także odwiedziła bibliotekę narodową oraz archiwum w Gmachu Mądrości, by sprawdzić pewne publicznie dostępne dane. Wszystko, czego się dowiedziała, przekazała Shae, która połączyła to z innymi posiadanymi przez siebie informacjami o działalności gospodarczej Góry, co pozwoliło jej lepiej zrozumieć sytuację nieprzyjaciela.

Według pani Lonto i innych źródeł Ayt Eodo, drugi przybrany syn klanowego patriarchy Ayt Yugontina, zamordowany na rozkaz swej przybranej siostry Ayt Madashi, zostawił po sobie żonę, która zbytnio go nie opłakiwała. Małżeństwo Eoda nie było szczęśliwe z kilku różnych powodów – między innymi dlatego, że był notorycznym kobieciarzem. Wdowa po nim mogłaby wykrzesać z siebie odrobinę więcej smutku, gdyby nie fakt, że kiedy go zamordowano, był nagi i przebywał w mieszkaniu kochanki. Zniechęcił ją nawet po śmierci. Wróciła do rodziców, porzuciła nazwisko po mężu i wychowywała czteroletniego wówczas syna pod swym rodzowym nazwiskiem Koben.

Kobenowie byli liczną rodziną o umiarkowanie wysokim statusie w klanie Góra. Mieli w swych szeregach ponad dwadzieścia zielonych kości, w tym kilka pięści, znacznie więcej palców, a także garstkę nauczycieli, lekarza i pokutnika. Inni członkowie rodziny byli szczęściodawcami średniej rangi, latarnikami prowadzącymi niewielkie biznesy bądź też wykonywali inne respektowane zawody związane z działalnością klanu. Szanowano ich, ale nie dali światu wybitnych przywódców ani szczególnie utalentowanych ludzi. Niektórzy uważali, że są skąpi i uparci, a także mają więcej odwagi niż rozumu. W pewnej chwili wydawało się, że ich status rośnie, jako że jedna z nich wyszła za mężczyznę z wielkiej rodziny Aytów, ale po śmierci Eoda uznano, że mieli szczęście, że to małżeństwo okazało się katastrofą i mogli niezwłocznie zapewnić nową filar, że i tak nigdy go nie lubili.

Koben Atosho, urodzony jako Ayt Ato, był jedynym bratankiem Ayt Mady. Prawie nie pamiętał ojca i nie nauczono go miłości do niego. Miał teraz dziewięć lat. Za rok ukończy szkołę podstawową i pójdzie do Szkoły Świątynnej Wie Lona, by przejść szkolenie wojownika. Rodzina miała nadzieję, że w tym momencie filar uzna chłopaka za wnuka Ayt Sena i swego potencjalnego dziedzica. To podniosłoby pozycję Kobenów w klanie.

Dwie główne przeszkody dla ich aspiracji nosiły nazwiska Ven i Iwe. Venowie byli rodziną mniej liczną od Kobenów, lecz zaliczali się do najbogatszych na całym Kekonie. Ven Sandolan był właścicielem największego przedsiębiorstwa transportu morskiego w kraju. Miał trzech synów i dwie córki. Jego najstarszy syn był szanowaną pięścią wysokiej rangi. Ven Sando miał duże wpływy w świecie biznesu i nie obawiał się krytykować własnego klanu, kiedy uważał to za potrzebne.

Rodzina Iwe nie była tak liczna jak Kobenowie ani tak bogata jak Venowie, ale Iwe Kalundo dopiero co został prognostykiem Góry. Miał trzydzieści sześć lat i od dawna był przyjacielem oraz współpracownikiem Ayt Mady – jej podwładnym w czasach, gdy sama była prognostyczką. Rodzina Iwe cieszyła się z domniemań, że Ayt uważała nowego prognostyka za swego najbardziej prawdopodobnego następcę. To bardzo by poprawiło ich nie najlepszą reputację. Ich jadeitowe talenty nie były zbyt silne, lecz byli skłonni do swędziawki w takim samym stopniu jak osławiona rodzina Aunów. Podejrzewano też, że są uzależnieni od błysku.



\* \* \*

Shae wyjaśniła wszystkim sytuację przy rodzinnym stole, po kolacji siódmego dnia.

– Niektórzy naciskają na Ayt, by jasno określiła linię sukcesji, ale ona ze zrozumiałych względów unika tego tematu. Chłopak Kobenów ma dopiero dziewięć lat, za mało, by można było ocenić jego zdolności. Ayt Mada nie brała udziału w jego wychowywaniu. Iwe Kalundo jest zupełnym nowicjuszem na stanowisku prognostyka. Ayt z pewnością zamierza pozostać filarem przez długi czas i pozostawić kwestię sukcesji otwartą. Wybór następcy mógłby podważyć jej autorytet przez podwyższenie statusu jakiejś innej rodziny.

Hilo obracał między palcami niezapalonego papierosa, mrużąc w zamyśleniu powieki.

– Mówiłaś, że Doru uważał Kobenów za najsilniejszych kandydatów.

– Inni wydają się mniej prawdopodobni – przyznała prognostyczka. – Venowie mają bogactwo i wpływy, ale nie mogą przedstawić prawowitego następcy, a poza tym Ayt Mada nie darzy ich łaskami. Nie śpieszyli się z oddaniem jej hołdu, kiedy została filarem. Popierali jej brata do chwili, gdy ta opcja przestała wchodzić w grę. Ayt Mada może potrzebować pieniędzy i poparcia Venów, ale z pewnością pragnie trzymać ich z dala od władzy.

Shae wypila łyk herbaty i podsunęła Wen resztę deseru.

– Natomiast rodzina Iwe jest całkowicie lojalna wobec Ayt. Nie chcieliby z nami rozmawiać, nawet gdybyśmy się do nich zwrócili. Osobista reputacja Iwe Kalunda jest niepodważalna, ale jego ojciec umarł na śwędziawkę, a w rodzinie zdarzają się przypadki uzależnienia od błysku. Wielu ludzi w Górze nie będzie chciało, by ten ród objął przywództwo w klanie.

Hilo podrapał się po czole i zmarszczył brwi.

– Ważne jest to, co myśli filar – zauważył. – Jeśli Ayt ufa mu w wystarczającym stopniu, by uczynić go prognostykiem, a on sprawdzi się na tej pozycji, może jej nie obchodzić, co sądzą na ten temat klany.

– Być może, ale Kobenowie są znacznie liczniejsi i łączą ich z Aytami więzy rodzinne – odparła z namysłem Shae.

Sukcesja w klanach zielonych kości nie musiała się opierać na dziedzictwie, ale ze względów historycznych i kulturowych ludzie woleli, by władza została w rodzinie.

– W żyłach chłopaka nie płynie krew Ayt Yu ani Ayt Mady – zauważył Tar z lekceważącym gestem. – Może i jego prawa są najsilniejsze, ale trzeba przyznać, że są kurewsko słabe.

– Dlatego kwestia nie jest rozstrzygnięta – zgodziła się Shae. – Rozumiem, dlaczego Doru sugerował zawarcie sojuszu z Kobenami. Gdyby połączyły ich z nami więzy przyjaźni, moglibyśmy zasugerować członkom obu klanów, że pod ich rządami pokój będzie mógł się utrzymać. A gdyby Kobenowie byli po naszej stronie, Ayt dobrze by się zastanowiła, zanimby nas zaatakowała. – Prognostyczka mruknęła coś pod nosem. – To ma sens jako obronna taktyka.

Wen omiotła spojrzaniem wszystkich obecnych.

– Doru był dobrym strategiem – rzekła mężowi łagodnym, lecz wyrazistym tonem. – Z pewnością głęboko się zastanawiał nad tym, jak utrzymać jedność klanów. – Dotknęła kolana Hila. – Tego właśnie pragnął, to starał się osiągnąć za plecami Lana. Zjednoczenie. Dzięki temu wiemy, czego nie robić, jeśli pragniemy innych rezultatów.

Kehn, Tar, a nawet Shae sprawiali wrażenie zaskoczonych tym, że Wen stanowczo włączyła się do dyskusji, ale Hilo uśmiechnął się do niej z aprobatą.

– Najwyraźniej ten stary szalbierz Doru w czymś nam jednak pomógł. – Spojrzał na Shae. – Znajdź jakiś sposób, żebym mógł się spotkać z Ven Sandolanem.

# ROZDZIAŁ 16

## NIE JESTEM ZŁODZIEJEM

Anden przyzwyczał się już do rytmu życia w Port Massy. Letnie dni robiły się coraz dłuższe, bardziej upalne i wilgotne, ale niebo często było zachmurzone, a miasto wydawało się bezbarwne. Anden mimo woli zaprzyjaźnił się z kolegami z kursu, a także poznał niektórych sąsiadów Hianów. Dwa razy widział też znajomą zieloną kość jeżdżącą na rowerze. Za pierwszym razem nieznajomy mknął na swym pojeździe w przeciwnym kierunku, po drugiej stronie ulicy. Potem zaś zobaczył go przez okno miejskiego autobusu, jak stał na rogu ulicy i rozmawiał z trzema innymi młodymi mężczyznami.

Anden był niepomiarnie zaniepokojony. Miał ochotę zadać nieznajomemu tysiąc pytań. Gdy wspomniał o tym spotkaniu Hianom, wyjaśnili mu:

– To Dauk Corujon. Uczy się na prawnika. Wszyscy jesteśmy z niego bardzo dumni. Pewnie, że jest zielony. To prawdziwy kekoński syn. Ile zielonych kości mieszka w naszej dzielnicy? – Pan Hian wzruszył ramionami. – Trzydzieści? Czterdzieści? Kto to wie?

Anden był zdumiony. Shae studiowała w Hiszpanii, ale nie wspominała o tym, żeby ktoś nosił tam jadeit. Podejrzewał, że nigdy nie spotkała kogoś takiego przez cały okres pobytu w akademickim miasteczku Windton, gdzie nie mieszkało zbyt wielu Kekończyków. Port Massy miało dwadzieścia razy więcej ludności niż Windton i łatwo było zauważyć, że jest ogromnym ośrodkiem handlowym, w którym można znaleźć ludzi, potrawy oraz towary z całego świata. Jadąc autobusem, codziennie słyszał wiele różnych języków. Przyszło mu na myśl, że w tym mieście można by przetrwać, w ogóle nie znając hiszpańskiego. Wystarczyłoby trzymać się blisko rodaków. Teraz, gdy dowiedział się, że w pobliżu ukrywają się zielone kości, starał się je zauważyć. Przyglądał się zwyczajnie wyglądającym ludziom

w sklepach spożywczych, w kolejce w banku czy na chodnikach. Często zadawał pytania państwu Hian.

– Pan Tow? Z pewnością nie. Wyobrażasz go sobie jako zieloną kość? – Pani Hian prychnęła lekceważąco. – Ach tak, w rodzinie Ruenów wszyscy są zielonymi kośćmi. Ruen-jen od lat naucza jadeitowych dyscyplin.

Bawiło ich jego ekstremalne zainteresowanie. Nie do końca pojmowali, że Andena przez całe życie otaczały zielone kości i już od pierwszego dnia pobytu w Port Massy ich nieobecność wydawała mu się najbardziej niepokojącym aspektem tutejszego życia. Gdy zaś się zorientował, że mieszkają w Południowej Pułapce, tylko nie ujawniają swej obecności, poczuł się dziwnie uspokojony.

Ani razu nie zauważył jednak jawnie noszonego jadeitu, choć wypatrywał go bardzo uważnie. Żadnych kolczyków, pierścieni, bransolet czy wysadzanych klejnotami pasów. To było zdumiewające. W Janloonie jadeit był oczywistym symbolem statusu. Budził szacunek zarówno w najmroczniejszych zaułkach Pralni, jak i w salach konferencyjnych najwyższych drapaczy chmur w dzielnicy finansowej. Zielone kości nosiły klejnoty otwarcie i z dumą. Nie przyszłoby im do głowy ich ukrywać, chyba że chciały okazać przesadną skromność albo uniknąć przyciągania uwagi.

Dlatego kontakty międzyludzkie w Espenii przysparzały mu trudności. Nawet nie wiedział, do kogo powinien się zwracać „jen”.

– Nie jesteśmy na Kekonie – przypomniał mu pan Hian. – Espeńczycy nie rozumieją, że jadeit jest częścią naszej kultury. Pomyśleliby, że próbujemy im grozić albo wyróżnić się z tłumu. Obnoszenie się z zielenią równałoby się szukaniu kłopotów.

Choć Anden był zafascynowany miejscową jadeitową subkulturą, nie próbował spotkać się z miejscowymi zielonymi kośćmi ani dowiedzieć się, gdzie się szkolą i spotykają. W końcu nie był jednym z nich i ten fakt nadal budził w nim wstyd, gdy tylko o tym pomyślał; z upływem miesięcy to uczucie słabło. Tak daleko od Janloonu nikt nie wiedział o tym, że okrył się hańbą w oczach klanu Bez Szczytów i nie przypomniano mu o tym nieustannie, jak w domu. Tutaj, w Południowej Pułapce, gdzie nie sposób było zgadnąć, kto jest, a kto nie jest zielony, to nie miało większego znaczenia. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek jeszcze będzie miał do czynienia z zielonymi kośćmi – dopóki nie popełnił zrozumiałego, lecz poważnego błędu.

Dzięki pieniądzom, które dostał od Shae, i panu Hianowi, który pomógł mu przeczytać ogłoszenia w miejscowej gazecie, Anden kupił używany

rower. Zabezpieczył go łańcuchem i trzymał w zaułku za szeregowcem państwa Hian. Pewnego popołudnia późnym latem pojechał na rowerze do parku i usiadł pod drzewem, by przeczytać teksty zadane na ten tydzień. Potem zasnął na chwilę. Kiedy się obudził, zabrał swoje rzeczy, wsiadł na rower i pojechał do domu Hianów.

Nim zdołał pokonać połowę przecznicy, usłyszał czyjś krzyk. Obejrzał się i zobaczył mężczyznę, który pędził za nim, wymachując rękami. Anden zatrzymał rower i postawił stopę na chodniku. Ścigający się zbliżył. Był dwudziestoparoletnim mężczyzną, niewiele starszym niż Anden. Miał zaczerwienioną twarz i szczyrzył w gniewie wielkie zęby.

– Co ty wyprawiasz? To mój rower!

Anden opuścił wzrok i zorientował się, że rzeczywiście zabrał przez pomyłkę nie ten rower. Wyglądał prawie identycznie, ale czerwona farba była nowa i wolna od zadrapań, a bieżniki na oponach nadal nietknięte. Właściciel roweru złapał za kierownicę.

– Myślałeś, że uda ci się ukraść mój nowy rower?

Rozpoczął oskarżycielską tyradę po espeńsku. Mówił za szybko, by Anden mógł za nim nadążyć.

– Przepraszam. – Anden zsiadł z roweru. Twarz miał czerwoną ze wstydu. – Przepraszam. Pomyłka.

Mężczyzna odepchnął go brutalnie na bok.

– Jesteś najgłupszym złodziejem w całym mieście. Wiesz, kim jestem? Czy w ogóle mówisz po espeńsku?

Anden nie znał języka zbyt dobrze, ale rozumiał, że oskarżono go o kradzież. W pierwszej chwili był zdumiony, ale w następnej szyję i głowę wypełnił mu żar gniewu. Musiał się bronić. Złodzieje stali najniżej ze wszystkich ludzi. Nazwanie kogoś złodziejem było gorsze niż tchórzem albo degeneratem. Na Kekonie mężczyźni zabijali ze znacznie bardziej błahych powodów.

– Nie ukradłem – sprzeciwił się z pasją. – Powiedziałem: pomyłka.

– Jasne. Akurat ci uwierzę. Wynoś się tam, skąd przyjechałeś, ty durny skurwysynie.

Mężczyzna zaczął się oddalać ze swoim rowerem. Anden zamarł na moment w osłupieniu. Potem zrobił kilka szybkich kroków naprzód i złapał za tył siodełka. Mężczyzna odwrócił się, rozdziawiając usta w gniewie i zaskoczeniu.

– Nie ukradłem twojego roweru – oznajmił Anden, starannie wymawiając każde słowo. – Przepraszam.

– Żartujesz?! – krzyknął mężczyzna. – Mówisz jak keczek. Jesteś keczkiem? Mam ci rozwalić ten jebany pysk?

Upuścił rower na ziemię i zwrócił się ku Andenowi, unosząc pięści.

Chłopaka dopadły poważne wątpliwości. Chciał tylko, żeby mężczyzna odwołał to, co powiedział. Nikt nie zasługiwał na to, by go brutalnie traktowano i zniesławiano z powodu zwykłej pomyłki. Nie miał ochoty bić się z tym człowiekiem, ale nie widział żadnej drogi wyjścia poza zwykłą ucieczką, a tego nie mógłby zaakceptować. W Janloonie, gdyby miał ze sobą przyjaciół mogących służyć jako świadkowie, byłby w stanie przełożyć starcie na późniejszy termin. Czasami zdarzało się, że z upływem czasu rozsądek zdobywał przewagę. Nie miał jednak pojęcia, jakie zwyczaje dotyczące pojedynków obowiązują w Hiszpanii, a nie wyglądało na to, by nieznajomy mężczyzna miał zamiar ustąpić.

Anden zdjął okulary i schował je w bocznej kieszeni torby, a następnie postawił ją na trawie obok chodnika. Uniósł pięści i przybrał postawę bojową, równo rozkładając ciężar ciała na obie nogi. Nadal zastanawiał się, jak do tego doszło. Dlaczego mężczyzna nie zaakceptował jego przeprosin i nie zakończył sprawy?

Nieznajomy otworzył szeroko oczy, a potem przymrużył je lekko w wyrazie groźby.

– Sam się o to prosisz, ty mały, zarozumiały...

Rzucił się do ataku. Zamachnął się szeroko, celując w głowę Kekończyka.

Minęło sporo czasu, odkąd Anden z kimkolwiek walczył. Ściśle mówiąc, było to podczas jego ostatnich Testów w Akademii. Z początku reagował zbyt wolno. Ledwie zdołał odbić pierwszą serię ciosów, którymi zasypał go przeciwnik, a gdy zauważył oczywistą okazję do kontrataku, wziął zbyt wielką poprawkę na opóźniony refleks, cofnął się za daleko i nie zdążył zaatakować przeciwnika, nim ten znowu zwrócił się ku niemu. Anden potrząsnął głową, zły na siebie. Hilo przyłożyłby mu mocno za taką nieudolność. Gdy to pomyślał, przeciwnik przebił się przez jego zasłonę, trafiając w policzek.

Twarz Andena wypełnił ból, budząc umiejętności nabyte w ciągu lat nauki w Akademii. Chłopak zgarbił się, unikając kolejnego ciosu, a następnie walnął przeciwnika w żebra. Mężczyzna stęknął z bólu i spróbował

zaciśnąć ramię wokół jego szyi. Anden uderzył go łokciem w udo i rzucił się do tyłu, pochylając się pod ręką tamtego. Espeńczyk poleciał bezładnie do przodu, ale szybko odzyskał równowagę i zasypał Andena gradem potężnych ciosów. Większość z nich zatrzymywała się na ramionach chłopaka, ale kilka trafiło go w brzuch i w żebra z siłą tak wielką, że oczy zaszyły mu łzami. Jeden uderzył w usta, rozcinając wargę. W sposobie walki mężczyzny było niewiele finezji, ale nadrabiał to szybkością, siłą oraz odruchami kogoś, kto uczestniczył już w niejednej bijatyce. Był większy od Andena i bardziej wściekły, a w brutalnym fizycznym starciu to zapewniało mu przewagę.

Andena ogarnęła panika. Uświadomił sobie, że przegrywa walkę ze zwykłym ulicznym chuliganem, mimo że jest najmłodszym członkiem rodziny Kaulów i uczył się w jednej z najlepszych szkół walki na Kekonie.

Westchnął z bólu, ale się nie cofnął. Osłaniając głowę rękami, uniósł nagle łokieć i uderzył przeciwnika w podbródek. Następnie wsparł nogę o jego brzuch i odepchnął go do tyłu z całą siłą. Gdy Espeńczyk odzyskał równowagę i znowu ruszył do przodu, Anden cofnął się pośpiesznie, jakby nie chciał podejmować walki. W jakiejś części było to prawdą. Poczuł, że dotknął piętą krawężnika. Kiedy przeciwnik włożył w następny cios cały swój ciężar, chłopak zeskoczył na jezdnię, złapał rywala za wyciągniętą rękę i pociągnął – niezbyt silnie, po prostu szarpnął jego nadgarstek, ale w połączeniu z impetem ich obu wystarczyło to, by Espeńczyk pomknął bezwładnie przed siebie. Jego wysunięta do przodu stopa spadła z krawężnika i stracił raptownie równowagę. Był jednak zręczny i zapewne by nie upadł, gdyby Anden nie uderzył z góry w pochyloną część jego ciała. Cios trafił w bok twarzy przeciwnika, między uchem a żuchwą.

Espeńczyk wyciągnął ręce przed siebie, by złagodzić upadek, i wylądował na asfalcie. Anden nie tracił czasu. Uderzył rywala jeszcze raz, a potem kopnął go w klatkę piersiową. Tamten spróbował złapać go za nogi, ale chłopak odsunął się i wymierzył mu kopniaka w żebra. Mężczyzna zwinął się w kłębek, jęcząc z bólu. Anden skoczył na niego, usiadł okrakiem na jego piersi i uniósł pięść nad opuchniętą twarzą przeciwnika.

– Masz dość?

Mężczyzna nie odpowiedział, więc Anden zdzielił go w twarz, tak mocno, że poranił sobie kostki dłoni o jego zęby.

– Masz dość? – zapytał ponownie i z ulgą zauważył, że Espeńczyk skinął głową. – Powiedz, że nie jestem złodziejem.

– C... co? – wyjąkał tamten przez opuchnięte usta.

Anden ponownie uniósł pięść.

– Powiedz, że nie jestem złodziejem.

– Już dobra, ty popierdolony skurwysynie! Nie... nie jesteś...

Czyjeś ręce chwyciły Andena za ręce i klatkę piersiową, odciągnęły go na chodnik. Uniósł wzrok ze zdziwieniem i ujrzał półokrąg gapiów. Dwaj potężnie zbudowani mężczyźni go przytrzymywali, a ktoś inny przykucnął przy jego powalonym rywalu, by sprawdzić, czy nic poważnego mu się nie stało. Anden strząsnął z siebie trzymające go ręce. Dlaczego się wtrącili? Wygrał uczciwie. Przeciwnik był na granicy poddania się.

Jeden z gapiów wyglądał na Kekończyka.

– O co chodzi?! – zawołał do niego Anden w ich ojczystym języku. – W czym problem?!

Mężczyzna obrzucił go spojrzeniem pełnym zimnej dezaprobaty.

Przeciwnik Andena podniósł się z wysiłkiem.

– Nie żyjesz, słyszałeś? – warknął. – Nie obchodzi mnie, za kogo się uważasz. Jeśli nadepnąłeś na Carsona Suntera, popełniłeś śmiertelny błąd.

Splunął krwią na chodnik u stóp Andena, odwrócił się, zabrał swój rower i oddalił się, wspierając się na nim i powtarzając przekleństwa.

Grupka gapiów rozproszyła się. Żaden nie chciał patrzeć na Andena.

– Co się stało? – zapytał Kekończyka. Był pewien, że widywał go w okolicy. – Czy zrobiłem coś złego?

Ku jego zdumieniu mężczyzna odpowiedział mu po espeńsku.

– Po co to zrobiłeś? Chcesz, żeby wina spadła na nas wszystkich? Pobiłeś człowieka z powodu roweru? – Przeszedł na kekoński. – Chcesz być jak klanowe zbiry ze starego kraju?

Obrzucił Andena pogardliwym spojrzeniem, odwrócił się i odszedł.

\* \* \*

Gdy Anden stanął w drzwiach, pani Hian westchnęła z przerażeniem na jego widok.

– Co się stało?! – zawołała. Posadziła go na krześle przy stole w kuchni i pobiegła po lód oraz maść na opuchnięty policzek i wargę. – Jak do tego doszło?

Gdy wszystko im opowiedział, pan i pani Hian wymienili przygnębione spojrzenia.



– Nie jest dobrze. – Mężczyzna westchnął. – Możemy mieć kłopoty.

– Nie rozumiem – sprzeciwił się Anden. – Znieważył mnie i rzucił mi wyzwanie. Wygrałem uczciwie. Uznał się za pokonanego. Ludzie to widzieli. Jeśli spróbuje zemsty, wina będzie leżała po jego stronie.

– Anden-se – odpowiedział mu z powagą jego gospodarz. – W tym kraju pojedynki są zakazane. Espeńskie sądy nie uznają rozstrzygnięcia żadnego sporu przez pojedynek, nawet jeśli obie strony wyrażą na to zgodę.

– Ten człowiek wróci tu, by wyrządzić ci krzywdę, albo, co bardziej prawdopodobne, jego rodzina zażąda od nas pieniędzy – wyjaśniła pani Hian, wycierając zakrwawioną twarz chłopca.

– W espeńskim prawie nie ma czegoś takiego jak czysta klinga – dodał jej mąż.

Przerażony Anden milczał tak długo, że państwo Hian zaniepokoiili się jeszcze bardziej i zaczęli go pocieszać. Kobieta wstała i pogłaskała go po karku.

– Nie martw się, to nie twoja wina, tylko nasza. Ty po prostu broniłeś swojej reputacji i honoru rodziny. Skąd miałeś wiedzieć, że tutejsze prawa nie mają sensu? Powinniśmy byli ci to wytłumaczyć, ale nie sądziliśmy, że wydarzy się coś takiego.

Pan Hian dał Andenowi kieliszek hoji i papierosa.

– Nie przejmuj się – pocieszył go.

– I co teraz zrobimy? – zapytał przygnębiony chłopak.

Pani Hian zacisnęła usta. Spojrzała na męża, który splótł dłonie na blacie kuchennego stolika i skinął z niechęcią głową.

– Musimy iść do filaru.

# ROZDZIAŁ 17

## FILAR POŁUDNIOWEJ PUŁAPKI

Następnego wieczoru Anden i państwo Hian przejechali autobusem sześć przystanków, docierając na drugi koniec Południowej Pułapki. Trafili do niebieskiego dwupoziomowego domu i w wejściu przywitała ich mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta z trwałą ondulacją i pomalowanymi na białą paznokciami. Pozdrowiła miło państwa Hian i wpuściła ich do środka.

– Na pewno jesteś Anden, chłopak z Janloonu, który przyjechał tu studiować – stwierdziła.

– Tak, ciociu – potwierdził Anden.

– Jesteś bardzo uprzejmy! – zawołała i uśmiechnęła się do niego z aprobatą. – Wejdz, buty możesz zostawić tutaj. Losun-se! – zawołała, odwracając się w stronę schodów.

Na górę wszedł mężczyzna, ocierający w szmatkę zakurzone dłonie. Rękawy flanelowej koszuli miał podwinięte do łokci.

– Prawie się uporałem z kafelkami w łazience – oznajmił, po czym opuścił rękawy i zapiął mankiety. – Jak to zrobię, piwnica będzie niemal skończona.

– Nigdy nie będzie skończona – odparła jego żona z radosnym pesymizmem.

– Brak ci wiary – poskarżył się. – Ach, przyszli Hianowie.

Wczoraj Anden rozmawiał o nim ze swoimi gospodarzami.

– Kim jest ten filar? – zapytał ze zdziwieniem. – Jakiemu klanowi przewodzi?

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego nikt mu o tym nie wspomniał.

Pan Hian podrapał się po brodzie.

– Tutaj nie jest tak, jak w Janloonie. Mamy bardzo niewiele zielonych kości. Dauk Losunyin to człowiek, którego słuchają inni, jedyny tutaj, któ-

rego zwał filarem. Pewnie to znaczy, że rzeczywiście nim jest. – Wzruszył ramionami. – Filarem Południowej Pułapki.

Filar był łysiejącym, masywnie zbudowanym mężczyzną o wielkich dłoniach rzemieślnika. Był sympatyczny i zgodny. Patrząc na niego, Anden nie wiedział, co myśleć. Ten człowiek nie przypominał mu wojownika zielonej kości, a tym bardziej przywódcy klanu. Jego dom był mniejszy niż domek dla gości w posiadłości Kaulów. Nie emanował władzą ani autorytetem. Byłoby śmieszne wyobrazić go sobie u boku kogoś takiego jak Kaul Hilo albo Ayt Mada.

– Dauk-jen – odezwał się pan Hian, splatając dłonie i dotykając nimi czoła. Pochylił się też w pokłonie, wyrażając wielki szacunek. Jego żona postąpiła tak samo i wręczyła pani Dauk tacę z bułeczkami domowej roboty wypełnionymi pastą migdałową. – Dziękuję, że zgodziliście się nas przyjąć – kontynuował. – To jest Emery Anden, student z Janloonu, ten, o którym wam opowiadałem.

Dauk przyjaźnie poklepał Andena po ramieniu.

– Jak ci się podoba w Espanii?

– Hmm... próbuję się do niej przyzwyczaić, jen – odpowiedział chłopak.

Filar zachichotał.

– To nie jest łatwe, prawda?

Skinął na gości i przeprowadził ich przez kuchnię do jadalni, po czym przyniósł dodatkowe krzesła do owalnego drewnianego stołu. W ścianie między jadalnią i kuchnią była nisza, w której stała piękna zielona waza. Andenowi opadła szczęka na ten widok, ale po chwili uświadomił sobie, że to nie jest zdumiewająca i niebezpieczna ilość jadeitu, jak pomyślał w pierwszej chwili, lecz dekoracyjny przedmiot wykonany ze zwykłego nefrytu.

Zauważył też dwie małe figurki koni stojące na kominku oraz lichtarz na stoliku obok sofy. Wszystkie zrobiono z tego samego materiału. W Janloonie podobne eksponowanie blagierskiej zieleni uznano by za straszliwe bezguście. Czy Keko-Espeńczycy popisywali się nefrytem dlatego, że mieli tak mało prawdziwego jadeitu i nie mogli nosić go otwarcie? A może lubili ostentacyjnie demonstrować nieczynne ozdoby jako symbol swego kulturowego dziedzictwa?

Frontowe drzwi się otworzyły i do środka wszedł młody mężczyzna. Anden już go przedtem widział. To on przed kilkoma miesiącami uratował

kobietę przed przejechaniem.

Pani Dauk podbiegła do drzwi, żeby się z nim przywitać.

– Coru, nie sądziłam, że zdążysz dziś na kolację.

Przybysz zdjął czapkę i uściskał matkę.

– Mamy gości?

– Pana i panią Hian już znasz – odpowiedziała pani Dauk. – A to jest Emery Anden, student z Kekonu. Mieszka z nimi i studiuje w college’u w Port Massy.

Anden uświadomił sobie, że gapi się na chłopaka jak idiota. Dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że pani Hian mówiła mu, iż nazwisko będącego zieloną kością chłopaka, którego widział na ulicy, brzmi Dauk. To było tak dawno temu, że zapomniał o tym i nie wyciągnął wniosków. Rowerzysta o szybkim refleksie był synem filaru.

Coru otworzył szeroko oczy, poznając go. Potem się uśmiechnął. Pośrodku jego czoła pojawił się dołeczek, a w ciemnych oczach błysk wesołości.

– Znowu się spotykamy – rzekł po espeńsku. – A ty nadal masz minę spłoszonego jelenia.

Anden zamrugał niepewnie.

– Zaskoczyłeś mnie po raz drugi, jen – odrzekł w łamanym espeńskim.

– Coru, jak ty mówisz do gościa? – Pacnęła syna w tył głowy. – Mów po kekońsku!

– Nic nie szkodzi, pani Dauk – odezwał się Anden, czując, że twarz wypełnia mu ciepło. – Muszę ćwiczyć espeński, jeśli mam się go porządnie nauczyć. Wasz syn chciał okazać mi pomoc. To... chyba często mu się zdarza.

– Sana! – zawołał Dauk Losun. – Kiedy będzie kolacja?

– Już jest gotowa – odpowiedziała jego żona i wpadła do kuchni po stalowy garnek, który postawiła na trójnogu pośrodku stołu. – Gulasz wieprzowy musi się jeszcze chwilę gotować, ale reszta już jest w porządku. Przyniosę go później. Nie stójcie tak. Siadajcie i jedzcie!

Za stołem siedziało sześć osób i było trochę tłoczno. Dauk Sana przygotowała mnóstwo potraw – kapustę na ostro, krewetki z cytrynowym sosem chili, a także wieprzowy gulasz z octem, w który wkrojono spore kawałki grzybów i jaj. Wszystko to była tradycyjna kekońska kuchnia domowa, poza tylko koszykiem ciemnych, solonych krakersów, długich i grubych, który krążył wokół stołu. Espeńczycy podawali je do każdego posiłku.

Można było nakładać nimi jedzenie, jak łyżką, albo zanurzać je w zupach i gulaszach. Anden siedział obok Dauk Coru, który jadł z wielkim apetytem i – jak przystało dobremu kekońskiemu synowi – chwalił matkę przy każdej potrawie.

Anden z desperacją zastanawiał się nad jakimś sposobem, który pozwoliłby mu rozpocząć normalną rozmowę z sąsiadem przy stole, bez wspomnienia o ich poprzednim, żenującym spotkaniu. Zerkał na Coru co chwila, próbując zauważyć ukryty jadeit. Nagle pochylił się po koszyk krakersów, starannie wybierając moment tak, by jego ramię otarło się o ramię Dauka. Jego łokieć przeszło mrowienie, wnikające głęboko w kości. Poczł nagłe szarpnięcie w brzuchu, jak ryba, która połknęła haczyk i zaraz zostanie wyciągnięta z wody. Zalał go pot. Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio znalazł się tak blisko jadeitowej aury kogoś innego. Zadrżał i odsunął rękę.

– Jak długo masz tu zostać? – zapytał Coru.

– He? – Anden pośpiesznie wziął się w garść. – Aha, dwa lata. Wystarczająco długo, żebym ukończył immersyjny kurs języka i zdobył stopień licencjata. Tak przynajmniej wygląda plan.

Cory wziął sobie kolejny kęs, nie zadając następnego pytania.

– Coru-jen... – zaczął Anden po chwili krępującego milczenia – ...słyszałem, że ty też jesteś studentem. Uczysz się na prawnika, tak?

Drugi młodzieniec spojrział na niego z uśmiechem.

– Nikt poza rodzicami i ich znajomymi nie mówi na mnie Coru. Dla wszystkich pozostałych jestem Cory. – Otarł dłoń, wyciągnął ją i uściśnął rękę Andena. – Skoro już poznaliśmy się, jak trzeba, tak, jesienią zacznę program nauki prawa na Uniwersytecie Watersguarda. Wziąłem sobie rok wolnego, żeby trochę popracować jako wolontariusz, a także zarobić na czesne jako asystent prawny. Najbliższego lata mam zamiar wybrać się na sześciotygodniową wycieczkę po kraju. – Uniósł podbródek. – Zanim będę zmuszony pójść w ślady siostry – dodał donośniejszym tonem, by usłyszał go ojciec.

– Masz starszą siostrę? – zapytał Anden.

– Mam trzy. – Cory potrząsnął głową. – Możesz się nade mną litować.

Anden nie miał pojęcia, jak to jest, gdy ma się tyle sióstr, ale on również był najmłodszy w rodzinie i w pewnym sensie miał troje starszego rodzeństwa. Powiedział o tym Cory'emu, który wstał od stołu, by pokazać mu przyniesioną z kominka rodzinną fotografię.

– Moja najstarsza siostra jest prawniczką – zaczął, pokazując zdjęcie Andenowi. – Pracuje w Federalnym Departamencie Przemysłu. Jej mąż jest inżynierem, ale nie dorobili się potomstwa. Druga siostra ukończyła pielęgniarstwo, lecz teraz siedzi w domu z dwojgiem dzieci. Trzecia, to ta... – wskazał palcem – ...ma stopień z organizacji opieki społecznej. Wyszła za mąż w zeszłym roku.

Wszyscy Daukowie byli podobni do siebie. Tak samo się uśmiechali i mieli równie szerokie bary. Anden miał ochotę zapytać Cory’ego, czy któraś z jego sióstr również jest zieloną kością, ale popełnił już w Hiszpanii zbyt wiele gaf z powodu niezrozumienia miejscowej kultury. Jeśli mieszkający tu ludzie ukrywali jadeit, to być może nie powinno się nikomu zadawać takich pytań. Przyglądał się zdjęciu z uwagą przez jakąś minutę, zanim oddał je Cory’emu.

– Wasz młodszy syn nadal studiuje w Watersguardzie, prawda? – zapytał państwa Hian Dauk Losunynin. – Jak mu idzie? Czy nadal pracuje nad doktoratem?

Rozmowa między czworgiem starszych stała się luźniejsza, przeszła na utyskiwanie na dzieci, a potem na plotki dotyczące sąsiadów z kekońskiej części Południowej Pułapki. Anden odnosił wrażenie, że tak trywialne tematy nie zasługują na uwagę filaru, ale Dauk Losun oparł się masywnym łokciem o blat, wsparł podbródek na otwartej dłoni i słuchał z uwagą, jak pani Hian uskarża się na coraz większy ruch drogowy przed domem i wyraża zaniepokojenie nieustannie kłócącą się ze sobą parą mieszkającą po drugiej stronie ulicy.

Dauk Sana zabrała talerze i przyniosła herbatę oraz puszkę kekońskich ciasteczek. W tej samej chwili ktoś zadzwonił do drzwi. Cory otworzył je i wpuścił do środka mężczyznę. Przybysz przywitał się ze wszystkimi poważnym skinieniem głowy.

– Dauk-jenowie. Państwo Hian.

Spojrzał na Andena, ale nic nie powiedział, po czym zdjął kapelusz, płaszcz i buty. Na rękach miał cienkie, czarne, skórzane rękawiczki. Je również zdjął, ale nie zostawił ich w płaszczu, lecz wepchnął do przedniej kieszeni koszuli, po czym ruszył w stronę stołu. Cory przyciągnął mu krzesło. Mężczyzna wymamrotał słowa podziękowania i wziął sobie ciasteczko. Sana naląła wszystkim herbaty.

Przybysz był pierwszym człowiekiem w Hiszpanii, na widok którego Anden pomyślał „pięć”. Nie był zbyt potężnie zbudowanym mężczyzną,

ale wszystko – jego bystre spojrzenie, pozycja, w jakiej stał, sposób poruszania się, szczupłe ciało – sugerowało talent do przemocy. Hilo mówił mu kiedyś, że najlepsze pięści mają umysły psów stróżujących. Mogą być przyjaźnie nastawione, uśmiechać się i merdać ogonami, ale zawsze zachowują czujność. Jeśli wykonasz nieprawidłowy ruch albo zagroźysz temu, co dla nich drogie, nie zawahają się użyć zębów. Choć Anden nigdy przedtem nie spotkał tego człowieka, natychmiast rozpoznał w nim kogoś, kto pasowałby do braci Maik.

– Przepraszam, że nie mogłem zjeść z wami kolacji – oznajmił mężczyzna.

Jego przybycie zmieniło nastrój wieczoru. Anden podejrzewał, że to nie był przypadek, lecz starannie wybrał chwilę. Niezobowiązujące rozmowy ucichły. Krzesła zgrzytnęły o podłogę, gdy odsunięto je nieco od stołu. Pojawiły się papierosy i hoji.

– Rohn-jen, wiesz, że zawsze jesteś mile widzianym gościem – odezwała się Dauk Sana. W jej głosie pojawiła się jednak lekka rezerwa, której przedtem nie było. – Jak tam twój bark?

– Po twoich sesjach uzdrowicielskich znacznie lepiej, Sana-jen – odpowiedział Rohn.

Dauk Losun skinął na Andena.

– Toro, to jest Emery Anden, student z Janloonu. Jest tylko pół-Kekończykiem, ale jego matka była potężną zieloną kością i adoptowała go rodzina Kaulów z klanu Bez Szczytów. Uznano go za najmłodszego wnuka ich filaru.

To zaskoczyło Andena. Przez cały czas trwania kolacji odnosił wrażenie, że filar Południowej Pułapki zna go tylko jako studenta mieszkającego z Hianami. Dauk Losunin opowiadał o nim tym samym spokojnym głosem, którym posługiwał się przez cały wieczór, jakby wszyscy znali historię Andena, choć z pewnością nie było to prawdą.

Cory uniósł brwi, wyprostował się na krześle i obrócił głowę, spoglądając na Andena ze zdwojonym zainteresowaniem.

Rohn Toro umoczył cynamonowe ciasteczko w filiżance herbaty.

– Kaul to znane nazwisko – zauważył.

– Bardzo znane – zgodził się Dauk Losun. – Usiadł wygodniej i z zadowoleniem potarł brzuch. Posiłek był pyszny. – Wychowywałem się na Kekonie, w rodzinie zielonych kości, podczas szotarskiej okupacji. Ciągle słyszałem opowieści o dzielnych przywódcach Towarzystwa Jednej Góry,

Ayt Yugontinie i Kaul Seningtonie. Włóczni i Płomieniu. Kiedy mój ojciec zabił szotarskiego policjanta, Towarzystwo pomogło mi, mojej matce i siostrze uciec do Espenii. Trzy tygodnie spędzone w ładowni transportowca były najgorszymi chwilami w moim życiu. Ale dzięki bogom dotarliśmy do nowego kraju, nie mając nic poza ubraniami, które nosiliśmy na grzbiecie. Miałem wtedy czternaście lat. – Filar wlepił spojrzenie w Andena. – Młody człowieku, mówię to, byś zrozumiał, że darzę twoją rodzinę najwyższym szacunkiem. Dokładnie śledzę wszystkie wydarzenia w naszej dzielnicy, zatem gdy państwo Hian zawiadomili mnie, że przyprowadzą cię na spotkanie ze mną, musiałem zadać im kilka pytań, by dowiedzieć się o tobie czegoś więcej. Teraz już wiem, kim jesteś, i ja oraz moja rodzina pragniemy ci pomóc, jeśli tylko leży to w naszej mocy.

– Dziękuję, Dauk-jen – rzekł Anden, starając się odzyskać równowagę po nagłej zmianie w zachowaniu Dauka i w tonie prowadzonej rozmowy. Nadal nie był pewien, czego się spodziewać po tym bezpretensjonalnym filarze, z jego miłą rodzinną kolacją i domem udekorowanym blagierskim jademitem.

– Anden-se, opowiedz im, co się wydarzyło – odezwała się pani Hian.

Gdy chłopak skończył opowieść o starciu, do którego doszło w parku, Dauk spojrzął na Rohna Toro.

– Wiesz coś o tym Carsonie Sunterze?

– To płaszcz Chudziaka Reamsa. – Słowa „płaszcz” i „Chudziak Reams” Rohn wypowiedział po espeńsku. – Szef Kromner nie będzie się przejmował takim drobiazgiem, ale Reams może podjąć jakieś kroki.

Państwo Hian sprawiali wrażenie głęboko zaniepokojonych.

– Dauk-jen, paczki nie mają żadnych zasad – odezwała się pani Hian. – Czy mogą zaatakować nasz dom albo nawet naszych synów?

Anden nic nie rozumiał i czuł się coraz bardziej zaniepokojony.

– Kim jest ten człowiek, z którym się biłem?

Ku jego zaskoczeniu, odpowiedział mu Cory.

– Co ci przyszło do głowy, żeby wdawać się w bójkę z paczkowcem? No wiesz, to są gangsterzy. Szef Kromner panuje nad całym hazardem, wymuszeniami, handlem narkotykami i tak dalej w południowej części Port Massy, a Willum „Chudziak” Reams to jego najważniejszy przodownik. Człowiek, którego pobijeś, to płaszcz, szeregowy żołnierz w paczce Kromnera. To nie jest zbyt wysoka pozycja. Płaszcz demolują sklepy i zbierają



pieniądze od handlarzy narkotyków. Ale przodownik Reams może uznać pobicie miejscowego przez Kekończyka za prowokację.

– Ci przestępcy żerują na słabszych, przede wszystkim na imigrantach – dodał pan Hian. – Ale okolice zamieszkane przez Kekończyków zostawiają w spokoju, bo mamy filar w osobie Dauk-jena i zielone kości, które nas bronią. Dlatego właśnie nie spotykamy ich w naszej części Południowej Pułapki.

– Mamy z paczkami coś w rodzaju umowy – wyjaśnił Dauk Losun. – Nie mieszkamy się nawzajem w swoje sprawy. – Obawiam się jednak, że sytuacja się zmieni, gdy posiadanie jadeitu przez cywilów stanie się nielegalne.

Te słowa wywołały konsternację wśród obecnych. Dauk Sana wymamrotała przekleństwo pod nosem. Jej mąż uniósł rękę w uspokajającym geście.

– Będziemy musieli się z tym pogodzić. Opublikowano zbyt wiele opowieści o nieodpowiedzialnym użyciu jadeitu i przypadkach śwędziawki. A teraz zainteresowanie nim wzrosło dodatkowo z powodu konfliktu w Oortoko. Zgromadzeniu Narodowemu przedstawiono już projekt ustawy zakazującej posiadania jadeitu. Popierają go premier i najważniejsze stowarzyszenia zawodowe. To pewne, że ustawa przejdzie.

Filar sięgnął pod kołnierz flanelowej koszuli i wydobyl okrągły jadeitowy wisiorek zawieszony na srebrnym łańcuszku. Pocałował zielony dysk.

– To nasze kekońskie dziedzictwo – rzekł Andenowi. – W mojej rodzinie od pokoleń noszono zieleń. Dzisiaj zapewnia nam ona bezpieczeństwo przed paczkami i każdym, kto chciałby nas wykorzystać, jednoczy naszą społeczność i jest elementem naszej tożsamości jako Keko-Espeńczyków. A teraz rząd mówi mi, że to sprzeczne z prawem? Takie prawo jest niesprawiedliwe.

Jego żona pokiwała z zapalem głową.

– Nie jestem lekarką, ale na Kekonie ukończyłam szkołę pielęgniarstwa i nauczyłam się też od matki medycznego Przenoszenia, w wystarczającym stopniu, by pomagać ludziom, którzy mnie o to proszą. A teraz z powodu tego absurdalnego prawa będą się bali, że uczestniczą w czymś nielegalnym, mimo że robili to od lat.

Podobnie jak w przypadku innych Dauków, Anden próbował ustalić, gdzie matka Cory'ego nosi jadeit, ale nie zdołał tego dokonać.

Dauk Losun schował wisiołek pod koszulę.

– Ten dzień jeszcze nie nadszedł. Nie skręcajmy w boczną drogę. Anden i państwo Hian proszą nas o pomoc, a my nie możemy pozwolić, by to głupie nieporozumienie przysporzyło im kłopotów. Poprośmy Rohn-jena, żeby zaoferował Chudziakowi Reamsowi... – Zawahała się. – Dwa tysiące thalirów. Myślę, że jeśli będzie trzeba się targować, możemy się zgodzić na trzy tysiące, ale nie więcej.

Filar skinał głową.

– Jak zwykle żona okazała się mądrzejsza ode mnie. Całe szczęście, że mam ją przy sobie, bo inaczej trudno by mi było się skupić. Toro, powinieś zabrać ze sobą dwóch swoich najbardziej zielonych przyjaciół, a gdyby Reams próbował żądać więcej niż trzy tysiące, przypomnieć mu, że wiemy o sprawie Gertinga i nic nie powiedzieliśmy policji. Trzy tysiące i nasze dalsze milczenie. Na pewno się zgodzi.

Anden omiół spojrzeniem wszystkich siedzących za stołem. Nagle przeżył dwa olśnienia jednocześnie. Pierwsze polegało na tym, że wbrew oczekiwaniom swoim i swoich krewnych wcale nie trafił do kraju wolnego od jadeitu. W Janloonie kwestia tego, kto będzie kontrolował zieleń, doprowadziła do krwawych ulicznych walk między klanem Bez Szczytów a Górą, tutaj zaś zaczynała się dopiero w espeńskim półświatku i w cieniach imigranckich społeczności, ale istniała.

Drugi fakt uświadomił sobie, gdy przeniósł spojrzenie z Dauka na jego żonę, a potem na Rohna. Mały stół w mieszkaniu filaru bardzo się różnił od eleganckiego gabinetu w rezydencji Kaulów albo najwyższego piętra wieżowca na Statkowej, Anden zrozumiał jednak, że ma do czynienia z filarem zielonych kości, jego prognostyczką i rogiem. W Port Massy znaczyło to coś innego niż w Janloonie. Zwykłych ludzi tworzących społeczność i sąsiadów potajemnie pomagających sobie nawzajem.

Przeniósł spojrzenie na Cory'ego. Młody mężczyzna, który wkrótce miał zostać prawnikiem, odchylił się na krzesło, opierając się o ścianę. Jedną stopę wsparł na siedzeniu. Nadal poświęcał nieco uwagi rozmowie, ale sprawiał wrażenie, że bardziej interesuje go garść wypełnionych dżemem ciasteczek. Cory miał gładką cerę, był wysoki, a dzięki jeździe na rowerze miał muskularne łydki. Nosił koszulkę z logo, zapewne reprezentującym jakiś popularny zespół muzyczny, i pod każdym względem sprawiał wrażenie prawdziwego Espeńczyka. Mimo to był zieloną kością, nosił

ukryty jadeit i uczono go posługiwania się nim. Jaką pozycję zajmował w klanie?

Rohn Toro dopił herbatę i wstał.

– Znajdę Reamsa i pogadam z nim.

– Dziękuję, stary przyjacielu – rzekł mu Dauk Losun, po czym również wstał i odprowadził gościa do drzwi. – Byłoby też dobrze, gdybyś wkrótce złożył przyjacielską wizytę Tim Jorowi. To, co dzieje się między nim a jego żoną, to jego prywatna sprawa, ale jeśli każdy w sąsiedztwie o tym wie, może się wtrącić policja, a wtedy problem będzie dotyczył wszystkich. Przypomnij mu o tym, zgoda?

Rohn skinął głową i wyszedł. Dauk Sana wcisnęła w ręce pani Hian tacę z resztkami zapiekanki. Pan Hian zebrał kurtki wszystkich trojga i ponownie oddał honory filarowi.

– Dauk-jen, dziękujemy, że pomogłeś nam z tym problemem. Niech bogowie opromienią cię swą łaską.

– Nie martw się – odrzekł Dauk. – Rohn Toro jest całkowicie godny zaufania. Zawieraliśmy już ugody z paczkami. Wpadnijcie kiedyś na kolację i przyprowadźcie ze sobą tego chłopaka. – Żartobliwie pogroził palcem Andenowi. – Od tej pory unikaj kłopotów, jasne? Już wiesz, że pojedynki są tu zakazane. Istnieją sposoby, żeby ominąć to prawo, ale teraz nie będziemy o nich rozmawiać. Tak czy inaczej, podziwiam twoją gęstą krew. Bronił się i nie pozwolił się zastraszyć, jak prawdziwy Kekończyk ze starego kraju, niepodobny do miękkich espeńskich chłopaków, jakich mamy tutaj.

Zerknął znacząco na syna.

Kiedy odwrócił wzrok, Cory mrugnął do Andena.

– Do zobaczenia, wyspiarzu – rzekł na pożegnanie.

Anden dotknął czoła splecionymi dłońmi, oddając honory. Nadal nie odzyskał równowagi po wszystkim, co się wydarzyło.

– Dauk-jen, czy jesteś pewien, że to załatwi sprawę?

Najbardziej bał się o Hianów. Nie potrafił znieść myśli, że naraził ich na niebezpieczeństwo.

– Pewności nigdy nie ma, ale nie powinieneś się tym przejmować – odparł filar. – No wiesz, jest takie powiedzenie. Kiedy pojawia się problem, Espeńczyk najpierw próbuje pieniędzy, a potem ucieka się do przemocy, a Kekończyk najpierw próbuje przemocy, a potem ucieka się do pieniędzy. – Dauk Losun zachichotał. Z pewnością często cytował tę frazę, bo stojący za jego plecami syn i żona jednocześnie wzniesli oczy ku niebu. –

Jesteśmy w Espenii, pozwól mi więc, bym podjął działania jako przyjaciel twój i twojej rodziny, podobnie jak Hianowie są tu twoimi przybranymi rodzicami.

Anden pokiwał głową, nadal jednak czuł niepokój. Podejrzewał, że choć filar Południowej Pułapki jest ciepłym i szczerym człowiekiem, pomaga mu nie z sympatii do Hianów, lecz z uwagi na jego powiązania z rodziną Kaułów. Czy nie będzie kiedyś oczekiwał, że w pewnej chwili klan Bez Szczytów odwdzięczy się za jego przyjaźń i usługi? Poczuje się bardzo rozczarowany, jeśli Anden nie ofiaruje mu nic w zamian.

– Jestem ci bardzo wdzięczny, Dauk-jen – zaczął, ostrożnie dobierając słowa. – Jestem obcy w tym kraju i radzę sobie tylko dzięki pomocy kekońskiej społeczności. Gdybym mógł ci coś obiecać w imieniu moich kuzynów, z chęcią bym to zrobił, obawiam się jednak, że w tej chwili moja pozycja w klanie jest raczej niska. Dlatego wysłano mnie do Janloonu. Nie jestem zieloną kością, ale mam nadzieję, że nadejdzie dzień, gdy moja przyjaźń będzie warta więcej niż w tej chwili.

Filar nie sprawiał wrażenia rozczarowanego tym szczerym wyznaniem. Być może dowiedział się przed tym spotkaniem wszystkiego o Andenie i wiedział o roli, jaką odegrał chłopak w wojnie klanów, i o hańbie, którą się później okrył. Wyciągnął do chłopaka wielką, szorstką dłoń i Anden ją uścisnął.

– Taki uprzejmy młody człowiek jak ty? Mogę się o to założyć. Wszystko z czasem się zmienia. Mnie i moją rodzinę sytuacja również wygnała do Espenii, ale bynajmniej tego nie żałuję.

# ROZDZIAŁ 18

## KLUB BIAŁA LATARNIA

Shae przybyła do Białej Latarni dwadzieścia minut przed umówionym terminem spotkania z hiszpańskim ambasadorem oraz dowódcą bazy Marynarki Wojennej na Eumanie. Chciała zająć któryś z najlepszych stolików i zdobyć pozycję gospodarza przed przybyciem zagranicznych gości. Poprosiła szefa hoji, by przyniósł z piwnicy butelki dwóch najlepszych marek, a do tego jedną flaszkę importowanego wina. Kazała ustawić je pośrodku stołu. Kilku członków klubu zauważyło jej przybycie i miało ochotę oddać jej honory. Woon poszedł ich przywitać i zręcznie zapobiegł wszelkim próbom nawiązania rozmowy, wyjaśniając, że prognostyczkę sprowadziły tu ważne interesy i, niestety, w tej chwili nie można zawracać jej głowy. Dodał jednak, że z chęcią przekaże jej ich pozdrowienia.

Shae poszła do łazienki, by poprawić makijaż i umyć ręce. Miała wrażenie, że się lepia. Włożyła dziś jaskrawoczerwoną spódnicę oraz blezer, uszyty w hiszpańskim stylu, z szerokimi klapami i rękawami z mankietami, a pod spodem koszulę z wysokim kołnierzem, zasłaniającym jej jadeitowe bransolety oraz naszyjnik. Jediną widoczną zielenią były klipsy. Wyjęła z wewnętrznej kieszeni blezera dwie złożone kartki i raz jeszcze przeczytała wszystko, co na nich napisano. Kilka ważnych ekonomicznych i politycznych faktów oraz liczb zdobytych dzięki rozmowie z Marem. Strona notatek na temat strategii, które sporządziła po ostatniej sesji z Woonem. Po chwili schowała kartki. Była dobrze przygotowana, nadal jednak czuła, że w nadchodzącym starciu przewagę będzie miała druga strona.

Wróciła do stolika. Ambasador Gregor Mendoff i pułkownik Leland Deiller zjawili się pięć minut później. Wstała, by ich przywitać i uścisnąć im dłonie.

– Ambasadorze. Pułkowniku. Cieszę się, że mogliście się ze mną spotkać dziś po południu.

Te słowa wyszły z jej ust stosunkowo gładko. Od dwóch tygodni poświęcała wiele czasu na słuchanie radia w swoim gabinecie, nastawionego na espeńskie stacje. Przez kilka godzin rozmawiała też ze sobą w tym języku, by odświeżyć sobie jego znajomość. Od chwili powrotu z Windton rzadko miała okazję posługiwać się espeńskim. Mówiła wolniej i z większym namysłem niż niegdyś, nie tylko po to, by zminimalizować akcent, lecz również, by od początku określić ton spotkania. Nie przedstawiła Wooną ani drugiego towarzyszącego jej mężczyzny. Był tłumaczem, ale miała nadzieję, że jego usługi nie okażą się potrzebne. Przyjęła założenie, że jej rozmówcy znają kekońskie zwyczaje biznesowe wystarczająco dobrze, by sobie uświadomić, że to oznacza, iż obaj mężczyźni są tylko obserwatorami i nie będą brali czynnego udziału w rozmowach.

Przez kilka minut wymieniała uprzejmości z obydwojma mężczyznami. Kelner przyniósł im talerzyki z zakąskami – ciasteczka krewetkowe i marynowane figi. Ambasador Mendoff skarżył się na wilgotną pogodę, a pułkownik Deiller, który nigdy dotąd nie był w tym lokalu, zdziwił się różnorodnością drogich trunków ustawionych na ścianie za barem. Biała Latarnia z pewnością była luksusowym klubem. Znajdowały się tu fotele obite czerwona skórą, szklane żyrandole, drogie obrazy na ścianach i kelnerzy w nieskazitelnie czarnych kamizelkach. Członkiem klubu można było zostać wyłącznie poprzez zaproszenie. Do niedawna dopuszczano do niego tylko latarników o wystarczająco wysokiej pozycji. Był to jeden z najbardziej pożądanych przywilejów przyznawanych przez klan Bez Szczytów. Kobiety zaczęto przyjmować dopiero pięć lat temu. W następnym roku pozwolono składać podania o przyjęcie ludziom, którzy nie byli w ścisłym sensie ważnymi postaciami po biznesowej stronie klanu Bez Szczytów – radcom, znanym janloońskim pisarzom i artystom oraz członkom kadry nauczycielskiej Akademii Kaul Dushurona. Obecnie istniała nawet ograniczona liczba wspólnych uprawnień członkowskich dzielonych z Janloońskim Klubem Miejskim znajdującym się po drugiej stronie Dzielnicy Finansowej. Tam spotykała się elita klanu Góra. Nawet podczas niedawnej wojny klanów pieniądze płynęły łatwiej niż krew. Zielone kości z obu klanów mogły być śmiertelnymi wrogami, ale płacący daninę biznesmeni nadal spotykali się ze sobą w elitarnych lokalach.

– Mam nadzieję, że dotarły już do panów dobre wieści – odezwała się Shae, gdy zakąski zniknęły. Nauczyła się, że Espeńscy z reguły nie czekają z rozpoczęciem ważnych rozmów na koniec posiłku – Rząd pozwolił

wznowić wydobycie jadeitu. Kopalnie znowu działają, a to znaczy, że Kekon będzie w stanie wypełniać eksportowe kontrakty.

– Tak, to bardzo dobra wiadomość – potwierdził ambasador Mendoff, tęgi mężczyzna o siwych włosach i niebieskich oczach o sympatycznym wyrazie.

Shae zauważyła, że czuje się nieco zaskoczony jej obecnością. Od czasu do czasu przesuwał w bok szerokie ramiona i zerkał ukradkiem na Wooną. Był byłym prezesem potężnego Stowarzyszenia Stoczniowców. Funkcję ambasadora pełnił od sześciu miesięcy. Otrzymał ją w nagrodę za wielki wkład w kampanię wyborczą obecnego premiera Espeńskiego Zgromadzenia Narodowego.

Mendoff odchrząknął.

– Czy mogę dodać, że do tego wydarzenia doszło w newralgicznej chwili, panno Kaul? Z uwagi na polityczną niestabilność wywołaną przez wojnę domową w Oortoko mój rząd uważa umowę handlową z Kekonem za jeden z najważniejszych czynników zapewniających bezpieczeństwo w regionie.

Shae uśmiechnęła się do niego uprzejmie, lecz jej słowa brzmiały stanowczo.

– Ambasadorze. Tutaj, na Kekonie, odpowiednią formą zwracania się do osoby noszącej jadeit jest słowo „jen”. Możesz zwać mnie Kaul-jen albo po prostu prognostyczką. Być może ten tytuł brzmi dla ciebie dziwnie, ale w mojej kulturze znaczy bardzo wiele.

Mendoff się zaczerwienił. Na jego twarzy pojawił się wyraz zażenowania.

– Rozumiem, że wasza strona jest bardzo zainteresowana wznowieniem eksportu jadeitu – kontynuowała Shae, jakby nic się nie wydarzyło. Pochyliła głowę w stronę pułkownika Deillera. – W końcu eksperci uważają, że konflikt w Oortoko może się stać pierwszą współczesną wojną jadeitową.

Pułkownik Deiller miał kwadratową twarz, a mars na jego czole sygnalizował stanowczość. Cechował się cierpliwą godnością zawodowego oficera, który stacjonował już w kilkunastu różnych miejscach na świecie i wciskano mu wszelki kit, jaki tylko można sobie wyobrazić. Przeszył Shae intensywnym, oceniającym spojrzeniem, aż ogarnął ją lekki niepokój. Podejrzewała, że sprawdza dossier w swojej pamięci, porównując jej wygląd ze zdjęciami sprzed wielu lat, gdy była informatorką wywiadu Republiki. Miała wtedy dwadzieścia dwa lata, była dziewczyną oficera

Marynarki Wojennej RE i rozpieszczoną wnuczką sławnego bohatera wojennego Kaul Seningtuna. Być może pułkownik zastanawiał się, jak to możliwe, że w ciągu zaledwie siedmiu lat stała się jedną z najbardziej wpływowych postaci w politycznym i biznesowym świecie Kekonu.

– Naszym celem w Oortoko jest wsparcie szotarskiego rządu. – Deiller mówił po espeńsku z silnym północnym akcentem, jaki Shae pamiętała z Windton. – Skierowaliśmy tam swoje siły na jego prośbę.

– Szybko zgromadziliście flotę na Morzu Zachodniotuńskim, gdy tylko zaczęliście podejrzewać, że Ygutun zaopatruje w sprzęt buntowników z Oortoko – zauważyła Shae.

– Doktryna polityczna Republiki Espenii nakazuje zawsze przeciwstawić się ygutańskiej agresji, a jest całkowicie oczywiste, że rebelia w Oortoko ma na celu powiększenie terytorium Ygutanu. – Deiller spojrzał podejrzliwie na talerz z kalmarami i zdecydował się na wieprzowinę. – Premier i sekretarz Departamentu Wojny zapewnili, że będą zdecydowanie bronić suwerenności naszych sojuszników. – Spojrzał na nią znacząco – Mógłbym dodać, że to samo dotyczy Kekonu.

Shae skinęła na kelnera, nakazując mu wypełnić kubeczki hoji. Ambasador wypił już pierwszą kolejkę, ale pułkownik nie. Shae skosztowała tylko odrobinę.

– Mówię to z przykrością, ale szybka rozbudowa waszych sił na wyspie Euman i na okolicznych wodach nie budzi zaufania Kekończyków.

– Odbyłem na ten temat długą rozmowę z kanclerzem Son Tomarho. – Ambasador Mendoff zdołał wyrazić swym głosem oburzenie sugestią Shae, zachowując jednocześnie gładki ton dyplomaty. – Zapewniłem go, a także Radę Książęcą, że wzmożona obecność militarna Espenii na Kekonie to konieczny i miejmy nadzieję tymczasowy środek służący naszym wspólnym interesom.

– Waszym interesem jest jadeit – uściśliła Shae, odkładając łyżkę do zupy. – Wszyscy oglądamy wiadomości, ambasadorze. Historie o żołnierzach espeńskich sił specjalnych wyposażonych w kekoński jadeit... bardzo niepokoją ludzi. Musicie pamiętać, że mój kraj przeżył wiele cudzoziemskich inwazji i okupacji. Czy możemy mieć pewność, że nasi espeńscy sojusznicy zachowają się inaczej niż poprzedni cudzoziemcy? Gdybyście chcieli, moglibyście wykorzystać swą militarną potęgę i noszących jadeit żołnierzy, by zagarnąć nasze kopalnie i przejąć kontrolę nad całym krajem.



Shae rozpostarła dłonie w bezradnym geście, jakby dawała tylko wyraz absurdalnym podejrzeniom, była jednak pewna, że Mendoff i Deiller prowadzili już rozmowy na ten temat ze swymi zwierzchnikami. Gdyby klan Bez Szczytów nie zapewnił Adamont Capita stałego dopływu jadeitu, kiedy kopalnie były zamknięte, i gdyby wojna klanów trwała zbyt długo, uniemożliwiając wznowienie wydobywania, Espeńczycy mogliby rozważyć podjęcie militarnych kroków.

– Nie chciałam was urazić – zapewniła. – Po prostu mówię wam, jak myślą moi rodacy. Zawsze wystrzegamy się kradzieży.

– Najwyraźniej słyszała już pani o prośbie, jaką przedstawiłem Radzie Książęcej. W tym kraju nic nie umyka uwagi klanów – poskarżył się ambasador Mendoff.

– Proście o znaczne zwiększenie wydobywania tuż po ponownym otwarciu kopalń, a jednocześnie gromadzicie siły na naszym terytorium. W ten sposób nie zdobędziecie przychylności żadnego z Kekończyków – zauważyła Shae. – Na Radę Książęcą już wywiera się silne naciski. Opinia publiczna domaga się ograniczenia wydobywania jadeitu i potępienia wojny w Oortoko.

– Szotar znalazł się w kryzysowej sytuacji – nie ustępował ambasador, pochylając się nad blatem. – A Ygutan stanowi zagrożenie dla nas wszystkich. Kekon ma znaczenie geopolityczne nie tylko dlatego, że jest jedynym na świecie źródłem bioenergetycznego jadeitu, lecz również z uwagi na strategiczne położenie na Morzu Zachodniotuńskim. Potrzebujemy pełnego poparcia waszego kraju.

– Nie dostaniecie dodatkowego jadeitu – odparła Shae. – Ani członkowie Rady Książęcej, ani reprezentanci klanów zasiadający w radzie Kekońskiego Sojuszu Jadeitowego nie zgodzą się poświęcić większej części krajowych zasobów w imię cudzoziemskiej wojny zastępczej.

Ambasador Mendoff wyprostował się na krześle i zmarszczył brwi.

– Wybacz, panno Kaul-jen, ale nie reprezentujesz kekońskiego rządu.

– To prawda – zgodziła się Shae. – Będziecie musieli poczekać na oficjalną odpowiedź, ale ona będzie brzmiała tak samo jak nieoficjalna, którą usłyszeliście ode mnie. Na Kekonie mamy takie powiedzenie: „Złoto i jadeit nigdy nie chodzą razem”. Ci z nas, którzy noszą zieleni, nie piastują politycznych urzędów, ale wy nie prosicie o złoto, tylko o jadeit. W tej sprawie decydujący głos mają klany.

Shae miała nadzieję, że obaj mężczyźni zrozumieli subtelny podtekst. Kekon był małą wyspą i miał niewielką armię, ale próba wojskowej inwazji spotkałaby się z oporem klanów zielonych kości, które kontrolowały miasta i wszystkie ważne gałęzie gospodarki, a klany miały w swych szeregach tysiące wyszkolonych wojowników i każdy z nich nosił więcej jadeitu niż kilku doborowych espeńskich żołnierzy razem wziętych.

– Pozwólcie, że wam to wytłumaczę, byście mogli to przekazać swoim zwierzchnikom. Rzecz nie w tym, że nie zgadzamy się z waszym stanowiskiem w sprawie Ygutanu. Jednakże na Kekonie wierzymy, że jadeit jest darem bogów i pochodzi z nieba. Trzeba szkolić się przez wiele lat, zaczynając od dzieciństwa, nim będzie można go nosić, a nasza święta tradycja mówi, że wolno to robić tylko tym, którzy przysięgną bronić innych. Oczywiście – dodała – zdajemy sobie sprawę, że świat stał się bardziej otwarty i nie jesteśmy już jedynymi, którzy posiadają jadeit, lecz nadal pozostaje on centrum naszej narodowej tożsamości. W Oortoko mieszka liczna grupa Keko-Szotarczyków, którzy ucierpią wskutek konfliktu, podobnie jak inni cywile. Nie chcemy, by jadeit stał się dla cudzoziemców narzędziem prowadzenia wojny, używanym również przeciwko etnicznym Kekończykom.

– Sugeruje pani, że jeśli żołnierze będą używać jadeitu podczas konfliktu zbrojnego, w jakiś sposób skala to jego świętość i zaszkodzi reputacji Kekonu? – zapytał z niedowierzaniem ambasador Mendoff. – Spory między klanami doprowadziły w tym kraju do tego, że noszący jadeit ludzie zabijają się nawzajem mieczami na ulicach Janloonu. Gdzie w tym argumentie jest logika?

– To dwie zupełnie różne sprawy, ambasadorze – odpowiedziała Shae spokojnie, z nutą lodu w głosie. – Jeśli pan tego nie rozumie, to dlatego, że nie jest pan Kekończykiem.

Obaj mężczyźni mieli niezadowolone miny. Kelner przyszedł po puste talerze. Mendoff i Deiller spojrzeli przepaszająco na towarzyszących Shae ludzi, którzy przez cały czas trwania posiłku nic nie jedli ani nie pili. Tłumacz, młody szczęściodawca z klanu, nie potrafił się powstrzymać przed rzucaniem głodnych spojrzeń na potrawy. Woon tego nie robił, ponieważ doświadczenie powiedziało mu, że należy najeść się do syta wcześniej.

Shae zaczęła, aż kelner naleje herbatę.

– Nie sądźcie jednak, że to znaczy, iż odmawiamy poparcia naszym sojusznikom – podjęła bardziej pojednawczym tonem. – Jadeit jest naszym narodowym zasobem i o sposobach jego wykorzystania musi decydować

cały Kekon. W tej chwili mówię do was nie jako członek rady kierującej KSJ, lecz jako prognostyczka mojego klanu. Poza jadeitem możemy wam zaoferować inne wartościowe rzeczy.

Po raz pierwszy zwróciła się w stronę Woon, który natychmiast wręczył jej grubą kopertę.

Położyła ją na środku stołu i natychmiast zauważyła, że pułkownik Deiller sięgnął po nią pierwszy. Wyjął z niej liczne kartki i natychmiast zaczął studiować zawartość. Czytając, ściągnął brwi. Jego twarz nie zmieniła wyrazu, lecz puls mu przyśpieszył na tyle, że Shae mogła to Postrzec. Bez słowa podał papiery ambasadorowi Mendoffowi, a ten po kilku minutach lektury potarł wąsy i spojrzał na Shae.

– Jak to pani zdobyła?

Shae starannie przejrzała papiery pozostawione przez Doru i wyszukała informacje zdobyte przez niego przed dwoma laty, gdy Lan wysłał go do Ygutanu. Następnie wypytała pięść i palec, którzy pomagali w sporządzeniu raportu o działalności Góry w tym kraju i za pozwoleniem Maik Kehna wysłała ich tam z powrotem na cztery tygodnie, razem z dwoma swoimi ludźmi, by zweryfikowali i uaktualnili uzyskane informacje.

– Czy Kormoran kiedykolwiek przekazał panu fałszywe dane? – zapytała Deillera Shae.

Pułkownik przymrużył powieki, gdy usłyszał, że posłużyła się starym kryptonimem.

– Nie – przyznał.

Ich stolik oddzielono od reszty sali zapewniającym dyskrecję drewnianym parawanem. Woon zadbał też o to, by w zasięgu słuchu nie posadzono innych gości. Mimo to ambasador Mendoff ściszył głos.

– To są dowody na to, że w Ygutanie produkuje się SN1 na masową skalę.

– Mając pod dostatkiem SN1, Ygutańczycy będą mogli kupić jadeit na czarnym rynku i wykorzystać go w celach militarnych, w tym również dla wzmocnienia swych marionetkowych oddziałów w Oortoko.

Obaj mężczyźni sprawiali wrażenie wyraźnie zaniepokojonych tym pomysłem.

– Dlaczego nasze źródła w ygutańskim rządzie nas o tym nie poinformowały? – zapytał Dreillera Mendoff.

– Szpieczy, których umieściliście w Dramsku, mogą o niczym nie wiedzieć – wtrąciła Shae. – Fabrykami SN1 nie kieruje rząd. Choć Kekończycy

sprzeciwiają się handlowi błyskiem we własnym kraju, pewne osoby, z klanów innych niż mój, nie mają oporów przed produkowaniem go i sprzedawaniem każdemu, kto jest gotowy zapłacić, bez względu na polityczne sojusze.

Jeszcze przed wybuchem wojny klanów Lan przewidywał, że klan Bez Szczytów będzie mógł wykorzystać informacje o produkcji SN1 prowadzonej przez Górę za granicą, by zaszkodzić swym wrogom. To właśnie zamierzała uczynić Shae. Schowała kartki z powrotem do koperty, położyła na niej rękę i spojrzała na obu mężczyzn, unosząc wyczekująco brwi.

Espeńczycy wymienili spojrzenia i najwyraźniej szybko osiągnęli bezgłośnie porozumienie. Po chwili popatrzyli na nią.

– Musiałbym zadzwonić do kilku osób w Adamont Capita, ale dzieląc się tą informacją, wyświadczyła nam pani wielką przysługę. To może być dla nas warte dziesięć milionów thalirów. Być może nawet piętnaście.

Zdołała ukryć grymas wywołany tak jawnym wymienieniem ceny. Espeńczycy byli interesownym, plutokratycznym narodem. Ich społeczeństwo od dawna opierało się na potężnej flocie i handlu. Wolna wymiana handlowa była dla nich religią. Shae podejrzewała, że potrafiliby podać cenę wszystkiego. Z pewnością jadeitu, a być może również życia lub śmierci.

Oparła się wygodniej i wypłała trochę herbaty, udając, że zastanawia się nad propozycją ambasadora. Zapewne poczuliby się urażeni, gdyby nie potraktowała jej poważnie.

– Wśród kekońskich klanów istnieje pewna tradycja – odezwała się wreszcie. – Kiedy ktoś obcy zrobi coś dla nas, okazując szacunek i dobrą wolę, ofiarujemy mu dar. To musi być jakiś zielony przedmiot, oznaczony symbolem klanu. Oznacza, że jesteśmy wdzięczni za okazaną przyjaźń i jeśli w przyszłości zdarzy się okazja, by pomóc takiej osobie, zrobimy to.

Deiller przesunął się na krześle. Mendoff odkaszlnął. Koncepcja przysług i długu wprawiała ich w zakłopotanie.

– Czy tego właśnie pani oczekuje w zamian za informację o militarnym znaczeniu? – zapytał z niedowierzaniem ambasador.

– Nie, nie, to nie jest wasz zwyczaj i z pewnością nie wymagam od was, byście go przestrzegali – wyjaśniła z uśmiechem Shae. – Sens daru polega na tym, że nie wiążą się z nim żadna określona suma ani data. Jest symbolem uznania i zaufania. Ale ja nie potrzebuję żadnego obiektu o symbolicznym znaczeniu i nie wymagam od was zaakceptowania wymiany o tak nie-

określonych warunkach. Chciałabym, żeby stało się to dla nas szansą na wzmocnienie więzów łączących nasze kraje. Jak powiedzieliście, jesteśmy sojusznikami, ale z powodu niedawnych wydarzeń ten sojusz stał się niepewny. Jeśli wzniesiemy mosty, zyskowne mosty, to bardzo go wzmocni, a także poprawi opinię o Espeńczykach na Kekonie.

Ambasador Mendoff pokiwał z namysłem głową.

Rozprostował szerokie bary, a spojrzenie jego jasnoniebieskich oczu skierowało się na Shae.

– Ma pani na myśli jakieś konkretne szanse?

– Wiele kekońskich firm chciałoby uzyskać dostęp do espeńskiego rynku. Żeby mogło do tego dojść, trzeba by ograniczyć bądź całkowicie znieść cła w pewnych dziedzinach przemysłu, takich jak tekstylia i dobra konsumpcyjne. Chciałabym też, żeby zniesiono ograniczenia dotyczące zagranicznych inwestycji w nieruchomości w miastach takich jak Port Massy, co pozwoliłoby zwiększyć liczbę kekońskich firm mogących tam działać. – Doszła do wniosku, że powinna mówić równie szczerze jak oni. –

Po wojnie wielu narodów Kekon otworzył się na międzynarodowy handel, ale jeśli pominąć najważniejszy towar, jaki eksportujemy do Espanii, czyli jadeit, mamy poważny deficyt handlowy. By zaradzić tej sytuacji i otworzyć przed kekońskimi firmami nowe szanse biznesowe, będę potrzebowała waszego poparcia.

Ambasador Mendoff i pułkownik Deiller przyglądali się jej bez słowa przez kilka sekund.

– Jestem żołnierzem, nie politykiem, ale mogę pani powiedzieć, że Kekon jest strategiczną podstawą naszej militarnej obecności na Wschodnim Oceanie Amaryckim – odezwał się wreszcie Deiller. – Jesteśmy zdecydowani utrzymać sojusz z rządem i mieszkańcami waszego kraju i pragniemy jak najlepszych stosunków z nimi.

– Tak czy inaczej, tego, czego pani pragnie, nie uda się osiągnąć szybko ani łatwo – dodał ambasador Mendoff. – Równie dobrze mogłaby pani przyjąć te piętnaście milionów thalirów. Będę popierał pani propozycje w rozmowach z premierem Galtzem i Zgromadzeniem Narodowym, ale...

– To wszystko, o co proszę. – Shae wplotła w swój głos wykalkulowaną nutę pokory i pochlebstwa. – Wiem, że przyjaźni się pan z premierem i ma pan na niego wielki wpływ. Wszyscy mi to powtarzają. Jeśli zdoła pan szepnąć za nami słówko na szczytach władzy i w ten sposób zapewnić

naszej gospodarce lepsze perspektywy na przyszłość, ucieszy mnie to bardziej niż jakakolwiek gratyfikacja, którą mógłby mi pan oferować.

– Mówi pani, jakby należał do pani ostateczny głos w tej sprawie – zauważył z wyraźnym zakłopotaniem ambasador Mendoff. – A co z przywódcą waszego klanu? Czemu go tu nie ma?

Dlatego że Hilo wolałby robić cokolwiek innego niż siedzenie w Białej Latarni i rozmawianie z zagranicznymi dyplomatami, pomyślała Shae.

– W takich sprawach reprezentuję filar i mój głos w klanie Bez Szczytów jest ostateczny – zapewniła Shae.

# ROZDZIAŁ 19

## PONOWNE SPOTKANIE W LYBONIE

Gdy Hilo przybył do Lybonu, miasta w Stepenlandzie, zdumiał się, jak bardzo wszystko jest tu czyste. Srebrna kolejka kursująca między terminalami lotniska przybyła punktualnie. Przyjazdy i odjazdy ogłaszano po stepeńsku, espeńsku i w jeszcze jednym języku, prawdopodobnie lurmijskim. Temperatura była umiarkowana, granicząca z chłodem, mimo że jeszcze trwało lato. Ludzie nie byli nieprzyjaźnie nastawieni, choć robili wrażenie mało-mównych, bladych i kompetentnych.

Doszedł do wniosku, że dobrze by było pojeździć trochę po mieście, żeby je lepiej poznać. Tar poszedł do lotniskowej wypożyczalni samochodów i wypożyczył niebieskie coupé. Podczas gdy jego filarowy studiował plan, Hilo uzyskał niezbędne wskazówki od kobiety z wypożyczalni. Pokazał jej adres, pod który chcieli trafić, a następnie wdał się z nią w rozmowę, posługując się swym ograniczonym espeńskim słownictwem. Gdy wreszcie ruszyli w drogę, okazało się, że poruszanie się po Lybonie jest łatwe. W porównaniu z Janloonem było to raczej duże miasteczko, składające się z czterech ćwiartek i podzielone na część północną i południową przez rzekę Farstgein. Na zachodzie widniał niebieski zarys łańcucha górskiego. Przy szerokich ulicach stały malownicze domy ze spiczastymi dachami, a ze skrzynek na balkonach o żelaznych balustradach wylewały się kwiaty. Chodniki były wąskie, ale ich granice obsadzono drzewami liściastymi oraz nieskazitelnie przystrzyżonymi żywopłotami.

Tar zasugerował, żeby najpierw pojechali do hotelu, ale Hilo pokręcił głową. Spał w samolocie, a zawsze wołał jak najszybciej zrobić to, co konieczne.

Pod wskazanym adresem w północno-zachodniej ćwiartce Lybonu znaleźli staromodny parterowy domek barwy pastelowej zieleni. Tar zaparkował przed nim. Kiedy zadzwonili do drzwi, otworzyły się niemal natych-

miast. Eyni z pewnością spodziewała się kogoś, być może kuriera albo mechanika, bo zaczęła coś mówić, nim sobie uświadomiła, kto przed nią stoi. Była żona Lana mimo woli cofnęła się o krok, otwierając szeroko oczy.

Hilo uśmiechnął się i wszedł do środka.

– Siostrze Eyni – zaczął ciepłym tonem. – Przepraszam, że nie zawiadomiłem cię z góry o naszej wizycie, ale nie miałem stepeńskich monet, żeby zadzwonić z automatu na lotnisku. Mam nadzieję, że nie zjawiliśmy się w nieodpowiednim momencie. – Hilo zamknął drzwi za Tarem. – To jest Maik Tar. Nie wiem, czy go pamiętasz. Kiedy byłem rogiem, był moją drugą pięścią, a teraz jest moim filarowym.

– Co tu robicie? – Głos Eyni stał się piskliwy. – Skąd macie mój adres?

– Takie rzeczy łatwo jest znaleźć.

Nie warto było wspominać o tym, że wytropił ją już przed laty, ale na polecenie Lana nie podjął żadnych kroków. Eyni nieco się zmieniła. Jej twarz się nie postarzała, ale po urodzeniu dziecka miała szersze biodra. Skróciła też włosy tak, że sięgały zaledwie do linii podbródka.

Hilo zdjął marynarkę i powiesił ją na krześle.

– Poczta nie jest najlepszym rozwiązaniem, gdy trzeba porozmawiać o ważnych sprawach. Najpierw musimy wszystko zapisać, a potem czekać tygodniami na odpowiedź. Do tego czasu zapomina się, co się przedtem napisało. A kiedy nie widzi się drugiej osoby, łatwo o nieporozumienia. Na przykład wiem, że nie chciałaś być nieuprzejma dla Wen, mimo że tak to zabrzmiało w piśmie. Dlatego pomyślałem sobie, że zamiast sprawiać ci kłopoty, zmuszając cię do zaplanowania długiej podróży do Janloonu, a wiem, że to może być trudne, kiedy ma się małe dziecko, porozmawiam z tobą osobiście.

Eyni przeniosła spojrzenie z Hila na drzwi.

– Lora zaraz wróci.

– Świetnie – ucieszył się mężczyzna. – Będziemy mogli razem usiąść przy stole i poznać się, jak należy.

Rozejrzał się po salonie. Był mały, ale jasny, pachniało tu kwiatowym odświeżaczem powietrza. Eyni zawsze lubiła sztukę. Na ścianach wisały maski i małe kwadratowe akwarele, a na stoliku stał wiklinowy koszyk wypełniony owocami z filcu. Leżała w nim też zupełnie do nich niepasująca plastikowa grzechotka w kształcie żabki, jaskrawozielonej barwy. Eyni starała się zachować spokój, ale Hilo Postrzegał, że jej serce bije szybko,



a nieufność była głośna jak syrena alarmowa. Irytowało go to. Zdarzały się chwile, gdy budzenie strachu było użyteczne i wskazane, ale kiedy nie miał takiego zamiaru, podobna reakcja wydawała mu się cokolwiek obraźliwa. Usiadł na kanapie i spojrzeniem nakazał Tarowi zrobić to samo. Wziął w rękę grzechotkę.

– Gdzie jest mój bratanek? – zapytał.

– Śpi – odparła pośpiesznie Eyni.

W tej samej chwili w sąsiednim pokoju rozległ się hałas. Hilo wstał i zobaczył małe dziecko, trzymające się białych, metalowych prętów bramki zabezpieczającej. Filar podszedł do niego i opadł na kolana. Dwulatek raczej nie przypominał pulchnego niemowlęcia z fotografii, którą pokazała mu Wen. Jego twarz przybrała rysy Kaulów – nos, usta i czujne oczy. Hilo już teraz widział, że chłopiec będzie podobny do Lana, tak samo jak Lan przypominał ojca. Tak to już było z pierworodnymi synami w rodzinie Kaulów. Chłopiec przyjrzał się Hilowi z wielkim zainteresowaniem, w ogóle nie okazując strachu. Lekko przymrużył lewą powiekę i wysunął pulchną rączkę przez kraty bramki. Zafascynowany Hilo wyciągnął ręce do dziecka, które złapało go za palce.

– Cześć, Niko – powiedział filar. – Jestem twój wujek Hilo.

Eyni odepchnęła go i wzięła grzechotkę, po czym otworzyła bramkę, podniosła Nikolasa, który pisnął głośno na znak protestu, i zaniósła go z powrotem do pokoju dzieciennego. Chłopczyk wyrywał się i wyciągał rączki nad ramieniem matki.

Hila zalał nagły i niepowstrzymany przypływ opiekuńczości. Spotkał to dziecko dopiero przed chwilą, ale już żałował, że nie znał go wcześniej. Powinien był przylecieć tu, gdy tylko Wen pokazała mu list, zamiast zwlekać. Mało brakowało, by wyciągnął ręce i zatrzymał Eyni, która zabierała chłopca zaledwie sekundy po tym, jak ujrzał go po raz pierwszy.

Zniknęła w sąsiednim pokoju, zamykając za sobą drzwi, i wróciła po jakieś minucie.

– Powinien spać – wyjaśniła. – Ostatnio nie chce spać w dzień. Jeśli za bardzo się podekscytuje, nie zaśnie i wieczorem będzie marudny.

Ruszyła z powrotem do salonu, nie oglądając się na byłego szwagra. Hilo podążył za nią, trzymając się w bezpiecznej odległości.

– Musimy porozmawiać, Eyni – oznajmił ponownie, tym razem z większą determinacją, gdy już dotarli na miejsce. – To prawda, że nie byliśmy przyjaciółmi. Nie byłem dla ciebie jak brat, a ty nie byłaś dla mnie jak sio-

stra. Ale teraz to już nie ma znaczenia. Musimy pomyśleć o tym, co jest dobre dla Nika. O twoim powrocie do Janloonu.

Eyni odwróciła się od niego. Jej plecy zeszywniały. Gdy znowu na niego spojrzała, krzyżowała ręce na piersiach, a na jej twarzy malował się wyraz tłumionego gniewu i nieustępliwej determinacji.

– Niepotrzebnie tu przyleciałeś, Hilo. Nie bez powodu prosiłam twoją żonę, żeby więcej się ze mną nie kontaktowała, i nie odpowiedziałam na dwa twoje listy. Zostawiłam przeszłość za sobą.

Skrzywił się.

– Napisałaś do Lana. Widziałem ten list. Oznajmiłaś, że chcesz, by twój syn znalazł ojca, i jesteś gotowa wrócić do Kekonu.

– To było dwa lata temu – sprzeciwiła się Eyni. – Dopiero niedawno przybyłam do Lybonu, a po narodzinach Nika czułam się samotna i niczego nie byłam pewna. Nadal kochałam Lana i brakowało mi go. Ale potem dowiedziałam się od przyjaciółek – od przyjaciółek, bo nikt z klanu nie raczył mnie zawiadomić – że Lan nie żyje. Zamordowano go w jakiejś idiotycznej wojnie zielonych kości, która ogarnęła całe miasto.

– Opuściłaś rodzinę – odpowiedział Hilo bez cienia współczucia. – Dlatego cię nie zawiadomiliśmy.

– Tak – zgodziła się cicho Eyni. – Zajęło mi to trochę czasu, ale w końcu ją opuściłam. Ułożyłam sobie życie z Lorse. Mamy tu dom i przyjaciół. Nie mamy powodu, by wracać do Kekonu.

– Nie macie powodu? – Hilo osłupiał, ale nakazał sobie poczekać kilka sekund, nim sformułuje odpowiedź. Wiedział, że gniew czasami skłania go do wypowiedzenia słów, których nie można potem cofnąć. – Przyznaję, że nie wiem zbyt wiele o Lybonie... – podjął tonem tak spokojnym, jak tylko potrafił – ...ale z pewnością nie jest to miejsce, w którym powinno się wychowywać zieloną kość. Tu prawie w ogóle nie ma Kekończyków. Jakie życie mógłby mieć Niko w Stepenlandzie? Zawsze byłby tu obcy. Musi dorastać na Kekonie, razem z rodziną.

– Ja i Lors jesteśmy jego rodziną – sprzeciwiła się Eyni.

– Ten mężczyzna, twój chłopak, nie jest Kekończykiem. I czy rzeczywiście jest skłonny wychowywać nieswoje dziecko? Czy wzięliście ślub?

W oczach Eyni zapłonęło oburzenie.

– Co to ma za znaczenie? Związaliśmy się i razem będziemy wychowywać dzieci.

Hilo milczał przez długą chwilę.

– W porządku – odezwał się wreszcie. – Rozumiem. Usiądźmy i porozmawiajmy. Nie ma sensu krzyczeć do siebie przez cały pokój.

Podszedł powoli do Eyni, jakby zbliżał się do płochliwego konia, ujął ją za łokieć i zaprowadził do kanapy. Usiadł i choć Eyni uwolniła ramię z jego uścisku, posłuchała go i zajęła miejsce przy nim.

– Pewnie zapamiętałaś mnie jako młodszego brata Lana – podjął Hilo. – Byłem znacznie młodszy od niego i muszę przyznać, że nie zawsze zachowywałem się rozsądnie. Ale w tym wieku to zrozumiałe. Odkąd opuściłaś Kekon, bardzo wiele się zmieniło. Jestem teraz filarem klanu, a to oznacza, że kiedy coś zdecyduję, wszyscy mnie słuchają. Kiedy opuściłaś Janloon, sytuacja nie była zbyt dobra, a do tego przyzwyczaiłaś się już do życia w tym obcym kraju, więc rozumiem, dlaczego nie chcesz wracać. Pragniesz też pozostać ze swoim chłopakiem. To również mogę pojąć. – Pochylił się, by spojrzeć jej w oczy. – Oto co mogę ci obiecać. Ty i twoja rodzina będziecie dobrze żyć w Janloonie. Lepiej niż tutaj. Klan wszystko wam zapewni. Dostaniecie dom, w posiadłości Kaulów albo poza nią. Samochód z szoferem, gosposię, niańkę dla Nika i czego tam jeszcze będziecie potrzebować. Kiedy weźmiecie ślub w naszym mieście, uznam twojego męża za członka rodziny. Czy nadal pracuje w branży turystycznej? W Janloonie jest teraz mnóstwo cudzoziemców i więcej zagranicznych firm niż kiedykolwiek dotąd. Nie będzie miał trudności ze znalezieniem dobrej pracy. Zapewne będzie mógł przebierać w ofertach.

Oczywiście Hilo nie miał zamiaru przyjmować cudzoziemskiego kochanka Eyni do klanu Bez Szczytów, mógł jednak tolerować jego obecność w Janloonie, pod warunkiem, że nie będzie musiał spotykać się z nim zbyt często. W tej sprawie był gotowy zawrzeć kompromis, ponieważ Eyni była osobą potrzebującą towarzystwa, a żaden szanujący się kekoński mężczyzna nie chciałby się z nią związać.

– Tar, czy mógłbyś przynieść nam coś do picia? – odezwał się, gdy zastanawiała się nad jego propozycją.

Filarowy, który siedział spokojnie, słuchając ich rozmowy, wstał i poszedł do aneksu kuchennego. Eyni uniosła nerwowo wzrok i poruszyła się lekko, jakby chciała pójść za nim, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

– Powinnaś też wziąć pod uwagę coś jeszcze – kontynuował Hilo. – Wen, moja żona, jest w ciąży. Ma urodzić za niespełna dwa miesiące. Niko będzie miał kuzynów w zbliżonym wieku. Będzie miał kochające ciotki

i wujków. W Janloonie będzie dorastał jako Kaul, pierwszy syn klanu Bez Szczytów. – Zatoczył ręką krąg, wskazując dom Eyni i jego otoczenie. – Czy tu rzeczywiście jest tak dobrze, że warto wyrzec się dla tego dziedzictwa twojego syna? Porzucić ojczyznę?

Tar przyniósł im dwie szklanki wody. Ręce Eyni lekko drżały, gdy przyjęła od niego naczynie, nawet na nie nie spoglądając. Szybko wypła całą zawartość. Hilo widział, że jego ostatnie słowa nie pozostały bez wpływu. Eyni mogła być płytką kobietą, ale wiedział, że w głębi duszy tęskni za domem. Nie opuściłaby Kekonu, gdyby nie romans i rozwód, a teraz Hilo obiecywał jej powrót do życia na wysokim poziomie w Janloonie. Nie było trudno Postrzec toczącą się w niej wewnętrzną wojnę. Wypił mały łyk wody.

Eyni mocno ścisnęła pustą szklankę.

– To prawda, że w Lybonie są rzeczy, które mi się nie podobają, i bardzo tęsknię za częścią tego, co pamiętam z Kekonu – przyznała wreszcie. – Ale życie, jakie mi oferujesz, życie członków rodziny zielonych kości władających klanem Bez Szczytów, rozdzieliło mnie z Lanem. To ono doprowadziło do jego śmierci. Tylko stal, jadeit i krew. To nie jest bezpieczne ani szczęśliwe życie... nie chcę go dla Nika.

Nagły rozbłysk aury filaru przyciągnął uwagę Tara.

– Niko to mój bratanek, syn filaru klanu Bez Szczytów, prawnuk Płomienia Kekonu – rzekł Hilo cichym, pełnym niedowierzania głosem. – Urodził się po to, by być zieloną kością. A ty chcesz, żeby dorastał, mówiąc w obcym języku, otoczony przez cudzoziemców. Żeby nigdy nie nosił jadeitu i nie wiedział kim jest? – Eyni była niewierną kobietą, ale Hilo czuł, że to, co chciała zrobić teraz, jest jeszcze gorsze niż zdrada małżeńska. – Jak możesz to usprawiedliwić jako Kekonka?

Eyni wstała, zaciskając pięści.

– Nic nie rozumiesz, Hilo. Gdyby Lan żył, sprawy mogłyby wyglądać inaczej, ale ty nie jesteś Lanem. Nie jesteś ojcem Nika. A ja nie jestem członkinią klanu, która musi odwrócić swe życie rodzinne do góry dnem, bo ty tego chcesz.

– Uważaj, jak mówisz do filaru – odezwał się Tar z nutą groźby, ale Hilo uciszył go spojrzeniem i krótkim potrząśnięciem głowy. Usłyszał na zewnątrz trzask zamykanych drzwi samochodu i Postrzegł, że ktoś zbliża się do domu.

Eyni podbiegła do drzwi, gdy tylko się otworzyły. Do środka wszedł zadbany stepieński mężczyzna o rudawych włosach. Na widok Hila i Tara zatrzymał się zaskoczony i zmieszany. Hilo wstał z kanapy, a Tar podążył za jego przykładem. Eyni ujęła swojego chłopaka za ramię.

– Lors, to jest Hilo, brat mojego byłego męża z Janloonu – wyjaśniła po kekońsku, by wszyscy ją zrozumieli. – On i jego przyjaciel wybrali się do Lybonu i odwiedzili mnie przy okazji. Zapomniałam cię uprzedzić, że się zjawia.

Mężczyzna rozluźnił się nieco. Hilo uświadomił sobie, że Eyni boi się o bezpieczeństwo Lorsa. Starła się go uspokoić, by nie rzucił wyzwania nieznanym mężczyznom, którzy niespodziewanie znaleźli się w jego domu.

– Cześć – przywitał ich ostrożnie. Mówił po kekońsku z akcentem, ale dość płynnie. – Nikt ze znajomych Eyni z Kekonu dotąd nas nie odwiedził. Długo się tu zatrzymacie?

– Niedługo – odparł Hilo. – Przyleciałem, żeby zobaczyć bratanka. Jeszcze kilka miesięcy temu nie wiedziałem, że go mam. Pechowo się składa, że mieszkacie tak daleko. Reszta mojej rodziny również chciałaby go poznać.

– Faktycznie to dość kłopotliwa sytuacja. – Mężczyzna uśmiechnął się nerwowo i przygładził dłonią rudawe włosy. – Tak sobie myśleliśmy, że to może wywołać niechęć do nas.

– Z pewnością możemy ją przewyciężyć. – Hilo zerknął na kobietę, która stała u boku swego chłopaka, sztywno wyprostowana. – Mówiłem Eyni, że bardzo pragniemy, byście wszyscy wrócili do Janloonu, ale ona najwyraźniej woli mieszkać tutaj. Nieźle się spisujesz, skoro udało cię się odciągnąć rodowitą Kekonkę tak daleko od domu.

Lars zachichotał uspokojony schlebiającymi mu słowami Hila.

– Muszę przyznać, że dopóki nie zamieszkałem na Kekonie, nie miałem pojęcia, że wasze kobiety są takie piękne. Miałem ogromne szczęście, że udało mi się zdobyć jedną z nich. – Poklepał z uznaniem Eyni po tyłku. – Odwiedziłem wiele egzotycznych krain i śmiem twierdzić, że Eyni to najlepsza pamiątka, jaką przywiozłem z któregoś z nich. Czyż nie tak, kwiatuszku?

Kobieta uśmiechnęła się z lekkim zażenowaniem, nadal spoglądając na Hila.

– Posłuchaj, Hilo, dobrze wypowiedziałem twoje imię, tak? – podjął Lors. – Sprawiasz wrażenie porządnego człowieka. Chciałbym cię zapewnić, że nigdy nie zamierzałem skrzywdzić twojego brata. Nawet go nie znałem. Po prostu Eyni i ja... no cóż... – Objął ją ramieniem. Zesztywniała jeszcze bardziej. – Zakochaliśmy się w sobie. I nadal jesteśmy zakochani. Czy masz na Kekonie kobietę, którą kochasz?

Hilo skinął głową.

– Zatem to rozumiesz, prawda? W moim kraju mamy takie powiedzenie. – Lors wypowiedział zdanie po stepieńsku, a potem przetłumaczył je na kekoński. – Kwiaty rosną nawet na pustyni, a miłość może się zdarzyć wszędzie.

Hilo rozciągnął usta w lekkim uśmiechu.

– Cieszę się, że jesteście razem szczęśliwi, mimo że przenieśliście się do odległego kraju i pojawiło się dziecko. Z pewnością miałeś nadzieję, że będzie twoje.

Uśmiech na twarzy Stepeńczyka nieco zrzędł.

– No cóż, w rodzinach czasem zdarzają się problemy. Mamy nadzieję dać Nikolasowi mnóstwo braci i sióstr. Zżyje się z nimi i wszystko będzie dobrze.

– Nie wątpię w to – zgodził się Hilo. – Ale szkoda, że mój bratanek będzie żył tak daleko od krewnych i nie pozna swego kekońskiego dziedzictwa. Powinniśmy zawrzeć kompromis. Za kilka lat, gdy Niko trochę podrośnie, będzie mógł dzielić czas między Stepenlandem a Kekonem. Połowę roku w Lybonie, a połowę w Janloonie. – Hilo był szczerze zadowolony z rozwiązania, które właśnie przyszło mu do głowy. Nie rozumiał, dlaczego ktokolwiek mógł mieć coś przeciwko niemu. To nie było idealne rozwiązanie, na jakie liczył, ale gdy wybierał się tu, wiedział, że z Eyni będą trudności. Takie rozwiązanie wszyscy mogli zaakceptować. – W Janloonie mieszkałby ze mną i moją żoną. Traktowalibyśmy go jak syna. Mamy teraz międzynarodowe szkoły, nawet takie, w których uczy się stepieńskiego i innych języków. Mógłby chodzić do jednej z nich. Potem w czasie roku szkolnego uczęszczałby do Akademii Kaul Dushurona, a wakacje spędzałby w Lybonie. Dzięki temu rozumiałby oba kraje i obie kultury. Byłby obywatelem świata. Wszyscy mówią, że tak ma wyglądać przyszłość. To byłoby dla niego korzystne.

– Uważam, że to świetny pomysł – ucieszył się Lors. – Jak myślisz, kwiatuszku? Zwłaszcza gdy już przyjdą na świat nasze dzieci, bardzo by

nam pomogło, gdyby kekońscy krewni Nicolasa opiekowali się nim przez pewien czas. – Spojrzał na Hila. – Obawiam się tylko, że możesz wycofać swoją propozycję, kiedy się dowiesz, jak często ten mały potwór ma kolkę! Sześć pierwszych miesięcy było naprawdę trudne dla Eyni.

Twarz Kekonki straciła wszelki wyraz. Eyni trąciła łokciem swojego chłopaka, by wreszcie się zamknął.

– Tar i ja spędzimy w Lybonie jeszcze kilka dni. Nigdy tu nie byliśmy i chcielibyśmy trochę nacieszyć się miastem. Moglibyśmy wybrać się gdzieś na kolację wieczorem piątego dnia – ja zapłacę, oczywiście – i dokładniej omówić całą sprawę, żebym mógł przekazać rodzinie dobre wieści. Przyprawdźcie Nika, pójdziemy gdzieś, gdzie wpuszczają dzieci.

Rudowłosa mężczyzna uściskał dłoń Hilowi, a potem Tarowi.

– Szczerze żałuję, że nie poznaliśmy się wcześniej. Eyni, naprawdę powinnaś mnie uprzedzić. Nie rozumiem, dlaczego nie utrzymuje kontaktu z krewnymi na wyspie – dodał, zwracając się do Hila. – Najwyraźniej uważa, że będą nami gardzić. Spędziłem na Kekonie dwa lata i uważam, że wbrew stereotypom tamtejsi ludzie są sympatyczni i dadzą się lubić.

– Pragnę tylko tego, co najlepsze dla obu naszych rodzin – zapewnił Hilo.

Umówili się na ponowne spotkanie za trzy dni, po czym obaj Kekońscy wyszli i wrócili do wynajętego samochodu.

– Co będziemy tu robić całe trzy dni? – zapytał Tar.

Hilo obejrzał się na dom i zapalił papierosa.

– Chcę, żebyś śledził tego faceta i dowiedział się o nim wszystkiego, co się da. To może się przydać.

# ROZDZIAŁ 20

## KOMPLIKACJE

– Nie odzywałaś się przez pewien czas – zauważył Maro.

Leżeli zwrócenii do siebie twarzami, Shae położyła nogę na udzie mężczyzny, a jego dłoń spoczywała na jej biodrze. Ich ciała były lepkie od potu. Wentylator stojący w kącie pokoju zwracał się to w jedną, to w drugą stronę, kierując chłodny powiew na ich nagą skórę. Niedawno minęło Święto Jesieni i choć w tym roku pora tajfunów była łagodna, nad Janlonem nadal utrzymywała się ciepła i wilgotna kołdra lata. Shae nie chciało się wstawać i iść do pracy.

– Gryziesz się czymś? – zapytał Maro.

Gryzła się bardzo wieloma sprawami, zbyt wieloma, by potrafiła wymienić jedną z nich. Zresztą wszystko to były problemy klanu Bez Szczytów i trudno je było wytłumaczyć obcym. Przesunęła dłonią po nagim barku mężczyzny.

– Przeszkadza ci, że noszę więcej jadeitu od ciebie? – zapytała. – Że pochodzę z rodziny Kaulów?

Zastanawiała się, czy w jej głosie nie zabrzmiała niepewność, ale w towarzystwie tego mężczyzny czuła się bezpieczna, oddalona od codziennej rzeczywistości klanu.

Maro się zawahał. Przesunął palcami po jej ramieniu i obojczyku, docierając aż do podstawy szyi, a następnie lekko dotknął dwuwarstwowego naszyjnika z jadeitów.

– Trochę – przyznał. – Uważa się, że mężczyźni powinni być silniejsi i bardziej zieloni od kobiet, a trudno jest pozostać obojętnym na oczekiwania świata. Ludzie mogliby dojść do wniosku, że wiążąc się z tobą, próbują wspiąć się na szczyt klanowej drabiny. Ale to nie jest prawda. Lubię spędzać z tobą czas ze względu na twoją osobowość, a nie nazwisko czy jadeit.

Opuściła głowę i dotknęła językiem jego brodawki sutkowej.



– Tylko osobowość?

– I jeszcze to. – Ujął w dłoń jedną z jej piersi i potrząsnął nią. – I to. – Uszczypnął ją w pośladek. Shae parsknęła śmiechem. Z twa-rzy mężczyzny zniknął uśmiech. – To ja powinienem cię o coś zapytać. Czy wstydzisz się, że się ze mną spotykasz? Czy dlatego zawsze umawiamy się w moim mieszkaniu? Bo nie chcesz mnie przedstawić rodzinie?

Shae ucichła na moment.

– Może nie chciałbyś poznać mojej rodziny.

– Nie jestem naiwny – sprzeciwił się Maro. – Znam zielone kości i wiem, co mówi się o twoim bracie.

– Nie chodzi tylko o Hila. Realia klanowego życia, wszystko, co wiąże się z byciem członkiem rodziny Kaulów... możesz nie chcieć mieć z tym nic wspólnego. – Przesunęła kciukiem po jego brwi. Przez trzy ostatnie miesiące podczas cotygodniowych wizyt w Świątyni Boskiego Powrotu zawsze klękała, myśląc o ciele Doru leżącym na fotelu. – Niedawno musiałam zabić człowieka. Kogoś, kogo dobrze znałam.

Maro zeszywniał nieco.

– Jestem pewien, że miałaś powody.

– Miałam, ale i tak nie potrafiłam tego zrobić. Nigdy dotąd nie musiałam zabić kogoś, kogo znałam tak dobrze. Gdy chwila nadeszła, nie byłam w stanie dobyć miecza. To dziwne, ale smutno mi, że go zawiodłam. Co gorsza, utraciłam szacunek osoby, której poparcia potrzebuję. – Nadal zamartwiała się myślą, że straciła w ten sposób szacunek Hamiego. Pierwszy szczęściodawca był kiedyś pięścią i z pewnością nie wybaczy takiej słabości. Przywódcy zielonych kości nie mogli być miękcy ani niezdecydowani, zwłaszcza jeśli byli kobietami i wszyscy spodziewali się, że przegrają. Ayt Mada zabiła najbliższych przyjaciół swego ojca i kazała zamordować własnego brata. Z pewnością nie zawahałaby się w podobnej sytuacji. – Nosisz jadeit, ale jesteś wykształconym człowiekiem, który wiele osiągnął i podróżował po świecie. Chciałabym, żeby było więcej takich jak ty. Reprezentujesz nowoczesną stronę Kekonu. Ale jego druga strona to krew i stal. Jako prognostyczka klanu Bez Szczytów najwyraźniej muszę stać po obu tych stronach.

Maro milczał przez długi czas. Wreszcie usiadł i postawił nogi na podłodze. Odwrócił się do niej plecami i wsparł łokcie na kolanach. Shae zastanawiała się, czy powiedziała coś niewłaściwego i go obraziła.

– Miałem powód, by zdecydować się na karierę w studiach międzynarodowych i wybrać Szotar jako specjalność – odezwał się wreszcie. Zerknął przez ramię na Shae, a potem odwrócił się w bok, by spojrzeć na nią. – Moim ojcem był szotarski żołnierz, stacjonujący w janloońskim garnizonie podczas wojny wielu narodów. Zakochał się w miejscowej dziewczynie. Moja matka chciała za niego wyjść, ale obie rodziny odmówiły zgody. Odesłano go do Szotaru razem z wycofującą się armią, a ja urodziłem się kilka miesięcy później.

W głosie Mara pojawiła się nuta gorczy, której Shae nigdy przedtem u niego nie słyszała.

– Dziadkowie powiedzieli wszystkim, że moim ojcem był bojownik zielonej kości z Towarzystwa Jednej Góry, który zginął na wojnie. Znacznie lepiej było być nieślubnym dzieckiem jadeitowego wojownika niż bękartem nieprzyjacielskiego żołnierza. Matka przez całe życie powtarzała tę opowieść, by bronić reputacji rodziny. Powiedziała mi prawdę dopiero na łożu śmierci, gdy miałem dwadzieścia parę lat. Do owej chwili ciągle zadawałem sobie pytanie, dlaczego tak kiepsko radzę sobie z jadeitowymi dyscyplinami, skoro moim ojcem był wojownik zielonej kości. Uważałem, że to moja wina, bo za słabo się staram i wolę czytać książki, zamiast ćwiczyć. –

Uniósł twarz ku sufitowi i roześmiał się boleśnie. – Tylko pomyśl o wszystkich stresach, jakich mogłem uniknąć w młodych latach. Kiedy poznałem prawdę, byłem wściekły na matkę i na dziadków. Odebrali mi połowę tożsamości, tylko dlatego, że się wstydzi.

Przysunął się bliżej i pogłaskał kosmyk włosów za uchem Shae.

– Wiem, że nie potrafię zrozumieć, co to znaczy być Kaulem, i nie mam pojęcia, jakim naciskom jesteś poddawana jako prognostyczka, ale nie masz monopolu na toksyczną kulturę honoru. Klany zielonych kości mogą siedzieć na szczycie tej drabiny, ale ona sięga aż po sam dół.

Shae nie była pewna, co mu powiedzieć. Czuła się wdzięczna, że Maro się jej zwierzył, lecz jednocześnie ogarnęło ją poczucie winy. Ona i jej rodzina ponosili znaczną część odpowiedzialności za utrzymywanie się stylu życia zielonych kości oraz kulturową obsesję na punkcie jadeitu, przenikającą wszystkie aspekty życia na Kekonie.

– Czy próbowałaś później odnaleźć ojca? – zapytała.

– Tak. – Maro oparł się o wezglowie. – Minęło kilka lat, nim zdobyłem się na odwagę, by spróbować to zrobić, ale w końcu mi się udało. Po wojnie ożenił się z kobietą ze swojej ojczyzny. Dowiedziałem się, że mam dwie

szotarskie przyrodnie siostry. – Przerwał na chwilę. W jego oczach pojawiło się zamyślenie. – Sześć lat temu po raz pierwszy poleciałem do Leyolo, żeby spotkać się z nimi wszystkimi. To było... dziwne. Myślę, że ojciec nigdy nie uwolnił się od wstydu i poczucia winy z powodu tego, że zostawił matkę, mimo że nie miał wyboru, bo dezercję z szotarskiej armii karano egzekucją. Samym swym istnieniem przypominałem mu o smutnych czasach. To sympatyczny człowiek i nadal pozostajemy w kontakcie, ale... – Maro umilkł. Przez okno wpadały do środka pierwsze promienie słońca. Shae słyszała dobiegające z ulicy odgłosy tramwajów oraz krzyki najbardziej pracowitych handlarzy. – Przyrodnie siostry poznałem znacznie lepiej. Są młodsze ode mnie, oczywiście, a starsza z nich... na zdjęciu są jej córki, moje siostrzenice.

Maro wstał z łóżka i wziął w rękę oprawione w ramkę zdjęcie.

– To jest Kullisho – rzekł, wskazując na starszą dziewczynkę. – Bardzo dużo czyta i uwielbia koty. – Wskazał z uśmiechem na młodszą. – Danallo to mała świnka. Zawsze okropnie się brudzi, ale jest naprawdę słodka i mówi bardzo zabawne rzeczy. Mam nadzieję, że jeśli pewnego dnia będę miał dzieci, okażą się choć w połowie tak udane jak moje siostrzenice.

Shae przyjrzała się dwóm aniołeczkom na zdjęciu, po czym przeniosła spojrzenie z powrotem na Maro. Jak wielu Kekończyków nie tylko przyznałoby się do tego, że mają rodzinę za granicą, ale też próbowałyby nawiązać z nią kontakt? Anden, jej przybrany kuzyn, nigdy nie wykazywał zainteresowania swym biologicznym ojcem ani espeńskim pochodzeniem. Nadal bolało ją wspomnienie o tym, jak bardzo był nieszczęśliwy, kiedy usłyszał, że wysyłają go do Port Massy. Być może w przypadku Mara wyglądało to inaczej, ponieważ wyglądał jak Kekończyk czystej krwi, ale z drugiej strony dla pokoleń ich rodziców i dziadków Szotarczycy byli najbardziej znienawidzonymi ze wszystkich cudzoziemców.

– Wykazałeś się wielką odwagą, nie tylko kontaktując się z szotarską rodziną, lecz również próbując nawiązać z nią trwałą więź – oznajmiła szczerze Shae.

Odstawił zdjęcie na miejsce.

– Moja rodzina tak nie sądzi. Babcia już nie żyje, niech bogowie obdarzą ją uznaniem, ale dziadek w ogóle nie chce o tym rozmawiać, podobnie jak moi wujkowie i kuzyni. Uważają, że niepotrzebnie rozgrzebałem coś, co trzeba było zostawić w spokoju. – Westchnął. Podniósł ubranie z podłogi i zaczął je powoli wkładać. – Mają też inne powody poza uprzedzeniami.

W naszej rodzinie tylko ja noszę jadeit. Zrobiłem karierę na uniwersytecie i mam koneksje w Radzie Książęcej. Gdyby prawda o moim pochodzeniu wyszła na jaw, zaszkodziłoby to całej rodzinie. Dlatego zachowuję to w tajemnicy, tak samo jak matka. – Usiadł na łóżku obok Shae. – Widzisz? Każda rodzina ma mroczne sekrety, które ukrywa przed innymi. Nawet te rodziny, które nie są sławne ani potężne.

Shae milczała, pogrążona w zamyśleniu. Maro pocałował ją w kąt zuchwy, a potem spojrzął na zegarek stojący na komodzie.

– Robi się późno. Muszę jechać do pracy.

– Ja też. – Shae poderwała się, gdy zorientowała się, która godzina.

Podeszła do szafki i wyjęła z niej ubranie, które trzymała w mieszkaniu kochanka. Włożyła je, podczas gdy Maro poszedł do łazienki, żeby się ogolić.

– Nie odpowiedziałam na twoje pytanie – oznajmiła mu, kiedy wrócił, po czym włożyła buty. – Chcę cię zaprosić do swojego nowego domu, skoro wreszcie go ukończono. Moja bratowa nadal pracuje nad dekoracją wnętrza, ale właściwie już się tam wprowadziłam. Chciałbyś kiedyś wpaść na kolację?

Maro przygładził rozczochrane włosy. Rankiem wyglądał jak roztargniony profesor. Shae uważała, że to czarujące i seksowne.

– Mimo że już wiesz, że jestem półszotarskim bękartem?

Zadał to pytanie lekkim tonem, ale w jego głosie słyszało się również niepokój. Sugestię, że nie jest pewien, czy nie powiedział zbyt wiele i nie odsłonił się przed nią przesadnie.

Shae ruszyła ku drzwiom.

– Mój kuzyn też jest mieszanej krwi. To nie ma znaczenia.

Przed laty popełniła błąd, starając się zachować w tajemnicy związek z Jeraldem w obawie przed pogardliwą dezaprobatą dziadka. Ale dziadek już odszedł, a zdaniem Hila nie zamierzała się przejmować.

\* \* \*

Gdy przybyła do gabinetu – trzydzieści minut później niż zwykle – Woon już na nią czekał. Shae poczuła się skrępowana. Wiedziała, że zapewne się domyśla, co było powodem jej spóźnienia. Zastanawiała się, czy czuje na niej zapach Mara. Cień prognostyka sprawiał wrażenie wyjąt-

kowo podenerwowanego. Przełknął z wysiłkiem ślinę i wręczył jej złożoną kartkę. Zaczęła czytać, a po chwili spojrzała ze zdumieniem na mężczyznę.

– Co to ma być?

– Moja rezygnacja, Kaul-jen – odparł Woon.

– Twoja rezygnacja? – Wlepiała w niego spojrzenie. – Dlaczego?

Nie chciał spojrzeć jej w oczy.

– Możesz znaleźć kogoś lepszego na moje miejsce.

Położyła list na biurku, razem z torebką.

– O co naprawdę chodzi, Papi-jen?

Zwykle spokojna aura Woon kipiła od emocji.

– Myślę, że już wiesz – odparł ochryplym tonem. – Nie zmuszaj mnie do powiedzenia tego na głos. Zbyt wysoko cenię twoją przyjaźń.

Potrząsnęła głową, starając się stłumić panikę. Jej pozycja i tak już była niepewna. Niepokoiła się, że Hami wycofa swoje poparcie, ale nie przychodziło jej na myśl, że może utracić Woon. Zawsze niezawodnie wykonywał obowiązki, mogła na niego liczyć, nie odstępował jej boku od chwili, gdy pierwszy raz weszła do tego gabinetu. Był jej prawą ręką, podobnie jak przedtem prawą ręką Lana. Nie mogła go utracić, jeśli chciała pozostać prognostyczką klanu Bez Szczytów.

– Nie przyjmuję twojej rezygnacji, Woon-jen.

Uniósł wzrok. Shae mogłaby policzyć na palcach jednej ręki, ile razy widziała go rozgniewanego.

– Służyłem ci najlepiej, jak potrafiłem – oznajmił lekko załamującym się głosem. – Postępujesz niesprawiedliwie, zatrzymując mnie w tej roli, kiedy pragnę odejść.

– Potrzebuję cię – odparła Shae. – Nie znajdę na to miejsce nikogo, komu mogłabym zaufać w takim stopniu jak tobie. Gdyby Lan nie zginął, byłbyś jego prognostykiem.

– Zawiodłem Lan-jena – odparł Woon z wyrazem żalu na twarzy. – Obawiam się, że jeśli tu zostanę, zawiodę go ponownie. A także ciebie.

– Zawiedziesz mnie tylko, jeśli odejdziesz. – Shae zwróciła się ku niemu. – Proszę, Papi-jen. Wiesz, że mogłabym pójść do filaru i poprosić go, żeby rozkazał ci zostać. Nie chcę tego robić. I nie zrobię. Ale nadal potrzebuję twojej pomocy.

Woon pochylił głowę.

– To dla mnie zbyt bolesne, Shae-jen – wyznał. – Jesteś siostrą Lan-jena i prognostyczką. Pod żadnym pozorem nie przekroczyłbym żadnej z tych

barier, ale spędzamy ze sobą zbyt wiele czasu. Nic nie poradzę na to, co czuję.

Shae nie wierzyła własnym uszom. Nie chodziło o to, że nie odczuwa sympatii do Woon. Wręcz przeciwnie, uważała go za prawdziwego przyjaciela. Był prawie dziesięć lat starszy od niej, ale na swój sposób przystojny, nie sposób też było zaprzeczyć, że jest pracowity i ma dobry charakter. Po prostu nigdy nie przychodziła jej na myśl możliwość romansu z podwładnym. Co więcej, była teraz z Marem, więc to nie wchodziło w grę. Pozostawało jednak faktem, że nie mogła sobie pozwolić na stratę Woon Papi-donwy, nawet gdyby miało mu to sprawić ból.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Papi-jen – zaczęła. – Potrzebujesz kogoś, kto okaże ci tyle oddania, ile ty okazałeś naszemu klanowi i rodzinie.

Pragnęła położyć od niechcienia rękę na ramieniu przyjaciela, jak robiła to kiedyś, ale obawiała się teraz go dotykać, żeby nie pogorszyć sprawy. Pośpiesznie rozważała dostępne opcje. Czy mogła zaoferować mu podwyżkę? Większy gabinet? A może tylko by go obraziła, udowodniła mu, że jest jeszcze bardziej nieczuła, niż dotąd sądził? Znała tylko jeden sposób, by wpłynąć na jego emocje, i postanowiła go użyć. Wiedziała, że to okrutne, i żałowała tego.

– Oboje znaleźliśmy się w trudnej sytuacji z powodu tragedii, która się wydarzyła. Musimy spłacić dług wobec Lana, by móc mu spojrzeć w oczy w życiu przyszłym. Udało nam się utrzymać klan Bez Szczytów na powierzchni, przetrwać wojnę, ale czeka nas jeszcze wiele zadań. Musimy wzmocnić gospodarkę, by nasze biznesy mogły wytrzymać konkurencję z nieprzyjacielem. Współpraca dobrze się nam układa, Papi-jen, zmieniliśmy urząd prognostyka na lepsze. Dokonaliśmy inwestycji i zawarliśmy sojusze, które przyniosą nam zyski. Na naszych wysiłkach skorzysta nie tylko klan, lecz również cały kraj. Daj nam rok. Czy możesz na ten okres zapomnieć o skrępowaniu, jakie czujesz, gdy jestem blisko?

Umilkła, bojąc się, że jeśli będzie mówić dalej, ujawni swą desperację i osłabi moc tego, co już powiedziała. Czekwała, wstrzymując oddech, gdy na jego twarzy pojawiło się niezdecydowanie. Wreszcie Woon spuścił wzrok i skinął z niechęcią głową. Shae zaczerpnęła tchu. Cień prognostyka otworzył usta, by coś powiedzieć, ale w tej samej chwili ktoś głośno zapukał do drzwi gabinetu.

Woon odsunął się od niej. Drzwi się otworzyły i Hami wsadził głowę do środka. Przez chwilę przenosił wzrok z jednego na drugie z nich, mrużąc

powieki, aż wreszcie burknął:

– Stało się. Espeńskie siły lądowe wkroczyły do Oortoko. Na wszystkich kanałach mówią tylko o tym.

Poszli za nim do holu, gdzie wokół telewizora zgromadziło się kilkanaście osób. Na ekranie spiker Kekońskiej Stacji Państwowej Toh Kita rozmawiał z analitykiem politycznym o relacji pokazującej espeńskie konwoje wojskowe posuwające się naprzód przez wzgórze wschodniego Szotaru oraz samoloty wojskowe startujące z lotniskowca RES *Massy*.

Na ekranie ukazał się Son Tomarho, przemawiający w Gmachu Mądrości. Kanclerz zapewnił, że „Kekon popiera swych espeńskich sojuszników”, lecz zarazem podkreślił potrzebę „dyplomacji, uczciwego dialogu i wzajemnego szacunku”. Wyraził też głębokie zatroskanie możliwością ofiar wśród ludności cywilnej. Shae uświadomiła sobie, że to oznacza, że Espeńscy nie zawiadomili kekońskiego rządu przed rozpoczęciem inwazji. Wygłaszając oficjalne oświadczenie przed Radą Książęcą, Son był zmuszony lawirować między interesem publicznym, jakiemu ponoć służyła Rada, interesami klanów, które reprezentowała w rzeczywistości, a realiami sojuszy zawartych przez kraj.

Po trwającym godzinę przemówieniu Sona pokazano improwizowany wywiad, jakiego Ayt Madashi udzieliła dziennikarzom. Stała przed wejściem do Świątyni Wie Lona, gdzie urządzono zbiórkę pieniędzy na rzecz absolwentów. Z tyłu było widać tłum muskularnych młodzieńców, uczących się, by zostać zielonymi kośćmi.

– Za czasów mojego ojca Towarzystwo Jednej Góry walczyło z tyranią i brutalnością Szotarczyków. To zatrwajające, że nasz jadeit i bezpieczeństwo poświęca się w interesie cudzoziemców, którzy zabijali, gwałcili i torturowali naszych rodaków.

Filar największego klanu na Kekonie okazywała przed kamerami taką samą pewność siebie, jak w kontaktach osobistych. Była urodzoną mówczynią, przemawiała klarownym, wyrazistym głosem, a jej spokojne spojrzenie przeszywało wszystkich nawet z małego ekranu telewizora.

– Kanclerz Son może popierać Espeńczyków, ale klan Góra interesuje wyłącznie interes Kekonu – mówiła Ayt. – Będziemy bronić ojczyzny przed jawnymi wrogami i przed tymi, którzy udają przyjaciół. Nie jestem politykiem. Złoto i jadeit nigdy nie powinny chodzić razem, ale jeśli musicie wybierać między tymi dwoma, stawiajcie na jadeit.

Kilku ludzi stojących przy telewizorze zareagowało radosnymi krzykami, ale szybko zorientowali się, komu wyrażają pogardę. Szybko zakryli usta dłońmi, spoglądając trwożnie na Shae. Nie mogła jednak mieć do nich pretensji. Ayt Mada, jej największa rywalka, która w obecności Shae poprzysięgła, że zabije wszystkich członków rodziny Kaulów i zniszczy klan Bez Szczytów, przemówiła w obronie wszystkich zielonych kości i dała wyraz uczuciom mieszkańców Kekonu.

Tymczasem Kaul Hilo był nieobecny i nie można się było z nim skontaktować. Przebywał na drugim końcu świata.

– Znajdź numer hotelu, w który zatrzymał się mój brat – rozkazała sekretarce, wracając do gabinetu. – A potem połącz mnie z nim.



# ROZDZIAŁ 21

## ZMIANA PLANÓW

Hilo odebrał rozmowę międzypaństwową.

– Musimy wracać do domu – oznajmił po jej skończeniu.

– Mamy bilety na szósty dzień – sprzeciwił się Tar, który oglądał w telewizji hotelowej grę w rundki, pomimo faktu, że żaden z nich nie rozumiał zasad tego sportu. – A jutro wieczorem mamy zjeść kolację z mamą dzieciaka i jej chłopakiem. Dlaczego chcesz wracać?

Hilo wziął pilota i zmienił kanał. W wiadomościach pokazywano espeńską armię wkraczającą do Oortoko. Nie rozumiał słów stepeńskich komentatorów, ale tłem ich rozmowy była wielka mapa regionu wschodnioamerykańskiego, na której podświetlono Szotar, Uwiwy oraz Kekon. Hilo wymamrotał pod nosem przekleństwo. Espeńczycy jak zwykle robili, co chcieli, nikogo o tym nie informując ani nie pytając o zdanie.

Shae jasno oznajmiła, że musi wrócić do Janloonu tak szybko, jak to tylko możliwe, on jednak był zdeterminowany nie opuścić Lybonu, dopóki nie osiągnie zadowalającego porozumienia w sprawie przyszłości bratanka. Nie miał najmniejszej ochoty tłumaczyć Wen, że poleciał aż do Stepenlandu na jej naleganie, zostawił ją, choć była w trzydziestym czwartym tygodniu ciąży, a potem wrócił z niczym.

Przekonał się też, że bardzo często myśli o synu Lana i połączyła go z dzieciakiem boleśnie głęboka więź, silniejsza nawet niż więzy krwi. Podobnie jak Niko Hilo stracił ojca w pierwszym roku życia. Na podstawie wszystkiego, co kiedykolwiek słyszał o Kaul Dushuronie, zawsze był przekonany, że świetnie dogadałby się z ojcem. Z pewnością lepiej niż z dziadkiem. Niko również nie będzie znał ojca. Być może to fakt, że sam miał wkrótce zostać ojcem, skłonił Hila do żałoby po starszym bracie, głębszej niż ta, do której był zdolny dwa lata temu, gdy w jego myślach dominowały wojna, żądza zemsty i walka o przetrwanie. Już od kilku dni był w wyjąt-

kowo ponurym nastroju i nie potrafił cieszyć się malowniczą niezwykłością Lybonu.

Tar wyczuwał nastrój filaru, nawet jeśli nie znał jego głębszych przyczyn. Próbował ze szczerością zaniepokojonego dziecka podnieść Hila na duchu, żartując ze wszystkiego, na co się natknęli – od słonych cukierków, poprzez stepieńskie fryzury, aż po fakt, że supermarkety zamykano o zmierzchu. Gdy filar zajmował się klanowymi sprawami, rozmawiając przez telefon z Shae albo Kehnem, Tar krążył po mieście, a po powrocie zdawał relację ze swoich poczynań, starając się sprawić przyjemność szefowi: znalazł dobrą restaurację i zarezerwował miejsca na piąty dzień; za pomocą szerokiej sieci wpływów klanu nawiązał kilka kontaktów, które mogą się okazać użyteczne, śledził dyskretnie chłopaka Eyni, aż do drzwi biura znajdującego się blisko centrum miasta, i w ten sposób dowiedział się, gdzie i z kim pracuje Stepieńczyk.

– Chcesz, żebym zadzwonił do linii lotniczej i dowiedział się, czy możemy się załapać na wcześniejszy samolot? – zapytał.

Hilo uszczyptał się w nos, po czym skinął głową. Różnica czasu między Lybonem a Janloonem wynosiła siedem godzin. Było dopiero wczesne popołudnie. Przed chwilą zapalono latarnie na ulicach. Jeśli wylecą jutro rano, zdążą dotrzeć do domu pod koniec dnia.

– Zmień rezerwację – rozkazał. – Potem pogadamy z tą dwójką. Umówimy się na kolację dzisiaj, żeby wszystko uzgodnić.

– Tym razem zostań w samochodzie – zażądał Hilo, gdy dotarli na miejsce. – Sprawiasz zbyt groźne wrażenie – Tar mruknął z niedowierzaniem. – Wyglądasz i zachowujesz się jak pięść. Eyni zawsze uważała mnie za zwykłego zbira i towarzystwo milczącego strażnika z pewnością mi nie pomaga. – Wsiadł z samochodu i zajrzał jeszcze do środka przez otwarte okno. – Zaczekaj tutaj. – Zaraz wrócę i pojedziemy coś zjeść.

Hilo zatrzymał się przed drzwiami wejściowymi. Postrzegł Eyni poruszającą się wewnątrz ze znaczną energią i pośpiechem oraz małą, cichą obecność w głębi domu, z pewnością będącą śpiącym dzieckiem. Stepieńczyka nie było. Z pewnością został dłużej w pracy. W umyśle Hila zrodziła się podejrzliwość. Spędził w Lybonie zaledwie kilka dni, ale zdążył się już zorientować, że ludzie często zostawiają tu bramy i drzwi otwarte. Zamiast dzwonić, obrócił gałkę. Drzwi rzeczywiście były otwarte. Wszedł do środka.

Pierwszym, co zobaczył, były dwie walizki i złożony dziecięcy wózek w salonie. Jedna walizka była zamknięta i stała pionowo, druga zaś leżała otwarta na podłodze, częściowo zapakowana. Były w niej ubrania dla dzieci, pluszowa małpka i kilka książeczek z obrazkami. Obok leżała otwarta torebka Eyni. Były w niej portfel i paszport. Hila wypełniło zimne zrozumienie. Kobieta wyszła z pokoju, niosąc naręcze kocyków i ręczników, a także kilka pieluszek. Na widok Hila zamarła.

– Siostró Eyni – przywitał ją cicho. – Widzę, że gdzieś się wybierasz.

– Mieliśmy się spotkać dopiero jutro – warknęła w odpowiedzi.

Hilo zerknął na walizki i na rzeczy, które przyniosła.

– Na jutrzejszą kolację nie musisz się aż tak pakować. Gdzie jest ten twój cudzoziemski chłopak?

Kocyki zadrżały w jej ramionach.

– Wyszedł na chwilę.

– Załatwia sprawy w pracy, bo spodziewacie się, że nie wrócicie przez pewien czas – domyślił się Kekończyk. – Dokąd się wybieracie? – ciągnął twardszym głosem. – Chcieliście zniknąć, o niczym mi nie mówiąc, żebym tu czekał jak głupi.

– Wracaj do domu, Hilo. – W głosie kobiety gniew mieszał się z błaganiem. – Nie bez powodu nie odpowiadałam na twoje listy i zjawiałeś się w moim domu bez zaproszenia. Lora nie zdaje sobie sprawy, jacy jesteście, ty i cały klan. Mógłbyś go przekonać, żeby dał ci to, czego chcesz. Zabrałbyś mojego syna do Kekonu i wychowałbyś go na zabójcę. Tak jest, dotkniętego obsesją na punkcie jadeitu zabójcę, któremu byłoby przeznaczone zginąć przedwcześnie, jak jego ojciec i dziadek. I ty również.

– Tak mówisz o swoim mężu, a moim bracie? A także o moim ojcu, który oddał życie za ojczyznę? – Hilo wykrzywił usta w grymasie złości. – Co się z tobą stało, Eyni?

Odłożyła przyniesione przedmioty i wyprostowała się. Zawsze była dumna i elegancka, a w młodych latach była tancerką. Próbując odwołać się do statusu, jaki miała w czasach, gdy była żoną filaru, a Hilo tylko młodą pięścią, uniosła podbródek i wlepiła w mężczyznę pełne złości spojrzenie.

– W ogóle się nie zmieniłeś, Hilo. W głębi duszy zawsze byłeś okrutnym zbirkiem, aroganckim chłopakiem, którego obchodziły tylko jadeit i własne ego. W ogóle nie dbasz o Nika. Pragniesz jedynie obrócić go w jednego ze swoich zwolenników. – Wciągnęła gwałtownie powietrze. – Czy wiesz, że w Espenii zabroniono cywilom posiadania jadeitu? Inne kraje, w tym

również Stepenland, zapewne podążą za jej przykładem. Ludzie kojarzą jadeit z żołnierzami, najemnikami i gangsterami. Chcesz wychować mojego syna na kogoś takiego? Nie, Hilo. Nic, co mógłbyś mi zaoferować, nie skłoni mnie do zmiany zdania. Chcę, żeby Nikolas wyrósł na Stepeńczyka. Żeby miał stepeńskich kolegów oraz rodzeństwo. I stepeńskie wykształcenie. Nie chcę, żeby miał cokolwiek wspólnego z tobą.

Hilo zaniemówił. W całym życiu zdarzyło mu się to zaledwie kilka razy. Przez kilka sekund nie czuł nic poza szokiem i dezorientacją, jakby pchnięto go nożem w brzuch. Potem pojawił się ból, a wraz z nim gniew.

– Wracaj do domu, do swoich pięści i wojen o terytorium – kontynuowała Eyni. – Nigdy nie pozwolę, żeby Niko został zieloną kością. – Wycofała się do kuchni, uniosła słuchawkę i zawiesiła palec nad tarczą telefonu. Zauważył, że zerknęła na kuchenne noże leżące w jej zasięgu. – Idź sobie albo zadzwonię po policję. Będą tu za kilka minut. Jesteś tylko zagranicznym turystą i nie masz w tym kraju żadnych wpływów. Jeśli im powiem, że włamałeś się do mojego domu, wsadzą cię do paki.

– Pozwól mi zobaczyć się z Nikiem – poprosił Hilo cichym głosem, graniczącym z błaganiem, gdy Eyni wykręciła pierwszą cyfrę. – Tylko pozwól mi się zobaczyć z bratankiem.

Przez moment wydawało się, że poczucie porażki słyszalne w głosie Hila i ból widoczny na jego twarzy wpłynęły na Eyni. Odłożyła słuchawkę na stolik. Potem jednak przypomniała sobie, że postanowiła, że nie ustąpi byłemu szwagrowi ani o krok. Zacisnęła mocno usta i potrząsnęła głową.

– Mamaaaa... – dobiegło z pokoju dziecinnego wołanie Nikolasa.

Eyni odwróciła się w tamtą stronę i zrobiła dwa kroki. Hilo rzucił się naprzód z szybkością, do jakiej były zdolne tylko zielone kości noszące mnóstwo jadeitu. Objął jedną ręką tułów kobiety, unieruchamiając ją. Drugą dłonią dotknął jej pleców i szarpnął gwałtownie, używając Przenoszenia. Głowa Eyni odskoczyła do tyłu, szczyt jej czaszki uderzył Hila w podbródek. Jego jadeitowa energia przeszła jej ciało z niszczycielską precyzją metalowej klingi. Eyni skończyła bezgłośnie.

Hilo miał mroczki przed oczami. Osunął się na kolana, nadal ściskając zabita kobietę niczym kochanek. Impuls energii towarzyszący jej śmierci wypełnił go, a potem odpłynął, oszalał, oszalał, oszalał go na moment. Miał rozciętą wargę w miejscu, gdzie uderzyła go jej głowa. Ostry smak krwi na języku w połączeniu z sygnałem telefonicznym tuż przy jego uchu przywołały go do rzeczywistości. Uniósł rękę i odłożył słuchawkę na miejsce. Wstał,

dźwignął ciało, podszedł do kanapy i położył je na niej. Następnie odsunął się i otarł rękawem pot z czoła.

Na twarzy zabitej nie widział cierpienia ani zaskoczenia. Ciało było miękkie i bezwładne. Ułożył jej ręce na brzuchu, żeby wyglądała bardziej naturalnie, po czym wrócił do kuchni i pociągnął długi łyk wody prosto z kranu. Następnie wsparł się dłońmi o kuchenny blat i przez długą chwilę gapił się na leżące na kanapie ciało. Kobieta nie cierpiała ani nie stawiała oporu. Nie spodziewała się, że zginie, co dowodziło, że w głębi serca pozostała butną ignorantką, niezdarzącą sobie sprawy z tego, w jakiej sytuacji się znalazła, ani z tego, do czego zdolne są zielone kości. Do czego jest zdolny Hilo, gdy znieważy się go i sprowokuje. Zrobił, co tylko mógł, by osiągnąć kompromis, zgodził się na wszystkie rozsądne ustępstwa, starał się powstrzymać gniew – ale wszystko to nic nie dało.

Hilo nigdy nie lubił Eyni i zawsze uważał, że Lan popełnił błąd, pozwalając jej i jej kochankowi odejść bez żadnych konsekwencji, ale gdy teraz na nią patrzył, ogarnął go smutek. Wiedział, że brat nie chciałby jej śmierci, nawet dla dobra własnego syna.

– Mamaaaa! – znowu dobiegł go krzyk z pokoju dziecinnego.

Hilo ruszył w tamtą stronę, przeszedł nad bramką zabezpieczającą zamykającą mu drogę i wszedł do środka. Niko stał, trzymając się kraty łóżeczka. Krzyczał niecierpliwie, ale nie płakał. Gdy Hilo znalazł się w pokoju, chłopczyk umilkł. Gapił się na wujka, otwierając szeroko oczy i rozdziawiając buzię. Hilo wyjął dziecko z łóżeczka i postawił na podłodze. Chłopczyk usiadł, wziął w rękę samochodzik i zaczął nim jeździć po dywanie. Hilo przykucnął obok niego.

– Samochód – powiedział Niko po kekońsku, a potem zaśpiewał dziecinną piosenkę po stepieńsku i spojrzał na wujka, oczekując aprobaty.

Hilo uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Chodź ze mną, Nikoyan. – To bardzo dobre kekońskie imię przyszło mu na myśl w jednej chwili. Zaprowadził, chłopca do salonu, otwierając przed nim bramkę, a potem ją za nim zamykając.

Niko podszedł do Eyni.

– Mama, mama, mama! – zawołał.

– Twoja mama śpi – oznajmił łagodnym tonem Hilo.

Włożył zapasy przyniesione przez Eyni do mniejszej walizki, razem z innymi rzeczami należącymi do Nika, a potem ją zamknął. Przeszukał otwarty portfel i znalazł świadectwo urodzenia chłopczyka, ukryte pod

paszportem Eyni. Kiedy je rozłożył, przekonał się, że rubrykę „nazwisko ojca” pozostawiono pustą. Złożył świadectwo z powrotem i schował je do kieszeni marynarki. Uklęknął i wskazał samochodzik trzymany przez Nika.

– Chcesz się przejechać samochodem?

Chłopiec się rozpromienił. Zaprzestał prób obudzenia matki i wyciągnął rączki, prosząc, żeby go podnieść. Hilo pocałował chłopca w główkę, wziął go na jedną rękę, a drugą uniósł walizkę, po czym zaniósł Nika do samochodu, w którym nadal czekał Tar. Rzucił walizkę na tylne siedzenie, a następnie usiadł obok kierowcy, trzymając dwulatka na kolanach.

– Niko-se, to jest twój wujek Tar.

– Miło mi cię poznać, Niko – rzekł filarowy i pogłaskał dziecko po włosach. – Dobry z ciebie chłopiec.

Jeśli się zdziwił, widząc, że jego szef wychodzi z domu sam z dzieckiem, objawiło się to tylko lekkim przesunięciem w jego aurze oraz krótką chwilą wahania, gdy spojrzał pytająco na filar.

– Trzeba będzie zadzwonić do linii lotniczej, żeby przepisali twój bilet na Nika. Muszę też znaleźć gdzieś maszynę do pisania i uzupełnić jego świadectwo urodzenia, żeby wpuścili go do samolotu ze mną. Ty zostaniesz tutaj, żeby załatwić jej chłopaka. Zrób to szybko i ostrożnie. On nie jest taki zły. Nie chcę, żeby cierpiał.

Tar skinął głową i wręczył kluczyki Hilowi.

– Lepiej posadź dzieciaka na tylnym siedzeniu i odprowadź samochód z powrotem do hotelu. Ja zaczekam tutaj. Do zobaczenia za kilka dni.

\* \* \*

Po sześciu tygodniach Wen urodziła zdrowego chłopca. Hilo przyniósł bratanka do pokoju, w którym odpoczywała. Kaul Rulinshin leżał na piersi matki. Pojawił się na tym świecie zaledwie trzy godziny temu. Przysłane przez lojalnych członków klanu bukiety chryzantem i żółtych tchnień nieba – symbolizujących radość i dobre zdrowie – zajmowały niemal całe pomieszczenie.

– Dzidzia! – zawołał Niko. – Mała dzidzia.

Zaczynał już składać kekońskie słowa w krótkie zdania. Po kilku napaściach złości przestał też próbować mówić po stepieńsku.

Hilo wziął go w ramiona i postawił na skraju łóżka. Po szesnastogodzinnym porodzie oczy Wen były podkrążone ze zmęczenia, ale błyszczały

w nich triumf. Mąż pochylił się nad nią i pocałował ją w czoło. Następny pocałunek złożył na główce syna, wciągając w płuca jego nieopisanie słodką woń. Niko wyciągnął rączkę i pogłaskał noworodka po włoskach.

– To twój mały kuzyn – wyjaśnił mu Hilo. – Będziecie teraz musieli dbać o siebie nawzajem.

# INTERLUDIUM 1

## ZAGINIONY I ZNALEZIONY

Jedną ze znanych postaci starożytnej historii Cesarstwa Tun jest mężczyzna imieniem Ganlu. Był wojownikiem, uzdrowicielem, filozofem religijnym oraz doradcą cesarza Sh'jana Trzeciego. Historyczne tuńskie teksty opisują go jako brodatego cudzoziemca, który przybył z wyspy leżącej na zachodzie. Relacje podają różne daty jego pojawienia się, zgadzają się jednak, że gdy ujrzał Wielką Nieckę Tun, padł na kolana i podziękował bogom, wykrzykując frazę (później wykorzystywaną przez rozmaitych tuńskich władców i wodzów jako usprawiedliwienie podbojów): „O, cudowna kraino, przez którą człowiek może iść przez całe życie i nigdy nie dotrzeć do morza!”.

Ganlu wędrował przez wiele lat. Po niedawnej wojnie i klęsce głodu w kraju szerzył się bandytyzm i bezprawie, wobec których prości wieśniacy często byli bezsilni. Wszędzie, gdzie się zjawił, Ganlu stawiał czoło zbrodni i niemoralności, uczył zwykłych ludzi sztuki walki, uwalniał ich od chorób dzięki swemu uzdrawiającemu dotykowi, a także głosił filozofię nakazującą żyć w pokoju, pomagać sąsiadom i utrzymywać więź z boskimi duchami ziemi, rzek oraz nieba. Jego nauki stały się podstawą *krajow*, tuńskiej sztuki walki, oraz wywarły wielki wpływ na religię *shubai*.

W końcu opowieści o wędrowcu dotarły do uszu cesarza, który wezwał Ganlu do pałacu, razem z jego uczniami, i poprosił, by został jego doradcą. Ganlu odmawiał trzy razy, nim wreszcie się zgodził, za każdym razem domagając się, by cesarz dowiódł, że jest cnotliwym monarchą. O jego mądrych radach i o założonych przez niego szkołach *krajow* krążą liczne legendy, które różnią się od siebie szczegółami, lecz zgadzają się, że Ganlu zawdzięczał wielką moc oraz mądrość zaczarowanemu kamieniowi, który otrzymał od matki, bogini lasu. Zawsze nosił go blisko serca. Ponoć Ganlu żył sto siedemdziesiąt lat, a gdy umarł, jego duch przeniósł się do kamienia,



który przechowywano w Cesarskim Pałacu, by cesarz mógł nadal korzystać z jego rad.

Historycy zgadzają się co do tego, że Ganlu był kekońską zieloną kością, a jego nauki mają wiele wspólnego zarówno z abukejskim folklorem, jak i z przedbogowierczą duchowością, ale dopiero niedawno doszli do wniosku, że był on zapewne trzecim synem króla Jan z wczesnego okresu ery trzech koron.

Na Kekonie nie zachowały się o nim żadne wzmianki poza królewskim drzewem genealogicznym, w którym nie umieszczono nawet jego imienia, a tylko słowa: „młody książę, zaginął”.

# ROZDZIAŁ 22

## SALA URAZ

Anden grywał teraz w piłkę sztafetową dwa razy w tygodniu, z Dauk Corujonem i grupą jego kolegów. Mecze odbywały się na częściowo trawiastym, a częściowo ziemnym boisku za miejscowym liceum. Pewnego dnia, dwa tygodnie po kolacji u Dauków, syn filaru przejeżdżał obok domu Hianów, gdy Anden był na dworze i stał na drabinie, naprawiając uszkodzoną rynnę. Zamiast przemknąć obok, jak robił dotąd, Cory zatrzymał się i zawołał:

– Hej, wyspiarzu, grasz w piłkę sztafetową?!

Anden wytarł dłonie o spodnie i zszedł z drabiny.

– Gram.

– A czy jesteś dobry? – zapytał Cory, nie aroganckim czy pogardliwym tonem, a po prostu z ciekawości. Omiótł Andena spojrzeniem od stóp do głów.

– Grałem w drużynie w Aka... – Nagle poczuł, że nie chce, by Cory się dowiedział, że chodził do Akademii i uczył się na zieloną kość. – W mojej szkole w Janloonie.

– Na jakiej pozycji grałeś?

– Pierwszego strażnika.

Cory pokiwał głową.

– Piętnastego wieczorem, dobra? Przyjadę po ciebie.

Odjechał, nim Anden zdążył mu powiedzieć, czy się zgadza.

Przed pierwszym meczem Cory przedstawił go wszystkim.

– Popatrzcie, ziomy, to jest nasz nowy pierwszy strażnik, Andy.

– Anden – poprawił go szybko chłopak, być może z większą emfazą, niż było to jego zamiarem. Uśmiechnął się, by złagodzić niezamierzony brak uprzejmości. – Nazywam się Anden – dodał łagodniejszym tonem.

Nie chciał ponownie narazić się synowi miejscowego filaru, zwłaszcza że wreszcie wymienili ze sobą więcej niż dwadzieścia słów i Cory przedsta-

wił go kolegom. Rzecz w tym, że w domu tylko jego kuzyn Hilo mówił na niego „Andy”, i czuł się dziwnie, słysząc to imię z ust kogoś innego.

Okazało się, że był jednym z najlepszych graczy w tej grupie. Na Keko nie piłka sztafetowa była najpopularniejszym sportem narodowym, ale w Espanii grali w nią tylko Kekończycy i Szotarczycy. Dlatego najbardziej usportowieni gracze nieoficjalnej ligi Cory’ego poważniej traktowali inne dyscypliny – piłkę butową, rundki albo pływanie – i uczestniczyli w meczach rozgrywanych w drugi i piąty dzień na licealnym boisku wyłącznie dla rozrywki. Grom towarzyszyło mnóstwo żartów i udawanej wrogości między drużynami. Andenowi trudno było zrozumieć espeński slang, którym wszyscy się posługiwali, lecz mimo to wkrótce owe spotkania stały się dla niego najważniejszą atrakcją tygodnia. Nie do końca pasował do reszty graczy, ale to mu nie przeszkadzało. Był do tego przyzwyczajony. Nareszcie jakaś grupa go zaakceptowała. Hianowie zawsze zachęcali go do chodzenia na te spotkania, bez względu na to, ile zadano mu w szkole.

– Dobrze, że wreszcie znalazłeś sobie kolegów – mówili.

Cory grał na pozycji kończącego. Był najlepszym graczem ze wszystkich, a także nieoficjalnym przywódcą i organizatorem dzielnicowej ligi. W pierwszej chwili Anden sądził, że powodem tego jest fakt, iż chłopak jest zieloną kością i synem miejscowego filaru, wkrótce jednak przekonał się, że Cory zawdzięcza tę pozycję wyłącznie sobie. Nigdy nie mówił o tym, czym zajmuje się jego ojciec, i choć Anden od dwóch miesięcy spotykał się z nim dwa razy w tygodniu, nadal nie wiedział, gdzie Cory ukrywa jadeit. O ile potrafił to określić, na boisku Cory nigdy nie pomagał sobie Siłą ani Lekkością. Zawsze dbał o to, by on i Shun Todorho – druga zielona kość uczestnicząca w ich rozgrywkach – grali w przeciwnych drużynach, żeby szanse były równe. Nie kłócił się też nigdy o punkty. Gdy gra stawała się zbyt zacięta, często mówił ze śmiechem: „To tylko zabawa, ziomy”. Wbrew stereotypowi głoszącemu, że Kekończycy zawsze są skorzy do walki, Cory nigdy się nie obrażał i starał się też nie obrażać nikogo. Żył dobrze ze wszystkimi. Nawet gdy nazywał Andena „głupim wyspiarzem”, mówił to dobroniusznym tonem i mrugał przy tym porozumiewawczo, nie sposób więc było uznać tego za złośliwość.

Andenowi trudno było sobie wyobrazić, jak Cory poradziłby sobie jako palec w Janloonie. Ludzie nie wiedzieliby, co sądzić o zielonej kości tak wyluzowanej i pełnej entuzjazmu.

Rozgrywali mecze przez całą jesień, choć wilgotny wiatr kołysał siatkami do gry, a wieczorami robiło się tak zimno, że musieli nosić czapki i rękawiczki. Piątego dnia wreszcie przegoniła ich z boiska pierwsza zimowa śnieżycą. Zawsze wiszące nad Port Massy chmury przybrały ciemnoszarą barwę i na miasto spadł lodowaty deszcz ze śniegiem. Ludzie biegali między samochodami a budynkami, osłaniając głowy teczkami albo gazetami. Twarda ziemia na boisku przerodziła się w miękkie błoto. W pewnej chwili Anden pośliznął się i padł na plecy w zamarzającą kałużę. Nigdy w życiu nie zaznał takiego zimna. Kiedy wstał, dzwonił zębami, wszystkie kończyny miał zeszywniałe, a okulary tak brudne i zaparowane, że nic nie widział. Przyszło mu na myśl, że nie powinno dziwić to, iż Espeńczycy żeglują po całym świecie, skoro ich ojczyzna jest aż tak niegościnna.

Cory przerwał mecz i większość graczy pośpiesznie wróciła do domu. Jednakże Anden bał się jechać na rowerze przy takiej pogodzie.

– To nie potrwa długo – zapewnił Cory. Razem z dwoma innymi chłopakami schowali się w krytym tylnym wejściu do liceum. – Pobiegnijmy do sali uraz, żeby ogrzać się i coś zjeść, zanim pogoda się poprawi.

Szybko przeszli dwa kwartały, nim dotarli do prostokątnego szarego budynku przypominającego szkołę albo bibliotekę. Biały napis nad głównym wejściem głosił: OŚRODEK KULTURY KEKOŃSKIEJ – zarówno po kekońsku, jak i po espeńsku. Anden mijał go wielokrotnie, a pewnego siódmego dnia z ciekawości wszedł do środka. Gdy skręcił w prawą stronę, znalazł małą bogowierczą kaplicę z oprawnym w ramki plakatem przedstawiającym mural Wygnania i Powrotu, zawieszonym na ścianie naprzeciwko dwudziestu kilku klęczników barwy spłowiałej zieleni oraz szeregu poczerniałych zapachowych świec. Po lewej znajdowała się stołówka, a przed nią przestrzeń ciasno zastawiona stolikami i fotelami. Siedzieli na nich starzy ludzie, grający w szachy cyrkularne bądź pogrążeni w lekturze nieaktualnych gazet lub wyczytanych książek, które wzięli sobie z kekońskojęzycznej biblioteki, składającej się z kilku szafek ustawionych pod tylną ścianą. Dalej był mały klub fitness, wyposażony w sprzęt. Na drzwiach umieszczono harmonogram zajęć. Ośrodek opieki dziennej obsługiwały dwie nastolatki.

– Do ośrodka kultury? – zapytał z niedowierzaniem Anden. Kończyny zdrętwiały mu z zimna. Przebiegli na drugą stronę śliskiej ulicy, wykorzystując luki między jadącymi samochodami. Nie sądził, by to było miejsce,

w którym grupka młodych mężczyzn pragnęła spędzić wieczór piątego dnia. – To właśnie nazywacie salą uraz?

Jeden z kolegów Cory'ego, Ledt Dorukun, zachichotał.

– To tylko przykrywka, ziom – wyjaśnił drugi, Shun Todorho. – Prawdziwa sala uraz jest w piwnicy. Wchodzi się do niej od tyłu.

Okrzyżli szary budynek, docierając do nieoznaczonych metalowych drzwi. Ku zaskoczeniu Andena pod przenośną markizą z metalu stała długa kolejka ludzi, młodych i starych – w większości mężczyzn, ale było też trochę kobiet – czekających na wpuszczenie. Pocierali ramiona i tupali nogami, żeby się ogrzać. Cory zaprowadził ich do drzwi. Stał w nich odźwierny, muskularny mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym z podszewką.

– Dawno się nie widzieliśmy, Cory – odezwał się i pozdrowił dwóch pozostałych chłopaków skinieniem głowy. – Derek, Tod, cieszę się, że was widzę.

– Cześć, duży Sano – odpowiedział Cory. Uścisnął dłoń odźwiernego i trącił barkiem jego bark. – Paskudny wieczór, ale może to znaczy, że będzie dziś kupa ludzi, co? Moi starzy tu są?

– Jasne.

Mężczyzna otworzył metalowe drzwi i odsunął się, by wpuścić ich do środka przed resztą oczekujących.

Anden był zaskoczony. Po raz pierwszy widział, by Cory wykorzystywał swój status syna filaru. Odźwierny zatrzymał go, nim zdążył wejść do środka.

– Nie on – oznajmił po kekońsku, spoglądając z dezaprobatą na nieznanego przybysza. – Znasz zasady obowiązujące obcych w sali uraz. Tylko w trzecie dni i wejście kosztuje dwadzieścia thalirów.

– To jeden z nas – sprzeciwił się Cory. – Niedawno przyleciał z wyspy. Gra w piłkę sztafetową jak zawodowiec.

– Naprawdę? – zapytał Andena Sano. – Jesteś Kekończykiem?

– Urodziłem się w Janloonie. Rodzina wysłała mnie tutaj na studia.

– To prawda – poparł go Cory. – Możesz zapytać mojego tatę. On za niego poręczy.

Sano uniósł brwi.

– Kto by pomyślał – stwierdził i wpuścił Andena.

Gdy tylko chłopak znalazł się w środku, nozdrza wypełnił mu ciepły zapach jedzenia. Byli w wielkim, otwartym pomieszczeniu. Na górze

widzieli odsłonięte belki sufitowe, a pod stopami mieli betonową podłogę. W ruchomych kuchniach polowych ustawionych za długimi białymi stolami można było dostać zupę makaronową na ostro, gorący smażony chleb, a także kekońskie ciastka na tackach. Były też placki ziemniaczane nadziewane serem oraz kwaśne cukierki, wszechobecne na espeńskich imprezach sportowych. Pod beczułką z hoji, którą wtoczono do sali i ustawiono na podwyższeniu, tworzyła się już kolejka.

– Najpierw zejdzmy na dół i znajdzmy jakieś miejsce – zasugerował Tod.

Ruszyli w stronę schodów. Andenowi trudno było pogodzić panującą tu ożywioną atmosferę z nieatrakcyjnym frontem budynku. Pod ceglanymi ścianami piwnicy ustawiono małe stoliki i stołki barowe. Ludzie zajmowali miejsca, rzucając na nie kurtki. Tod i Derek znaleźli miejsce dla całej czwórki przy posapującym głośno grzejniku. Anden posuwał się za nimi powoli, z uwagą rozglądając się po otoczeniu. Obszar mniej więcej wielkości kortu do gry w rundki otoczono niebieskimi linami, a wokół niego ustawiono ławki. Pośrodku pustego obszaru trwała walka kogutów. Zakładający się wychylali się przez barierkę, krzycząc z radości albo jęcząc z rozczarowania, gdy jeden z kogutów padł pod ciosami stalowych ostróg przeciwnika, sypiąc piórami.

Cory zaprowadził ich do stolika, przy którym siedzieli jego rodzice. Jedli gorącą zupę makaronową z plastikowych jednorazowych miseczek i rozmawiali z Rohn Torem – mężczyzną, którego Anden uważał za róg Południowej Pułapki – a także z dwoma innymi ludźmi. Chłopak ich nie znał, ale podejrzewał, że są zielonymi kośćmi.

– Sezon piłki sztafetowej się skończył – oznajmił Cory. – Deszcz w końcu przegnał nas z boiska. Dlatego postanowiliśmy przyjść tutaj. Przyprowaździłem swoich ziomów.

Uśmiechnął się i uściskał dłonie siedzących za stolikiem mężczyzn. Ci z sympatią pokleпали syna filaru po plecach, pytając go, czy ekscytuje go myśl, że będzie się uczył na prawnika.

Dauk Losun rozpromienił się na widok stojącego za Corym Andena i przywołał go gestem.

– Mój młody przyjaciel z Janloonu! Pierwszy raz w sali uraz, tak?

Anden skinął głową. Hałas się nasilił. Najwyraźniej początek nowej walki kogutów okazał się ekscytujący.

– Skoro już cię poznaliśmy, możesz tu przychodzić, kiedy tylko zechcesz! – zawołał filar podniesionym głosem, by wszyscy go usłyszeli. – Przekonasz się, że zachowaliśmy niektóre zwyczaje z wyspy. Część z nich traktujemy poważnie, ale większość to po prostu dobra zabawa.

– W sprawie tego małego incydentu wszystko załatwiono – dodał Rohn Toro. – Nie musisz się już tym martwić.

– Słyszałam, że dużo pomagasz Hianom, w przeciwieństwie do ich synów, którzy są zbyt zajęci, żeby odwiedzić rodziców. – Dauk Sana cmoknęła na znak dezaprobaty, po czym poklepała go po ramieniu. – Jadłeś coś? Bezwzględnie musisz spróbować zupy makaronowej pani Joek.

Anden i Cory wrócili do stolika Toda i Dereka. Potem wszyscy kolejno chodzili na górę po jedzenie i napoje. Mokre ubranie przybysza z Kekonu szybko wyschło. W piwnicy było ciepło, a w miarę jak zbierało się coraz więcej ludzi, zrobiło się też nieprzyjemnie duszno. Najwyraźniej nikomu to jednak nie przeszkadzało. Główną atrakcją były walki kogutów, lecz ludzie grali też w karty, pili i rozmawiali. Anden słyszał, że przy kilku sąsiednich stolikach intensywnie dyskutowano o ingerencji Espenii w oortokańską wojnę. Dwie młode kobiety podkradły się do ich stolika, spoglądając chytrze.

– Hej, Cory – rzuciła jedna z nich z nadąsaną miną. – Czemu już cię tu nie oglądamy?

– Ech, Tami, przecież mnie widzisz.

Cory klepnął ją w tyłek i posadził sobie na kolanach. Pisnęła, udając oburzenie, po czym zarzuciła mu ramiona na szyję.

Anden odwrócił z zażenowaniem wzrok. Siorbnął głośno, przełykając kolejną porcję gorącej zupy makaronowej. Pochwały Dauk Sany były w pełni uzasadnione.

– Nie miałem pojęcia, że to miejsce istnieje. Czy zawsze tak tu jest? – zapytał Toda.

– Nie. Tylko w niektóre wieczory. – Tod zerknął na Cory’ego, chcąc żeby to on wszystko wyjaśnił, ale syn filaru był zajęty innymi sprawami, więc chłopak znowu spojrzał na Andena. – W innych chwilach jest tu sala gimnastyczna.

Anden rozejrzał się i zauważył niebieskie materace gimnastyczne zwinięte pod jedną ze ścian, sterty drewnianych klocków i zamknięte skrzynie ze sprzętem.

– Ćwiczą tu zielone kości – zorientował się.

W sali nagle zapadła cisza. Dziewczyna zeskoczyła z niechęcią z kolan Cory'ego i pośpiesznie wróciła do swego stolika razem z towarzyszką. Grupka nieuważnych nastolatków w jednym kącie nie przestawała gadać, ale siedzący w pobliżu dorośli uciszyli ich stanowczo. Anden odwrócił się na stołku i zauważył, że ostatnia walka kogutów się skończyła. Nad niebieskimi linami przeszli dwaj mężczyźni. Obaj zdjęli buty, a następnie koszule i wręczyli je towarzyszom stojącym po drugiej stronie kordonu. Na koniec spojrzeli na siebie.

Rozległ się głośny zgrzyt przesuwanego stołka. Dauk Losun odsunął się od stołu. Na pierwszy rzut oka filar niczym się nie różnił od pozostałych obecnych. Nie siedział na lepszym miejscu niż on; miał na sobie czerwony bezrękawnik i ocierał usta papierową serwetką. Mimo to, gdy wstał i odchrząknął, wszyscy w sali umilkli.

– Orim Rudocun, Yoro Janshigon oferował ci czystą klingę. Czy się zgadzasz?

– Tak – odpowiedział jeden z mężczyzn, nieco masywniejszy od drugiego.

Żaden z nich nie miał broni. Obaj dotknęli czoł splecionymi dłońmi, ale nie wyrecytowali żadnych modlitw do bogów.

Wyzywający, Yoro, rzucił się na przeciwnika z głośnym wrzaskiem. Walka skończyła się szybko. Yoro uderzył barkiem w pierś Orima. Obaj wpadli na niebieskie liny, przewracając kordon, i Yoro pociągnął rywala w dół, łapiąc go za szyję. Obaj przetaczali się na podłodze przez jakąś minutę. Orim machnął gwałtownie ręką, trafiając Yora w twarz, ale nieco drobniejszy mężczyzna w końcu znalazł się na wierzchu, zacisnął ręce na szyi przeciwnika i potrząsnął nim z warknięciem. Tył głowy Orima uderzył o beton tak głośno, że wszyscy w sali się wzdrygnęli. Yoro zamknął skrzyżowane przedramiona na szyi rywala i zaczął je zaciskać ze wszystkich sił. Orim prychał, wierzgał i drapał ramiona przeciwnika. Nikt w sali nie ruszał się z miejsca. Rozległo się kilka zaniepokojonych szeptów.

Mijały sekundy. Twarz Orima zrobiła się fioletowa. Dauk Losunin znowu wstał.

– Panie Orim, poddajesz się? – zapytał stanowczym, zaniepokojonym głosem. – Jeśli tak, proszę unieść ręce nad głowę.

Przez chwilę Anden odnosił wrażenie, że Orim odmówi i pozwoli, by przeciwnik go udusił. Potem jednak mężczyzna z niechęcią uniósł ręce w geście kapitulacji. Yoro splunął pogardliwie, a potem go puścił, wstał



i poszedł po swoją koszulę i buty. Unosił dłoń do ust, starając się zatrzymać krwawienie. Orim leżał na podłodze i dyszał ciężko. Dwaj znajomi posadzili go, ujęli po pachy i pomogli opuścić salę.

Ktoś ponownie ustawił otaczający arenę kordon. Filar usiadł. Anden spojrzał na niego ukradkiem. Daukowi wyraźnie ulżyło. Pochylił się w stronę Rohn Tora i coś mu powiedział. Ludzie wrócili na miejsca i w sali znowu rozległy się rozmowy.

– Potrafisz uwierzyć, że Orim i Yoro byli kiedyś dobrymi przyjaciółmi?  
– zapytał Derek.

– Współpraca w interesach im się nie ułożyła – wyjaśnił Cory w odpowiedzi na pytające spojrzenie Andena. – Orim utrzymuje, że Yoro oszukał go na dziesięć tysięcy thalirów, natomiast Yoro twierdzi, że wykonał całą robotę, ale Orim kombinował z jego dziewczyną za jego plecami. – Rozwinął kwaśny cukierek i włożył go sobie do ust. Zaproponował drugiego Andenowi, ale ten pokręcił głową. Nie potrafił zrozumieć, jak ktokolwiek może lubić takie świństwo. – Tata martwił się, że pojedynek może zakończyć się śmiercią – dodał Cory nieco ciszej. – To nie zdarza się często, tylko gdy sprawa jest naprawdę poważna. Całe szczęście, że Orim się poddał. Nikt nie chce, żeby weszła tu policja.

Anden był oszołomiony tym, co zobaczył. Nie chodziło o sam pojedynek, pomimo dziwnych różnic w jego przebiegu. Powodem było wszystko, czego się dowiedział o espenńskich prawach po walce z Carsonem Sunterem w parku.

– Myślałem, że pojedynki są nielegalne – odezwał się.

– Ziom, w Espenii wszystko jest nielegalne – odparł ze śmiechem Derek. – Nawet walki kogutów.

Cory uspokajająco poklepał Andena po ramieniu. To go zaskoczyło. Poczł napływające do twarzy ciepło.

– Nie. Po prostu prawo jest skomplikowane. A z reguły także negocjowalne.

– Słowa prawdy z ust przyszłego prawnika – odparł Derek.

– Shun Todorho! – dobiegł ich krzyk ze środka sali. W miejscu, gdzie przed chwilą odbył się pojedynek, stał teraz młody mężczyzna. – Tod, gdzie jesteś? – Wskazał na stolik, przy którym siedział Anden, i skrzyżował ręce na piersi w pozie imitującej obrazę. – Niektórzy mówią, że twoje Odbijanie jest lepsze niż moja Lekkość. Chcesz poddać próbie prawdziwość tej bzdury?

Gapie wyrazili uznanie głośnym tupaniem. Cory mocno klepnął Toda w plecy, by go zachęcić.

– Wypił dopiero dwie kolejki, Sammy! – zawołał do młodzieńca, który rzucił wyzwanie. – Czy nie wolisz zaczekać?

Shun Todo uniósł kieliszek i dramatycznym gestem wypił resztę trunku. Następnie postawił naczynie na blacie i wstał, unosząc ręce, by zademonstrować, że zgadza się na żądania tłumu.

– Etto Samishun – warknął. – W odpowiedzi na twoją arogancję oferuję ci... skopanie tyłka.

Znowu rozległo się tupanie i okrzyki uznania. Tod przeszedł nad niebieskimi linami. W przeciwieństwie do śmiertelnej powagi poprzedniego pojedynku w sali uraz panował radosny nastrój. Wszyscy wiedzieli, że to starcie zakończy się bez szkody. Kekończycy bardzo lubili tego typu konfrontacje.

Człowiek, który rzucił wyzwanie, Sammy, przykucnął w pozie przesadnej gotowości. Tod uśmiechnął się półgębkiem, spojrzął na gapiów i przesunął się wzdłuż kordonu, unosząc ręce nad głowę, by zachęcić ich do dalszego aplauzu. Zareagowali z entuzjazmem tak wielkim, że Anden przypomniał sobie, jak wyglądają imprezy sportowe w jego ojczyźnie. Nie mógł się powstrzymać przed myślą, że podobne demonstracje uczuć są wulgarne i niekekońskie.

Tod odwrócił się błyskawicznie i cisnął w Sammy'ego włócznią Odbijania. Przeciwnik wykorzystał Lekkość i odskoczył w bok z drwiącym okrzykiem. Odbijanie uderzyło w niektórych z blisko stojących ludzi, którzy mocno ściskali kieliszki, trzymając się stołów i krzeseł. Jeden talerz z jedzeniem wzbił się w powietrze. Tod szybko uwolnił dwa kolejne odbicia i Sammy'emu trudno było się przed nimi uchylić. Przeskoczył nad głową Toda i wylądował za nim.

Cory zakrzyknął radośnie.

– Masz go, Tod! – zawołał.

Ich przyjaciel odwrócił się błyskawicznie, zamarkował wysoki atak, po czym uderzył niskim, szerokim odbiciem, które uderzyło skaczącego rywala w kolana i strąciło na podłogę. Sammy przetoczył się i uniósł ręce. Uśmiechał się szeroko, kuląc się w pozie symulowanego strachu. Tod udał, że skacze na przeciwnika, by go wykończyć. Widzowie zakrzyknęli głośno.

Dwaj przeciwnicy wymienili klepnięcia w ramiona, po czym przeszli nad linami i wrócili do swoich stolików przy akompaniamencie głośnego aplauzu.

- To było super – rzekł Derek, gdy Tod wrócił do nich.
- Naprawdę super, ziom – dodał Cory.

Anden skinął głową, choć, szczerze mówiąc, pojedynek zbytnio mu nie zaimponował. Styl, w jakim Tod i Sammy demonstrowali jadeitowe umiejętności, różnił się od kekońskiego i niekiedy wydawał się nieskuteczny. Odbijanie Toda miało precyzję, ale bardzo niewiele mocy, natomiast Lekkość Sammy’ego dawała zwinność, ale brakowało jej szybkości, która mogłaby dodać Siły. Zważywszy wszystko razem, takiego pokazu można było oczekiwać od piątoroczniaków w Akademii.

Anden skarcił się za te pozbawione wyrozumiałości myśli. Tutejsze zielone kości nie przechodziły pełnego szkolenia w jadeitowych dyscyplinach. Nosiły niewiele klejnotów i cały czas musiały je ukrywać. Szkoliły się w tajemnicy, w dusznych piwnicach ośrodka kultury, a nie w wielkim kampusie szkoły takiej jak Akademia. Zieleń mogła dać im dumę i wysoki status tylko tutaj, wśród Kekończyków, w wieczory takie jak ten.

Na Andenie sala uraz od początku wywierała dziwne, nieco przytłaczające wrażenie. Dopiero teraz uświadomił sobie dlaczego. To miejsce było esencją kekońskiej kultury – potrawy i hoji, walki kogutów i hazard, towarzyskie spotkania, tradycja pojedynków czystej klingi, celebrowanie jadeitowych umiejętności – wszystko to połączyło się tego samego wieczoru pod jednym dachem. To właśnie było źródłem owego dziwnego wrażenia. Sala uraz była bardzo kekońska, a jednocześnie nie była kekońska nawet w najmniejszym stopniu.

Znowu pojawiły się posiłki i napoje. Wznowiono rozmowy. Zaczęła się kolejna walka kogutów. Za namową przyjaciół dwie kolejne zielone kości rzuciły sobie wyzwanie do pojedynku między Siłą a Stalą. Po pewnym czasie Tod, który musiał jutro iść do pracy (był zastępcą kierownika w sklepie ze sprzętem elektronicznym), wstał, by udać się do domu. Anden, zaniepokojony, że Hianowie będą się martwić, że tak długo nie wraca, odstawił kieliszek, by dołączyć do Toda.

– Jest cholernie ciemno i zimno – ostrzegł Cory. – Spytam tatę, czy ma zamiar niedługo wracać. Może zgodzi się nas podwieźć.

Anden nie chciał zawracać głowy Dauk Losunowi, ale Cory nie miał oporów przed zwróceniem się do ojca, który odpowiedział: „Nie ma sprawy. Nie muszę już dłużej tu siedzieć”.

Nim zdążyli odejść, pani Joek od zupy makaronowej zbiegła po schodach na dół i popędziła do stolika filaru.

– Dauk-jenowie, przyszło dwóch policjantów! – zawołała.

W zatłoczonej piwnicy natychmiast wszyscy usłyszeli jej słowa. Rozmowy błyskawicznie ucichły. Zaniepokojeni ludzie patrzyli w stronę stolika filaru. Ku zaskoczeniu Andena to Dauk Sana wstała od stolika i poszła na górę. Mąż nie podążył za nią.

– Zostańcie na miejscach i bawcie się dobrze – polecił głosem spokojnym, lecz wystarczająco donośnym, by każdy go usłyszał. – Nie obawiajcie się. Wracaj z kolegami na miejsce – dodał, zwracając się do syna.

Anden usiadł przy stoliku. W sali czuło się niepokój. Słyszało się ściśnione szepty. Rohn Toro wstał z miejsca i zajął pozycję w kącie, blisko drzwi. Wyjął z kieszeni koszuli czarne rękawiczki i włożył je, po czym oparł się o ścianę, krzyżując ręce na piersi.

Dauk Sana wróciła po kilku minutach.

– Oczywiście mamy licencję na jedzenie i alkohol – mówiła głośno po hiszpańsku z wyraźnym akcentem. – Mogę je panom pokazać.

Wreszcie dotarła na dół. Szło za nią dwóch gliniarzy z Port Massy. Tupali donośnie, a na rondach czarnych czapek i na ramionach mundurów mieli lód.

– To nie jest restauracja ani bar – kontynuowała Sana. Jeszcze przed minutą była spokojna, ale teraz sprawiała wrażenie skrajnie podenerwowanej. Załamywała ręce. – To tylko przyjęcie. Przyjęcie urodzinowe.

Policjanci rozejrzeli się po Sali.

– Przyjęcie, tak? – zapytał starszy. – A z jakiej okazji? Co tu urządzacie, keczki? Walki? Handel jadeitem?

– Z pewnością nie – odparła kobieta z miną sugerującą przerażenie i urazę. – Chyba oglądacie za dużo filmów. Myślicie, że jeśli jesteśmy Kekończykami, wszyscy nosimy jadeit jak gangsterzy? – Wskazała stoliki, przy których siedziało mnóstwo ludzi. Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy. – Nie możemy nawet się spotkać, żeby jeść, pić i dobrze się bawić we własnym towarzystwie w taką noc jak ta, żeby nie wzbudzić podejrzeń?

Młodszy z dwóch policjantów miał lekko zawstydzoną minę, ale starszy wyszedł na środek sali i prychnął pogardliwie na widok plam krwi i piór na podłodze. Uniósł koc zarzucony na jedną z ław i przyjrzał się zamkniętym w klatkach ptakom, po czym wyprostował się z zadowoloną miną.

– Urządzanie walk kogutów to przestępstwo, droga pani. Mandat wynosi dwa tysiące thalirów. Moglibyśmy zamknąć cały ten budynek.

Sana wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Błagam, panowie – zaczęła. – Zapłacimy karę. Nie mamy dużo pieniędzy, ale rozumiemy konsekwencję naruszania prawa. Wszyscy płacimy.

Jak na sygnał jeden z mężczyzn siedzących przy najbliższym stoliku zdjął kapelusz i zaczął krążyć po sali. Wyciągnięto portfele, by wziąć udział w spontanicznej składce. Sana sprawiała wrażenie, że jest na skraju łez. Miętosila w dłoniach koniec chustki.

– Musimy od czasu do czasu urządzać tu walki kogutów, żeby zadowolić ludzi, zwłaszcza starszych – tłumaczyła gliniarzom. – No wiecie, w starym kraju to jest legalne. Przywieźli ze sobą tresowane koguty i nie mogę ciągle im odmawiać. Proszę, nie odbierajcie nam licencji za taki drobiazg. –

Obrzuciła policjantów błagalnym spojrzeniem. – Ośrodek jest sercem naszej społeczności. Służy wszystkim. Na górze mamy kaplicę, bibliotekę i dzienną opiekę nad dziećmi. Są ludzie, czasami bardzo młodzi albo bardzo starzy, którzy przychodzą tu na posiłki albo dla towarzystwa, którego nie mogą znaleźć gdzie indziej. I tak, czasami urządzamy na dole przyjęcia, ale nie dzieje się tu nic złego poza pić alkoholu i niekiedy walkami kogutów.

Dziewczynka w wieku około dziesięciu lat podbiegła do Sany z kapeluszem wypełnionym pieniędzmi. Sana podziękowała jej, wzięła kapelusz i policzyła pieniądze na najbliższym stoliku.

– Jest tu dwa tysiące czterysta pięćdziesiąt thalirów – oznajmiła. – Więcej, niż potrzeba, ale zapłacimy dodatkowo. Najważniejsze, żebyście nie zamykali ośrodka. – Wsunęła pieniądze w ręce starszego policjanta i uśmiechnęła się do młodszego. – Proszę, panowie. Wiemy, że macie bardzo ciężką pracę.

Policjanci rozejrzeli się, przyglądając się ostrożnym, lecz pełnym nadziei Kekończykom. Przesunęli wzrokiem po stoliku Dauk Losunyina, nie okazując większego zainteresowania. Filar, podobnie jak wszyscy, słuchał tego, co się dzieje, ale oklapł i spletał wielkie dłonie przed sobą, nie przyciągając uwagi. Rohn Toro nie ruszył się ze swojego miejsca pod ścianą.

– Tym razem skończy się na ostrzeżeniu – oznajmił starszy gliniarz, jakby rozważył ten problem i podjął decyzję z wielkimi oporami. Z demonstracyjnym namysłem chował pieniądze do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Sana rozluźniła się wyraźnie.

– Dziękuję. Jesteście bardzo wyrozumiali – wyszeptała z ulgą.

– Lepiej od tej chwili przestrzegajcie prawa, keczki – ostrzegł starszy gliniarz. – Posiadanie jadeitu jest nielegalne. Wszyscy powinniście już o tym wiedzieć. Jeśli złapiemy was na noszeniu albo sprzedawaniu go, pójdziecie siedzieć.

Sana pokiwała energicznie głową.

– Jadeit nas też niepokoi – zapewniła, po czym ruszyła naprzód, by poprowadzić policjantów ku schodom. – W tej części miasta paczki są bardzo aktywne, a krążą pogłoski, że ostatnio próbują zdobyć jadeit. Wszyscy Kekończycy wiedzą, że tak niebezpiecznej substancji nie powinni nosić zwyczajni ludzie. A już z pewnością nie przestępcy. Dlatego potrzebujemy policji. – Spojrzała na młodszego gliniarza. – Lubi pan kekońską kuchnię? Może zjadłby pan trochę zupy makaronowej, zanim znowu wyjdzie pan w zimno?

Ich głosy umilkły na schodach. Napięcie w Sali opadło powoli. Ludzie się uspokoili i gdy tylko stało się oczywiste, że policjanci sobie poszli, wrócili do zwyczajnych rozmów. Rohn Toro czekał jeszcze około minuty, po czym znowu usiadł na swoim miejscu.

Dauk Losun podszedł do ich stolika. Znowu uśmiechał się miło.

– Nie zapomną o nas. To zdarza się co parę miesięcy i zawsze wygląda tak samo. – Uśmiechnął się szerzej i poklepał Andena po barku. – Nie martw się. W Port Massy policja jest jak jedna z paczek. Żąda pieniędzy, a w zamian daje bardzo niewiele.

Chłopak pokiwał głową, choć właściwie tego nie rozumiał. W Janloonie nigdy nie przyszłoby mu na myśl, że mógłby się bać miejskiej policji. Kiedy jego kuzyn Hilo był rogiem, często spotykał się z policjantami i mówił im, gdzie znajdują drobnych przestępców, które gangi uliczne wywołują kłopoty czy gdzie powinni robić obławy na handlarzy narkotyków. Dlatego Anden zawsze uważał policjantów za urzędników państwowych, użytecznych dla klanów, a nie będących dla nich przeszkodą. Najwyraźniej w Espenii obowiązywało mnóstwo uznaniowych praw i zasad, przed którymi nawet filar Południowej Pułapki musiał mieć się na baczności.

– Powinienem zostać tu chwilę dłużej, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku. – Wyciągnął z kieszeni bezrękawnika kluczyki i wręczył je synowi. – Ale jest już późno i nie chcę, żeby Hianowie niepokoiли się o Andena. Odwieź kolegów do domu, a potem wróć po mnie.

\* \* \*

Samochód filaru okazał się zielonym kombi zaparkowanym na zapleczu. Cory zapalił silnik i włączył ogrzewanie, a Anden i Tod zdrapali lód z przedniej oraz tylnej szyby. Wewnątrz pojazdu ich oddechy zamieniały się w parę. Cory wyjechał na ulicę i odwiózł do domu najpierw Dereka, a po nim Toda. Rzadko używane wycieraczki zgrzytały o szybę, a blask reflektorów padał na mokry chodnik, gdy samochód zmierzał do domu Hianów na drugim końcu Południowej Pułapki.

Cory zaparkował na rogu ulicy, w odległości przecznicy od niego. Wyłączył silnik i zwrócił się w stronę Andena. W jego oczach odbijało się światło latarni, ale ze skrytej w mroku twarzy nie sposób było nic wyczytać.

– Zastanawiałeś się, gdzie schowałem swój jadeit, prawda?

Anden poczuł wypełniające mu szyję ciepło. W odpowiedzi zmusił się do spojrzenia w oczy drugiemu chłopakowi. Cory rozpiął kurtkę, wysunął się z niej, odwrócił się w stronę Andena i uniósł koszulę. Jego nagi tors lśnił w blasku latarni. Przybysz z Kekonu przełknął ślinę i przesunął wzrok w dół po piersi Cory’ego, docierając do trzech jadeitów wpiętych w jego pępek.

Próbował oderwać od nich wzrok, ale nie był w stanie. Jego spojrzenie powędrowało dalej w dół, wzdłuż linii ciemnych włosów znikającej pod paskiem. Od zimna na brzuchu chłopaka pojawiła się gęsia skórka. Anden pomyślał, że być może powinien jakoś to skomentować, że być może Cory tego oczekuje, ale bał się otworzyć usta, żeby nie powiedzieć czegoś niewłaściwego.

Cory również się nie odzywał. Złapał drugiego chłopaka za nadgarstek i przyciągnął jego dłoń ku sobie, aż wreszcie chłodne palce Andena dotknęły jego skóry. Anden otworzył dłoń i położył ją na brzuchu tamtego, wyczuwając jego walący puls. Nagle usłyszał swój głośny, urywany oddech, wypełniający ciasne wnętrze samochodu.

W spojrzeniu Cory’ego pojawił się głód. Przesunął dłonią Andena po swym nagim brzuchu, jakby prowadził niewidomego czytelnika wzdłuż linijek napisanych alfabetem Braille’a. Gdy jego palce dotknęły twardych, gładkich klejnotów, Andena wypełniło zachwycające i przyprawiające o lekkie mdłości wrażenie. Coś w rodzaju słodczy przejrzałego owocu wypełniło jego gardło i zapadło we wnętrzości. Jadeitowa aura Cory’ego wypełniła go swym pulsowaniem, gorąca od pożądania niczym czarna skała

nagrzana w promieniach słońca. Anden pragnął wcisnąć się w nią, pochwy-  
cić ją chciwie, pozwolić, by otoczyła go ze wszystkich stron. W pamięci  
jego ciała zachowało się wspomnienie jadeitowej energii, podobnie jak  
alkoholik pamięta ostatni czas, kiedy się upił, z jękliwą, pełną desperacji  
tęsknotą mieszającą się z głęboką odrazą. Pragnął zatopić się w tym wraże-  
niu, a jednocześnie chciał się natychmiast wycofać. Oba te impulsy się zde-  
rzyły. Anden zamarł, ramię mu drżało. Spojrzał Cory'emu w oczy i zauwa-  
żył, że niepewność we wzroku przyjaciela przeszła w zrozumienie. Młody  
mężczyzna delikatnie puścił jego nadgarstek, opuścił koszulę i otulił się  
kurtką.

Anden cofnął rękę Jego twarz płonęła z żalu i wstydu.

– Przepraszam – wymamrotał.

– Nosileś kiedyś jadeit – stwierdził Cory. – Przeszedłeś szkolenie zielo-  
nej kości w jednej ze szkół w Janloonie, prawda?

To było stwierdzenie faktu, lecz pod nim kryło się jeszcze pytanie.

Anden przez pewien czas nie odpowiadał.

– Nie musisz mi o tym opowiadać, ziom.

Przybysz z Kekonu wcisnął pięści do kieszeni wełnianej kurtki. Jego  
oddech zmieniał się w parę we wnętrzu samochodu. Nagle dopadła go klau-  
strofobia. Zaczął mówić, nie patrząc na towarzysza.

– Kiedy byłem na ostatnim roku w Akademii, moja rodzina toczyła  
wojnę z innym klanem. Jednego z moich kuzynów, filar... zamordowano. –

Nie wspominał o Lanie od z górą roku. – Choć jeszcze nie ukończyłem  
Akademii, chciałem zrobić, co tylko w mojej mocy, żeby go pomścić  
i wygrać wojnę. Dlatego... zabiłem człowieka. Kogoś ważnego. Właściwie  
to kilku ludzi.

Słowa wychodzące z jego ust wydawały się niejasne i pozbawione zna-  
czenia. Nie potrafił sobie wyobrazić, by ktokolwiek, kto je usłyszał, mógł  
się nimi przejąć. Z pewnością nie ktoś taki jak Cory Dauk, dla którego cała  
ta sytuacja była bardzo odległa.

Cory skinął z namysłem głową.

– Nie chcesz być zabójcą.

Anden uniósł wzrok, nieco zaskoczony. Nie o to chodziło. Czasami  
trzeba było odebrać komuś życie. Wszyscy w jego rodzinie to robili, gdy  
zaistniała taka konieczność. Zastanawiał się, jak mógłby wytłumaczyć to  
lepiej, wyjaśnić sedno sprawy, wyjaśnić, jak głęboko to na niego wpłynęło,  
jak bardzo tragiczna, ekscytująca i bolesna była ta chwila.



– Nie chcę, żeby sprawiało mi to przyjemność.

Cory przyglądał się mu przez dłuższą chwilę. Potarł dłonie, a potem przesunął się na siedzeniu i nagle znalazł się zaledwie kilkanaście centymetrów od Andena. Jego oczy miały teraz spokojniejszy, lecz równie zaciekawiony wyraz.

– Jesteś najbardziej interesującą osobą, jaką spotkałem od dłuższego czasu, wyspiarzu.

Pochylił się i pocałował Andena w usta.

Wargi Cory’ego były chłodne, ale język ciepły. Przesunął nim wzdłuż dolnych zębów Andena, tak szybko, że chłopakowi trudno było uwierzyć, że to się wydarzyło naprawdę. Gdy Cory się odsunął, Anden zareagował niemal bez zastanowienia. Wyciągnął rękę i złapał go za połe kurtki.

Drugi pocałunek trwał wystarczająco długo, by Anden poczuł, że krew napływa mu do głowy. Gorące oddechy obu młodzieńców mieszały się, pokrywając szyby parą, ciepło jadeitowej aury Cory’ego wnikało pod skórę młodszego chłopaka.

– My... myślałem, że lubisz dziewczyny – zdołał wykrztusić Anden, gdy odsunęli się od siebie.

Cory parsknął śmiechem.

– Lubię. – Znowu pochylił się bliżej, wydymając nieco usta. – I ciebie też lubię, ziom. Jesteś paradoksem. Wyglądasz, jakbyś wyszedł prosto z reklamy, ale jesteś tak bardzo... kekoński. To na swój sposób seksowne. – Cory zmarszczył nos, jego twarz przybrała lekko prowokacyjny wyraz. Przesunął dłoń w górę nogi Andena. – Nie jesteś taki jak inni kespekowie.

– Kespekowie?

– Kespeńczycy. No wiesz, Kekońscy Espeńczycy.

Cory zaczął pocierać dłonią krocze młodszego chłopaka. Anden siedział zupełnie nieruchomo, nie śmiał nawet drgnąć. Wydawało mu się, że całe ciepło w jego ciele odpływa do pachwiny. Cory rozpiął guzik jego spodni i wsadził dłoń do środka. Zimne palce znalazły drogę do włosów łonowych, zaczęły dotykać i otaczać twardego członka.

Z ust Andena wyrwał się nieartykułowany dźwięk. W jego umyśle narastały ekscytacja i przerażenie.

– Zaczekaj, ja... – wydyszał, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej. Cory jednym szybkim ruchem rozpiął mu rozporek, a następnie pochylił twarz ku jego kroczu. Anden nadal nie był w stanie uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

Wydawało się niestosowne, by pozwolił Cory'emu to zrobić. W końcu był on synem miejscowego filaru, wobec którego Anden miał dług. Z drugiej strony próby powstrzymania go też nie byłyby odpowiednie. Nagle poczuł jego usta – cudowne ciepło sprawiające, że oczy niemalże wyszły mu z orbit – i nie mógł już myśleć jasno o niczym.

Wszystko skończyło się za szybko. Anden uważał, że to jego wina. Chciałby, żeby potrwało dłużej, ale poczuł ulgę, choć również rozczarowanie. Miał wrażenie, że to była jedna z najbardziej zasługujących na zapamiętanie chwil w jego dotychczasowym życiu, ale samo spełnienie nie było czymś szczególnym. Cały ten ukradkowy, nieoczekiwany incydent wydawał się ekscytujący, lecz zarazem przyprawiał go o zażenowanie. Cory odsunął się i otarł usta grzbietem dłoni. Anden zadrżał z szoku, czując dotyk zimnego powietrza na swym nagim, wilgotnym kroczu. Zapiął się szybko. Nadal czuł się zagubiony. Miał wrażenie, że całkowicie utracił kontrolę nad sytuacją.

– Nigdy dotąd nie byłeś z facetem, prawda? – zapytał Cory.

Anden potrząsnął głową, nie patrząc mu w oczy. Miał już dwadzieścia lat, ale nigdy jeszcze nie przeżył intymnego zbliżenia. Trzy lata temu, podczas Święta Łodzi, poszedł do baru z kilkoma uczniami Akademii i wszyscy się upili. Jedna z uczennic całowała się z nim wtedy przez długą, przesyconą zapachem alkoholu chwilę, wsuwając mu język do ust. To jednak się nie liczyło.

Cory pochylił się i dotknął delikatnie wargami kącika ust młodszego chłopaka w dziwnie czuły i niewinny sposób.

– W porządku. Zatem zrobimy to powoli.

Młodszy chłopak miał ochotę wybuchnąć głośnym, nieco histerycznym śmiechem. Jego zdaniem w tym, co się wydarzyło, z pewnością nie było nic powolnego. Szyby samochodu zaszły mgłą. Z nieba zaczęły spadać wielkie płatki białego śniegu. W pobliskim domu Hianów ciągle paliły się światła. Chłopak wyobraził sobie panią Hian, nadal siedzącą przy stole w kuchni, choć o tej porze zwykle już kładła się spać, i czekającą na niego, by się upewnić, że bezpiecznie wrócił do domu podczas śnieżycy.

– Muszę już iść – odezwał się. Przyszło mu na myśl, że powinien powiedzieć coś innego, ale nie miał pojęcia co.

– Do zobaczenia, wyspiarzu – odpowiedział Cory z lekkim uśmiechem.

Anden wysiadł z samochodu, otulił się płaszczem i ruszył przed siebie. Włączyły się przednie światła samochodu. Ich blask padł na jego plecy. Na

mokrym chodniku pojawił się cień chłopaka. Gdy dotarł do budynku, który po ośmiu miesiącach wreszcie zaczął uważać za dom, usłyszał, że Cory ruszył naprzód. Potem przejechał obok, tryskając na boki topniejącym śniegiem. Po chwili tylne światła pojazdu zniknęły za zakrętem.

# ROZDZIAŁ 23

## POSZUKIWACZE OKRUCHÓW

Bero stał na luźnej ziemi przy samym szczycie hałdy.

Poniżej, na stoku, poszukiwacze jadeitu roili się niczym mrówki. Każdy był punkcikiem pełzającym po zboczu z czarnego gruzu. Pracowali w ciemności, pomagając sobie maksymalnie przygaszonymi czołówkami. Musieli się śpieszyć, ale zbyt wiele światła i hałasu mogłoby zdradzić całą grupę. Z każdą minutą wzrastało ryzyko, że nakryje ich patrol, ale poszukiwanie okruchów jadeitu było żmudnym, wymagającym cierpliwości zadaniem. Obracali każdy kamień, wydłubując go ze zbocza. Obmacywali je i przyglądali się im uważnie, pocierając je o obrąbki pokrytych grubą warstwą brudu koszul, a potem unosili ku światłu, wypatrując delikatnego błysku, sugerującego, że wewnątrz z pozoru zwykłego kamienia ukrywa się drogocenna zieleń.

Jedna z lamp czołowych zamrugała dwa razy. Bero zeskoczył na dół, pomagając sobie Lekkością. Władał nią coraz lepiej, nauczył się przywoływać ją niezawodnie i lepiej kontrolował wysokość oraz szybkość. Słyszał, że Lekkość i Siła to najłatwiejsze dyscypliny dla nowicjuszy, ponieważ łączą się z fizycznymi czynnościami, które wszyscy znają. Nie udało mu się dotąd niczego Odbić, chyba że przypadkiem, a gdy razem z Mudtem osaczyli bezpańskiego psa i próbowali zabić go Przenoszeniem, zaatakował ich i ugryzł Bera w nogę. Nadal miał tam bliznę.

Wychudzony Uwiwanin – wszyscy poszukiwacze byli wychudzonymi Uwiwanami i Berowi trudno było ich odróżnić – unosił kamień wielkości małej brzoskwini.

– Jadeit, dobry jadeit – oznajmił.

Zapewne były to jedyne dwa słowa, które znał po kekońsku. Nie potrzebował ich więcej. Dla emfazy dotknął kamieniem policzka. Jadeit był tylko wzmacniaczem i nie miał własnej wykrywalnej energii. Dlatego zbieracze

zawsze przyciskali kamienie do skóry – mniejsze wkładali do ust, jeśli mogli – by poczuć wypełniające ciało mrowienie, przypływ energii, zaostrenie zmysłów. To nie był bezbłędny wskaźnik, bo klejnoty często kryły się pod warstwami gęstej skały, a pragnienie ich odnalezienia było tak silne, że poszukiwacze często ulegali podszeptom wyobraźni. Co więcej, wszyscy byli naćpani błyskiem i ich postrzeganie jadeitu było zakłócone. Bez narkotyku groziłaby im śwędziawka, gdyby wykonywali tę pracę zbyt długo.

Bero wziął kamień. Był brązowy, brudny i wyglądał zupełnie zwyczajnie. Grubym, białym mazakiem napisał na powierzchni 1124 – numer poszukiwacza, wypisany na jego czołowie i na laminowanej karcie zawieszanej na smyczy na szyi. Jeśli się okaże, że w środku rzeczywiście jest jadeit, zanotuje się to w księdze i poszukiwacz otrzyma w miarę hojną nagrodę. Szansa, że tak się stanie, wynosiła mniej więcej jeden na dwadzieścia. Znacznie częściej się zdarzało, że kamień był pusty albo jadeit był niskiej jakości i miał skazy, czyniące go niezdatnym do użytku, bądź też okazywało się, że błyszczący zielony okruch był tylko nieczynnym nefrytem, nadającym się jedynie na imitację albo do dekoracji. Prawdziwy kekoński jadeit był jedną z najrzadziej spotykanych substancji na świecie i wszystkie naprawdę wartościowe znaleziska zagarniał KSJ. To były tylko odrzuty.

Ale i one miały wysoką wartość. Wystarczająco wysoką, by opłacało się przewozić łodziami żyjących w nędzy Uwiwan na kekoński brzeg, a następnie transportować ich ciężarówkami do porośniętych najgęstszą dżunglą obszarów górzystego interioru wyspy. A także wynajmować miejscowych nadzorców, takich jak Bero i Mudt, płacić im pieniędzmi oraz błyskiem, a jeśli wytrzymają w tej robocie więcej niż rok, również działką jadeitu. Zeszłego lata Bera i Mudta zaprowadzono do pokoju w opuszczonej siłowni, razem z paroma innymi nowymi skorpenami. Na oczach Soradiya i pozostałych nowicjuszy każdy z nich skaleczył się nożem w dolną wargę i pocałował kawałek papieru, na którym wypisano jego nazwisko. Potem kartki przytknięto do świecy i jeszcze wilgotna krew spłonęła, cementując złożoną przez nich przysięgę milczenia i wierności wobec Ti Pasuiga.

Bero udawał, że traktuje to poważnie, starannie skrywając szyderczy uśmieszek. To było tak, jakby byli dziećmi zakładającymi tajne stowarzyszenie, mimo że chodziło im wyłącznie o pieniądze i jadeit, tak samo jak

wszystkim. Nie było w tym niczego niezwykłego ani zasługującego na zachowanie w tajemnicy.

Soradiyo, *barukan* będący ich szefem, z reguły spotykał się z nimi w Domu Szczurów, by ich poinformować z trzy- albo czterodniowym wyprzedzeniem o kolejnej nocnej wyprawie, by mieli czas wyruszyć na spotkanie z ekipami nowo sprowadzonych poszukiwaczy. Czasami pogoda albo ostrzeżenie przed patrolem zielonych kości zmuszały ich do zmiany planów i akcję odwoływano albo przekładano na późniejszy termin. W tym ostatnim przypadku musieli rozbić namiot i czekać w lesie, żywiąc się suchym prowiantem, i czekać, aż warunki się zmienią i będą mogli wrócić do roboty. Ich zadanie polegało na nadzorowaniu pracy poszukiwaczy, a zwłaszcza pilnowaniu, by żaden z nich nie próbował ukraść znalezionej jadeitu. Ubogi Uwiwanin mógł spróbować ukryć okruch w kieszeni, w ustach albo w odbycie, licząc na to, że sprzeda go za sumę znacznie większą od tej, którą zapłaciłby mu Soradiyo. Noszący jadeit nadzorcy potrafili Postrzec nieusankcjonowane aury u robotników. Pierwsza próba kradzieży kończyła się ostrzeżeniem. Druga śmiercią. Bero nie musiał dotąd zabić żadnego z robotników, ale Mudt w zeszłym miesiącu był zmuszony strzelić jednemu z nich w głowę i potoczyć ciało między drzewa.

Zabrał ze sobą oznaczony kamień i wrócił na szczyt w kilku krótkich, wspomaganych Lekkością skokach. Następnie wrzucił kamień do metalowego wózka, do połowy wypełnionego podobnymi okruchami. Każdy z nich oznaczono numerem robotnika. Mudt pilnował go nocą, podobnie jak trzech wojskowych ciężarówek, brudnych od błota i przykrytych kamuflującym brezentem. Kamień wpadł z grzechotem do środka.

– Jak długo jeszcze będziemy musieli to robić? – poskarżył się Mudt, pocierając ramiona i przytupując. Zima była najlepszym okresem na poszukiwanie okruchów. Ale wysoko w górach nocie były bardzo zimne, a do tego wilgotne. – To paskudne zajęcie, keke. Moglibyśmy teraz siedzieć w mieście i ćwiczyć. I byłoby nam ciepło, niech to szlag.

– I pracowalibyśmy za chujowe pensje na stacji benzynowej albo w sklepie z butami? Narzekasz, bo jest ci zimno, ale dobrze nam płacą, keke. A jeśli wytrzymamy jeszcze trzy miesiące, dostaniemy jadeit. – Bero skierował pożądlive spojrzenie na kamienie w wózku. – Tego nie da nam żadna inna robota.

– Mamy już jadeit – sprzeciwił się Mudt. – I nie zrobiliśmy z nim nic poza pilnowaniem tych biednych, brudnych głąbów, którzy odmrażają sobie

dupy w dżungli. Po co nam więcej zieleni?

– Po co? – zdumiał się Bero. – A jak ci się zdaje?

To było tak, jakby ktoś zapytał, po co mu więcej jedzenia, więcej pieniędzy albo więcej kobiet. Takich rzeczy nigdy nie było za wiele. Dlatego zielone kości ciągle ze sobą walczyły. Mudt czasami zadawał wyjątkowo głupie pytania.

– Powinniśmy się szkolić, żeby zaatakować klan Bez Szczytów – poskarżył się znowu, ale Bero przestał go słuchać. Miał wrażenie, że usłyszał coś w lesie. Hałda była całkowicie odsłonięta, ale ze wszystkich stron otaczało ich gęste, ciemne listowie. Spróbował sięgnąć dalej zmysłem Postrzegania. Wpatrywał się w ciemność, a serce biło mu coraz szybciej. Raptem poczuł, że noc jest pełna niebezpieczeństw.

– Nadchodzą – wyszeptał Mudt. W jego głosie nagle pojawiła się nuta strachu. Po chwili Bero również to wyczuł. Szybko zbliżające się jadeitowe aury mogły należeć tylko do zielonych kości. Nie wiedział, ilu ich jest, ani ile czasu minie, nim do nich dotrą. W jego umyśle byli jak gorejące pociski zbliżające się ku niemu w ciemności.

– Ciężarówki! – zawołał Bero. – Do ciężarówek!

Złapał wózek i pociągnął za sobą ku najbliższemu nakrytemu brezentem pojazdowi. Otworzył tylne drzwi, ale nie tracił czasu na opuszczanie metalowej rampy, tylko spróbował użyć Siły, by załadować kamienie do środka. Pojemnik ważył co najmniej sto kilogramów, chybotął się i omal nie przewrócił do góry dnem, ale Mudt pośpieszył mu z pomocą i wspólnie zdołali załadować owoce nocnej wyprawy na ciężarówkę.

Następnie Mudt wbiegł na szczyt hałdy i wystrzelił dwie race. Skwierczały głośno i produkowały boleśnie czerwony blask, przyciągając uwagę wszystkich robotników trudzących się na stokach.

– Zielone kości! – wrzeszczał towarzysz Bera. – Uciekajcie! Uciekajcie!

Spanikowani poszukiwacze zaczęli wspinać się na szczyt hałdy na czworakach. Poruszone przez nich kamienie zsuwały się z hałasem w dół zbocza. Pierwsi, którzy dotarli do szczytu, wpadli do ciężarówek niczym króliki uciekające do nory. Białka wybałuszonych oczu kontrastowały z ich ciemnymi twarzami. Gadali gorączkowo po uwiwańsku, błagając abukejskich kierowców, by ruszali jak najszybciej, podczas gdy ci, którzy nie zdążyli dotrzeć do pojazdów, krzyczeli, żeby na nich zaczekać. Bero spojrzał w dół. Ci poszukiwacze, którzy znajdowali się za daleko od ciężarówek i wiedzieli, że nie mają szans, by dotrzeć do nich na czas, pędzili w stronę

lasu, licząc na to, że rozproszą się i ukryją wśród drzew. Mieli powody do strachu. Początkowo ludzie z klanów tylko bili zbieraczy jadeitu i odsyłali ich z powrotem na Uwiwy, ale to nie wystarczyło, by ich zniechęcić. Teraz po prostu łamali karki wszystkim cudzoziemskim złodziejom. A także ich noszącym jadeit nadzorcom.

Bero popędził sprintem do najbliższej ciężarówki. Mudt wspiął się już do kabiny tej, która stała za nią.

– Ruszać, ruszać! – zawołał Bero.

W tej samej chwili dwóch poszukiwaczy skoczyło ku otwartej tylnej klapie. Jednemu się udało, ale drugi potknął się i upadł, gdy ciężarówka ruszyła, opryskując go błotem.

Bero wystawił głowę przez okno i zobaczył sześciu ludzi, którzy wyłoniли się spośród drzew. Poruszali się tak szybko, że ich ciała wydawały się zamazanymi plamami, zauważył jednak, że mają broń palną i guan dao.

Gdyby nie był tak przerażony, poczułby zachwyt na ich widok. Ta scena wyglądała jak kadr z filmu – rebelianckie zielone kości wypadające z lasu, by zaatakować szotarskich żołnierzy. Ale to nie była bitwa, tylko obława. Słysząc było strzały i odległe krzyki. Zielone kości szukały poszukiwaczy na hałdzie. Biednym skurczybykom nie można już było pomóc. Bero odwrócił się i ponownie spojrzął w przód, akurat na czas, by zauważyć trzech mężczyzn, którzy wyskoczyli z lasu i wylądowali na drodze przed nimi.

– Szybciej! Szybciej! Przejeżdż ich! – zawołał do kierowcy Bero, ale dalsze słowa uwięzły mu w gardle, kiedy zauważył, że trzy zielone kości ustawiły się w szeregu i jednocześnie rzuciły niskie, potężne Odbijanie, które rozerwało nawierzchnię wąskiej, wyboistej drogi niczym wzmocniona fala, ciskając ziemią i żwirem w szybę ciężarówki. Pojazd wpadł w poślizg. Kierowca rozpaczliwie próbował nad nim zapanować, ale ciężarówka obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni i zjechała z drogi. Przechyliła się z gwałtownym, przyprawiającym o mdłości szarpnięciem, a następnie runęła na bok do parowu pełnego kamieni i chaszczy.

Berem cisnęło o boczne drzwi. Uderzył biodrem i barkiem o metal. Usłyszał trzask. Miała nadzieję, że nie pękła żadna z jego kości. Kierowca wylądował ciężko na nim. Z tyłu pojazdu dobiegały łoskoty i krzyki uwięzionych uwiwańskich robotników. Minęło kilka przyprawiających o mdłości uderzeń serca, nim ktoś otworzył drzwi ciężarówki tak gwałtownie, że omal nie wyrwał ich z zawiasów. Kilka dłoni sięgnęło do środka i wycią-



gnęło krzyczącego kierowcę. Potem sięgnęły głębiej i zacisnęły się na nogach Bera. Ten wrzeszczał i kopał, ale bezładna, nieprecyzyjna Siła nie zdołała go uratować przed wyciągnięciem z przewróconego pojazdu, jak nadzianego na hak tuńczyka wyciąga się z wody.

Rzucono go na drogę, twarzą w dół. Spróbował się podźwignąć na kolana, w tej samej chwili, kiedy obok ciśnięto Mudta. Do gardła podeszło mu przyprawiające o niesmak wspomnienie. To wyglądało tak samo jak wtedy, gdy niespełna trzy lata temu złapali go i pobili bracia Maik. Po dziś dzień utykał po tamtym spotkaniu i miał zniekształconą twarz. Dopadło go straszliwe przeczucie, że tym razem nie wykręci się tak łatwo.

Mudt wypluł wypełniającą mu usta ziemię.

– Mamy przejebane, keke. I wszystko to twoja wina.

Beru usunął mruganiem pył z oczu. Dolna połowa przewróconej ciężarówki blokowała szosę. Dwie następne były zmuszone zatrzymać się za nią. Zielone kości wyciągały zbieraczy ze wszystkich trzech i zabijali ich z mrozącą krew w żyłach wydajnością. Po paru minutach wszystkich trzynastu już nie żyło. Bero podejrzewał, że siedmiu pozostałych leży na hałdzie za nimi. Zastanawiał się, czy nie poderwać się i nie spróbować ucieczki. Dzięki Lekkości i Sile mogłoby mu się udać, choć szanse były niewielkie. Miał zamiar i tak podjąć próbę, bo w końcu co miał do stracenia, ale któryś z zielonych kości najwyraźniej Postrzegł jego zamiary i silne ręce podniosły ich obu za karki.

– Jeśli spróbujecie czegoś głupiego, zginiecie, zaszczane barukańskie szczury.

– Nie jesteśmy *barukanami* – sprzeciwił się gniewnie Bero.

Podszedł do nich jakiś mężczyzna. Był starszy od pozostałych, a jego włosy zrzedły już na czole, tworząc zakola. Mimo to był szczupły i poruszał się sprawnie niczym wilk o posiwiałym pysku. Miał przeszywające spojrzenie i nie mrugał zbyt często.

– Zapunyo nie wysyła już wynajętych *barukanów*, żeby pilnowali jego złodziei jadeitu – wyjaśnił towarzyszowi. – Potrzebuje ich do swych operacji na Uwiwach. Miejscowych uzależnionych od błysku ćpunów ogarniętych gorączką jadeitową znacznie łatwiej można poświęcić.

– Mamy ich teraz zabić, Nau-je? – zapytał zielona kość, wzmacniając uścisk.

Róg Góry przyjrzał się dwóm klęczącym nastolatkom. W ciemności Bero nie mógł wyczytać zbyt wiele z twarzy mężczyzny, ale jego aura przy-

pominała żar bijący od świeżo wypalonych cegieł. Dociekliwe spojrzenie zatrzymało się na jadeicie wokół szyi Bera i ramion Mudta.

– To mnóstwo zieleni wysokiej jakości, jak na dwóch śmieci takich jak wy – odezwał się szorstkim, brutalnym głosem sierżanta. – Skąd go macie?

Bero był przekonany, że czeka go egzekucja, lecz mimo to uniósł głowę, dumnie i wyzywająco.

– Zdobyłem ten jadeit. Zdjąłem go z ciała Kaul Lana.

Pobliskie zielone kości zamarły na chwilę, po czym wszystkie wybuchły śmiechem, zagłuszającym warkot pracujących na luzie silników ciężarówek. Nau Suen się nie śmiał, ale pozwolił na to swoim ludziom.

– Ci nowi zieloni, jak siebie nazywają, są gorsi od *barukanów* – odezwał się jeden z pięści, kiedy śmiechy ucichły. – Każdy z nich próbuje nam wmówić, że zdobył jadeit w uczciwej walce, mimo że żaden za cholerę nie potrafi się nim posługiwać.

Nau Suen przeszył go ostrym spojrzeniem.

– Sami uzależniliśmy połowę tych żalonych łotrzyków od jadeitu i błysku, żeby wykorzystać ich przeciwko klanowi Bez Szczytów. Nic w tym dziwnego, że porzucone narzędzia Gont Ascha wpadły w ręce poszukujących okazji przestępców, takich jak Zapunyo.

Jego ludzie umilkli zawstydzeni.

Nau ponownie przeniósł spojrzenie na nastolatków.

– Nie zabijemy tych dwóch. Odeślemy ich do pracodawcy w geście dobrej woli. – Skinął dłonią, rozkazując uwolnić ich obu.

Bero zamrugnął, zbyt zdumiony, by mógł czuć ulgę.

– Słuchajcie uważnie – rzekł do nich Nau. – Powtórzcie Soradiyowi, że dopóki będę znajdował grupy jego poszukiwaczy, nie zarobi ani grosza. Zapunyo nie będzie z tego zadowolony. Wasz szef może nawet stracić robotę w najgorszy możliwy sposób. Powiedzcie mu, że Nau Suen, róg Góry, chciałby z nim porozmawiać o możliwości zmiany zatrudnienia.

– Chcesz przekupić Soradiya? – zapytał Bero, nagle zainteresowany, gdy już uwolnił się od strachu.

Mudt obrzucił go spojrzeniem mówiącym: „Zamknij się. Chcesz, żeby zmienił zdanie i jednak kazał nas wykończyć?”.

Róg przyjrzał się Berowi z uwagą i zaciekawieniem, jakby miał przed sobą jakiś nowy gatunek żaby odkryty w lesie deszczowym. Jego spojrzenie zaniepokoiło młodzieńca. Zaczął zadawać sobie pytanie, czy Mudt przypadkiem nie miał racji. Być może rzeczywiście powinien trzymać gębę na

kłódkę. Słyszał na ulicy pogłoski, że Nau Suen włada Postrzeganiem tak biegle, że potrafi czytać w myślach. To było głupie, wszyscy wiedzieli, że to niemożliwe. Mimo to spojrzenie rogu wydawało się tak przenikliwe, że po skórze chłopaka przebiegły ciarki.

– Jeśli zadasz jeszcze jedno pytanie, każę ci wyrwać język – warknął Nau. – Jesteś tylko psem, posłańcem. To wszystko, kim jesteś. – Nachylił się i wyszeptał Berowi do ucha: – Ale nie kłamiesz. Naprawdę wierzysz, że nosisz jadeit Kaul Lana. A to znaczy, że pewnego dnia pożałujesz, że cię dziś nie zabiłem.

Nau wyprostował się i odwrócił od Bera.

– Wracajmy – rozkazał. – Usuńcie stąd te ciężarówki.

Kilka zielonych kości połączyło swą Siłę, by postawić pierwszy pojazd z powrotem na drodze. Później Nau i jego ludzie wsiedli do ciężarówek, zabierając ze sobą jadeitowe łupy. Kilku zatrzymało się jeszcze, by wrzucić do parowu ciała zabitych, jedno po drugim. Potem odjechali, rozpryskując piasek na wszystkie strony. Bera i Mudta zostawili klęczących przy drodze, by poczekać na świt, a potem sami zeszli na dół.

# ROZDZIAŁ 24

## SCHEDA

Shae wracała z domu prognostyka do głównego budynku. Choć do świtu została tylko godzina, w kuchni paliły się światła. Kyan-la mieszała łyżką w garnku gotującej się na piecu owsianki. Hilo siedział za stołem, kroił nektarynkę na drobne kawałeczki i kładł je na plastikowej tacce stojącej przed Nikiem. Chłopczyk przesuwiał je apatycznie, częściej zrzucając je na podłogę, niż wkładając sobie do ust. Hilo mruknął z cierpliwym znużeniem.

Shae stanęła w wejściu do kuchni. Gdy spoglądała na Nika, nadal czuła echo szoku, jaki przeżyła przed trzema miesiącami, gdy pewnego wieczoru jej brat nagle wrócił do Janloonu, trzymając w ramionach zmęczonego dwulatka.

– Czy zawsze budzi się tak wcześnie? – zapytała.

– Prawie zawsze – potwierdził jej brat, zjadając odrzucone kawałki owocu. – Ale ponieważ ja i tak wcześnie wstaję, pomyślałem sobie, że pozwolę Wen spać dalej. Pół nocy zajmowała się Ru.

– Musimy już jechać – oznajmiła prognostyczka.

Hilo wytarł dłonie w serwetkę i wstał, ustępując Kyanli miejsca. Chłopczyk ignorował jej próby ponownego zainteresowania go śniadaniem i wyciągał rączki do Shae, prosząc, by go podniosła.

– Ciocia, ciocia.

– Nie teraz, Niko – odpowiedziała z lekkim poczuciem winy.

Na pocieszenie pocałowała go w głowę. Mimo szoku wywołanego faktem jego istnienia i jego niespodziewanym pojawieniem się niemal natychmiast pokochała chłopczyka. Nie mogłaby przeoczyć jego podobieństwa do Lana. Czuła smutek zmieszany z radością za każdym razem, gdy zauważyła w jego zachowaniu coś, co przypominało jej nieżyjącego brata. Kiedy Niko grymasił, chciał, żeby go przytulić, był zbity z tropu albo biegał za nią i łapał ją ze łzami za nogi, kochała go z tego powodu jeszcze bardziej, pra-

gnęła go pocieszyć i zapewnić mu bezpieczeństwo. Podejrzewała, że chłopczyk polubił ją dlatego, że to ona w całej rodzinie najbardziej przypominała Eyni.

Pod drzwiami frontowymi czekał już na nich nieprzyciągający uwagi samochód z godnym zaufania kierowcą. Nie mogli skorzystać z duchesse priza Hila ani żadnego innego z łatwych do rozpoznania samochodów należących do rodziny. Podczas jazdy przez pogrążone w mroku ulice oboje nie odzywali się ani słowem.

– Co powiemy klanowi na temat Nika? – zapytała wreszcie.

Hilo zapalił papierosa i opuścił szybę.

– Że jest synem Lana. Że urodził się za granicą i nic o tym nie wiedzieliśmy, a po śmierci jego matki sprowadziliśmy go do Janloonu. Co więcej potrzebują wiedzieć?

– Nikt nie uwierzy, że to takie proste.

– Mogą sobie wierzyć, w co zechcą – warknął w odpowiedzi Hilo. Skierował głowę ku oknu i wypuścił z ust kłęb dymu. Kiedy się odezwał, z jego głosu zniknął gniew. – Wiem, co myślisz, Shae, ale to nie było tak. Próbo-  
wałem rozwiązać sprawę inaczej. Wiesz, jaka była Eyni.

– Była żoną Lana – odpowiedziała cicho. – I matką Nika.

Nie była z nią blisko, ale lubiły się, nim Shae wyjechała do Espenii. Trudno jej było nawet dokładnie przypomnieć sobie Eyni, opisać ją lepiej w swym umyśle, gdy klęcząc w Świątyni Boskiego Powrotu i błagając bogów o obdarzenie uznaniem jej ojca, dziadka i najstarszego brata, którzy opuścili już ten świat i oczekiwali Powrotu, modliła się również o uznanie dla byłej bratowej. A kiedy wyliczyła już tych, którzy umarli, prosiła również o wybaczenie dla żyjącego brata. To, co uczynił Hilo, było sprzeczne z Boskimi Cnotami, ale syn Lana będzie otoczony opieką i miłością. Przyjęła to na własną duszę. I czy ich rodzina nie wycierpiała już dostatecznie? Nie karzcie już nas więcej, błagała.

Hilo dopalił papierosa i znowu uniósł szybę.

– Wolałabyś zrezygnować z Nika? – zapytał. Gdy Shae nie odpowiedziała, oparł się wygodniej. – Tak właśnie myślałem.

\* \* \*

Przyjechali do portu. Spotkanie z Ven Sandolanem, prezesem i naczelnym dyrektorem firmy przewozowej Gwiazda Kekonu, patriarchą jednej

z najbardziej wpływowych rodzin zielonych kości, niełatwo było załatwić. Musieli znaleźć miejsce, w którym nie istniało niebezpieczeństwo, że ich rozmowę zauważy któryś z członków jednego z konkurencyjnych klanów. Pokład prywatnego jachtu cumującego w Porcie Letnim był zapewne najbardziej bezpiecznym i neutralnym z możliwych punktów.

Ven Sando był zapalonym żeglarzem i w każdy szósty dzień wypływał na morze *Schedą*, swą długą na czternaście metrów łodzią motorową. O wschodzie słońca byli już na łodzi. Ven Sandowi towarzyszył jego najstarszy syn, Haku, który był pięścią wysokiej rangi w klanie Góra. Haku sterował jachtem, podczas gdy starszy, Ven, siedział przy relingu, zwrócony twarzą ku oceanowi, niosący słone bryzgi wiatr targał jego włosami, a on opowiadał gościom o mocy silnika, szybkości i zużyciu paliwa, a także o tym, że kiedyś przez cztery tygodnie pływał wzdłuż wybrzeży Tun. Shae słuchała spokojnie, choć niecierpliwie, gdy Ven oprowadzał ich po łodzi, promieniejąc dumą, a Hilo dotykał z uznaniem drewna minibaru zamontowanego za rumplem.

Ven Haku poprowadził jacht wokół wyspy Gosha, a potem wyłączył silnik i słychać było tylko plusk wody uderzającej lekko o kadłub oraz odległy pomruk samolotów dobiegający z Międzynarodowego Lotniska Janloońskiego. Nad brzegiem unosiła się cienka warstwa mgiełki, rozpraszająca światło poranka, ale błękit późnojesiennego nieba powyżej mąciły jedynie smugi kondensacyjne przelatujących tędy niedawno myśliwców z jednego z pobliskich hiszpańskich lotniskowców. Shae otuliła się swetrem, by osłonić się przed chłodem.

– Nie pierwszy raz goszczę na pokładzie członków klanu Bez Szczytów.  
– Ven Sando cechował się radosną pewnością siebie kogoś, kto sam zarobił każdy grosik w swym imponującym majątku, miał też brzuszysko sugerujące, że nie widzi powodu, by nie cieszyć się zdobytym bogactwem. Zaprosił ich gestem na białe pokładowe krzesła i usiadł wygodnie na jednym z nich. – Jakież osiem lat temu spotkałem się z Kaul Senem w ramach akcji zbierania funduszy na Janloońską Radę Sztuki i zaproponowałem, że następnego ranka zabiorę go razem z kilkoma innymi osobami na rejs wokół Małego Guzika. Wasz dziadek był bardzo interesującym człowiekiem i wspaniałym kompanem. W owych czasach stosunki między naszymi klanami były znacznie bardziej przyjazne, Kaul Sen i Ayt Yu niekiedy się spierali, ale zawsze darzyli się szacunkiem.

Hilo uśmiechał się z typową dla siebie swobodą, ale jego oczy nie wyrażały wesołości.

– Mam nadzieję, że w przyszłości nasze klany znów staną się przyjaciółmi. – Usiadł naprzeciwko Vena. Shae przesunęła nieco krzesło, by zająć pozycję za bratem, trochę na prawo od niego. Ven Haku usiadł w identycznym miejscu za ojcem. Hilo przesunął po zebranych znaczącym spojrzeniem. – Zebrali się tutaj członkowie obu klanów. Można by to uznać za dobry początek.

– Chciałbym się z tobą zgodzić – odparł ze spokojem Ven, splatając dłonie na brzuchu. – Jednakże nie jestem filarem i nie mogę przemawiać w imieniu swego klanu. Podobnie jak żaden z innych członków Góry, z którymi rozmawiałeś. – Ven uniósł brwi w geście wyrażającym ostrożne pytanie. – Wygląda na to, że klan Bez Szczytów to kogut zalecający się do wielu kur.

Przed czterema miesiącami, po dyskusji na temat potencjalnych następców Ayt Mady podczas rodzinnej kolacji w rezydencji Kaulów, Shae wysłała wielki bukiet hibiskusów chwalebnych i lilii tańczących gwiazd, symbolizujących dobrobyt i przyjaźń, do biura Iwe Kalunda, by pogratulować jemu i jego rodzinie otrzymania pozycji prognostyka klanu Góra.

Sześć tygodni później, wkrótce po powrocie z Lybonu, Hilo odwiedził Akademię Kaul Dushurona i spotkał się z wielkim instruktorem Le. W tym samym tygodniu zaoferowano miejsce w Akademii – połączone ze stypendium – dziewięcioletniemu Koben Atowi. Podobne propozycje zdarzały się rzadko i składano je wyłącznie kandydatom, którzy już w tak wczesnym okresie życia wykazali się wyjątkowym talentem.

Rodzina Kobenów zdecydowanie odrzuciła tę bezczelną próbę kradzieży wnuka Ayt Mady ze Szkoły Świątynnej Wie Lona. Musieliby być szaleni, by zdezerterować z najważniejszej szkoły klanu Góra, będącej też *alma mater* całej rodziny Aytów – bez względu na to, jak korzystna finansowo była ta propozycja. Natomiast Iwe Kalundo odpowiedział na bukiet wyłącznie krótkim liścikiem z uprzejmym podziękowaniem. Oba te posunięcia spełniły jednak swoje zadanie – przyciągnęły uwagę do rodzin Iwe i Koben, dając początek spekulacjom, że klan Bez Szczytów próbuje obejść obecną filar Góry, szukając kontaktów z jej prawdopodobnym następcą. Hilo i Shae chcieli, by Ven dowiedział się o ich poczynaniach przed obecnym spotkaniem.

Filar klanu Bez Szczytów rozpostarł dłonie w geście nieokazującym skruchy.

– Pragnę nawiązać dobre stosunki z tym, kto będzie kierował Górą po odejściu Ayt Madashi. Nasze klany zawarły pokój, ale nie ufam Ayt i jestem przekonany, że go złamię. Rzecz jasna, muszę też myśleć o swojej rodzinie. Ayt Mada wyszeptała moje imię i z tego powodu zginął mój brat. Dlatego nie będę mógł spać spokojnie, dopóki nie zrezygnuje ze stanowiska bądź nie usunie jej bardziej godny następca.

Ven pochylił się ku nim.

– Na tym właśnie polega problem – wyszeptał. – Ayt nie ma żadnego planu sukcesji. Została filarem, zabijając prawowitego dziedzica płci męskiej, a teraz jest już za stara, żeby mieć dzieci, nawet gdyby znalazła mężczyznę, który odważyłby się ją poślubić. – Głos Vena przesyczał rosnąca pasja. – Góra nie miałaby tych problemów, gdyby nasz filar był mężczyzną i miał żonę, która dałaby mu synów. Klan potrzebuje silnej rodziny zielonych kości, której można będzie ufać przez pokolenia. – Wskazał na Hila. – Muszę przyznać, że w klanie Bez Szczytów ją macie. A my nie. Dowodzi nami bezdzietna kobieta, kierująca się wyłącznie własnymi ambicjami. Tak nisko upadł wielki ongiś klan Włóczni Kekonu.

Shae była zdumiona. Nawet Hilo otworzył oczy nieco szerzej. Ayt Mada była ich wrogiem i Shae nie cofnęłaby się przed nazwaniem jej żadną władzą. Mimo to nie spodziewali się, że Ven okaże tak jawny brak szacunku dla swego filaru. Shae w pierwszej chwili zareagowała podejrzliwością. Czy Ven próbował wkupić się w ich łaski? A może rzeczywiście był tak naiwny?

Ich gospodarz uniósł dłonie, jakby chciał powstrzymać własną tyradę.

– Nie zrozumcie mnie źle – dodał pośpiesznie, spoglądając z ukosa na Shae, nim przeniósł wzrok z powrotem na Hila. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby kobiety były zielonymi kośćmi i zajmowały ważne wspierające pozycje w klanach. Ale filar to co innego. Kręgosłup ciała, jak powiadamy. Ayt popełniła serię błędów. Pozwoliła, by jadeitu i błysku używali pospolici przestępcy, co stało się źródłem publicznego skandalu, i wplątała nas w kosztowną wojnę uliczną, którą, wybaczcie mi, proszę, zdaniem większości członków klanu powinniśmy z łatwością wygrać. – Ven wydał usta. –

Kiedy wygłaszam słowa krytyki... muszę dodać, że w interesie ogółu... uparcie odmawia ich słuchania. Mojemu życiu może zagrozić niebezpieczeństwo, jeśli ta kobieta się dowie, że z wami rozmawiałem.



Pomimo tych słów Ven nie sprawiał wrażenia, że obawia się krytykować Ayt Madę. Shae podejrzewała, że Gwiazda Kekonu jest zbyt wielką i potężną firmą, a rodzina Venów jest nazbyt bogata i wpływowa, by Ayt Mada mogła po prostu wyszeptać ich imiona i spowodować, by zniknęli, bez względu na to, jak stanowczo potępiał ją Ven.

– Cieszę się, że się z tobą spotkaliśmy, Ven-jen. Z pewnością jesteś osobą, z którą powinienem porozmawiać.

Hilo oparł się wygodniej na krześle i przesunął się nieco, zwracając się ku dwóm Venom. Wydawało się, że nagle stał się większy i bardziej rozluźniony, jakby siedział na tym krześle już wiele razy. Jego głos przybrał ton swobodnej bliskości, natychmiast łączącej ze sobą nowych przyjaciół, którzy nagle się dowiedzieli, że w dzieciństwie mieszkali na tym samym rogu ulicy. Zmiana zaszła tak gładko i naturalnie, że Shae odniosła wrażenie, iż w jednej chwili stała się nieproszonym gościem, oddalonym od trzech mężczyzn, nagle połączonych więzią, która jeszcze przed kilkoma sekundami nie istniała.

– Z radością się dowiedziałem, że w klanie Góra są ludzie, którzy pragną zmian równie mocno, jak ty czy ja, Ven-jen – podjął Hilo ściszym głosem. – Niemniej wypowiadam się jako obcy, mam wrażenie, że rodzina Kobenów nie ma silnych przywódców. Kieruje nią mały chłopiec. Brak mi cierpliwości, by czekać dwadzieścia lat na poprawę sytuacji. Widzę, że ty również nie jesteś człowiekiem skłonny do samozadowolenia. Rzecz jasna, interesował mnie również nowy prognostyk. Zebrałem informacje na jego temat i dowiedziałem się, że rodzina Iwe ślepo słucha Ayt Mady.

Ven prychnął pogardliwie.

– To prawda. Jest też wśród nich zbyt wiele rzadkiej krwi.

– W tych niepewnych czasach kraj potrzebuje współpracy między klanami – oznajmił z powagą Hilo. – Dlatego chciałem porozmawiać z tobą na osobności, by sprawdzić, czy możemy pomóc sobie nawzajem. Wszyscy znają i szanują rodzinę Venów, zarówno ci, którzy stoją po stronie biznesowej, jak i pracujący na ulicach. To stare powiedzenie „złoto i jadeit nigdy nie chodzą razem”, brzmi ładnie, ale któż mógłby zaprzeczyć, że potrzebujemy jednego i drugiego, by uczynić nasze rodziny naprawdę silnymi? –

Hilo wlepił w korpulentnego biznesmena pełne zaufania spojrzenie. – Nie ulega wątpliwości, że jesteś człowiekiem kierującym się zasadami i być może nie chcesz wziąć na siebie takiej odpowiedzialności, ale ponieważ konflikt z klanem Góra dotyczy nie tylko mojej rodziny, lecz również

całego Kekonu, doszedłem do wniosku, że muszę mówić szczerze. Klan Bez Szczytów z chęcią uznałby przejęcie władzy nad Górą przez rodzinę Venów. Nie przychodzi mi do głowy nikt inny, kto byłby lepszym następcą Ayt Mady.

Jadeitową aurę Vena wypełniło dostrzegalne pulsowanie zadowolenia. Wydał jednak z siebie dramatyczne westchnienie, uniósł rękę i machnął nią od niechcienia, jakby odrzucał ten pomysł już wiele razy i nie chciał więcej sprawiać ludziom rozczarowania. Ten gest wydał się Shae tak sztuczny i zarozumiały, że nagle poczuła głęboką niechęć do ich gospodarza.

– Schlebiasz mi, Kaul-jen – rzekł Ven. – Czuję się zaszczycony, ale muszę kierować firmą, a w dodatku jestem już stary i wkrótce przejdę w stan spoczynku. Ludzie zawsze chcą, by filar był zielony. – Ven miał masywny złoty zegarek wysadzany jadeitami, ale poza tym nie nosił żadnych klejnotów. – Noszenie tak wielkiej ilości zieleni... jest czymś odpowiednim dla młodszych mężczyzn. Klanowi lepiej by się przysłużył przywódca w pełni sił, który prezentowałby się odpowiednio, a zarazem miał poparcie rodziny i dysponowałby jej kapitałem społecznym. Osobiście zadowolilibym się pozycją mądrego doradcy, skrytego w cieniu.

Shae przeniosła spojrzenie z Ven Sanda na jego syna. Zauważyła, że Hilo również na niego patrzy. Ven Haku był mniej więcej w tym samym wieku, co oni, sprawdził się jako pięść i był lubiany zarówno przez inne pięści, jak i przez podkomendnych, w znacznej mierze dlatego, że nie miał oporów przed przechwalaniem się bogactwem swej rodziny. Wydawał przyjęcia i wypłacał swym ludziom hojne nagrody. Włosy miał wysmarowane żelem i zaczesane do tyłu, a na szyi nosił czarną skórzaną opaskę z licznymi jadeitami, wyglądającą jak wysadzana klejnotami psia obroża. Siedział nieco przygarbiony, a na jego twarzy malował się czujny, choć lekko pogardliwy wyraz. Nawet ciche pulsowanie jego jadeitowej aury było prze-syczone uprzywilejowaniem i bezczelnością. Przez dezorientującą chwilę widok perfekcyjnie gładkiej twarzy Ven Haku przypominał Shae Hila sprzed sześciu albo siedmiu lat.

Ven Sando zamierzał uczynić syna filarem, jak już pozbędzie się Ayt Mady. Hilo przenosił spojrzenie między starszym a młodszym Venem, pochylając głowę z ledwie skrywanym uśmiechem.

– Pełen szacunku syn i wspierający go ojciec razem? Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek jakiś klan miał tyle szczęścia. – Jadeitowa aura Hila, z reguły jaskrawa i ekspresyjna, zrobiła się nagle spokojna niczym szeroka

rzeka. Nie zdradzała prawie nic. – Z chęcią pomógłbym w przeprowadzeniu takiej zmiany. Jednakże Ayt Mada i ja publicznie ogłosiliśmy rozejm i wszyscy członkowie naszych klanów to słyszeli. Nie łamię obietnic, nawet złożonych wrogom. Chcę powiedzieć to jasno, nim przejdziemy do dalszych rozmów.

Ven Sando obrzucił go chytrym spojrzeniem.

– Nikt nie chce kolejnej wojny ulicznej między klanami. Niemniej nie prosiłbyś o spotkanie, gdybyś nie miał do zaoferowania niczego poza słowami zachęty.

Aura Hila przybrała nieco twardszy, bardziej formalny wyraz.

– Ayt Mada z pewnością nie ustąpi z własnej woli – podjął, nieśpiesznie cedząc słowa. – Trzeba ją będzie usunąć siłą. Kiedy wystąpisz przeciwko niej, klan Bez Szczytów zaoferuje ci swą przyjaźń i udzieli wsparcia przeciwko tym, którzy mogą stawić opór albo spróbują wykorzystać zmiany, do których dojdzie. Tacy ludzie zawsze się znajdują. To nie jest drobiazg i nie mówię tego lekko. Będą też tacy, którzy uznają, że potrzebują praktycznych powodów, by wesprzeć nowego przywódcę. Moja prognostyczka znajdzie sposoby, by pomóc ci ich przekonać.

Ten sygnał zaskoczył Shae, która zaczynała się już irytować myślą, że Hilo zapomniał o jej obecności.

– Gwiazda Kekonu jest jedną z najpotężniejszych i przynoszących największe zyski firm w kraju. Dlatego jestem przekonana, że już masz wielkie wpływy w klanie Góra – zaczęła, nieco przesadnie schlebiając Venowi. – Niemniej niektórych twoich potencjalnych zwolenników może zachęcić perspektywa finansowych korzyści. Wpływy klanu Bez Szczytów w pewnych gałęziach gospodarki mogą zainteresować tych, którzy w normalnej sytuacji nie mogliby zrobić z nich użytku. Niektóre nasze biznesy mogłyby nawet rozważyć możliwość sprzedaży albo wejścia w spółkę, gdyby stosunki między naszymi klanami były bardziej przyjazne. Rzecz jasna, wolelibyśmy, żebyś nie rozgłaszał tej informacji zbyt szeroko.

Ven sprawiał wrażenie, że zastanawia się nad tymi zapewnieniami. Wreszcie wypuścił głośno powietrze, jakby podjął trudną, ale nieuniknioną decyzję.

– To, o czym rozmawiamy, będzie trudne. Ayt nosi mnóstwo jadeitu i otacza się lojalnymi ludźmi. Żeby wprowadzić zmiany, jakich pragniemy, potrzeba czasu i starannego planowania. Jednakże obietnica twojej przyjaźni, Kaul-jen, wypełniła mnie determinacją w dążeniu do naprawienia

szkód, jakie wyrządzono Górze, i przywrócenia dobrych stosunków między naszymi klanami.

Umowę zawarto. Ven zdobędzie potajemnie poparcie, które pozwoli mu dokonać przewrotu w Górze. Jeśli mu się uda, niemal z pewnością doprowadzi to do śmierci Ayt Mady i jej najbliższych współpracowników. Klan Bez Szczytów dyskretnie wesprze uzurpatorów łapówkami, darowiznami i koncesjami finansowymi, a gdy nadejdzie czas, również siłą swych pięści i palców, które pomogą pokonać zwolenników Ayt Mady. Potem panowanie nad Górą przejmie rodzina Venów, a między klanami zapanuje trwała i autentyczna przyjaźń, nieprzypominająca cynicznego rozejmu trwającego obecnie.

– Cieszę się na myśl o tej przyszłości, Ven-jen – oznajmił Hilo.

Ven klasnął w dłonie, po czym zakończył spotkanie, wstając z krzesła, udał się do minibaru i nalał dwa kieliszki hoji.

– Kaul-jen, z pewnością wiesz o tym, że masz w klanie Góra opinię wyjątkowo krwiożerczego. A twoja siostra uchodzi za pozbawioną serca zwolenniczkę Espeńczyków. To dowód na to, jakie kłamstwa powtarzają ludzie o swoich wrogach. Przekonałem się, że jesteś rozsądnym i uczciwym człowiekiem, podobnie jak twój dziadek, kimś, z kim łatwo mi będzie współpracować.

Wypili z Hilem po kieliszku, by przypieczętować swój sojusz.

Ven Sando zaproponował, że popływa z nimi jeszcze chwilę po morzu, a potem zaprosi ich na obiad, ale Shae wcieliła się w rolę nerwowej asystentki filaru i oznajmiła, że lepiej będzie, jeśli wrócą, nim ktokolwiek z członków klanu zacznie się niepokoić ich nieobecnością. Prezes Gwiazdy Kekonu opowiedział Kaulom jeszcze kilka żeglarskich historii, przeplatanych anegdotami z życia kogoś, kto zajmuje się transportem, a tymczasem Ven Haku zaprowadził *Schedę* z powrotem do prywatnej przystani, w której na Kaulów czekał samochód z szoferem.

Gdy filar i prognostyczka wreszcie znaleźli się w samochodzie. Shae nie mogła już dłużej się powstrzymać.

– Ven Sando to chyba najbardziej zarozumiały i nieznośny gbur, jakiego w życiu spotkałam – poskarżyła się.

– Czy z tego powodu żal ci Ayt Mady? – Hilo uśmiechnął się szeroko i wyciągnął nogi w stronę siostry, kładąc buty na jej stopach.

Odkopnęła je, jakby nadal byli dziećmi i przepychali się na tylnym siedzeniu samochodu dziadka, podczas gdy siedzący z przodu Lan warczał na

nich, żeby przestali. Hilo wsparł rękę na ramionach siostry. Jego nastrój – ponury, gdy jechali na spotkanie – zmienił się całkowicie. Uśmiechał się radośnie i drapieżnie.

– Ven i jego syn razem wzięci nie będą nawet w połowie takim filarem jak ona. Tak właśnie zwyciężymy, Shae. Sprawimy, że Góra sama rozerwie się na strzępy pod stopami Ayt.

Bywały chwile, gdy Shae była zmuszona przyznać, że dziadek mógłby bardziej doceniać talenty młodszego wnuka, gdyby Kekonem nadal władali szotarscy okupanci, których trzeba było zniszczyć.

– Zastanowię się, jak jeszcze moglibyśmy pomóc Venom – odparła.

# ROZDZIAŁ 25

## PRZECHWYCENIE

Maik Kehn pewnie stanął na pokładzie motorówki, która przyśpieszyła nagle, tryskając bryzgami na wszystkie strony i podskakując na falach pozostawionych przez transportowiec, który śledziła. W końcu zbliżyła się do znacznie większego statku. Kehnowi nie podobało się zbytnio pływanie łodzią, zwłaszcza że na twarz opadała mu zimna mżawka. Zdecydowanie wolałby znaleźć się na znanych mu hałaśliwych i brudnych ulicach Janlonu, którymi władali on i jego zielone kości. W dzisiejszych czasach obrona klanów wymagała jednak patrolowania terenów znajdujących się daleko za granicami miasta – wysoko w górach, na wybrzeżu, a nawet na morzu, setki kilometrów od brzegów Kekonu. Kehn podejrzewał, że może być pierwszym rogiem, który przechwycił statek na wodach międzynarodowych. Przynajmniej w jego pokoleniu. Jego praca wymagała jednak reagowania na posunięcia nieprzyjaciela, a on nauczył się od Kaul Hila, że zawsze powinien być na pierwszej linii.

Juen, jego pierwsza pięść, wystrzelił hak abordażowy, który przeleciał nad relingiem transportowca i znalazł punkt zaczepienia, unieruchamiając motorówkę. W przeciwieństwie do wielu innych potężnie zbudowanych mężczyzn Kehn nie miał problemów z posługiwaniem się Lekkością. Złapał za mocno napiętą linę, postawił na niej stopy i pobiegł do połowy jej długości niczym jaszczurka po cienkiej gałązce. Kilka ostatnich metrów dzielących go od pokładu pokonał jednym skokiem. Wylądował cicho, wyciągając karambit. W stronę relingu biegło dwóch mężczyzn uzbrojonych w pistolety. Ku swemu zaskoczeniu Kehn wyczuł jadeitowe aury, pełne niepokoju i wrogości. Na jego widok zatrzymali się i otworzyli ogień. Róg skoczył prosto na nich, uwalniając dwa Odbicia, które oczyściły mu drogę, gdy przesywał powietrze. Wylądował między nimi. Lewą ręką złapał za lufę bliższej broni i wyrwał ją przeciwnikowi, posługując się Siłą.

Tego, którego miał po prawej, odrzucił Odbiciem. Przeciwnik przemknął po śliskim od deszczu pokładzie i uderzył w pobliską ścianę metalowych kontenerów.

Wyrzucił pistolet za burtę. Jego były właściciel wyciągnął dwa *durbhy* – uwiwańskie sztylety o trójkątnych sztychach – i zaatakował róg, próbując wyprowadzić brutalne pchnięcia. Kehn zahaczył karambitem nadgarstek przeciwnika i zmienił jego tor, a sztylet w prawej ręce powstrzymał wzmocnioną Stalą dłonią. Mężczyzna zareagował natychmiast. Wypuścił sztylet i uderzył Kehna w splot słoneczny tak dużą Siłą, że wybił mu powietrze z płuc. Kehn stęknął z bólu. Zauważył jednak charakterystyczną zmianę w jadeitowej aurze mężczyzny. Przeciwnik przygotowywał się do zadania śmiertelnego ciosu za pomocą Przenoszenia.

Oslonił tułów Stalą. *Durbh*, który trzymał w dłoni, wbił się w nagle pozbawioną osłony skórę. Kehn wypuścił go i pierwszy uderzył Przenoszeniem, wyprowadzając szybki cios skierowany na serce – nie był tak silny, żeby zabić, miał tylko wywołać szok. Złapał mężczyznę za koszulę i popchnął go z głośnym rykiem, a następnie przyciągnął ku sobie i uderzył bykiem w twarz. Rozległ się głośny trzask. Przeciwnik oklapł. Róg wsparł się barkiem o jego pierś i popchnął mocno. Mężczyzna wyleciał za burtę i zniknął w pokrytej białymi falami wodzie.

Kehn się odwrócił. Jego pięści, Juen i Iyn, oraz dwójka Palców, Lott i Dudo, skoczyli na pokład tuż za nim. Tylko jeden palec, Ton, został na dole, by pilnować motorówki. Iyn skradała się w stronę drugiego strażnika. Miał złamaną nogę, ale próbował odczołgać się od pięści.

– Zostaw go żywego. Na razie – rozkazał Kehn, zauważywszy, że kobieta wyciągnęła *guan dao*.

Przyszło mu na myśl, że niepotrzebnie wyrzucił pierwszego przeciwnika za burtę. Jego jadeit – co prawda, nie było go zbyt wiele – znalazł się na dnie oceanu, ale przynajmniej wynajęty mieszaniec nie będzie go już wykorzystywał w haniebny sposób.

Ruszył wzdłuż wysokich na piętnaście metrów szeregów kontenerów czerwonej, pomarańczowej i niebieskiej barwy, ułożonych równo jak klocki jego siostrzeńca. Transportowiec miał trzysta metrów długości – stanowczo zbyt wiele, by Kehn był w stanie Postrzec wszystkich znajdujących się na pokładzie ludzi, wiedział jednak, że jego pięści i palce wkrótce się rozdziela, przeszukają cały statek, zabiją wszystkich *barukanów*, których zdo-

łają znaleźć, i zamkną całą załogę. Owinął dłoń oderwanym obrąbkiem koszuli, żeby powstrzymać krwawienie, po czym ruszył w stronę mostka.

Po dwudziestu minutach kapitan i jego oficerowie znaleźli się w mesie statku. Kapitan był mężczyzną około czterdziestki, miał rudą, kędzierzawą brodę i bokobrody. Według identyfikatora nazywał się Bamivu eya Kijdiva i był Ygutańczykiem, podobnie jak kilku jego oficerów. Załoga – również w całości przyprawiona do mesy – składała się głównie z Uwiwan. Kijdiva zachowywał godny podziwu spokój, ale na czoło wystąpił mu pot, a Kehn Postrzegął, że serce kapitana bije szybciej niż normalnie. Z pewnością nic nie wiedział o zielonych kościach i był przekonany, że jego statek zaatakowali piraci, którzy mogą ukraść ładunek i skrzywdzić załogę.

– Bez obaw, nikomu nie stanie się nic złego – zapewnił Kehn, ale kapitan albo go nie zrozumiał, albo nie dał się przekonać. – Znasz jakiś język poza własnym? – zapytał Kehn. – Uwiwański? Espeński?

Okazało się, że kapitan umie się dogadać po espeńsku. To było szczęśliwe zrządzenie losu, ponieważ Lott również niezłe opanował ten język w Akademii. W ostatnich latach nauka espeńskiego stała się modna, ponieważ w Janloonie wciąż pojawiali się nowi cudzoziemcy i zagraniczne firmy. Nawet palcom przydawała się znajomość języka innego niż kekoński. Kehn poprosił Lotta o tłumaczenie.

– Powiedz mu, że chcemy zobaczyć dokumenty rejestracyjne i manifest ładunkowy.

Po krótkiej dyskusji przyniesiono z mostka dokumenty. *MV Duma Amaryku* był własnością ygutańskiej firmy, ale zarejestrowano go na Uwiwach. Przed dwoma dniami wypłynął z Tialuhii i zmierzał do Borsviku, portu w północnym Ygutaniu. Statki płynące do Ygutanu z reguły wybierały południowy szlak, okrążając Szotar i przecinając zatokę Origas, ale wody wokół Szotaru przerodziły się obecnie w strefę wojny, pełną szotar-skich, espeńskich i ygutańskich okrętów.

Kehn zmarszczył brwi, przerzucając strony manifestu. Statek przewoził prawie dwadzieścia tysięcy ton ładunku – odzież, towary konsumpcyjne i puszkowane owoce. Nie mieli szans przeszukać tego wszystkiego. Kapitan zadał jakieś pytanie.

– Chce się dowiedzieć, czy zabiliśmy tych czterech strażników.

Zdobywając statek, Juen i jego towarzysze natknęli się na jeszcze dwóch *barukanów*.



– Ci ludzie pracowali dla przemytnika z Uwiwów – poinformował kapita-  
tana Kehn, nie odpowiadając na jego pytanie. – Wiesz, czego pilnowali?

Kapitan przełknął ślinę.

– Nie zadawałem im pytań – odpowiedział za pośrednictwem Lotta. –  
Zapłacono mi za ich przetransportowanie. Z reguły mamy od czterech do  
dziesięciu płacących pasażerów. Nie wiem, co jest w kontenerach. Nigdy do  
nich nie zaglądam. Tylko je przewożę.

Kehn zostawił kapitana i oficerów pod strażą Juena i wyszedł na pokład  
z Lottem. Z nieba siąpił słaby, przerywany deszczyk, ale pokazało się już  
słońce. *Barukana*, którego oszczędziła Iyn, przywiązano do relingu. Jego  
noga zginała się pod niepokojącym kątem, a twarz przybrała niezdrowy  
odcień. Iyn zabrała mu jadeit. Westchnęła rozczarowana, opierając się  
o pobliski kontener. Rozdzieliła ogniwa łańcuszka i kolejno wyrzucała  
kawałki nieczynnego nefrytu do oceanu. Zachowała dla siebie tylko dwa  
autentyczne klejnoty. Początkujące pięści, takie jak ona, gorąco pragnęły  
dowieść swej wartości, rywalizowały o jadeit, terytoria, odpowiedzialność  
oraz palce, którym mogłyby rozkazywać. Kehn zapisał sobie w pamięci, by  
jak najszybciej dać jej kolejną szansę zdobycia jadeitu. Z czasem uświado-  
mił sobie, że najważniejszym zadaniem rogu jest kierowanie ludźmi, i choć  
brakowało mu naturalnego ciepła i magnetyzmu jego poprzednika, zawsze  
starał się uważnie obserwować podkomendnych i dbał o to, by jego decyzje  
były stanowcze, ale sprawiedliwe. Po dwóch ciężkich latach sprawowania  
funkcji rogu nabrał pewności siebie i wiedział, że wojownicy go szanują.

Zatrzymał się przed rannym *barukanem*.

– Mówisz po kekońsku? – zapytał. Gdy jeniec skinął głową, róg natych-  
miast przeszedł do rzeczy. – W którym kontenerze jest towar?

– Nie wiem – odpowiedział mężczyzna. – Zapunyo nie płaci mi za to,  
żebym cokolwiek wiedział. Zabij mnie i skończmy z tym.

– Nie zabiję cię – zapewnił Kehn. – Masz złamaną nogę, ale to czyste  
złamanie. Jeśli poproszę lekarza pokładowego, żeby je nastawił, zrośnie się  
i znowu będziesz mógł chodzić. Mogę też rozkazać Lottowi i Iyn, by  
pogruchotali ci kości w nodze na drobne kawałeczki i w tej drugiej również.  
Potem zostawimy cię na Uwiwach jako kalekę i przekonamy się, czy przy-  
dasz się na coś Zapunyowi.

Z twarzy *barukana* odpłynęły resztki koloru.

– Jeśli powiem wam cokolwiek, będę trupem. Wiesz, co robi Zapunyo  
ludziom, którzy kradną albo kablują? Którzy łamią przysięgę milczenia Ti

Pasuiga? – Zaczął dzwonić zębami. Zimny wiatr chłodził jego mokre ubranie i zlaną potem skórę. – Najpierw ucina im stopy, potem dłonie, a na końcu głowę. Potem każe pochować każdą część w innym miejscu, żeby ofiara nawet w życiu przyszłym nie była w całości.

– To dlatego, że jest zwierzęciem – skwitował Kehn. – Możemy pomóc ci ukryć się przed nim. Jak ci się zdaje, skąd dowiedzielibyśmy się o tym transporcie, gdybyśmy już nie mieli informatorów, którym zapewniamy bezpieczeństwo? Mamy też poparcie Espeńczyków, którzy prowadzą wojnę i również chcą powstrzymać przemyt, żeby ich nieprzyjaciele nie mogli się wzmocnić. Mógłbyś zacząć nowe życie, gdzieś daleko, poza zasięgiem Zapunya. Czy może wolisz tę drugą opcję? Zapalę papierosa, żebyś miał czas się zastanowić.

Kehn rzeczywiście zapalił papierosa i oddalił się, by spokojnie się nim nacieszyć. Z tyłu dobiegły go słowa Iyn.

– Mam ochotę złamać ci drugą nogę, tylko za to, że marnujesz czas Maik-jena. To cierpliwy człowiek, ale nie lubi gadać za dużo. Obchodzi się z tobą wyjątkowo łaskawie, a ty nie traktujesz tego poważnie, ty barukański psojebco.

– Iyn-jen, nie powinnaś go obrażać, kiedy jest w takim stanie – wtrącił Lott. – Osobiście mam nadzieję, że zgodzisz się współpracować – dodał zatroskanym tonem, spoglądając na jeńca. – Nie rozumiem, dlaczego miałbyś wycierpieć tak wiele dla Zapunya, i nie chcę pogarszać twojej sytuacji, choć oczywiście zrobię to, jeśli będę musiał.

Wypowiedział te słowa z odpowiednią dozą współczucia, rozsądku i zimnej pewności siebie. Kehn mruknął z zadowoleniem. Lott Jin początkowo nie czuł się zbyt pewnie jako palec, ale Kehn – kierując się wskazówkami Hila – powierzył go dobrym mentorom i nastawienie młodzieńca znacznie się poprawiło.

Kehn odczekał jeszcze kilka minut, by dać jeńcowi więcej czasu. Zastanawiał się, jak się oświadczyć Linie. Wiedział, że się zgodzi, rozmawiali już na ten temat. Chwila była odpowiednia. Był najstarszym synem i miał nadzieję wkrótce spłodzić dzieci. Nie lubił przyciągać uwagi i osobiście wolałby małe, skromne wesele, ale wiedział, że nie będzie to możliwe. Ślub rogu był uroczystością dotyczącą całego klanu. Wszystkie polityczne wydarzenia i wyroki losu, które wiązały się z rodziną Kaulów, dotyczyły również Maików.

Kehn dopalił papierosa, wrócił do jeńca i zażądał odpowiedzi. *Barukan* dygotał. Był całkowicie pokonany. Wskazał im drogę do kontenera, którego rozkazano mu pilnować. Kehn pomyślał, że trudno uwierzyć, iż *barukani* rzeczywiście pochodzą z Kekonu, jako że mieli bardzo słabą wolę. To było jednak naturalną konsekwencją tego, że przyszli na świat i ukształtowali się w pełnym tchórzy kraju, jakim był Szotar.

Wezwał lekarza pokładowego, by zajął się obrażeniami jeńca. Członkom załogi rozkazano uruchomić dźwig i wydobyć ze stosu wskazany kontener o długości sześciu metrów. Gdy niebieski pojemnik z blachy falistej otworzono, okazało się, że wypełniają go kartonowe pudła. Kilka pierwszych zawierało setki strojów zapakowanych w oddzielne plastikowe torby – spodenki gimnastyczne, tank topy, kostiumy kąpielowe – prosto z fabryk tekstylnych na Uwiwach. Po chwili Iyn zauważyła, że niektóre pudełka mają z boku specjalny kod paskowy. Kehn otworzył jedno i wyjął z niego damską bluzkę z małymi zielonymi guzikami. Guziki zrobiono z jadeitu, a bluzka była fałszywa. Nawet się nie rozpięła na przodzie. Całe pudełko było pełne jadeitu zamaskowanego jako zwykłe ozdoby. Otoczone tkaniną i pomieszane z tysiącami zwyczajnych strojów klejnoty mogły z łatwością umknąć uwagi celników, do chwili, gdy ktoś w Ygutanie odebrałby przesyłkę w imieniu fikcyjnego sprzedawcy, zdobywając w ten sposób fortunę w jadeicie.

– Ten Uwiwanin to chytry pies – mruknął Kehn, stojąc pośród chaosu plastiku, pudełek i strojów.

Zlecił dalsze poszukiwania swym zielonym kościom i udał się na mostek, by rozkazać kapitanowi zmienić kurs. *MV Duma Amaryku* przybije do brzegu w janloońskim Porcie Letnim.

# ROZDZIAŁ 26

## SPRECYZOWANIE OCZEKIWAŃ

W ygutańskiej prasie wspominało o tym tylko ogólnikowo, a za granicą nie mówiono w ogóle, ale sądząc po przetłumaczonych artykułach, jakie Shae otrzymała od klanowych kontaktów z tego kraju, w zeszłym tygodniu doszło tam do serii zamachów bombowych, które zniszczyły fabryki chemiczne w okolicach Dramska, Nitiyu oraz Bursviku. Ygutański dyrektoriat oskarżał szotarskich lojalistów z Oortoko, wspieranych przez espeński rząd. Artykuły nie zdradzały, do kogo należały fabryki i kto kierował ich działalnością, ale Shae znała odpowiedzi na te pytania. Espeńczycy nie płaciliby za informacje, których nie zamierzali wykorzystać. Przed ośmioma miesiącami spotkała się z ambasadorem Mendoffem i pułkownikiem Deillerem w klubie Biała Latarnia, a teraz przynoszące zyski Górze fabryki zostały zniszczone.

Ayt Mada z pewnością była wściekła. Na twarzy Shae pojawił się pełen satysfakcji uśmiešek. Utrzymał się tam przez krótką chwilę, ale potem zniknął. Klan Bez Szczytów nie zaatakował operacji Góry bezpośrednio, ale Ayt z pewnością się domyśli, kto sprzedał Espeńczykom te informacje. Shae ani przez moment nie żałowała, że to zrobiła. Zadała potężny cios finansom Góry, nie narażając na niebezpieczeństwo członków ani biznesów klanu Bez Szczytów, nie dopuściła, by wielkie ilości trucizny, która zabiła Lana, trafiły na czarny rynek, i wzmocniła sojusz z Espeńczykami, nie dając im większych ilości jadeitu, czego się domagali. Odniosła to zwycięstwo dzięki sprytowi. Dziadek byłby z niej dumny. Jedyne problem polegał na tym, że Ayt z pewnością się zemści. Nie wiedziała, kiedy i jak do tego dojdzie, ale Góra znajdzie sposób.

Wezwała Woonę do swego gabinetu i powiedziała mu, by załatwił jej kolejne spotkanie z pułkownikiem Deillerem.

– Powiedz pułkownikowi, że mam dla niego nowe informacje o militarnym znaczeniu.

Woon usiadł za biurkiem naprzeciwko niej. Od chwili, gdy nie przyjęła jego rezygnacji, przez kilka tygodni panowało między nimi krępujące milczenie. To jednak musiało się skończyć. Mieli do wykonania zbyt wiele zadań. Shae cieszyła się, że Woon znowu czuje się swobodnie w jej towarzystwie. Pozostali przyjaciółmi, choć nie wyglądało to już tak samo jak przedtem.

– Maik Kehn odkrył, że jadeit przemyca się z Uwiwów do Ygutanu na statkach handlowych – domyślił się Woon. – Sądysz, że jeśli poinformujesz o tym Espeńczyków, zamkną ten kanał, tak samo jak zniszczyli fabryki w Ygutanie.

– Kehn i jego pięści mieli szczęście, że dotarła do nich informacja o tym jednym statku. Nie są w stanie patrolować całego Morza Zachodniotuuńskiego. Espeńczycy mogą to zrobić i zrobią – odparła. – Mimo że mamy na Uwiwach agentów i informatorów, posiadamy tam bardzo niewielkie wpływy, zwłaszcza odkąd Hilo publicznie urządził krwawą jatkę. Natomiast Espeńczycy są źródłem większej części zagranicznej pomocy, jaką otrzymują wyspy, i są w stanie wymusić na uwiwańskim rządzie podjęcie kroków przeciwko Zapunyowi. Nikt inny tego nie dokona.

Woon pokiwał głową.

– W ten sposób rozwiążą za nas nasze problemy.

– Bez względu na nacjonalistyczną retorykę Ayt Mady łączy nas z RE wspólnota interesów – stwierdziła Shae. – Nie chcemy, żeby jadeit i błysk trafiały na czarny rynek, i oni również tego nie pragną.

– Dlatego że woleliby zagarnąć wszystko dla siebie – skwitował Woon. – Musisz być bardzo ostrożna. Współpraca z Espeńczykami jest jak spanie z tygrysem. Wydaje się, że to świetny pomysł, dopóki bestia nie zrobi się głodna. Espeńczycy nie są zbyt subtelni. Mają teraz na Eumanie sto tysięcy ludzi i nasi latarnicy skarżą się, że espeńscy żołnierze na przepustkach w Janloonie wywołują kłopoty w kasynach i burdelach. W wiadomościach mówią o rosnącej liczbie cywilnych ofiar w Oortoko. Świat oskarża o to Espeńczyków. Musimy liczyć się z opinią publiczną. Lepiej, żeby klan Bez Szczytów nie wiązał się zbyt blisko z cudzoziemcami.

Nie mogła się z nim nie zgodzić. Wiedziała, że niektórzy, w klanie i poza nim, już uważają ją za espenofilkę, z uwagi na cudzoziemskie wykształcenie. Tymczasem Ayt Mada czerpała wielkie korzyści polityczne

z wojny oortokańskiej. Ataki na cudzoziemców, a zwłaszcza Espeńczyków, przyciągały do niej uwagę i zwiększały jej popularność.

Shae potrafiła zrozumieć, dlaczego wojownicze argumenty Ayt Mady trafiają do ludzi, ale nie mogła się z nimi zgodzić. Wykalkulowane opinie przywódczyni Góry wiodły ją prostą drogą ku etnocentrycznemu izolacjonizmowi. Przed stuleciami dał on początek Kekonowi, jaki istniał obecnie, ale nie mogli do niego wrócić w czasach nowoczesnej technologii i globalnego handlu. Czasach, w których istnieli ludzie tacy jak Maro.

– Masz rację, nakłaniając mnie do ostrożności, Papi-jen – stwierdziła. – Ale sam mówiłeś, że powinniśmy otworzyć więcej drzwi przed naszymi latarnikami, a Espenia jest miejscem, w którym możemy to zrobić.

– To, co mówisz, ma sens – przyznał z namysłem Woon. – Jednak im silniej zwiążemy się z tym krajem, tym większy wpływ będzie na nas wywierał. Mogą w przyszłości wykorzystać to na sposoby, których w tej chwili nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Zresztą skąd wiesz, czy cudzoziemcy dotrzymają obietnicy? Dotąd nie dali ci niczego, o co prosiłaś podczas spotkania.

– Właśnie dlatego upieram się przy swoim – odparła Shae. – Espeńczyki cenią swą reputację jako bezpośrednich i uczciwych ludzi interesu. Uważają dług i ubóstwo za moralne przewinienia. Jeśli otrzymają ode mnie nowy dar, nim zapłacą za poprzedni, poczują się skrepowani i będą chcieli szybko przywrócić równowagę.

Woon wstał i zwrócił się ku drzwiom.

– Zorganizuję spotkanie zgodnie z twoim życzeniem, Shae-jen, ale zachowam maksymalną dyskrecję. Nie wszyscy w klanie zgadzają się z nami.

\* \* \*

Wieczorem Shae zaprosiła Mara, Hila i Wen na kolację do swego domu. Zastanawiała się nad możliwością przyprowadzenia swego chłopaka na rodzinny posiłek w rezydencji Kaulów, ale spotkanie z całą rodziną, łącznie z dziećmi i Maikami, to mogłoby być za wiele na pierwszy raz. Poza tym rezydencja była miejscem zamieszkania filaru i niektórzy mogliby dopatrywać się w tym zbyt wiele. Wykluczyła też spotkanie w restauracji, gdzie ludzie mogliby ich zobaczyć i zacząć się zastanawiać nad tym, kiedy wnuczka Płomienia wreszcie wyjdzie za mąż i urodzi dzieci.

Nigdy nie zajmowała się poważnie gotowaniem, ale przy pomocy Kyanli udało się jej przygotować w miarę znośny posiłek – sałatka z marynowanej rzodkiewki, zupa imbirowa z jajkiem oraz glazurowany kurczak na czerwono z sosem chili. Powiedziała Hilowi, żeby zjawił się piętnaście minut przed Marem, ponieważ chciała najpierw z nim porozmawiać i wyjaśnić mu kilka spraw.

– Nie chodzi o to, że przyprowadzam tu swojego chłopaka, żebyś podał go ocenie – oznajmiła, gdy już przybyli z Wen i jej bratowa poszła do jadalni, żeby pomóc Kyanli rozstawić talerze. – Maro uważa, że nie chcę go przedstawić rodzinie, bo nosi niewiele jadeitu i nie jest członkiem klanu. To nieprawda. Chciałam to zrobić znacznie wcześniej, ale nigdy nie było czasu. Maro podróżował, my mieliśmy mnóstwo zajęć, a ostatnio musieliśmy się też opiekować Nikiem i Ru. Dziś wreszcie mamy szansę, ale to jest tylko kolacja.

– Czym się tak niepokoisz? – zapytał jej brat z drwiącym uśmiechem, który ją irytował, ponieważ wcale się nie niepokoila. Po prostu chciała sprecyzować oczekiwania. – Myślisz, że poddam go przesłuchaniu? Zmuszę go do walki ze mną? Oboje z Wen cieszymy się, że mamy pretekst, by uciec na kilka godzin od dzieci.

Palcom pilnującym wejścia do posiadłości Kaulów rozkazano wpuścić chłopaka Shae, kiedy się zjawi. Maro przyszedł w nowej koszuli i zamszowej marynarce. Przyniósł ze sobą butelkę drogiej hoji wysokiej jakości. Pocałował Shae w policzek i oddał honory Hilowi, kłaniając się nisko.

– Kaul-jen.

Widok Mara demonstrującego unizoność wobec jej brata zirytował Shae bardziej, niż się tego spodziewała.

– Siostra mówi mi, że wykładasz na uczelni. To znaczy, że powinienem cię nazywać doktorem Tau – stwierdził z uśmiechem Hilo. – Ale wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi, więc dam sobie spokój z takimi formalnościami, jeśli ty postąpisz tak samo. – Przyjął z uznaniem podarunek (dyskretnie przemilczając fakt, że gorzelnia Przekłête Piękno jest własnością jego byłej pięści i rodzina Kaulów może otrzymać za darmo tyle produkowanej przez nią hoji, ile tylko zechce), położył dłoń na ramieniu gościa i ruszył z nim do pokoju, by przedstawić go Wen.

Kolacja przebiegła spokojniej, niż Shae się spodziewała. Jedzenie okazało się całkiem smaczne, niewątpliwie dzięki pomocy Kyanli. Hilo zachowywał się swobodnie i był czarujący – potrafił taki być, gdy tylko zechciał.

Shae cieszyła się z obecności bratowej, ponieważ Wen podtrzymywała rozmowę, ciepło wypytyując Mara o jego pracę wykładowcy oraz opublikowane przez niego prace dotyczące postkolonialnych stosunków kekońskoszotarskich. Maro niedawno wrócił z Leyolo, gdzie spędził dwa tygodnie, wykładając na Cesarskim Uniwersytecie i prowadząc badania w państwowych archiwach. Shae wiedziała, że częste podróże do Szotaru są dla niego również okazją do potajemnych spotkań z tamtejszą rodziną.

Jedyny krępujący moment wieczoru nastąpił dość niespodziewanie, gdy Wen ze szczerą ciekawością zapytała gościa:

– Maro-jen, jesteś szanowanym doradcą Rady Książęcej. Czy kiedykolwiek rozważałeś możliwość kariery politycznej?

Maro pociągnął łyk hoji, zanim jej odpowiedział.

– Przyszło mi to na myśl – przyznał.

Od dawna obowiązujące prawo zakazujące zielonym kościom pełnienia urzędów państwowych zmusiłoby go do dobrowolnego wyrzeczenia się jadeitu, gdyby chciał kandydować na członka Rady Książęcej. Ten fakt zniechęcał zdecydowaną większość absolwentów Akademii do zaangażowania w politykę.

– Lubię uczyć i prowadzić badania, ale chciałbym też wywierać wpływ na politykę kraju.

– Maro działa w organizacjach non profit udzielających pomocy humanitarnej ofiarom wojny w Oortoko – dodała Shae.

– To godne podziwu – odpowiedziała z uśmiechem Wen. – Fakt, że mówisz po kekońsku, espeńsku i szotarsku z pewnością pomaga ci w karierze.

Hilo nalał gościowi hoji i uśmiechnął się zachęcająco.

– Kanclerz Son zamierza w przyszłym roku przejść w stan spoczynku. Przydałoby się nam w Gmachu Mądrości więcej radców powiązanych z klanem Bez Szczytów.

Maro nie odpowiedział natychmiast. Potarł kark z zażenowaną miną.

– W najbliższym czasie nie zamierzam kandydować na żadne stanowisko, ale gdybym to zrobił, to tylko jako niezależny. – Zerknął na Shae, a potem na filar. – Wiem, że trudniej byłoby wygrać wybory bez poparcia kogoś z wielkich klanów, ale nie jestem płacącym daninę latarnikiem i nie pochodzę z rodziny zielonych kości. Dlatego nie czułbym się dobrze, przyjmując poparcie klanu. To wywołałoby wrażenie, że związałem się z Shae z powodu ambicji politycznych. – Położył dłoń na ramieniu Shae,



ale nadal mówił do filaru klanu. – Przede wszystkim chodzi jednak o to, że uważam, że we władzach powinno się słyszeć więcej głosów niepowiązanych z klanami.

Hilo uniósł leciutko brwi. Shae przenosiła spojrzenie między bratem a swoim chłopakiem. Kontrast między nimi był uderzający. Hilo siedział na krześle w swobodnej pozycji, wspierając się jednym łokciem na blacie. W typowy dla niego sposób zajmował dużo miejsca. Maro był wyprostowany i skupiony, robił wrażenie starszego, bardziej ostrożnego w zachowaniu i mowie.

– Niezależnych radców można przekupić albo zastraszyć – sprzeciwił się Hilo całkowicie neutralnym tonem. – Czy ich obecność w Radzie Książęcej rzeczywiście cokolwiek zmienia?

– Mogłaby zmienić, gdyby było ich więcej – nie ustępował Maro. – Niektóre sprawy uważane przez klany za niepodważalną świętość zapewne warto by rozważyć na nowo pod kątem ich rzeczywistej przydatności dla społeczeństwa. Na przykład zakaz handlu SN1, pojedynki czystej klingi czy Kekoński Sojusz Jadeitowy.

– Hilo często się skarży na to, że musi marnować czas na przygotowania przed spotkaniami KSJ, a w dodatku trwają one bardzo długo i są okropnie nudne – oznajmiła radośnie Wen, starając się zapobiec kontrowersji.

– Są też ekonomicznie niewydajne – kontynuował Maro, odmawiając skorzystania z furtki, którą ofiarowała mu Wen. – Można bronić tezy, że jadeit powinno się traktować jak każdy inny zasób i pozwolić, by popyt i podaż określał wolny rynek.

– Wtedy cudzoziemcy wykupiliby każdy kamyk – odparł z pogardą Hilo.

– Ale czy obiektywnie to byłoby takie złe? – zapytał Maro, jakby poddawał próbie opinii przedstawione w pracy studenta. – KSJ ogranicza globalną podaż jadeitu, sztucznie podbijając ceny, co z kolei powoduje odpływ kapitału na czarny rynek, zamiast zwiększać produkt narodowy brutto. Ponieważ SN1 stało się powszechnie dostępne, szybko zmierzamy ku czasom, gdy Kekończycy utracą monopol na jadeit. – Gdy Maro zainteresował się jakimś tematem, mówił coraz szybciej, a jego głos przybierał ton wykładowcy. – Nasza gospodarka rozwija się i staje coraz bardziej różnorodna. Pojawiają się nowe gałęzie przemysłu i wykorzystujemy nowe zasoby. Towarami, których eksport rośnie najszybciej, są dobra przetworzone, tekstylia i metale. Dlaczego nadal traktujemy jadeit jak coś znacznie ważniej-

szego od nich, co musi być kontrolowane przez państwowy kartel i broń siłą? To tylko rezultat głęboko zakorzenionych historycznych i religijnych uprzedzeń.

Hilo spojrział na niego dziwnie. W przeciwieństwie do Shae nie był przyzwyczajony do zachowania Mara, który lubił atakować powszechnie wyznawane poglądy, by wywołać interesującą debatę. Przez chwilę wyczuwała, jak brat poddaje jej chłopaka zimnej ocenie: jak zielona kość, czy w ogóle jakikolwiek Kekończyk, może podważać wartość jadeitu i wszystkiego, co on reprezentuje, i to w rozmowie z filarem klanu?

– Maro lubi grać rolę adwokata diabła – wtrąciła pośpiesznie, ale stanowczo, kładąc dłoń na ramieniu kochanka w geście, który miał wyrazić czułość, lecz jednocześnie go powstrzymać. – Dlatego jest tak szanowanym nauczycielem. Zawsze próbuje podważyć przekonania studentów. Potrafiłby cię przekonać, że biały kot jest czarny, a czarny biały.

– Ale to nie zmienia koloru kota – odparł Hilo, uśmiechając się półgębkiem.

Maro wyraźnie utracił pewność siebie. Shae dostrzegła na jego twarzy rumieniec wstydu i resentmentu. Zapomniała, jak szybko Hilo potrafi usadzić innych – jednym spojrzeniem albo słowem, właściwie bez wysiłku. Była wściekła na brata. Naukowców szanowano, ale kekońscy rodzice modlili się o to, by przynajmniej jeden z synów przyniósł zaszczyt rodzinie jako zielona kość. Wszystkie stopnie naukowe Mara były tylko papierem w porównaniu z jadeitem kogoś takiego jak Kaul Hilo. Shae widziała przez moment świadomość tego faktu wyraźnie wypisaną na jego nagle pozbawionej wyrazu twarzy.

Maro rozciągnął usta w wymuszonym uśmiechu.

– Za bardzo lubię się spierać, nawet poza salą wykładową. Shae to toleruje, ale czasami zapominam, że nie wszyscy mają tyle cierpliwości.

Hilo Postrzegł skrępowanie Mara albo gniew Shae i jego zachowanie zmieniło się nagle. Zbył te tłumaczenia machnięciem ręki i parsknął krótkim śmiechem.

– Shae jest cierpliwa? Nigdy tego nie zauważyłem. Najwyraźniej obudziłeś lepszą stronę jej natury. – Pochylił się i od niechcienia klepnął Mara w ramię. – Nie traktuj moich słów jako krytyki. Polityka zawsze mnie nudziła, ale jestem pewien, że odniesiesz w niej sukces, bez względu na wszystko. Cieszę się, że moja siostra znalazła sobie kogoś, kto dorównuje jej bystrością umysłu i stanowczością opinii.

– Macie jakieś plany na Święto Łodzi? – zapytała Wen. – My wybierzemy się z chłopcami do portu, żeby obejrzeni zatopienie statku. Nie widzieliśmy tego od lat.

Chwilowe napięcie rozproszyło się i rozmowa przeszła na lżejsze tematy. Wszyscy skończyli posiłek i popijali nieśpiesznie herbatę. Maro pożegnał się uprzejmie, nim pora zrobiła się zbyt późna. Ponownie oddał honory Hilowi, tym razem mniej oficjalnie, i podziękował mu za to, że poświęcił im dziś czas. Przy drzwiach spojrzał jeszcze na Shae ze smutkiem połączonym z ulgą, jakby chciał powiedzieć: „Nie było tak źle, prawda? Jakoś to przeżyliśmy”. Potem pocałował ją w usta.

– Spotkamy się wkrótce? – zapytał ścisłym głosem.

– Wkrótce – obiecała.

Wen oznajmiła, że musi wracać do głównego budynku, żeby nakarmić Ru, ale powiedziała mężowi, że on nie ma powodów do pośpiechu.

– Wypijemy razem herbatę w przyszłym tygodniu, jeśli będziesz miała czas, siostrze – dodała i uściskała Shae na pożegnanie. – Najlepszy byłby czwarty albo piąty dzień. W drugim mam lekcje, a w trzecim muszę iść do łaźni. Minęły już tygodnie od mojego ostatniego masażu.

– Moglibyśmy wybudować basen albo saunę w posiadłości – zasugerował Hilo. – To zaoszczędziłoby ci tych wycieczek.

– Coś takiego zajęłoby zbyt wiele miejsca – sprzeciwiła się Wen. – Poza tym lubię wychodzić z domu.

Dwójka małych dzieci zajmowała jej większość czasu, ale Wen nadal kierowała grupką agentek, które od czasu do czasu przekazywały jej w Niebiańskiej Światłości informacje przeznaczone dla klanu Bez Szczytów.

– W takim razie w przyszły piąty dzień – zgodziła się Shae. – Zadzwoń do ciebie, kiedy wrócę z pracy.

Po wyjściu żony Hilo pomógł zanieść naczynia do zlewu, a potem stanął w drzwiach na dziedziniec i zapalił papierosa. Siostra przystanęła obok niego.

– To była udana kolacja, Shae – rzekł do niej. Chciała już podziękować bratu, gdy nagle dodał: – Jest trochę dziwny, ale go lubię. Przynajmniej jest Kekończykiem.

Zamierzona odpowiedź Shae nagle przybrała ton oburzenia.

– Co ci powiedziałam przedtem? Nie przyprowadziłam go tu po to, by zdobył twoją aprobatę.

Brat spojrzał na nią z zasepioną miną.

– Nie krzycz na mnie, Shae. Zaprosiłaś mnie na spotkanie ze swoim chłopakiem i zgodziłem się z przyjemnością. Chciałaś, żebym na niego nie naciskał i nie robił z tego wielkiej sprawy. Spełniłem twoje życzenie. Już ci powiedziałem, że kolacja była udana. Wen i ja byliśmy zadowoleni. Przedstawiłaś mnie komuś i chcesz, żebym nie skomentował tego ani jednym słowem?

Mimo że Hilo nic nie wiedział o prawdziwym pochodzeniu Mara, Shae czuła się oburzona w imieniu swego chłopaka.

– Przynajmniej jest Kekończykiem? Co to właściwie miało znaczyć?

– Dokładnie to, co powiedziałem, nic więcej – warknął Hilo i zgasił papierosa z większą siłą, niż to było konieczne. – Być może nie ująłem tego zbyt szczęśliwie – przyznał z niechęcią. – Chodziło mi tylko o to, że nie będziemy mieli takich problemów jak w przeszłości. Maro jest zbyt wielkim idealistą, ale chyba ma dobre serce. Nie jest nawet w przybliżeniu taki zielony jak ty, ale niewielu mężczyzn spełniłoby ten warunek, więc nie ma w tym nic zaskakującego. Ważne, żebyś czuła się szczęśliwa. Kochasz go?

To pytanie zaskoczyło Shae. Zbił ją z tropu kontrast między brutalną szczerością Hila a jego nagle okazanym rozsądkiem.

– Chyba tak – odpowiedziała niemal bez zastanowienia.

– Jeśli nie jesteś pewna, to znaczy, że go nie kochasz.

Takiej właśnie opinii należało się spodziewać po jej bracie. Shae wiedziała, że lubi spędzać czas z Marem, uwielbiała ich długie rozmowy, ciepło jego ciała w łóżku, a także fakt, że miał wszystkie cechy, których tak często brakowało w klanie Bez Szczytów – był spokojny, roztropny i miał otwarty umysł. Kiedy była z nim, czuła się doceniana i atrakcyjna. Potrafiła sobie wyobrazić ich wspólną przyszłość. Ale od czasów Jeralda była też ostrożna.

– Myślę, że zbliżamy się do tego – stwierdziła. – Szkoda, że nie możemy spędzać razem więcej czasu. Klan zostawia bardzo niewiele miejsca na wszystko inne.

Jej brat przygarbił się nieco.

– Wiem o tym – mruknął i potarł dłonią zmęczone oczy.

Shae poczuła, że irytacja ją opuszcza, ustępując miejsca współczuciu. Hilo był najbardziej zaangażowanym filarem, jakiego kiedykolwiek widziano. Zostawiał jej większość spraw ekonomicznych i politycznych, ale nieraz zauważała, że siedział wieczorami przy kuchennym stole, przedzierając się z wysiłkiem przez raporty o działalności firm i podkreślając

fragmenty, o które musiał ją zapytać. Pilnie uczęszczał na wszystkie spotkania z prezesami korporacji albo radcami, które organizowała, nadrabiając brak doświadczenia oraz wiedzy niezaprzeczalną siłą osobowości. Choć stopniowo przyznawał Kehnowi coraz więcej autonomii, nadal wychodził na ulice, by rozmawiać z pięściami i palcami, a także spotykał się z latarnikami i szczegółowo śledził wszystkie militarne poczynania klanu, w skład których wchodziły teraz również patrole motorówek oraz zasadzki zastawiane w górskich lasach.

Ayt Mada budziła respekt jako filar dzięki swemu publicznemu wizerunkowi oraz zręcznej retoryce. Hilo tego nie potrafił, ale kierował ogromnym klanem Bez Szczytów w taki sam sposób, w jaki zdobywał szacunek jako róg – dzięki tysiącom rozmów i kontaktów osobistych, z wielkim wysiłkiem, krok po kroku. To był skuteczny sposób sprawowania tej funkcji, lecz wymagał mnóstwa wysiłku. A teraz miał też na głowie dwoje małych dzieci, pochłaniających resztę jego energii.

– Nie mam problemów z Marem, ale nie chcę żadnych tajemnic ani niespodzianek – oznajmił Hilo. – Jeśli postanowisz za niego wyjść i wprowadzić go do naszej rodziny, musisz mi o tym powiedzieć i poprosić mnie o zgodę w odpowiedni sposób.

– Dlatego, że jesteś moim starszym bratem? – spytała z ironicznym uśmiechem.

– Tak – potwierdził. W jego głosie pojawiła się nuta gniewu. Przeszył ją spojrzeniem sugerującym, że celowo robi mu trudności. – Jestem filarem i nie możesz zrobić czegoś, co dotyczy całego klanu, bez mojej zgody. Ja poprosiłem Lana o pozwolenie, zanim ożeniłem się z Wen.

– A gdyby odmówił?

– Nie zrobił tego. Czemu miałby tak postąpić?

Aura Hila zaiskrzyła się od irytacji.

– Myślisz, że zasady cię nie obowiązują, bo jesteś moją siostrą i prognostyczką? Kehn poprosił mnie o pozwolenie, jak należy. Woon również. Oczywiście w obu przypadkach się zgodziłem.

Shae spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Woon... zapytał cię, czy może...?

Hilo zerknął na siostrę, równie zdziwiony jak ona.

– Nie wiedziałas o tym? – Jego oczy nabrały dziwnego, bliskiego litości wyrazu. – Wkrótce po nowym roku przyszedł do mnie ze swoją dziewczyną. Nie byli ze sobą zbyt długo, cztery, może pięć miesięcy. Ale ich

rodziny się znają i oboje sprawiają wrażenie szczęśliwych, choć w przypadku Woono trudno to ocenić.

Od nowego roku minęło już osiem tygodni. Dziś po południu rozmawiała z Woonem w swym gabinecie.

– Dlaczego mi nie powiedział? – zapytała raczej siebie niż brata.

– Zapewne zamierzał to zrobić, ale zapomniał – odpowiedział Hilo.

Wyczuła, że sam w to nie wierzy. Woon nigdy o niczym nie zapominał.

– Jesteśmy Kaulami. Wszystkie podjęte przez nas decyzje wpływają na cały klan, nawet te, które wydają się nam prywatne – ciągnął filar. – Myślisz, że nie wiedziałem, co ludzie powiedzą o Maikach i o tym, że Wen jest kamiennooką? Pewnie, że wiedziałem. Dałem Kehnowi i Tarowi wszelkie możliwe szanse zasłużenia na zielen i udowodnienia swej wartości dla klanu. Poprosiłem Lana o błogosławieństwo, nim ożeniłem się z Wen. W przypadku Mara będziesz musiała postąpić tak samo, ponieważ on nie zdobędzie wpływów w klanie. To miły gość, ale klan nie jest dla niego. Jestem pewien, że może zajść wysoko w swym świecie i mieć dobre życie, jeśli zostanie z tobą, ale nie będzie siedział za stołem po kolacji, gdy zaczniemy rozmowę o sprawach klanowych. Nigdy. Musi zdawać sobie z tego sprawę, nim weźmie z tobą ślub. Jeśli poprosisz mnie o pozwolenie, będę musiał porozmawiać z nim na ten temat, ale myślę, że on zna siebie wystarczająco dobrze, więc nie powinno być problemu. Ale nie wybiegajmy naprzód. To była tylko kolacja i na razie zakończmy na tym.

– Zgadza się.

Shae uświadomiła sobie, że jej słowa miały lekko skwaszone i obojętne brzmienie. Chciała się gniewać na brata, choć raczej z przyzwyczajenia niż z jakiegoś konkretnego powodu. Nic z tego, co powiedział, nie było fałszem.

Hilo ziewnął.

– Powiniennem już iść. Ru obudzi mnie przed świtem. – Spojrzał na ogród. – Co słyhać u Andy'ego?

To pytanie zaskoczyło Shae tak bardzo, że w pierwszej chwili nie wiedziała, co powiedzieć. Ich kuzyn przebywał w Espenii już od z górą roku i Hilo nigdy dotąd o niego nie pytał. Gdy wspominała, że rozmawiała z Andenem przez telefon albo dostała od niego list, brat słuchał jej, ale nic nie mówił. To proste pytanie było tak zaskakujące, jakby pogrążony w śpiączce pacjent otworzył nagle oczy i zapytał która godzina.

– Myślę, że wszystko w porządku – odpowiedziała, próbując sobie przypomnieć ostatnią międzypaństwową rozmowę z Andenem, odbytą jakiś miesiąc temu. – Mówił, że ma dobre oceny, a rodzina, u której mieszka, porządnie go traktuje. Znalazł sobie przyjaciół, a nawet gra w piłkę sztafetową. Wspomniał też, że w Port Massy są ludzie, którzy noszą jadeit, jeśli potrafisz w to uwierzyć. Wśród kekońskich imigrantów istnieje coś w rodzaju małego nieformalnego klanu. Anden poznał miejscowy filar i jego rodzinę. – Pokręciła głową. – Nie potrafię tego pojąć. Zawędrował tysiące kilometrów od Kekonu i znowu znalazł się wśród zielonych kości.

– Mnie to nie dziwi – odparł Hilo. – Od zieleni nie można się tak łatwo uwolnić.

\* \* \*

Gdy Shae przybyła następnego ranka do gabinetu na Statkowej, Woon już tam na nią czekał. Sprawiał wrażenie wyjątkowo podenerwowanego. Przeszyło ją nagle ukłucie niepokoju. Być może konflikt między nią a Woonem wcale się nie zakończył i właśnie dlatego nie poinformował jej o swoich zaręczynach, a teraz dowiedział się skądś, że wczoraj usłyszała o nich od Hila. Potem jednak wręczył jej dzisiejszy „Dziennik Janloński”, przełożył go na drugą stronę i złożył, by pokazać Shae dół. Spojrzenie kobiety padło na nagłówek. *Prognostyczka klanu Bez Szczytów była espeńskim szpiegiem*. Przez moment gapiała się na to bez zrozumienia, po czym z narastającym niedowierzaniem przeczytała resztę artykułu. Cytował on nieujawnione źródła i tajne dokumenty świadczące, że siedem lat temu Kaul Shaenlinsan służyła espeńskiemu wywiadowi wojskowemu jako cywilna informatorka. Współpracowała z nim przez osiemnaście miesięcy, wspierając zagraniczne interesy polityczne i ekonomiczne. W zamian za to otrzymała hojną zapłatę i przyznano jej wizę studencką, by mogła podjąć naukę w szkole podyplomowej w Windton, razem ze swym chłopakiem, espeńskim oficerem szotarskiego pochodzenia. Pewni anonimowi członkowie klanu potwierdzili, że ten akt zdrady, którego dopuściła się jego ulubiona wnuczka, złamał serce nieżyjącego Kaul Seningtuna i doprowadził do rozłamu w rodzinie, co przyspieszyło utratę fizycznych i umysłowych sił Płomienia.

Gazeta zadrzała w rękach kobiety. Shae rzuciła ją na blat i zacisnęła palce na jego brzegu.

– To robota Ayt Mady – wyszeptała.

Nie dalej jak wczoraj przechwalała się tym, że wykorzystwała Espeńczyków, by zadać cios operacjom Góry. Zastanawiała się, kiedy i w jaki sposób Ayt na to zareaguje. Teraz otrzymała odpowiedź.

W szczytowym punkcie wojny klanów Ayt zbadała przeszłość Shae, wykorzystując swych szpiegów i źródła, by dowiedzieć się wszystkiego, czego tylko mogła, o przeszłości swej rywalki, pragnąc skłonić ją do zwrócenia się przeciwko Hilowi. A teraz przekazała te informacje prasie. Decyzje, które podjęła jako prognostyczka, przysporzyły jej wielu wrogów, a trwająca od ośmiu miesięcy wojna w Oortoko, która kosztowała już wiele ofiar i nadal nie zanosilo się na jej zakończenie, maksymalnie podsycała wrogość opinii publicznej wobec cudzoziemców, a zwłaszcza Espeńczyków. Ayt świetnie przygotowała swój atak, nadając mu skrajnie niszczycielski charakter.

– Jak powinniśmy na to odpowiedzieć, Shae-jen? – zapytał stojący za jej plecami Woon.

Zwolniła uścisk na blacie i odwróciła się. Jeśli zignoruje rzucone publicznie oskarżenia, będzie to równało się przyznaniu do winy. A jeśli wszystkiemu zaprzeczy, Ayt zdemaskuje jej kłamstwa. Zastanawiała się gorączkowo, szukając jakiegoś sposobu, który pozwoliłby zredukować straty i odzyskać przewagę, jaką miała jeszcze wczoraj. Pod wszystkimi tymi myślami kipiała jednak narastająca wściekłość. Spodziewała się, że Ayt Mada zaatakuje ją w jakiś sposób, ale nie wyobrażała sobie, że cios nadejdzie tak szybko i będzie miał równie osobisty charakter. Że jej przeszłość zostanie wykorzystana jako broń przeciwko klanowi.

– Musimy jak najszybciej wydać oświadczenie – oznajmiła Shae. –

Dowiedz się, kim są ci dziennikarze i jakie więzy łączą ich z Górą. Zadzwoń do redaktora naczelnego „Dziennika Janlońskiego” i powiedz, że chcę natychmiast z nim porozmawiać. Musimy położyć kres tej sprawie.



# ROZDZIAŁ 27

## CZYSTO PRAKTYCZNA DECYZJA

Hilo pociągnął za tasemki czarnego woreczka, który Kehn rzucił na jego biurko, i wydobył ze środka garść jadeitowych guziczków. Przetoczył klejnoty w dłoni, a potem zerknął pytająco na swój róg.

– Kazałem sześciu palcom i dwunastu ochotnikom spośród uczniów najstarszego rocznika Akademii całymi dniami sprawdzać wszystkie ubrania znalezione na pokładzie statku, który ostatnio przechwyciliśmy. To już trzeci w ciągu trzech miesięcy. Można by pomyśleć, że otworzyliśmy własną pierdoloną fabrykę, tyle że dzielimy ubrania na części, zamiast je zszywać. – Kehn wyglądał, jakby przyszedł tu prosto z portu. Włosy miał potargane wiatrem, a kołnierzyk koszuli przepocony. Zdjął z pleców guan dao i oparł je o krzesło, ale nie usiadł. – To tylko jeden z woreczków. Kazałem Juenowi oddać resztę jadeitu na przechowanie do biura prognostyka.

Hilo wsypał guziki z powrotem do mieszka.

– Ta ygutańska firma ubezpieczeniowa wydzwania do mnie codziennie, bez względu na to, ile razy powtarzam im, że mają spierdalać.

– Shae-jen już się tym zajęła. Zaczęła od pozwania wszystkich ich klientów o przewóz kradzionych dóbr narodowych. – Kehn wzruszył potężnymi ramionami. – Ale w tej chwili ma na głowie inne sprawy.

– Słyszałem, że bez zastanowienia wrzuciłeś do oceanu jednego *barukana* razem z jego jadeitem.

Hilo uśmiechnął się na widok zażenowanej miny Kehna.

– Zapewne był tylko jeden kawałek, góra dwa – mruknął róg.

Hilo wstał, wysypał z woreczka sześć guzików, okrążył biurko, odsunął klapę marynarki Maika i wsypał klejnoty do wewnętrznej kieszeni.

– To powinno wynagrodzić twoje straty – stwierdził i poprawił marynarkę szwagra.

Kehn mruknął coś pod nosem.

– Nie kwestionuj decyzji filaru – rzekł mu jednak Hilo. – Zasłużyłeś na to. Poza tym masz wkrótce się ożenić. Możesz to uznać za przedwczesny prezent ślubny.

Hilo cieszył się, widząc, że Kehn coraz lepiej radzi sobie jako róg. Po cichu żałował, że sam nie dowodzi tymi akcjami, wiedział jednak, że to byłoby nierozsądne. Sprawiała mu satysfakcję myśl, że to zwycięstwo należy wyłącznie do Kehna. Cieszył się, że jego szwagier i jego siostra współpracują ze sobą harmonijnie, co rzadko zdarzało się rogom i prognostrykom. Tak właśnie powinno to wyglądać – współpraca między militarną a biznesową stroną klanu zamiast rywalizacji, jak w czasach, gdy on był rogiem, a Doru prognostrykiem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Tar wsunął głowę do środka.

– Jacyś ludzie chcą się z tobą zobaczyć, Hilo-jen.

Niko przemknął obok jego nóg i wpadł do gabinetu. Wolno mu było chodzić po całym domu i wszędzie było go pełno. Hilo uniósł go i pokołysał trochę, aż chłopczyk zaczął chichotać. Potem przekazał go rogowi.

– Idź do wujka Kehna. Później się z tobą pobawię. – Trzymając w jednej ręce wyrywające się dziecko, róg oddał honory drugą i zwrócił się ku wyjściu. – A co z Górą? – zapytał go jeszcze Hilo. – Czy dotrzymują słowa?

Kehn zatrzymał się w drzwiach i mruknął potwierdzająco.

– Jak dotąd tak. Nau Suen i jego zielone kości przechwycili w tym roku już sześć ekip poszukiwaczy. – Filar milczał nieufnie. – Bez obaw, Hilo-jen – uspokoił go. – Obserwujemy ich.

Gdy róg oddalił się z Nikiem, do gabinetu weszli mężczyzna i kobieta. Hilo nigdy dotąd ich nie spotkał, ale słyszał o straszliwej tragedii, która ich spotkała, i wiedział, kim są. Pan Eyun był współwłaścicielem miejscowej firmy produkującej opakowania i pomniejszym latarnikiem klanu Bez Szczytów. Mieli z żoną pięcioro dzieci, a ich najstarsza córka skończyła już szesnaście lat. Oboje oddali Hilowi honory i usiedli na kanapie naprzeciwko filaru. Ich twarze nic nie wyrażały. Hilo skinął na Tara, nakazując mu zostać w gabinecie, po czym zamknął drzwi i usiadł naprzeciwko Eyunów.

– Jak się czuje wasza córka? – zapytał.

– Będzie żyła – odparł ochryple pan Eyun.

Twarcz jego żony drżała z wysiłku wkładanego w powstrzymanie emocji. Oboje sprawiali wrażenie nadal pogrążonych w szoku.

Hilo znowu skinął na Tara, kazać mu, by podał gościom wodę.

– Czy klan może w jakiś sposób pomóc waszej rodzinie? – zapytał. – Nie musicie się martwić o koszty leczenia. Wszystkie już pokryto. Czy potrzebujecie czegoś więcej?

– Zemsty – wyszeptał z pasją pan Eyun. Głos mu się załamywał. – Espeńskie psy, które jej to zrobiły, zasługują na coś gorszego niż śmierć.

Hilo szczerze współczuł nieszczęsnej rodzinie, wiedział jednak, że rozmowa będzie trudna. Nie mógł obiecać wszystkiego, co pragnęły im dać.

– Obu żołnierzy aresztowały espeńskie władze. Przebywają w bazie na Eumanie. W tej chwili nie możemy ich dosięgnąć.

Pani Eyun się rozplakała, a jej mąż wybuchnął gniewem.

– Prawnicy mówią, że Espeńczycy wynegocjowali zgodę na to, by ich żołnierzy osądził cywilny sąd i by odsiedzieli wyrok w ojczyźnie. Proponują nam rekompensatę finansową. Pieniądze za pobicie i zgwałcenie mojej córki! – Pani Eyun uścisnęła ramię męża i rozplakała się jeszcze bardziej, ale oszalały mężczyzna jej nie zauważył. Twarz mu poczerwieniała. – Rada Książęca nie sprzeciwi się Espeńczykom, ale liczyłem na to, że przynajmniej klan wymierzy sprawiedliwość! Byłeś rogiem, a teraz jesteś filarem. Podobno jesteś straszliwym Kaul Hiloshudonem z klanu Bez Szczytów. Czy chcesz powiedzieć, że nawet ty jesteś bezsilny wobec tych cudzoziemskich zwierząt?

Hilo dał mężczyźnie około minuty, by mógł odzyskać panowanie nad sobą.

– Z uwagi na twój żal nie czuję się urażony niczym, co powiedziałeś – odezwał się wreszcie spokojnym, lecz dość zimnym głosem. – Gdyby ci dwaj mężczyźni pochodzili z Kekonu, już byliby w znacznie gorszym stanie niż twoja biedna córka. Niestety, tak nie jest, a biorąc pod uwagę wszystko, co dzieje się obecnie na świecie, oraz fakt, że nasz kraj musi utrzymywać poprawne stosunki z wieloma cudzoziemskimi mocarstwami, istnieją granice tego, co nawet klan jest w stanie osiągnąć. – Wręczył pani Eyun pudełko z chusteczkami. – Powiedziałem, że w tej chwili nie jesteśmy w stanie dosięgnąć winnych. Czasami trzeba poczekać na wymierzenie sprawiedliwości, ale klan nie zapomina. Zobaczmy, co się da zrobić. Na razie nie mogę niczego obiecać, ale sam mam dzieci, więc powinniście zrozumieć, że uważam zbrodnię popełnioną przeciwko waszej rodzinie za niewybaczalną.

Usta pana Eyuna zadrżały. Mężczyzna opuścił wzrok. Jego żona otarła oczy garścią chusteczek.

– Radzę wam przyjąć rekompensatę od Espeńczyków, wyciągnąć od nich tyle, ile tylko się da. Może się wam wydawać, że to brudne pieniądze, mające was przekupić, skłonić, byście zrezygnowali z tego, co wam się należy, ale nie myślcie o tym w ten sposób. Niech im się zdaje, że zawarli ugodę, bo takie są ich zwyczaje. Wykorzystajcie te pieniądze, żeby pomóc córce i reszcie rodziny – zakończył Hilo łagodnym, ale stanowczym tonem. Tar skierował zrozpaczonych rodziców ku wyjściu, a filar poprosił, by na parę minut zostawiono go samego. Czuł się winny, ponieważ nie mógł ofiarować państwu Eyun nic więcej, ale wojna oortokańska i rosnąca obecność espeńskich sił na Kekonie były jak ropiejący wrzód na podeszwie stopy. Najwyraźniej nikt na wyspie, nawet klany zielonych kości, nie był w stanie zrobić ani jednego kroku, nie krzywiąc się przy tym z bólu. W zeszłym tygodniu, po rozmowie z Eitenem w Poczwórnej Wygranej, Hilo rozkazał Kehnowi zamknąć kilkanaście nielegalnych kantorów wymiany walut, oszukujących espeńskich żołnierzy odwiedzających kasyna na ulicy Dla Ubogich, a także zwiększył liczbę patroli w Pasze po serii incydentów wywołanych przez pijanych cudzoziemców.

– Czy mam wysłać po Hamiego i pozostałych, Hilo-jen? – zapytał Tar.

Filar skrzywił się. Korciło go, by powiedzieć „nie”, ale gdyby tak zrobił, czekający za drzwiami problem nie zniknąłby, tylko stał się jeszcze poważniejszy. Zresztą zapewne i tak do tego dojdzie.

– W porządku – zgodził się.

Tar wpuścił do gabinetu czterech mężczyzn. Jednym z nich był Hami Tumashon, pierwszy szczęściodawca klanu. Hilo rozpoznał też radcę Kowiego po jego głowie w kształcie rzepy. Dwaj pozostali byli ważnymi latarnikami, ale Hilo nie przypominał sobie ich nazwisk. Wszyscy z szacunkiem oddali mu honory.

– Kaul-jen, niech bogowie nadal opromieniają klan Bez Szczytów swą łaską. Wiemy, że jesteś bardzo zajęty, zwłaszcza odkąd masz w domu dwóch małych synów. Dlatego jesteśmy wdzięczni za to, że znalazłeś czas, by się z nami spotkać i wysłuchać naszych trosk.

– To prawda, rzeczywiście miałem ostatnio bardzo wiele zajęć. Wszyscy macie dzieci, więc może sobie przypominacie, jak to wygląda. Dziękuję, że przyszliście tutaj, zamiast zmuszać mnie do wyprawy do Gmachu Mądrości albo w jakieś inne tego rodzaju miejsce.

W ten sposób przypomniał wszystkim obecnym, że nie chciał tego spotkania i zgodził się na nie tylko z uwagi na Hamiego, którego lubił i szano-

wał. Hilo usiadł na jednym z foteli i goście również zajęli miejsca.

– O co chcieliście mnie zapytać? – zapytał filar bez zbędnych wstępów. Znał już odpowiedź na to pytanie, ale pragnął, by powiedzieli to na głos, usprawiedliwili się przed przywódcą klanu.

Wszyscy czterej popatrzyli na siebie nawzajem.

– Kaul-jen, chodzi o twoją siostrę – odezwał się po chwili radca Kowi. – Na jaw wyszły skandaliczne informacje dotyczące jej przeszłości i w związku z tym uważamy, że... nie powinna dłużej pełnić funkcji prognostyczki.

– A to dlaczego? – zapytał Hilo.

– Przede wszystkim chcę powiedzieć, że osobiście nie mam nic przeciwko niej – kontynuował radca z wyraźnie zakłopotaną miną. – Chodzi mi wyłącznie o reputację klanu Bez Szczytów. Obawiam się, że wygląda to bardzo źle, Kaul-jen. Rzecz w tym, że była agentką espeńskiego wywiadu wojskowego i sprzedawała mu informacje, które mogły mieć znaczenie dla bezpieczeństwa kraju. Dzisiaj w „Dzienniku Janloońskim” opublikowano wywiad z byłym kochankiem, espeńskim żołnierzem szotarskiego pochodzenia. Nadal pozostawała z nim w związku, kiedy mieszkała w Espenii, niespełna cztery lata temu. – Pan Kowi rozpostarł dłonie, sugerując, że problem jest oczywisty. – Jak można jej powierzyć drugą pod względem znaczenia pozycję w klanie?

Obaj latarnicy pokiwali głowami. Hilo przeniósł spojrzenie na Hamiego.

– Jesteś w tym gabinecie jako pierwszy szczęściodawca, Hami-jen. Pracujesz po biznesowej stronie klanu już od wielu lat i zdobyłeś znaczne doświadczenie. Czy twoim zdaniem prognostyczka źle kieruje urzędem na Statkowej?

Hami zerknął na pozostałych mężczyzn, po czym przesunął się na fotelu i odchrząknął.

– Tego bym nie powiedział. O niektórych podjętych przez nią decyzjach można dyskutować, ale to nie to samo.

– Mimo to poprosiłeś o to spotkanie i jesteś teraz tutaj. To znaczy, że zgadzasz się z opinią pozostałych gości.

– Podzielim ich niepokój o to, jak wpłynie to na reputację klanu Bez Szczytów – odpowiedział Hami. – Radca Kowi zawsze bronił interesów klanu w Gmachu Mądrości, a Pan Orn i pan Eho zaliczają się do najwyższej postawionych latarników w klanie. Gdy zwrócili się do mnie z prośbą o załatwienie audiencji, doszedłem do wniosku, że to ważne, byś wysłuchał

ich osobiście. Nie próbuję ci sugerować, jaką decyzję powinieneś podjąć jako filar.

Hami mógł słysząc z bezpośredniej szczerości, z pewnością jednak był zbyt rozsądny, by posuwać się za daleko i mówić źle o swojej prognoście przy ludziach, którzy nie byli zielonymi kośćmi.

– Uważacie, że powinienem powołać kogoś innego na stanowisko prognostyka? – zapytał obu latarników.

– Kaul-jen – zaczął starszy z nich. Hilo wiedział już, że to pan Eho. – To czysto praktyczna decyzja. Prognostyk jest twarzą klanu, razem z filarem i rogiem. Ponieważ informacje o jej przeszłości wyszły na jaw, prasa i opinia publiczna zaczęły pytać, czy nadal pracuje potajemnie dla cudzoziemców, służąc ich interesom, a nie naszym. Nazywają ją espeńską laleczką. To bardzo wulgarnie. Wojna oortokańska spowodowała, że opinia publiczna zwróciła się przeciwko Adamont Capita. Przeszłość prognostyczki stanowi problem dla klanu Bez Szczytów.

– Mogłaby złożyć rezygnację i nadal pracować dla biura prognostyka w mniej publicznej roli – zasugerował pan Orn. Hilo przypomniał sobie, że on również niedawno ogłosił, iż zamierza kandydować do Rady Książęcej. – Po prostu potrzebujemy kogoś bardziej odpowiedniego w roli przywódcy strony biznesowej klanu.

Hilo go zignorował.

– Kto ją tak nazywa? – zapytał pana Eho. Latarnik popatrzył na niego ze zdziwieniem. – Kto nazywa moją młodszą siostrę kurwą?

– Nie... nie powiedziałem... – wyjąkał pan Eho, nagle skruszony, a nawet nieco przestraszony. Przypomniał sobie, że Kaul Hilo również zdobył w przeszłości pewną reputację.

– Nie musisz mi odpowiadać – ciągnął Hilo. – Wiem, kto to jest. Ayt Mada. Chce się popisać patriotyzmem. Zniesławiła Shae, żeby osłabić klan Bez Szczytów.

– Nie możesz zaprzeczyć faktom – nie ustępował radca Kowi.

– Nie zaprzeczam im – odparł Hilo. – W młodości moja siostra popełniła kilka błędów, podobnie jak każdy. Wdała się w głupi romans z cudzoziemcem, ale to już dawno się skończyło i wszelkie kontakty, jakie utrzymuje obecnie z Espeńczykami, służą interesom klanu Bez Szczytów, zgodnie z przysięgą, którą złożyła mnie jako filarowi. Jeśli dobrze wykonuje obowiązki prognostyczki, nie widzę żadnego problemu.

– Kaul-jen! – zawołał pan Eho. – Czy naprawdę nie obchodzi cię, jak to wygląda w oczach ludzi?!

Hilo obrzucił Eha, Orna i Kowiego krótkim, ostrzegawczym spojrzeniem, po czym na dłużej wlepił wzrok w Hamiego, jakby chciał mu przekazać, że pozostałym można rzecz jasna wybaczyć marnowanie jego czasu, ale zielone kości powinny wiedzieć lepiej. Filar był kręgosłupem klanu i nie podejmował decyzji po to, by sprawić przyjemność innym. A już z pewnością nie nienoszącym jadeitu politykom.

Hami wciągnął w siebie swoją aurę.

– Postąpiłbym nieodpowiedzialnie, gdybym jako pierwszy szczęściodawca nie poinformował cię o konsekwencjach, jakie to może mieć dla klanu Bez Szczytów i twojego przywództwa, Kaul-jen – rzekł nieco defensywnym tonem. – Twój dziadek i większość jego towarzyszy, niech bogowie obdarzą ich uznaniem, już nas opuścili. Gdy ludzie patrzą dziś na zielone kości, nie widzą bohaterów wojny wielu narodów, lecz młodych przywódców, którzy wychowali się pośród bogactwa i cudzoziemskich wpływów. Dlatego zadają sobie pytanie, czy są wystarczająco zieloni, by bronić ojczyzny, jak ich rodzice i dziadkowie.

Hilo pochylił się i obrzucił krąg gości niewyrażającym zbytniego uznania spojrzeniem.

– Mój dziadek trzymał swojego starego koleśia, Yun Dorupona, na stanowisku prognostyka przez dziesięciolecia po tym, jak powinien był on przejść na emeryturę, i bez względu na to, ile nieletnich dziewcząt ruchał Doru, nie zauważyłem, żeby ktokolwiek się temu sprzeciwił. Zdecydowałem, że umieszczę siostrę na Statkowej i nie odwołam jej stamtąd tylko dlatego, że Ayt Mada wygrzebała jakiś syf i wcisnęła go prasie.

Wstał, sygnalizując, że rozmowa skończona. Goście zrobili to samo. Radca Kowi i dwaj latarnicy byli wyraźnie niezadowoleni. Oddali sztywno honory, nie odzywając się ani słowem.

– Podoba mi się, że mówisz to, co myślisz, Hami-jen, pod warunkiem, że nie zapomnisz o zdrowym rozsądku i będziesz służył prognostycze – oznajmił Hilo.

Pierwszy szczęściodawca oddał honory, również nic nie mówiąc, i wyszedł razem z pozostałymi. Potem Hilo okrążył kilka razy gabinet, przeklinając pod nosem. Wreszcie złapał za telefon, zadzwonił do biura prognostyka i połączył się z sekretarką Shae.

– Powiedz mojej siostrze, że musimy porozmawiać.

# ROZDZIAŁ 28

## NIE AŻ TAK GŁUPI

W zeszłym roku przed Berem otwierały się szerokie perspektywy, ale od kilku miesięcy, odkąd Góra zaatakowała ekspedycję zbieraczy jadeitu i wymordowała uwiwańskich robotników, w jego karierze zapanował całkowity zastój. Powrót do Janloonu zajął jemu i Mudtowi resztę tej nieszczęsnej nocy i dwa następne dni. Najpierw musieli zejść na dół, a potem pokonać resztę drogi na piechotę. Gdy wreszcie dotarli na miejsce, głodni, obdarci i obolali, a potem poinformowali Soradiya, że zielone kości zabiły zbieraczy, ukradły ciężarówki i skonfiskowały jadeit, twarz *barukana* zrobiła się fioletowa. Sprawiał wrażenie gotowego zamordować ich obu.

– Kurwa, nosicie we dwóch tyle zieleni i nie potrafiliście ich Postrzec na czas, by uciec choć z częścią łupów?

– Uciekliśmy z życiem – mruknął Mudt.

– Jasne – warknął Soradiyo. – A jak to się stało, że żyjecie? – zapytał, mrużąc podejrzliwie oczy. – Dlaczego Nau nie skręcił wam karków?

– Odesłał nas tu, żebyśmy przekazali ci wiadomość – wyjaśnił Bero. – Powiedział, że chce z tobą porozmawiać. Że jeśli nadal będziesz robił to, co teraz, nic na tym nie skorzystasz. Myślę, że chce cię przekupić.

*Barukan* skrzywił.

– Wypierdalajcie stąd – warknął.

Bero miał nadzieję, że następne zadanie będzie dla niego szansą zrehabilitowania się po ostatniej katastrofie, ale okazało się, że zamiast wysłać go na poszukiwania, zawieziono go ciężarówką do wietrznej zatoczki w zachodniej części wyspy, gdzie pomagał ładować na kutry motorowe surowy jadeit ukryty pod lodem i owocami morza. Najwyraźniej klany nieoficjalnie przejęły rolę straży wybrzeża i patrolowały otaczające Kekon wody tak intensywnie, że przemykanie jadeitu za granicę stawało się coraz trudniejsze. Soradiyo wysyłał teraz transporty na Uwiwy na sześciu stat-



kach, odpływających jednocześnie w różnych kierunkach, licząc na to, że choć nieliczne dotrą do celu. Bero przez wiele dni czuł potem smród gnijących ryb na swym ubraniu, skórze i włosach.

Następną wyprawę poszukiwaczy, na którą miał ich wysłać Soradiyo, odwołano z powodu ostrzeżenia przed patrolami zielonych kości w okolicy. Później nadeszły ulewne wiosenne deszcze i góry stały się niedostępne. Wszelkie wydobywanie jadeitu – zarówno legalne, jak i nie – przerwano na trzy miesiące.

Bero liczył na to, że po nadejściu lata wróci do pracy, ale Soradiyo nie skontaktował się z nimi. *Barukan* najwyraźniej miał na głowie inne problemy i coraz trudniej było go znaleźć. Pewnego dnia Bero spotkał go w Domu Szczurów i zażądał wyjaśnień.

– Już niedługo, tak? – odparł poirytowany Soradiyo. – Zajmuję się teraz innymi sprawami. Takimi, które mogą zaradzić wielu naszym trudnościom.

Nie chciał jednak powiedzieć nic więcej. Sfrustrowany Bero w końcu stracił cierpliwość.

Podejście demonstrowane przez Mudta również mu nie pomagało.

– Keke, mówiłem ci od początku, że nie potrzebujemy tego *barukana*. To niegodny zaufania dupek. To zawsze był kiepski pomysł, ale w porządku, zrobiliśmy to, żyjemy i zarobiliśmy tyle forsy, że starczy nam na pewien czas. Klany coraz silniej starają się zniszczyć przemyt. Soradiyo będzie karmił robaki. Dlatego powinniśmy wycofać się z tego, dopóki jeszcze możemy. Wróćmy do poważnego szkolenia, a potem załatwmy Maików.

– Chuj mnie obchodzą Maikowie – warknął Bero.

– Maik Tar zabił mojego tatę! – krzyknął Mudt.

– Twój tata sam się o to prosił. Po co się mieszał w wojnę klanów? Ty skończysz tak samo, jeśli się nie zamkniesz.

Następnego dnia Bero trochę pożałował tych ostrych słów. Przeżyli razem z Mudtem sporo trudnych chwil. Kradli jadeit, ryzykując życie. Obaj byli samotni i dlatego stali się czymś w rodzaju przyjaciół. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że nie chce zrywać kontaktów z chłopakiem, że w głębi duszy na swój sposób go lubi. Dlatego zadzwonił do Mudta i wybrali się razem zagrać w bilard w piwnicy Domu Szczurów.

– Nie miałem racji, mówiąc tak o twoim tacie – oznajmił. – Załatwmy Maika. Pomogę ci dopaść skurwysyna. A potem weźmiemy sobie jego jadeit, tak samo jak zrobiliśmy to z Kaulem. Tylko we dwóch.

W małych, czarnych oczkach Mudta pojawił się zapal. Jego nastrój znacznie się poprawił. Ćwiczyli razem, a Bero wrócił do handlu błyskiem, nadal jednak miał nadzieję, że Soradiyo zleci im jakieś zadanie albo pojawi się nowa okazja, ponieważ wbrew temu, co powiedział Mudtowi, żeby go pocieszyć, nie miał zamiaru próbować wykończyć Maików z powodu jakiegoś głupiego pragnienia zemsty. To go nie obchodziło.

Wreszcie Soradiyo wezwał ich na spotkanie w Domu Szczurów. Poklepał Bera i Mudta po plecach i rozmawiał z nimi przyjaźnie, jakby nigdy nie było między nimi żadnych problemów. Gdy już wypili kilka kolejek i przebrnęli przez zwyczajowe bezsensowne rozmówki, Bero wreszcie zapytał:

– Pracujemy jako skorpeny już od z górą roku. Gdzie jest jadeit, który nam obiecałeś?

Soradiyo rozpostarł dłonie.

– Wkrótce go dostaniesz, keke. – Od chwili, gdy Bero go poznał, *barukan* nauczył się niektórych kekońskich gestów i miejscowego slangu. – Ale pora deszczowa się nie liczy. To okres wakacji. Zostały jeszcze jakieś dwa miesiące.

Bero skrzywił się z niezadowoleniem.

– To znaczy, że masz dla nas jakąś robotę?

Po raz pierwszy, odkąd go poznał, Soradiyo sprawia wrażenie podenerwowanego. Obliznął wargi i pochylił się w ich stronę, by nikt ich nie podsłuchał.

– Tak, ale to nie będzie poszukiwanie jadeitu.

– W takim razie co? – zapytał Bero – Znowu ładowanie kamieni?

– To, co nazywa się wyszeptaniem imienia. Nie będziecie mogli nosić jadeitu, bo to nie jest zwyczajne imię. Dano nam szansę przejścia do ofensywy. Wtargnięcia do legowiska tygrysa, że tak powiem. Potrzebuję paru keków, którzy nie znają strachu i chcą zarobić kupę forsy.

– Kogo mamy załatwić? – zapytał Mudt i pochylił się. Po raz pierwszy sprawiał wrażenie zainteresowanego.

– Najpierw muszę się upewnić, że jesteście gotowi podjąć się tego zadania. Mamy plan, który pozwoli wam dostać się do środka, wykonać robotę i zwać bez trudności. Ale to będzie...

– Nie jestem zainteresowany – przerwał mu Bero.

Soradiyo wyprostował się zaskoczony tak szybką odmową.

– To wielka szansa. Jeśli nie przyjmiecie tej roboty, zlecę ją Mo i Krewetce.

To była inna dwójka pracujących dla niego skorpen.

Bero wzruszył ramionami. Nie miał ochoty wyjaśniać, że już chodził tą drogą. Za każdym razem, gdy ścierał się z zielonymi kośćmi, jedynie szczęście pozwalało mu ująć z życiem, a do tego nie tylko nie otrzymywał obiecanej nagrody, lecz jego sytuacja gwałtownie zmieniała się na gorsze. Miał za sobą zbyt wiele bliskich spotkań ze śmiercią jak na dwudziestolatka. Nauczył się już, że są bezpieczniejsze sposoby zdobycia jadeitu niż otwarta próba zabicia zielonej kości. Wiedział, jak to jest, gdy nosi się zieleni i chodzi po świecie ze skrywanym poczuciem władzy nad wszystkimi słabszymi ludźmi wokół, ale zielone kości mogły mu to odebrać w każdej chwili i wrzucić jego ciało do wody w Porcie Letnim.

– Daj mi kolejną robotę przy zbieraniu jadeitu. Mogę nawet ładować ryby, jak poprzednim razem, ale nie ma mowy, żebym zdjął klejnoty. Nie przyjmę też żadnej szeptanej roboty. Nie, jeśli w grę wchodzi zielone kości – oznajmił Bero. – Nie jestem aż tak głupi.

Soradiyo wstał z krzesła.

– Hej, a co ze mną? – sprzeciwił się Mudt, ale *barukan* rzucił na stół pieniądze za alkohol, omiótł ich obu pogardliwym, rozczarowanym spojrzeniem, i opuścił Dom Szczurów.

# ROZDZIAŁ 29

## OTWIERANIE I ZAMYKANIE DRZWI

W gabinecie Shae ponownie pojawił się latarnik pan Enke. Tym razem zachowywał się znacznie uprzejmiej niż wtedy, gdy żądał pieniędzy.

– Wojna w Oortoko fatalnie wpływa na janlooński rynek nieruchomości – poskarżył się. – Moja firma potrzebuje dywersyfikacji inwestycji. Tereny w Port Massy gwarantują wysokie zyski. A w tym przypadku lokalizacja jest wyjątkowo korzystna.

– I chcesz, żeby klan dał ci pożyczkę – skonkludowała Shae.

Pan Enke wyciągnął teczkę na dokumenty, położył ją na blacie i otworzył na stronie zawierającej finansowe szczegóły jego prośby.

– Dzięki pomocy biura prognostyka Grupa Deweloperska Enke mogłaby kupić czterdzieści procent udziału w projekcie.

Udzielanie kredytów było jedną z najczęstszych form działalności biznesowej strony klanu. Rzecz jasna, pan Enke mógłby się udać do niezależnego banku, ale banki były czysto finansowymi instytucjami i zakres ich działalności był ograniczony. Klan zapewniał mu dostęp do niezliczonych kontaktów na Kekonie i poza nim, gwarantował, że zielone kości będą broniły należących do niego obiektów przed przestępcami i rywalami, a także oferował korzystne oprocentowanie kredytów. Wszystko to było odbiciem faktu, że miał dwóch synów, którzy ukończyli Akademię, nosili jadeit i służyli klanowi jako pięści. Jeśli klan Bez Szczytów nie da mu tyle, na ile liczył, spróbuje szczęścia na wolnym rynku, ale – podobnie jak większość szanowanych latarników – najpierw przyszedł na Statkową.

Shae zerknęła na liczby wypisane w leżącym przed nią dokumencie, po czym sięgnęła za siebie i podała teczkę Woonowi. Przyglądała się bez słowa latarnikowi, podczas gdy jej cień studiował dane. Jeśli będzie miał jakieś wątpliwości, poinformuje ją o tym w subtelny sposób – kaszlnie albo odchrząknie – dając jej do zrozumienia, że powinna się wstrzymać z podję-

ciem decyzji. Jego aura była jednak spokojna, co sugerowało, że jest zadowolony z tego, co zobaczył. Pan Enke nie miał jednak zmysłu Postrzegania i w obliczu onieśmielającego milczenia prognostyczki i stoickiego spokoju jej asystenta postanowił mówić dalej.

– Wysłałem do Port Massy swoich najbardziej doświadczonych ludzi i wszyscy poinformowali mnie, że tereny w Lochwood są bardzo atrakcyjne. Komunikacja miejska jest dobra, okolica szybko się gentryfikuje, a do kampusu miejskiego college’u można dość na piechotę. Przewidujemy mieszaną zabudowę, mieszkania na piętrach, przestrzeń handlowa na parterze i...

Woon zamknął teczkę i oddał ją prognostyczce, która odłożyła ją z powrotem na biurko.

– Panie Enke, biuro prognostyka z chęcią udzieli ci patronatu – oznajmiła.

Latarnik uśmiechnął się szeroko i dotknął czoła splecionymi dłońmi.

– Kaul-jen, nie mógłbym się bardziej ucieszyć z aprobaty klanu. Niech bogowie opromienią swą łaską...

– Chciałabym, żebyś wykupił cały projekt.

Mężczyzna spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– To znacznie więcej niż...

– Będziesz musiał wprowadzić poprawki w swych wyliczeniach – kontynuowała. – Klan jest gotowy sfinansować zakup pakietu kontrolnego. Jak powiedziałeś, to dobra inwestycja.

Latarnik odchrząknął.

– Z chęcią skorzystałbym z twojej szczodrości, Kaul-jen, ale espeńskie przepisy ściśle ograniczają cudzoziemską własność nieruchomości.

– Niedawno otrzymałam od espeńskiego ambasadora godne zaufania zapewnienia, że przed upływem trzech miesięcy te ograniczenia zostaną złagodzone dla obywateli niektórych preferowanych krajów, a jednym z nich będzie Kekon. – To nie było wszystko, na co liczyła Shae, gdy chodziło o koncesje handlowe, niemniej był to dobry początek. Espeńczycy byli skąpi, ale można było na nich polegać. – Na razie kup czterdzieści procent, jak planowałeś. Resztę będziesz mógł nabyć w przyszłym roku.

Latarnik otworzył i zamknął usta.

– Danina, jaką obecnie płacę...

– W normalnej sytuacji zostałaby podniesiona, ale znajdziemy sposób, by to ominąć – zapewniła Shae. – Coraz częściej się zdarza, że po ukończe-

niu studiów Kekończycy uzupełniają swe wykształcenie w Espanii. Gdy zrobiłam to pięć lat temu, było to jeszcze rzadkością, ale obecnie coraz więcej rodzin zachęca swoje dzieci do zdobycia międzynarodowego doświadczenia. Gdy te mieszkania zostaną wybudowane, będziesz mógł je wynajmować kekońskim studentom pobierającym nauki w Port Massy. Bierz od nich połowę ceny rynkowej. W zamian za to pokryjemy różnicę w czynszu płaconym przez lokatorów z rodzin należących do klanu Bez Szczytów. Te dotacje zrównoważą twoje zobowiązanie daninowe i zapewnią, że będziesz miał najemców wspieranych przez klan.

Pan Enke oblizwał ostrożnie wargi i ściągnął krzaczaste brwi tak mocno, że aż się zetknęły.

– Kaul-jen... – zaczął z namysłem. – Czy mogę liczyć na to, że to będzie wiążąca umowa z biurem prognostyka?

W normalnej sytuacji nie musiałby zadawać tego pytania. Słowo prognostyka gwarantowało dotrzymanie umowy. Latarnik nie miał jednak pewności, czy Shae pozostanie na stanowisku wystarczająco długo, by mu to zagwarantować. Skandal wywołany jej związkami z espeńskim wywiadem wojskowym wybuchł przed sześcioma tygodniami i od tej pory media nie przestawały jej atakować i publicznie domagano się jej rezygnacji.

Shae w żaden sposób nie okazała, że podziela jego wątpliwości.

– Woon-jen sporządzi zapis naszej rozmowy i wyśle ci go przed zakończeniem dnia – zapewniła.

Usatysfakcjonowany pan Enke obiecał, że w następnym tygodniu przyśle uaktualnioną propozycję finansową. Woon odprowadził go do drzwi, a następnie usiadł na zwolnionym miejscu naprzeciwko Shae.

– Masz nadzieję wykorzystać to dla zdobycia nowych zasobów ludzkich – stwierdził.

– Otwieram drzwi, jak to nazwałś.

Mężczyzna skinął z namysłem głową.

– Finansowa zachęta dla klanowych rodzin, mająca skłonić je do wysyłania dzieci na studia do Espanii. Na dłuższą metę klan Bez Szczytów mógłby na tym skorzystać, ale pod warunkiem, że spożytkują swe wykształcenie dla jego dobra. Czemu nie mieliby ulec pokusie jaśniejszych espeńskich światła? Możemy w ten sposób stracić wiele talentów.

– Poza dotacjami do mieszkań pokryjemy też ich czesne. Ale pod warunkiem, że zobowiążą się po ukończeniu studiów wrócić na Kekon i przez trzy lata pracować dla biura prognostyka. – Była przekonana, że

tylko bardzo niewielu sponsorowanych studentów uczyni coś tak nierozsądnego jak złamanie obietnicy złożonej klanowi. Być może nawet nie znajdzie się nikt taki. W końcu wszyscy mieli w Janloonie rodziny, których życie i pomyślność zależały od jego przychylności. – Syn radcy Kowiego byłby odpowiednim kandydatem.

– Z pewnością przekażę to jego rodzinie. – Woon wstał, by odejść, ale zatrzymał się przy drzwiach i spojrzał na nią z troską. – Czy potrzebujesz ode mnie czegoś jeszcze, Shae-jen?

Przez cały poranek starała się zachowywać normalnie, ale Woon, który dobrze ją znał, z pewnością Postrzegł gwałtowne uczucia targające jej aurą, bez względu na spokój, jaki okazywała latarnikom i pracownikom biura. Zapewne przypuszczał, że to skutek słownych ataków skierowanych przeciwko niej, a także faktu, że Ayt Madashi wykorzystywała każdą okazję, by zaprezentować się jako patriotyczny filar klanu zielonych kości i zapewniała, że nigdy by nie pozwoliła, żeby były espeński szpieg znalazł się blisko kręgów zarządzających Górą. Do Dnia Bohaterów zostały tylko dwa tygodnie i Shae spodziewała się dalszego pogorszenia sytuacji.

Nie chciała, by Woon podejrzewał, że źródłem jej niepokoju są również inne sprawy.

– Nie, Papi-jen – odparła, starając się żeby w jej głosie zabrzmiał spokój, a nawet odrobina optymizmu i samozadowolenia. – Mówiłam ci, że ambasador Mendoff spłaci dług, prawda?

Po wyjściu Woon na biurku Shae zadzwonił telefon. Omal nie podskoczyła, ale to nie była rozmowa, której się spodziewała.

– Nie chciałem zawracać ci głowy w pracy, ale widziałem, co napisali w dzisiejszej gazecie, i chciałem cię zapytać, czy wszystko z tobą w porządku – odezwał się Maro.

Gdy usłyszała jego głos, poczuła nagły ucisk w klatce piersiowej. Zamknęła oczy. W tej chwili nie była w stanie z nim rozmawiać.

– Wszystko w porządku – zapewniła. – To z pewnością nie jest najgorsze, co Ayt Mada uczyniła mojej rodzinie.

Ataki Ayt okazały się jednak skuteczne. Shae wydała publiczne oświadczenie. Zapewniła w nim, że już od lat nie pracuje jako konsultantka dla espeńskiego rządu, i kategorycznie zaprzeczyła istnieniu konfliktu interesów, który mógłby podważyć jej lojalność wobec klanu Bez Szczytów oraz Kekonu. Bardziej szczegółowej odpowiedzi na ataki udzieliła w wywiadzie z Toh Kitą dla Kekońskiej Stacji Państwowej. Skrytykowała dziennikarzy

z „Dziennika Janloońskiego” i próbowała wywierać na nich naciski. Wszystko to jednak nic nie dało. Okazało się, że właściciel dziennika ma rodzinne i biznesowe powiązania z klanem Góra (co nie było zaskoczeniem). Z pewnością zależało mu też na sprzedaży gazety. Dziś rano z jej pierwszej strony spojrzła na Shae uśmiechnięta twarz Jeralda, przedstawiona na czarno-białej fotografii. Jakiś przedsiębiorczy reporter zdołał go wytropić w mieście Loruge, na południe od Adamont Capita, gdzie obecnie pracował jako broker kredytów hipotecznych. Mimo to do wywiadu w tabloidowym stylu dołączono jego stare zdjęcie w mundurze oficera Marynarki Wojennej RE.

– Wszystko to brednie – wybuchnął Maro. – Totalnie niesprawiedliwe zarzuty. Krótkowzroczna, mizoginiczna, ksenofobiczna histeria. Nie daj im tego, czego się domagają. Zasługujesz na pozycję prognostyczki, bez względu na to, co o tobie piszą. – Nigdy nie słyszała, by był tak wściekły i zdenerwowany. – Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Nie. To wojna klanowa, tylko toczona innymi metodami. Ja i mój brat poradzimy sobie z tym. Po prostu... trzymaj się od tego z daleka i nie rozmawiaj z żadnymi dziennikarzami.

Ayt i prasa nie wiedzieli o istnieniu Mara ani o jego pochodzeniu – wolała, żeby tak zostało. Pragnęła powiedzieć coś więcej, ale dodała tylko:

– Muszę już iść. Później do ciebie zadzwonię.

– W porządku – zgodził się Maro. – Trzymaj się. Kocham cię.

Przełknęła ślinę, ciesząc się, że Postrzeganie nie przechodzi przez kable telefoniczne.

– Ja też cię kocham.

\* \* \*

Po dwudziestu minutach telefon w jej gabinecie odezwał się po raz drugi. Tym razem była to rozmowa, na którą czekała. Dzwoniono z poradni. Pielęgniarka natychmiast przeszła do rzeczy.

– Testy próbki pani moczu dał wynik pozytywny.

– Jest pani pewna? – zapytała Shae.

– Tak – potwierdziła pielęgniarka. – Jest pani w ciąży. Chce się pani umówić na wizytę u któregoś z naszych położników? Mamy wolne terminy w przyszłym tygodniu.

– Nie w tej chwili.



Shae podziękowała pielęgniarkę i odłożyła słuchawkę. Przez pewien czas siedziała w milczeniu. Wydawało się jej, że minęło tylko kilka minut, ale w rzeczywistości mogło to trwać znacznie dłużej, zawładnęło nią bowiem dziwne, przyprawiające o mdłości wrażenie, że wszystko wokół niej – hałasy wypełniające biuro, jadeitowa energia pobliskich ludzi, a nawet ruchy powietrza – zapadło na pewien czas w nieprzyjemny bezruch.

Ponownie wzięła w rękę słuchawkę. Nagle zapragnęła zadzwonić do poradni i poprosić o ponowny test, bo może zaszła jakaś pomyłka. Wiedziała jednak, że oszukuje samą siebie. Zamiast tego połączyła się z sekretarką i powiedziała jej, żeby przełożyła dalsze spotkania przewidziane na dzisiaj, bo nie czuje się dobrze. Wstała, zjechała windą na dół i przecięła przestronny hol, docierając do drzwi wejściowych.

\* \* \*

Po wyjściu na dwór ruszyła w kierunku zachodnim. Dzień był upalny, lecz deszczowy. Na chodniku tłoczyli się zmierzający w obu kierunkach ludzie. Wszyscy mieli na sobie letnie ubrania, ale nosili parasole. Szła przez pół godziny, aż wreszcie stopy ją rozboleły od czarnych czółenek, a bluzka pod żakietem zaczęła się jej lepić do krzyża od potu. Deszcz ciągle padał – nie bezustannie, lecz z obraźliwą obojętnością. Wielkie krople rozpryskiwały się na asfalcie albo uderzały ze stukiem o markizy, maski samochodów i pokrywy puszek na śmieci. Dotarła do końca Statkowej i skręciła w prawo, opuściła Dzielnicę Finansową i szła dalej przed siebie, aż wreszcie dotarła do kamiennych kolumn i wysadzanego drzewami dziedzińca Świątyni Boskiego Powrotu.

Weszła do środka i uklękła na jednej z zielonych poduszek modlitewnych. Deszczówka skapywała z jej mokrych włosów na kamienną posadzkę. Trzy razy dotknęła głową podłogi i wyszeptała litanie, którą powtarzała tak wiele razy, że właściwie nie musiała przywoływać jej świadomie.

– Yatto, Ojcie Wszechrzeczy, Jenshu, Stary Wujku, błagam, obdarzcie uznaniem mojego dziadka Kaul Seningtuna, Płomień Kekonu, który odszedł w pokoju z tego świata, by oczekiwać na Powrót. Obdarzcie uznaniem mojego brata Kaul Lanshinwana, którego przedwcześnie nam odebrano. Zmiłujcie się nad duszą Yun Dorupona. Przyznajcie pokój duchowi

Haru Eynishun. A nade wszystko dajcie opiekę i przewodnictwo tym spośród nas, którzy nadal pozostają na tym świecie, zwłaszcza Wen, Nikowi, Ru i mojemu bratu Hilowi, dla którego również błagam o przebaczenie.

Shae umilkła, nie potrafiąc ubrać w słowa kipiących w niej myśli i emocji. Dobiegające z przodu miarowe pulsowanie aur pogrążonych w medytacji pokutników wypełniało białe plamy w jej umyśle.

– I co mam teraz zrobić? – zapytała na głos bliskim żądania tonem.

Nie potrafiła uwierzyć, że jest w ciąży. Nie naprawdę, choć nie miała powodów, by wątpić w wiarygodność testu. Gdy jej okres się spóźnił, pomyślała, że to skutek stresu wywołanego koniecznością radzenia sobie z publicznym skandalem. Oboje z Marem się zabezpieczali. Była wykształconą kobietą pełniącą odpowiedzialną funkcję. Była prognostyczką. W swoim wewnętrznym rankingu zagrożeń umieściłaby nieplanowaną ciążę daleko poniżej zamachu na jej życie. To nie mogłoby się wydarzyć w gorszym momencie, pomyślała z desperacją.

Nigdy nie potrafiła określić, czy chce mieć dzieci. Kochała obu brataników, ale właściwie nie czuła macierzyńskich inklinacji. Nie miała czasu na takie rzeczy, w całości poświęcała się pracy dla klanu. Gdyby sytuacja wyglądała inaczej, być może pragnienie posiadania dzieci pojawiłoby się u niej w sposób naturalny. Ale w jej życiu nic nie działo się naturalnie. Wszystko nadchodziło znienacka, jak uderzenie młota.

Nigdy dotąd się nie zdarzyło, by kobieta mająca dzieci zajmowała czołową pozycję w klanie zielonych kości. Ayt Mada nie miała potomstwa i ostentacyjnie ignorowała tych, którzy pytali o sukcesję. Po śmierci Lana i usunięciu ze stanowiska Doru klanowi trudno było zaakceptować młodą kobietę na tak wysokiej pozycji, ale to były niebezpieczne czasy wojny klanów, a Shae należała do rodziny Kaulów. Co więcej, nadal pamiętano, że była ulubioną wnuczką Płomienia, popierali ją szanowani mężczyźni, tacy jak Woon i Hami, a tylko nieliczni odważyli się sprzeciwić jej bratu.

Ale w tej chwili nic z tego nie mogło jej pomóc. Już zaatakowano ją za domniemane grzechy przeszłości. Nie mogłaby pojawić się w sali konferencyjnej albo w Gmachu Mądrości, nosząc w łonie nieślubne dziecko spłodzone z mężczyzną, którego rodzina miała niską pozycję wśród zielonych kości. Ayt i prasa zaczęliby grzebać w przeszłości Mara. Podano by w wątpliwość jego pochodzenie, a liczne podróże do Szotaru ujawniłyby rodzinną hańbę. Wyszłoby na jaw, że jest bękartem szotarskiego żołnierza. Maro nie był Kaulem. Ledwie można było nazwać go zielonym. Nie zdołałby pora-

dzić sobie z nagłą wrogością i podejrzliwością, groźbą dla zawodowej kariery i osobistego bezpieczeństwa. To zniszczyłoby mu życie.

A co z nią? Klan był wielkim, starym statkiem, ale od dwóch i pół roku trudziła się nieustannie za jego sterem, próbując poprowadzić go ku wzrostowi i zmianom, koniecznym, by obronić przed krajowymi wrogami i zagrożeniami płynącymi z nowoczesnego świata zewnętrznego. Jej wysiłki zaczynały przynosić rezultaty. Przywróciła klanowi finansową równowagę, zawarła korzystne umowy militarne i handlowe z Espeńczykami. Poszerzyła zakres klanowych operacji i stworzyła nowe szanse. Jeśli pozbawią ją stanowiska z powodu skandalu o osobistym charakterze, wszystko, co osiągnęła, może pójść na marne. Woon i Hami z pewnością byli uzdolnieni, ale nigdy nie mieszkali za granicą, nie byli takimi strategami jak Ayt Mada, nie potrafiliby sprzeciwić się Hilowi ani go przekonać. Co gorsza, brat powierzył jej to stanowisko i uparcie nie chciał jej go pozbawić, pomimo wszelkich nacisków. Jej haniebny upadek poniósłby się echem w całym klanie, stałby się obciążeniem dla całej rodziny i podważył pozycję Hila jako filaru.

Wszystkie te myśli przeniknęły z mózgu Shae do jej ciała i zaległy w brzuchu niczym ciężki kamień. Przejęła kierownictwo nad interesami klanu, ponieważ zmusiły ją do tego jej własne uczynki oraz śmierć brata, a kiedy dni były długie, a praca trudna, powtarzała sobie, że robi to dla Lana i dla dziadka. W głębi duszy wiedziała jednak, że to nieprawda. Chciała być prognostyczką.

Uniosła wzrok ku wysokiemu dachowi świątyni, a potem zamknęła oczy i czekała na epifanię, poczucie duchowego spokoju, które wypełniłoby ją pewnością i stałoby się dla niej przewodnictwem. Rozciągnęła Postrzeżenie na wszystkie strony, próbując wyczytać jakąś wiadomość w monotonnej muzyce jadeitowej energii, wypełniającej jej ciało i kości swą wibracją. Nie otrzymała jednak żadnego przekazu od bogów, poza być może poczuciem, że przyglądają się jej z daleka. Jej wnętrze wypełniał tumult, który z czasem przerodził się w pogodzenie się z losem oraz determinację.

Wstała i opuściła świątynię.

# ROZDZIAŁ 30

## DZIEŃ BOHATERÓW

Tylko Wen pojechała z Shae do poradni rankiem drugiego dnia. Wzięły jeden z nieprzyciągających uwagi samochodów należących do rodziny, zamiast charakterystycznej lumezzy należącej do Wen albo czerwonej cabrioli Shae. Wen zawsze mogła powiedzieć, że pojechała do ginekologa na kolejną kontrolę, a Shae jej towarzyszyła. Żona Hila była już w dwunastym tygodniu i jej druga ciąża zaczynała być widoczna. Nadal karmiła Ru i powiększone piersi oraz uwydatniający się brzuch czyniły z jej ciała zestaw miękkich, macierzyńskich krzywizn. Shae miała wrażenie, że robi coś złego, być może przyciągającego pecha, czyniąc swoją współniczką w akcie położenia kresu nienarodzonemu życiu akurat Wen, która nosiła w łonie własne.

– Nie musisz wchodzić ze mną do środka – oznajmiła bratowej. – Po prostu odwieź mnie tutaj i z powrotem. Nie proszę o nic więcej.

– Na twoim miejscu chciałabym, żeby była ze mną druga kobieta – sprzeciwiła się Wen. – Dlaczego zmusza się nas do samotnego znoszenia trudności życia?

Zatrzymała się na niemal pustym parkingu. Było jeszcze ciemno. Poradnię otwierano dopiero za dwie minuty.

– Boję się, że to przyniesie ci pecha – wyznała Shae.

Wen opłótła dłonie wokół termosu wypełnionego imbirową herbatą. Piła ją co rano, by uspokoić żołądek. Rozciągnęła usta w krzywym uśmiešku.

– Zawsze uważano mnie za pechową. Nie boję się pecha, tak samo jak ptaki nie boją się piór.

Weszły do środka i Shae się zarejestrowała. Aborcja nie była w Janlonie czymś szczególnie łatwo ani szczególnie trudno dostępnym. Przychodnie różniły się reputacją i trzeba było ponieść pewne wydatki, ale podstawową przeszkodę stanowił fakt, że kobieta musiała przedstawić zgodę

męża, jeśli go miała, albo członka rodziny płci męskiej, jeśli nie. Tę trudność można jednak było łatwo ominąć za pomocą dodatkowej opłaty. Shae z góry wypełniła potrzebny formularz i podrobiła podpis Hila obok własnego na dole. Kobieta w recepcji spojrzała najpierw na dokumenty, a później na Shae, i otworzyła szeroko oczy. Zapewne noszące mnóstwo jadeitu zielone kości nie przychodziły tu zbyt często.

Wen poszła z nią do pokoju zabiegowego i trzymała ją za rękę podczas całej procedury. Trwało to krócej, niż Shae się spodziewała.

– Miałaś rację – odezwała się później, gdy odpoczywała, przyjemnie oszołomiona środkami uspokajającymi. – Cieszę się, że jesteś ze mną. Omal nie dodała „Proszę nie mów nikomu”, ale powstrzymała się na czas, uświadamiając sobie, jak obraźliwie i absurdalnie by to zabrzmiało. Wiedziała, że bezpiecznie może powierzyć Wen wszelkie tajemnice.

Potem bratowa odwiozła ją do domu. Shae czuła ulgę, choć towarzyszyło jej też wrażenie, że zrobiła coś złego. Miała przed oczami Mara z jego zadumaną miną, powagą, szczerym optymizmem i wiarą w nią. Smutek i poczucie winy były tak silne, że przez chwilę trudno było jej oddychać. Nigdy nie rozmawiali o dzieciach, ale Maro zawsze bardzo ciepło mówił o siostrzenicach i była pewna, że z czasem zapragnie mieć własne dzieci. Od czasu rozmowy telefonicznej przed trzema dniami nie dzwoniła do niego, nie odpowiedziała też na kilka jego wiadomości. Najpierw chciała się upewnić, co powinna zrobić. Co jeszcze będzie musiała zrobić. Była przerażona, że jeśli spróbuje z nim porozmawiać, coś w jej głosie ją zdradzi i Maro domyśli się wszystkiego, albo że jeśli znowu go zobaczy bądź usłyszy troskę w jego głosie, to pozbawi ją determinacji.

Oparła głowę o drzwi samochodu.

– Czy jesteś teraz gorszego zdania o mnie? – zapytała.

Jej bratowa zatrzymała samochód tak gwałtownie, że Shae musiała oprzeć się ręką o deskę rozdzielczą. Następnie spojrzała na prognostyczkę z błyskiem w oczach.

– Shae-jen, muszę ze wstydem przyznać, że były czasy, gdy nie ufałam ci zbyt, ponieważ nie byłam pewna, czy jesteś osobą, która potrafi postawić interesy innych przed własnymi. – Wlepiała w Shae nieruchome, niemal niepokojące spojrzenie. – Mogłaś zrezygnować ze stanowiska, wyjść za swojego chłopaka i urodzić dziecko. Skandal byłby okropny, ale z czasem o wszystkim by zapomniano i mogłabyś mieć znacznie łatwiejsze życie. Ale jak wyglądałby klan Bez Szczytów bez ciebie jako prognostyczki? Jak

mój mąż mógłby być filarem bez twoich rad? Co by się stało z wartościową pracą, którą wykonujemy razem? Jak bez twojej pomocy mogłabym dalej pracować dla klanu? – zapytała bliskim gniewu tonem. – Nigdy bym ci nie wybaczyła, gdybyś postąpiła tak samolubnie. Jak możesz myśleć, że potępiam cię za to, że zachowałeś się odpowiedzialnie?

– Przecież masz dzieci – zdziwiła się Shae.

Wen wrzuciła bieg i znowu ruszyła naprzód, po czym dopiła resztki herbaty.

– Obie służymy klanowi w sposób najbardziej odpowiedni dla nas – stwierdziła rzeczowo. – Przyjrzyj się Ayt Madzie i pomyśl, jaka jest samotna. Nie możemy stać się takie jak ona.

\* \* \*

Nim Shae opuściła Kekon, by studiować w Szkole Biznesu Belforte'a w leżącym w Espenii Windton, przez trzy tygodnie mieszkała w pokoju w hotelu „Spokojne apartamenty” na Eumanie. Jeralda zwolniono do cywila dwa miesiące przedtem i czekał na nią w ojczyźnie, a po ostatniej rodzinnej awanturze Shae nie miała ochoty zbliżyć się do dziadka i nie była w stanie spojrzeć w oczy Hilowi. Dlatego spakowała się i wyprowadziła z rezydencji Kaulów.

Lan był jedynym członkiem rodziny, który odwiedził ją wieczorem przed odlotem. Przyplłynął promem z Janloonu, zapukał do drzwi jej pokoju i zaproponował, że zabierze ją na kolację. Odpowiedziała, że wszystko jej jedno, dokąd pójdą, a Lan zaproponował pobliską knajpkę serwującą zupełną makaronową.

– Od jutra będziesz skazana na espeńską kuchnię, więc zjedz dzisiaj coś swojskiego – skwitował.

Knajpka znajdowała się na głównej ulicy portowego miasteczka. W pobliskich bistrach i barach szyldy oraz menu napisano po espeńsku, a w pogodny letni wieczór na patiach i na chodnikach roiło się od żołnierzy na przepustce, rozmawiających ze sobą głośno w ojczystym języku. W oknach sklepów i restauracji nie wisały latarnie, a Lana i Shae nie posadzono i nie obsłużono w pierwszej kolejności. Odlatywała dopiero naza-jutrz, ale już odnosiła wrażenie, że znalazła się w innym kraju.

Lanowi najwyraźniej nie przeszkadzało, że ludzie go nie poznają i nie oddają mu honorów. Kiedy czekali na posiłek, rozglądał się wkoło w zamy-

śleniu.

– Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że któregoś dnia tak będzie wyglądał cały świat – oznajmił. – Pozbawiona wyrazu mieszanka wszystkich ludów i kultur. Zastanawiam się, jak w tym wszystkim odnajdą się klany, jadeit i zielone kości.

– To już twój problem, nie mój – odpowiedziała.

Spoglądając wstecz, uświadamiała sobie, że była nieuprzejma dla brata, ale w tamtej chwili jej jadeit leżał w bankowym sejfie, a ona nadal była w paskudnym nastroju z powodu odstawienia.

– Powinnaś więcej zjeść – stwierdził Lan, zauważywszy, że nie skończyła posiłku. – Przed tobą długa podróż, a potem znajdziesz się sama w obcym kraju.

– Nie będę sama – sprzeciwiła się. – Będę z Jeraldem.

Spojrzał na nią ze współczuciem.

– Zawsze jesteśmy sami z konsekwencjami własnych decyzji. – Jej brat był filarem już od roku. W tym czasie stał się poważniejszy i bardziej bezpośredni. – Możesz podjąć racjonalną decyzję, opartą na pewnych informacjach, i nadal nie być przygotowana na jej konsekwencje. Jesteś najmłodsza w naszej rodzinie, jesteś kobietą i jedną z Kaulów. Nic z tego nie ułatwia życia na Kekonie, ale w Espenii znajdziesz się na samym dole drabiny. Będziesz musiała walczyć o każdą najdrobniejszą cząstkę szacunku, do którego przywykłaś w domu.

– Czy to dziadek kazał ci podjąć ostatnią próbę zniechęcenia mnie? – zapytała.

Spojrzał na nią z wyrzutem tak wielkim, że aż odwróciła wzrok.

– Nie – zaprzeczył zimno. Ogarnął ją wstyd. – Powiedziałem, że uznaję twoje prawo do decydowania o sobie, ale jestem twoim starszym bratem i filarem. Mam wystarczająco wiele doświadczenia, by ci powiedzieć, że dokądkolwiek się udasz, inni będą próbowali cię zdefiniować. Chyba że sama narzucisz im własną definicję.

– Mam dwadzieścia cztery lata, Lan. Potrafię o siebie zadbać.

– Wiem o tym – odparł ze smutkiem jej brat.

Kelner przyszedł zabrać talerze. Nad wąskim pasem wody dzielącym Euman od wybrzeża Janloonu świecił wielki pomarańczowy księżyc. Shae wkrótce ujrzy przez okno samolotu, jak budynki stolicy zostają z tyłu. Miną dwa lata, nim zobaczy je znowu.

– Po prostu staraj się nie zapomnieć, kim jesteś – dodał Lan.

\* \* \*

W wielu krajach świętuje się rocznicę zakończenia wojny wielu narodów (Dzień Zwycięstwa w Hiszpanii, Dzień Końca Wojny w Tun, Dzień Wyzwolenia na Uwiwach, by wymienić tylko kilka przykładów), ale narodowe święto Kekonu jest upamiętnieniem pokonania szotarskich sił okupacyjnych i odzyskania suwerenności wyspy, co wydarzyło się pięćdziesiąt dwa dni przed podpisaniem międzynarodowego zawieszenia broni. Oficjalnej nazwy – Triumf Bohaterów Narodowych nad Cudzoziemskim Uciskiem – rzadko się używa, ponieważ jest stanowczo zbyt długa. Mówi się po prostu o Dniu Bohaterów.

W latach dzieciństwa Hilo bardzo lubił to święto, wysławiające nie tylko patriotyzm, lecz również kulturę zielonych kości. Akademia Kaul Du i Szkoła Świątynna Wie Lona otwierały swe podwoje i urządzały publiczne pokazy jadeitowych dyscyplin. W kinach grano maratony przygodowych filmów o Baijenie, legendarnym wojowniku zielonej kości. Wyrażano szacunek i uznanie weteranom, takim jak jego dziadek i nieżyjący ojciec. Wieczorem przychodziła pora na paradę i sztuczne ognie. Po tym wszystkim Hilo kładł się spać z uśmiechem, czując się jak książkę.

Jako filar klanu nie znosił Dnia Bohaterów i to z każdym kolejnym rokiem coraz bardziej. Zmuszano go do wielu publicznych wystąpień i kazano uprzejmie przyjmować wyrazy szacunku od mnóstwa ludzi, a jednocześnie zachowywać powagę, należną tym, którzy oddali życie za Wolność Kekonu. Podejrzewał, że w tym roku święto będzie pełne napięć wywołanych przez antycudzoziemskie nastroje, a dla członków klanu Bez Szczytów sytuację dodatkowo pogorszy skandal dotyczący przeszłości Shae. Nic dziwnego, że jego siostra postanowiła zostać w domu i nie chciała się dziś nigdzie pokazywać. Twierdziła, że źle się czuje, ale nie miałaby do niej pretensji, gdyby po prostu to sobie wymyśliła, by uniknąć całej tej farsy i oglądania pełnej zadowolenia gęby Ayt Mady.

– Zapomnij o całym tym syfie, który rozpowszechniają Ayt i gazety – powiedział jej. – Musisz zapanować nad Statkową. Hami przyszedł do mnie z ludźmi, którzy chcieli się ze mną spotkać. Nie atakował cię, ale również nie wystąpił w twojej obronie. To niedobrze, Shae.

Jego siostra była blada i znacznie spokojniejsza niż zwykle.

– Poradzę sobie z tym – zapewniła.



– Jeśli twoi ludzie są lojalni, nieważne, co myślą inne skurwysyny. Ale oni muszą zachować lojalność.

– Powiedziałam, że z tym sobie poradzę – powtórzyła. – Ufasz mi?

– Nie mam wyboru, czyż nie tak?

Hilo nie miał zamiaru ulegać naciskom, czy to wewnętrznym, czy zewnętrznym, ale co, jeśli Shae utraci wiarygodność do tego stopnia, że nie będzie już w stanie kierować biznesową stroną klanu? Nie chciał brać pod uwagę możliwości, że będzie zmuszony usunąć siostrę ze stanowiska. Był pewien, że na to właśnie liczy Ayt Mada. Przed trzema laty Góra próbowała podważyć pozycję Lana przez zamach na życie Hila, a teraz starała się osłabić jego, atakując Shae.

Hilo przeszedł do ofensywy. Dziesięcioletni Koben Ato niedawno chorował przez tydzień z powodu zarażenia groźnym wirusem żołądkowym. Wszyscy dowiedzieli się o tym wyłącznie dlatego, że chłopiec rozpoczął naukę w Szkole Wie Lona jako ktoś w rodzaju małego celebryty. Gdy dziennikarze pytali Hila o przeszłość Shae, odpowiedział im, że powinni raczej zwrócić uwagę na dawne występki innych przywódców klanów, którzy nie cofali się przed zabójstwem członków rodziny. Wyraził na głos nadzieję, że choroba bratanka Ayt nie jest niczym tak złowieszczy, ale dodał też, że być może rodzina Kobenów powinna się martwić o to, czy chłopca nie spotka przedwczesny koniec, jak jego ojca.

Jego wysiłki odwróciły nieco uwagę od Shae, ale poza tym nie przyniosły większych rezultatów. Myśl, że Ayt Mada mogłaby dokonać zamachu na życie dziecka, była szokująca, ale nie mógł przedstawić na to żadnych dowodów, nawet jeśli przypomniał w ten sposób ludziom o bratobójstwie popełnionym przez Ayt, ale przy panujących obecnie nastrojach morderstwa polityczne najwyraźniej łatwiej było wybaczyć niż sypianie z cudzoziemcem. Klan Bez Szczytów nadal znajdował się w irytująco niewygodnej pozycji i Hilo nie wiedział jeszcze, co powinien w tej sprawie zrobić. Ten problem zaprzętał jego myśli przez cały poranek Dnia Bohaterów, gdy wędrował przez Park Wdowy z liczną grupą lojalnych członków klanu, kładąc kwiaty i owoce na grobach członków rodziny Kaulów oraz innych zielonych kości, które poległy w walkach z Szotarczykami podczas wojny wielu narodów. Ta część planu dnia była całkiem przyjemna, bo towarzyszyła mu rodzina. Wen ubrała chłopców w garnitury – nawet Ru nosił maleńką kamizelkę i przypinany krawat, który zdążył już zaślińić. Ludzie

zachwycali się głośno oboma chłopcami, co sprawiało Hilowi wielką przyjemność. Niko biegł między nagrobkami, brudząc sobie buty.

Popołudnie okazało się jednak ciężką próbą. Wen i dzieci wrócili do domu, a Hila zawieziono do Dzielnicy Pomników, gdzie Jego Niebiańskość księżę Ioan III miał pojawić się przed Pałacem Triumfalnym. Na portretach księcia przedstawiano jako mężczyznę o majestatycznym, królewskim wyglądem, w rzeczywistości jednak potężne czoło i drobny podbródek upodabniały go do zdezorientowanego krótkowidza. Niemniej spełniał swe ceremonialne i charytatywne obowiązki z dobrodusznym entuzjazmem, a do tego spłodził dwóch synów i dwie córki, co zapewniało mu sporą popularność. Gdy wyszedł z pałacu i pomachał ręką do tłumu, przywitały go radosne okrzyki.

Zgodnie ze zwyczajem w Dzień Bohaterów przywódcy klanów zielonych kości zjawili się przed pałacem, by złożyć hołd monarsze. Wszyscy po kolei wchodzili na schody i klękali przed księciem, oznajmiając, że ich klany są gotowe służyć mu lojalnie. Ta tradycyjna uroczystość była przypomnieniem o chwili powstania współczesnego Kekonu. Jadeitowi wojownicy, którzy pokonali cudzoziemskich okupantów, wyrzekli się wówczas politycznej władzy zgodnie z wymogami *aisho* i ogłosili przywrócenie monarchii oraz powołanie Rady Księżęcej.

Hilo uśmiechnął się drwiąco, gdy Ayt Mada weszła na marmurowe stopnie i pochyliła się niczym tygrys zgadzający się na to, żeby pogłaskało go dziecko. Księżę był figurantem i nie miał realnej władzy, ale raz do roku świadomość, że nawet najpotężniejsze zielone kości, ci, którzy naprawdę mieli wielkie wpływy w społeczeństwie, są zjednoczeni w służbie Kekonowi, dodawała ludziom odwagi i wypełniała ich patriotyczną dumą. Miało to szczególne znaczenie w tej chwili, gdy niedaleko od wyspy trwała wojna.

Hilo podążył za swoją rywalką i uklęknął przed wejściem do pałacu, dotykając czołem marmuru.

– Wasza Niebiańskość – rzekł. – Ja, Kaul Hiloshudon, filar klanu Bez Szczytów przysięgam, że będę ci służył. Obyś żył trzysta lat dzięki łasce bogów.

Gdy oficjalne hołdy się skończyły, świta jego Niebiańskości zaprowadziła go do publicznych ogrodów za Gmachem Mądrości, gdzie pobłogosławił odsłonięcie nowego pomnika, przedstawiającego sławną wojenną przyjaźń Ayt Yugontina i Kaul Seningtuna – Włóczni i Płomienia Kekonu. Hilo również musiał uczestniczyć w tym wydarzeniu i gapić się na odlany

z brązu posąg swego dziadka jako znacznie młodszego człowieka. Kaul Sen stał dumnie wyprostowany obok towarzysza, i wpatrywał się w dal, zapewne we wspinającą przyszłość Kekonu.

Po zeszłorocznym ogłoszeniu pokoju między klanami ktoś w radzie miejskiej Janloonu najwyraźniej doszedł do wniosku, że byłoby dobrym pomysłem zamówić pomnik symbolizujący przywrócenie harmonii między zielonymi kośćmi. Biorąc pod uwagę fakt, że klany nadal próbowały zniszczyć się nawzajem i wyglądało na to, że Góra wygrywa w tej walce, Hilo dostrzegwał w tym głęboką ironię.

Gdy już księżę i kilku urzędników państwowych powiedzieli, co mieli do powiedzenia, Ayt wzięła w rękę mikrofon i rozpoczęła barwną opowieść o tym, jakiego rodzaju człowiekiem był jej przybrany ojciec – zdolny dowódca, honorowa zielona kość, a nade wszystko niezłomny patriota.

– Mój ojciec wierzył, że noszenie jadeitu oznacza wielką odpowiedzialność, a zielone kości przede wszystkim są winne lojalność ojczyźnie. – Ayt pozwoliła, by jej słowa wybrzmiały. Przesunęła spojrzeniem po zebranych, zatrzymując je na konkurencyjnym filarze. Hilo czuł ciężar jej wzroku i nacisk intensywnej aury, przyciągające do niego niechciana uwagę.

– Wierność wyższej sprawie, bezpieczeństwu kraju, musi mieć pierwszeństwo przed nawet najbliższymi więzami z krewnymi i przyjaciółmi. Silny przywódca musi być w stanie zapomnieć o sentymentach i podejmować bolesne decyzje w interesie większości.

Nie ulegało wątpliwości, co chce przekazać Ayt. Wszystko co uczyniła, by zostać filarem Góry – w tym również zamordowanie gnuśnego playboya, jakim był jej przybrany brat oraz wszystkich członków starej gwardii jej ojca – służyło interesom jej klanu i ojczyzny. Natomiast Kaul Hilo, uparcie wspierający swą niegodną siostrę, nie był wybitnym przywódcą.

Ayt ponownie zwróciła się w stronę tłumu.

– Mój ojciec, gdyby żył, byłby zrozpaczony, widząc, że cudzoziemskie interesy znowu zdobyły przewagę w naszym kraju, tym razem dzięki pomocy tych, którzy powinni być jego najwierniejszymi obrońcami – oznajmiła. – Jako córka Włóczni Kekonu i filar mojego klanu czuje się głęboko zaniepokojona.

Shae przygotowała tekst mowy dla Hila, pełen nieszkodliwych banałów, zwykle wygłaszanych w Dzień Bohaterów, a także trochę wzruszających i zabawnych opowieści o dziadku. Przybył tu zdeterminowany trzymać się

tekstu i nie reagować na prowokacje Ayt, ale jego irytacja narastała z każdą chwilą.

– Progностyczka drugiego pod względem wielkości klanu w kraju uległa wpływom cudzoziemców i ich zwyczajów – kontynuowała Ayt. – Jej dawne poczynania dowodzą słabości charakteru i nie jest godna zwać się Kekonką, a już z pewnością nie powinno się jej powierzać pozycji dającej władzę i wpływy. Pora już, by mój odpowiednik posłuchał głosu opinii publicznej.

Ayt Mada wykorzystała mowę, która miała być przypomnieniem zasług jej ojca, do rzucania oskarżeń przeciwko rywalowi. Kilku członków Rady Książęcej obecnych na uroczystości wierciło się nerwowo. Wśród publiczności niektórzy kiwali głowami, inni zaś słuchali przemowy Ayt z kamiennymi twarzami albo zerkali na Hila, czekając na jego reakcję. Oczy filaru klanu Bez Szczytów przerodziły się w wąskie szparki, a jego twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu, ale z pewnością wszystkie zielone kości w pobliżu Postrzegały jego tłumioną furję.

– Hilo-jen, nie musimy tu stać i słuchać tego syfu – odezwał się cichym, niespokojnym głosem stojący za nim Kehn. – Możemy po prostu sobie pójść.

Hilo nie odpowiedział swojemu rogowi. Wyczuwał, że aura Ayt Mady wibruje od samozadowolenia połączonego z ciekawością. Czy zdoła go sprowokować do wybuchu gniewu na oczach wszystkich? A może wreszcie ulegnie naciskom i usunie Shae ze stanowiska, co będzie się równało okazaniu słabości i przyznaniu się do winy. A może nadal będzie się opierał, biernie się przyglądając, jak reputacja klanu obniża się, a jego pozycja jako filaru staje się coraz bardziej wątpliwa.

Nie Postrzegł zbliżającej się Shae, dopóki nie znalazła się tuż za jego plecami. Jej aura iskrzyła się jak naelektryzowana. Obejrzał się zaskoczony i zauważył, że siostra zmierza prosto ku niemu. Jej blada twarz była nieruchoma niczym maska. Przystanęła, gdy znalazła się obok niego, ale ledwie spojrzała w jego kierunku.

– Myślałem, że źle się czujesz? – zdziwił się Hilo. – Po co tu przyszaś?

– Żeby to zakończyć – odpowiedziała i ominęła go tak szybko, jakby rzuciła się pod pociąg metra.

Zorientował się, co zamierza zrobić na mgnienie oka przed tym, nim zaczęła mówić, ale wtedy pokonała już połowę drogi do mównicy.

– Dość już tego – odezwała się Shae, wystarczająco głośno, by przerwać Ayt w pół słowa i by wszyscy w pobliżu ją usłyszeli.

Przez tłum przebiegł cichy szmerek zdumienia. Gorejąca aura Ayt spotkała się z aurą Shae niczym lawa spływająca na kamienie. Prognostyczka niepowstrzymanie szła naprzód, zimna niczym księżyc.

– Wystarczająco długo obrażałaś mnie i znieważałaś. Stwierdziłaś, że jestem niedobrą wnuczką, nie nadaję się na prognostyczkę i nie jestem godna noszenia jadeitu. Nazwałaś mnie zdrajczynią i kurwą.

Zatrzymała się. Cisza, która zapadła, była gorąca niczym ogień.

– Ayt Madashi, filar klanu Góra, oferuję ci czystą klingę.

# INTERLUDIUM 2

## DWA TRONY

Po erze trzech koron, która zakończyła się samozniszczeniem dynastii Hunto, dwa zwycięskie królestwa – Jan na północy i Tiedo na południu – starały się utrzymać pokojowe stosunki w uświęcony tradycją sposób – przez wymianę królewskich dzieci. Drugiego syna monarchy panującego w Tiedo wysłano na dwór w Jan. Władca tego drugiego królestwa miał troje dzieci, lecz tylko jednego syna. Dlatego na zakładniczkę wybrano jego najstarszą córkę.

W Tiedo uwięziona księżniczka z Jan i pierworodny książę zakochali się w sobie, głęboko i fortunnie. Wkrótce się pobrali. Gdy książę odziedziczył tron po ojcu, żona zaczęła na niego naciskać, by zaatakował Jan i przejął władzę nad całym Kekonem. Historycy spierają się co do tego, czy kierowała nią polityczna ambicja, ślepa wiara w możliwości męża, czy raczej niechęć do rodziny, która oddała ją obcym. Nowy król początkowo się wahał, ale gdy jego młodszy brat zginął w Jan w podejrzanym okolicznościach podczas ćwiczeń sztuki walki, posłuchał podszeptów żony i rozpoczął wojnę.

Jego rywal, książę Jan, był inteligentny, ale chorowity. Choć w owych czasach rzadko się zdarzało, by kobiety szkolono na zielone kości, jego młodszej siostrze pozwolono nauczyć się jadeitowych dyscyplin. Wyszła za mąż za wojownika, który miał się stać sławnym wodzem armii Jan i z czasem okazała się postacią o kluczowym znaczeniu w kampanii przeciwko jej siostrze i szwagrowi pochodzącemu z Tiedo. Ostateczne zwycięstwo nad tym królestwem, odniesione dwieście lat później, zjednoczyło wyspę pod panowaniem jednego monarchy. Stolica nowego królestwa znajdowała się na północnym brzegu wyspy, w tym samym miejscu, co dzisiaj. Choć walki między północnym a południowym królestwem trwały jeszcze długo po

śmierci tych, którzy rozpoczęli wojnę, ten okres w historii Kekonu jest znany jako era walczących sióstr.

Kekończycy na ogół mają negatywną opinię na temat owej epoki. Przedłużający się konflikt osłabił kraj i zredukował liczebność jadeitowych wojowników, co pozwoliło cudzoziemskim najeźdźcom zdobyć przyczółek na wyspie. Niemniej w tym właśnie okresie dzieje się akcja wielu kekońskich powieści i filmów, romans między zdradziecką księżniczką Jan a księciem Tiedo uważa się za jedną z najwspanialszych opowieści miłosnych w dziejach, a wojna między siostrami jest przedstawiana jako jeden z najtragiczniejszych dramatów w dziejach wysp. Jedną z najbardziej znanych klasycznych kekońskich sztuk przedstawiających ten okres, *Dwa trony*, zaczyna się często cytowanym fragmentem: „Z małych uraz wyrastają wielkie wojny”.

# ROZDZIAŁ 31

## NIE UGNIJ SIĘ

Pojedynek miał się odbyć następnego dnia rano, ponieważ przelewanie krwi w Dzień Bohaterów i odciąganie uwagi od uroczystości byłoby niecywilizowanym zachowaniem. Przeciwniczki miały się spotkać w lesie Juro, w połowie drogi między rezydencjami Aytów i Kaulów. Shae wiedziała, że powinna się położyć wcześniej, ale sen wydawał się jej czymś niemożliwym. To mogła być ostatnia noc w jej życiu. Gdzieś około północy, gdy nad miastem nadal od czasu do czasu było słychać świąteczne fajerwerki, zakradła się do pokoju modlitewnego w rezydencji i uklękła na twardej poduszce leżącej przed kapliczką. Poczucie mrocznej pewności, zimna determinacja wypełniająca ją jeszcze przed chwilą, zniknęło bez śladu, pozostawiając tylko przyprawiający o mdłości strach i niepokój.

Shae nosiła mnóstwo jadeitu i była wyszkoloną zieloną kością. Ukończyła akademię Kaul Dushurona z pierwszą lokatą. Ale ostatnio spędzała większość czasu za biurkiem albo na spotkaniach. Nadal ćwiczyła co rano i w miarę regularnie chodziła na prywatne lekcje, ale w przeciwieństwie do Hila nie starała się cały czas utrzymywać szczytowej formy. Gdyby się spodziewała, że może dojść do podobnej sytuacji, już od pół roku płaciłaby mistrzowi Aido za lekcje. Ayt Madashi nosiła więcej jadeitu i zabiła w pojedynkach więcej ludzi niż jakakolwiek inna kobieta w nowożytnych czasach. Od chwili, gdy przemocą zagarnęła tytuł filaru, minęło już wiele lat i być może ona również zaniedbała ćwiczenia. Shae miała taką nadzieję, ale nie liczyła na to zbyt.

Pochyliła głowę.

– Stary Wujku w niebie, osądź dziś, że jestem zieleńsza niż twoja druga krewniaczka, jeśli rzeczywiście tak jest – wyszeptała modlitwę do Jenshu Mnicha, Tego, Który Powrócił, patrona zielonych kości. Przerwała na



chwilę. – A jeśli twój werdykt będzie inny, przynajmniej obdarz mnie uznaniem za śmiałą próbę.

Szczere zaskoczenie, które ujrzała po południu na twarzy Ayt, sprawiło jej chwilową satysfakcję. Jeśli nawet przyszło jej do głowy, że Shae może zażądać czystej klingi, z pewnością odrzuciła tę myśl. Jej celem była młoda kobieta pracująca w biurze, nie pełen testosteronu i żądry jadeitu mężczyzna będący pięścią. Nie ktoś, kto szuka śmierci.

Na parę sekund między dwiema kobietami zawisło wzajemne niedowierzanie. Potem jadeitowa aura Ayt wezbrała złowieszczo. Filar Góry wbiła w Shae spojrzenie całkowicie eliminujące otaczających ich, porażonych zdumieniem ludzi. Złożyła kartki, na których miała tekst mowy. W nienaturalnej ciszy, która zapadła, mikrofon maksymalnie wzmocnił ich szelest. Ayt Madashi wyszła zza mównicy.

– Zgadzam się – oznajmiła stanowczym, klarownym głosem, którego nie trzeba było wzmacniać.

Hilo, rzecz jasna, się wściekł, gdy tylko minął szok wywołany tym, co zrobiła jego siostra. Nawet filar nie mógł wycofać wyzwania, jeśli obie strony wyraziły zgodę, ale eksplozja jego jadeitowej aury była tak gwałtowna, że Shae pomyślała, iż brat może spróbować ją zabić, nim zrobi to Ayt. Gdy uciekali w duchesse przed nagłym rwetesem, trudno mu było znaleźć słowa.

– Co to ma, kurwa, znaczyć?! – krzyknął wreszcie.

– To jedyne wyjście – wyszeptła oszołomiona tym, co uczyniła. Jedyne sposób na to, by powstrzymać skandal, ugasić wątpliwości oraz uciszyć Ayt Madę i innych, którzy uważali, że Shae jest naiwną kobietą, zbyt espeńską i za łatwo ulegającą cudzoziemskim wpływom, by można było jej ufać. Nie miało znaczenia, czy Hilo zatrzymałby ją na stanowisku. Po oskarżeniach Ayt Mady nikt nie traktowałby jej poważnie, gdyby nie udzieliła na nie jednoznacznej odpowiedzi.

– Powstrzymaj tę głupotę, dopóki jeszcze możesz – rozkazał jej brat. – To prawda, że jesteś zielona, bardziej zielona niż większość mężczyzn, ale nie możesz liczyć na to, że pokonasz Ayt Madę, chyba że masz w zanadrzu jakąś sztuczkę, o której mi nie powiedziałaś, albo od roku ćwiczyłaś potajemnie. – Z jej milczenia Hilo wydedukował, że tak nie jest. – Zatem chcesz, żeby cię zabiła? – wybuchnął znowu. – Myślałem, że to ty jesteś tą rozsądną w naszej rodzinie?

W gruncie rzeczy Shae była przerażona i pragnęła wycofać wyzwanie już od momentu, gdy słowa wyszły z jej ust, ale kolejna demonstracja świetnie jej znanego gniewu brata, ponownie przywołała niezachwianą logikę, którą kierowała się wcześniej. Wycofanie wyzwania zniszczyłoby resztki jej reputacji i głęboko zawstydziło klan Bez Szczytów. Hilo stoczył w życiu wiele pojedynków i świetnie o tym wiedział. Dlatego fakt, że w ogóle zgłosił taką sugestię, dziwnie ją wzruszył.

– Stało się – rzekła mu. – Nie mogę się już wycofać.

– Ona ma rację – wtrącił siedzący za kierownicą Kehn. – To Ayt jest winna zniewagi. Poza tym nikt w klanie Bez Szczytów nie widział, jak ta suka walczy. Shae-jen ma równie dobre szanse, jak każdy.

– Nie pytałem cię o zdanie – warknął na swój róg Hilo. Shae nigdy dotąd nie słyszała, żeby to robił. – Ayt zawsze szuka sposobów, żeby nam zaszkodzić. A teraz dostała czystą klingę, co pozwoli jej uciąć mojej siostrze głowę na oczach wszystkich. Musi być kurewsko zachwycona!

Shae musiała przyznać, że w całej tej sytuacji jest bolesna ironia. Cztery lata temu nie była pewna, czy w ogóle chce wrócić do klanu, a teraz wyrzekła się związku z ukochanym mężczyzną, ciąży i zapewne również życia, by bronić swej reputacji jako prognostyczki klanu Bez Szczytów. Zwykle nie uważano jej za śmiałą i nieostrożną. To zawsze była rola Hila.

*Tyle się zmieniło.* Ale z drugiej strony wszystkie uczynki, które Ayt Mada ujawniła jako dowód jej słabego charakteru – spotkanie się z cudzoziemcem, praca dla Espeńczyków, zdjęcie jadeitu i opuszczenie klanu, by studiować za granicą – były w rzeczywistości aktami buntu, próbami udowodnienia, że jest równie dobra jak jej bracia, a nawet lepsza. Pragnęła tego, czego inni jej odmawiali, i wołała dokonać dramatycznego aktu auto-destrukcji niż zaakceptować warunki, jakie narzucali jej inni. Niektóre rzeczy wcale się nie zmieniły.

Drzwi do pokoju modlitewnego otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł Hilo. Nie wstała ani nie odwróciła się, by na niego spojrzeć. Ku jej zaskoczeniu brat uklęknął obok i zgodnie ze zwyczajem trzy razy dotknął czołem podłogi. Nigdy dotąd nie widziała, by tu przychodził.

– Myślałam, że nie wierzysz w bogów – odezwała się, kiedy się wyprostował.

– Nie wierzę – przyznał Hilo. – Ale oni również we mnie nie wierzą, więc może nie będą mi mieli tego za złe.

Jego jadeitowa aura nadal był intensywniejsza niż zwykle, ale wyraźnie się uspokoił. Być może Wen z nim porozmawiała. Zawsze potrafiła ugłaskiwać męża. Shae słyszała na górze jej kroki, gdy nosiła Ru, żeby go uspić. Postrzegła też delikatną aurę śpiącego Nika. Przyszło jej na myśl, że może nie dożyć chwili, gdy jej bratankowie dorosną. Jej klatkę piersiową wypełnił ból.

– Jeśli tak ma wyglądać pokój, to chyba wolę wojnę – mruknął Hilo.

Zerknęła na niego.

– Ayt zapędziła nas w kozi róg i świetnie o tym wiedziała. Klan Bez Szczytów ucierpiałby, bez względu na to, czy złożyłabym rezygnację, czy nie. Uznano by nas za słabszych od Góry. Obalenie mnie byłoby tylko początkiem. – Ponownie spojrzała na kaplicę, unosząc wzrok. – Bez względu na to, co wydarzy się jutro, odbierzemy jej ten atut.

– Dużo to nam pomoże, jeśli nie będziesz żyła. – Brat przeszył ją gwałtownym spojrzeniem. – Nie wysłuchałaś mnie. Nigdy mnie nie słuchasz. Jak zwykle podjęłaś szaloną decyzję na własną rękę. A teraz będziesz musiała wygrać. – Złapał ją boleśnie za ramię i zmusił do spojrzenia mu w oczy. – Kehn ma rację. Masz szansę wykończyć Ayt Madę. Oboje wiemy, że podczas walki wszystko może się zdarzyć, a pojedynki toczy się tutaj... – Postukał się palcem wskazującym w środek czoła. – Nim jeszcze wyciągnie się broń. Powiedz mi, że to zrobisz, Shae. Że utniesz jej pierdolony łeb i zakończysz całą tę sprawę.

Poczuła mrowienie w kościach z powodu natarczywej aury brata. Spróbowała przełknąć ślinę, nie zważając na ucisk w gardle.

– Zrobię to – zdołała wykrztusić. – Wygram jutro.

Hilo puścił ją i wstał. Na jego twarzy nadal malowały się gwałtowne uczucia.

– W takim razie przestań siedzieć tu bezczynnie i udawać, że rozmawiasz z bogami. Prześpij się trochę. Albo weź guan dao i idź poćwiczyć, żeby wprowadzić się w odpowiedni nastrój. – Otworzył drzwi. – Będę w sali treningowej.

\* \* \*

Rano Shae wstała i włożyła wygodne spodnie, obcisły nylonowy top, tradycyjną skórzaną kamizelkę oraz buty o miękkich podeszwach. Związała włosy z tyłu i przyjrzała się sobie w lustrze, zastanawiając się, ile jadeitu

zabrać. Pojedynkowicze z reguły szukali wszystkiego, co mogło zapewnić im przewagę, ale to oznaczałoby utratę wszystkich klejnotów w przypadku porażki. Zielonym kościom, które zabierały na pojedynek cały swój arsenał, licząc na to, że zapewni im to choć niewielką przewagę, często radzono, by uważały zieleń za rodzinny majątek, który lepiej zostawić w spadku krewnym niż pozwolić, by wpadł w ręce wroga. Co prawda wczoraj w pokoju modlitewnym obiecała bratu, że zwycięży, ale w jej naturze leżało realistycznie oceniać swoje szanse. Po dłuższym zastanowieniu zdjęła kolczyki i bransoletki, zostawiając na miejscu tylko łańcuszki na nogi i dwuwarstwowy naszyjnik.

Wybrała swoje najlepsze guan dao – siedemdziesiąt pięć centymetrów długości, z lekko zakrzywioną pięćdziesięciodwucentymetrową klingą z najlepszej stali Da Tanori oraz rękojeścią wysadzaną niewielkimi jadeditami. W ogóle nie czuła się głodna, ale wbiła jajko do gorącej owsianki i zmusiła się do jedzenia. Rozejrzała się, myśląc, że dom jest ładny i Wen okazała się świetną dekoratorką wewnątrz – parkiet i ciemne meble kontrastowały z miękkimi dekoracyjnymi poduszkami, jasnymi ścianami oraz kremowymi zasłonami.

To miejsce było jednak za duże dla jednej osoby. Shae pomyślała o Marze, o wszystkich zignorowanych wiadomościach od niego nagranych na automatyczną sekretarkę. Ucisk w gardle uniemożliwił jej dokończenie posiłku. Jej brzuch wypełniły żal i poczucie winy. Bardziej rozpaczliwie, niż się tego spodziewała, pragnęła zobaczyć jego twarz, usłyszeć jego głos i powiedzieć mu, że go kocha. Uświadomiła to sobie dopiero teraz, gdy było już za późno. Żałowała, że nie napisała do niego listu, ale nie miała czasu, by zrobić to, jak trzeba, a teraz rozmowa nie pomogłaby żadnemu z nich. Nie sądziła, by była w stanie wytłumaczyć mu swoje motywy. Maro – idealistyczny, racjonalny, lubiący się spierać Maro, który nosił dwa jadeditowe kolczyki i sceptycznie podchodził do kultury klanowej – nie zrozumiałby jej. Nigdy się nie pojedykował, wolał się wycofać niż przelewać krew albo narażać życie dla zaspokojenia tradycyjnych wyobrażeń o honorze zielonych kości. Powiedziała by jej, żeby zrobiła to samo.

Umyła i wytarła miskę oraz łyżeczkę, a potem je odłożyła, zgasiła wszystkie światła w domu i wyszła. Hilo i Maikowie czekali na nią przy duchesse.

Jechali w milczeniu. Ciemne kręgi pod oczami Hila sugerowały, że nie spał dziś więcej niż siostra. Nie odzywał się ani słowem, a bracia Maik

poszli za jego przykładem. Był wczesny poranek po święcie i ruch był niewielki. Nie potrzebowali wiele czasu, by dotrzeć do ogrodów przy Domu Garnizonowym w lesie Juro. Shae podejrzewała, że Ayt Mada wybrała to miejsce z uwagi na jego symboliczne znaczenie. Dom Garnizonowy był kolonialną rezydencją o białych kolumnadach i dachu krytym czerwoną dachówką. Tam mieszkał szotarski gubernator w czasach okupacji. Zamiast zburzyć budynek zmieniono go w historyczną pamiątkę. Znajdowały się tam ogrody oraz muzeum. Shae i Ayt zmierzają się ze sobą na trawniku tuż pod największym z ocalałych zabytków cudzoziemskiej dominacji.

Robiło się coraz cieplej. Zapowiadał się upalny dzień. Niebo przesłaniały jednak gęste chmury, a nad miastem unosił się letni smog, co razem tworzyło posępny półmrok. Gdy duchesse zatrzymała się przy krawężniku przed publicznymi ogrodami, Shae zauważyła, że na trawniku zebrał się wielki tłum. Niektórzy mieli aparaty fotograficzne, a inni położyli koce na trawie. Shae przez chwilę myślała, że pojedynek zakłócił jakieś publiczne wydarzenie i trzeba będzie przenieść go w inne miejsce. Potem jednak uświadomiła sobie, że to właśnie on jest publicznym wydarzeniem. Rzecz jasna, pojedynki nie były w Janloonie rzadkością, ale ten różnił się od innych. Wiadomość o rzuconym przez Shae wyzwaniu przyciągnęła powszechną uwagę. Walka czystej klingi między filarem jednego z dwóch największych klanów a prognostyczką drugiego sama w sobie była wystarczająco dramatycznym wydarzeniem, ale jej znaczenie dodatkowo zwiększał fakt, że nigdy dotąd nie było pojedynku między dwiema kobietami o tak wysokiej randze. Dopiero po wojnie, gdy liczebność zielonych kości płci męskiej znacznie się zmniejszyła, noszenie jadeitu przez dziewczęta stało się czymś powszechnym. W dzisiejszych czasach kobiety stanowiły jedną piątą absolwentów wielkich szkół walki, ale większość mężczyzn nadal nie chciała się z nimi pojedynekować, a walki między dwiema kobietami, nawet w randze pięści, często uważano za żart.

Ten pojedynek z pewnością nie będzie żartem. Bez względu na rezultat, Shae i Ayt Mada przejdą do historii. Postęp społeczny w kekońskim stylu. Równe szanse śmierci od klingi.

Zamknęła na chwilę oczy, zanim wysiadła z samochodu. Nawet gdy umysł jest zdeterminowany, ciało często się sprzeciwia perspektywie obrażeń i śmierci. Dłonie miała wilgotne od potu i czuła ucisk w klatce piersiowej. Próbowwała go powstrzymać, kontrolując oddechy. Zastanawiała się, czy pobliskie zielone kości Postrzegają przyśpieszony rytm jej serca. Przy-

szło jej do głowy, że koledzy ze Szkoły Biznesu Belforte'a byliby zdumieni i przerażeni tym, co zamierzała uczynić. O dziwo, uśmiechnęła się na tę myśl.

Tar wysiadł i otworzył drzwi z tyłu przed nią i przed Hilem. Widzowie przepychali się, chcąc coś zobaczyć, ale zachowywali pełen szacunku dystans od groźnych przywódców klanu Bez Szczytów. Zaledwie sekundy po ich przybyciu tuż za duchesse zatrzymał się srebrny, lśniący stravaconi monarch. Ayt Mada wyszła z pojazdu w towarzystwie rogu i dwóch pięści. Tłum najwyraźniej nie zrobił na niej wrażenia. Skinęła od niechcienia głową do zwolenników Góry, którzy przywitali ją okrzykami i oddawali jej honory. Miała na sobie czarny tank top i wygodne jedwabne spodnie przewiązane tasiemką. Włosy ściągnęła w ciasny kucyk. Na szczycie głowy miała ciemne okulary. Gdy dotarła na środek trawnika, zdjęła je i wręczyła Nau Senowi, który schował je do przedniej kieszeni koszuli, jakby zawsze zajmował się jej okularami podczas pojedynków. Ayt Mada zachowywała się tak, jakby wpadła tu w przerwie między zakupami szóstego dnia. Wrażenie psuło jedynie ponad osiemdziesięciocentymetrowe guan dao, które miała na plecach. Cały jadeit miała na miejscu w srebrnych bransoletach na obu przedramionach.

Nadszedł czas. Shae wyciągnęła broń i uniosła ją ku Hilowi. Jej brat łypnął na Ayt i jej ludzi, po czym odwrócił się nieśpiesznie, spojrzał na broń Shae i splunął na biały metal, by przynieść jej szczęście. Otworzyła usta, by coś powiedzieć – właściwie nie bardzo wiedziała co – ale Hilo położył dłonie na jej ramionach. Jego uścisk i aura opadły na nią niczym ciepła ołowiana kamizelka. Pochylił się i dotknął policzkiem jej policzka.

– Jadą tu cztery samochody pełne naszych pięści i palców – wyszeptał jej do ucha. – Zablokują wszystkie trasy odwrotu przez tunel na ulicy Lo Low. Nie będzie stąd żadnej drogi ucieczki. Inni jadą już do rezydencji Ayt, do Fabryki i kilku innych obiektów należących do Góry. – Jego głos był przerażająco pozbawiony wszelkiej intonacji. – Niektórych kling nie da się wyczyścić.

Lodowaty chłód słów Hila sprawił, że po plecach Shae przebiegły ciarki. Nagle wszystko zrozumiała. W przeciwieństwie do niej jej brat nie spędził bezsennej nocy na zamartwianiu się i modlitwie. Przygotowywał się do wojny. Jeśli Shae padnie od klingi Ayt Mady, Hilo nie pozwoli, by ich wrogowie opuścili to miejsce żywi. Złamie nienaruszalne prawo czystej

klingi, wyrze zakazaną zemstę na zabójczyni swej siostry i ponownie wciągnie klany, a wraz z nimi całe miasto, w otchłań totalnej wojny.

Shae była przerażona. Ryzykowała życie, by ocalić reputację swoją i swego klanu. Chciała rozwiązać honorowy spór w tradycyjny sposób, sposób zielonych kości, pod spojrzeniem Starego Wujka i zgodnie z zasadami, które Kekończycy uważali za nienaruszalne. Pojedyńki zawsze miały na celu hamowanie eskalacji osobistych animozji, niepozwalanie, by przerażwały się w rodzinne bądź klanowe wendety. Złamanie paktu czystej klingi było niedopuszczalne. Cała wina za ponowny wybuch wojny spadłaby na klan Bez Szczytów. Hilo był kwintesencją zielonej kości, a w dodatku filarem klanu. Gdyby tak otwarcie złamał kodeks moralny kierujący ich życiem, zniszczyłby wszystko. Zasady honoru jadeitowego wojownika, w których obronie walczyła Shae, obróciłyby się w żart.

Nim zdążyła ubrać te myśli w słowa, Hilo odsunął się od niej. Z jego twarzy nie sposób było niczego wyczytać. Odwrócił się i ruszył ku narożnikowi trawnika, w którym stali bracia Maik. Shae została sama na środku, poza tylko stojącą naprzeciwko Ayt Madą, która wyciągnęła już guan dao, gotowa rozpocząć walkę. Jej aura gorzała czerwoną niecierpliwością.

Shae skupiła uwagę. Przez chwilę zastanawiała się, czy Hilo blefował, próbując na swój wypaczony sposób zmotywować ją do przeżycia pojedynku. Nie miała jednak czasu na takie rozważania. Tłum ucichł, czekając na początek walki. Ze wszystkich stron dobiegały ją trzaski aparatów fotograficznych. Postrzegała bicie niezliczonych serc, głośne i z pozoru zharmonizowane z biciem jej własnego. Widzowie nie mogli się doczekać rozpoczęcia walki. Na tle ciżby mocno rysowały się jadeitowe aury zielonych kości z obu klanów, które zebrały się tu, by obejrzyć pojedynek. Rzekomo miało w nim chodzić jedynie o osobisty honor dwóch osób, ale wszyscy wiedzieli, że stawka jest znacznie wyższa. Janloończycy pragnęli, by klany przestrzegały rozejmu, szanowały granice terytoriów i współpracowały ze sobą w walce z przestępczością, przemytem oraz naciskami zagranicznych mocarstw. Mimo to zjawili się tu z entuzjazmem, pragnąc ujrzeć krwawą walkę między przedstawicielkami obu klanów.

Shae spojrzała na rywalkę i dotknęła czoła płazem klingi, oddając jej honory. Ayt postąpiła tak samo. Zachowanie filar Góry nie było już takie swobodne, jak jeszcze przed chwilą. W jej bezruchu było teraz coś groźnego, niemal gadziego. Stała wyprostowana i wpatrywała się w młodszą kobietę, czekając, aż ta zaatakuje pierwsza. Dla bardzo ostrego Postrzega-

nia Shae Ayt była kolumną czerwonej energii, wnętrzem gorejącego pieca. Jej bolesny żar przesłaniał wszystko inne. Im dłużej wpatrywała się w umysł przeciwniczki, tym bardziej niezwykły się wydawał. Wkrótce opuści ją odwaga. Shae zebrała Siłę i uderzyła z nagłą prędkością. Guan dao przeszło powietrze, celując w tułów rywalki, od lewego barku aż po przeciwległe biodro.

Ayt przesunęła się w lewo, zręcznie parując następny atak Shae. Odwróciła się nisko pochylona. Włosy smagały ją po karku, a wyciągnięta do przodu broń stała się zamazaną plamą. Shae użyła Lekkości i skoczyła w górę, ledwie unikając cięcia na kolana. Uderzyła z góry ze wszystkich sił, ale Ayt wsparła płaz klingi o lewą dłoń i zablokowała atak. Rozległ się brzęk białego metalu uderzającego o biały metal. Siła zderzyła się z Siłą, aż jadeitowe aury obu kobiet zawibrowały. Potem guan dao Ayt cofnęło się, zmieniając kierunek niczym ogon ryby i pomknęło po śmiercionośnej trajektorii ku szyi Shae.

Ta szarpnęła gwałtownie głową i odruchowo uniosła osłoniętą Stałą rękę. Ostra jak brzytwa klinga przebiła jej skórę, ale zatrzymała się przed mięśniami i kością. Shae skupiła całą uwagę na broni rywalki, która przemknęła kilkanaście centymetrów od jej twarzy i mało zabrakło, by jej Postrzeganiu umknął atak Przenoszenia, wyprowadzony przez Ayt lewą ręką. Cios pomknął ku środkowemu punktowi jej ciała niczym zaostrowany metalowy pręt wycelowany w serce i płuca.

Shae przesunęła tułów, unikając ataku, i wzmocniła się Stałą. Jej klatka piersiowa zadrżała od skoncentrowanej jadeitowej energii, gdy prognostyczka wciągnęła w siebie śmiercionośny impet uderzenia Ayt i wyprowadziła desperacki kontratak, szybko uderzając Przenoszeniem w mostek. Następnie użyła niecelowanego Odbicia, które jednak trafiło w środkowy punkt ciała przeciwniczki. Ayt zatoczyła się ponad metr do tyłu, otwierając usta w grymasie bólu. Shae zauważyła, że oczy rywalki otworzyły się nieco szerzej. Opuścił ją niewzruszony spokój. Obie jednocześnie uświadomiły sobie, że Shae ma szansę wygrać tę walkę. W początkowych sekundach starcia wszyscy wyraźnie ujrzeni, że Ayt jest znakomitą jadeitową wojowniczką, potężną i opanowaną, w pełni zasługującą na sławę, jaka ją otaczała. Jednakże Shae była szybka, utalentowana i, co być może najważniejsze, dwanaście lat młodsza – zielona kość u szczytu swych możliwości.

Przez moment utrzymywała się sytuacja patowa. Potem jadeitowa aura Ayt rozjarzyła się nagle niczym eksplodująca gwiazda. W tej samej chwili



mózgiem Shae zawładnął wypływ adrenaliny, połączony z dziwnym uniesieniem. Ayt zaatakowała, unosząc wysoko broń i wykrzywiając usta. Shae z szalonym krzykiem wysiłku cisnęła w nią Lekkością. Jej guan dao przeszło powietrze straszliwym poziomym łukiem.

Tym, którzy obserwowali pojedynek, trudno było prześledzić ruchy obu kling. Pojedynekowiczki wyprowadzały błyskawiczne ciosy, z równą gwałtownością starając się wbić metal w ciało. Gapie szeptali trwożnie i odsuwali się ku granicy trawnika, by zrobić więcej miejsca dla walczących. Cała rzeczywistość Shae skupiła się na przesyconej desperacją czystości walki. Jej świadomy umysł niemalże przestał funkcjonować. Tylko Postrzeganie, szkolenie i odruchy mogły ją uratować przed wściekłym atakiem Ayt. Jej przeciwniczka skrzywiła się w grymasie niecierpliwości, zasypując ją serią błyskawicznych, nieprzewidywalnych ataków, mających zdezorientować jej zmysły wzroku i Postrzegania.

Na ramiona i tułów Shae sypał się grad ciosów. Jej Stal drżała z przeciążenia wywołanego ciągłym przemieszczaniem się, a płuca pracowały ciężko jak miechy przegrzane z wysiłku. Raczej wyczuła, niż zauważyła nadchodzący cios, który miał się okazać śmiertelny – wymierzone w górę cięcie, po którym sztych wbiłby się w jej szyję. Zamiast zasłonić się klingą rzuciła ciasne Odbijanie, wystarczająco silne, by atak chybił, przechodząc kilkanaście centymetrów od jej lewego policzka. Jednocześnie wyprowadziła gwałtowne cięcie na szyję przeciwniczki.

Ayt ledwie zdołała się uchylić przed śmiertelnościami atakiem. Shae szybko skierowała uderzenie w górę i z boku głowy jej rywalki trysnęła krew. Klinga ucięła jej połowę małżowiny.

Prognostyczka usłyszała chóralne westchnienie gapiów na ułamek sekundy przed tym, nim Postrzegła ból i gniew przeciwniczki. Utrata części ucha była drobiazgiem w porównaniu ze śmiertelnym ciosem, jaki zamierzała zadać Shae, ale w kekońskiej kulturze niewiele rzeczy mało większe symboliczne znaczenie niż brak ucha. Ayt dotknęła z niedowierzaniem krwi spływającej jej po twarzy. Przez króciutką chwilę Shae czuła się równie zdziwiona. W głębi duszy nie spodziewała się, że jej przeciwniczka okaże się śmiertelną kobietą z krwi i kości, taką samą jak ona, kimś, kto krwawi, kiedy zada mu się ranę. Kimś, kogo można zabić. Nagle jednak wróciła do rzeczywistości. Słabła szybko. Nie zdoła walczyć w takim tempie przez dłuższy czas. Musiała natychmiast wykorzystać ten krótki moment, gdy rywalka była wytrącona z równowagi. Wygrać, dopóki miała szansę.

Odsunęła się na bok i wyprowadziła nagły atak, wspierając całym swym ciężarem cięcie mające zdekapitować rywalkę. Ayt nie pozwoliła jednak, by powierzchowna rana odwróciła jej uwagę. Najwyraźniej spodziewała się tego ataku, zmieniła bowiem pozycję i sparowała cięcie Shae z siłą tak wielką, że całe ciało prognostyczki przeszył wstrząs, aż zadzwoniły jej zęby. Obie kobiety znieruchomiały na moment. Gorejąca jadeitowa aura Ayt uderzyła w Shae z mocą przyływu. Starcie dwóch kipiących fal wypełniło wszystkie zakamarki Postrzegania prognostyczki. Ayt wyciągnęła lewą rękę, złapała za dłoń, w której Shae trzymała oręż i nacisnęła kciukiem z nadzwyczajną Siłą. Nagłym szarpnięciem zmusiła rywalkę do opuszczenia broni i wzmocnionym Stalą przedramieniem wytrąciła guan dao ze słabnącej dłoni. Wszystko to wydarzyło się w ciągu niespełna sekundy. Broń Shae poleciała w górę, a Ayt Mada wyprowadziła cięcie własnym guan dao. Warknęła wściekle, wspierając Siłą atak, który miał wypruć rywalce wnętrzności.

Shae osłoniła się Stalą, lecz zbyt wolno i za słabo. Ból przeszył jej brzuch niczym płomień biegnący wzdłuż ścieżki usypanej z prochu. Poczwała w spodniach ciepłą wilgoć, jakby nagle straciła panowanie nad pęcherzem. Spojrzała w dół i zobaczyła krew spływającą jej po nogach, jakby nad jej pępkiem nagle otworzył się kran.

Poczwała się słabo. Bliskość śmierci opróżniła jej umysł. Czas zwolnił bieg i na świecie zapanował dziwny bezruch. Na granicach Postrzegania wyczuwała krwiożerczy triumf wypełniający Ayt Madę, gdy śmiertcionośna klinga zbliżała się do celu. Shae zebrała resztki sił i zatoczyła się do tyłu, po czym osunęła się na kolana na trawie, szeroko rozpościerając ręce.

– Ayt-jen! – krzyknęła ochryple, rozpościerając szeroko ręce. – Poddaję się!

Zamknęła oczy, czekając na nadchodzącą śmierć.

– Poddaję się – powtórzyła. Ledwie poznawała własny głos. Trudno jej było myśleć, dobierać słowa, nadawać im kształt wąskiej, dobrze zaplanowanej linii. – Jesteś lepszą wojowniczką zielonej kości ode mnie, godną zwać się córką Włóczni Kekonu. Moje życie i mój jadeit należą do ciebie. Jeśli okażesz łaskę i mnie oszczędzisz, będę wiernie podążała za twoim przykładem i ze wszystkich swych niewielkich sił pracowała dla dobra Kekonu.

Minęło uderzenie serca. A po nim drugie. Coraz trudniej jej było wytrzymać ból. Pragnęła jedynie osunąć się na wilgotną trawę i zwinąć

żałośnie w kłębek, osłaniając zraniony brzuch. Zmusiła się jednak do zachowania bezruchu. Zacisnęła powieki i Postrzegła, że Ayt się zawahała, zatrzymując guan dao. Aura stojącego w odległości niespełna dziesięciu metrów Hila ryczała niczym uwięziony w klatce potwór. Jego gwałtowne, lekkomyślne pragnienia łatwo było zauważyć. Shae otworzyła oczy i przyjrzała się wykrzywionej w grymasie szалу twarzy przeciwniczki. Jej lewą stronę pokrywała krew. Potem przesunęła wzrok dalej, za jej plecy. Dwupasmową drogę prowadzącą do Domu Garnizonowego i jego ogrodów zamykały dwa wielkie samochody. Dwa kolejne zaparkowały przy krawężniku za srebrnym stravaconi należącym do Ayt. Z samochodów wysiadło kilkanaście pięści klanu Bez Szczytów. Zalęknieni cywile przenieśli spojrzenia z Ayt i Shae na Hila, a następnie na otaczających ich żołnierzy obu klanów, którzy sięgali już po broń.

Mimo że jej tułów wypełniał ból, a serce tłukło gwałtownie z paniki Shae spojrzała w oczy rywalce i zauważyła, że żądza mordu zmieniła się w nich w gorzkie zrozumienie. Ayt również Postrzegła przybycie wojowników Hila. Nawet w obliczu śmierci Shae desperacko wykorzystywała karty, jakie jej pozostały. Skupiła się na nich uwaga całego kraju, a ona walczyła dobrze i dzielnie, na prawdziwie kekoński sposób broniła reputacji swojej i swego klanu, a na koniec poddała się lepszej wojowniczcze. Ayt miała szansę pozbawić ją życia w uczciwej walce, ale ta chwila już minęła. Pojedynki czystej klingi były uświęconą tradycją, a zabicie rywalki, która się poddała, równałoby się złamaniu zasad honoru.

Gdyby filar Góry odebrała życie klęczącej przed nią, rannej i rozbrojonej Shae, udowodniłaby, że jest krwiożercza i nie zna litości. Publicznie potwierdziłaby prawdziwość wszystkiego, co mówił o niej Hilo, nieustannie przypominający opinii publicznej, że zdobyła władzę, mordując własnego brata, kiedy spał. Osoba, która ścięła głowę pokonanej, klęczącej przeciwniczce, była zdolna do wszystkiego. Mogłaby złamać *aisho* również na inne sposoby, a nawet skrzywdzić dziecko. Reputacja patriotycznej wojowniczkii i damy stanu, którą Ayt starannie pielęgnowała od z górą dwóch lat, odbudowując jednocześnie reputację swego klanu, ległaby w gruzach. A Hilo wykorzystałaby to jako usprawiedliwienie – o ile w ogóle potrzebował czegoś takiego – by urządzić krwawą jatkę.

Krew Shae wsiąkająca w suchą ziemię miała ostrą, metaliczną woń, drażniącą jej nozdrza. Drżącymi palcami odszukała zapinkę jadeitowego naszyjnika i złamała ją. Dwa sznury klejnotów zsunęły się z jej szyi równie

łatwo jak krew wypływała z jej żyły. Ofiarowała naszyjnik Ayt. Ręce jej drżały nawet od tak niewielkiego wysiłku. Wyczuwała niepewność i pośpieszne kalkulacje, ukryte za gorejącym spojrzeniem przeciwniczki. Ayt gorączkowo zastanawiała się nad tym, czy wyeliminować rywalkę, czy zachować pozory moralnej słuszności. Nie mogła przy tym być pewna, czy Kaul Hilo posunie się do pogwałcenia paktu czystej klingi, nie wspominając już o złamaniu rozejmu między Górą a klanem Bez Szczytów, ponownie sprowadzającym na Kekon wojnę. Przymrużyła powieki. W umyśle Shae kotłowało się od Postrzegania otaczającego ich tłumu. Wszyscy przyglądali się im z coraz większym niepokojem.

Ayt opuściła guan dao. Wyciągnęła rękę i zacisnęła pięść na jadeicie Shae.

– W przeszłości zachowywałaś się haniebnie, Kaul Shaelinsan... – oznajmiła, podnosząc głos, by wszyscy ją usłyszeli – ...ale byłoby marnotrawstwem zabić zieloną kość w chwili, gdy Kekon potrzebuje nas wszystkich. – Filar Góry wytarła obie strony guan dao o nogawkę jedwabnych spodni. – Moja klinga jest czysta.

Od strony widzów dobiegły głośnie krzyki ulgi i uznania. Gorączkowe napięcie wyczuwalne w aurach zielonych kości opadło, przechodząc w lekką ostrożność. Ayt pochyliła się, by jej następne słowa usłyszała tylko Shae. Progностyczka z dziwnym przerażeniem gapiła się na swój jadeit trzymany przez Ayt. To było tak, jakby widziała w jej rękach utraconą część własnego ciała – odciętą rękę, serce albo wnętrze. Miejsce, gdzie Ayt straciła część ucha, wyglądało okropnie, ale nie zwracała na to uwagi.

– Kiedyś obiecałam ci, głupia dziewczyno, że dożyjesz chwili, gdy twój klan legnie w gruzach – wyszeptała Ayt. – Złamałabym słowo, gdybym zabiła cię teraz.

Odwróciła się i ruszyła ku wojownikom Góry, by odebrać ich gratulacje.

Odstawienie jadeitu i utrata krwi uderzyły Shae jednocześnie z siłą tajfunu. Cały świat przechylił się i rozpadł na drobne kawałeczki, gdy jej osłabione ciało osunęło się na ziemię. Niejasno zdawała sobie sprawę z zamieszania, jakie nagle zapanowało wokół. Hilo i Maikowie przykucnęli obok niej, a ich rodzinny lekarz zielonej kości, doktor Truw, uciskał ranę, przenosząc ciepło w drżące z zimna kończyny Shae.

– Zanieście ją do karetki – usłyszała czyjeś głosy, dobiegające z oddali. Wciągnęła w płuca woń trawy przyciśniętej przez jej policzek i pozwoliła, by utrata przytomności zabrała ją od tego wszystkiego.

# ROZDZIAŁ 32

## ROZMOWY PRZEPROWADZONE ZA PÓŹNO

Shae potrzebowała transfuzji i dwunastu dni pobytu w Centralnym Szpitalu, nim chirurg i doktor Truw zgodzili się wypisać ją do domu. Na jej prośbę na odwiedziny pozwalano wyłącznie najbliższej rodzinie. Mieszało się jej w głowie od środków przeciwbólowych i dygotała z powodu odstawienia jadeitu. Z pewnością nie chciałyby w takim stanie odpowiadać na pytania dziennikarzy, pozwolić, by zobaczyli ją współpracownicy ze Statkowej ani nawet spojrzeć ze wstydem w oczy Mara. W rezultacie, gdy zawieziono ją z powrotem do domu, miała wrażenie, że całkowicie utraciła kontakt ze światem i nie bardzo wiedziała, jak odzyskać równowagę. Mimo że ukończyła Akademię i walczyła oraz zabijała już przedtem, według standardów zielonych kości, a zwłaszcza rodziny Kaulów, wiodła dotąd stosunkowo bezpieczne życie – dziadek ją rozpieszczał, starszy brat dbał o jej bezpieczeństwo, przygotowywano ją do zajęcia pozycji po biznesowej stronie klanu, a do tego przez pewien czas mieszkała w Espenii, a potem podjęła pracę na najwyższym pięttrze biurowca. Nigdy dotąd nie była tak bliska śmierci i to doświadczenie nauczyło ją pokory.

Stała nago przed lustrem w łazience. Jej brzuch przecinała długa, różowa blizna, bielejąca na końcach i pokryta śladami szwów, zniekształcająca pępek. Nadal czuła tam ból, gdy obracała się albo zginała w talii. U podstawy jej czaszki utrzymywał się tępy ucisk, skutek odstawienia jadeitu – a wszystkie mięśnie w jej ciele były ciężkie jak z ołowiu. Nadal miała kolczyki, bransoletki oraz łańcuszki na nogi, które Hilo przyniósł jej do szpitala, gdy tylko była wystarczająco silna, żeby je włożyć, ale jej blada szyja wydawała się naga bez naszyjnika.

Ubrała się i zadzwoniła do Woon. Przyszedł natychmiast i uściskali się w drzwiach w porywie obopólnej ulgi.

– Shae-jen, rozumiem, dlaczego tak postąpiłaś, ale bałem się, że ciebie również utracę – odezwał się drżącym głosem. – Gdyby tak się stało, poszedłbym do filaru i błagał go o śmierć.

– Nawet nie myśl o czymś takim, Papi-jen – odpowiedziała, lekko wstrząśnięta jego słowami.

Przeszli do kuchni. Shae oparła się ciężko o blat stołu i przyciągnęła do siebie krzesło. Woon złapał ją za łokieć i pomógł jej usiąść.

– Czy to bardzo nieprzyjemne? – zapytał, głęboko marszcząc czoło z zatroskania.

– Odstawienie? – Skrzywiła się. – Da się wytrzymać. Zresztą to nie potrwa długo.

Była obolała i zmęczona, a chwilami czuła się tak, jakby jej oczy i uszy przesłaniała pajęczyna, ale nie utraciła jadeitowych talentów. Trudniej jej było znieść objawy odstawienia, gdy łączyły się z fizycznymi obrażeniami, ale gdyby straciła całą zielen, byłoby znacznie gorzej, a wiedziała z doświadczenia, że i wtedy wszystko mija po kilku tygodniach.

Woon jednak zrozumiał jej słowa inaczej.

– Przyniosę ci jadeit z klanowych magazynów – zaproponował. – Ile potrzebujesz, żeby zrobić nowy naszyjnik?

Potrząsnęła głową.

– Nie chcę nowego naszyjnika.

Nic jej nie powstrzymało przed sięgnięciem do rodzinnych zasobów Kaulów, by zastąpić jadeit utracony w wyniku pojedynku, ale po tym, jak omal nie straciła życia na oczach licznej publiczności, noszenie nowego naszyjnika z klejnotów zaczerpniętych z rodzinnych zasobów, a nie zdobytych w walce, wydawałoby się oszustwem. Czułaby się osobiście umniejszona. To byłoby tak, jakby pojedynek, w którym omal nie zginęła, nie pozostawił trwałych skutków, jakby wszystko, co straciła owego dnia, można było z łatwością odzyskać. Ayt Madzie nie odrośnie połowa ucha, a Shae będzie obnosiła się z brakiem jadeitu otwarcie jak z blizną.

Woon zrobił niepewną minę, usłyszawszy jej odmowę, zrozumiał jednak, że to osobista decyzja i bez sprzeciwu zaakceptował jej wyjaśnienia. Cień prognostyczki pilnie strzegł jej miejsca na Statkowej. Gdy trzeba było natychmiast podjąć decyzję, zawsze postępował tak, jak jego zdaniem postąpiłaby Shae, a w pozostałych przypadkach mówił, że trzeba poczekać na jej powrót.

Uczył też coś, czego się nie spodziewała. Zapytał Hami Tumashona, czy ma zamiar zrezygnować z pozycji głównego szczęściodawcy. Dwaj mężczyźni zajmujący najwyższe pozycje w biurze prognostyka szanowali się wzajemnie i współpracowali ze sobą od lat. Woon był filarowym Lana, a Hami wysokim rangą szczęściodawcą pod rządami Doru. Tumashon nie przyjął jednak dobrze tego pytania, widząc w nim oskarżenie o niełojalność, którym rzeczywiście było.

– Tylko filar albo prognostyczka mogą zażądać mojej rezygnacji, Woon-jen – odpowiedział zimno. – Kusi mnie, by zaoferować ci czystą klingę, ale chyba obaj się zgodzimy, że po ostatnim pojedynku każdy inny byłby rozczarowaniem.

Pierwszy szczęściodawca nadal kierował codziennymi sprawami na Statkowej z typową dla siebie kompetencją, ale po tej konfrontacji rozmawiali ze sobą właściwie tylko wtedy, gdy było to niezbędne.

Gdy Woon przekazał jej już wszystko, co powinna wiedzieć, Shae poczuła, że nie byłoby tak źle, gdyby musiała zostać w szpitalu tylko kilka dni.

– Nie wiem, jak ci dziękować, Papi-jen – rzekła. – Przykro mi, że zostawiłam ci na głowie tak wiele problemów w chwili, gdy powinienesz szczęśliwie planować ślub.

Woon miał się ożenić za kilka miesięcy. Shae nie spotkała jeszcze jego narzeczonej, ale na zdjęciu ustawionym na biurku wyglądała na bardzo ładną.

Na wzmiankę o ślubie w aurze Woonas zaszła zmiana.

– Trudno to porównać z tym, przez co ty musiałaś przejść. Poza tym Kiya i moja matka zadbają o wszystko. Ja muszę tylko stawić się na uroczystość. Ale z drugiej strony, gdy następnym razem zażadasz od Ayt Madashi czystej klingi, byłbym ci wdzięczny, gdybyś wybrała lepszy moment – dodał.

Gdy Woon żartował, co zdarzało się rzadko, zawsze robił to z kamienną twarzą i Shae nie była pewna, czy powinna się śmiać.

\* \* \*

Następnego dnia wróciła na Statkową. Czowała się silniejsza fizycznie i myślała jaśniej. Spała we własnym łóżku przez czternaście godzin bez przerwy. Kiedy weszła do budynku, nagle zapadła cisza. Gdy szła z windy

do swojego gabinetu, rozmowy milkły, a ludzie przerywali pracę. Postrzeżenie Shae nie funkcjonowało zbyt dobrze z powodu utraty jadeitu i długiej rekonwalescencji, wyczuwała jednak szerzącą się na wszystkie strony falę lęku.

Mężczyzna siedzący po jej lewej stronie wstał, dotknął czoła splecionymi dłońmi i pochylił się, uprzejmie oddając jej honory.

– Witaj w pracy, Kaul-jen! – zawołał.

Kobieta przy sąsiednim biurku podążyła za jego przykładem. Inni szczęśliodawcy również wstali z krzesel, podeszli do drzwi swoich pokojów albo boksów i też oddawali honory idącej korytarzem prognostyczce. Widziała na ich twarzach blade uśmiešky, w których gratulacje mieszały się z próbami pocieszenia. Przegrała pojedynek i straciła większą część jadeitu, ale obroniła siebie i swój klan przed zniesławieniem. Walczyła tak dobrze, jak tylko można było tego oczekiwać, i dowiodła, że jest gotowa zginąć w obronie reputacji swojej i swojej rodziny. W tych najważniejszych punktach położyła kres wszelkim wątpliwościom. Zademonstrowała, że jest uczciwa i nadaje się na liderkę zielonych kości.

Jej sekretarka zerwała się nagle z krzesła i podążyła za nią do gabinetu.

– Kaul-jen, radca Kowi i dwóch latarników już od przedwczoraj przychodzą do budynku i czekają w holu, by z tobą porozmawiać. Zgodzisz się ich przyjąć czy mam ich odesłać?

– Przyjmę ich – odpowiedziała. Wszyscy wrócili już do swoich zajęć, jakby nie działo się nic nadzwyczajnego.

Kowiego i dwóch towarzyszących mu latarników wpuszczono do gabinetu Shae. Przyszli tu pod pretekstem, że muszą ją poinformować o tym, co wydarzyło się w Radzie Książęcej podczas jej nieobecności, zwłaszcza o kwestii budżetu na przyszły rok oraz tego, jakie stanowisko powinien zająć Kekon w sprawie uchodźców z wojny oortokańskiej, ciągnącej się już od niemal roku. Shae wiedziała jednak, o co im naprawdę chodziło. Podjęli ryzyko, zwracając się do Hila z prośbą o usunięcie jej ze stanowiska prognostyczki. Teraz, gdy stało się jasne, że przegrali i Shae zachowa tę pozycję, starali się uniknąć popadnięcia w niełaskę.

– Kaul-jen – zaczął Kowi, oddając jej honory z głębokim, nerwowym ukłonem. – W imieniu nas wszystkich wyrażam głęboką ulgę, jaką czujemy, widząc, że wróciłaś do zdrowia.

Obaj latarnicy poparli go z pasją. Przyjęła ich życzenia i przez dwadzieścia minut prowadziła niezobowiązującą rozmowę o wydarzeniach



w Radzie. Wreszcie Kowi odchrząknął.

– Kaul-jen, moją rodzinę już od pokoleń łączą więzy z klanem Bez Szczytów. Dlatego nie sposób wątpić, że moja wierność wobec klanu jest niezachwiana, i mam nadzieję, że będę mógł z tobą współpracować przez wiele lat.

– W obecnych czasach wiadomości rozchodzą się szybciej niż kiedykolwiek dotąd – dodał pan Eho, latarnik. – Gazety i radio przekazują informacje, nim ktokolwiek zdąży sprawdzić ich prawdziwość. Ze wstydem przyznaję, że wyciągnąłem przedwczesne wnioski, kierując się pewnymi negatywnymi komentarzami. Źle postąpiłem, tracąc wiarę w klan i urząd prognostyka.

– Z chęcią publicznie wyrażę filarowi żal z powodu nieporozumień, do jakich mogło dojść – oznajmił pan Orn ze szczerą skruchą, choć zboląły wyraz jego twarzy sugerował, że robi to nader niechętnie. Brak ucha nie wyglądałby dobrze u kogoś, kto ubiegał się o polityczny urząd.

Shae milczała przez czas wystarczająco długi, by mogła Postrzec narastający niepokój gości. Przyjrzała się kolejno każdemu z nich z pozbawioną wyrazu twarzą. Nikt nie wytrzymał jej spojrzenia dłużej niż przez kilka sekund, zanim odwrócił wzrok. Założyła nogę na nogę i splotła dłonie na kolanie.

– To nie będzie konieczne – oznajmiła wreszcie. – Dziadek nauczył mnie, że jeśli przyjaciel prosi nas o wybaczenie, zawsze powinniśmy mu go udzielić.

Jej goście uspokoili się wyraźnie. Mięśnie ich barków się rozluźniły, a na twarzach zaczęły się pojawiać uśmiechy.

– Ale mówił też, że jeśli musimy im przebaczać po raz drugi, to znaczy, że nie byli prawdziwymi przyjaciółmi. – Wstała gładko z krzesła, kończąc rozmowę. – Jestem pewna, że od tej chwili zawsze będę mogła liczyć na waszą przyjaźń i lojalność.

\* \* \*

Kilka następnych dni poświęciła na nadrabianie zaległości. Rankiem piątego dnia zadzwoniła do gabinetu Hami Tumashona.

– Hami-jen, pora już, byśmy porozmawiali o twojej przyszłości w biurze prognostyka i w klanie bez Szczytów – oznajmiła bez zbędnych wstępów.

Twarz Hamiego przybrała ostrożny, nieprzenikniony wyraz, a jego jadeitową aurę wypełnił niepokój.

– Nie zawsze zgadzaliśmy się ze sobą, odkąd objęłam ten urząd – kontynuowała. – Czasami podważałeś moje decyzje albo jasno dawałeś do zrozumienia, że twoim zdaniem popełniłam błąd.

– Tylko wtedy, gdy uznałem za konieczne – odburknął Hami. – Tak samo postępowałem w czasach, gdy prognostykiem był Yun Doru. Był zbyt zaściankowy, ale prawda wygląda tak, że w klanie go lubiano, ponieważ był bojownikiem z dawnych czasów, towarzyszem Płomienia. Ty nie masz takiego przywileju. Nawet jeśli uważam, że w zasadzie prowadzisz klan we właściwym kierunku, muszę wyrazić swoją opinię, gdy postępujesz nierozsądnie bądź w sposób mogący spowodować że ludzie przestaną szanować ciebie albo cały klan.

– Postępujesz słusznie – odrzekła Shae. – Choć twoja szczerość niekiedy rani moją dumę, muszę przyznać, że jesteś jedyną osobą w klanie Bez Szczytów, która skutecznie łączy w sobie obie jego strony. Masz autorytet i zimne odruchy pięści, a jednocześnie bystry umysł i doświadczenie dobrego szczęściodawcy. Rozumiesz, że musimy się zmieniać z upływem czasu, lecz jednocześnie zdajesz sobie sprawę, że powinniśmy zachować wierność tradycjom zielonych kości. Dlatego właśnie cię tu wezwałam. Chcę, żebyś przeniósł się do Espenii i otworzył filię biura prognostyka w Port Massy.

Tego Hami z pewnością się nie spodziewał, gdy wezwano go do gabinetu Shae. Był zbyt zaskoczony, by jej odpowiedzieć.

– Bez względu na obecne polityczne zaburzenia prawda wygląda tak, że naszą gospodarkę łączą z Espenią bliskie więzy. Espeńczycy kupują nasz jadeit, mają bazy wojskowe na naszym terytorium, a ostatnio znacznie wzrosła liczba naszych inwestycji w tym kraju. Nie możemy zarządzać tym wszystkim z Janloonu. Potrzebuję tam kogoś, kto jest wierny klanowi, potrafi się przystosować do nowych warunków, ale będzie kierował naszą działalnością jak prawdziwy Kekończyk.

Hami wyraźnie nie był pewien, co o tym sądzić.

– Jakie wsparcie otrzymałbym z Janloonu? – zapytał z ostrożnością w głosie. Chciał się dowiedzieć, czy Shae poważnie myśli o ekspansji, czy to tylko dogodny pretekst, by wysłać go na wygnanie za morze.

– Tak duże, jak tylko będę mogła ci dać – zapewniła prognostyczka. – Będziesz mógł wybrać garstkę szczęściodawców, którzy pomogą ci założyć

filię. Mamy w Port Massy kontakty, które ułatwią ci wynajęcie miejscowego personelu. Będziesz odpowiadał bezpośrednio przede mną, tak samo jak zawsze. Klan zapłaci za przeniesienie twojej rodziny w nowe miejsce i pokryje koszty jej utrzymania. Masz dwoje dzieci, zgadza się, Hami-jen?

Skinął głową.

– Cztero- i sześćoletnie.

– Jeśli się zgodzisz, chciałabym, żebyś spędził tam co najmniej trzy lata. Twoje dzieci będą chodziły do szkoły w Port Massy i biegle poznają espeniński, ale po powrocie będą jeszcze mogły podjąć naukę w Akademii Kaul Du.

Hami zastanawiał się nad jej propozycją. Jako pierwszy szczęściodawca osiągnął szczyt swojej kariery i miał bardzo niewiele możliwości dalszego awansu. Z pewnością liczył na to, że pozostanie w tej roli na Statkowej co najmniej dziesięć lat, ale był jeszcze stosunkowo młodym, czterdziestoletnim mężczyzną i myślał o tym, że będą mu płacić za pobyt za granicą i będzie mógł otworzyć nową gałąź klanowej działalności, z pewnością była kusząca.

– Często zastanawialiśmy się z żoną, czy nie wjechać na pewien czas za granicę – przyznał.

– Powinieneś wziąć pod uwagę coś jeszcze – dodała Shae. Wiedziała, że to może go zniechęcić, ale trzeba było poruszyć tę sprawę. – W Espenii zabroniono cywilom posiadania jadeitu. Musiałbyś zostawić swoją zieleni. Mógłbyś ją oddać na przechowanie w Janloonie albo moglibyśmy potajemnie wysłać ją do Port Massy, ale nie byłoby ci wolno jej nosić. Gdybyś miał tam spędzić tylko krótki czas, moglibyśmy ci załatwić pozwolenie dla gości, ale musisz tam zamieszkać. Noszenie jadeitu mogłoby wpędzić ciebie i klanowe biznesy w kłopoty z prawem.

Hami skrzywił się boleśnie. Już dość dawno porzucił militarną stronę klanu i Shae wątpiła, by w ostatnich latach wykorzystywał swe talenty w walce, ale myśl o utracie jadeitu przerażała większość zielonych kości – nawet gdy chodziło o dobrowolne wyrzeczenie się go na pewien czas, a nie o odebranie przez wroga. Widziała, że zastanawia się nad tym, czy będzie mógł żyć gdzieś, gdzie nie wolno nosić zieleni, nawet jeśli dostanie dobrą pensję, będzie mógł się wykazać zawodowo, a jego rodzina odniesie korzyści.

Spojrzał na nią.

– Zdjęłaś już kiedyś jadeit. Czy było bardzo źle?

Zastanowiła się nad tym pytaniem, nim udzieliła szczerzej odpowiedzi. Niedawne objawy znacznie już osłabły, ale wspomnienie o nich było świeże.

– Odstawienie nie jest przyjemne, ale nie aż tak, jak sądzi większość ludzi. Zrobiłbyś to tutaj, pod opieką lekarzy, więc po paru tygodniach zapewne byłoby po wszystkim. W Espanii życie bez jadeitu wygląda inaczej. Nigdy nie prosiłabym o to żadnej zielonej kości mieszkającej na wyspie, ale tam, gdzie nie będziesz co dzień widział zieleni, z czasem przestaniesz jej brakować.

– To jak być głuchym w krainie głuchych. – Pierwszy szczęściodawca zastanawiał się przez chwilę. – Nie mogę natychmiast podjąć tak ważnej decyzji. Muszę porozmawiać z rodziną.

Skinęła głową.

– Odpowiedz mi w następny piąty dzień.

\* \* \*

Opuściła biuro godzinę po obiedzie i po trzydziestominutowej jeździe metrem dotarła na kampus Królewskiego Uniwersytetu Jan, by spotkać się tam z Marem. Zabrała ze sobą książkę, by poczytać ją po drodze, ale nie była w stanie skupić się na słowach. Rozpaczliwie pragnęła znowu się z nim zobaczyć, ale jednocześnie bała się czekającej ją rozmowy. Gdy wreszcie zdobyła się na to, by do niego zadzwonić, po cichu liczyła na to, że Maro odłoży słuchawkę, gdy tylko usłyszy jej głos, co ułatwi jej zadanie. Nie miała jednak szczęścia. Przez kilka uderzeń serca w słuchawce panowała cisza, ale wreszcie usłyszała jego wyprany z emocji głos.

– Możemy się spotkać dzisiaj, kiedy skończę zajęcia.

– Przyjadę do ciebie – zaproponowała Shae, jakby ten drobny gest z jej strony mógł wynagrodzić długie tygodnie milczenia.

Był środek lata i w miejskim metrze panowały wilgoć i smród, ale na kampusie czekała na nią dająca cień roślinność. Maro siedział za stolikiem na tarasie jadalni Wydziału Studiów Międzynarodowych, zwrócony do niej plecami. Na blacie przed nim leżała otwarta książka, ale jej nie czytał. Stronice nie poruszały się w bezwietrznym upale. Shae zapragnęła podejść do niego od tyłu i uściskać go z zaskoczenia, udając, że nic się nie stało, że wszystko wygląda tak samo jak przedtem. W tej samej chwili uświadomiła sobie jednak, że to byłoby niewłaściwe, żenujące i niewyobrażalne, jakby

nagle objęła kogoś nieznanego. Swoboda, jaką czuła, gdy była przy nim, szansa ucieczki i akceptacja, którą reprezentował – wszystko to zniknęło bez śladu. Wyczuwała to nawet z tej odległości.

Okrążyła stół i usiadła na krześle naprzeciwko mężczyzny. Maro omiół ją spojrzeniem – jak zwykle miała na sobie garsonkę, nowe, brzydkie blizny nie były widoczne, a jej blada szyja wydawała się naga bez charakterystycznego naszyjnika. Jego twarz przybrała dziwny wyraz – połączenie zranionej dezorientacji, sympatii, gniewu i ulgi zdawało się popychać ją w kilku różnych kierunkach jednocześnie, nim wreszcie zdecydował się na ostrożny, neutralny uśmiech. Tak mógłby się uśmiechać ktoś, kto stara się być uprzejmy dla drugiego kierowcy, który wjechał w jego samochód.

– Cieszę się, że wszystko już z tobą w porządku – rzekł z namysłem. – I że zechciałaś się ze mną zobaczyć.

– Przepraszam – odezwała się Shae. Nie wiedziała od czego innego mogłaby zacząć.

– Dlaczego? – Wypowiedział to słowo z wielkim napięciem, ale mogło ono dotyczyć tak wielu różnych rzeczy, że nie miała pojęcia, jak mu odpowiedzieć. – Dlaczego nie reagowałaś na moje wiadomości? – ciągnął Maro ściszone głosem. – Ani przedtem, ani potem. Dlaczego? – Przez chwilę nie była pewna, czy miał na myśli aborcję, czy pojedynek. Ale o tej pierwszej nie wiedział, zatem istniała tylko jedna możliwość. – Dlaczego musiałem się o tym dowiedzieć z telewizji? Dlaczego nie chciałaś nawet ze mną porozmawiać?

– Przepraszam – powtórzyła. – Wszystko działo się bardzo szybko. Wiedziała, że gdybym z tobą porozmawiała, zabrakłoby mi odwagi, by zrobić to, co konieczne.

– To, co konieczne? – powtórzył Maro. Każde jego słowo ociekało sceptycyzmem. – Musiałaś z własnej woli wybrać dramatyczną, publiczną śmierć?

– Zdyskredytowano mnie i chciano zmusić do ustąpienia ze stanowiska, Maro. Góra wykorzystywała moją przeszłość, by zaszkodzić klanowi Bez Szczytów. – Obiecała sobie, że nie będzie się bronić, ale już wyczuwała w swym głosie defensywną nutę. – Podczas ostatniej rozmowy powiedziałeś, że zasługuję na swoją pozycję i nie powinnam dać im tego, czego się domagają.

Maro potrząsnął głową.

– Nie miałem na myśli pojedyнку! Mogłaś zginąć.

– Mogłam, ale nie zginęłam – odparła. – Nadal tu jestem. I wciąż pozostaję prognostyczką.

– Ale gdyby cię zabito, a bardzo niewiele brakowało, nawet byś przedtem ze mną nie porozmawiała. To... – Jego twarz wykrzywiła się w grymasie gniewu i niedowierzania. – Nie tak powinno to wyglądać między ludźmi, którzy są sobie bliscy. Dlaczego nie chciałaś nawet ze mną o tym pomówić?

– I co byś mi powiedział? – zapytała. – Czy poparłbyś moją decyzję? A może poradziłbyś, żebym nie narażała życia? Żebym uniknęła pojedyńku, po prostu na niego nie przychodząc?

Niemal natychmiast pożałowała swoich słów. Maro otworzył szerzej oczy, a potem jego twarz posmutniała.

– Tak – potwierdził. – Pewnie tak właśnie by było. Powiedziałbym ci, że jesteś ponad takie rzeczy, że nie musisz uciekać się do przemocy, by dowieść swej wartości, bez względu na naciski opinii publicznej. Przypomniałbym ci twoje słowa, że odwaga to wierność temu, kim się jest.

– Tym właśnie jestem – odpowiedziała cicho.

Maro wyciągnął ku niej rękę, ale zatrzymał ją nad białym.

– Nie, kiedy jesteśmy razem. Ale właściwie wcale cię nie znam, prawda? – dodał ze smutkiem. – Spędziliśmy razem tyle czasu i widziałem to, co chciałem zobaczyć, i to, co byłaś gotowa mi pokazać. Twojej drugiej strony, tej zielonej, nie znałem w ogóle.

Twój Shae wypełniło gorąco, jakby Maro ją spoliczkował.

– Nigdy nie próbowałam cię okłamywać ani niczego przed tobą nie ukrywałam. Ostrzegałam cię, że pewne sprawy dotyczące klanu i mnie z pewnością trudno ci będzie zaakceptować.

– Nie chodzi o moją akceptację. Nie powinnaś utrzymywać mnie w nieświadomości! – Maro podniósł głos, ale z wysiłkiem zapanował nad sobą. –

Masz rację, być może z niektórymi sprawami dotyczącymi ciebie i twojej rodziny nigdy nie potrafiłbym się pogodzić. Zastanawiałem się nad tym już przedtem. Jak mógłbym się nie zastanawiać? Zadawałem sobie pytanie, czy musiałbym zostać członkiem klanu, żeby móc się z tobą ożenić, jak moglibyśmy pogodzić założenie rodziny z wymaganiami twojej pozycji prognostyczki, czy moja szotarska rodzina będzie mogła kiedykolwiek spotkać się z twoją... wiedziałem, że będziemy musieli porozmawiać o bardzo wielu sprawach, ale zawsze zakładałem, że o nich porozmawiamy. Że szczerze pomówimy o stojących przed nami wyzwaniach i wspólnie stawimy im

czoło. – Przyjrzał się jej z bólem w oczach. – Pragnę związku z tobą tylko pod warunkiem, że będziemy ze sobą absolutnie szczerzy. Wiem, że nie możesz mi opowiedzieć o wszystkim, co robisz jako prognostyczka. Potrafię się z tym pogodzić, ale jeśli coś dotyczy twojego bezpieczeństwa i naszego życia... zasługuję przynajmniej na to, żeby o tym wiedzieć. Czy możesz mi obiecać, że nie będziesz przede mną ukrywać ważnych spraw?

Shae czuła, że zabrakło jej wilgoci w gardle. Z pewnością nie mogła mu powiedzieć o aborcji. Nie w tej chwili, gdy już sprawiła mu ból. W przyszłości może być zmuszona również do innych uczynków, których nie będzie w stanie wytłumaczyć.

– W kilku ostatnich latach zrobiłam rzeczy, których nigdy bym się po sobie nie spodziewała – przyznała ochryłym głosem. – Nie jestem pewna, czy mogę ci cokolwiek obiecać.

Maro milczał przez bardzo długą chwilę. Shae miała wrażenie, że oddała się od niej, zmierzając ku odległemu tunelowi. Maro cofnął wyciągniętą rękę i odwrócił wzrok ku zielonym trawnikom kampusu, poruszając porośniętą brodą zuchwą.

– Nie wiem, w jakiej sytuacji to nas stawia.

– Na razie pozostajemy przyjaciółmi – zdołała wykrztusić Shae. – Jeśli nadal jesteś skłonny zaakceptować moją przyjaźń.

Zamknął leżącą na stole książkę, wsuwając palec między kartki, by zaznaczyć miejsce, a potem wstał i rozciągnął usta w bladym uśmiešku, całkowicie pozbawionym wesołości.

– Z pewnością jestem. Któż na Kekonie byłby tak nierozsądny, by odrzucić przyjaźń klanu Bez Szczytów?

# ROZDZIAŁ 33

## NIEBEZPIECZNE MIEJSCE

Podczas drugiego roku pobytu w Port Massy Anden znalazł sobie pracę w sklepie z narzędziami. Pracował w niepełnym wymiarze godzin, układając towar na półkach, obsługując kasę albo pomagał klientom jako złota rączka. Kontynuował studia, ale chciał też zarobić trochę dodatkowych pieniędzy. W ten sposób mógł pomóc Hianom w pokryciu niektórych świadczeń, trochę zaoszczędzić i jeszcze zostawało mu parę groszy na drobne wydatki. Przez całe dotychczasowe życie był zależny finansowo od rodziny Kaulów, ale teraz, gdy jego perspektywy w klanie wyglądały bardzo kiepsko, musiał się nauczyć polegać na sobie. Co więcej, pragnął się zająć czymś innym poza nauką. Praca w sklepie „Narzędzia i Drobiazgi Starra” pozwalała mu lepiej opanować język, można więc było uważać ją za element edukacji. Mógł teraz swobodnie korzystać z komunikacji zbiorowej, czytać napisy i rozmawiać z nieznanymi. Stał się bardziej niezależny i sprawiało mu to satysfakcję. Nigdy dotąd nie rozumiał, dlaczego jego kuzynka Shae wyjechała za granicę i zdystansowała się od klanu, teraz jednak był przekonany, że wreszcie ją pojął.

Przez całą zimę i paskudną, deszczową wiosnę nadal spotykał się w sali uraz z Cory Daukiem i jego kolegami od piłki sztafetowej. Gdy pierwszy raz opowiedział panu i pani Hian, gdzie spędza wieczory piątego dnia, z zaskoczeniem przekonał się, że tego nie aprobują. Myślał, że ucieszą się, iż spędza więcej czasu z miejscowymi kolegami.

– Anden-se, to miejsce wywiera zły wpływ na młodych ludzi – oznajmiła jednak pani Hian tonem sugerującym, że Anden popełnia błąd. – Bardzo dużo przemocy. To wyrabia nam złą opinię.

– Bardzo szanuję Dauków, ale sala uraz... – dodał jej mąż tonem ojcowskiego zatroskania. – Na twoim miejscu był tam nie chodził. Walki kogutów, hazard, i pojedynki... wszystko to jest sprzeczne z prawem. Co, jeśli



policja urządzi obławę i złapią cię na czymś nielegalnym? Mogą ci odebrać wizę studencką.

Andenowi przyszło na myśl, że w takim przypadku natychmiast deportują go na Kekon i Hilo nie będzie miał innego wyboru jak go przyjąć. Nie wyraził jednak na głos tego ironicznego optymizmu, a tylko obiecał Hianom, że nie będzie się pojedynkował ani uprawiał hazardu.

– Ale tam zawsze kręci się mnóstwo zielonych kości – nie ustępowała nadal zatroskana pani Hian. – To niebezpieczne.

W Janloonie wszyscy wiedzieli, że najbezpieczniejszymi miejscami są te, które odwiedzają zielone kości. Pomijając nietypową sytuację, jaką była wojna klanów, trudno byłoby znaleźć lokale spokojniejsze niż restauracja Podwójne Szczęście albo Klub dla Dżentelmenów Boski Bez. Niepokój pani Hian był dla niego pozbawiony sensu, dopóki sobie nie przypomniał, że Zgromadzenie Narodowe zaakceptowało propozycję ustawy, o której w zeszłym roku wspominał Dauk Losun, i noszenie jadeitu stało się kolejną rzeczą, która jest zakazana w Espenii.

Często zapominał o tym fakcie. Potrafił się pogodzić z myślą, że wiele spraw wygląda tu inaczej niż na Kekonie, ale trudno mu było sobie wyobrazić zakaz noszenia jadeitu. To tak, jakby zabroniono korzystania z samochodów albo pieniędzy. Rzecz jasna, nie wszyscy powinni mieć takie rzeczy, bo w niewłaściwych rękach mogłyby się stać niebezpieczne, ale całkowity zakaz ich używania byłby absurdem. Jak społeczeństwo mogłoby wtedy funkcjonować?

Powiedział sobie jednak, że patrzy na to z zaściankowego kekońskiego punktu widzenia. Inne kraje od tysiącleci radziły sobie bez jadeitu i jego dostępność była dla nich szkodliwą nowinką. O ile Anden potrafił to ocenić, zakaz posiadania jadeitu i handlowania nim przez cywilów niczego właściwie nie zmienił. Nikt ze znanych mu zielonych kości nie wyrzekł się zieleni z tego powodu. Jedynym skutkiem wprowadzenia nowego prawa było utrwalenie niechęci do Kekończyków.

Pan Hian pomyślał też jednak o innym zagrożeniu poza stróżami prawa.

– Paczki od dawna zostawiały naszą dzielnicę w spokoju, ale szefowie widzą, że uprawia się tu hazard i lichwę, a oni tego nie kontrolują. A teraz dochodzi jeszcze jadeit. – Mężczyzna się zasepił. – Dauk-jen mówił że wkrótce złamią porozumienie. Lepiej, żeby nie było cię w pobliżu, gdy dojdzie do starcia między zielonymi kośćmi a paczką szefa Kromnera.

Ten powód łatwiej mu było zrozumieć. Cywile zawsze powinni trzymać się z dala od konfliktów, które ich nie dotyczyły. Pograżył się w zamyśleniu. Nie chciał, żeby Hianowie martwili się z jego powodu, ale nie potrafił też zrezygnować z sali uraz i spotkań z Corym.

Hianowie zrozumieli to i ustąpili.

– Jesteś naszym gościem i traktujemy cię jak syna. Dlatego niepokoiemy się o twoje bezpieczeństwo. Nie możemy ci jednak niczego zakazywać. Jesteś dorosłym mężczyzną i sam o sobie decydujesz. – Pani Hian westchnęła. – Wychowałeś się wśród zielonych kości i to naturalne, że pragniesz ich towarzystwa. Nie mamy prawa się temu sprzeciwić. Tylko bądź ostrożny.

Anden z wdzięcznością zapewnił, że będzie uważał i nie mają powodów do niepokoju.

Wcale nie chodziło mu o towarzystwo zielonych kości, jak sądziła pani Hian. Potrawy i napoje mu smakowały, lubił też pokazy jadeitowych umiejętności i wesołą atmosferę (zakłócaną od czasu do czasu autentycznym i śmiertelnie poważnym wyrównywaniem rachunków), ale już przy pierwszej wizycie przekonał się, że sala uraz nie jest Kekonem. W najlepszych chwilach była czymś zupełnie innym, w najgorszych zaś pełną przesady imitacją kekońskiej knajpy dla klasy pracującej. Kiedy tam przychodził, jeszcze bardziej tęsknił za domem. Najbardziej zależało mu na chwilach, gdy Cory proponował, że odwiezie go do Hianów, ale zamiast tego jechali do jego mieszkania.

Cory nie był jego właścicielem. Była w nim tylko jedna sypialnia i od domu jego rodziców dzieliło je zaledwie dziesięć minut jazdy. Daukowie trzymali je jako lokatę kapitału. Mieli zamiar wyremontować je i wystawić na sprzedaż, gdy jesienią Cory zacznie studia prawnicze. Były w nim przeciągi, piec robił mnóstwo hałasu, a bojler pilnie wymagał wymiany, to jednak były tylko drobne uciążliwości. Anden był zmuszony z niejakim zawstydzeniem przyznać, że zapewne poszedłby wszędzie, gdzie zaprowadziłby go Cory.

Po tym pierwszym razie w samochodzie przez cały tydzień nieustannie myślał o przyjacielu, o jego bladej skórze lśniącej w blasku latarni, o drwiącym spojrzeniu i szybkim uśmiechu, o kształtnych dłoniach i ustach. W następną piątą dzień pogoda była paskudna i Cory zadzwonił do domu Hianów, by zapytać Andena, czy będzie mógł znowu spotkać się z nim w sali uraz. Chłopak się zgodził, a potem pozwolił, by Cory zawiózł go do

swego mieszkania. Godził się też na wszystkie jego propozycje podczas tej nocy, a także podczas następnych.

Cory podchodził do uprawiania miłości tak samo jak do wszystkiego. Był pełen zapału i dobrego humoru, lubił sprawiać innym przyjemność i łatwo było go zadowolić. Anden bardzo się cieszył z tego powodu, ponieważ sam był jego przeciwieństwem – czuł się rozdarty między niemal niemożliwą do zniesienia siłą świeżo obudzonego pożądania a niepokojem i wstydem wywołanym brakiem doświadczenia. Cory pod żadnym względem nie traktował siebie zbyt poważnie. Puszczął w sypialni muzykę i tańczył w bieliźnie, udzielał Andenowi lekko drwiących rad na temat zachowania w łóżku, przyznawał, że jeśli w grę wchodzi mężczyźni, woli grać bierną rolę, ale nie upierał się przy tym, sugerując, że powinni być otwarci na wszelkie możliwości i przekonać się, co lubi jego partner. Kiedy byli razem, Anden wyczuwał jego aurę niemal tak wyraźnie, jakby sam nosił ten jadeit. Każde doznanie było cudownie wzmocnione. Aura Cory'ego była jasna i lekka, jak on sam. Jak bita śmietana albo słońce na wiosnę – delikatnie słodka i uzależniająca. Andenowi wydawała się równie ekscytująca i dotykalna jak pot na skórze partnera albo zapach jego włosów. Czasami zadawał sobie pytanie, w jakim stopniu jego nowo obudzone pragnienia dotyczą samego Cory'ego, a w jakim jest to efekt działania noszonego przez jadeitu. Tak czy inaczej, połączenie było absolutnie oszałamiające.

Spotykali się co tydzień, a czasami nawet częściej, gdy udało im się uwolnić od zobowiązań. Anden, który nigdy dotąd nie wagarował ani nie spóźniał się do pracy, teraz robił to regularnie. Gdy tylko miał wolną chwilę, jego myśli wędrowały ku Cory'emu, wypełniały je erotyczne wspomnienia albo niecierpliwie oczekiwanie kolejnego spotkania – zawsze zbyt długie, nawet jeśli mieli się spotkać jutro albo za godzinę.

Zadawał sobie pytanie, czy to jest miłość.

Z nadejściem wiosny znowu zaczęli grać w piłkę sztafetową. Kilku graczy odeszło, ale zyskali na ich miejsce nowych. Anden stał się już regularnym członkiem grupy – inni chcieli, by grał w ich drużynie, mówili mu „cześć”, gdy spotkali się na mieście, i okazywali przyjazne zainteresowanie nim, pytając go o szkołę, pracę, czy o to, jak wyglądało jego życie w Janlonie.

Wreszcie nadeszło lato i Cory miał wyruszyć w dawno wyczekiwaną podróż. Zamierzał odwiedzić wszystkie większe miasta na brzegach Zatoki Whittinga, a następnie wybrać się z plecakiem na malownicze pustkowia

północno-wschodniej Espanii. Potem wróci do centrum kraju i wreszcie dotrze do Adamont Capita, gdzie będzie studiował prawo na Uniwersytecie Watersguarda.

– Wybierz się ze mną – zaproponował Andenowi.

– Nie mogę – odpowiedział.

Bardzo by tego pragnął. Myśl o sześciu tygodniach spędzonych sam na sam z Corym wydawała mu się wyjątkowo pociągająca, ale zapisał się już na letnie kursy w programie IKEOO, nie miał pieniędzy i nie mógł sobie pozwolić na wzięcie wolnego w pracy, a nie chciał nadużywać szczodrości Hianów albo własnej rodziny. Obawiał się też, że Daukowie mogliby coś podejrzewać, gdyby nagle zapomniał o wszystkich zobowiązaniach i wybrał się w podróż z ich synem.

– Co by pomyśleli twoi rodzice, gdyby wiedzieli o nas? – zapytał Cory’ego.

Jego partner skrzywił się z niezadowoleniem.

– A jakie to ma znaczenie?

Na Kekonie homoseksualizm uważano za naturalne, choć niefortunne zjawisko, na które nic nie można było poradzić. Homoseksualiści przychodzili na świat w pechowych rodzinach, podobnie jak kamiennoocy czy dzieci z wadami wrodzonymi. Cory wyjaśnił, że w Espanii często uważano, że świadczy on o słabości charakteru, podobnie jak uzależnienia albo długi, coś, co mogło spotkać skłonnych do tego ludzi, jeśli nie będą ostrożni, ale można się było od tego uwolnić.

– Pecha da się odwrócić – skwitował z ironią Cory, opowiadając o podejściu Keko-Espeńczyków do tej kwestii. – Posłuchaj, ziom. Znam swojego tatę. Jest tradycjonalistą pochodzącym z wyspy tak samo jak ty. Zależy mu tylko na tym, żeby jego syn nosił jadeit. Prawie wszystko inne może mi darować, ale noszenie zieleni i wierność naszym korzeniom to dla niego absolutna konieczność. Podejrzewam, że w pewnej chwili mama zacznie wspominać o tym, że powinienem się ożenić i postarać o dzieci, ale przecież mam dopiero dwadzieścia cztery lata! Będzie jeszcze czas o tym pomyśleć.

Letnie dni były długie i upalne. W powietrzu unosiły się zapachy portowych oparów i moczu. Mewy krążyły pod niebem i srały na trawniki. W miejskiej komunikacji tłoczyli się turyści. Ulice były pełne samochodów, handlarzy i drobnych złodziei. Wszędzie trwały też prace remontowe. Port Massy było wielką metropolią o światowej sławie, o klasę przewyższającą

szybko się rozwijające ośrodki takie jak Janloon. Anden mieszkał tu już od szesnastu miesięcy, lecz poznanie miasta nadal wykraczało poza jego możliwości. Czasami odnosił wrażenie, że wielkość i kulturowe bogactwo Port Massy sprawiają, że jego własne życie się kurczy, skłaniając go do szukania ucieczki w rutynie i w towarzystwie ludzi, którym mógł zaufać.

Wieczorem piątego dnia, przed odjazdem Cory'ego, jak zwykle grali w piłkę sztafetową na szkolnym boisku. Anden przez cały czas zdawał sobie sprawę z bliskości partnera. Czuł się jak mała planeta orbitująca wokół gwiazdy, beznadziejnie daleko od jej jasności. Widział, jak Cory łapie piłkę w locie, śmieje się i żartuje, odgarnia włosy z oczu, podziwiał też głupi taniec, jaki wykonywał zawsze, gdy udało mu się umieścić piłkę między słupkami. W rezultacie zepsuł obronę i piłka wylądowała w siatce. Zaklął pod nosem.

Po meczu wszyscy poszli do sali uraz. Odźwierny, Sano, poklepał Cory'ego po plecach.

– Przez pewien czas się nie zobaczymy, tak? Bezpiecznej podróży. I nie zapomnij o Południowej Pułapce, gdy już zostaniesz wielką prawniczą szychą.

W piwnicy koledzy Cory'ego zestawili razem kilka stołów. Matka Dereka upiekła tort korzenny z wiśniami. Wszyscy wpisywali życzenia w notesie, który Cory miał zabrać ze sobą. Anden nie miał pojęcia, jaką treść powinna mieć podobna notatka, gdy więc przyszła kolej na niego, napisał starannie po espeńsku: „Wyrazy wdzięczności za przyjaźń, jaką okazałeś mi w tym roku. Dzięki tobie czułem się w Port Massy jak w domu. Życzę ci szczęścia na studiach!”. Potem czuł się okropnie z tego powodu. Raz jeszcze zerknął na Cory'ego i zauważył, że jego partner położył rękę na ramionach Dereka i śmieje się głośno z czegoś, co powiedział Sammy. Zazdrość wbiła się w jego brzuch niczym karambit. Na Uniwersytecie Watersguarda Cory'ego czekały nowe doświadczenia, zdobędzie też nowych przyjaciół. Młodych i pewnych siebie Espeńczyków. Odwrócił się i wziął sobie kawałek tortu.

Dzisiaj nie przewidziano żadnych pojedynków, tylko zwyczajowe atrakcje. Nigdzie nie widział Dauk Losuna ani Dauk Sany. Być może chcieli, by ich syn mógł spędzić jeden z ostatnich wieczorów w Port Massy z dala od czujnych spojrzeń rodziców. Rohn Toro był jednak obecny. Siedział sam za małym stolikiem przy drzwiach, popijając spokojnie i kiwając głową do

przechodzących obok ludzi, którzy dotykali czoł, bezgłośnie oddając mu honory.

– Słyszeliście, że Tim Joro zmarł nagle? – odezwał się jakiś stojący obok Andena mężczyzna, zwracając się do dwóch innych. – Na atak serca. Miał tylko pięćdziesiąt cztery lata, ale ciągle pił i wchodził w konflikty z prawem, więc mnie to nie dziwi.

– A co z jego biedną żoną? – zapytała kobieta.

– Wróciła do rodziców.

Dalej rozmowa toczyła się ciszej i Anden nie mógł już jej podsłuchiwać. Ponownie zerknął na Rohna. Od czasu do czasu ktoś siadał z szacunkiem na drugim krześle przy jego stoliku, pochylał się i szeptał coś do rogu. Twarz Rohna rzadko zmieniała wyraz. Kiwał tylko głową albo zadawał jakieś pytanie, ale cały czas miał spokojną minę odpoczywającego zwierzęcia, zachowującego czujność nawet we własnym legowisku. Ci, którzy mieli mu coś do powiedzenia, nie zatrzymywali się na dłużej ani nie wdawali się w towarzyskie rozmowy, lecz szybko odchodzili, by zrobić miejsce dla następnych. Spokój i powaga tych krótkich rozmów przypomniały Andenowi o domu i o bezpieczeństwie, jakie zawsze kojarzył z terytorium klanu Bez Szczytów.

Cory podszedł do niego od tyłu, objął go i uściskał mocno.

– Hej, ziom, rewelacyjna impreza, co? – odezwał się, puszczając Andena z niewinną miną. – Dobrze się bawisz? Próbowaleś tortu? Chcesz się jeszcze napić?

Młodszy chłopak rozejrzał się, rozciągając usta w wymuszonym uśmiechu.

– Wszystko w porządku. Bawię się świetnie. – Nagle ściszył głos. – Cieszę się, że ci się powiodło. Tylko... szkoda, że do Adamont Capita jest tak daleko.

– Już ci mówiłem, że to tylko trzy godziny jazdy autobusem – odpowiedział Cory. – Będę mógł często przyjeżdżać do domu. – To zbytnio nie pocieszyło Andena. – Chodź do nas – dodał jednak starszy chłopak i zaprowadził go do grupki graczy w piłkę sztafetową. – Hej, słyszeliście, że Anden został wujkiem?

Zawstydzony ich uwagą, lecz pełen dumy przybysz z Kekonu wyciągnął małe zdjęcia formatu 6 x 9 cm, które przysłała mu Shae. Na jednym z nich Niko siedział na podłodze w kuchni w rezydencji Kaulów. Miał na sobie zieloną koszulkę i niebieskie szorty, w jednej rączce trzymał plastikowy

karambit, a w drugiej niedojedzonego krakersa. Unosił go, jakby chciał poczęstować osobę robiącą zdjęcie. Zapewne była to Wen. Zdjęcie najwyraźniej zrobiono z zaskoczenia. Chłopczyk gapił się na aparat z lekko zdziwioną miną. Miał okruchy na podbródku, a jedno oko mrużył w sposób tak bardzo upodabniający go do Lana, że Andenowi czasami trudno było patrzeć na tę fotografię.

Był zdumiony, gdy dowiedział się o istnieniu Nika. Za każdym razem, gdy o nim pomyślał, czuł silny przyptyw współczucia. Niko również był sierotą i trafił do domu Kaulów w wyniku tragedii (Shae napisała mu, że matka i ojczym chłopczyka zginęli w pożarze domu). Z pewnością Niko czuł się tak samo zdezorientowany, jak kiedyś Anden. Gdyby tylko mógł go w jakiś sposób uspokoić, powiedzieć, żeby się nie bał, bo w przeciwieństwie do niego jest Kaulem nie tylko z nazwiska, lecz również z krwi.

Na drugim zdjęciu był mały Ru. Miał wtedy zaledwie osiem tygodni, choć w tej chwili z pewnością osiągnął już wiek ośmiu miesięcy. Anden prosił w ostatnim liście o nowe zdjęcia, ale do tej pory nie otrzymał odpowiedzi, a nie chciał zawracać prognostycze głowy takim drobiazgiem. Ru wyglądał jak cherubinek i miał mnóstwo ciemnych włosów. Jedną zaciśniętą piąstkę unosił do głowy, a drugą wyciągał przed siebie, jakby przyjął pozycję bojową. Anden zawsze uśmiechał się na ten widok. Koledzy wyrazili należne uznanie i oddali mu zdjęcia.

– Są śliczne! – zawołała Tami, młoda, skłonna do flirtów kobieta, która uczyła się w miejscowym college’u na techniczną dentystyczną.

– Podzielisz się swoją wiadomością, Tod? – odezwał się nagle Derek.

Zapytany rozejrzył się i rozprostował ramiona.

– Wczoraj się zaciągnąłem.

Zapadła krótka cisza.

– Gratuluję, Tod – rzekł Cory.

– Rewelacja – dodał Sammy.

– A co na to twoi rodzice? – zapytała z nutą zatroskania przyjaciółka Tami, Ema.

– Mama boi się, że wyślą mnie do Oortoko, ale popiera moją decyzję. Tata jest przeciwny. Mówił, że zostanę zdrajcą, jeśli będę walczył po stronie Szotarczyków po tym, co zrobili Kekonowi i naszej rodzinie.

Większość Keko-Espeńczyków pochodziła z rodzin, które uciekły przed szotarską okupacją w czasach ich rodziców albo dziadków. Wiele z nich

miało odległych kuzynów, którzy byli członkami Towarzystwa Jednej Góry i torturowano ich albo stracono.

– Ja tak na to nie patrzę – ciągnął Tod z lekkim gniewem w głosie. – Okupacja skończyła się trzydzieści lat temu, a poza tym nie będę walczył za Szotarczyków tylko za Espenię, żeby ygutom się nie wydawało, że mogą podbić cały świat. Werbownik powiedział, że bardzo by się ucieszyli, gdyby zaciągnęło się więcej kespeków, takich jak my.

– Też się nad tym zastanawiałem – przyznał Sammy.

– To obecnie jedyny legalny sposób na noszenie jadeitu – dodał Tod. – A jeśli w dokumentach napisano, że przynajmniej jedno z twoich rodziców przybyło tu z Kekonu, skierują cię do sił specjalnych. Jeśli cię przyjmą, dostaniesz wyłączenie z powodów medycznych. Dadzą ci niską dawkę SN1 albo w ogóle nie będziesz go musiał brać, i nie będzie trzyletniego limitu. Nie postawią ci też zarzutów, jeśli przed służbą nosiłeś jadeit.

– Ale nie będziesz mógł nosić własnego – ostrzegł Cory. – Słyszałem, że każą wszystkim zaczynać od zera. Nawet jeśli ćwiczyłeś już tradycyjne dyscypliny, chcą żebyś nauczył się wszystkiego na ich sposób.

Tod wepchnął ręce do kieszeni.

– Myślę, że i tak się opłaca – stwierdził. – Chciałbym, żeby uważano nas za espeńskich patriotów. Żeby ludzie zrozumieli, że jadeitu można używać dla dobra Espenii.

Anden mógłby zauważyć, że te dwie rzeczy wcale nie muszą się ze sobą łączyć, wolał jednak trzymać język za zębami. To była najbardziej zdumiewająca rozmowa, jakiej był świadkiem przez cały czas pobytu w Port Massy. Zielone kości służące rządowi zakazującemu noszenia jadeitu? Dobrowolnie opuszczające dom, by walczyć w dalekim kraju za ludzi, wobec których nie mieli żadnych zobowiązań, i to w sposób niemal z pewnością prowadzący do zabijania nienoszących jadeitu cywilów i łamania *aisho*? To było zdumiewająco niekekońskie.

Dzięki rozmowom prowadzonym za stołem Hianów oraz lekturze kekońskojęzycznej gazety, którą prenumerowali, dowiedział się, że na Eumanie, wyspie należącej do Kekonu, stacjonuje ponad sto tysięcy żołnierzy Republiki Espenii. Co więcej, Kekon udzielał ekonomicznego i logistycznego wsparcia espeńskim wysiłkom wojennym, a Adamont Capita ciągle naciskało na Radę Książęcą, domagając się więcej. To zrozumiałe, że Kekończycy byli wściekli. Shae oczerniano z powodu jej dawnych powiązań z espeńską armią i była zmuszona bronić swej reputacji w pojedynku



czystej klingi z Ayt Madą, który omal nie doprowadził do jej śmierci. Andenowi trudno było to sobie wyobrazić. Na samą myśl robiło mu się niedobrze. Cudzoziemcy i ich wojna dla jego kuzynów z klanu Bez Szczytów oznaczali jedynie kłopoty.

Musiał ze smutkiem przyznać, że utracił nieco szacunku do Toda.

Cory najwyraźniej był innego zdania.

– Myślę, że to rewelacja, Tod. Mam nadzieję, że...

Nie dokończył zdania. Jego uwagę przyciągnęło nagłe poruszenie. Rohn Toro zerwał się na równe nogi i zamarł w bezruchu porażony szokiem. Jego oczy wpatrywały się w pustkę, jak zwykle u zielonych kości skupiających się na czymś, co Postrzegali. Z ulicy dobiegł odgłos przypominający wybuchy licznych fajerwerków. Strzały z karabinów maszynowych.

Rohn popędził w górę, szybko jak demon. Podziemną salę wypełniła niepewność, potem niepokój, a na końcu strach. Kilka osób rzuciło się w stronę schodów, próbując uciec, ale Cory zareagował równie szybko, jak wtedy, gdy żona Tim Jora wybiegła na ruchliwą ulicę.

– Nie idźcie na górę! – zawołał rozkazującym tonem, jakiego Anden nigdy dotąd u niego nie słyszał. – Wszyscy zostańcie tutaj. – Spojrzał na Toda i Sammy’ego. – Zielone kości pójdą pierwsze. Reszta niech nie wychodzi, dopóki ktoś z nas nie powie, że jest bezpiecznie.

Trzej mężczyźni i jedna kobieta – Anden widywał ich przedtem w sali uraz, ale nie pamiętał, jak się nazywają – wstali i dołączyli do Cory’ego, Toda oraz Sammy’ego. Wszyscy razem pobiegli ku schodom. Większość stojących im na drodze ludzi usunęła się na bok, ale kilku próbowało podążyć za nimi bądź nawet ruszyć przodem. Rozległy się głosy sprzeciwu. U podstawy schodów Tod odwrócił się i rzucił szerokie, płytkie Odbijanie, które przebiegło przez całą salę, strącając kapelusze z głów i przewracając kieliszki.

– Macie tu zostać!

Zielone kości popędziły w górę po schodach.

Przez krótką chwilę Anden stał jak sparaliżowany. Potem pobiegł za nimi. Nie miał pojęcia, dlaczego to zrobił. Nie był zieloną kością i nie miał żadnej broni, pomijając składany karambit. Nie zastanawiał się jednak nad takimi kwestiami. Obchodził go wyłącznie fakt, że Cory zniknął na schodach, a jego przy nim nie było.

– Hej, wyspiarzu, dokąd idziesz? Kazali nam tu zostać! – zawołał za nim Derek, ale ani on, ani nikt inny nie próbował go powstrzymać.

Anden wszedł na górę i zauważył, że pani Joek i inni sprzedawcy żywności schowali się pod stołami. Nigdzie nie widział Rohn Tora. Podbiegł do Cory'ego, który otworzył szeroko oczy ze zdumienia i niepokoju.

– Co tu robisz? – wysyczał. – Wracaj na dół, gdzie są wszyscy!

Zza metalowych drzwi dobiegł stłumiony jęk bólu.

– To Sano – odezwał się Tod.

Podszedł do wejścia i otworzył drzwi. Potężnie zbudowany odźwierny leżał pod murem. Charczał, a z licznych ran płynęła mu krew. Tod podbiegł do niego.

– Kurwa. O kurwa.

Jeden z pozostałych mężczyzn pomógł mu wciągnąć odźwiernego do środka. Na betonowej podłodze za nimi pozostała czerwona strużka.

– Gdyby tylko moja mama tu była. Może potrafiłaby coś zrobić... – odezwał się drżącym głosem Cory. – Czy ktoś tu zna się na medycznym Przenoszeniu?

Pozostali pokręcili głowami. Na ich twarzach malowała się panika. Anden zacisnął bezradnie dłonie. W Akademii nauczył się podstaw udzielania pierwszej pomocy za pomocą Przenoszenia, ale w tej chwili na nic mu się to nie zda. Tod podjął próbę, lecz Anden widział, że jest już za późno. Sano utracił zbyt wiele krwi i światło w jego oczach gasło. Pani Joek zaczęła się wyczołgiwać spod stołu, łkając w zgięty łokieć.

– Zostań tam – rozkazał jej Cory.

– Sprawdźmy, co się dzieje w ośrodku – zasugerował ochrypłym szeptem Sammy. – Kurwa, gdzie się podział Rohn?

Podbiegli do nieoznakowanych dwuskrzydłowych szklanych drzwi prowadzących do właściwego ośrodka. Anden podążył za nimi, mimo że Cory obejrzał się i jeszcze raz rozkazał mu zostać na miejscu. W ośrodku panowała ciemność. Stoły, krzesła i półki były tylko ledwie widocznymi sylwetkami. Frontowe szyby budynku wybiły kule z karabinów. Na dywanie wały się odłamki szkła, a w blasku latarni można było zobaczyć dziury po pociskach. Przed wejściem stał człowiek spoglądający na ulicę. Jego sylwetka mieściła się w ramach wybitego okna. Płaszcz, który miał na sobie, unosił się w podmuchu płynącego z kanału powietrza, ale poza tym mężczyzna był nieruchomy jak latarnia.

– Rohn-jen – odezwał się Cory, gdy ostrożnie podeszli do niego od tyłu, gapiąc się na zniszczenia. Rohn uniósł dłoń w czarnej rękawiczce, by ich powstrzymać.

– Wracają, żeby ponowić atak.

Trzy samochody wypadły z za rogu z rykiem silników. Po jakiejś sekundzie rozległy się strzały z karabinu maszynowego.

Cory padł na Andena, przyciskając go do podłogi. Rohn, Tod, Sammy i pozostałe zielone kości rzuciły nachodzące na siebie Odbijania, które zmieniły tor kul, wysyłając je ku ścianom i meblom, sufitowi, pod którym potłukły lampy, a także podłodze, gdzie wyrwały dziury w dywanie. Anden uderzył się w bark, padając na podłogę. Usłyszał, że ktoś krzyknął, z gniewu albo z bólu.

– Nie wstawać! – rozkazał Cory, po czym podniósł się i popędził na pomoc innym, uwalniając Andena.

Kilka przedmiotów wpadło do środka przez wybite okna i potoczyło się po dywanie. Nadal leżący na podłodze Anden zamrugał oślepiony zbliżającym się ku niemu czerwonym płomieniem. Zapaloną szmatę wepchnięto w szyjkę wypełnionej płynem butelki. Chłopak uświadomił sobie, że gdy ogień dotrze do benzyny, nastąpi wybuch, który podpali budynek.

Rzucił się naprzód i złapał butelkę. Poczł ostry ból w kolanie, gdy odłamek szkła przebił mu skórę. Uniósł butelkę, by cisnąć nią z powrotem na ulicę. Płonąca tkanina dotknęła grzbietu jego dłoni i chłopak krzyknął z bólu. Rzut okazał się za krótki. Koziołkująca butelka pomknęła w stronę chodnika.

Urękawiczniona dłoń poruszyła się błyskawicznie i złapała w locie gorejący przedmiot, jak przechwycone podanie w piłce sztafetowej. Rohn Toro pomknął w ślad za oddalającymi się tylnymi światłami czarnych samochodów. Cisnął zapaloną butelką, która przemknęła nad ostatnim z pojazdów i spadła na jego maskę. Płonąca benzyna spryskała przednią szybę, tworząc małą ścianę ognia. Samochód skręcił gwałtownie, wjeżdżając prawym przednim kołem na krawężnik, i uderzył w hydrant przeciwpożarowy z głośnym brzękiem metalu. Przednie drzwi się otworzyły i z pojazdu wypadło dwóch mężczyzn.

Rohn ruszył w ich stronę, wyciągnął rewolwer i wystrzelił dwukrotnie, trafiając kierowcę w klatkę piersiową. Drugi mężczyzna uniósł fullertona, z którego przedtem ostrzeliwał budynek. Rohn rzucił lewą ręką Odbijanie, ciskając napastnikiem o otwarte drzwi samochodu, a następnie strzelił mu w głowę. Mężczyzna osunął się na asfalt i zielona kość władował mu jeszcze jedną kulę. Potem spojrział na ulicę. Dwa pozostałe samochody zniknęły.

Anden odwrócił się, trzymając się za rękę. Czerwone plamki przed oczami i kurz na okularach utrudniały mu widzenie. Cory złapał jedną z pozostałych butelek i ugasił ogień osłoniętymi Stalą dłońmi, krzywiąc się z bólu i skupienia. Jeden z pozostałych zielonych kości rozbrajał w taki sam sposób kolejną butelkę, a pozostali toczyli rozpaczliwą walkę z ogniem. Jedna z rzuconych bomb rozbiła się o betonowy mur na zewnątrz i dopalała się teraz pod nim, ale druga uderzyła w stojący wewnątrz stół, podpalając dywan. Kolejna wtoczyła się do pomieszczenia, w którym znajdowała się bogowiercza kaplica, i eksplodowała wewnątrz. Przed repliką muralu szalał teraz ogień, pochłaniający wystrzępione poduszki do klęczenia.

Anden złapał najbliższy nadający się do tego celu obiekt – niebieski wełniany dywanik z ośrodka opieki dziennej – rzucił go na ogień i zaczął po nim deptać. Nosząca jadeit kobieta wpadła do środka z gaśnicą kuchenną i po chwili szarpania się z nią skierowała strumień piany na resztkę płomieni, po czym pobiegła pomóc Todowi i Sammy’emu, którzy gasili drugi pożar za pomocą wiader wody. Po paru minutach w ośrodku znowu zapanowała ciemność. Anden wrócił do głównej sali, chwiejąc się na nogach. Twarze otaczających go ludzi zlewał pot, a ich włosy, ubrania i dłonie były osmalone. Niektórzy krwawili, zranieni odłamkami szkła.

– Na jaja Wieszcza – wydyszał Tod, pochylając się z dłońmi wspartymi na kolanach. – To byli paczkowcy. Ludzie Kromnera. Co za skurwysyny.

Rohn Toro wrócił do środka przez wybite okno, gdy tylko w oddali zabrzmiały syreny.

– Każdy, kto ma jadeit, musi się stąd oddalić, zanim przybędzie policja – oznajmił. – Rozdzielcie się i przez pewien czas starajcie się nie przyciągać uwagi. Nie rozmawiajcie z gliniarzami. Nic nie wiecie o tym, co się tu wydarzyło. Zawiadomię was, kiedy będzie już bezpiecznie.

– Musimy wyprowadzić wszystkich ludzi, którzy są na dole – wtrącił Cory.

– Zajmę się tym – odparł Rohn. – Zostań tu i pomóż – dodał, spoglądając na Andena.

Chłopak odruchowo skinął głową, choć nie miał pojęcia, na co mógłby się przydać.

– Nie wciągaj go w to – sprzeciwił się Cory. – W ogóle nie powinno go tu być.

– Ale tu jest. Jak już będzie po wszystkim, odwiozę go do domu Hianów.

Syreny były coraz bliżej, ale Cory nadal się wahał.

– Jeśli cię tu złapią, nie będziesz studiował w Watersguardzie – warknął Rohn.

Syn filaru sprawiał wrażenie, że pragnie dalej się spierać, ale zamknął usta.

– Lepiej stąd zwiewaj, Cory – wtrącił Anden.

Starszy chłopak obrzucił go poirytowanym spojrzeniem, po czym zwrócił się ku pozostałym.

– W porządku. Słyszeliście, co powiedział Rohn-jen.

Sześć zielonych kości opuściło pośpiesznie budynek. Gdy znalazły się na zewnątrz, rozłączyły się i ruszyły każda w inną stronę. Rohn spojrział na Andena.

– Potrzebuję czasu, by wyprowadzić wszystkich tylnym wyjściem, nim policja zdąży zatrzymać ich i wypytać. Z gliniarzami, którzy się zjawia, może być trudniej sobie poradzić niż z tymi, których widzimy tu zwykle. Mogą nękać ludzi i grozić im, żeby zdradzili, kto w okolicy jest zieloną kością albo nawet wskazali rodzinę Dauków. – Rohn intensywnie wpatrywał się w oczy Andena. – Potrzebuję kogoś, kto zaczeka na dworze i zatrzyma ich na chwilę. Potrafisz to zrobić?

– Tak, Rohn-jen – zapewnił Anden.

Róg skinął głową i klepnął go w ramię urękawiczoną dłonią. Chłopak poczuł przez moment nacisk jego jadeitowej aury. Potem Rohn wrócił do środka, przechodząc nad szczątkami.

Anden wyszedł na dwór i pokonał sprintem odległość przecznicy dzielącą go od zbliżających się sygnałów. Gdy zobaczył migoczące, niebiesko-czerwone światła, zszedł z krawężnika i zaczął machać intensywnie rękami. Radiowóz zatrzymał się przed nim. Chłopak uniósł rękę, by osłonić się przed blaskiem reflektorów. Drzwi się otworzyły i z samochodu wysiadł policjant w średnim wieku. Miał bujne wąsy i mrużył oczy. To nie był żaden z gliniarzy, którzy wcześniej przychodzili po pieniądze do sali uraz.

– Na czym polega problem? – zapytał. – Czy to pan dzwonił z wiadomością o strzelaninie w okolicy?

Anden nie miał pojęcia, kto wezwał policję, ale skinął głową. Rozumiał, dlaczego Rohn jemu przydzielił to zadanie. Nie nosił zabronionego jadeitu i wyglądał na Espeńczyka. Mógł uchodzić za zaniepokojonego, niekekońskiego świadka, a nie kogoś, kto miał powiązania z salą uraz i z Daukami.

– Widziałem trzy samochody, które przemknęły ulicą – odezwał się Anden, pod wpływem nagłej inspiracji mówiąc z lekkim stepeńskim akcentem. Nigdy nie był w Stepenlandzie i nie znał ani słowa w tamtejszym języku, ale kilku jego kolegów z IKEOO było Stepeńczykami. Ich akcent był charakterystyczny i łatwo go było naśladować. Anden władał teraz espeńskim znacznie lepiej, ale był daleki od doskonałości, a w ten sposób łatwiej mu będzie ukryć nasuwający się wniosek, że jest Kekończykiem. – Jechali za szybko, a siedzący w środku ludzie wyciągnęli karabiny i strzelali w okna.

– Typowe zbiry z Południowej Pułapki – poskarżył się policjant. – Widział pan, w którą stronę pojechali?

Anden skinął głową i wskazał na zachód, w kierunku przeciwnym do tego, w którym znajdował się ośrodek.

– Tam. Jakies pięć minut temu.

Policjant skinął głową, wrócił do radiowozu i ruszył w stronę wskazaną przez Kekończyka. Chłopak wątpił, by dało się go oszukać na długo. Wkrótce odkryje ciała zabitych, spalony samochód, ślady kul na ulicy i wybite szyby w ośrodku. Zrobił jednak to, co kazał mu Rohn. Zdobył dla niego trochę czasu.

Zaczekał jeszcze chwilę, aż się upewnił, że radiowóz się oddalił i nie zbliżają się następne. Rozejrzał się wkoło, by sprawdzić, czy na pewno jest sam i nikt go nie obserwuje, po czym ruszył szybko, ale nie nazbyt szybko, wokół budynku, docierając do tylnego wejścia do sali uraz. Rohn Toro zamykał już metalowe drzwi. Był sam. Wszystkie samochody zniknęły z parkingu. Najwyraźniej udało mu się oczyścić budynek i odesłać wszystkich do domu.

– Wysłałem gliniarzy w stronę Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy – oznajmił chłopak, podbiegając do niego. Skierował spojrzenie na kałużę krwi w pobliżu wejścia. – Co z Sanem?

– Pani Joek zawiozła go do szpitala, ale było już za późno.

– Niech bogowie obdarzą go uznaniem – mruknął Anden.

– Mój tata tak mówił. Ale myślę, że w Espenii nie ma bogów. Przynajmniej nie naszych.

Rohn zaczął się oddalać od budynku. Przeciął parking i dotarł do jednej z sąsiednich uliczek. Anden podążył za nim. Nagle rozległa się kolejna syrena. Być może policjant zawrócił i odkrył już spalony samochód oraz ciała.

Rohn Toro zatrzymał się i dotknął ceglanego muru. Pomacał go urękawicznionymi dłońmi, po czym zacisnął palce na nieco wystającej cegle. Wyciągnął ją, odsłaniając małą, pustą przestrzeń za nią. Ostrożnie zdjął rękawiczki,łożył je równo, niemal z szacunkiem, i wepchnął do skrytki. Następnie wsunął cegłę z powrotem na miejsce, tak że tylko nieznacznie wystawała ponad sąsiadkę.

Skrzywił się i na kilka sekund oparł ciężko o mur, jakby nagle złapały go mdłości. Anden poznał objawy odstawienia jadeitu. Róg nosił klejnoty wszyte w skórzane rękawiczki. Gdy było to konieczne, mógł je zdjąć i schować w skrytce, by potem po nie wrócić. Jeśli gliniarze zatrzymają go dzisiaj i przesłuchają, nie znajdą przy nim ani kawałka zieleni, nawet jeśli rozbiorą go do naga.

Rohn odsunął się od muru. Anden wyciągnął niepewnie rękę do niego, by mu pomóc. Ujrzał dzisiaj na własne oczy umiejętności Rohna i wiedział, że dla zielonej kości takie życie – ciągłe wkładanie i zdejmowanie tak wielkiej ilości jadeitu – z pewnością nie było łatwe. Rohn nie był przy tym młody. Mógł już mieć pięćdziesiąt lat. Jak to znosiło jego ciało?

Róg wrócił już jednak do siebie. Spojrzał na Andena i wykrzywił usta w grymasie zawstydzenia, jakby młodzieniec przyłapał go na odlewaniu się pod murem.

Ruszyli przed siebie pogrążonym w mroku zaułkiem.

# ROZDZIAŁ 34

## PRZYJAŹŃ KLANU

Dwa miesiące po ataku na salę uraz były najgorszym okresem pobytu Andena w Espanii. Jeszcze gorszym niż czas bezpośrednio po przybyciu, gdy czuł się samotny i tęsknił za domem. Cory wyjechał. Zadzwoił z dworca kolejowego, żeby się pożegnać, i wyjaśnił, że chciał odwiedzić Andena, ale to byłoby zbyt niebezpieczne. Po okolicy nadal kręcili się paczkowcy Kromnera, a policja zaczęła zatrzymywać na ulicach przypadkowo wybranych Kekończyków, by sprawdzić, czy nie mają jadeitu. Daukowie cieszyli się, że ich syn opuścił miasto.

– Przepraszam, że nie posłuchałem cię wtedy w sali uraz – rzekł mu przygnębiony Anden. – Chciałem wam pomóc.

Cory milczał przez kilka sekund.

– Wiesz, że martwię się o ciebie, wyspiarzu – odpowiedział wreszcie z westchnieniem. – Sprawiasz wrażenie bardzo odpowiedzialnego, ale ciągle pakujesz się w kłopoty. – Rozległa się zapowiedź kolejnego pociągu. – Muszę już jechać, ziom. Wróć na Wigilię Dożynek. Nie zrób nic głupiego pod moją nieobecność, dobra?

Odłożył słuchawkę. Anden poczuł się nie tylko zasmucony wyjazdem partnera, lecz również zaniepokojony przebiegiem ich rozmowy. Po opuszczeniu ośrodka przeszli z Rohnem trzy przecznice, oddalając się od sceny zniszczenia, nim wreszcie Rohn zatrzymał taksówkę i kazał, by zawieziono ich do domu Hianów. Pan i Pani Hian otworzyli drzwi, pełni ulgi pomieszanej z trwogą. Anden popędził wsadzić poparzoną dłoń pod zimną wodę w kuchni, a Rohn opowiedział im, co się stało.

– Po co się w to mieszałeś? – skarciła Andena pani Hian, wyciągając z szuflady bandaż i maść antybiotykową. – Jesteś zagranicznym studentem. Dlaczego nie zostałeś z innymi w piwnicy, gdzie było bezpiecznie?



Trzeba było pozwolić zielonym kościom zająć się sprawą. Co byśmy powiedzieli twojej rodzinie, gdybyś został ranny albo zginął?

Była bliska łez.

Anden milczał pełen poczucia winy.

– Nie traktujcie go zbyt surowo – odezwał się Rohn. – Nie potrafił się powstrzymać. Ma zieloną duszę, jak mówił Dauk-jen. W gruncie rzeczy bardzo nam pomógł.

Rohn opowiedział im o tym, że ich podopieczny odwrócił uwagę policji, dzięki czemu on zdążył bezpiecznie wyprowadzić wszystkich z sali uraz. Hianowie z oporami przyznali, że młodzieniec dobrze się sprawił. Rohn wypił trochę gorącej herbaty i wstał, mówiąc, że musi rano iść do pracy. Andenowi czasami trudno było zapamiętać, że starszy mężczyzna nie jest prawdziwą klanową pięścią i musi zarabiać na życie. Prowadził z paroma przyjaciółmi małą firmę przeprowadzkową.

– Anden-se, to, co się dzisiaj wydarzyło, spowoduje poważne problemy – oznajmili jednak Hianowie, gdy tylko Rohn wyszedł. – Od tej chwili nie zbliżaj się do sali uraz ani do domu Dauków. Chodź tylko do szkoły i do pracy, a później wracaj do domu. Jeśli gliniarze zorientują się, że to ty wprowadziłeś ich w błąd, będą chcieli cię przesłuchać.

Anden ich posłuchał, ale w następnych dniach ciągle wracał pamięcią do zaniepokojonej miny Cory’ego, który obalił go na podłogę, by osłonić go przed ogniem karabinów maszynowych, a następnie rozgniewał się na Rohna za to, że mieszał w to przybysza z Kekonu.

– W ogóle nie powinno go tu być – oznajmił wtedy.

Do tej pory Anden uważał Cory’ego za przywódcę w ich związku, a siebie za podporządkowanego. Espenia była ojczyzną Cory’ego, to było jego miasto i jego dzielnica; co więcej, lepiej sobie radził w towarzystwie, miał więcej doświadczenia seksualnego i pewności siebie. Nic z tego nie przeszkadzało Andenowi, a nawet sprawiało, że Cory wydawał mu się bardziej atrakcyjny i kuszący. Jednakże po raz pierwszy Anden poczuł również, że jest słabszy z nich dwóch. Pani Hian miała rację – Cory był zieloną kością, a on nie. Gdy popędził na spotkanie niebezpieczeństwa, syn filaru był zmuszony go osłaniać. Czy zawsze tak będzie to wyglądało, zakładając, że ich związek przetrwa?

Ta myśl wprowadzała chłopaka w głębokie zakłopotanie. Urodził się w rodzinie zielonych kości, inna taka rodzina adoptowała go i wychowała. Co więcej, ukończył szkołę dla noszących jadeit. Przez całe życie powta-

rzano mu, że musi dbać o honor i reputację nie tylko własne, lecz również swej rodziny i klanu, a zarazem bronić słabszych, tych, którzy nie nosili zieleni i zasługiwali na opiekę. Nawet jako pozbawiony jadeitu wygnaniec z klanu Bez Szczytów do tej pory nie uświadamiał sobie w pełni, że sam zalicza się teraz do tych, którzy potrzebują ochrony. Wszyscy ludzie, bliscy mu i odgrywający ważną rolę w jego życiu, byli zielonymi kośćmi. Nie miał żadnego wzorca, który mówiłby mu, jak być członkiem rodziny Kaułów, czy w ogóle Kekończykiem, bez jadeitu. Nagle nawiedziła go wizja: Cory pewnego dnia pójdzie w ślady ojca i będzie filarem Południowej Pułapki, a Anden zostanie zredukowany do roli sekretnego, bezradnego kochanka, który nie potrafił przystosować się do życia w Espenii na własnych warunkach. Ta myśl sprawiła, że po raz pierwszy od prawie roku poczuł się głęboko zawstydzony.

Jego nastroju nie poprawiał też fakt, że utracił ten element codziennego życia, który sprawiał mu najwięcej przyjemności. Po incydencie mecze piłki sztafetowej zawieszono na dwa tygodnie, a później nie potrafił w sobie wzbudzić entuzjazmu do uczestniczenia w nich. Wiedział, że Cory'ego tam nie będzie. Salę uraz zamknięto na dobre. Anden któregoś dnia przeszedł obok budynku i zobaczył, że wejście zaklejono policyjną taśmą. To samo działo się w całej Południowej Pułapce. Kekońskie firmy padały ofiarą wandalii, a na ścianach pojawiały się obelgi wymierzone przeciwko wyspiarzom, ale nikt nie zwracał uwagi policji na oczywisty fakt, że wszystkie te przestępstwa mają rasistowski charakter i że paczkowcy Kromnera atakują Kekończyków dlatego, że ci organizują hazard i mają dostęp do jadeitu.

Anden słyszał pogłoski od Dereka, Tamiego i kilkorga innych kolegów, których spotykał po drodze między domem, szkołą a pracą. Dauk rozkazał Rohn Torowi i kilku innym ludziom przeprowadzić odwetowy atak przeciwko paczce Kromnera. Dwie bukmacherskie firmy zaatakowano i obrabowano, a dwóch paczkowców podejrzanych o uczestniczenie w napadzie na ośrodek znaleziono martwych ze skręconymi karkami. W odpowiedzi Kromner rozkazał wzmocnić ataki na kekońskie biznesy oraz cywili. Spalono zakład fryzjerski, do którego pan Hian chodził od ośmiu lat, starszego wiekiem Kekończyka noszącego jadeit napadnięto pod jego domem, pobito i ukradziono mu kilka klejnotów, a miejscowego sklepikarza, niesłusznie podejrzewanego o to, że jest zieloną kością, zaatakowano na przystanku autobusowym. Nikogo nie aresztowano.

Najstarszy syn Hianów, wiecznie zabiegany, lecz mający dobre intencje męzczyzna w wieku czterdziestu kilku lat, odwiedził rodziców, by przekonać ich do przeprowadzenia się na przedmieścia. Anden spotkał go przedtem kilkakrotnie. Ich rozmowy były uprzejme, ale zdawkowe. Tym razem zamknął się w swoim pokoju, starając się nie podsłuchiwać. Nie mógł jednak tego uniknąć.

– Południowa Pułapka zmienia się w etniczne getto – argumentował syn Hianów. – Czy nie wolelibyście mieszkać gdzieś, gdzie jest więcej miejsca, a mniej przestępczości?

Jego rodzice odpowiedzieli jednak, że nie chcą się nigdzie przenieść. Podobało im się tutaj, mieli tu przyjaciół i gdzie indziej mogliby chodzić do kekońskiego sklepu spożywczego? Pani Hian poskarżyła się, że gdyby ich synowie byli bardziej obowiązkowi i dali im wnuki, być może mieliby jakiś powód do przeprowadzki, ale w przeciwnym razie po co zawracać sobie głowę?

\* \* \*

Dauk Losun zadzwonił, żeby zapytać, czy mogliby odwiedzić Hianów któregoś popołudnia. Wyjaśnił, że chętnie zaprosiliby ich do domu, ale policja wiedziała, że Sana miała kontakty z salą uraz i podejrzewała, że małżeństwo nie mówi całej prawdy o strzelaninie i podpaleniu. Dlatego ich okolicę obserwowano bardzo starannie. Daukowie nie chcieli sprawiać państwu Hian żadnych kłopotów i dlatego przyniosą ze sobą coś do jedzenia. Prosilili też, żeby Anden był obecny.

Hianowie zgodzili się zaniepokojeni. Gospodyni na wszelki wypadek przygotowała sporo jedzenia, gdy więc goście zjawili się z białymi torbami wypełnionymi sześcioma różnymi daniami na wynos, okazało się, że jest tego stanowczo za dużo. Do kuchni przyniesiono dodatkowe krzesła. Anden z szacunkiem oddał honory Daukom, ale był mocno podenerwowany. Dlaczego filar chciał się z nim zobaczyć? Czy to miało coś wspólnego z Corym? Czy wiedział o ich związku? Czy obciąży winą Andena i zabroni im się spotykać?

– Jak się miewa Cory? – zapytała pani Hian. – Czy już zadomowił się w AC? I czy zaczął zajęcia na Watersguardzie?

– W tym tygodniu – odpowiedziała Dauk Sana, rozdając papierowe talerzyki i plastikowe sztućce. – Sprawia wrażenie szczęśliwego, ale Coru

zawsze był beztroski. Do tej pory nie był zmuszony do ciężkiej pracy. Okaze się.

Anden zapomniał, że zajęcia na Watersguardzie już się zaczęły. Cory dotąd do niego nie zadzwonił. Zapewne był zbyt zajęty. Przeprowadzka, zapoznanie się z życiem na uczelni, nowe kursy... Niemniej nagły ból sprawił, że jedzenie straciło dla chłopaka smak.

– Jak się wam wiedzie? – zapytał Dauk Losun podczas posiłku. – Mielicie jakieś kłopoty?

Słuchał z uwagą, kiwając ze współczuciem głową, gdy pani Hian opowiadała, że w dzielnicy nie jest już bezpiecznie i syn chce, żeby się stąd wyprowadzili.

– Zbiry Kromnera krzywdzą niewinnych ludzi i ich interesy, a policja nic w tej sprawie nie robi – dodał pan Hian.

– To dlatego, że paczki płacą gliniarzom, żeby niczego nie zauważali – wyjaśniła Dauk Sana. – To prawda, że niektórzy policjanci siedzą w kieszeni u nas, ale oni mają ich więcej. W ostatecznym rozrachunku Kromner i jego ludzie są Espeńczykami, a my cudzoziemcami. Dlatego policja opowiada się po ich stronie. Większość ludzi również, ponieważ wiadomości wmawiają im, że Kekon szkodzi wysiłkom wojennym w Oortoko, próbując zatrzymać dla siebie cały jadeit na świecie, nawet jeśli to nie jest prawda. Czasami nawet mylą nas z Szotarczykami.

– Co można na to poradzić, Dauk-jen, jeśli prawo zabrania ludziom noszenia jadeitu, by mogli sami się bronić, a na policję nie można liczyć?! – zawołała pani Hian. – To niesprawiedliwe!

– To pytanie zakłóca mi sen od wielu miesięcy – odpowiedział Dauk Losun z ponurą miną.

– To prawda – poparła go żona. – Musi brać tabletki przeciwlękowe.

Anden słuchał tego wszystkiego z narastającym gniewem i niesmakiem. W Janloonie zielone kości walczące w wojnach klanów nie atakowały bezbronnych cywilów, nawet Abukei albo cudzoziemców. Gdybyś która ze stron to zrobiła, co powstrzymałoby społeczeństwo przed całkowitym zapomnieniem o *aisho* i pogrążeniem się w barbarzyństwie? A policja! Brała daninę od sali uraz – Anden widział to na własne oczy – ale nie zapewniała jej ochrony. Dauk Losun porównywał miejscowych stróżów prawa do kolejnego klanu, ale oni w ogóle nie byli klanem, tylko drapieżnikami, takimi samymi jak paczki. A tymczasem to Kekończyków prześladowano

i traktowano jak przestępców, tylko dlatego, że nosili jadeit, by się bronić i kierować własnymi sprawami.

Masywnie zbudowany Dauk Losun oklapł bezwładnie na kuchennym krześle.

– Mieszkam w tym kraju czterdzieści pięć lat – oznajmił pełnym rezygnacji głosem. – W gruncie rzeczy stałem się prawie Espeńczykiem. Być może właśnie dlatego wolę załatwiać sprawy po cichu, za pomocą pieniędzy i wpływów. Przez wszystkie te lata wiedziałem jednak, że w razie potrzeby możemy wesprzeć swe słowa siłą, bo tylko my mieliśmy zieleń i tylko my potrafiliśmy się nią posługiwać. Ale czasy zmieniły się na gorsze. Jadeit jest teraz nielegalny i paczki nie widzą powodu, by nas szanować. Wiedzą, że nie możemy stawić im czynnego oporu, żeby się nie narażać na prześladowania. Doświadczony zielony kości ze starego kraju, takie jak Rohn Toro, których naprawdę się boją, starzeją się i robią się nieliczne. Natomiast młodsze, urodzone tutaj, nie są tak dobrze wyszkolone i nie traktują ćwiczeń zbyt poważnie. Spójrzcie na przykład na mojego syna. Mówię to, choć bardzo go kocham. Albo na kogoś takiego jak Shun Todo. Ma talent do jadeitowych dyscyplin, ale jest zbyt espeński. Chce porzucić dom i zaciągnąć się do armii. – Dauk potrząsnął głową – Obawiam się, że nie zdołamy się dłużej opierać tyranom, takim jak Blaise Kromner. Rohn jest najbardziej zielony w całym mieście, ale to tylko jeden człowiek. Nocami leżę bezsennie i boję się, że prędzej czy później go załatwią. Że zabiją mojego bliskiego przyjaciela. Najwyraźniej nie mamy innego wyjścia niż zgodzić się na warunki, jakie postawią nam szefowie paczek: płacić im haracz, zamknąć salę uraz i wpuścić na nasz teren ich handlarzy narkotyków oraz alfonsów.

Nikt już nie jadł. Pani Hian zakryła usta dłonią, wyraźnie zestresowana. Mąż położył dłoń na jej ramieniu, by ją pocieszyć. Anden dłubał machinalnie w talerzu, zauważył jednak, że Daukowie przyglądają mu się z uwagą. Spojrzał w oczy filaru. Dauk Losun nadal rozmawiał z Hianami, ale nie spuszczał wzroku z chłopaka.

– Zastanawiałem się nad okropną sytuacją, w jakiej się znaleźliśmy, i doszedłem do wniosku, że muszę o coś poprosić naszego młodego przyjaciela, Andena. A ponieważ jesteście jego gospodarzami, muszę o to prosić również was. Pochodzisz ze starego kraju... – kontynuował, zwracając się do Andena – ...a twoja rodzina kieruje jednym z najświetniejszych i najpotężniejszych klanów zielonych kości. Nadal mam przyjaciół na wyspie,

a pogłoski docierają tu z drugiego brzegu Oceanu Amaryckiego. Już od dawna wiedziałem, że jesteś kimś więcej, niż się do tego przyznajesz. Razem ze swoimi kuzynami ruszyliście do wojny z silniejszym klanem, który mógł was zniszczyć, i zwyciężyliście.

Gdy Anden poznał Dauk Losuna, doszedł do wniosku, że to przeciętny człowiek, niewywołujący większego wrażenia i raczej nie zasługuje na tytuł filaru. Teraz jednak jego otoczone zmarszczkami oczy miały wyraz twardy jak stal. Przybysz z Kekonu rozumiał, o co go proszą. Spodziewał się tego już od chwili, gdy po raz pierwszy jadł kolację w domu Dauka i zgodził się przyjąć jego pomoc.

– Rodzina Kaulów dysponuje znacznie większymi zasobami niż my – ciągnął Dauk Losun. – Ma jadeit, pieniądze i ludzi, a nawet wpływa na rządy. Być może nie obchodzi jej, co dzieje się u nas, w Espenii, ale gdyby istniała szansa, że oferuje nam swoją przyjaźń, w takiej czy innej postaci, to bardzo by nam pomogło w obecnej sytuacji, gdy nie możemy liczyć na niczyją pomoc.

– Dauk-jen, gdybym miał wpływ na swoich kuzynów z klanu Bez Szczytów, nie byłoby mnie teraz tutaj – odparł cicho Anden.

Dauk Sana uniosła palec i odchrząknęła z niedowierzaniem.

– Poznałam cię już i słyszałam o tobie wystarczająco wiele, by się przekonać, że jeśli twoi kuzyni mają choć trochę rozsądku i sprytu, z pewnością nie chcieliby się ciebie pozbyć. Skąd masz pewność, że nie wysłali cię do Espenii z innych powodów? W końcu jesteście jedną rodziną.

Pani Hian wstała od stołu i zdjęła z kuchennej półki zielony ceramiczny imbryk, który Anden przywiózł ze sobą do Espenii i zaraz po przybyciu wręczył swym gospodarzom jako symbol przyjaźni klanu, obietnicę odwzajemnienia przysługi.

– Zrób to dla miejscowych Kekończyków, Anden-se – rzekła, stawiając go przed chłopakiem. – Jeśli czujesz do nas choć odrobinę sympatii, błagamy, żebyś spróbował.

# ROZDZIAŁ 35

## OBCY SOJUSZNICY

Rok po tym, jak Republika Espenii przyłączyła się do wojny oortokańskiej, jej sekretarz spraw zagranicznych po raz pierwszy odwiedził Kekon w ramach swej podróży obejmującej osiem krajów. Przywitała go oficjalna parada wojskowa pod Gmachem Mądrości, a także milczący tłum protestujących przeciwko wojnie i zjadliwe komentarze kekońskiej prasy. Ostatniego dnia trzydniowej wizyty sekretarz odbył za zamkniętymi drzwiami w bazie na wyspie Euman spotkanie z kanclerzem Son Tomarhem, wybranymi członkami jego gabinetu kierującego Radą Książęcą oraz przywództwem klanu Bez Szczytów. Rząd RE z czasem nauczył się, że władza polityczna na Kekonie utrzymuje się dzięki poparciu klasy jadeitowych wojowników i niczego nie da się tu załatwić bez zgody przynajmniej jednego z najważniejszych klanów zielonych kości.

Hilo, gdy tylko było to możliwe, starał się zostawiać polityczne sprawy Shae, nie mógł jednak odmówić spotkania z tak ważnym espeńskim dyplomatą, ponieważ uznano by to za zniewagę dla RE i prognostyczka w jednoznacznych słowach poradziłaby mu, żeby tego nie robił. Prywatny helikopter zaniósł Hila, Shae i Kehna z Janloonu na lotnisko na Eumanie. Na miejscu przywitał ich oficer głównodowodzący. Shae poznała go i przedstawiła jako pułkownika Lelanda Deillera. Towarzyszył mu zastępca imieniem Yancey. Obaj eskortowali ich przez tereny bazy.

Gdy mijali wielkie pole ćwiczeń, uwagę Hila przyciągnęły delikatne, niespodziewane sygnały licznych jadeitowych aur. Dwa szeregi żołnierzy noszących ciężkie plecaki stały przed gładką ścianą wysokości około dziesięciu metrów. Na sygnał instruktora pierwszy szereg ruszył sprintem naprzód, odwrócił się pod ścianą i przykucnął w gotowości. Żołnierze z drugiego szeregu popędzili za towarzyszymi, a ci podrzucili ich w górę w zsynchronizowanym zrywie jadeitowej Siły. Ciężko obładowani ludzie

pomogli sobie Lekkością i dotarli na szczyt przeszkody – a przynajmniej większość z nich to zrobiła; kilku się nie udało i spadli z powrotem na ziemię. Znajdujący się na szczycie żołnierze odwrócili się, złapali ich za uprząże i za pomocą Siły wciągnęli do siebie na górę.

– To kadeci Aniołów Marynarki, najbardziej doborowej ze specjalnych jednostek w armii Republiki – wyjaśnił Yancey, zauważywszy zainteresowanie Hila. – Tylko trzydzieści procent tych rekrutów ukończy z sukcesem szkolenie ZSBWBJ.

Yancey musiał niemal krzyknąć, by jego głos przebił się przez eumański wicher.

Hilo obrzucił pytającym spojrzeniem Shae, która zarówno przetłumaczyła słowa oficera, jak i wyjaśniła tajemniczy skrót. Hilo słyszał o Zintegrowanym Systemie Bojowego Wykorzystania Bioenergii Jadeitu, ale nigdy dotąd nie widział go w akcji. Tę długą, bezduszną nazwę Espeńczycy nadali swej wersji jadeitowych dyscyplin. System był adaptacją i modyfikacją tego, czego zdołali się dowiedzieć o kekońskich metodach.

– Jedno trzeba przyznać Espeńczykom – mruknął pod nosem. – Potrafią ugotować posiłek z ochłapów.

Zielone kości biegle władające Lekkością potrafiłyby sforsować tę przeszkodę bez żadnej pomocy. Sądząc po aurach espeńskich żołnierzy, nosili bardzo niewiele jadeitu – tyle, ile absolwent Akademii Kaul Du średniej rangi. Jednakże ZSBWBJ uczyła ich współdziałania i w ten sposób zwiększała ich efektywność. Kekońska kultura wysławiała biegłość wielkich jadeitowych wojowników, darzyła szacunkiem tych, którzy wygrywali w pojedynkach, i oddawała cześć patriotycznym zielonym kościom, buntownikom z dawnych lat, natomiast Espeńczycy traktowali jadeit jak wojskowy sprzęt i wykorzystywali go w wolny od sentymentalizmu zunifikowany sposób. Hilo wykrzywił usta w grymasie niesmaku. Był pewien, że to nie przypadek, iż noszących jadeit gości poprowadzono tą drogą. Celowo pozwolono im zobaczyć to szkolenie. O czymkolwiek chcieli dziś rozmawiać Espeńczycy, podkreślili swój przekaz, organizując spotkanie w swej największej bazie wojskowej na Kekonie i przypominając przed jego rozpoczęciem, że oni również potrafią posługiwać się jadeitem.

Dotarli do głównego budynku i zaprowadzono ich do wielkiej, urzędowej po spartańsku sali. Wokół szarego stołu ustawiono krzesła biurowe, a na jednej ze ścian wisiała flaga Republiki Espenii. Sekretarz Corris, którego Hilo znał z mediów, był już na miejscu i rozmawiał z innym mężczyzną.



Shae wyszeptała pośpiesznie do brata, że to ambasador Gregor Mendoff. Sekretarz i ambasador przerwali rozmowę, i podeszli do gości, by uścisnąć im ręce. Quire Corris był typowym Espeńczykiem o potężnej klatce piersiowej i niebieskich oczach. W oczach Hila wyglądał prawie tak samo jak Mendoff, tyle że nie miał wąsów. Jak wielu Espeńczyków mówił z ożywieniem, zostawiając bardzo niewiele czasu stojącemu u jego boku tłumaczowi, ledwie nadążającemu z kończeniem przekazywania jego słów. Corris miał też jednak w sobie pewną rezerwę, a w jego szczerym spojrzeniu dostrzegało się wyrachowaną kalkulację. Hilo pomyślał, że nie chodzi tu o chciwość Espeńczyków, lecz raczej o fakt, że zawsze powstrzymywali się przed okazaniem ludzkiego ciepła, zastanawiając się, jak dobić targu, by uzyskać to, czego pragnęli.

Obecni na spotkaniu byli też kanclerz Son oraz kilku innych członków Rady Książęcej.

– Kaul-jen – odezwał się Son, oddając mu honory.

Jeśli sekretarz Corris i pozostali Espeńczycy byli zaskoczeni młodością filaru w porównaniu z innymi obecnymi w sali osobami oraz szacunkiem okazywanym mu przez nominalnego przywódcę rządu, starannie to ukrywali.

Poza przywódcami klanu Bez Szczytów była tu obecna jeszcze jedna osoba nosząca jadeit – generał Ronu Yasugon, doradca Rady Książęcej do spraw wojskowych, być może jedyny członek kekońskiego rządu będący wyjątkiem od powszechnego kulturowego i prawnego zakazu łączenia jadeitu z politycznymi urzędami. Tolerowano ten wyjątek, ponieważ – obok medycyny, sztuk walki i pokuty religijnej – wstąpienie do kekońskiej armii było jednym z niewielu sposobów pozwalających zielonej kości wyrzec się klanowych przysięg i ofiarować swą lojalność innemu powołaniu. Jednakże w przeciwieństwie do tych innych zawodów noszące jadeit osoby nie mogły wstąpić do wojska natychmiast po ukończeniu Akademii. Oczekiwano od nich, że odsłużą przynajmniej jeden rok jako palce. Klany pilnowały, by większość młodych jadeitowych talentów trafiała do nich, a po pewnym okresie mniej obiecujące palce skłaniano mniej lub bardziej subtelnie, by służyły ojczyźnie, nosząc mundury. Generał Ronu był jednak wyjątkiem. Osiemnaście lat temu opuścił klan Góra jako pięść niskiej rangi i rozpoczął karierę wojskową. Obecnie nosił więcej jadeitu niż prawie wszyscy oficerowie – zegarek z sześcioma klejnotami osadzony w stalowej

bransolecie. Oddał honory Hilowi, a filar dotknął w odpowiedzi swego czoła.

– Witaj, generale.

Gdy wszyscy już usiedli, sekretarz Corris rozpoczął zebranie, opowiadając o tym, jak przyjemna i owocna była jego wizyta, a także dziękując za gościnność rządowi oraz mieszkańcom Kekonu. Przez długi czas mówił o znaczeniu stosunków kekońsko-espeńskich. Dodał też, że premier jest zdeterminowany pracować na rzecz dalszego wzmocnienia politycznego, ekonomicznego oraz wojskowego sojuszu między oboma krajami.

– Choć nasza historia i kultura bardzo się od siebie różnią, łączy nas jedna sprawa o kluczowym znaczeniu – dodał Corris, robiąc chwilę przerwy, by tłumacz mógł za nim nadążyć. – Potężna narodowa duma i pragnienie niezależności, a także równie silna lojalność wobec przyjaciół i sojuszników.

Hilo miał ochotę zauważyć, że to przynajmniej dwie sprawy, a nie jedna, ale ambasador Mendoff skinął głową i uśmiechnął się na znak zgody. Kekończycy uprzejmie słuchali pompatycznych słów cudzoziemca. Corris odchrząknął i kontynuował przemowę poważniejszym już tonem.

– Panowie... i panie – dodał, spoglądając pośpiesznie na Shae. – Republika Espenii zaangażowała znaczne zasoby w obronę suwerenności Szotaru przed ygutańską ekspansją. Niestety, w tym punkcie wojny stało się jasne, że od zwycięstwa w Oortoko dzieli nas jeszcze długa droga.

Te słowa miały wielkie znaczenie. Espeńczycy zawsze głęboko wierzyli w swą militarną potęgę i byli przekonani, że osiągną zwycięstwo w Oortoko przed upływem roku. Okazało się jednak, że wschodnia prowincja Szotaru nie jest dla nich dogodnym polem bitwy. Klimat był tam gorący i suchy, a góry dawały buntownikom mnóstwo miejsc, w których mogli ukryć obozy i zniknąć wśród cywilnej ludności. RE miała najpotężniejszą flotę na świecie, a także liczne wojska lądowe i bardzo dużo bomb, ale nie była przyzwyczajona do walk z dobrze się ukrywającymi partyzantami.

– Z uwagi na naturę tego konfliktu – odezwał się pułkownik Deiller – klucz do sukcesu stanowią wysoce mobilne oddziały specjalne. Fizyczne i pozazmysłowe wzmocnienie, jakie zapewnia kekoński bioenergetyczny jadeit, umożliwia naszym doborowym jednostkom bardziej precyzyjne i efektywne działanie, co minimalizuje straty wśród ludności cywilnej.

Hilo przymrużył niecierpliwie powieki. Czy cudzoziemcy zorganizowali to spotkanie tylko po to, by przekonać Kekończyków do zwiększenia sprze-

daży jadeitu? Shae oznajmiła już jasno Mendoffowi i Deillerowi, że Kekoński Sojusz Jadeitowy nie zwiększy kwot.

Sekretarz Corris uniósł dłonie.

– Zdaję sobie sprawę, że o kwestii eksportu jadeitu toczono już długie dyskusje, a choć mój rząd czuje się rozczarowany brakiem porozumienia, rozumiem, że musicie się liczyć z opinią publiczną, pragnącą zachowania waszych naturalnych zasobów. Nie rozmawialiśmy jednak dotąd o możliwości wsparcia przez wasz kraj militarnych działań w Oortoko.

Po stronie sali zajętej przez Kekończyków dało się wyczuć nagłe niezadowolenie. Kanclerz Son pochylił się i wsparł masywne łokcie na blacie.

– Sekretarzu – zaczął powoli, by dać czas tłumaczowi – twoja wizyta to dla nas zaszczyt i cenimy związki łączące ze sobą nasze państwa, musisz jednak zrozumieć jedno: jesteśmy małym, wyspiarskim krajem. Nigdy nie dopuściliśmy się agresji na inne państwa. W gruncie rzeczy, generał Ronu może ci wyjaśnić, że nasza armia po prostu nie jest przystosowana do podobnych działań.

Ronu siedział na lewo od kanclerza i nieco za nim. Na znak, że pozwolono mu zabrać głos, wyprostował się nagle.

– Utrzymujemy stosunkowo nieliczną armię, składającą się z sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy w czynnej służbie – zaczął. – Jej zadania to obrona wód otaczających Kekon, naszej przestrzeni powietrznej oraz granic.

Armia rzeczywiście nie była zbyt liczną, nawet jak na kraj liczący sobie zaledwie dwanaście milionów mieszkańców. Kekończycy darzyli ją pewnym szacunkiem, ale raczej nie uważali jej za instytucję o kluczowym znaczeniu dla państwa.

– Mam wrażenie, że umniejszacie możliwości swych sił zbrojnych. Nieprawdaż, kanclerzu? – zaczął ambasador Mendoff, gdy słowa Sona i Ronu płynnie przełożono na espeński. – W waszej oficjalnej armii służy kilka tysięcy ludzi wyposażonych w bioenergetyczny jadeit. Jednakże prawdziwą podstawę waszej siły bojowej stanowi ludność cywilna. Jeśli ją uwzględnić, nie będzie przesadą stwierdzenie, że macie największe rezerwy noszących jadeit żołnierzy ze wszystkich państw na świecie.

Niepokój wyspiarzy nasilił się jeszcze. Kanclerz Son pociągnął się za kołnierz koszuli i spojrzał na Hila, który jako jedyny z obecnych tu Kekończyków dorównywał mu autorytetem. Filar wyczuwał aury rogu i prognostyczki siedzących nieco za nim po obu jego bokach. W aurze Shae iskrzyła się nieufna irytacja, natomiast u Kehna wyczuwało się głęboki pomruk nie-

zadowolenia. Espeńczycy byli bystrzy. Rozumieli, że prawdziwa siła militarna Kekonu kryje się w szeregach klanów zielonych kości. Niemniej ich arogancja była zdumiewająca i obraźliwa.

Hilo nie znosił tego dyplomatycznego syfu. Zastanawiał się, czy nie pozwolić Shae zabrać głosu zamiast niego. Była przyzwyczajona do rozmów z cudzoziemcami i z pewnością potrafiłaby udzielić jakiejś taktownej odpowiedzi. Pochylił się jednak nad blatem. Kekońscy politycy siedzący za stołem odsunęli się, by zrobić mu miejsce. Filar wbił spojrzenie w zagranicznego sekretarza.

– Ci jadeitowi żołnierze, jak ich nazywasz, kierują się kodeksem, którego byś nie zrozumiał. – Choć twarz Hila zachowała przyjazny, neutralny wyraz, w jego głosie pojawił się ostry ton, który sprawił, że tłumacz zaważał się, nim przekazał jego słowa po espeńsku. – Zielone kości bronią Kekonu i walczą dla klanu, któremu złożyły przysięgę. Nie służą obcym rządóm.

– Jest pan przywódcą swego klanu, panie Kaul-jen – odpowiedział sekretarz Corris, nie zwlekając ani chwili. – Zakładam, że do pana należy decyzja, co leży w interesach pańskiego klanu. O ile dobrze to rozumiem, uważa pan, że są one zbieżne z naszymi. Pańscy ludzie wspólnie z naszymi walczą z handlem jadeitem oraz narkotykami, szukają okazji do inwestycji i lobbują za tym, by ograniczono celne bariery między naszymi krajami. W przeciwieństwie do innych prominentnych przywódców klanów w tym kraju, posługujących się antagonistyczną i szowinistyczną retoryką. Pańska rodzina sprawia wrażenie zainteresowanej podtrzymaniem dobrych stosunków. Jesteśmy za to wdzięczni i właśnie z tego powodu staramy się prowadzić z wami otwarty dialog.

Uwagi żadnego z obecnych tu Kekończyków z pewnością nie mógł umknąć brak na spotkaniu Ayt Mady oraz przedstawicieli klanu Góra.

– Premier Galtz, ja oraz sekretarz Departamentu Przemysłu jesteśmy gotowi uchwalić kilka reform w prawie handlowym, których się domagaliście. Znieśliśmy już restrykcje dotyczące posiadania nieruchomości przez cudzoziemców i rozważamy możliwość zmniejszenia ceł na kekońskie towary z wybranych kategorii oraz ułatwienia przyznawania wiz kekońskim obywatelom pragnącym studiować w Hiszpanii. Rzecz jasna, pewne firmy oraz organizacje z waszego kraju, które uznamy za godne zaufania, będą miały priorytet.

Sekretarz pochylił głowę, by podkreślić, że ma na myśli ludzi obecnych w sali.

Hilo był nieco zaskoczony. Espeńczycy wiedzieli o klanach więcej, niż mu się dotąd zdawało. Ich oferta mogła zapewnić klanowi Bez Szczytów przewagę nad Górą, a oni byli wystarczająco dobrze poinformowani, by wiedzieć, jak wielką wartość ma to dla rodziny Kaulów. Hilo podejrzewał, że gdyby skonsultował się z prognostyczką, potrafiłaby podać mu wysokość zysków w dniach. Dla Espeńczyków wszystko było transakcją, ale niekiedy cena była po prostu zbyt wysoka.

Filar wsparł dłonie na blacie.

– Moja prognostyczka włożyła mnóstwo wysiłku w rozbudowę naszych interesów za granicą, zatem pragniemy, by wszystko, o czym mówiłeś, mogło się spełnić. – Shae wspomniała mu kiedyś, że Espeńczycy interpretują słowo „nie” wyłącznie jako punkt wyjściowy do negocjacji. Dlatego przerwał na chwilę, by podkreślić, że traktuje to, co powie później, absolutnie poważnie. – Jednakże jako filar swego klanu nigdy nie wysłę zielonych kości, by walczyły za cudzoziemców, bez względu na to, co mi zaoferujesz.

Otwarta odmowa Hila nie zrobiła na sekretarzu większego wrażenia.

– Kekon jest podstawą naszej strategicznej obecności na wschodnim Amaryku. Jeśli nie możemy liczyć na to, że militarnie wesprzecie nasze wysiłki, tym ważniejsze staje się wasze niezachwiane polityczne poparcie.

Kanclerz Son odkaszlnął.

– Na terytorium Kekonu stacjonuje obecnie więcej zagranicznych żołnierzy niż kiedykolwiek od chwili odzyskania niepodległości po wojnie wielu narodów. To jest znaczące poparcie.

– Obie strony czerpią z tego korzyści – zauważył pułkownik Deiller. – Obecność sił RE na Eumanie odstrasza potencjalnych agresorów i zapewnia bezpieczeństwo waszemu krajowi.

– Przed kilkoma miesiącami rozmawiałem z parą małżeńską, której szesnastoletnią córkę zgwałcili espeńscy żołnierze – odparł Hilo cichym, niemal łagodnym głosem. – Zapytajcie państwa Eyun, czy cudzoziemscy żołnierze uprawiający hazard, odwiedzający burdele i upijający się na przepustce poprawiają bezpieczeństwo na ulicach naszego miasta.

Ambasador Mendoff skrzywił się z niesmakiem.

– Mniejsza o tragiczne, lecz rzadkie incydenty – odpowiedział. – Interesuje nas, czy Kekon jest gotowy zachować stanowcze stanowisko w kwe-

stiach regionalnego bezpieczeństwa i nadal pozostać barierą powstrzymującą coraz silniejsze zagrożenie ze strony Ygutanu.

– Ygutańczycy zamierzają powiększyć swe terytorium i poszerzyć strefę wpływów wszelkimi dostępnymi środkami – poparł go pułkownik Deiller. – Dramski dyrektoriat i ygutańscy przywódcy religijni, protekowie, wyznają doktrynę narodowego przeznaczenia, zgodnie z którą rządy Koalicji Ygutańskiej powinny obejmować cały kontynent Orius, od Oceanu Amaryckiego aż po Ulirycki. Jeśli, Boże broń, Oortoko wpadnie w ręce Ygutańczyków, ośmielony Dramsk może dokonać kolejnego aktu agresji. Bliskość Oriusa i niewystępujące nigdzie indziej zasoby oraz strategiczne położenie na Morzu Zachodniotuńskim czynią z waszej wyspy oczywisty cel.

Kekońscy politycy wymienili zasmucone spojrzenia, ale nie odpowiedzieli na tezy Deillera. Atak Ygutańczyków rzeczywiście był możliwy, ale Hilo sądził, że Espeńczycy wyolbrzymiają zagrożenie. Prawda wyglądała tak, że zwycięstwo Ygutanu w Oortoko miałyby dla Kekonu znacznie poważniejsze i bardziej realne konsekwencje. Espeńczycy wpadliby w panikę i skierowali do tego regionu kolejne siły, by wzmocnić kontrolę nad Kekonem, nim nieprzyjaciel zdąży po niego sięgnąć, a wszystko to w imię „obrony” sojuszników.

Głos zabrał sekretarz Corris.

– Zdajemy sobie sprawę, że cywilna ludność Kekonu oraz niektóre elementy jego rządu coraz silniej pragną zwiększenie pomocy humanitarnej dla ofiar wojny, zwłaszcza jeśli chodzi o przyjmowanie uchodźców.

Kanclerz Son pokiwał głową. Coraz większa liczba cywilnych ofiar konfliktu w Oortoko wpłynęła na sumienia obywateli. Ludzie litowali się nad tamtejszymi Kekończykami, potomkami tych, których przed pokoleniami przesiedlono do Szotaru. Stanowili tam uciskaną mniejszość i byli ofiarami dyskryminacji, a teraz cierpieli z powodu krwawego konfliktu między obcymi mocarstwami. Nawet stereotypy, według których wszyscy Keko-Szotarczykowie byli *barukanami* – noszącymi jadeit gangsterami mieszanej krwi – nie powstrzymały żądań repatriacji oortokańskich uchodźców. Tak właśnie objawia się potęga telewizji, pomyślał z cynizmem Hilo. Czy kiedykolwiek dotąd Kekończykowie przejmowali się losem ludzi mieszkających za morzem?

– Można zrozumieć, że ludzie pragną pomagać innym, ale nie jestem pewien, czy w pełni przeanalizowaliście wiążące się z tym zagrożenia – podjął ambasador Mendoff.

Hila irytowało, że Espeńczycy ciągle zabierali głos na zmianę, co zmuszało go do przenoszenia uwagi między nimi. Sekretarz Corris był spośród nich najstarszy rangą, a pozostali najwyraźniej zgadzali się z jego opiniami, czemu więc ciągle wtrącali się bez uprzedzenia?

– W Oortoko roi się od ygutańskich agentów – odezwał się pułkownik Deiller, jakby dla podkreślenia myśli Hila. – Nasz wywiad potwierdził, że utrzymują oni kontakty z buntownikami oraz ze zorganizowanymi grupami keko-szotarskich przestępców. Kekon musi pilnie strzec swoich granic, bo w przeciwnym razie zagrozi mu ygutańska infiltracja, która byłaby niedopuszczalnym zagrożeniem dla naszych sił militarnych.

– Dla waszych sił – powtórzył z powątpiewaniem kanclerz Son.

– W interesie Kekonu leży poważne potraktowanie tej groźby – odpowiedział pułkownik Deiller. – W obecnej chwili na waszym terytorium nie istnieją żadne ograniczenia podróży. Cywile mogą swobodnie przemieszczać się między Eumanem a resztą kraju. Ten stan nie mógłby się utrzymać, gdyby wśród waszej ludności pojawili się ygutańscy szpiecy, mogący kraść informacje o militarnym znaczeniu, dokonywać sabotażu bądź wysyłać do Dramska informacje umożliwiające bombardowanie, a być może nawet obalić wasz rząd i zainstalować na jego miejsce reżim bardziej przychylny Ygutanowi. Najlepszą obroną przed tym niedopuszczalnym zagrożeniem byłoby uniemożliwienie im wstępu na wyspę.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał. Wreszcie Hilo wykrzywił usta w ironicznym, pozbawionym wesołości uśmiechu.

– Chcecie, żebyśmy nie wpuszczali nowych cudzoziemców, by chronić tych, którzy już tu są.

Sekretarz Corris wydał nieco wargi po jednej stronie i wzruszył lekko ramionami. Nie zgodził się otwarcie ze słowami Hila, ale było to wystarczające potwierdzenie.

– Chodzi nam o zapewnienie, że nasi kekońscy sojusznicy zrobią wszystko, co w ich mocy, by wpłynąć na opinię publiczną oraz legislatywę tak, by wzmocnić nasz sojusz i zapewnić bezpieczeństwo obu stronom. Pragniemy mieć pewność, że sprzeciwiacie się bardziej krótkowzrocznym, demagogicznym głosom, i chcemy wam w tym pomóc, zapewniając, że przyjaźń z nami nadal będzie wam przynosiła ekonomiczne korzyści.

Hilo skinął głową, a potem wstał. Espeńczycy powiedzieli już wszystko, co mieli do powiedzenia, a on czuł się zmęczony nudnymi i przesłodzonymi politycznymi sloganami, nie wspominając już o upartym udawaniu, że

wszystko to było czymkolwiek innym niż łapówka wręczona na najwyższym możliwym stopniu. Bogowie w niebie, nim został filarem, przez długie lata był pięścią, a później rogiem i wiedział wszystko o delikatnej równowadze między groźbami a zachętami, potrzebnej, by uzyskać to, czego się chciało, od osób nieszczerólnie chętnych do współpracy. W mgnieniu oka kanclerz Son i pozostali kekońscy politycy podążyli za ich przykładem. Sekretarz Corris śledził ich ruchy, lekko unosząc brwi.

– Ayt Madashi jest moim wrogiem, ale to jeszcze nie czyni was moimi przyjaciółmi – oznajmił Hilo. – Zgodzę się na współpracę z wami, dopóki będzie to leżało w interesie klanu Bez Szczytów, ale nadal pozostajecie tu gośćmi. Nie proście o zbyt wiele ani nie próbujcie przejąć kontroli nad Kekonem. Inni cudzoziemcy próbowali tego przed wami.

Gdy tłumacz powtórzył sekretarzowi te słowa, Corris uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby, a potem, ku zaskoczeniu wszystkich, uniósł splecione dłonie i dotknął nimi czoła, oddając Hilowi honory w tradycyjnie kekoński sposób. Wykonał ten gest wystarczająco starannie, by wyglądał na rzucone od niechcienia pozdrowienie, bez przeradzania się w otwartą drwinę.

– Niech bogowie opromienią pański klan swą łaską, jak mawiają w waszym kraju, panie Kaul-jen – rzekł espeński dyplomata. – Albo, jak mawiają w moim, oby ujrzał pan Prawdę i potrafił ją unieść.

\* \* \*

– Jebać Espeńczyków – warknął Hilo, gdy skończyli tego dnia kolację.

Kehn mruknął coś pod nosem na znak zgody i odsunął od siebie pusty talerz.

– Rozmowa z nimi jest jak zapasy ze stworzeniem o wielu głowach. Jedna głowa uśmiecha się do ciebie, druga kradnie ci jedzenie, a trzecia odgryza ci kawałek dupy. – Róg skrzyżował ręce na piersi. – Wiedzieli, że nie wyślemy zielonych kości do tego piekła, żeby za nich walczyły. Poruszyli ten temat tylko po to, by dodać więcej wagi prośbom o to, co swoim zdaniem mogli dostać.

– Spenki wystawiłyby na sprzedaż własne matki, żeby się przekonać, kto da im najlepszą cenę – dodał Tar, który rozparł się wygodnie na krześle i rozglądał się wkoło z leniwą, zadowoloną miną. Spędził popołudnie ze



swą okazjonalną kochanką, Iyn Ro, zamiast siedzieć w bazie marynarki wojennej na Eumanie.

– Mogłeś pozwolić mi powiedzieć parę rzeczy podczas tego spotkania – poskarżyła się bratu Shae lekko skwaszonym tonem. – Mogłabym na przykład wspomnieć, że zaproponowane umowy handlowe pomogą również ich gospodarce. Przemysł w Espenii przestawił się na pracę na potrzeby wojny i potrzebują handlu zagranicznego, by zaspokoić wymogi konsumentów. Nie można twierdzić, że tylko jedna ze stron jest w stanie wywierać naciski.

– Na tym spotkaniu było już wystarczająco wiele osób starających się robić wrażenie najinteligentniejszej z obecnych – odparł Hilo. – Rzecz w tym, że mamy przerąbane. Większość Kekończyków nienawidzi obecności cudzoziemców w naszym kraju i jest gotowa lizać tyłek Ayt, gdy tylko wygłosi kolejną ze swoich mów, ale my jesteśmy uzależnieni od ich cholernych pieniędzy.

Shae skrzyżowała ramiona na piersiach, reagując na minę brata.

– Patrysz na mnie tak, jakby to była moja wina, że Espeńczycy ciągle się czegoś domagają i nie mają skrupułów. To prawda, że próbują nas wykorzystać, stawiają obraźliwe żądania i z każdej sytuacji starają się wyciągnąć maksymalne zyski. Tacy już są. Ale nadal pozostają naszą najlepszą kartą w rozgrywce z Górą. – Zniszczenie fabryk błysku w Ygutanie, co wydarzyło się przed pięcioma miesiącami, było poważnym uderzeniem w finanse Góry. Shae chciała pójść za ciosem i odciąć przeciwnika od możliwości innych zagranicznych inwestycji, zwłaszcza w Espenii, gdzie zamierzano rozszerzać działalność biura prognostyka klanu Bez Szczytów. – Góra nadal jest w lepszej pozycji od nas, dzięki swym kluczowym interesom w samym Kekonie. Jeśli jednak uda się nam zawrzeć korzystne umowy handlowe i wypchnąć Ayt z espeńskiego rynku, za pięć, może dziesięć lat, to my będziemy większym klanem.

Hilo cieszył się z każdego ekonomicznego zwycięstwa odniesionego przez Shae w rywalizacji z Górą – wszystko, co osłabiało przywództwo Ayt Mady i wzmacniało wewnętrzną opozycję przeciwko niej, było dobre – nie miał jednak zamiaru czekać pięć, a tym bardziej dziesięć lat. Gwiazda Kekonu prosperowała bardzo dobrze, co zwiększało znaczenie rodziny Venów w klanie, ale Ven Sando nie podjął dotąd żadnych konkretnych kroków, które mogłyby spowodować, że Ayt Mada będzie karmiła robaki na Cmentarzu Niebo Czeka.

– Ayt jest ostatnio dziwnie spokojna – zauważył. Być może odkąd Shae ucięła jej pół ucha, nie była już tak chętna do publicznych wystąpień, nie był jednak aż tak wielkim optymistą, by sądzić, że nieudana próba wyeliminowania Shae i doprowadzenia do upadku klanu Bez Szczytów zniechęciła ją na dobre. Zapewne po prostu zbierała siły przed kolejnym atakiem. – Pieńiądze to za mało, musimy ciągle powodować zamieszanie w Górze. Przyjrzałaś się rodzinie Iwe, jak ci mówiłem?

Shae zmarszczyła brwi, słysząc, że jej brat zmienia nagle temat.

– Nie mamy nic na Iwe Kalunda – odpowiedziała jednak. – Nosi dwa jadeitowe pierścienie na małych palcach i o ile komukolwiek wiadomo, nigdy nie wpadał w żadne kłopoty. – Rozpostarła dłonie, obracając je wewnętrznymi powierzchniami ku górze. – Ale... dwa lata temu jego ciotka omal nie umarła z powodu przedawkowania SN1 i od tego czasu nie nosi jadeitu. Zarówno najmłodszy brat Iwe, jak i jego kuzyni są uzależnieni i wszyscy zaopatrują się u tego samego dilerka w dzielnicy Reje, który ponoć potajemnie sprzedaje zielonym kościom najlepsze SN1.

Hilo spojrzał z uznaniem na siostrę.

– Skąd się o tym dowiedziałaś?

– W dzisiejszych czasach wszędzie jest pełno szcurów – odparła Shae z samozadowoleniem tak wielkim, że Hilo uśmiechnął się półgębkiem.

Plotki o uzależnieniu i innych występkach raczej nie były źródłem informacji, jakiego spodziewałby się po biurze prognostyka, ale jeśli Shae okazała się kreatywna, nie zamierzał się na to skarżyć.

– Jeśli wiemy, kogo szukamy, znalezienie tego dilerka nie powinno zająć palcom Kehna zbyt wiele czasu – odezwała się z uśmiechem Wen. Czasy, gdy trzymała język za zębami, chyba że była sam na sam z mężem, dawno już minęły.

– Załatw to po cichu – rozkazał rogowi Hilo. – Zawiadom mnie, kiedy go znajdziesz, ale nic nie rób, dopóki ci nie każę. Mamy wystarczająco wiele roboty z akcjami przeciw Ti Pasuiga.

Żona Kehna, Lina, weszła do jadalni, niosąc Ru. Przed chwilą zmieniła mu pieluszkę, a teraz wręczyła go Wen. Pocałowała męża na dobranoc i powiedziała, że wraca do domu, by skończyć ocenianie prac semestralnych. Kehn pokiwał głową i odprowadził ją spojrzeniem zakochanego nowożeńca. Hilo uśmiechnął się na ten widok. Ślub odbył się w zeszłym miesiącu i był bardzo wystawny, nawet jak na kogoś o tak wysokim statusie jak róg. Liczna rodzina Liny oraz wszystkie pięści i palce klanu Bez Szczy-

tów zajęły większą część hotelu Generalska Gwiazda. Tar rzucił bratu serwetkę z miną udającą niesmak.

Kehn odrzucił mu ją. Gdy tylko skierował uwagę z powrotem na stół, wróciła zwykła dla niego burkliwość.

– Jeśli chodzi o ataki na Ti Pasuiga, mam dobre i złe wiadomości – podjął. – Dobre brzmią tak, że zabiliśmy dziesiątki skorpen Zapunya i skonfiskowaliśmy setki kilogramów surowego jadeitu, a także oszlifowane klejnoty wartości pięciuset milionów dienów.

Hilo nie po raz pierwszy poczuł, że zazdrości szwagrowi. Obowiązki rogu były trudne i niebezpieczne, ale prostsze i bardziej konkretne.

– Zła wiadomość brzmi tak, że ten cwany skurczybyk Zapunyo robi się coraz bardziej kreatywny – kontynuował Kehn. – Widziałem jadeit ukryty jako guziki i szklane kulki, zapakowany z mrożonymi owocami morza i zamknięty w puszkach konserwowych. Przechwyujemy jego część, ale espeńska marynarka ma lepsze wyniki od nas. To kolejny powód, dla którego Shae–jen ma rację. Musimy trzymać z cudzoziemcami, jeśli chcemy się pozbyć tego uwiwańskiego psa Zapunya.

Tar potrząsnął głową, zdumiewając się ironią całej tej sytuacji.

– Spenki wywołały wojnę, która zwiększyła popyt na czarnorynkowy jadeit, a teraz pomagają nam powstrzymać przemyt, który same wywołały, i oczekują, że z wdzięczności będziemy im posłuszni jak dzieci.

Polityczne żądania Espeńczyków, nieustanne zagrożenie ze strony Góry, odrażające sztuczki Ti Pasuiga – każdy z tych problemów osobno byłby wystarczająco trudny, wszystkie jednak łączyły się w całość, tworząc niemożliwą do rozsąpania płataninę. Hila wypełniały frustracja i niepokój.

– Robi się już późno – oznajmił. – Starczy gadania na dzisiaj.

Kehn i Tar wrócili do siebie. Niko zszedł na dół i oświadczył, że miał koszmary i nie chce być sam. Wen wręczyła Ru Hilowi i wstała z jękiem ciężarnej kobiety, by zaprowadzić chłopca z powrotem do łóżka. Filar i prognostyczka zostali sami w jadalni, pomijając tylko senne dziecko w ramionach Hila. Z kuchni dobiegał stukot produkowany przez zmywającą naczynia Kyanłę. Shae pograżyła się w zamyśleniu. Jej brat zauważył, że bardzo często machinalnie pociera nagą szyję w miejscu, gdzie jeszcze niedawno nosiła jadeitowy naszyjnik.

Opuściła rękę i spojrzała na Hila.

– Wyjeżdżam na parę tygodni do Hiszpanii – oznajmiła. – Zastanawiałam się nad tym, co Anden powiedział mi przez telefon. Myślę, że powinniśmy

się spotkać z tymi zielonymi kośćmi z Port Massy. Dzisiejsza rozmowa na Eumanie jasno uświadomiła nam jedno. Espeńczycy są w lepszym położeniu niż my, ponieważ mają u nas swoich ludzi i wiedzą więcej o tym, co dzieje się w naszym kraju, niż my wiemy o wydarzeniach u nich. Wygląda na to, że wszystko, co robią Espeńczycy, wpływa w jakiś sposób na nas, a sądząc z tego, co mówi Anden, ich największe miasto zmienia się w pole walki o jadeit, zupełnie jak u nas. Muszę tam polecieć i dowiedzieć się więcej.

Hilo zastanowił się nad jej słowami.

– Nie – odpowiedział po jakiejś minucie. – Jesteś potrzebna tutaj. Dzieje się zbyt wiele politycznego syfu dotyczącego Rady Książęcej, KSJ i Espeńczyków. Nie możesz sobie pozwolić na to, by opuścić Kekon na tak długi czas. Może się wydarzyć coś niespodziewanego, a teraz, gdy odzyskałaś poparcie klanu, ostatnim, czego potrzebujesz, jest opuszczenie Statkowej i powrót do Espenii.

Prognostyczka otworzyła usta, by się sprzeciwić, ale Hilo nie dał jej dojść do słowa.

– Ja tam polecę.

– Naprawdę? – zapytała Shae, nawet nie próbując ukrywać zaskoczenia.

– Jestem filarem. Jeśli to rzeczywiście może być takie ważne, jak twierdzisz, powinienem zająć się tym osobiście. Ciągłe mi powtarzasz, że Espenia może zapewnić nam przewagę i powinniśmy tam inwestować. Polecę tam, żeby zobaczyć wszystko na własne oczy.

Hilo pomyślał, że część problemu polega na tym, że cudzoziemcy i interesy to zawsze były sprawy Shae. Teraz jednak zbyt mocno splątały się one z losem klanu Bez Szczytów, a nawet całego Kekonu i nie mógł zostawić ich wyłącznie siostrze. Doświadczenie nauczyło go, że gdy sytuacja jest niejasna i nie potrafi od razu określić, jak powinien postąpić, musi uważniej przyjrzeć się sprawie. Porozmawiać z odpowiednimi ludźmi, by lepiej wszystko zrozumieć. Rozwiązanie zawsze leżało na ulicy i łatwo było je odnaleźć.

Ru zaczął marudzić. Hilo wstał, by trochę ponosić go na rękach.

– Poza tym minęło już zbyt wiele czasu, odkąd ostatnio widziałem Andy'ego – dodał cicho. – Najwyższy czas znowu się z nim zobaczyć.

# ROZDZIAŁ 36

## TO, NA CO ZASŁUŻYŁEŚ

Bero i Mudt siedzieli na podłodze w mieszkaniu starszego z chłopaków. Pili piwo i ćwiczili Przenoszenie na dwóch szczurach, które Mudt zwabił do plastikowego wiadra w zaułku za budynkiem.

– Musimy się nauczyć sami produkować błysk – mówił Bero. – Wtedy będziemy mogli sprzedawać go i zostawiać trochę dla siebie.

– Jasne, keke. – Mudt otworzył kolejną butelkę piwa i pociągnął długi łyk. – Masz laboratorium, żeby wyprodukować składniki?

– Nie jesteśmy jebaną espeńską armią – warknął Bero. – Jeśli ma się syrop, można z niego zrobić uliczny błysk.

Główny składnik SN1 znajdował się w wielu produkowanych z roślin lekach, których używano od niepamiętnych czasów. Jeśli udało się ukraść albo przemyścić któryś z tych medykamentów ze szpitala bądź apteki, można było wydestylować z niego „syrop” i zwiększyć jego moc przy użyciu chemikaliów.

Bero uniósł dłoń nad stojącym na podłodze wiadrem. Kiedy zamknął oczy, Postrzegał szczury wyraźniej, jako punkty pulsującej energii. Spróbował zwizualizować własną jadeitową aurę jako coś, czym mógł sięgnąć poza własne ciało niby ostrą bronią trzymaną w ręce, a następnie Przeniósł ją w ciało jednego z gryzoni, wykonując pchnięcie dwoma złożonymi palcami. Zwierzę padło na bok, machając nogami z bólu, ale przeżyło.

– Niech to szlag.

Mudt wręczył mu piwo.

– Wypij resztę.

– Myślałem, że je lubisz.

– Znudziło mi się. To tani ygutański syf.

Mudt włożył dłoń do wiadra, wykrzywił twarz w skupieniu, aż wydała się niemal rozgniewana, i dotknął innego szczura. Zwierzątko podsko-

czyło lekko, wykonało obrót i padło martwe. Bero skrzywił się i wypił resztę piwa. Odkąd to Mudt zrobił się lepszy od niego w Przenoszeniu? Czyżby ćwiczył?

Musiał przyznać, że w ciągu trzech ostatnich miesięcy nie mieli zbyt wiele do roboty. Nie otrzymali żadnych wiadomości od Soradiya. Nie wdzięczny barukański owcojebca zerwał z nimi wszelkie kontakty. Zapewne oddał ich robotę Mo i Krewetce. A to oznaczało, że Bero musi poszukać nowych źródeł dochodu.

– Mam już stałych klientów, którzy zawsze ode mnie kupują – ciągnął. – Musimy tylko zdobyć własne niezależne źródło.

Otarł grzbietem dłoni spocone czoło. Pora tajfunów się skończyła. Ostatni z nich sprawił, że uporczywie się utrzymujące letnie upały zelżały nieco, ale jednocześnie odciął od prądu budynek, w którym mieszkał Bero, i żaden z wentylatorów nie działał.

– Twoi klienci nie przychodzą do ciebie po produkowany z płynu do czyszczenia rur słaby syf, od którego w dodatku można oślepnąć – sprzeciwił się Mudt. – Potrzebują błysku wysokiej jakości. – Spojrzał na Bera ze śmiertelnie zimnym wyrazem małych oczek. – Takiego jak ten, który ukradłeś z magazynu mojego taty po jego śmierci.

Starszy chłopak wlepił w niego spojrzenie. Jest pijany, pomyślał. Spojrzenie Mudta było jednak klarowne, a twarz poczerwieniała mu z gniewu, nie od alkoholu.

– Nazywasz mnie złodziejem? – warknął Bero.

To były okropnie banalne, stereotypowe słowa. W ten sposób zaczynało się bójkę w barach. Z ust Mudta wydobył się dziwnie piskliwy chichot.

– Bardzo zabawne, keke. Jesteśmy złodziejami, pamiętasz? Najnędzniejszymi z nędzników. – Jego głos przybrał dziwny ton. – Ale ty... jesteś kimś gorszym. Mój tata dał ci pracę, dobrze ci płacił, a gdy wszyscy chcieli cię zabić, uratował ci życie. A ty wzięłaś sobie jego jadeit i sprzedałaś go, a potem przez cały czas udawałaś, że chcesz mi pomóc w pomszczeniu go. Ale nigdy tego nie zrobiłaś. Zadawałaś się ze mną tylko dlatego, że byłem dla ciebie użyteczny, i nie miałaś zamiaru wynagrodzić mojemu tacie tego, co dla ciebie zrobił. Nigdy nie zależało ci na nikim poza sobą. Masz jadeit, ale nie wiesz, co z nim zrobić, bo nie masz po co żyć. Ja mogę być złodziejem, ale przynajmniej mam jakieś powody. Ty nie masz nic. Jesteś niczym.

To był najdłuższy tekst, jaki Bero kiedykolwiek usłyszał z ust Mudta. Gapił się na nastolatka ze zdumieniem.

– Kurwa, za kogo się uważasz? – wybuchł wreszcie. – Jak śmiesz tak do mnie mówić? Myślisz, że cię potrzebuję? Gdyby nie ja, nawet nie miałbyś jadeitu. To ja stworzyłem plan zdobycia klejnotów Kaula. Ja znalazłem dla nas robotę poszukiwaczy. Wszystko to było moim pomysłem. To ty jesteś niczym. I śmiesz mnie tak nazywać? Powinienem...

Rzucił się naprzód, by złapać Mudta za gardło, ale chłopak podskoczył i umknął poza jego zasięg. Bero spróbował skoczyć za nim, ale nagle podłoga zachwiała mu się pod nogami. Zachwiał się i upadł na kanapę. Dopadły go zawroty głowy. Nie wypił jeszcze tak dużo, z pewnością nie więcej od Mudta, ale młodszy chłopak bez trudu trzymał się na nogach i przyglądał mu się z uwagą.

W nagłej chwili klarowności Bero uświadomił sobie, co się wydarzyło. Wlepił spojrzenie w pustą butelkę po piwie, którą przewrócił na podłogę. Przypomniał sobie, że jakiś czas temu opowiadał Mudtowi o tym, dlaczego ma zniekształconą twarz. Przyznał z żalem, lecz również z odrobiną dumy, że kiedyś próbował ukraść jadeit pijanej zielonej kości, dosypawszy mu przedtem narkotyku do trunku, i prawie mu się udało.

– Ty skurwysynu. – Bero spróbował odegnąć zasłonę zapadającą w jego głowie. Mrugał i przeklinał, czółgając się ku Mudtowi. Wypełniała go żądza mordy. – Ty mały gównojadzie, ty zaszary kapusiu.

Czuł gwałtowne poruszenia w żołądku. Brzuch przeszywały mu ukłucia bólu. Spróbował się skupić. Warknął z wysiłku i wysłał w stronę nastolatka słabe Odbijanie. Chybił fatalnie. Strącił ze stołu lampę, która rozbiła się o ścianę z głośnym trzaskiem. Mudt nawet nie ruszył się z miejsca.

Bero zwinął się z bólu na dywanie. Trzymał się za brzuch, wysuwając język z ust. Ujrzał jak przez mgłę, że Mudt stanął nad nim, trzymając coś w dłoni. Nie widział, co to jest, dopóki zdrajca się pochylił się i nie zrobił mu zastrzyku w udo. Wprowadził mu do żył potrójną dawkę SN1. To wystarczy, żeby zaburzyć akcję serca. Wystarczy, żeby go zabić.

Raz jeszcze spróbował złapać nastolatka za chudą szyję. Mudt jednak użył Siły i uwolnił się z łatwością. Następnie usiadł przeciwnikowi na klatce piersiowej i unieruchomił jego ręce. Bero wybałuszył oczy. Poruszał rozpaczliwie ustami. Nastolatek zabrał mu naszyjnik z jadeitami i włożył sobie na szyję. Przed oczami starszego chłopaka zapadała ciemność. Trucizna w piwie, przedawkowanie błysku, utrata jadeitu – nie potrafił określić, który z tych trzech czynników najszybciej pozbawiał go zdolności poruszania się, mowy oraz myślenia.

Mudt odsunął się od niego.

– Wcale mi ciebie nie żal – oznajmił. W jego głosie pobrzmiwała jednak niepewność, jakby próbował przekonać samego siebie. Przez długi czas gapił się na leżącego chłopaka. – Gdybyś był na moim miejscu, zrobiłbyś mi to samo – stwierdził wreszcie z większym przekonaniem. – Dostałeś to, na co zasłużyłeś.

Bero spróbował złapać go za kostkę, ale nastolatek odsunął się. Oszołomiony chłopak potoczył się za nim, miotając się jak ryba wyrzucona na pokład kutra. Usłyszał, że Mudt się oddala. Zabrał ze sobą jego jadeit i zostawił go tu, żeby umarł. Mały, brudny chłopak, śmieć, który pracował w Dobrych Towarach i zawsze robił wrażenie głupawego. Zabił go Mudt, który miał być słabszy, miał być jego pomagierem, a z czasem stał się jedyną osobą, jaką Bero mógł zwać przyjacielem. Było w tym tak wiele ironii, że Bero miał ochotę się śmiać, krzyczeć i rozwalić chłopakowi czaszkę.

Dzięki temu ostatniemu impulsowi nienawiści zdołał doczołgać się do drzwi mieszkania i oprzeć się o nie. Słaby zamek nie wytrzymał i chłopak przeleciał przez próg. Potem poczuł się tak, jakby ciągnięto go przez bardzo długi i ciemny tunel.



# ROZDZIAŁ 37

## GROŻBY I SPISKI

Anonimowa informacja przyciągnęła uwagę klanu Bez Szczytów do wielkiego, otoczonego materiałem ochronnym kontenera umieszczonego w jednym z hangarów w Dzielnicy Portowej. Takich pojemników z reguły używano do transportu mrożonych owoców morza. W środku znaleziono poćwiartowane ciało Uwiwanina – ręce, nogi, dłonie, stopy, członek, tułów i głowę. Jeden z palców, Heike, pochylił się nad wodą i zwrócił ostatni posiłek. Lott zdołał powstrzymać wymioty, ujrzawszy makabryczne szczątki, szybko jednak cofnął się o krok.

– Kto to był, Maik-jen?

Kehn zamknął pokrywę. Zbyt długie gapienie się na szczątki byłoby nieprzyzwoite, zwłaszcza że mężczyzna zapewne jeszcze żył, gdy ucinano mu pierwsze fragmenty ciała.

– Jeden z naszych szpiegów na Tialuhii – wyjaśnił. – Podejrzewam, że to właśnie on poinformował nas o *Dumie Amaryku*.

Kehn nie zaliczał się do ludzi, którzy otwarciem okazywali rozczarowanie albo gniew. Już od lat chłopięcych zawsze był tym spokojnym bratem i powstrzymywał Tara przed pakowaniem się w kłopoty albo pomagał im się z nich wydobyć, jeśli już się w nie włądowali. Teraz jednak wypadł nagle z hangaru w bardzo ponurym nastroju. Zdobywanie i utrzymywanie agentów na Uwiwach było żmudnym zadaniem i pochłaniało znaczną część czasu i środków strony klanu należącej do rogu. Na Kekonie klan Bez Szczytów miał wielkie wpływy i dysponował różnymi możliwościami, ale za granicą trudno było werbować informatorów, kontrolować ich i zapewniać im ochronę. Pomimo ich wysiłków ludzie z Ti Pasuiga odkryli niektórych z nich i ukarali w okrutny sposób. To zastraszyło pozostałych, a klan nie był w stanie wymierzyć adekwatnej zemsty.

Kehn gryzł się tymi problemami i zastanawiał się, w jaki sposób zawiadomić o nich filar.

– Traciliśmy już przedtem agentów, ale oni po prostu znikali – wyjaśnił następnego dnia, podczas kolacji w Podwójnym Szczęściu. – Zapunyo po raz pierwszy otwarcie nas prowokuje, przysyłając nam ciało w kawałkach. Do tej pory przemytnicy byli tylko drobną uciążliwością, ale Ti Pasuiga jest dobrze zorganizowana i na Uwiwach wszyscy się jej boją. Dlatego nie obawia się otwarcie rzucić nam wyzwania. Uwiwański pies zrobił się stanowczo zbyt śmiały.

– Czuje się sfrustrowany – wyjaśnił Hilo, podsuwając Tarowi talerz z szaszłykami z kaczki. – Ma mnóstwo brudnej forsy, a życie jego ludzi jest tanie, ale dopóki nie może wydostać jadeitu z Kekonu i przekazać go kupującym, nie można powiedzieć, że prowadzi prawdziwy biznes. Jego najważniejsi klienci to Ygutańscy, buntownicy z Oortoko oraz *barukani*, którzy popierają bunt, ponieważ nienawidzą szotarskiego rządu. Odkąd bardzo uważnie obserwujecie jego szlaki przez Zatokę Origas i Wschodni Amaryk, ma przerąbane.

Filar nie przejął się śmiercią informatora tak bardzo, jak się tego spodziewał Kehn. Być może jednak jego uwagę zaprzętała oczekująca go podróż do Espenii. Pod jego nieobecność klanem będzie kierowała prognostyczka, a choć Kehn lubił Kaul Shae, pracowała ona za biurkiem i nie rozumiała zasad działania militarnej strony klanu. Był przyzwyczajony do tego, że zawsze mógł szukać rady Hilo-jena we wszystkich sprawach dotyczących obowiązków rogu.

– Zapunyo szuka nowych rynków zbytu – stwierdził. – Produkuje już SN1, by uchronić swych poszukiwaczy, skorpeny oraz szlifierzy przed śwędziawką. To rozumiałe, że pragnie również go sprzedawać, zwłaszcza odkąd zamknięto fabryki Góry w Ygutanie. Słyszeliśmy, że próbuje nawiązać współpracę z innymi grupami: kartelami narkotykowymi, handlarzami bronią i grupami zajmującymi się prostytutką. Pragnie zaopatrywać w jadeit i błysk również inne części świata.

– Dlaczego Espeńscy nie mogą zmusić uwiwańskiego rządu do rozprawienia się z Zapunyem? – poskarżył się Tar. – Wiedzą, gdzie znajduje się jego rezydencja. Czemu go po prostu nie wykończą?

– Uwiwański rząd to jedna wielka czarna dziura korupcji – wyjaśnił Hilo. – W niektórych częściach kraju panuje całkowite bezprawie, a połowa pomocy zagranicznej znika bez śladu.

– Ti Pasuiga płaci policji więcej niż rząd – dodał Kehn. – A Zapunyo popisuje się hojnością. Daje tamtejszym miasteczkom pieniądze na drogi, szkoły i świątynie. Na Uwiwach jest w praktyce nietykalny. Możemy szkodzić jego interesom, ale dopóki żyje, pozostanie dla nas problemem. – Róg podrapał się po podbródku. – Hilo-jen, musimy się zastanowić, jak wyszeptać jego imię.

Filar niemalże zignorował słowa swego rogu. Kehn podejrzewał, że jego szef zastanawiał się już nad tym problemem, ale nie znalazł zadowalającego rozwiązania.

– Mamy u siebie wrogów, których próbujemy wykończyć już od wielu lat. Nie możemy zajmować się wszystkim jednocześnie.

Przed dwoma tygodniami, na dyskretne polecenie filaru, janloońska policja aresztowała i przesłuchiwała dilera, o którym wspominała Shae. Palce Kehna wytropiły go przedtem po cichu. Diler zgodził się na układ i wymienił nazwiska kilku klientów będących znanymi zielonymi kośćmi, między innymi najbliższych kuzynów Iwe Kalunda, prognostyka Góry. Klan Bez Szczytów dopilnował, by informacje o aresztowaniu oraz nazwiska wymienionych klientów wyciekły do prasy. Nie tylko Ayt Mada mogła wykorzystywać media, by przedstawić rywali w niekorzystnym świetle. Z powodu tych informacji na nowo rozgorzała publiczna debata na temat zagrożeń wiążących się z SN1. Co ważniejsze, zaczęto się też niepokoić możliwością, że przywództwo nad Górą może przejąć rodzina Iwe.

Tymczasem klan Bez Szczytów rozwiązał część problemów, jakie miał na ulicy Dla Ubogich, przekazując je konkurentom. Na rozkaz Hila zielone kości Kehna zlikwidowały prostytutkę w przeznaczonym na hazard trójkącie, jakim była Pacha. Alfonsów przegnano i zabroniono im zbliżać się do kasyn. Wszystkie domy gry należące do klanu Bez Szczytów zaczęły rozwieszać plakaty i rozdawać ulotki reklamujące burdele oraz kluby ze striptizem w pobliskich dzielnicach Grot oraz Psia Głowa, kontrolowanych przez Górę. Skłonni do awantur espeńscy żołnierze przenieśli się ze swymi pieniędzmi oraz rozróbami na terytorium Góry. Ostatnio trzech pijanych zagranicznych marynarzy wdało się w bójkę z zielonymi kośćmi z rodziny Kobenów i wylądowało w szpitalu, co postawiło Ayt Madę w kłopotliwej pozycji. Musiała publicznie poprzeć nieroztropnych Kobenów, a po cichu zapłacić Espeńczykom.

Kehn podziwiał taktyczny spryt Hilo-jena, choć nie potrafił powstrzymać myśli, że obsesja filaru na punkcie destabilizacji Góry przypomina

próby podpalenia mokrej trawy. Produkowali mnóstwo iskier i dymu, ale otwarty pożar jak dotąd się nie pojawił.

Być może Hilo również doszedł do takiego wniosku, ponieważ odsunął talerz na bok i rzekł Tarowi:

– Każ zabić kogoś z rodziny Kobenów. Nie dzieciaka ani jego matkę, tylko jakąś zieloną kość, kogoś, kto jest z nimi blisko. Zabójcą nie możesz być ty ani żaden z twoich ludzi. Wynajmij kogoś, kogo nie będzie można powiązać z klanem Bez Szczytów. Musi być oczywiste, że to nie był wypadek.

– Mama chłopaka ma brata i wujka, którzy noszą jadeit – poinformował go Tar.

– Znakomicie – ucieszył się Hilo. – Któryś z nich się nada. Lepiej, żeby zginął, ale nawet jeśli przeżyje, to też dobrze. Ważne, żeby nie wiedzieli, kogo o to oskarżyć.

Maikowie skinęli głowami. Kobenowie byli liczni, ale niezbyt bystry. Teraz, gdy ich pozycja stała się lepsza niż pozycja rodziny Iwe, może uda się ich sprowokować do aktu przemocy użytecznego dla klanu Bez Szczytów, podobnie jak w przypadku pijanych cudzoziemców. Tar zaczął pytać o szczegóły, ale w tej właśnie chwili podszedł do nich pan Une, latarnik będący właścicielem lokalu. Złożył filarowi wyrazy szacunku i rozmawiał z nim przez kilka minut, nim oddał Hilowi honory i się oddalił.

– Nie musisz się śpieszyć z zabiciem Kobena – oznajmił filarowemu Hilo. – Można będzie to zrobić po naszym powrocie z Hiszpanii.

Gdy wstali z za stolika, Hilo położył dłoń na ramieniu Kehna.

– Nie zapomniałem o tym, co mi powiedziałaś na temat Zapunya. Czasami nie da się uniknąć utraty agentów, ale słusznie się gniewasz z powodu tej zniewagi. Mamy teraz na głowie mnóstwo problemów, ale zgadzam się, że musimy podjąć bardziej zdecydowane kroki przeciwko Ti Pasuiga. Zastanowimy się nad tym, kiedy wrócę.

\* \* \*

Tau Maro wrócił ze zorganizowanego w porze obiadowej spotkania z zarządem Międzynarodowego Stowarzyszenia Czterech Cnót pełen ostrożnego optymizmu połączonego z głęboką frustracją. Ta oddolna dobroczynna organizacja działała dopiero od roku, ale już zdołała przekroczyć cele ogłoszone podczas początkowej zbiórki i miała bardzo dobrą prasę.

Z drugiej jednak strony próby wywierania nacisku na Gmach Mądrości w sprawach o kluczowym znaczeniu, takich jak uchodźcy, nie przyniosły większych sukcesów. Gdy chodziło o sprawy takie jak interesy i polityka, nadal trudno było w miarę szybko osiągnąć cokolwiek bez wsparcia klanów. Przyszło mu na myśl, że powinno istnieć jakieś słowo na określenie tej nieustępliwej nadziei i nieprzewyciężonych trudności towarzyszących mu we wszystkich aspektach życia – poczynając od akademickiej kariery, przez politykę i działalność w organizacjach non profit aż po sprawy sercowe.

Gdy wszedł do gabinetu, czekało tam na niego trzech mężczyzn. Dwaj wyglądali na wystarczająco młodych, by mogli być studentami, ale nigdy nie widział ich na żadnych zajęciach. Trzeciego, który siedział za biurkiem na krześle Mara i obracał się na nim powoli, otaczała jadeitowa aura, ale nie nosił żadnych widocznych klejnotów. W Janloonie równało się to demonstrowaniu wypukłości świadczącej, że pod marynarką kryje się nielegalna broń. Z pewnością znaczyło to, że nie ma prawa nosić jadeitu i jest przestępcą.

Maro zatrzymał się w drzwiach, starając się stłumić podejrzliwość i niepokój.

– Przepraszam, ale to nie jest wasz gabinet.

– Szukamy doktora Tau Marosuna – oznajmił siedzący na krześle mężczyzna.

– Kim jesteś? – zapytał Maro, starając się mówić spokojnym tonem.

– Półszotarskim bękartem – odpowiedział nieznajomy, mówiąc bezbłędnie po szotarsku. – Tak samo jak ty.

Maro zadrzał, gdy nieproszony gość wstał z krzesła i podszedł do niego z uśmiechem na wąskiej, ogorzałej twarzy. W jego zachowaniu oraz aurze nie wyczuwało się wrogości, ale właściciel gabinetu cofnął się o pół kroku, gdy nieznajomy zamknął cicho drzwi.

– Spokojnie, doktorze Tau – rzekł. – Nie chciałem cię obrazić. Wiem, że Kekończycy są pełni uprzedzeń i świetnie rozumiem, dlaczego nie chcesz, by inni wykładowcy poznali prawdziwy powód twych częstych podróży do Leyolo.

Mężczyzna mu się nie przedstawił. Wyglądał jak czarny charakter z szotarskiego filmu. Wielkie knykcie dłoni i okrutne usta. Maro gapił się na niego z narastającym niedowierzaniem. Mimo woli czuł również strach.

– W końcu musisz dbać o własne interesy. W tym mieście trudno jest cokolwiek osiągnąć, jeśli nie jest się marionetką kogoś z wielkich klanów. Ludzie tacy jak ty nie spotykają się z uznaniem, na jakie zasługują. – Nagle zauważył, że Maro spogląda na dwóch młodszych intruzów. – Nie przejmuj się nimi, nie rozumieją ani słowa po szotarsku. Powiedz mi, doktorze Tau, czy nadal pierdolisz się z kobietą Kaulów, czy wszystko między wami skończone.

Maro poderwał głowę i wlepił spojrzenie w nieznanego.

– Jeśli myślicie, że możecie mnie przekupić albo zaszantażować, mylicie się – oznajmił. – Nic nie wiem o tajemnicach klanu Bez Szczytów, a nawet gdybym coś wiedział, nie przekazałbym wam tej wiedzy za żadną cenę ani pod wpływem żadnej groźby. Proszę bardzo, powiedzcie wszystkim, że jestem mieszkańcem. Wywołajcie ksenofobiczny skandal, jak zrobiliście z Kaul Shae. Nie boję się, że stracę pracę. Moje osiągnięcia mówią same za siebie.

Mężczyzna o wąskiej twarzy uniósł ręce w drwiącej imitacji uspokajającego gestu.

– Spokojnie. Czy wyglądam na członka klanu Góra? Ja i moi koledzy nie mamy nic wspólnego z tymi paskudnymi oskarżeniami przeciwko twojej dziewczynie. Nie chcemy od ciebie żadnych informacji.

– W takim razie czego chcecie? – zapytał Maro.

– Żebyś nas przedstawił – odpowiedział intruz. – To wszystko. Jak już wspomniałem, nie jesteśmy z klanu Góra. A ty znasz Kaulów osobiście. Chcielibyśmy umówić się na spotkanie.

Ciało Mara przeszył dreszcz. Otworzył drzwi gabinetu.

– Wynoście się – zażądał, nie potrafiąc powstrzymać drżenia głosu. – I nigdy tu nie wracajcie.

– Nie zachowujesz się rozsądnie – odparł mężczyzna nagle lodowatym tonem. – Co jesteś winien klanowi Bez Szczytów, że uważasz, iż możesz tak nieuprzejmie odmówić naszej prośbie? Zastanów się nad tym. – Poruszył nagle głowę i dwóch nastoletnich zbirów, których przyprowadził ze sobą, odsunęło się od ściany ze wzruszeniem ramion. – Pamiętaj, że wiemy o tobie znacznie więcej, niż ty wiesz o nas, doktorze Tau – rzucił od niechcienia ich szef, nadal mówiąc po szotarsku. – Pomyśl o tym, zanim powiesz lub zrobisz coś nierozsądnego.

Intruzi oddalili się nieśpiesznie. Maro zamknął drzwi gabinetu i osunął się na krzesło. Drżał, czując nadal utrzymujące się w nim ciepło niezna-

mego.

# ROZDZIAŁ 38

## TYLKO IMITACJA

Mudt wszedł do pubu Świnia i Świnia w dzielnicy Pralnia i usiadł za barem.

– Talerz panierowanych krewetek i szklankę *ale* Brevnya.

Barman przyjrzał się chłopakowi sceptycznie z uwagi na jego wiek, zauważył jednak, że najwyraźniej ma do czynienia z zieloną kością noszącą mnóstwo jadeitu.

– Zwykłą szklankę czy wysoką, jen? W drugie dni to będzie tylko pięć dniów więcej.

– W takim razie niech będzie wysoka – odparł Mudt.

Po chwili przyniesiono mu krewetki oraz piwo i spokojnie zajął się posiłkiem. Był w radosnym nastroju. Dzisiaj po raz pierwszy połączył ze sobą Lekkość i Stal. Podbiegł aż do brzegu dachu budynku, w którym mieszkał, i przeskoczył całe dwadzieścia metrów dzielące go od dachu sąsiedniego. Spadł na beton, przetoczył się i położył się na wznak. Serce mu tłuło od adrenaliny, a wstrząs wybił mu powietrze z płuc, ale nic mu się nie stało. Nawet nie miał siniaków. Wszystkie te długie godziny obsesyjnych ćwiczeń zaczynały przynosić rezultaty. Wiedział, że nadal brakuje mu bardzo wiele do tego, by mógł pokonać kogoś takiego jak Maik Tar, który od lat ćwiczył jadeitowe dyscypliny. Będziesz musiał czekać na odpowiedni moment i znaleźć coś, co da mu nieoczekiwaną przewagę, jak wtedy, gdy dosypał narkotyku do piwa Bera.

Nie potrafił powstrzymać wyrzutów sumienia po zamordowaniu starszego kolegi. Choć minęło już wiele tygodni, nadal brakowało mu jego towarzystwa. Pragnął mieć kogoś, z kim mógłby porozmawiać i pochwalić się przed nim odniesionym dzisiaj sukcesem. Ciągłe prześladowało go wspomnienie Bera leżącego na podłodze w ostatnich chwilach swego życia i wybałuszającego oczy w bezsilnym gniewie. Jednakże to uczucie słabło



z każdym kolejnym łykiem *ale*. Na tym świecie nie było miejsca dla słabych. Wystarczyło spojrzeć na klany zielonych kości. Żaden z ich członków nie miałby oporów przed zabiciem przeciwnika i zabraniem jego jadeitu. Kimś takim musiał się stać Mudt, jeśli pragnął w końcu wyrzucić zemstę na Maik Tarze i klanie Bez Szczytów.

Mudt zamówił kolejną wysoką szklanę piwa, pocieszając się myślą, że brak Bera nie będzie wielką stratą dla świata. Słyszał kiedyś, jak jego tata powiedział o nim: „To chyba socjopata”. W ich świecie to niekoniecznie było coś złego. Mudt przez długi czas podziwiał starszego chłopaka. W przeciwieństwie do niego Bero robił wrażenie bardzo twardego i pewnego siebie. Nie bał się nikogo. To naprawdę zasługiwało na uznanie.

Chłopak czuł ciężar i gorąco jadeitu, który nosił na szyi. Klejnoty dotykały jego skóry i przesuwwały się po niej jak coś żywego. Coś, co dawało życie. Musiał zwiększyć dawkę błysku, by móc nosić tak wiele zieleni. Na szczęście wiedział, gdzie Bero schował swój zapas, i w przeciwieństwie do niego orientował się też, gdzie zdobyć więcej. W swoim czasie mógłby mu to powiedzieć, gdyby Bero go zapytał, ale on oczywiście tego nie zrobił.

Z początku ruch w pubie był niewielki, ale w miarę jak robiło się coraz później, zjawiało się więcej ludzi. Pojawiła się grupa pięciu dziewczyn w wieku uczennic college’u. Wszystkie miały na sobie krótkie spódniczki i buty na wysokich obcasach. Ich celem było upicie koleżanki, którą właśnie rzucił wredny chłopak.

– Zielona kość! – zawołała jedna z nich, uśmiechając się nieśmiało do Mudta znad trzymanej w ręce szklanki. – Nigdy cię tu nie widziałam. Na pewno jesteś pięścią. Jesteś tu nowy?

– To nie jest żadna pięść. – Starsza dziewczyna wzniosła oczy ku górze, zgorszona naiwnością towarzyszki. – Jest za młody. To nie może być prawdziwy jadeit.

– Jest prawdziwy – zapewnił Mudt.

Poczuł, że do twarzy napływa mu ciepło. Do tej pory kobiety go nie zauważały. Właściwie prawie nigdy z nimi nie rozmawiał. W głowie szumiało mu od piwa, a żołądek rozdymały smażone krewetki. Gdy nosił tak wiele jadeitu, zmysł Postrzegania wręcz go przytłaczał. Stojące obok niego za barem dziewczyny przypominały gorące piece wypełnione energią. Trudno mu było skupić się na ich twarzach.

– Czy wyglądam jak barukański pozer? Cała zieleń, którą widzisz, jest autentyczna.

– W takim razie jak ją zdobyłeś? – zapytała starsza z dziewczyn, udając zainteresowanie. – Wyglądasz na mniej niż dwadzieścia lat.

Jej koleżanka parsknęła śmiechem. Dziewczyny pachniały perfumami i nosiły makijaż. Były ładne jak modelki z telewizji, nawet jeśli się z niego śmiały. Jego mózg wypełniły fale wstydu i gniewu. Ludzie szanowali zielone kości. Tak to powinno wyglądać. Zawsze tak było. Nikt nie ważył się pytać ich, skąd wzięły jadeit, jak te dziewczyny pytały jego.

Ale z drugiej strony w dzisiejszych czasach wielu tych, którzy go nosili, nie zasługiwało na szacunek: nowi zieloni, *barukani*, zagraniczni gangsterzy albo espeńscy żołnierze, zabijający nawet kobiety i dzieci. Można ich było spotkać na ulicach Janloonu, zobaczyć w telewizji albo usłyszeć o nich pogłoski.

Mudt nosił jadeit, ale nie był zieloną kością. Nie wychowano go we właściwy sposób i nie przeszedł odpowiedniego szkolenia. Dlatego nie był przekonujący. Sprawiał wrażenie ostrożnego, nerwowego i zastraszonego. Stawało się to oczywiste dla każdego, kto rozmawiał z nim choć kilka minut. W głębi duszy wiedział o tym i wstydził się tego bardzo. Zdawał też sobie sprawę, że dziewczyny przy barze również to wyczuwają. Natychmiast przypomniał sobie, jak Bero zareagował na niedowierzanie i śmiech zielonych kości z klanu Góra tej nocy w lesie, gdy Mudt był pewien, że zaraz zabiją ich obu. Bero był lekkomyślny i samolubny, ale nie bał się niczego.

Zwrócił się w stronę dziewczyn.

– Co niby jest takiego specjalnego w Kaulach? – zapytał. – Chcecie wiedzieć skąd wzięłem ten jadeit? Zdjąłem go z martwego ciała samego Kaul Lana.

Obie dziewczyny popatrzyły na niego ze zdumieniem. Mudt uświadomił sobie, że posunął się za daleko. Równie dobrze mógłby oznajmić, że jest nowym wcieleniem Jenshu. Nau Suenowi i zielonym kościom z Góry samochwalstwo nowych zielonych mogło imponować, ale goście pubu mieli zupełnie inne podejście. Nikt nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Dziewczyny zaczęły się od niego odsuwać, jakby przyznał się do jakiejś zakaźnej choroby. Rozglądały się wkoło, żeby sprawdzić, czy w lokalu są prawdziwe zielone kości, które mogłyby połamać Mudtowi nogi za to bluźnierstwo.

Chłopak zaśmiał się głośno i rozciągnął usta w uśmiechu. Rzadko się uśmiechał, więc wyszedł mu z tego tylko dość paskudny grymas.

– Szkoda, że nie widziałyście swoich min! – zawołał.

– Jesteś pijany – stwierdziła starsza z nich bez śladu uśmiechu. Odciągnęła koleżankę na bok.

Mudt musiał przyznać, że faktycznie nie jest zbyt trzeźwy. Zapłacił rachunek i wyszedł, nim zdążył znowu powiedzieć coś głupiego. Barman pracował tu dopiero od miesiąca, ale miał dobry słuch i świetnie znał okolicę. Po wyjściu Mudta poszedł do kuchni i skorzystał z telefonu dla personelu stojącego obok łazienki.

# ROZDZIAŁ 39

## SPOTKANIE FILARÓW

Anden pojechał z Rohn Torem na lotnisko Port Massy International, by spotkać się z Kaul Hilem. Samolot spóźnił się godzinę. Kiedy czekali, Rohn kupił sobie kubek kawy i przejrzał książki w miękkich oprawach na obrotowym stojaku w sklepie. Anden usiadł na jednym z plastikowych krzeseł i spróbował czytać czasopismo, lecz bez powodzenia. Nie widział się z kuzynem od dnia pogrzebu dziadka. Filar w praktyce wygnał go wtedy z Janloonu, a ostatnie słowa, które ze sobą wymienili, były szorstkie i bolesne. Kiedy zadzwonił do domu i porozmawiał z Shae, by wyjaśnić jej sytuację i przekazać prośbę Dauków o pomoc, z pewnością się nie spodziewał, że po dwóch tygodniach kuzynka oddzwoni do niego z wiadomością, że Hilo wsiądzie do samolotu i osobiście przyleci do Port Massy.

Minął jeszcze miesiąc, nim udało się zgromadzić wszystkie potrzebne dokumenty i wygospodarować miejsce w napiętym harmonogramie filaru.

Przez ten czas liście w Port Massy pożółkły, a niebo przybrało jasnoszarą barwę. Pojawiły się dekoracje na Wigilię Dożynek – girlandy z żółtymi i suszonych jabłek, lalki i obrazki Słomianego Jacka, a także szeregi żółtych świec w oknach. Ulice i mury miasta zaśmiecały liczne plakaty oraz ulotki; sklepy spożywcze oraz restauracje reklamowały placki kukurydziane i tuczone króliki, wszędzie oferowano też najkorzystniejsze promocje w całym roku.

W Południowej Pułapce paczki nie przestawały atakować Kekończyków i ich interesów. Po tym, jak ciało jednego z handlarzy narkotyków średniej rangi służących szefowi Kromnerowi znaleziono pływające w Camresie, do restauracji, w której spożywał posiłek Rohn Toro, wpadło trzech uzbrojonych zbirów.

Róg wyczuł, że się zbliżają, i uciekł tylnymi drzwiami, ale gdy Anden spotykał go teraz, prawie zawsze widział na jego rękach skórzane rękaw-

wiczki. W tej chwili również je nosił, mimo że byli na lotnisku. Czapkę z daszkiem opuścił nisko i co jakiś czas nieruchomiał, wbijając wzrok w dal, by przeszukać otoczenie za pomocą Postrzegania.

Dla zabicia czasu Anden spróbował nawiązać z nim rozmowę.

– Czy rodzina odwiedzi cię na Wigilię Dożynek, Rohn-jen?

Rohn oderwał na moment spojrzenie od przewodnika turystycznego, który przeglądał.

– Córka przyjedzie na kilka dni – odpowiedział. Anden nie miał pojęcia, że Rohn ma córkę, czy w ogóle jakąkolwiek rodzinę. Znał go równie długo jak Dauków, ale instynktownie trzymał się na dystans od niego i wiedział bardzo niewiele o jego życiu osobistym. – Ma więcej lat od ciebie i mieszka w Evenfield, blisko matki. Chciałbym widywać ją częściej, ale to zależy od niej, nie ode mnie. – Evenfield leżało w odległości pięciu godzin jazdy tramwajem albo autobusem. Rohn zamyślił się na chwilę. Wreszcie wzruszył ramionami. – Być może miałem kiedyś szansę, by poświęcić się rodzinie, zamiast stać się tym, kim jestem obecnie, ale zaciągnąłem zbyt wielki dług wobec Dauków. To oni są teraz moją rodziną.

Samolot z Janloonu wreszcie przybył i pasażerowie zaczęli wysiadać. Hilo i Maik Tar byli wśród pierwszych, którzy się pojawili. Anden wstał i poszedł przywitać kuzyna. Zatrzymali się w odległości około dziesięciu kroków od siebie, jakby obaj zawahali się jednocześnie.

– Witaj, Kaul-jen – rzekł Anden i spuścił wzrok, a potem dotknął czoła splecionymi dłońmi w geście wyrażającym szacunek.

Gdy uniósł spojrzenie, zobaczył, że Hilo nieco się postarzał. Wypełniająca go energia trochę straciła na intensywności, niewykluczone jednak, że chodziło o to, iż znalazł się na ruchliwym lotnisku za granicą, gdzie był tylko kolejnym dotkniętym jet lagiem pasażerem. Przerzucił marynarkę przez ramię, a guziki niebieskiej koszuli zapiął aż pod szyję, by ukryć wszczepione w obojczyki jadeity, które zawsze otwarcie demonstrował. Nie uśmiechał się, Anden zauważył jednak, że jego oczy przybrały łagodniejszy wyraz. Filar poruszył ustami, jakby nie potrafił dokonać wyboru między bolesnym grymasem a radosnym uśmiechem, po czym podszedł do młodszego kuzyna i uściskał go serdecznie.

– Andy – rzekł i pocałował go mocno w policzek.

Chłopaka zalała fala niespodziewanie silnej ulgi. Kolana się pod nim ugięły. Gładkość i intensywność jadeitowej aury Hila, która nagle znalazła się tak blisko, była czymś jeszcze bardziej znajomym niż głos kuzyna czy

woń jego ubrania – lekki odór dymu papierosowego mieszający się z trudnym do zdefiniowania korzennym zapachem Janloonu. Andena wypełniła gwałtowna tęsknota za domem. Spróbował wyjąkać coś w odpowiedzi, lecz nagle przypomniał sobie o swojej roli. Odsunął się i przywitał Maik Tara, który również uściskał go ciepło, choć nie aż tak radośnie, a następnie obejmował się lekko przez ramię.

– Kaul-jen, to jest Rohn Toro... – Uświadomił sobie, że nie wie, jak brzmi oficjalny klanowy tytuł Rohna, ani nawet, czy ktokolwiek poza Daukiem ma tu jakieś tytuły. – Możesz go uznać za róg. Wśród zielonych kości z Port Massy zajmuje drugą pozycję po swoim bliskim przyjacielu Dauk Losunynie, z którym się spotkamy.

– Tutaj nie przywiązujemy zbyt wielkiej wagi do ceremonii – wtrącił Rohn typowym dla siebie ostrożnym tonem. – Ale to dla mnie zaszczyt przywitać cię w Espenii, Kaul-jen.

Zaczął się pochylać, by oddać honory, ale Hilo go zaskoczył. Wyciągnął do niego rękę. Ucisnął mu dłoń, mocno i przyjaźnie. Obaj mężczyźni przyjrzeni się swoim jadeitowym aurom i Anden zauważył, że Hilo rozpoznał Rohna w taki sam sposób, jak zrobił to on, gdy róg z Port Massy pojawił się po kolacji w mieszkaniu Dauków – jako człowieka pewnego rodzaju, którego potrzebuje każdy klan.

– Wiele słyszałem o Espenii, ale nigdy dotąd tu nie byłem – odezwał się Hilo, uśmiechając się przyjaźnie i rozbrajająco, lecz zarazem nieco oficjalnie. – Jestem w tym kraju gościem i czuję się wdzięczny za to, że zgodzili się mnie przyjąć przyjaciele mojego kuzyna. – Wskazał na Tara. – To jest Maik Tar, mój filarowy, a także szwagier.

Rohn i Tar oddali sobie nawzajem honory, wymieniając równie płytkie ukłony – jakby spotkały się dwa psy jednakowej wielkości.

– Cieszymy się, że zgodziłeś się tu przybyć tylko na podstawie słów Andena – oświadczył Hilowi Rohn.

Z twarzy filaru nie zniknął przylepiony uśmiech.

– Nie prosiłby mnie o to bez powodu – odpowiedział, nie spoglądając na kuzyna. – Komu możemy zaufać, jeśli nie członkom rodziny?

Anden uświadomił sobie, że choć Hilo ucieszył się na jego widok, nie wybaczył mu w pełni.

Obaj przybysze zabrali bagaże i Rohn Toro poprowadził ich na krótkoterminowy parking, na którym czekał wynajęty czarny miejski samochód. Rohn wyjaśnił gościom, że Dauk Losun załatwił dla nich miejsce w hotelu

Crestwood, położonym w śródmieściu. Czy chcą tam pojechać od razu, żeby trochę odpocząć? Hilo z zainteresowaniem wyglądał przez okno, gdy Rohn wyprowadził pojazd na autostradę. Odpowiedział, że spał w samolocie i nie potrzebuje natychmiast jechać do hotelu, gdyby miało to oznaczać, że drugi filar będzie musiał na niego czekać. Powinni od razu pojechać na spotkanie z Dauk Losunem.

Rohn celowo wybrał dłuższą trasę prowadzącą przez centrum miasta, by goście mogli obejrzeć widoki. Hilo milczał przez większą część drogi, ale kilka razy trącił łokciem Maik Tara, by zwrócić jego uwagę na coś interesującego – sławny na całym świecie Gmach Masztowy, jaskrawopomarańczowe autobusy, nazwę znanej firmy na billboardzie. Anden pragnął powiedzieć kuzynowi tysiąc różnych rzeczy. Odczuwał dziwny przymus podjęcia się roli przewodnika, wskazywania na szczegóły, które poznał dopiero po przybyciu tutaj i które mogłyby zainteresować filar. Nadal jednak nie czuł się pewnie, nie wiedział, czy może sobie pozwolić na skrócenie dystansu do kuzyna, czy jego komentarze wzbudzą zadowolenie, czy spotkają się ze wzgardą.

Odwrócił się połowicznie za siedzeniem.

– To jest College Portmassański, Hilo-jen. Te łuki to wejście na kampus. – Wkrótce potem wjechali do Południowej Pułapki. – Miejsce, w którym mieszkam, znajduje się trzy kwartały stąd. Jeśli znajdziesz chwilkę czasu, może spotkasz się z państwem Hian. To małżeństwo, które udzieliło mi gościny.

Hilo nie odpowiedział, ale gdy po kilku minutach samochód zatrzymał się przed domem Dauków, pochylił się i poklepał chłopaka po ramieniu. Potem otworzył drzwi i wysiadł. Anden znieruchomiał na krótką chwilę. Czuł się głupio. Mieszkał w Port Massy już od prawie dwóch lat, dobrze sobie radził na studiach, opanował espeński w mowie i piśmie, pracował też w niepełnym wymiarze godzin i zarabiał całkiem nieźle. Znalazł tu przyjaciół i coś w rodzaju domu. Mimo to w towarzystwie Kaul Hila znowu poczuł się jak nerwowy dzieciak. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak mocno wciąż pragnie aprobaty i przebaczenia kuzyna. Musiało to być oczywiście nie tylko dla filaru, lecz także dla wszystkich w samochodzie. Wysiadł i podążył za pozostałymi.

Dauk Losun i Dauk Sana przywitali gości w drzwiach wejściowych. Cory również tam był. Wrócił do domu na dwutygodniowe Ferie Dożynkowe. Na szczęście po miesiącach bezowocnego nadzoru policja najwyraź-

niej dała sobie spokój z obserwowaniem domu Dauków. A może gliniarze też mieli świąteczną przerwę. Daukowie włożyli sporo wysiłku w przygotowanie swego skromnego domu na przyjęcie ważnego gościa. Meble i poręcze lśniły czystością. W kuchni zamontowano nowe, jaśniejsze latarki, a świeże kwiaty w wazonie na stole w pokoju jadalnym wypełniały powietrze miłym zapachem. Dauk Losun ubrał się bardziej elegancko niż zwykle. Zamiast zwykle noszonego swetra wdział szarą koszulę i czerwony krawat ze złotą spinką. Wizerunek, jaki prezentował, daleko odbiegał od jego codziennej, bezpretensjonalnej osobowości. Przywitał Kaul Hilo, z szacunkiem oddając mu honory, oznajmił, że czuje się zaszczycony, iż może osobiście poznać filar sławnego klanu Bez Szczytów, i zapytał, czy miał dobrą podróż. Stojący nieco z boku za ojcem Cory uśmiechnął się krótko do Andena, który ledwie zdążył mu odpowiedzieć, nim starszy chłopak odwrócił wzrok. Nie widział się z Corym od kilku miesięcy i tęsknił za nim, ale w tej chwili był zbyt wytrącony z równowagi bliskością kuzyna oraz faktem, że różne fragmenty jego życia spotkały się ze sobą pod jednym dachem.

Hilo szybko uspokoił gospodarzy, demonstrując swój krzywy uśmiešek, komplementując różne szczegóły ich domu oraz żartując z posiłków serwowanych w Kekońskich Liniach Lotniczych. Anden zauważył, że jego kuzyn zatrzymał na moment spojrzenie na posągach i wazach z bławierskiego jadeitu. W kącikach jego ust pojawił się cień szyderczego uśmieszku, ale był tak blady, że nikt obcy nie mógłby go zauważyć, i natychmiast zniknął. Dauk Losun przyniósł butelkę dobrej hoji i otworzył ją przed kolacją, a Hilo opowiedział historię o jednym ze swoich pięści, który stracił w walce obie ręce, a teraz prowadził gorzelnię i produkował hoji najwyższej jakości. Czy Dauk lubił ten trunek? Jeśli tak, Hilo chętnie wyśle mu skrzynkę. Maik i Rohn stali bez słowa przy swoich szefach, słuchając ich rozmowy i obserwując się nawzajem z szacunkiem połączonym z subtelną ostrożnością.

Dauk Sana, ubrana w elegancką zieloną suknię z wysokim kołnierzem, przynosiła kolejne dania, za każdym razem przepaszając, że posiłek jest tak skromny, choć dań było chyba z tuzin i było oczywiste, że musiała spędzić w kuchni cały dzień, żeby je przygotować. Hilo zapewnił, że jego własna matka nie potrafiłaby się spisać lepiej. Dauk Sana się rozpromieniła.

– Chciałam zrobić jeszcze jedno danie z owoców morza i tort. Na pewno bym sobie z tym poradziła, gdyby pomogła mi któraś z córek, ale



jedna mieszka zbyt daleko, druga musi się zajmować chorym dzieckiem, a trzecia wyjechała na jakąś konferencję dotyczącą spraw przemysłu. –

Westchnęła. – Przynajmniej Cory był na tyle dobry, że pomógł mi dziś po południu. – Z wyraźnym uznaniem nałożyła synowi dodatkową porcję. – Najmłodsze dzieci z reguły są najbardziej pomocne.

Hilo zastanowił się nad tymi słowami, przyglądając się Cory'emu. Z pewnością Postrzegł, że chłopak jest zieloną kością, podobnie jak jego rodzice i Rohn. Anden poczuł drzenie w żołądku, nagły przypływ absurdałnej opiekuńczości. Hilo uśmiechnął się z lekką drwiną i wzniosł kieliszek w toaście za Dauk Coru.

– Najmłodsze dzieci często są też najbardziej rozpieszczone, bo wszystko uchodzi im na sucho.

Cory roześmiał się z lekką niepewnością i zerknął na ojca.

– Nie jestem pewien, czy to prawda.

– Masz dzieci, Kaul-jen? – zapytał siedzący po drugiej stronie stołu Dauk Losun.

– Mam dwóch synów – odparł Hilo. – Pierwszy ma trzy lata, a drugi rok. Spodziewamy się z żoną trzeciego dziecka.

Różnica wieku między dwoma filarami wynosiła trzydzieści lat.

– Bogowie darzą cię łaską, Kaul-jen. Dali ci już dwóch synów, a być może trzecie jest już w drodze – stwierdził Dauk.

– Trzecie dziecko będzie dziewczynką – odparł Hilo. – W naszej rodzinie zawsze tak jest.

– Niemniej to błogosławieństwo.

Po kolacji Dauk Sana zabrała do kuchni talerze oraz resztki. Zostało mnóstwo jedzenia. Hilo, Anden i Daukowie najedli się do syta, ale Maik Tar i Rohn Toro, siedzący przy swych filarach, jedli mało i mówili jeszcze mniej. Ich rola – nienazwana na głos, lecz zrozumiała dla obu – polegała na zachowaniu czujności i byciu gotowym. To było przyjazne spotkanie, ale uczestniczyły w nim dwa filary klanów, które nie znały się nawzajem.

Cory wstał, by pomóc matce sprzątnąć ze stołu. Anden również się podniósł. Pragnął ułatwić im nieco zadanie, a poza tym nagle poczuł się nie na miejscu za stołem, za którym siedziały same zielone kości. Gdy znalazł się w kuchni, Cory postawił talerze na blacie i podszedł do niego.

– Twój kuzyn nie jest taki, jak się spodziewałem – wyszeptał.

– A czego się spodziewałeś?

– Że będzie podobny do ciebie, tylko znacznie starszy. Poważny i groźny. Czarny garnitur, ciemne okulary i pół tuzina noży ukrytych w różnych miejscach. Jadeit na złotych łańcuchach zawieszonych na szyi i nadgarstkach.

– Naoglądałeś się za dużo durnych szotarskich filmów kryminalnych.

Cory roześmiał się cicho. Serce Andena zawsze przyśpieszało nieco, gdy słyszał ten dźwięk.

– Myślisz, że rzeczywiście pomoże nam poradzić sobie z paczkami, czy przybył tu z jakichś innych powodów?

Anden nieoczekiwanie poczuł się oskarżony, jakby powinien wiedzieć, co myśli jego filar i to z jego winy Daukowie włożyli tyle trudu w przygotowania do tej kolacji.

– Nie mam pojęcia – przyznał.

Dauk Sana zaniósła do jadalni kolejny czajniczek z herbatą.

– Kiedy będziemy mogli się spotkać? – wyszeptał Cory, gdy zostali sami w kuchni. Położył dłoń na krzyżu młodszego chłopaka i wsunął palce pod wszywany pasek jego spodni.

Anden odsunął się od niego. Jak Cory mógł myśleć o takich sprawach, kiedy w sąsiednim pokoju jego rodzice rozmawiali z filarem klanu Bez Szczytów?

– Może w drugi dzień – zaproponował, widząc lekko urażoną minę partnera. – Później o tym pogadamy.

Wrócili do pokoju jadalnego. Na stole pojawiły się herbata, papierosy oraz lukrowane śliwki pokrojone na ćwiartki. Maik i Rohn odsunęli się od blatu i siedzieli teraz nieco za swymi filarami. Anden zatrzymał się na moment w drzwiach, niepewny, jakie miejsce powinien zająć, ale Maik Tar zahaczył stopą o jego krzesło i przysunął je do swojego. Było jasne, że Anden powinien usiąść po stronie Kaulów, za Hilem.

Tak właśnie zrobił. Ku jego zaskoczeniu Sana i Cory nadal siedzieli przy stole, po obu stronach Dauk Losuna.

– Kaul-jen, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że moja żona i syn pozostaną uczestnikami naszej rozmowy. Zwykle nie przywiązujemy tu wielkiej wagi do formalności – dodał wyjaśniającym tonem. –

Ludzie z dzielnicy nazywają mnie filarem, ale to raczej oznaka szacunku niż oficjalny tytuł. Ktoś musi przewodzić naszej społeczności i czuję się zaszczycony, że właśnie mnie powierzono tę odpowiedzialność. Nie wstydzę się jednak przyznać, że bardzo często polegam na zdrowym rozsądku

swej żony. Natomiast Coru jest jedynym z moich dzieci, które nosi jadeit. Jest jak pszczoła pijąca nektar z każdego kwiatu. Wszyscy go znają i lubią, a w dodatku, niech niebo ma mnie w swojej opiece, uczy się na prawnika. Dlatego staram się trzymać go blisko siebie.

Andenowi rzadko zdarzało się słyszeć, by Dauk Losun mówił tak długo i z tak wielką pokorą. Te słowa pozwoliły jednak miejscowemu filarowi ustalić warunki rozmowy i podkreślić fakt, że jest wpływowym człowiekiem. Był jak lampart spotykający tygrysa. Miał znacznie mniej jadeitu i pieniędzy, a także nieporównanie mniejsze wpływy w swoim kraju niż Kaul Hilo, ale pozostawał przywódcą zielonych kości i nie zamierzał pozwolić, by gość narzucił mu coś w jego własnym domu.

– Nigdy nie kwestionuję tego, jak inny filar kieruje swoim klanem – odparł z powagą Hilo. – A już z pewnością nie w obcym kraju. Wiem, jak ważne jest mieć przy sobie dobrych doradców.

Dauk uspokoił się nieco. Anden pomyślał, że nie sposób zaprzeczyć, iż Kaul Hilo zawsze potrafi dopasować ton do sytuacji. Podczas kolacji zachowywał się jak zadowolony gość. Prawił gospodarzowi komplementy, śmiał się i uśmiechał swobodnie. Teraz zaś siedział niemal bez ruchu, z chłodną, skupioną uwagą.

– Chciałbym cię zapytać o bardzo wiele spraw dotyczących Espenii oraz tego, jaką rolę gra w tym kraju jadeit, Dauk-jen. Odkąd zostałem filarem, okoliczności zmuszały mnie do koncentrowania się na mojej ojczyźnie. Co więcej przedtem byłem rogiem i w tej roli czuję się najpewniej. Niemniej, podobnie jak ty, miałem dobrych doradców, i dzięki nim uświadomiłem sobie, że jadeit ma teraz międzynarodowe znaczenie i zagrożenia dla Kekonu oraz stylu życia zielonych kości mogą pochodzić z drugiej strony oceanu.

– Wielu Kekończyków w naszym kraju wywodzi się z rodzin, które przybyły tu, uciekając przed Szotarczykami – wtrąciła Dauk Sana. – Przestrzegamy niektórych starych zwyczajów, ale, niestety, utraciliśmy kontakt z naszymi kuzynami na wyspie. Niektóre rodziny, jak moja, przywiozły jadeit ze sobą i nigdy nie było z tym problemów, ponieważ nie wtrącaliśmy się do spraw innych. Teraz jednak świat się zmienia i wygląda na to, że wszyscy zwracają się przeciwko nam.

– My również nie utrzymywaliśmy kontaktów z rodakami za granicą – przyznał Hilo. – Kekończycy nigdy nie poświęcali zbyt wiele uwagi temu, co dzieje się poza ich wyspą. Przyjaciele i wrogowie nauczyli mnie jednak,

że to musi się zmienić. Dlatego postanowiłem, że przybędę tu, by spotkać się z tobą osobiście, Dauk-jen, i dowiedzieć się, jak zielone kości mogą pomóc sobie nawzajem.

Intensywna dyskusja trwała trzy godziny. Daukowie opowiedzieli Kaul Hilowi o tajnym życiu prowadzonym przez zielone kości w Port Massy. Wyjaśnili mu, że nie mogą otwarcie nosić jadeitu i muszą ćwiczyć dyscypliny potajemnie, by móc wykorzystywać swe talenty do rozwiązywania problemów we własnej społeczności i obrony przed agresywnymi paczkami, a czasami również przed wrogością i nieufnością Espeńczyków. Te resentmenty nasiliły się, odkąd pojawiły się napięcia w stosunkach z Kekonem, wywołane wojną oortokańską oraz pojawieniem się rządowej propagandy, ostrzegającej przed szkodami i zagrożeniami wiążącymi się z użyciem jadeitu przez cywilów. Gospodarze opowiedzieli również Hilowi o tym, że przez długi czas udawało się im utrzymywać przy życiu salę uraz, dzięki przekupywaniu miejscowej policji, ale obecnie poważniejszym zagrożeniem stały się paczki, które dostrzegły szansę rozszerzenia swej działalności polegającej na wymuszeniach, handlu narkotykami oraz hazardzie na tereny kontrolowane dotąd przez Kekończyków, a także kradzieży jadeitu.

Wreszcie zrobiło się późno. Dauk Sana przyniosła więcej herbaty oraz miskę z prażonymi orzechami, po czym otworzyła okna, by przewietrzyć pokój, w którym unosiły się chmury dymu papierosowego. Zmrok zapadł już jakiś czas temu. Hilo zadawał coraz bardziej szczegółowe pytania: ile zielonych kości mieszka w Port Massy? Czy są zorganizowane? Na ile z nich Dauk może liczyć w razie potrzeby? Jakim człowiekiem jest szef Kromner? A jego przodownik, Chudziak Reams? Ile płaszczy ma na swoje rozkazy? Jaką działalnością zajmują się przede wszystkim? To była strona osobowości Kaul Hila, o której Anden słyszał, lecz nigdy dotąd się z nią nie zetknął: umysł rogu w akcji.

Zauważył, że Cory oklapł nieco na krześle, a z jego oczu zniknął wyraz skupienia. Wyglądał jak znudzony student w sali wykładowej. Matka szturchnęła go, każąc mu się wyprostować. Powiedział, że musi iść do łazienki, a następnie zaproponował, że pozmywa i wytrze naczynia. Anden usłyszał szum płynącej z kranu wody i stukot naczyń. Stłumił irytację. On również czuł się zmęczony i obolały, ale uważał, że nie wypada wstać i zająć się czymś innym, gdy trwa rozmowa filarów dotycząca strategii, która wpłynie na życie ich wszystkich. Dauk Losun nie zbeształ publicznie

syna ani nie kazał mu wrócić na miejsce, niemniej zacisnął usta w grymasie niezadowolenia.

– Chciałbym się spotkać z tymi szefami – odezwał się wreszcie Hilo. – Ze wszystkimi razem, w jednym pokoju.

Dauk Losun milczał przez dłuższą chwilę.

– Kaul-jen, nie sądzę, żeby to było możliwe – odezwał się wreszcie wyraźnie zatroskanym głosem. – Nawet gdyby udało ci się zwabić ich w jedno miejsce, a raczej w to wątpię, prawo bardzo stanowczo zakazuje użycia przemocy, nawet przeciwko przestępcom, którzy na to zasługują. To byłoby zbyt ryzykowne i wiązałoby się z wielkimi kosztami zarówno dla ciebie, jak i dla całej kekońskiej społeczności. Gdyby coś przytrafiło się szefom podczas tego spotkania, paczki wywarłyby zemstę na nas wszystkich, w tym również na niewinnych mieszkańcach Południowej Pułapki.

Hilo oparł się wygodnie na krześle.

– Przyjacielu, powiedz mi, co twoim zdaniem zamierzałem zrobić? Zabić wszystkich szefów osobiście?

Zapadła krępująca cisza. Nie ulegało wątpliwości, że tego właśnie spodziewał się Dauk. Na ustach Hila pojawił się lekki uśmiezek. Mimo że Dauk sam był zieloną kością, najwyraźniej również ulegał stereotypom, mówiącym, że Kekończycy są instynktownie skłonni do przemocy.

Wreszcie Hilo pokręcił głową.

– Moja prognostyczka musiała mi załatwić specjalne rządowe pozwolenie, żebym w ogóle mógł odwiedzić ten kraj, nosząc jadeit. Wolno mi spędzić w Espenii tylko dwadzieścia dni i musiałem zadeklarować każdy klejnot, który miałem na sobie, by móc udowodnić, że wywożę wszystkie z powrotem. – Raz jeszcze pokręcił głową ze zdumioną miną. – Zdaję sobie sprawę, że tu wszystko wygląda inaczej, i nie chcę narobić sobie kłopotów. Co ważniejsze, nie mam prawa odebrać nikomu życia ani wyszeptać niczyjego imienia na terytorium innego filaru, zwłaszcza jeśli go szanuję i pragnę pozostać jego przyjacielem. – Uśmiechnął się, by zademonstrować, że nie czuje się urażony słowami Dauka. – Gdy ktoś spotka się osobiście z obcymi ludźmi, może dowiedzieć się o nich bardzo wiele. Dlatego pragnę się spotkać z szefami. Czy raczej pragnę, żebyś ty się z nimi spotkał. Ja jestem tu tylko gościem.

– Kromner będzie nieufny – odezwała się Dauk Sana. – Już od miesięcy obie strony dopuszczają się zabójstw i uszkodzenia własności. Sprawili nam mnóstwo trudności, ale nie jesteśmy bezbronni, zwłaszcza dzięki temu,

że mamy Rohn-jena. Czemu szefowie mieliby się zgodzić na rokowania z nami?

– Wiem co nieco o wojnach klanowych – odpowiedział Hilo. – Nauczyłem się dzięki nim między innymi tego, że zawsze toczy się je na wielu różnych poziomach. Uliczna wojna między klanami to jedno, ale ta, którą prowadzi się za pomocą rozmów telefonicznych, w zamkniętych pokojach i w wieżowcach, to coś całkiem innego. Jeśli szef Kromner jest utalentowanym przywódcą, nie pozwoli, by odrobina przelewu krwi na ulicach przeszkodziła mu w zdobyciu tego, czego naprawdę pragnie, czyli udziału w handlu jadeitem. Macie go tu bardzo niewiele. Klan bez Szczytów posiada go znacznie więcej. Kromner będzie zainteresowany spotkaniem z nami.

– Naprawdę jesteś gotowy negocjować z paczkami w sprawie jadeitu? – zapytała Sana z niedowierzaniem w głosie.

– Przekonamy się, co z tego wyjdzie. – Hilo po raz pierwszy tego wieczoru spojrzął na zegarek. – Musimy jeszcze omówić wiele spraw i przygotować mnóstwo planów, ale robi się już późno. – Wstał. Tar i Anden podążyli za jego przykładem. – Dziękuję za pyszny posiłek, pani Dauk. Jutro spotkamy się znowu. Tym razem ja zapraszam na kolację. Musicie mi poradzić, gdzie znajdziemy dobrą hiszpańską kuchnię. Chciałbym jej spróbować, skoro już tu jestem.

Hilo wrócił do swobodnego zachowania. Spotkanie się skończyło.

Daukowie wstali i odprowadzili ich do drzwi.

– Dopóki tu jesteś, Rohn-jen jest do twojej dyspozycji – oznajmił Dauk. – Odwiezie was do hotelu.

Hilo podziękował mu uprzejmie. Rohn zapewnił, że odwiezie również Andena. Chłopak obejrzał się jeszcze na Cory'ego i wsiadł do samochodu.

– Wejdz z nami do środka, Andy – zaproponował Hilo, gdy dotarli do hotelu Crestwood. – Wypijemy kolejkę w barze. Zapłacę za taksówkę, żebyś mógł wrócić do domu.

Anden skinął na pożegnanie głową do Rohn Tora, wysiadł z pojazdu i podążył za Hilem oraz Tarem do hotelowego holu. Było tam niemal pusto. Ludzie spędzali wieczór przed Wigilią Dożynek w domu z rodzinami. Filar osunął się na fotel przy jednym z wolnych stolików, a Tar podszedł do baru, by zamówić alkohol. Hilo zdjął marynarkę i rzucił ją na sąsiedni fotel. Widoczna pod rozpiętym kołnierzykiem zieleń lśniła w blasku żyrandoli.

Potarł twarz dłonią. Sprawiał teraz wrażenie zmęczonego, choć jeszcze przed chwilą nie było to zauważalne.

– Siadaj, Andy – rzekł i Anden zajął miejsce naprzeciwko kuzyna.

Hilo pochylił się w bok, wyciągnął portfel, wyjął z niego dwa małe zdjęcia i podał je chłopakowi.

– Twoi bratankowie – oznajmił. Pomimo coraz wyraźniej widocznego jet lagu w jego głosie pobrzmiewały duma i ciepłe uczucia. – Szybko rosną. Czasem biją się ze sobą, jak to bracia.

Na jednym ze zdjęć siedząca na ławce pod drzewem w ogrodzie Kaulów Wen trzymała chłopców na kolanach, na drugim zaś wcisnęli się obaj do wielkiego samochodziku zabawki. Ru siedział z przodu, a Niko z tyłu. Ten drugi bardzo urósł w porównaniu ze zdjęciem, które Anden widział ostatnio. Wyglądał radośnie i zdrowo. Z każdą chwilą robił się bardziej podobny do Lana.

– Opowiadałem im, że mają wujka, który chodzi do szkoły w obcym kraju, i kiedyś go spotkają, Ru jest za mały, żeby to zrozumieć, ale Niko rozumie. – W głosie Hila pobrzmiewało coraz większe zmęczenie. – Zatrzymaj sobie te zdjęcia. Przywiozłem je dla ciebie. Shae nigdy nie przyjechała najnowszymi.

Anden przyglądał się zdjęciom przez jakąś minutę, nim wreszcie schował je do portfela. Tymczasem Tar wrócił z kieliszkami.

– Nie mam pojęcia, co to jest – przyznał. – Po prostu wskazałem palcem butelkę, która wyglądała na najdroższą, i poprosiłem o trzy kieliszki. – Spróbowali trunku i okazało się, że to brandy. – Hmm – mruknął Tar, obliżując wargi. – Trochę słodkawa, ale całkiem niezła.

– Za spotkanie na drugim końcu świata – odezwał się Hilo. Wychylił kieliszek, wsparł głowę o oparcie fotela i zamknął oczy na dłuższą chwilę. Gdy znowu je otworzył, popatrzył na Andena. – Dobrze wyglądasz, kuzynie – stwierdził po chwili. – A trochę się bałem, że będziesz blady i niedożywiony. Opowiedz mi, co u ciebie słysząc i czym się zajmowałeś przez te dwa lata.

# ROZDZIAŁ 40

## SZEFOWIE

Dauk Losun wysłał Rohn Tora jako emisariusza do Blaise'a „Byka” Kromnera z prośbą o spotkanie między Daukiem a trzema najpotężniejszymi szefami paczek w Port Massy. Rohn miał jasno dać do zrozumienia, że Kekończycy mają dość ciągłych ataków w Południowej Pułapce i pragną negocjacji pokojowych. Dauk był gotowy dowieść szczerości swych intencji i zgodzić się na miejsce i czas negocjacji wybrane przez Kromnera. Przyprowaździ ze sobą tylko trzech ludzi i nie będzie się domagał dodatkowych gwarancji bezpieczeństwa.

Po powrocie Rohn oznajmił Daukom i Hilowi, że Kromner zgodził się przyprowaździć dwóch pozostałych szefów na spotkanie na wysokim szczyblu między wszystkimi zainteresowanymi stronami. Miało się ono odbyć na wzniesieniu na wyspie Jons o świcie najbliższego pierwszego dnia.

Gdy jechali wczesnym rankiem przez Most Źelaznego Oka, Hilo zapytał, z jakiego powodu Kromner wybrał właśnie to miejsce i czas.

– Pierwszy świt to święta pora dla prawdonośców – wyjaśnił Dauk, który siedział na przednim miejscu dla pasażera, przyglądając się Hilowi i Tarowi w lusterku wstecznym. – Wtedy ponoć Wieszcz zakończył Siedmioletnią Wędrówkę na szczycie góry Icana, gdzie objawiono mu Jedyną Prawdę. Bóg nie wybaczy żadnego grzechu popełnionego na wzniesieniu o pierwszym świcie. To najbezpieczniejsza pora spotkań.

– Czy nie wiemy, że nie należymy do ich Kościoła? – zapytał drwiącym tonem Tar.

– Szefowie nie boją się nas – wyjaśnił prowadzący samochód Rohn Toro. – Nie mamy broni, a ich przewaga liczebna będzie tak wielka, że nawet jadeit nam nie pomoże. Nie ufają sobie nawzajem. Paczka z Południowego Brzegu jest najliczniejsza, ale paczki z Baker Street i Wormingwood razem wzięte są większe od niej. Ale dzisiaj będą grzeczni. Espeń-



czycy są bardziej religijni, niż wam się wydaje. Gdyby ktoś przelał krew o pierwszym świcie, wszyscy zwróciliby się przeciwko niemu nie tylko w Port Massy, lecz w całym kraju. W tym również Stół Szeów. Ktoś taki utraciłby też wszystkie wpływy, które sobie kupił w sądach i w policji.

– To tak samo jak przyprowadzanie pokutników – skwitował Tar. – Zabawne, co? Na całym świecie, gdziekolwiek się znajdziemy, jedyne, co powstrzymuje ludzi przed zabijaniem się nawzajem, to strach przed tym, co ich czeka po śmierci.

Zachichotał i spojrział na swój filar, jakby oczekiwał od niego słów aprobaty. Hilo jednak milczał. Wyglądał przez okno, gdy mijali park rozrywki, oceanarium i nadmorskie atrakcje Parku Cechowego – o tak wczesnej porze wszystkie były zamknięte – a potem pojechali pod górę do Rezydencji Thoricka. Dawną rezydencję sławnego pirackiego barona przerobiono na klub mający ponoć powiązania z paczkami. Dowodem na to był fakt, że udostępniono go dla szeów o tak niezwykłej porze.

Rohn zaparkował w pewnej odległości od sześciu wielkich, luksusowych samochodów. Hilo zauważył, że jednym z nich jest duchesse priza z tego samego rocznika, co jego własna. Przy drzwiach stało kilku mężczyzn w czarnych kapeluszach i długich płaszczach. Hilo Postrzegł, że wewnątrz jest ich znacznie więcej. Wszyscy z pewnością byli dobrze uzbrojeni.

– Pamiętaj, że tym spotkaniem kieruje Dauk – rzekł cicho Tarowi Hilo, zanim wysiedli. – Espeńczycy nie wiedzą, kim jesteśmy, i lepiej, żeby tak zostało. Dlatego schowaj jadeit.

Zauważył, że jego filarowy obmacywał po drodze swe nagie palce i nadgarstki. Tar umieścił wszystkie swe klejnoty na zawieszonym na szyi łańcuchu ukrytym pod ubraniem i fakt, że nie ma ich tam, gdzie były zawsze, wyraźnie go irytował. U zielonych kości często pojawiały się drobne nawyki – obracanie pierścieni na palcach, poprawianie mankietów koszul, dotykanie kołnierzy albo pociąganie się za nie. Wszystkie te subtelne ruchy miały przyciągnąć uwagę innych do ich jadeitu. Podobne nieświadome odruchy trudno było zauważyć i powstrzymać. Filar ukrywał swoją zieleń pod niewygodnie zapiętą pod szyją koszulą oraz krawatem. Choć mieli się spotkać z cudzoziemskimi gangsterami, którymi gardził niemal w takim samym stopniu jak Zapunyem, nie podobało mu się, że musi ukrywać swój status i tożsamość. Czuł się z tego powodu nieuczciwy, jakby

nosił maskę. Tak jednak wyglądało to w tym kraju, gdzie kultura wymagała ukrywania prawdy... nic dziwnego, że przestępczość była tu tak wysoka.

Wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę wejścia do rezydencji. Strażnicy zatrzymali ich i pokleпали po ubraniach w poszukiwaniu broni. Tar miał oburzoną minę, ale gdy Hilo rozpostarł ręce i spokojnie poddał się przeszukaniu, jego filarowy postąpił tak samo. Płaszczce poświęciły im niewiele uwagi, ale na Rohn Tora patrzyły z nienawiścią i niepokojem, trzymając dłonie na broni i zachowując wobec niego dystans. Hilo to zauważył i ten fakt podniósł jego opinię zarówno o Rohnie, jak i o Dauku. Do tej pory nie uważał Dauka za prawdziwy filar, podobnie jak burmistrz Janloonu nie uznałby wójta wioski Opia za równego sobie. Fakt, że starszy mężczyzna zdobył przyjaźń i lojalność zastępcy budzącego tak widoczny strach, świadczył jednak o jego kompetencji.

Jeden z płaszczy wpuścił ich do środka. Z sufitu zwisały kryształowe żyrandole, a na drogich dywanach stały zdobnie rzeźbione meble, oświetlone blaskiem wczesnego poranka wpadającym do środka przez ołowiowe szyby. Czuło się tu zapach stęchlizny typowy dla starych budynków. Weszli do pomieszczenia, w którym ustawiono wielki dębowy stół konferencyjny. Na ścianach wisiały olejne portrety sławnych potentatów z Port Massy. Po jednej stronie stołu siedziało pięciu mężczyzn i jedna kobieta. Sześć płaszczy zapewniających ochronę swym szefom zajęło miejsca przy drzwiach albo pod ścianami. Wszyscy stali w pozycji swobodnej, ale trzymali ręce blisko bioder albo kieszeni, by wyraźnie było widać, że mają broń. Kecończycy przybyli ostatni. Najwyraźniej tak właśnie to zaplanowano. Szefowie przyjmowali Dauka, jak rada królów przyjęłaby zagranicznego emisariusza. Hilo zaczekał, aż Dauk Losun usiądzie na jednym z pustych krzeseł, po czym zajął miejsce obok niego.

\* \* \*

Blaise „Byk” Kromner pochodził z ubogiej rodziny i choć obecnie był dobrze odżywiony i próżny, nie byłoby rozsądnym zapomnienie, że zrobił karierę w przestępczym świecie Port Massy dzięki sprytowi i całkowitemu brakowi skrupułów, eliminując po drodze licznych rywali. Zgodnie z tym, co sugerował jego przydomek, Kromner był potężnie zbudowanym mężczyzną o mięsistej, rumianej twarzy. Rysy miał grubo ciosane, jakby rzeźbiarz uformował je w pośpiechu, wyciskając kciukami dziury na oczy

i przylepiając do całości bezkształtną bryłę gliny, by służyła jako nos. Kromner miał na sobie bardzo elegancki ubiór, kontrastujący z jego wrodzoną brzydotą. Szyty na zamówienie garnitur w prążki z kamizelką doskonale pasował do jego masywnej sylwetki. Wargi miał grube, wąsy krótko przystrzyżone, a gęste, ciemne włosy dobrze uczesane. Nosił złoty zegarek z kryształową tarczą i czerwony jedwabny krawat. Byk kontrolował hazard i prostytutkę na południe od Camres, a także znaczącą część handlu narkotykami. Tylko kartele z Tomascio w Spendzie Zachodniej, panujące nad handlem prochami w innych częściach kraju, mogły z nim konkurować. Kromner był najślawniejszym szefem paczki w kraju i lubił, gdy w gazetach pojawiały się jego zdjęcia, pokazujące go w drogich klubach, w teatrach albo luksusowych restauracjach. Prawnicy z jego organizacji zapewniali mu dobrą ochronę. Choć w paczce z Południowego Brzegu jego słowo było prawem, wiele codziennych zadań zostawiał swym zaufanym przodownikom.

Zajmował centralną pozycję za stołem. Najdalej po lewej siedział niski, krępy mężczyzna nazwiskiem Joren Gasson. „Mały Jo” kierował paczką z Baker Street, kontrolującą bogatszą, północno-wschodnią część miasta, przede wszystkim wyspę Jons. Jego specjalnością były wyścigi konne i zakłady bukmacherskie. Był puciołowatym mężczyzną o sprytnych, ciągle przymrużonych oczkach. Słynął z tego, że jest skąpy, skryty, unika przyciągania do siebie uwagi i rzadko pokazuje się publicznie. Opłacał najwięcej przekupnych policjantów, polityków i sędziów. Z tego powodu inni szefowie paczek często płacili mu za możliwość skorzystania z jego wpływów. Właśnie dzięki nim można było skorzystać z Rezydencji Thoricka.

Po prawej stronie siedziała kobieta o dostojnym wyglądzie, nosząca apaszkę oraz kapelusz, pod którym ukryła mocno kręcone włosy. Anga Slatter wyglądała jak bogata, wredna ciotka, ale *de facto* pełniła obowiązki szefa paczki z Wormingwood, ponieważ jej mąż Rickart „Cwany Ricky” Slatter siedział w więzieniu za pranie brudnych pieniędzy. Podobno zastępowała Ricky’ego we wszystkich sprawach i konsultowała się z nim, odwiedzając go w więzieniu. Paczka z Wormingwood kontrolowała północno-zachodnią część miasta oraz wewnętrzną strefę przedmieść. Inni szefowie w kraju stracili szacunek dla Ricky’ego, ponieważ był tak głupi, że dał się zamknąć pod błahymi zarzutami i nie potrafił wymyślić lepszego sposobu kierowania paczką niż przekazanie wszystkiego żonie. W związku z tym nie poświęcali większej uwagi Andze Slatter.

Każdy z szefów przyprowadził ze sobą jednego przodownika. Człowiek Kromnera, Willy „Chudziak” Reams, siedział po lewej stronie swego szefa. W ogóle nie przypominał go wyglądem. Był szczupły i gładko wygolony, a jego twarz nie przyciągała uwagi. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, a w dłoniach ścisnął filcowy kapelusz z rondem.

Kromner przyjrzał się wchodzącym do pokoju Kekończykom z arogancką ciekawością. Gdy już usiedli, zatoczył krąg dłonią, jakby przedstawiał sobie obecnych.

– Wszyscy wiecie, że ostatnio miałem w Południowej Pułapce kłopoty z Kekończykami. – Kromner miał skłonność do mówienia szybko i z ożywieniem, a jego głos miał wyższą tonację, niż można by się spodziewać po tak potężnie zbudowanym mężczyźnie. – Zdaję sobie sprawę, że nie dotyczy to was bezpośrednio, więc zadajecie sobie pytanie, po co Byczy Blaise wezwał was wszystkich na wyspę Jons o pierwszym świcie i to w Wigilię Dożynek. – Przerwał, jakby czekał na to, że ktoś zapyta o to na głos. Gdy nikt tego nie zrobił, Kromner uniósł palec wskazujący i kontynuował: –

W tej małej dyspucie chodzi o coś więcej niż kilka rozbitych głów w Dzielnicy Keczków. Chodzi o jadeit. Można na nim zarobić mnóstwo forsy i ta sprawa dotyczy wszystkich szefów. – Kromner przyjrzał się kolejno każdemu z czterech Kekończyków, nim zatrzymał spojrzenie na Dauk Losunie. – Pan Dauk, którego Kekończycy uważają za swego szefa, poprosił o spotkanie z nami, by wynegocjować porozumienie.

Wszyscy skierowali spojrzenia na najstarszego z Kekończyków, który siedział wsparty łokciami o blat. Dłonie miał lekko splecione, a kręgosłup sztywno wyprostowany. Dauk odchrząknął.

– Od wielu lat kekońska społeczność żyła z szefami w zgodzie – zaczął, mówiąc po espeńsku z lekkim akcentem. – Obie strony pilnowały swego interesu. Nawet jeśli mieszkamy tu już bardzo długo czy wręcz urodziliśmy się w Port Massy, w tym kraju nadal uważa się nas za niepożądanych gości. Pilnujemy własnego nosa. Chcemy być dobrymi obywatelami, szanowanymi członkami espeńskiego społeczeństwa. Jednocześnie trzymamy się swoich tradycji i prosimy tylko o to, by obcy w nie ingerowali. Nie wtrącamy się w wasze sprawy i w zamian chcemy tylko tego, by pozwolono nam dbać o własne. To dotyczyło szczególnie kwestii hazardu, pieniędzy za ochronę i oczywiście jadeitu.

– Ale sytuacja się zmieniła, czyż nie tak? – odezwał się piskliwym głosem Jo Gasson. – Otworzyliście swoje sale gier dla zwykłych ludzi, pozwa-

lając, by zakładali się o walki kogutów albo pojedynki, zamiast chodzić na wyścigi konne czy grać na jednoręcznych bandytach. To stanowi bezpośrednią konkurencję dla interesów szefa Kromnera.

– To prawda, że w niektóre dni tygodnia otworzyliśmy sale uraz dla obcych – przyznał Dauk. – Ale tylko za zaproszeniem. To naturalne, że nasze dzieci przyjaźnią się z Espeńczykami i wżeniam się w espeńskie rodziny. Nie byłoby sprawiedliwe, gdybyśmy się upierali, że wyłącznie Kekończycy czystej krwi mogą uczestniczyć w naszych spotkaniach. W otwarte dni mamy tylko walki kogutów i hazard, bez pojedynków. Opłata, którą pobieramy, jest przeznaczona na utrzymanie ośrodka kultury i pomoc dla tych z nas, którzy jej potrzebują. Nie próbujemy odciągać ludzi od waszych interesów.

– To nie jest najważniejsza sprawa – warknął wyraźnie zniecierpliwiony Kromner. – Jestem szczodrym człowiekiem i mógłbym pogodzić się z niewielkimi stratami, gdyby keczki ograniczały się do hazardu. Ale wasze nie tak znowu tajne sale nie są tylko źródłem taniej rozrywki. Tam właśnie popisujecie się jadeitem i wykonujecie swoje wymyślne ćwiczenia. Tylko wy w tym mieście nim handlujecie. To nie w porządku. Jadeitowy interes przynosi zbyt wielkie zyski, żebyście mogli go zmonopolizować.

Twarz Dauka poczerwieniała z gniewu, zdołał jednak zachować spokojną intonację głosu.

– Jadeit jest naszym kulturowym dziedzictwem. Nasze rodziny przywiozły go ze sobą do tego kraju i nie pozwalaliśmy, by wychodził poza naszą społeczność. Nie sprzedajemy go dla zysku. Ostatnio zaś wprowadzony przez rząd zakaz i niechęć opinii publicznej dały nam dodatkowe powody, by ukrywać jadeit i nie przyciągać uwagi stróżów prawa. Gdy kogoś przyłapie się na sprzedaży zieleni albo jakiś nie-Kekończyk popełni przestępstwo, pomagając sobie jadeitem, bądź zachoruje na śwędziawkę, szkodzi to reputacji całej kekońskiej społeczności. Dlatego ćwiczymy, by nauczyć się posługiwania klejnotami, i uważnie nadzorujemy zachowanie swoich ludzi, żeby uniknąć problemów.

– Och, są z was prawdziwe niewiniątka – odezwała się Anga Slatter, unosząc cienkie, wyskubane brwi. – A kto zaatakował buków Blaise’a i zamordował jego płaszcz?

Kromner sapnął głośno na znak zgody.

– Obie strony dopuściły się wykroczeń – przyznał Dauk. – Nie twierdę, że jest inaczej. Główny problem polega jednak na tym, że zerwano utrzy-

mującą się od wielu lat umowę. Nikt z nas nie chce przyciągać uwagi policji, ale Kekończycy ustępują liczebnością ludziom z paczek, są słabsi i mają mniej wpływów. Wiemy, że nie zdołamy was pokonać. Dlatego chcę wam przedstawić pewną propozycję.

– No dobra, słucham, co ma pan do zaproponowania. – Kromner zmarszczył brwi. Kąciki jego oczu opadły nieco w dół, gdy po raz pierwszy skierował spojrzenie na młodszego mężczyznę siedzącego obok Dauka. Do tej pory nieznajomy nie odezwał się ani słowem. – Kim jest ten człowiek, który panu towarzyszy? Czy on umie mówić?

– Kaul Hiloshudon reprezentuje jeden z wielkich klanów zielonych kości z Kekonu. Przybył do Janloonu na moją prośbę.

Szefowie uważniej przyjrzeni się siedzącemu obok Dauka nieznajomemu. Był młody, mógł mieć trzydzieści parę lat, choć Kromnerowi trudno było ocenić wiek Kekończyków. Podczas rozmowy z uwagą przyglądał się jej uczestnikom i najwyraźniej był wystarczająco ważny, by mieć własnego ochroniarza – równie młodego mężczyznę o wyglądzie twardziela, który opierał się o ścianę tuż za nim. Kromner musiał przyznać, że keczki mają sporo zalet. Byli dumną rasą i nie pozwalali sobą pomiatać. Ich kobiety zachowywały się wyniośle, a mężczyźni sprawiali wrażenie gotowych dziabnąć nożem każdego, kto krzywo na nich spojrzy. Blaise Kromner szanował ich za to. Dlatego musiał złamać ich monopol na jadeit albo przegnać z miasta noszących klejnoty zbirów.

Dauk powiedział coś do nieznajomego mężczyzny. Gość pokiwał głową, po czym pochylił się i zaczął mówić po kekońsku. Co chwila robił przerwy, by Dauk mógł przetłumaczyć jego słowa na hiszpański.

– Jak rozumiem, wasza organizacja pragnie się przyłączyć do międzynarodowego handlu jadeitem – mówił mężczyzna. – Kekon jest jedynym miejscem na Ziemi, gdzie można go zdobyć, a całe zasoby są kontrolowane przez klany zielonych kości. Każdy, kto pragnie handlować zielenią, musi się dogadać z nimi. Reprezentuję jeden z najpotężniejszych klanów w swoim kraju i mam prawo zawierać wszelkie porozumienia.

Kromner zerknął na Dauka.

– Chce pan powiedzieć, że ten facet może sprzedać nam jadeit?

Filar Południowej Pułapki skinął z namysłem głową.

– Będę pośredniczył w rozmowach, ale nie domagam się udziału w zyskach. Możecie kupować jadeit bezpośrednio od Kekończyków. Ze swojej strony domagam się tylko ustanowienia pokoju w Port Massy. Jeśli

paczki zgodzą się zostawić w naszych rękach całkowitą kontrolę nad naszą częścią Południowej Pułapki i zostawią nam swobodę prowadzenia interesów oraz otwierania sal uraz, będziemy mogli zawrzeć nowe porozumienie, korzystne dla wszystkich.

– Dla mnie to brzmi rozsądnie, Blaise – odezwał się Mały Jo.

Nie prowadził w Południowej Pułapce żadnych interesów i nie groziły mu straty. Mógł natomiast czerpać spore zyski z wpływania na prawników oraz polityków, koniecznego do prowadzenia takiego interesu. Kromner go zignorował.

– Myślałem, że nie sprzedajecie jadeitu obcym – rzekł z silną podejrzliwością w głosie i przeniósł wzrok z Kaula na Dauka.

Filar Południowej Pułapki zrobił zbolałą minę i powiedział coś po kekońsku do człowieka siedzącego obok. Kaul mu odpowiedział, a on przekazał jego słowa.

– Kiedyś było to prawdą. To godne podziwu, że nasi rodacy za granicą zdołali tak długo trzymać się tradycji i nie udostępniać zieleni obcym. Często się zdarza, że emigranci trzymają się dawnych zwyczajów, podczas gdy mieszkańcy Kekonu muszą dotrzymywać kroku zmieniającym się czasem. Prawda wygląda tak, że toczyliśmy długotrwałą wojnę z konkurencyjnym klanem i potrzebujemy pieniędzy. Nasi przeciwnicy sprzedają jadeit i błysk Ygutańczykom i to zapewnia im przewagę. Musimy znaleźć własny rynek zbytu. – Gość czekał cierpliwie, aż Dauk skończy tłumaczyć. – Porozumienie, jakie dziś zawrzemy, powinno zapewniać całkowite bezpieczeństwo transakcji. Musimy zachować anonimowość. Rząd Kekonu sprzedaje jadeit espeńskiej armii, a nasz klan ma powiązania z rządem i nie byłoby dla nas dobrze, gdyby się dowiedziano, że jednocześnie handlujemy zielenią z paczkami.

Kromner machnął ręką, jakby chciał zlekceważyć ten problem.

– Nie ma sprawy. Możemy zapewnić dyskrecję – rzekł pośpiesznie. – Ile możecie nam sprzedać i za jaką cenę?

– To zależy, czy mówimy o surowym jadeicie, czy o szlifowanym – odparł gość. – Państwowy kartel, Kekoński Sojusz Jadeitowy, ściśle reguluje ilość jadeitu wydobywanego i przetwarzanego na Kekonie. To znaczy, że podaż szlifowanych klejnotów jest ograniczona, a ich cena bardzo wysoka. Surowy jadeit można przemycać z kopalń, więc za te same pieniądze dostalibyście go więcej, ale jest bezużyteczny, jeśli nie macie robotników zdolnych go przetwarzać.

– Co o tym sądzisz, Chudziak? – zapytał Kromner, po raz pierwszy zwracając się do swego przodownika.

– Myślę, że bez trudu znajdziemy imigrantów do pracy, szefie – zapewnił Reams.

– Jadeit jest niebezpieczny dla nie-Kekończyków – odezwał się Dauk.

– Wiemy o tym – zapewnił Kromner. – Myśli pan, że zająłbym się tym interesem, nie zebrawszy przedtem informacji? Błysk stworzono w Espenii, nie w waszym kraju. Dostają go żołnierze w Oortoko i weterani, którzy go potrzebują. Sądzi pan, że nie możemy go zdobyć? Jeśli Chudziak mówi, że znajdzie robotników, zapewnimy im SN1.

Dauk przekazał te słowa przedstawicielowi kekońskiego klanu.

– W takim razie surowy jadeit – stwierdził ten. – Musicie jednak pamiętać, że jakość nieoszlifowanego minerału może się zmieniać. Z reguły można się spodziewać od trzydziestu do pięćdziesięciu procent wydajności przetworzonych klejnotów. – Kaul wsparł ręce na blacie. – Cena rynkowa to obecnie dziesięć milionów thalirów za kilogram.

Na Boga, Wieszca i Prawdę, w porównaniu z taką sumą z pewnością lukratywny handel narkotykami prowadzony przez paczkę z Południowego Brzegu mógł się wydawać drobiazgiem. Nawet Blaise Byk Kromner nie mógłby wyłożyć z kieszeni podobnych sum.

– Teraz rozumiecie, że tu idzie o poważne pieniądze – oznajmił pozostałym szefom. – Nie proszę paczek z Baker Street ani z Wormingwood, by zainwestowały w interes prowadzony przez nas, ale wszyscy widzimy, że w grę wchodzi znaczne sumy. Jeśli chcecie w to się zaangażować, to jest odpowiedni moment na omówienie sprawy. Jeśli nie chcecie, powiedzcie to od razu, spodziewam się jednak, że zgodnie ze starymi zwyczajami paczkowców pozwolimy sobie nawzajem najeść się do syta.

Mały Jo Gasson pogłaskał się po krawacie.

– Moja paczka nie jest zainteresowana jadeitem – oznajmił. – To zbyt ryzykowne i przyciąga za dużo uwagi. Jesteśmy bukmacherami, nie żołnierzami. Wszyscy o tym wiecie. Możemy jednak pożyczyć pieniądze i zająć się finansami w zamian za zwyczajową działkę. Możemy też zapłacić komu trzeba za przemykanie oczu.

Tego właśnie spodziewał się Kromner. Gdyby Gasson zareagował inaczej, trudno by im było załatwić całą sprawę. Skinął pośpiesznie głową.

– Blaise, wiesz, że Ricky będzie oczekiwał, że paczka z Wormingwood również na tym skorzysta. Jeśli mówimy o przemyśle jadeitu zza oceanu,



wszystko, co dociera do naszego miasta, musi przejść przez porty, a to my kontrolujemy związki zawodowe dokerów. Powiedzmy, piętnaście procent za bezpieczne przeprowadzenie towaru przez port. Oczywiście muszę to uzgodnić z Rickym – dodała. – Ale jeśli odwołam się do swego uroku, jestem pewna, że się zgodzi.

Kromner nie miał ochoty płacić działki temu durniowi Cwanemu Ricky'emu ani jego kobiecie, po zastanowieniu doszedł jednak do wniosku, że piętnaście procent to rozsądna cena za zagwarantowanie współpracy paczki z Wormingwood. Zapewni ona bezpieczne przejście towaru przez port, co pozwoli mu zaoszczędzić czas i energię jego własnych ludzi. Kromner snuł długofalowe plany całkowitego przejęcia paczki z Wormingwood, gdy już zapewni sobie kontrolę nad handlem jadeitem, a paczka z Południowego Brzegu stanie się wystarczająco wielka i silna. Na razie zgodzi się płacić działkę, a z czasem powetuje sobie te straty.

– Powiedz Ricky'emu, że się zgadzam.

Gdy trwała ta dyskusja, pan Dauk i jego kekoński gość czekali cierpliwie. Starszy mężczyzna marszczył brwi z lekkim niepokojem, natomiast młodszy przyglądał się szefom oraz ich przodownikom. Jego spojrzenie było dziwnie nieruchome, ale kierowało się nieco w bok, jakby koncentrował się na czymś zupełnie innym. Kromner obserwował go przez chwilę.

– Niech pan powie swojemu przyjacielowi, że zapłacę siedemset milionów thalirów za sto kilogramów nieobrobionego jadeitu.

Dauk wydał nieco usta, jakby zjadł coś kwaśnego, po czym przeproszącym tonem powtórzył słowa Kromnera swemu gościowi. Ku zaskoczeniu szefa młodszy mężczyzna nie sprawiał wrażenia oburzonego ani zniechęconego niską ofertą. Ponownie skierował spojrzenie na Kromnera i uśmiechnął się szeroko.

– W moim kraju sojusz opiera się na honorze. Przywódcy obu stron wyznaczają ludzi, którzy uczciwie uzgadniają szczegóły.

– Ale nie jesteśmy w pańskim kraju, czyż nie tak? – odpowiedział Kromner. – Siedemset milionów.

Miał nadzieję, że zapewni sobie przewagę w negocjacjach, naciskając na Kekończyka, ale ku jego rozczarowaniu tamten wzruszył tylko ramionami.

– Wszyscy chcą mieć jadeit. Mógłbym go sprzedać w Szotarze albo w Ygutanie, ale przybyłem aż tutaj, bo moi kekońscy przyjaciele w Espenii chcą się z wami dogadać. Dziewięćset milionów.

Po oczekiwanej przepychance zgodzili się na osiemset milionów thali-rów za sto kilogramów surowego jadeitu. Miano go dostarczyć w czterech oddzielnych transportach, żeby zminimalizować straty, gdyby espeńskie władze przechwyciły towar. Kaul wyjaśnił, że wszystkie sprawy załatwi się przez pośredników, a towar przewiozą frachtowce będące własnością firm niepowiązanych z kekońskimi klanami i zarejestrowane w innych krajach. Kontakty będzie się utrzymywało za pośrednictwem Dauk Losuna bądź wyznaczonych przez niego ludzi.

Kromner cieszył się, że wszystko poszło tak gładko. Niech Kekończycy zatrzymają sobie swoją część Południowej Pułapki i swe sale hazardu, które miały niewielkie znaczenie. Ważne, że w całej Espenii tylko jego paczka będzie mogła otrzymać jadeit prosto ze źródła. Myślał już o fortunie, jaką zdobędzie na czarnym rynku. Rzecz jasna, zachowa sobie trochę jadeitu dla swych przodowników i płaszczy. Paczka z Południowego Brzegu stanie się najpotężniejsza ze wszystkich. Być może przejmie paczkę z Wormingwood wcześniej, niż planował. W końcu Cwany Ricky raczej nie mógł kierować swymi interesami z więzienia. Odda terytorium Slatterów jednemu ze swych przodowników – być może Chudziakowi Reamsowi albo Mothowi Duke'owi. Chudziak z pewnością był bardziej kompetentny, ale i zbyt niezależny. Mógłby wziąć sobie to, co dał mu Kromner, i stworzyć własną paczkę. Moth był za głupi, by tworzyć skomplikowane plany, więc można było mu ufać.

Kekończyk, Kaul, nie przestawał mówić, przenosząc spojrzenie z jednego szefa na drugiego. Był zaskakująco sympatyczny i nonszalancki, nie przypominał poważnego pana Dauka ani tego zabójcy Rohna. Kromner jednak nie dał się zwieść pozorom. Podejrzewał, że Kaul jest tylko figurantem, że niebezpieczni mężczyźni sprawujący prawdziwą władzę nad tą tajemniczą wyspą celowo wysłali kogoś młodego, z kim łatwo można się dogadać. Kromner nigdy nawet nie zbliżył się do Kekonu, ale jego wyobraźnię wypełniały wizje złowrogich rad starszyny, skomplikowanych rytuałów i jadeitowych mieczy.

Dauk znowu zaczął tłumaczyć słowa Kaula.

– Ponieważ jesteście cudzoziemcami, uważam, że powinienem was przed czymś ostrzec. Jadeit różni się od waszych narkotyków i broni palnej, których z łatwością mogą używać słabi. Na Kekonie mawiamy, że zieleń potrafi uczynić ludzi bogami. Tylko silni mogą nią władać. Będziecie musieli przetransportować wielką ilość jadeitu bezpiecznie i w tajemnicy.

Uważajcie, żeby nie wpadł w ręce ulicznych zbirów z waszych terytoriów albo nie ukradli go wasi ludzie z niskiego szczebla, żeby trochę zarobić na boku. Kto będzie odpowiedzialny za pilnowanie jadeitu?

Kromnerowi nie spodobała się nuta wyższości, którą wyczuwał w słowach Kekończyka, a także pozycja, jaką obecnie przyjął – rozparł się wygodnie na krześle i gapił na nich spod przymrużonych powiek.

– Żaden uliczny chuligan ani płaszcz z mojej paczki nie odważy się nas wyruchać. Chyba że chce popływać w rzece bez łodzi. – Anga Slatter uśmiechnęła się, a Jo Gasson skrzywił się z niezadowoleniem, ale Kekończycy nie zareagowali. – Gwarantuję to osobiście – dodał Kromner.

Kaul pokręcił głową.

– Pańskie słowo jako szefa oczywiście jest istotne, ale to jasne, że jest pan zbyt ważny, by osobiście zajmować się nieprzyjemną robotą na ulicach. – Skinął dłonią, jakby chciał wskazać eleganckie ubranie Kromnera i jego masywną budowę. – W kekońskich klanach człowiek zajmujący się niebezpiecznymi zadaniami nosi tytuł rogu. Musi być w pełni lojalny, budzić szacunek u ludzi, którymi dowodzi, i przyprawiać wrogów o strach. To on obejmuje przewodnictwo, gdyby szefowi stało się coś złego. Jeśli ma pan w swojej paczce kogoś takiego, to właśnie jemu powinien pan powierzyć odpowiedzialność za jadeit.

Kromner ze złością wskazał palcem na Kekończyka.

– Niech pan posłucha. Chętnie robię z panem interesy, ale żaden keczek nie będzie mi radził, jak mam kierować swoją paczką. Czy stał pan kiedyś na czele wielkiej organizacji i musiał utrzymywać w ryzach setki ludzi? – Kekończyk nie odpowiedział. – Nie? Tak też sądziłem. Coś panu powiem. Nie zostałem szefem paczki z Południowego Brzegu, gdybym miał niekompetentnych podwładnych. Tym zadaniem zajmie się tu obecny Willy Reams.

Kaul przyjrzał się z zainteresowaniem Willy’emu, po czym ponownie przeniósł spojrzenie na Dauka. Dwaj Kekończycy przez dłuższą chwilę rozmawiali ze sobą w swym języku.

– Co on mówi? – zapytał Kromner.

Dauk odchrząknął.

– Niepokoi się, że jadeit może wyciec na ulice, przez co ucierpią niewinni ludzie, zwłaszcza kobiety i dzieci. No wie pan, to sprzeczne z ich kodeksem honorowym. Dlatego zapytał, czy pan Reams naprawdę jest czołowym przodownikiem w Port Massy, jak długo jest pańskim podwładnym,

czy potrafi walczyć i ilu ludzi zabił. Powiedziałem mu, że pan Reams ma reputację twardziela, ale nie wiem o nim zbyt wiele. – Dauk rozpostarł dłonie. – Cóż więcej mogę dodać? Mój przyjaciel przybył tu ze starego kraju. Tam szanuje się tylko przemoc i osobistą siłę.

Willy z zakłopotaniem obracał trzymany w dłoniach kapelusz, ale Kromner prychnął pogardliwie.

– Niech mu pan przekaze, żeby nie przeciążał tej swojej keczkowskiej główki. Jo, Anga, powiedzcie mu, że na moim słowie i moich ludziach można polegać.

– Wszyscy wiedzą, że Chudziak Reams z Południowego Brzegu to prawdziwy twardziel i mocno trzyma w garści swych ludzi – zapewnił Jo Gasson.

– To prawda – zgodziła się Anga Slatter, kiwając głową.

Dauk powtórzył te słowa Kekończykowi, który raz jeszcze przyjrzał się Reamsowi z wielką uwagą. Wreszcie skinął głową.

– To samo mówią mi moje źródła. Jestem obcy w tym kraju i akceptując tę umowę, podejmuję wielkie ryzyko w imieniu swego klanu. Dlatego wybaczcie mi, proszę, jeśli moja pytania wydają się wam zbyt wścibskie. – Przedstawiciel klanu rozpostarł dłonie. – Jestem zadowolony z naszej umowy.

\* \* \*

Opuścili Rezydencję Thoricka i Rohn Toro zawiózł Hila, Tara oraz Dauka z powrotem do domu tego ostatniego. Za stołem zasiadło ich tylko pięciu i w pokoju jadalnym nie było tak tłoczno, jak poprzednim razem. Syn Dauka wybrał się gdzieś z kolegami, a Anden albo poszedł z nim, albo pracował w sklepie na świątecznej zmianie.

Hilo dostrzegwał, że Tar pragnie mu zadać wiele pytań, ale filarowy miał dobre maniery i nie zrobił tego podczas obiadu z ludźmi nienależącymi do klanu. Hilo starał się prowadzić niezobowiązującą rozmowę, ale bolała go głowa, ponieważ wstał przed świtem i przez cały ranek wyteżał Postrzeganie. Nie rozumiał wszystkiego, co powiedzieli do siebie cudzoziemcy podczas spotkania, ale zarejestrował ich miny i gesty, a także to, jakie pozycje względem siebie zajęli za stołem oraz ton ich głosów. Postrzegł też bicie ich serc, tętno, oddech oraz reakcje ciała zdradzające subtelne emocje. Dzięki

temu, choć nie znał espeńskiego tak biegle jak Shae, był przekonany, że dobrze rozumie ludzi, z którymi ma do czynienia.

Cieszył się, że osobiście przybył do Port Massy, zamiast wysłać tu swą prognostyczkę. Jego siostra była inteligentna, ale brakowało jej talentu do nawiązywania kontaktu z ludźmi, znajdowania odpowiedniego tonu w rozmowach z potencjalnymi przyjaciółmi albo wrogami. Wieczorem zamierzał odwiedzić Hami Tumashona, by pierwszy szczęściodawca wiedział, że choć znalazł się daleko od Janloonu, nadal ma poparcie klanu i filar o nim pamięta. Nic nie było ważniejsze od osobistych kontaktów. To one czyniły klanowe przysięgi czymś realnym, a nie jedynie słowami, które mógłby wypowiedzieć każdy.

Spojrzał na zegarek. Było za późno, by zadzwonić do domu. Wen i dzieci na pewno już spali.

Po posiłku przy stole zapadła cisza.

– Dauk-jen, czy zechciałbyś przejść się ze mną po okolicy? – przerwał ją Hilo, odsuwając krzesło. – Nie miałem dotąd okazji poznać Południowej Pułapki. Dowiedziałem się od kuzyna, że na południe stąd jest sklep z zabawkami. Chciałbym kupić coś dla synów.

Dauk wstał. Pozostali przesunęli krzesła, by zrobić mu przejście. Dwóch filarów opuściło dom, by porozmawiać na osobności. Na dworze było rześko i tak chłodno, że Hila bolały nozdrza. Otoczył papierosa dłonią, by go zapalić, a następnie zaoferował drugi Daukowi, który odmówił uprzejmie, mówiąc, że stara się rzucić nałóg.

– Sprawiasz wrażenie zdziwionego, Dauk-jen – odezwał się Hilo, gdy już pokonali kawałek drogi. – Podejrzewam, że pragniesz mi zadać kilka pytań.

– Zastanawiam się, po co tu przybyłeś, Kaul-jen – odpowiedział miejscowy filar.

– Mój kuzyn, w imieniu rodziny, która go gości, poprosił o pomoc klanu w rozwiązaniu kłopotów z paczkami. Dzisiejsza umowa oznacza, że szef Kromner dostanie jadeit, którego pragnie, i zostawi w spokoju ciebie i waszą społeczność. Czy nie tego właśnie chciałeś?

– Nie takiego rozwiązania się spodziewałem – odpowiedział Dauk. – Sprzedaż jadeitu paczce z Południowego Brzegu może na pewien czas zaspokoić apetyty Kromnera, ale Byk jest chciwy. Nigdy nie zadowala się tym, co ma, lecz ciągle pragnie więcej pieniędzy i władzy.

Hilo skinął głową.

– Człowiek tego rodzaju nie zdoła ukryć, kim jest. Pies, który raz zaznał głodu, będzie czekał na każdego, kto zbliży się do jego miski, bez względu na to, jak bardzo się nasycił. Co więcej, sądzi, że wszyscy są tacy sami jak on. Jego ludzie służą mu z chciwości albo ze strachu. Nikt nie kocha przywódcy, który dba tylko o własny posiłek.

Dauk zwolnił kroku.

– Staralem się dowiedzieć jak najwięcej o tobie i twojej rodzinie, Kauljen – oznajmił. – Klan Bez Szczytów zawsze sprzeciwiał się sprzedaży jadeitu cudzoziemcom. A mimo to dzisiaj zgodziłeś się zaoferować go paczkom, które składają się ze zwykłych przestępców. Słyszałem, że uważają cię za gwałtownego i bezkompromisowego człowieka, a mimo to dałeś szefom dokładnie to, czego pragną.

Hilo również zwolnił.

– Spodziewałeś się bardziej dramatycznego i permanentnego rozwiązania – stwierdził.

– Kiedy byłem dzieckiem na Kekonie, Towarzystwo Jednej Góry mogło wyszeptać imię każdego. Nawet najwyższych rangą szotarskich urzędników, kapitanów policji albo generałów.

– To prawda – zgodził się Hilo. – Ale, jak sam powiedziałaś, nie jesteśmy na Kekonie. Parę lat temu przelałem krew na Uwiwach i siostra ciągle mi wypomina, że przysporzyłem nam mnóstwa kłopotów. Teraz ja i moje pięści nie możemy się dostać do tego kraju, by policzyć się z naszymi wrogami. Moja prognostyczka urwałaby mi głowę, gdybym popełnił taki sam błąd w Espenii. – Uśmiechnął się ironicznie. – Dlatego musiałem rozwiązać ten problem w inny sposób.

– W takim razie po co przybyłeś tu z Janloonu osobiście? Jeśli od początku zamierzałeś sprzedawać im jadeit, mogłeś tu przysłać reprezentanta klanu, żeby zawarł umowę.

– To nigdy nie był mój jedyny zamiar. – Hilo znowu przyśpieszył kroku, pragnąc znaleźć schronienie od zimna. – Klany z Kekonu od lat walczyły z przemytem nielegalnej zieleni. Mój róg i jego pięści skonfiskowali tysiące kilogramów surowych odłamków ukradzionych z kopalń na wyspie. Próbowaly je wywieźć za granicę uzależnione od błysku skorpeny. Część tego towaru nadaje się do użytku, ale większość ma zbyt niską jakość, by opłacało się ją rzeźbić i polerować. Trochę wysłemy do szkół albo świątyń, dla celów szkoleniowych, ale ostatnie, czego pragnęłyby zielone kości, to jadeit ze skazami, który w kluczowym momencie mógłby osłabić ich możliwości.

Hilo zatrzymał się przed sklepem z zabawkami i spojrzał na wystawę, międląc w ustach papierosa.

– Jednakże większość cudzoziemców nie zauważy żadnej różnicy, chyba że są espeeńskimi wojskowymi specjalistami. Podejrzewam też, że szef Kromner nie ma doświadczonego kekońskiego eksperta. Zamierzam sprzedać Bykowi i jego paczce całe sterty jadeitu niskiej jakości, zalegającego w magazynach klanu Bez Szczytów.

Weszli do sklepu. Wzrok Hila przyciągnęła kolejka, była jednak za duża, by mógł ją zawieźć do domu w swoim bagażu. Kupił kilka dwujęzycznych twardostronicowych książeczek i pistolet na wodę dla Nika oraz pluszowego tygrysa dla Ru. Kobieta stojąca za ladą zwracała się do Dauka po imieniu i zapytała Hila, czy przybył tu z innego miasta. Była zachwycona, kiedy się dowiedziała, że przyleciał z Janloonu. Jej rodzice pochodzili z tego miasta.

– Nawet jeśli wszystko, co sprzedasz Kromnerowi, ma niską jakość, paczki i tak staną się dzięki temu silniejsze i bardziej niebezpieczne – stwierdził Dauk, gdy ruszyli z powrotem do domu. – To nie jest rozwiązanie.

– Ale na pewien czas skieruje ich uwagę na coś innego – odparł Hilo. – Da ci czas, Dauk-jen. Będziesz mógł wzmocnić swoją pozycję. Zdobyć więcej ludzi i więcej jadeitu.

Miejscowy filar zatrzymał się pośrodku chodnika.

– Co proponujesz?

Hilo również przystanął i zwrócił się w jego stronę.

– Klan Bez Szczytów ofiaruje wam szlifowany jadeit dobrej jakości, a także przyśle instruktorów, by pomogli w szkoleniu zielonych kości, które już macie, a także tych, które uda się wam zwerbować. Twój człowiek. Rohn Toro, nie jest już młody, a sam przyznałeś, że brak ci innych podobnych do niego. W jakiej sytuacji znajdziesz się za pięć lat? Mogę rozwiązać za ciebie ten problem, pomóc ci zdobyć przewagę nad paczkami, której potrzebujesz.

Starszy mężczyzna nie odpowiadał przez chwilę.

– Jesteś w stanie przetransportować taką ilość szlifowanego jadeitu? – zapytał wreszcie.

– Mam sprytną prognostyczkę – wyjaśnił Hilo. – Jestem przekonany, że znajdzie jakiś sposób.

Dauk wsunął ręce do kieszeni.

– Nikt nie daje jadeitu za darmo, nawet przyjaciołom – zaczął z namysłem, kierując na Hila podejrzliwe spojrzenie. – Za wszystko trzeba płacić, a już szczególnie za zieleń. Jakiej zapłaty oczekuje od nas klan Bez Szczytów?

Hilo położył dłoń na jego ramieniu.

– Poznaliśmy się dopiero w tym tygodniu. Wiem, że to za krótki czas, byśmy mogli sobie zaufać. Niemniej ja również sporo się o tobie dowiedziałem, Dauk-jen. Urodziłeś się w Janloonie i pochodzisz z rodziny zielonych kości. Twój ojciec był bohaterem wojny z Szotarczykami. Przybyłeś tu jako uchodźca, a teraz ludzie z dzielnicy nazywają cię filarem. Dobrze traktowałeś mojego kuzyna i opiekowałeś się nim. Jestem za to wdzięczny, a od chwili mojego przybycia tutaj twoja gościnność była bez zarzutu. Udało ci się bardzo szybko załatwić spotkanie z szefami i bezbłędnie odegrałeś rolę, o którą cię prosiłem. Lubię cię i darzę zaufaniem. Dlatego przyszło mi na myśl, że moglibyśmy pomóc sobie nawzajem.

Dauk przyglądał mu się ze spokojem.

– Chcesz mieć zagranicznego lennika klanu Bez Szczytów.

Hilo zastanowił się nad tym.

– Nie do końca, ale coś w tym rodzaju.

Na Kekonie istniało kilka niewielkich klanów będących hołdownikami klanu Bez Szczytów, który zapewniał im ochronę, dzielił się z nimi zasobami i włączył je do swej sieci dystrybucji jadeitu. W zamian za to płaciły daninę ze swych dochodów biznesowych, jak latarnicy, albo współpracowały z klanem Bez Szczytów w zarządzaniu pewnymi okręgami bądź gałęziami przemysłu. Największy z takich lenników, klan Kamienny Kubek, nie miał własnych terytoriów, ale posiadał znaczne udziały w interesach budowlanych, natomiast drugi pod względem wielkości klan Jo Sun zarządzał większą częścią południowego półwyspu Kekonu.

– Mój klan chce poszerzyć swoją obecność w tym kraju – wyjaśnił Hilo. – Kupujemy nieruchomości. Zamierzamy zwiększyć eksport kekońskich towarów do Espenii i pomożemy swym latarnikom uzyskać dostęp do espeńskiego rynku. Moja prognostyczka pragnie też wysyłać do Espenii więcej studentów, takich jak mój kuzyn, by zdobyli międzynarodowe wykształcenie, nim podejmą pracę w biurze na Statkowej. Żeby osiągnąć wszystkie te cele, potrzebujemy pomocy. Musimy nawiązać kontakty, zdobyć partnerów i sojuszników.



Nie chodziło tylko o interesownych wspólników – Hilo wiedział, że biuro prognostyka nawiązuje kontakty z zagranicznymi politykami, biznesmenami i absolwentami uczelni – lecz również o prawdziwych sojuszników, rozumiejących, jakie znaczenie mają klan i jadeit, choćby nawet na swój osobliwy, prowincjonalny sposób. Poklepał Dauk Losuna po ramieniu.

– Nie zrozum mnie źle, ale nie przypominasz żadnego z filarów, jakich spotkałem na Kekonie. Rozumiem jednak, dlaczego jesteś odpowiednim kandydatem na tę pozycję w kraju takim jak Espenia. Nie wysuwasz się na pierwszy plan, ale masz sprawczość. Chciałbym, żeby zielone kości stały się silniejsze po obu stronach oceanu. Czy pomożesz mi tym razem ze swoimi ludźmi, Dauk-jen?

Dauk milczał przez dłuższą chwilę.

– Mam nadzieję, że rozumiesz, iż nie mogę natychmiast wyrazić zgody na taką propozycję. Jesteśmy małą, ale dumną społecznością i nawet jeśli ludzie nazywają mnie filarem, robią to wyłącznie z szacunku. Inni również muszą wyrazić zgodę, a bez obrazy, Kaul-jen, nadal jesteś dla nas obcy. Nie wiemy, co się wydarzy po tym porozumieniu, które zawarłeś z paczkami. Nie potrafimy przewidzieć, czy się utrzyma, czy tylko spowoduje kolejne kłopoty.

Hilo puścił bark starszego mężczyzny i chuchnął na splecione dłonie, by trochę je ogrzać. Daukowi zimno najwyraźniej nie przeszkadzało.

– Nie czuję się urażony twoimi wątpliwościami – zapewnił. – W gruncie rzeczy utraciłbym nieco wiary w twój rozsądek, gdybyś zgodził się natychmiast, nie radząc się żony ani przyjaciół. Powiem jeszcze tylko jedno, zanim wrócimy do domu, gdzie jest ciepło. Zawsze poważnie traktuję swe obietnice. Możesz o to zapytać każdego, kto mnie zna. Oto moja obietnica dla ciebie, Dauk-jen. Jeśli mi zaufasz i zawrzesz przymierze z klanem Bez Szczytów, za pięć lat Kekończycy będą mieli w tym kraju większe znaczenie niż jakakolwiek paczka.

Filar Południowej Pułapki splótł dłonie i dotknął nimi czoła, oddając honory.

– Bardzo bym chciał się do tego przyczynić, Kaul-jen.

# ROZDZIAŁ 41

## ZIELEŃ I PIERDOLENIE

Anden spotkał się z Hilem jeszcze raz, nim filar odleciał z powrotem do Janloonu. Jego kuzyn odwiedził żółty dom rodziny Hianów rankiem szóstego dnia. Przyjechał sam taksówką. Miał na sobie swobodny strój, odpowiedni na podróż, a także nową, jasnobrązową sportową kurtkę, kupioną w jednym z drogich sklepów na Bayliss Street, nieopodal hotelu.

– Wujku i ciociu, cieszę się, że mam szansę powiedzieć wam, jak bardzo jestem wdzięczny za to, że zaopiekowaliście się moim kuzynem – oznajmił zaraz po wejściu.

Wręczył gospodarzom Andena sporą sumę w gotówce oraz piękny, zwinięty w rulon sitodruk, dzieło sławnego artysty z Janloonu. Niemłodzi już gospodarze byli tak onieśmieleni, że niemal zaniemówili. Wymamrotali tylko słowa podziękowania, raz po raz oddając honory filarowi.

– Chodźmy na śniadanie, Andy – zaproponował Hilo.

Poszli do stepeńskiej piekarni połączonej z kawiarnią, znajdującej się w Lochwood.

– Podobne miejsce odwiedziłem obok hotelu w Lybonie, gdy poleciałem tam po Nika – wyjaśnił Hilo. – Lubię te ich małe ciastka, ale w Janloonie takich nie znalazłem. Ktoś powinien założyć taką piekarnię. – Przyszła kelnerka i Hilo skinął głową, wskazując kuzynowi, by zamówił, co zechce. – Wszystko to się opłaci, Andy – zapewnił. – Mam na myśli twoje studia.

– Co twoim zdaniem wydarzy się w sprawie paczek? – zapytał Anden.

– Zawarłem umowę z Kromnerem. To ryzykowne, bo muszę przekazać trochę naszego jadeitu przestępcom. Zdecydowałem się na to, bo uważam, że na tym skorzystamy, ale nigdy nic nie wiadomo. Chcę, żebyś od tej pory miał oczy i uszy szeroko otwarte i informował nas o wszystkim, co się dzieje, nawet jeśli nie wyda ci się to ważne. Unikaj jednak kłopotów.

Dobrze, że masz tu kolegów, ale to nie to samo, co rodzina albo klan. Nie możemy ci zapewnić bezpieczeństwa, gdy przebywasz tak daleko.

Kelnerka przyniosła śniadanie. Anden spróbował jednego z ciastek. Było słodkie i się łuszczyło. Hilo pociągnął łyk kawy, skrzywił się i przeszył kuzyna surowym spojrzeniem.

– Martwię się o ciebie, kiedy tu jesteś. Żadne miejsce, w którym ludzie muszą ukrywać swój jadeit, nie jest dobre. Znasz to powiedzenie „za ciemno, by widzieć zieleni”?

Anden skinął głową. Z reguły opisywało ono okolice albo sytuacje tak pełne zła i desperacji, że nawet zielone kości nie czuły się tam bezpiecznie. W dzisiejszych czasach mówiono tak jednak o szczególnie mrocznych książkach albo filmach, w których nie było moralności, a protagoniści ginęli na końcu, w przeciwieństwie do tradycyjnych opowieści przygodowych, w których bohaterskie zielone kości zawsze zwyciężały. Chłopak miał trochę pretensji do kuzyna. Rozgniewany Hilo wygnał go z klanu, przez bardzo długi czas nie chciał z nim rozmawiać, a teraz nagle zmienił zdanie i okazywał mu braterską troskę.

– Powinieneś częściej dzwonić do domu – oznajmił filar. – Na koszt odbiorcy, żebyś nie martwił się o pieniądze.

– Hilo-jen – odezwał się Anden. Nie był pewien, jak poruszyć temat, który zajmował tak ważne miejsce w jego myślach. Doszedł do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem będzie szczerść. – Uczę się pilnie i mam niezłe stopnie. W przyszłym roku ukończę kurs IKEOO i otrzymam stopień licencjata komunikacji językowej oraz certyfikat z języka espeńskiego. Czy nie powinniśmy porozmawiać o tym, co wydarzy się później?

Hilo milczał przez chwilę. Wreszcie zwrócił się ku oknu, przy którym siedzieli, i postukał w szkło.

– Widzisz ten dom? – Po drugiej stronie ulicy budowano nowy blok mieszkalny. – Jesteśmy jego właścicielami, za pośrednictwem jednego z naszych latarników. I to nie jest wyjątek. Bardzo wiele się zmienia, Andy. Shae zakłada w Port Massy filię biura prognostyka. Ma ona zarządzać naszymi biznesami w tym kraju i pomagać latarnikom, którzy chcą uzyskać dostęp do espeńskich rynków. Wyznaczyła Hami Tumashona na jej szefa, ale on będzie potrzebował więcej ludzi znających obie kultury. Kontakty ze społecznością Keko-Espeńczyków będą dla nas ważne. Dlatego tu przybyłem, by poznać tych ludzi. Kiedy ukończysz naukę, podejmiesz pracę w jego biurze.

W głowie Andena narastało nieprzyjemne buczenie.

– Kiedy wysłałeś mnie na studia, powiedziałeś, że za dwa lata będę mógł wrócić do domu.

– Powiedziałem, że porozmawiamy o opcjach, które się przed tobą otworzą – sprzeciwił się Hilo. – To właśnie teraz robimy.

– Nie rozmawiamy o opcjach. Mówisz mi, co mam zrobić. To znaczy zostać tutaj. – Chłopak zaciskał schowane pod stołem pięści, miętosząc serwetę leżącą mu na kolanach. – Jak długo mam tu siedzieć? Pięć lat? Całe życie? Chcesz, żebym był użyteczny dla klanu Bez Szczytów, ale pozostał na wygnaniu, żeby nie musieć mnie oglądać ani ze mną rozmawiać częściej niż raz na dwa lata?

W oczach Hila pojawiły się niebezpieczne błyski. Siedzący po drugiej stronie stolika Anden wyczuł nagły żar w jadeitowej aurze filaru. Wzdrygnął się mimo woli, ale nie opuścił wzroku ani nie przeprosił za to, co powiedział. Przez cały czas pobytu tutaj przykładał się do nauki i robił wszystko, o co prosiła go rodzina. Hilo uściskał go na lotnisku i nazwał kuzynem, kazał mu siedzieć po stronie Kaulów podczas kolacji w domu Dauków, starał się spędzać z nim czas i pokazywał mu zdjęcia jego brataników. Wszystko to rozbudziło oczekiwania Andena, dało nadzieję, że klan mu wybaczy i odzyska miejsce w Janloonie. Teraz nie wiedział, co myśleć.

Minęła boleśnie długa, pełna urazy minuta, podczas której obaj gapili się na siebie. Zapomnieli o ciastkach, a kawa stygła. Ku zaskoczeniu Andena to Hilo westchnął głośno i odezwał się pierwszy.

– Szkoda, że nie powiedziałem Shae, żeby ci to wytłumaczyła. To był jej pomysł, nie mój, ale ona zawsze mi zostawia rolę tego złego. Niemniej zgadzam się z nią. Nauka espeńskiego miała sens tylko pod warunkiem, że na coś ci się przyda. Z pewnością nie chciałbyś, żeby ostatnie dwa lata okazały się stratą czasu. Czym mógłbyś się zająć w Janloonie, żeby przydać się klanowi w takim samym stopniu jak tutaj?

– Na pewno znajdzie się coś takiego – nie ustępował Anden.

– Jeśli obiecasz, że włożysz jadeit, kupię ci bilet na samolot już na jutro – odpowiedział zimnym głosem Hilo.

Chłopak przełknął ślinę, ale nic nie odpowiedział. Powinien był przewidzieć, że nadal chodzi o to.

Hilo zamknął na moment oczy i potarł dłonią czoło. W tej chwili sprawiał wrażenie znacznie starszego niż jeszcze kilka lat temu, gdy był mło-

dym, potężnym rogiem klanu Bez Szczytów i wyglądało na to, że nic nie zmieni jego radosnego usposobienia.

– Sądysz, że jestem uparty, że próbuję cię karać dłużej niż to konieczne, że nadal chcę cię zmusić, byś został zieloną kością – rzekł, unosząc wzrok. W jego głosie nie słyszało się już gniewu. Anden nie odpowiadał. Po chwili Hilo pokiwał głową z lekko przygnębioną miną. – Rozumiem, dlaczego tak myślisz, ale to nie jest prawda, Andy. Już nie. Janloon jest miastem zielonych kości. Oczywiście większość mieszkających tam ludzi nie nosi jadeitu, ale to nie zmienia stanu rzeczy. W dodatku nie zaliczasz się do większości. Nie można zmienić tego, co już się wydarzyło. Gdybyś wrócił teraz do Janloonu, na zawsze pozostałbyś najmniej znaczącym z Kaulów, kimś, kogo jadeit zniszczył i kto nie może już go nosić. Traktowano by cię jak alkoholika, który zerwał z nałogiem, albo człowieka, który wyszedł z więzienia. Ludzie litowaliby się nad tobą. Czy tego właśnie pragniesz? Jeśli chcesz stać się kimś innym, musisz sam odnaleźć drogę do tego celu. Równie dobrze możesz to zrobić tutaj, gdzie nikt nie będzie cię osądzał.

– Chodzi ci o mnie, czy tylko o reputację rodziny?

– Moja żona jest kamiennooką, a rodzina, z której się wywodzi, miała zasraną opinię, nim uczyniłem Kehna i Tara swymi najbardziej zaufanymi pięściami – odparł Hilo. – Myślisz, że to ma dla mnie znaczenie? – W jego głosie znowu pojawił się gniew. – Anden, do chuja, masz dwadzieścia jeden lat. Jesteś za młody, by stać się przykładem życiowego bankruta w pełnym pierdolonej zieleni mieście, jakim jest Janloon. – Do stolika podeszła kelnerka. Hilo uśmiechnął się do niej i zapłacił rachunek, po czym znowu spojrzał na kuzyna. – Już się tu zadomowiłeś, nauczyłeś się języka i zacząłeś budować życie dla siebie. A co z Dauk Coru? Czy nie chcesz z nim zostać?

Anden poczuł, że twarz mu poczerwieniała. Nie mógł spojrzeć kuzynowi w oczy. Omal nie palnął: „Jesteśmy tylko przyjaciółmi”, ale powstrzymał się na czas. Filar natychmiast zorientowałby się, że to kłamstwo, i wtedy Anden poczułby się jeszcze gorzej. Hilo nie wierzył, że homoseksualizm to przejaw pecha albo kara bogów – podobnie jak nie potępiał Maików z powodu historii ich rodziny ani Wen za to, że jest kamiennooką. Anden nigdy jednak nie rozmawiał z kuzynem – ani z nikim innym, jeśli już o tym mowa – o romantycznych kwestiach i jego pierwszym odruchem było wszystkiemu zaprzeczyć. Chciał zostać z Corym, pragnął widywać się z nim znacznie częściej niż do tej pory. Wbrew swej woli zaczynał też lubić

Port Massy, dostrzegać w jego pełnej sprzeczności naturze i osobliwych zwyczajach coś niepowtarzalnego i pełnego życia. Pragnął też jednak wrócić do domu. Słyszeć na ulicach ojczysty język, ujrzeć widoki i poczuć zapachy Janloonu, które otaczały go przez całe życie, ale przed opuszczeniem miasta zawsze uważał je za coś oczywistego. Ten konflikt sprawiał wrażenie nierozstrzygalnego.

Nakazał sobie unieść wzrok.

– Cory wie, że zamierzałem tu spędzić tylko dwa lata. Poza tym wyjeżdża, żeby studiować prawo. Nie rozmawialiśmy o przyszłości. – Hilo przyglądał mu się z uwagą i chłopak nagle poczuł się okropnie skrępowany. Doszedł jednak do wniosku, że nie dba o to, i mówił dalej. – Nie wiem, czy chciałby zamieszkać w Janloonie, ale gdybyśmy traktowali nasz związek poważnie, może zastanowiłby się nad tym. W końcu jest Kekończykiem.

– W pewnym sensie – odparł filar, wzruszając ramionami.

– Co masz na myśli?

– Andy, twoja twarz może nie przyciągać tu uwagi, ale jesteś bardziej kekoński, niż syn Dauków kiedykolwiek się stanie. Nosi jadeit, ale łatwo można zauważyć, że nigdy nie musiał dla niego zabijać ani nie bał się, że ktoś pozbawi go życia z jego powodu. Wiesz, że nie poradziłby sobie jako zielona kość w Janloonie. Jesteś bardziej zielony od niego tutaj... – Hilo stuknął się palcem w pierś. – I tutaj... – Popukał się w skroń. – Dlatego klan potrzebuje cię jako naszego przedstawiciela w Espenii. Klan i ja również.

W głosie filaru pobrzmiwał autorytet, lecz zarazem szczerść i otwartość. Gdy Kaul Hilo wydawał trudny rozkaz, zawsze okazywał, że rozumie, czemu nie jest łatwo go wykonać. Dlatego jego ludzie byli gotowi zrobić wszystko, czego od nich żądał. Andenowi nie przychodziła do głowy żadna odpowiedź.

Wyszli z kawiarni i Hilo zatrzymał taksówkę, by zabrała go do hotelu Crestwood, gdzie miał się spotkać z Maik Tarem i zabrać bagaże przed wyruszeniem na lotnisko. Anden nie był pewien, jak się z nim pożegnać. Nie wiedział, czy jeszcze kiedyś się spotkają. Nie potrafił zdecydować, czy powinien uściskać kuzyna, czy oddać mu honory, czy raczej odwrócić się i odejść bez słowa.

– Bezpiecznej podróży, Hilo-jen – wyszeptał, gdy taksówka zatrzymała się przy krawężniku. – Pozdrów wszystkich ode mnie.

Filar położył mu dłoń na karku i przyciągnął go do siebie na moment.

– Uważaj na siebie, kuzynie – rzekł, po czym wsiadł do taksówki i zatrzasnął drzwi.

Pojazd szybko zniknął w intensywnym ruchu ulicznym Port Massy.

Anden stał na rogu jeszcze przez długą chwilę, po czym wrócił do kawiarni. Tuż za drzwiami znalazł automat telefoniczny. Podniósł nieco lepiącą się słuchawkę i wrzucił monetę. Po trzech sygnałach rozległ się lekko zaspany głos Cory'ego.

– Słucham?

– To ja – odezwał się Anden. – Jesteś dziś zajęty?

– Nie. Pakuję się. – Cory następnego dnia rano wracał do Adamont Capita. – Co się dzieje, ziom? – zapytał, najwyraźniej zdziwiony brzmieniem głosu kochanka.

Anden wsparł czoło o metalowy szczyt aparatu.

– Jestem w kawiarni w Lochwood, na skrzyżowaniu Thurlow i Pięćdziesiątej Siódmej. Jeśli nie jesteś w tej chwili zajęty, to czy... mógłbyś po mnie podjechać?

– Hmm, jasne. Tylko muszę się ubrać. Musisz coś zrobić?

– Chcę się pierdolić – odparł z pasją Anden.

Na chwilę zapadła cisza.

– Przyjadę po ciebie – odpowiedział wreszcie jego partner.

# ROZDZIAŁ 42

## W TRUDNYM POŁOŻENIU

Shae była zdumiona tym, jak wiele problemów zdołał jej narobić brat w tak krótkim czasie. Doszła do wniosku, że nie jest bezpiecznie wypuszczać Hila z Kekonu. Za każdym razem, gdy wracał z za granicy, przywoził ze sobą wieści o jakimś szokującym, nieodwracalnym uczynku, który tam popełnił. Tym razem przynajmniej nie zabił nikogo lekkomyślnie, choć podejrzewała, że i tak nie obejdzie się bez gwałtownych skutków.

– To była udana wycieczka – poinformował ją. – Odbyłem kilka użytecznych rozmów.

– Sprzedałeś sto kilogramów surowego jadeitu szefowi espeńskiej grupy przestępczej i obiecałeś szlifowane klejnoty, wsparcie naszych ludzi i, o ile dobrze to rozumiem, zaoferowałeś status lennego klanu jakimś ludziom, których dopiero co spotkałeś.

– Nie zgadzasz się z tym, co zrobiłem? – Hilo mówił spokojnie, ale przymrużył powieki, słysząc jej ton. – Rozwiązałem ich problem z paczkami i uzyskałem dokładnie to, czego chciałaś: informacje o Port Massy i sojuszników w tym mieście. To pozwoli nam zdobyć silniejszy przyczółek w Espenii i rozbudować klanowe interesy w tamtym kraju, bez potrzeby polegania na oszukańczych zagranicznych politykach.

– Sprzedając surowy jadeit znanemu bossowi organizacji przestępczej – zauważyła.

Hilo przykucnął, by poprawić bucik zsuwający się z nózki Nika.

– Całe oficjalne wydobywanie pozostaje pod kontrolą KSJ, a dzięki Radzie Książęcej mamy teraz od cholery przepisów nakazujących rejestrować wszelką działalność w tej dziedzinie. Jednakże zarówno Góra, jak i klan Bez Szczytów konfiskują jadeit przemytnikom i jego nigdzie się nie rejestruje. Wszystko to przechodzi przez stronę klanu należącą do rogu. Łupy należą do zwycięzcy, podobnie jak w ulicznych bitwach albo pojedynkach.



Cała torba takiej zieleni leży w szufladzie w moim gabinecie. W dokumentach KSJ nie znajdziesz o nim żadnej wzmianki. Nau Suen atakował ludzi Zapunya tak samo, jak my. Jak ci się zdaje, co Ayt Mada robi ze zdobytym przez niego jadeitem? Naprawdę wierzysz, że zrezygnowała z produkowania błysku po tym, jak poinformowałaś Espeńczyków o jej fabrykach w Ygutanie? – Hilo potrząsnął głową. Posadził Nika na huśtawce zainstalowanej na trawniku i zaczął go bujać. – Założę się o własną zielenią, że Góra nadal napycha sobie sakiewkę, a my o niczym nie wiemy i nie możemy niczego udowodnić. Strategia Ayt zawsze zakładała, że Kekon powinien zaopatrywać w jadeit obie strony konfliktu.

Shae usiadła na kamiennej ławce przy stawie i z namysłem wpatrzyła się w wodę. To, co powiedział Hilo, było prawdą. Jedna z informaterek Wen dostarczyła jej listę połączeń telefonicznych świadczącą, że Iwe Kalundo i jego czołowi szczęściodawcy często odbywają rozmowy z Ygutaniem. Inna doniosła, że prognostyk Góry niedawno wybrał się w interesach do tego kraju. Ayt Mada z pewnością świetnie wiedziała, że klan Bez Szczytów zawarł sojusz z Espeńczykami, i również próbowała prowadzić interesy za granicą – legalne i nie. Ponieważ już przedtem była aktywna w Ygutanie i miała tam kontakty, takie jak nieżyjący Tem Ben, miało sens, że skoncentrowała swe wysiłki na drugim wielkim mocarstwie, jedynym, którego rynek mógł rywalizować rozmiarami z espeńskim. Shae nie byłaby zaskoczona nawet w najmniejszym stopniu, gdyby się dowiedziała, że Góra już odbudowuje swoje fabryki SN1 – być może w jakimś miejscu, gdzie trudniej będzie je wykryć i zaatakować, być może na zdemilitaryzowanym pograniczu między Tun a Ygutaniem – albo pracuje nad jakimś planem zakrojonym na jeszcze szerszą skalę.

Shae zgadzała się z opiniami Hila, lecz czuła się zaniepokojona drogą, jaką wybrał.

– Ayt Mada działa na szkodę KSJ, dając jadeit cudzoziemcom i kryminalistom, którzy nie zasługują na niego i nie potrafią sobie z nim poradzić. Sprzedając zielenią Kromnerowi, podążamy za jej przykładem. Postępujemy tak samo, jak nasi wrogowie.

Hilo odchrząknął.

– Gdyby to zależało ode mnie, żaden cudzoziemiec nie dostałby jadeitu, ale szansa na to już minęła, Shae. Pokolenie dziadka wstąpiło na tę drogę trzydzieści lat temu, zapraszając Espeńczyków do kraju i biorąc od nich pieniądze na odbudowę. A teraz mamy SN1, ZSBWBJ i inny taki syf. –

Skierował na siostrę lekko oskarżające spojrzenie, sugerując, że to również jej wina, ponieważ podjęła decyzje wplątujące Kekon w kontakty z zagranicą. – Ayt nadal będzie nielegalnie sprzedawać jadeit, by uczynić Górę potężniejszą, a w końcu zniszczyć nasz klan i przejąć całkowitą władzę nad krajem – kontynuował. – Jeśli nie podejmiemy jakichś stanowczych kroków, z pewnością tak właśnie się to skończy. – Wpatrzył się w dal, nadal jedną ręką huśtając bratanka. – W przeciwieństwie do Ayt nie mam zamiaru zachować swych klientów na stałe. Paczki to nie państwa, a ich członkowie nie są wojownikami. Przypominają raczej chciwych żeglarzy, którzy przed stuleciami wylądowali na brzegach Kekonu. Nie znają lojalności ani braterstwa. Pragną zdobyć jadeit, ale nie mają pojęcia, co on oznacza ani jak się z nim obchodzić. Weźmiemy od nich pieniądze i zainwestujemy je tam, gdzie będzie to konieczne. Musimy się wzmocnić, bo Góra z pewnością zaatakuje nas znowu. To tylko kwestia czasu.

– Jak mam przewieźć tyle jadeitu przez Ocean Amarycki?

Hilo uśmiechnął się z przekąsem.

– Kehn i jego ludzie poznali wszystkie metody Zapunya. Konfiskowaliśmy statki i kontenery, mamy firmy i ludzi po obu stronach Amaryku. Jestem pewien, że moja prognostyczka potrafi coś wymyślić.

Shae skrzywiła się z niezadowoleniem. Czuła się głęboko skrepowana, wykorzystując wpływy klanu do wywierania nacisków na Radę Książęcą w imieniu espeńskich interesów politycznych. Ugoda zawarta przez Hila mogła stać się kolejnym powodem, z którego będzie musiała błagać bogów o zrozumienie i przebaczenie.

– Czarnorynkowy handel jadeitem to niebezpieczna gra, Hilo.

– Musimy iść tam, dokąd poszli nasi wrogowie – odparł jej brat. – A nawet posunąć się dalej.

Przyjrzała mu się z uwagą. Przyzwyczaiała się do tego, że to ona podejmuje decyzje w sprawach zagranicznych interesów klanu. Myśl o tym, że Hilo będzie się zachowywał jak zimnokrwisty róg na terenie, który biuro prognostyka uważało za swój, niepokoiła ją głęboko. Gdyby tylko mogła porozmawiać z Lanem, skonsultować się z jego głębokim, niezachwianym zmysłem moralnym, jego głębokim zrozumieniem *aisho*, a także roztropnością. Wyobrażała sobie, że gdyby była prognostyczką Lana, przed każdą ważną decyzją dotyczącą klanu odbywałaby z nim szczegółowe, racjonalne dyskusje. Hilo z pewnością wyznawał surowe zasady, ale gdy nikt go nie kontrolował, podejmował decyzje, które uważał za konieczne, kierując się

swym taktycznym sprytem, a dopiero potem znajdował dla nich uzasadnienie.

– Słyszałam, że w zeszłym tygodniu jednego z Kobenów zastrzelono na parkingu – odezwała się.

– To mógł zrobić każdy – odparł Hilo, wzruszając z satysfakcją ramionami.

Tak się szczęśliwie złożyło, że zabójcę – człowieka bez powiązań z klanem, wielokrotnie zatrzymywanego za drobne przestępstwa i chorego umysłowo – policja zabiła podczas próby ucieczki. Co więcej, Koben Eto mimo woli okazał się niespodziewanie pomocny, głośno oskarżając biznesowego rywala z rodziny Iwe, na kilka godzin przedtem, nim zmarł w szpitalu z powodu odniesionych ran. Rzecz jasna, krążyły też podejrzenia, że Ayt Mada wyszeptala jego imię albo stał za tym klan Bez Szczytów, ale zawsze należało się spodziewać najróżniejszych domysłów. Ważne, że różne frakcje w klanie Góra skoczyły sobie do gardeł, przekonane, że próbują ich wykończyć wewnątrzni rywale. Wszystkie naciskały też na Ayt Madashi, by położyła kres walkom wewnętrznym, podejmując decyzję w sprawie sukcesji.

Obok nich przeszła grupka robotników pchających wózek załadowany składanymi krzesłami. Na dziedzińcu rozbito wielkie czerwone namioty przeznaczone na jutrzejszą uroczystość. Woon Papidonwa i jego narzeczona mieli wziąć ślub w Świątyni Boskiego Powrotu, ale Hilo zaproponował, że wesele urządzi się w posiadłości Kaulów. Miał to być dar dla młodej pary i dowód uznania dla Woon oraz jego pozycji w klanie. Minał już z górą rok od chwili, gdy Shae przekonała cień prognostyka, by pozostał na stanowisku. Woon nie wspominał więcej o rezygnacji, być może dlatego, że był teraz znacznie bardziej zadowolony z życia. Shae cieszyła się z jego szczęścia, ale to uczucie nie było całkowicie wolne od zastrzeżeń.

Niko wyciągnął rączki, domagając się zdjęcia z huśtawki. Hilo spełnił jego życzenie. Postawiony na ziemi chłopczyk oddalił się od nich ogrodową ścieżką.

– Nie widziałem ostatnio Mara – zauważył Hilo. – Czy zerwaliście ze sobą?

– Na razie zrobiliśmy sobie przerwę. – Starła się nadać głosowi non-szalanckie brzmienie, ale podejrzewała, że jej słowa zabrzmiały równie niepewnie, jak sama się czuła. Poczwała rozczarowanie, uświadamiając sobie,

że wcale nie przestało jej zależeć na opinii brata. – Nadal jesteśmy przyjaciółmi – dodała. – Będzie jutro na weselu, jako mój gość.

Hilo obrzucił ją głębokim, niemal smutnym spojrzeniem, jakby wiedział, jak wiele kosztował ją pojedynek. Straciła coś więcej niż tylko jadeit.

– Jeśli rzeczywiście jesteście przyjaciółmi, powinnaś być z nim szczerą, Shae.

Udała, że go nie słyszy.

– Maro zaangażował się w działalność humanitarnej organizacji o nazwie Międzynarodowe Stowarzyszenie Czterech Cnót. Pytał, czy zechciałbyś się spotkać z jej przedstawicielami, którzy chcą zyskać poparcie klanu. To znaczyłoby dla nich bardzo wiele.

Hilo westchnął z irytacją – być może dlatego, że zmieniła temat rozmowy, ale mogło też chodzić o fakt, że jako filar ciągle musiał się spotykać z przedstawicielami różnych organizacji i zawsze wydawało mu się to nudne.

– W porządku. Potraktuję to jako przysługę dla twojego... przyjaciela – zgodził się. – W okolicach nowego roku, kiedy nie będę taki zajęty. – Wen miała rodzić za miesiąc. Niko wrócił do nich, trzymając w garści kolorowe kamyki. Hilo wyraził dla nich uznanie, a potem wziął chłopca na ręce, by zanieść go do domu na obiad. – Andy’emu dobrze się powodzi – rzucił do siostry, oglądając się przez ramię. – Nie był zadowolony, że musi tam zostać, ale to rozumie.

Shae śledziła spojrzeniem oddalającego się brata.

– Naprawdę byś to zrobił?! – zawołała za nim. – Złamałbyś *aisho*, gdyby Ayt zabiła mnie w pojedynku, i rozpętałbyś wojnę brudną klingą?

– Ayt wierzyła, że tak. – Aura Hila była gładka jak tafla spokojnego stawu. – Tylko to się liczyło.

\* \* \*

Kanclerz Son spędzał popołudnie w Klubie Wypoczynku Trzy Źródła. Dopiero się rozgrzewał na strzelnicy, gdy dołączyła do niego Shae.

– Kaul-jen! – zawołał wesoło. – Mamy piękny dzień, czyż nie tak?

Zostały mu tylko trzy miesiące do końca męczącej sześcioletniej kadencji i z pewnością cieszył się na myśl, że będzie mógł poświęcić więcej czasu prowadzeniu rodzinnego interesu, wnukom oraz grze w chasso.

Tę grę uprawiano pod gołym niebem. Chodziło się przez rozległe, zadbane tereny parkowe i co pewien czas trzeba było się zatrzymać, by strzelać do imitacji ptaków (wyposażonych w czuby gumowych piłek wystrzeliwanych z ukrytych w krzakach maszyn). Używano do tego celu strzałek wypuszczanych ze specjalnych kusz. Chasso początkowo było zagraniczną rozrywką dla dżentelmenów, wywodzącą się z myślistwa oraz łucznictwa, lecz w ostatnim dziesięcioleciu zdobyło popularność wśród bogatych Kekończyków. Najzamożniejsi politycy i biznesmeni regularnie spotykali się przy tej grze w niedawno wybudowanym Klubie Wypoczynku Trzy Źródła, położonym pół godziny drogi na południe od Janloonu.

Shae uważała tę grę za beznadziejnie nudną, rozumiała jednak, dlaczego mogła się spodobać komuś takiemu jak Son Tomarho. Poświęcenie tak rozległego terenu na prywatną rozrywkę na wyspie, gdzie ceny ziemi były wysokie, wiązało się z wygórowanymi, podnoszącymi status opłatami członkowskimi, ten sport wymagał refleksu, umiejętności celnego strzelania oraz drogiego sprzętu, ale sprawność fizyczna nie była konieczna, a starzejący się kekońscy mężczyźni lubili udawać, że nadal pozostają biegłymi wojownikami. Podejrzała też, że Son lubi z nią wygrywać, a w tej grze jadeitowe talenty nie zdawały się na zbyt wiele.

Na pierwszych dwóch stanowiskach oddawali się niezobowiązującym rozmówkom. Zaczekała, aż ruszą pod wiatr ku szczytowi niskiego wzgórza, na którym znajdowało się trzecie stanowisko, nim postanowiła poruszyć temat, który ją tu sprowadził.

– Nikt nie zasługuje na odpoczynek od ciężkiej służby w Gmachu Mądrości bardziej od ciebie, kanclerzu Son, ale utrata tak godnego zaufania przyjaciela na twoim stanowisku będzie poważnym ciosem dla klanu Bez Szczytów.

Rada Książęca powołała na następcę Sona Guim Ena, obecnego ministra spraw domowych. Guima uważano za doświadczonego, finansowo odpowiedzialnego polityka, nieco skłonnego do populizmu. Był też jednak wieloletnim członkiem klanu Góra.

– Guim to rozsądny człowiek – zapewnił Son dość obojętnym tonem.

Stanął na punkcie celowania i oparł kuszę do chasso o masywny bark, po czym uniósł rękę, by przekazać czekającemu poniżej operatorowi maszyny, że jest gotowy. Sześć piłek wyleciało jedna po drugiej zza szeregu krzaków. Son zaczął strzelać i po chwili chrząknął z zadowoleniem, gdy trzy przeszyte bełtami piłki spadły na trawę.

– Czasy są trudne dla kraju i dla klanu Bez Szczytów – ciągnęła Shae. – Klany przestrzegają pokoju, ale wyłącznie dlatego, że na świecie trwają wojny. Czy możemy liczyć na to, że Guim En nie przestanie naciskać na Uwiwy w kwestii przemytu? Czy będzie zwolennikiem odpowiedzialności Góry wobec KSJ. Czy sprzeciwi się Ustawie o Uchodźcach z Konfliktu Oortokańskiego, gdy Rada będzie nad nią głosowała?

Son odsunął się na bok i Shae zajęła jego miejsce. Piłki poleciały w powietrze. Shae trafiła dwie, posługując się kuszą pożyczoną w klubowym sklepie. Skrzywiła się. Korciło ją, żeby na następnym stanowisku oszukać i pomóc sobie Odbijaniem. Potem oboje zeszli ze wzgórza, by zebrać trafione piłki.

– Kaul-jen, byłem obecny na spotkaniu z espeńskim sekretarzem i zdaję sobie sprawę, że cudzoziemcy niepokoją się kwestiami bezpieczeństwa – oznajmił Son zdecydowanym poważniejszym tonem. – Jednakże ustawa dotyczy kwestii humanitarnych i klan Bez Szczytów wyda się bezduszny, jeśli będzie się jej sprzeciwiał. – Otarł czoło i pochylił się po strącone przez siebie piłki. Następnie przekazał je młodemu chassowemu, który szedł za nimi, zachowując odpowiedni dystans. Chłopak niósł sprzęt i wodę oraz pilnował wyniku. – W końcu współczucie jest jedną z czterech Boskich Cnót.

Osobiście Shae zgadzała się z tą opinią.

– W idealnym świecie wszyscy zawsze postępowaliby zgodnie z Boskimi Cnotami – odpowiedziała jednak. – Zapewne oznaczałoby to, że Powrót jest już blisko. Ale nasz świat jest daleki od ideału i oboje wiemy, że czasami konieczne są kompromisy.

Son odwrócił się i machnął gniewnie ręką, w której trzymał strzałkę do chasso.

– Espeńczycy domagają się, żebyśmy zamknęli granice przed bezdomnymi wdowami i sierotami, bo obawiają się, że mogą być wśród nich ygu-tańscy szpiedzy. Czy powinniśmy złamać zasady moralne pod naciskiem cudzoziemców?

Słowa kanclerza wyrażały oburzenie, ale ton, jakim je wypowiedział, był bliższy rezygnacji. Jego sprzeciwy miały raczej retoryczny charakter. Wiedział równie dobrze jak Shae, że klan Bez Szczytów znalazł się w trudnym położeniu. Kampania w Oortoko nie toczyła się po myśli Espeńczyków, wskutek czego zrobili się podejrzliwi i wysuwali wciąż nowe żądania. Ku ich ciąglemu niezadowoleniu Kekońska Rada Książęca odmawiała

wysłania żołnierzy na wojnę, a także zwiększenia dostaw jadeitu. Mimo to Shae kierowała klan w stronę poszerzenia kontaktów handlowych z Espenią. Otworzyła nawet filię biura prognostyka w Port Massy. Teraz, gdy Hilo nawiązał kontakty z zielonymi kośćmi z Espenii, a Góra również szukała nowych szans za granicą, Shae była jeszcze silniej przekonana, że klan Bez Szczytów musi walczyć o polityczne wpływy w kraju i za granicą. Musieli zachować przychylność Adamont Capita. Nie tylko oni, ale cały kraj, jeśli chciał zachować szybkie tempo wzrostu gospodarczego. Tekstylna firma rodziny Sonów również bardzo skorzystała na obniżce ceł.

– Piastowałeś najwyższy polityczny urząd na Kekonie w czasach, gdy w naszym kraju trwała wojna klanów, a teraz wokół niego toczy się międzynarodowy konflikt – przypomniała kanclerzowi Shae. – Wiesz wszystko o naciskach i rozumiesz, kiedy konieczny jest kompromis.

Son potrząsnął głową.

– To już problem mojego następcy, Kaul-jen.

Ruszyli zadbaną, wysypaną żwirem ścieżką do małego lasu. Szybko robiło się zimno. Wkrótce jesienny chłód i zapadający zmierzch zmuszą ich do poszukania schronienia pod dachem.

– Nie jesteś jeszcze stary, kanclerzu Son. Wytrzymałeś na trasie chasso dłużej ode mnie. – Zatrzymała się pośrodku drogi i spojrzała na mężczyznę. – Jestem zmuszona prosić cię w imię filaru, byś raz jeszcze okazał przyjaźń klanowi Bez Szczytów. Nie przechodź w stan spoczynku po zakończeniu kadencji. Zachowaj miejsce w Radzie Książęcej. Później będziesz miał mnóstwo czasu na oddawanie się rozrywkom, ale pozostaniesz członkiem rządu jeszcze przez rok albo dwa. Służ przez pewien czas krajowi, który cię potrzebuje. – Zrobiła znaczącą przerwę. – Klan Bez Szczytów będzie za to wdzięczny tobie i twojej rodzinie.

Jako były latarnik kanclerz Son wiedział, że wdzięczność klanu nie jest czymś, co przyznawano łatwo, i niemal z pewnością oznaczała znaczące finansowe gratyfikacje dla niego i jego krewnych. Jeśli zachowa miejsce w Radzie Książęcej, nadal pozostanie najwyższym rangą politykiem w Gmachu Mądrości powiązany z klanem Bez Szczytów i będzie głosował zgodnie z jego interesami. A gdyby żadna ze stron nie zdobyła przewagi, status emerytowanego kanclerza da mu prawo oddania dodatkowego głosu, podobnie jak urzędującemu kanclerzowi, co mogłoby zrównoważyć głos Guima.

Kanclerz Son wydał mięsiste wargi.

– Cóż znaczy jeden rok po tak długiej służbie? – zaczął z namysłem. Wlepił w Shae poważne, wykalkulowane spojrzenie, po czym uniósł kuszę do chasso i wrócił na ścieżkę. – Nadal pozostaję lojalnym przyjacielem klanu, Kaul-jen, ale nie zdołam powstrzymać przyływu. Większość ludzi nie rozumie porozumień handlowych ani nie obchodzą ich niepokoje Espeńczyków. Wielu w ogóle nie pojmuje, czemu mielibyśmy spełniać życzenia cudzoziemców. Wkroczyłaś na niebezpieczną drogę. Jeśli nadal będziesz stawiała interesy klanu Bez Szczytów nad pragnieniami Kekończyków, przegrasz.

\* \* \*

Shae z reguły nie piła zbyt wiele, ale następnego wieczoru, na weselu Wooną, wychyliła kilka kieliszków wina. Jakiś czas po północy państwo młodzi, żegnani aplauzem gości, odjechali limuzyną ozdobioną czerwonymi i żółtymi peoniami, symbolizującymi szczęście małżeńskie i płodność. Wkrótce potem Shae opuściła przyjęcie, i wróciła do domu prognostyka. Maro, mający na sobie idealnie dopasowany niebieski garnitur i krawat, odprowadził ją do drzwi wejściowych. Zatrzymała się, nim weszła do środka, i obejrzała się na niego przez ramię.

– Chcesz wejść na chwilę?

Nie była pewna, czy do wypowiedzenia tych słów skłoniła ją uprzejmość, wywołana alkoholem uczuciowość czy coś całkiem innego, ale przez krótką chwilę miała nadzieję, że się zgodzi. Dziesiątki ludzi widziały, że wychodzili razem, ale Shae przeżyła już jeden publiczny skandal i nie przejmowała się jutrzejszymi plotkami.

Maro odwrócił wzrok, lecz zaraz znowu spojrzał na nią. Na jego twarzy malowała się nadzieja pomieszana z ostrożnością.

– Na chwileczkę – zgodził się.

Shae weszła do środka, zdjęła buty, usiadła na kanapie i zaczęła pocierać stopy. Maro wyjął dzbanek z jej lodówki i napełnił dwie wysokie szklanki zimną miętową wodą. Przyjęła z wdzięcznością jedną z nich i dotknęła czoła zimnym szkłem, nim wypita połowę zawartości. Mimo że dom prognostyka znajdował się na drugim końcu centralnego dziedzińca, słyszała tu muzykę i Postrzegała energię nadal licznych gości niczym odległe pulsowanie, wyczuwalne w tle. Jej ciało przywykło już do zmniejszonej ilości jadeitu, ale czasami odnosiła wrażenie, że jej zmysły są stępione



i mają mniejszy zasięg. Wypity alkohol dodatkowo nasilał ten efekt. Była zmęczona i czuła się tak, jakby wszystko przesłaniała lekka mgiełka.

Maro usiadł na drugim końcu kanapy, oparł się wygodnie i poluzował krawat. Pociągnął łyk wody ze szklanki. Nie sprawiał wrażenia tak wstawionego jak ona.

– Twój przyjaciel Woon Papi z pewnością jest bardzo lojalny wobec klanu – zauważył. – Twoja rodzina urządziła mu wspaniałe wesele.

– Był najlepszym przyjacielem mojego najstarszego brata. – *I jest też moim.* – Zasługuje na to.

– No cóż, dziękuję za zaproszenie. – Maro obrócił szklankę w dłoniach. – Jestem też wdzięczny za to, że załatwiłaś dla Czterech Cnót spotkanie ze swoim bratem. Jestem członkiem naczelnego komitetu już od pewnego czasu – kontynuował, jakby chciał wypełnić dzielącą ich pustkę. – Robią sporo dobrego, ale nie mogą osiągnąć zbyt wiele bez większego poparcia wysoko postawionych osób. Gdyby wielkie klany publicznie przyznały, że Kekon powinien odgrywać większą rolę w międzynarodowych wysiłkach humanitarnych, to byłby ogromny krok naprzód. – Spojrzał na nią, jakby liczył na to, że się z nim zgodzi. – Być może zdołamy namówić twojego brata do poparcia Ustawy o Uchodźcach z Konfliktu Oortokańskiego.

Shae nie miała ochoty wyjaśniać mu sytuacji dotyczącej interesów prowadzonych przez klan oraz nacisków espeńskiego rządu ani sugerować, że to ona jest osobą skłaniającą kanclerza Sona oraz Radę Książęcą do moralnie wątpliwych kompromisów z cudzoziemcami.

– Nie mówmy o polityce – sprzeciwiła się.

Maro pociągnął się za kołnierz.

– Jak sobie życzysz – odparł niepewnie, jakby Shae odebrała im ostatni bezpieczny temat rozmowy.

Zapadła ciężka cisza. Od chwili pojedynku minęło już prawie pięć miesięcy, ale ich związek nadal pozostawał w stanie krępującej niepewności. Byli jak dwa obiekty utrzymywane w tej samej odległości od siebie przez stałą siłę odśrodkową, niezdolne zmniejszyć dzielącego ich dystansu ani oddalić się od siebie na dobre. Rozmawiali przez telefon. Kilka razy zjedli razem kolację. Shae nadal radziła się Mara w kwestiach ekonomii i polityki zagranicznej, a teraz on dał wyraz nadziei, że klan udzieli poparcia organizacji non profit, która pochłaniała coraz więcej jego czasu. Pozostawali przyjaciółmi i utrzymywali ze sobą poprawne stosunki, ale krążyli wokół

siebie niepewnie, jakby każde z nich było dla drugiego ogniem. Pragnęli jego ciepła, lecz jednocześnie bali się oparzenia.

Maro kilkakrotnie wspominał, że mogliby przetrwać ten trudny okres, gdyby byli gotowi znowu zaufać sobie nawzajem.

Shae przyglądała mu się z uwagą. Był przystojny i poważny, w jego oczach lśniła tęsknota, a twarz miał lekko zarumienioną. Bardziej niż cze-  
gokolwiek innego pragnęła, by jego słowa były prawdą. W tej chwili pożą-  
dała bliskości, ale nie zasługiwała na zaufanie Mara i nie potrafiła go oszu-  
kiwać. Rozważyła możliwość podziękowania mu i uprzejmego odprowa-  
dzenia go do drzwi. Pomyślała, że mogłaby też przyciągnąć go ku sobie  
i pieprzyć się z nim na podłodze salonu. Żadna z tych możliwości nie  
byłaby jednak uczciwa wobec niego. Nie tak powinno się traktować przyja-  
ciół. Nie żałowała podjętych decyzji, lecz sprawiało jej ból, że nie potrafi  
już patrzeć na Mara, nie dostrzegając dystansu dzielącego od siebie  
zamieszkiwane przez nich rzeczywistości.

– Shae. – Maro odchrząknął, a potem wstał i usiadł bliżej niej. Jego deli-  
katna aura muskała jej aurę, pełna sprzecznych pragnień, bliska cierpienia.  
Przystrzygł nieco brodę i widać było napięcie w mięśniach jego żuchwy.

– Lepiej teraz rozumiem, dlaczego nie kontaktowałaś się ze mną przed  
pojedyńkiem. Akceptuję fakt, że znalazłaś się w trudnej sytuacji i nie chcia-  
łaś, bym stał się celem. Nie jestem jednak pewien, czy potrafię to kontynu-  
ować. To znaczy nadal być twoim przyjacielem. Kimś, kogo coś łączy  
z waszą rodziną, jakaś nieokreślona więź, kogo zaprasza się na wesela, ale  
kto nie jest częścią klanu. To... nie jest dobra pozycja.

Shae poczuła ucisk poniżej żeber.

– Wiem. Kiedyś tego próbowałam i nie wyszło. – Zapadła się głębiej  
w kanapę. Za jej oczodołami pojawił się pulsujący ból. – Masz rację. Trzy-  
małam cię na dystans i nie powiedziałam ci prawdy, na którą zasługiwałeś.  
Starałam się bronić cię przed moimi decyzjami. Postąpiłam źle.

Przez twarz Mara przebiegł szybki skurcz.

– Nie możesz mnie osłaniać. Wiesz, że nie lubię kultury zielonych  
kości, ale zależy mi na tobie. Pamiętasz, jak powiedziałem, że chcę, byśmy  
byli z sobą całkowicie otwarci i szczerzy? – Spojrzał jej prosto w oczy. –  
Chcę wiedzieć, jak wyglądają sprawy między nami. Czy możesz mi jasno  
powiedzieć, czy mamy jakieś szanse?

Wróciły do niej echem słowa Hila. „Jeśli rzeczywiście jesteście przyja-  
ciółmi, powinnaś być z nim szczerą”. W jej klatce piersiowej narosła gwał-

towna, masochistyczna pasja. Objęła dłonią szyję Mara i pocałowała go. Jej usta wypełniły jego smak i zapach. Westchnęła wypełniona słodko-gorzka determinacją, silną jak utrzymujący się smak wytrawnego wina. Odsunęła się od niego.

– Zrobiłam sobie aborcję, Maro. Byłam w ciąży przed pojedynkiem z Ayt Madą.

Twarz mężczyzny utraciła wyraz na kilka sekund. Potem wyprostował się, jakby odepchnęła go gwałtownie. Jego łagodna twarz sposepniała, przybierając brzydki, zraniony wyraz. Granice jego jadeitowej aury zafalowały i stwardniały.

– Nie... – Jego głos zmienił się w ochrypły szept. – Nie wspominałaś o tym ani słowem. Sama podjęłaś decyzję, nie pytając mnie o zdanie. Tak samo jak o pojedynku.

– Chciałeś całkowitej szczerości – odparła Shae. – I dałam ci ją. – Spojrzała na własne dłonie i zorientowała się, że trzyma je na kolanach, mocno zaciśnięte. – Pytałeś, czy mamy jakieś szanse, ale tylko ty możesz teraz odpowiedzieć na to pytanie.

Maro odstawił szklankę na stolik i wstał. Shae czuła bolesny ciężar jego spojrzenia, które zatrzymało się na niej na dłuższy, wypełniony milczeniem czas. Miała wrażenie, że sufit zawirował.

Zamknęła oczy i nie widziała, jak Maro odwrócił się i wyszedł.

# ROZDZIAŁ 43

## RODZINNY JADEIT

Trzy tygodnie przed nowym rokiem Hilo wyruszył w głąb łądu i po godzinie jazdy zatrzymał się przed porzuconym wiejskim domem, oznaczonym tylko przez znak na płaskim odcinku szosy biegnącej przez pogórze. Wprowadził masywną duchesse na zrytą koleinami polną drogę i dotarł do punktu, w którym szlak stał się zbyt wąski i zarośnięty zielskiem. Potem wysiadł i pokonał na piechotę resztę drogi do wałącego się ceglanego budynku. Słońce skryło się już za lesistymi górami na zachodzie. Nad pustym polem latały nietoperze – iskierki ciepła na granicy zasięgu Postrzeżania Hila, na polanie za domem stali dwaj ludzie Tara. Ich łopaty zgrzytały o suchą ziemię, a w powietrzu unosiła się para ich oddechów. Przerwali pracę i otarli czoła przedramionami, po czym dotknęli czół w skróconym pozdrowieniu. Filar przeszedł obok, pochylił się pod opadającym okapem i wszedł do rozsypującego się budynku.

Wnętrze wypełniał ostry blask lampy kempingowej zawieszanej na metalowym haku zrobionym z wieszaka na płaszcz. Kamienną posadzkę pokrywała gruba warstwa ziemi, słomy oraz ptasich odchodów. Na Hila czekali tu Tar i jego prawa ręka, Doun. Stali obok siebie, rozmawiając i paląc papierosy. U ich stóp leżał długi pakiet, owinięty w brezent i owiązany sznurem niczym źle zwinięty dywan. Obok niego ustawiono wielki prostokątny pojemnik ze stali, z którego zdjęto pokrywę – skrzynka narzędziowa do ciężarówki, kupiona przez Tara od firmy przewozowej.

Doun oddał honory filarowi, przeciął sznur i uniósł brezent, odsłaniając młodego mężczyznę, brudnego i posiniaczonego. Nastolatka związane i zakneblowano, ale gdy padło na niego światło, zamrugał i zaczął się poruszać, próbując usiąść. Jego jadeitowa aura zapłonęła przenikliwie. Dla umysłu Hila było to równie bolesne jak sprzężenie w mikrofonie. Doun odsunął się na bok i przywódca klanu przyjrzał się chudej, złanej potem twarzy

więźnia. Jego szeroko otwarte oczy wypełniały nienawiść i strach, Filar przesunął spojrzenie z twarzy chłopaka na zielone paciorki na jego szyi oraz na bransolety na chudych ramionach. To był jadeit Kaul Lana. Nawet nie oprawiono go na nowo.

Hila wypełnił zimny gniew połączony z głębokim niepokojem. Przed laty, gdy był rogiem i podkomendnym brata, w restauracji Podwójne Szczęście w Dzielnicy Portowej dwóch nastoletnich oprychów próbowało ukraść jadeit pijanej zielonej kości. Hilo i Maikowie byli na miejscu i zdołali ich powstrzymać, pamiętał jednak, że pomyślał wtedy, iż tych dwóch chłopaków to znak pogłębiającej się zgnilizny społeczeństwa, zapowiedź nadejścia znacznie gorszych rzeczy. Teraz był jeszcze silniej przekonany, że to prawda. Wystarczyło spojrzeć na tego nieznanego, tego nikogo, który wyrządził tak wielką krzywdę rodzinie Kaulów, a mimo to przez lata unikał kary. Niektórzy wierzyli, że SN1 pozwala nosić jadeit każdemu, ale to nigdy nie stanie się prawdą. Gdyby byle śmieć mógł nosić klejnoty Lana, zieleni nic by nie znaczyła. Cały świat zielonych kości straciłby znaczenie. Ta nihilistyczna możliwość mroziła Hila aż do szpiku kości. Klan Bez Szczytów był jak tygrys, a ten złodziej przypominał szczura, ale nawet największe i najpotężniejsze stworzenia musiały się bać plagi tych gryzoni, które krążyły w ciemności, miały ostre zęby i przenosiły choroby. To świadczyło o braku równowagi w naturze, dowodziło, że coś jest nie w porządku z całym światem i nawet chwila taka jak ta nie mogła powstrzymać pogarszania się sytuacji.

Tar otworzył torbę i wyjął z niej narzędzia: wiertarkę bezprzewodową, zwój rurki z tworzywa sztucznego i taśmę klejącą. Hilo przykucnął. Nastolatek odsunął się gwałtownie od niego, wyteżając Siłę, by zerwać więzy. Rzucił Odbijanie, które rozlało się w niespójnej fali. Piasek pokrywający podłogę posypał się na kamienne ściany, a lampa wisząca na haku się zakłysała. Hilo bez wysiłku powstrzymał tę rozpaczliwą próbę, rzucając przeciw-Odbijanie. Doun podszedł bliżej i przycisnął ramiona jeńca do podłogi, nie pozwalając mu się miotać. Hilo rozpiął zapinki bransolet i zdjął je jedną po drugiej. Następnie sięgnął do karku wyteżającego mięśnie chłopaka, zdjął mu naszyjnik i ujął w dłoń długi sznur paciorków. Wsunął jadeit Lana do wewnętrznej kieszeni marynarki i poklepał wypukłość, jaka się utworzyła, by się upewnić, że jest bezpieczny.

Złodziej jęknął i wybałuszył oczy. Jego ciało zaczęło drżeć i dygotać w pierwszych objawach odstawienia. Hilo wyjął mu knebel z ust. Chłopak

splunął przez połamane zęby zabarwionym krwią piaskiem, po czym – ku zaskoczeniu filaru – wlepił spojrzenie w Tara. Skrzywił się wściekle, a w jego oczach gorzała nienawiść tak wielka, że trudno było uwierzyć, iż jego chude ciało jest w stanie ją pomieścić.

– Zabiłeś mojego tatę – oznajmił drżącym głosem. – Poderżnąłeś mu gardło i wrzuciłeś go do wody w Dzielnicy Portowej. Obyś umarł, krzycząc z bólu, razem z całą swoją rodziną, ty pozbawiona duszy kupo gówna.

Tar spojrział na niego z zainteresowaniem, po czym wrócił do montowania wiertarki.

– A kim on był?

– Nazywał się Mudt Jindonon. – Chłopak się rozplakał. Łzy zostawiały brzydkie ślady na jego brudnej od błota twarzy. – Miał sklep i odrobinę jadeitu, to wszystko. Był moim tatą, a ty go zabiłeś.

– Pamiętam Mudt Jina. – Tar pokiwał głową, jakby wszystko nagle stało się dla niego sensowne. – Był szpiegiem Góry, handlarzem błysku i złodziejem jadeitu. Kierował organizacją przestępczą i pomógł zaplanować tchórzliwe morderstwo filaru klanu zielonych kości. Z reguły nie lubię myśleć, że zła krew jest dziedziczna, ale widzę, że w tym przypadku to prawda.

Hilo spojrział na płaczącego głośno nastolatka, który zabił jego brata i uciekł, a potem zbeczczył ich rodzinny grób, by ukraść jadeit. Nie czuł triumfu, a tylko przemożny niesmak, litość oraz gorące pragnienie zakończenia czegoś, co powinno być załatwione już dawno. Rozpiął koszulę aż po pępek i rozsunął jej poły. Zdjął trzy kawałki jadeitu, krzywiąc się lekko z bólu, gdy je uwalniał. Przetoczył je w dłoni. To była jego zieleń, zdobyta w latach młodości w walce z jakimś przeciwnikiem, którego nawet nie pamiętał. Teraz nie odczuje utraty tych klejnotów, ale w tamtych czasach każdy okruch zieleni, który dodawał do swego ciała, miał smak przeznaczenia.

– Spójrz na mnie – rzekł cicho. – To jest jadeit rodziny Kaulów. Byłeś gotowy zabijać i kraść dla niego. A teraz ci go daję. Zabierzesz go ze sobą do grobu, jak zielona kość.

– To nie byłem ja! – wrzasnął Mudt. Zwierzęcy strach w końcu zdobył w nim przewagę nad głęboko zakorzenionym gniewem. – To był ktoś inny! To on wszystko zaplanował. Ja tylko słuchałem...

Hilo złapał złodzieja za zuchwę i nacisnął mocno, otwierając mu usta i uciszając rozpaczliwe sprzeciwy. Następnie wrzucił do środka kawałki jadeitu, jeden po drugim, i zacisnął nastolatkowi szczęki. Tar oderwał

kawałek srebrnej taśmy klejącej i zalepił mu usta. Oblepili też taśmą kostki i nadgarstki, by zabezpieczyć więzy. Na koniec złapał złodzieja za stopy, a Daun ujął go pod pachy. Unieśli go i wepchnęli do metalowej skrzynki. Z podkulonymi kolanami ledwie się w niej mieścił i nie mógł nawet się odwrócić. Hilo raz jeszcze ujrzał pobladłą z przerażenia twarz, nim zamknięto pokrywę. Rozległy się stłumione krzyki i łoskot uderzeń. Wewnątrz pojemnika można też było wyczuć gwałtowne skoki metalowej aury. Temu wszystkiemu towarzyszył dźwięk wiertarki. Tar zrobił dziury wzdłuż brzegu pokrywy i umieścił w nich śruby. Następnie wziął najgrubsze wiertło i wywiercił pośrodku pokrywy dziurę tak wielką, że można było włożyć do niej palec. Wsadził do niej plastikowy przewód, przez który do środka będzie napływało powietrze. Nie chcieli, żeby więzień się udusił.

Tar i Doun wynieśli pojemnik na dwór. Dwaj pozostali mężczyźni skończyli już kopać i stali wsparci na łopatach. Zasypanie głębokiego na dwa metry dołu trwało godzinę. Cała piątka machała na zmianę łopatami, pozwalając pozostałym odpocząć. Wreszcie została tylko plama świeżo skopanej ziemi, zaznaczająca miejsce, gdzie pochowano pojemnik, i ledwie widoczna sztywna plastikowa rurka stercząca spod ziemi.

Odcięty od regularnej dozy błysku uzależniony z reguły zaczynał czuć objawy nadmiernego wystawienia na jadeit po dwudziestu czterech godzinach. Gdy jednak zieleń znalazła się wewnątrz pełnego adrenaliny ciała, nadchodziły one znacznie szybciej. Wkrótce po nich pojawiała się swędziawka.

Zabrali lampę i narzędzia z opuszczonego domu. Na pustkowiach nic nie mąciło ciszy. Nad głowami mieli bezchmurne, gwiaździste niebo. Janłoński hałas i zanieczyszczenia nie docierały tak daleko. Nigdzie nie widzieli żadnych domostw. Od najbliższej osady, Opii, dzieliło ich trzydzieści kilometrów krętych górskich dróg. Gdy wracali do samochodów, Hilo osobiście podziękował trzem paznokciom (tak Tar nazywał obecnie swoich ludzi, by ich odróżnić od palców Kehna) za to, że wykonali to nieprzyjemne zadanie, rezygnując z potencjalnie miłego wieczoru. Wszyscy trzej – Doun, Tyin i Yonu – zapewnili, że uczczenie pamięci Kaul Lana było ich obowiązkiem. Żałowali tylko, że minęło tak wiele czasu, nim znaleźli złodzieja i wymierzili klanową sprawiedliwość.

– Pamiętałeś, by wypłacić nagrodę barmanowi, który nas zawiadomił? – zapytał Tara Hilo.

– Oczywiście – zapewnił filarowy.

Ostatnio miał mnóstwo roboty. Wreszcie załatwił tę sprawę i wyszeptał imię Koben Enta. Klan zamierzał rozpocząć działalność w Espanii i Hilo miał kilka pomysłów ma to, jak wykorzystać tam nieliczną ekipę filarowego, to jednak nie była odpowiednia chwila, by o tym rozmawiać. Położył dłoń na plecach Tara.

– Wiem, że czasami bywam niecierpliwy i wściekam się na ciebie, ale wyłącznie dlatego, że jesteś teraz dla mnie najbliższym z braci i zlecam ci zadania, których nie powierzyłbym nikomu innemu. Cieszę się, że mogę na tobie polegać, Tar, nawet jeśli mówię to zbyt rzadko.

\* \* \*

Gdy Hilo wrócił do domu, był już wczesny ranek. Cicho zamknął za sobą frontowe drzwi i nie zapalił światła, by nie obudzić Wen ani dziecka. Miało dopiero dwa tygodnie i oczywiście było dziewczynką. Poszedł do kuchni, powiesił marynarkę na krześle i umył ręce nad zlewem. Czuł się wyczerpany, ale był też głodny i spragniony, więc nalał sobie szklanek wody, wziął dwie pomarańcze i torebkę fistaszków, a potem usiadł za stołem. Obierał po ciemku owoce i jadł je, a także łupał fistaszki, nie zapalając światła. Rzadko bywał sam, cieszył się więc tą chwilą i nie śpieszyło mu się do łóżka.

Wyjął z kieszeni jadeit Lina, położył go na stole i wpatrzył się w niego.

Nagłe poruszenie w Postrzeganiu powiedziało mu, że nie tylko on nie śpi. Wyczuł zbliżanie się Nika, nim jeszcze usłyszał kroki chłopczyka, który zszedł ostrożnie po schodach i zatrzymał się przy wejściu do kuchni. Żaluzje w wychodzących na patio oknach były otwarte i do środka wpadał blask księżyca mieszający się ze światłem latarni. Było wystarczająco jasno, by Hilo zauważył na twarzy bratanka senność połączoną z lekkim zatroskaniem.

– Wujku, czemu siedzisz po ciemku? – zapytał chłopczyk.

– Późno wróciłem do domu i nie chciałem was budzić. – Hilo wyciągnął ręce.

Niko podszedł do niego, wdrapał mu się na kolana i wsparł główkę na piersi wujka. Mimo że Niko i Ru byli uważani za braci i nazywali Wen swoją mamą, Hilo zawsze nalegał, by Niko zwał go „wujkiem” i nie zapominał, kto był jego prawdziwym ojcem. Pogłaskał chłopca po włosach.



– Stań na nóżkach. Chcę ci coś pokazać – rzekł. Postawił trzylatka (już prawie czterolatka, pomyślał) na podłodze. – Chcesz się dowiedzieć, gdzie byłem i dlaczego wróciłem tak późno, że nie mogłem położyć cię spać? – zapytał. – Szukałem czegoś, co utracono już jakiś czas temu i wreszcie udało mi się to znaleźć. Wziął w ręce jadeitowe bransoletki oraz naszyjnik i pokazał je chłopcu. Pozwolił mu je podziwiać i dotykać ich. Niewielkie wystawienie na zielen w tak młodym wieku nie było szkodliwe. W gruncie rzeczy dobrze było, gdy dziecko wyrobiło w sobie podstawy odporności, nim będzie mogło pójść do Akademii. – To klejnoty twojego ojca, Niko – oznajmił Hilo. – Należały do niego, gdy był filarem klanu. Pewnego dnia, gdy zostaniesz zieloną kością, odziedziczysz je. Do tej chwili będę ich strzegł.

Niko ziewnął.

– Najpierw będę musiał zrobić się znacznie większy – stwierdził.

– Znacznie – zgodził się Hilo. Uniósł dziecko i zaniósł je z powrotem na górę.

# ROZDZIAŁ 44

## POŚREDNIK

Willum „Chudziak” Reams stał na nabrzeżu w prywatnej przystani dla łodzi w cieniu Mostu Żelaznego Oka. Wiosenna noc była pochmurna i bezgwiezdna. Ciemność rozjaśniały wyłącznie światła sześciopasmowej autostrady biegnącej nad nim. Ruch pojazdów przez Camres trwał nieprzerwanie, a ich dobiegający z góry dźwięk był głośniejszy niż miarowe pluskanie rzeki na dole.

Cztery płaszczce Reamsa czekały na transport razem z nim. Bliźniacy, Coop i Bairn Breuer, stali przy zaparkowanym obok samochodzie, a Pats Rudy i Carson Sunter pełnili straż, trzymając dłonie na pistoletach. Reams i jego ludzie nie pierwszy raz przyjmowali kontrabandę wiezioną w górę rzeki. Camres była jednym z najdłuższych i najbardziej ruchliwych szlaków wodnych na świecie. Już od stuleci zwano ją Spływem Srebra, lecz także, mniej pochlebnie, Kanałem Grzechu, z uwagi na wielką ilość narkotyków oraz broni docierającej tą drogą do Port Massy z głębi łądu. Tego typu wydarzenia były dla Reamsa czymś codziennym, dzisiaj jednak czuł niepokój z uwagi na rodzaj dostarczanego towaru. Willum Reams był bystrym, bezlitosnym przodownikiem, szanowanym w półświatku Port Massy, miał jednak ostrożną naturę. W przeciwieństwie do swego szefa nie popisywał się bogactwem i nie lubił przyciągać do siebie uwagi. Ubierał się dość skromnie i jeździł zwyczajnym, niezawodnym brockiem. Był majątny, ale nie demonstrował tego i w interesach zawsze zwracał uwagę przede wszystkim na liczby. Szef Kromner go cenił, ponieważ Reams nigdy nie zapomniał o tym, że najważniejszym zadaniem przodownika jest dbanie o zyski paczki.

Reams nie zgadzał się jednak z szefem, gdy chodziło o jadeitowy interes. Nie ulegało wątpliwości, że można było na tym zarobić. Chętni do kupna klejnotów przysyłanych im przez keczków już ustawiali się

w kolejce – bogaci kolekcjonerzy, inne paczki, prywatne milicje, najemnicy i firmy ochroniarskie, a nawet ten kult z północy, któremu przewodził religijny maniak podający się za nowe wcielenie Wieszcza. Najwyraźniej wszyscy nagle zapragnęli zielonych kamieni. Ten syf leżał w ziemi od tysiącleci, ale ludzie zachowywali się tak, jakby był nowym odkryciem. Reams nie ufał mądrości tłumów. Większość ludzi była głupia, a jego zdaniem jadeitowy biznes był zanadto ryzykowny. Przyciągnie zbyt wiele uwagi. Hazard i narkotyki rząd uważał za moralne uchybienia niszczące oddających się im ludzi, ale niezagrażające tym, którzy naprawdę rządzą krajem, czyli stowarzyszeniom zawodowym. Natomiast jadeit mógł wzmocnić niebezpieczne zbrojne organizacje, zdolne zagrozić porządkowi prawnemu oraz władzy politycznej. A ponieważ nie można go było używać bez SN1, władze z pewnością uderzą również w handel narkotykami, który tradycyjnie zapewniał ich paczce największe zyski.

Zdaniem Reamsa najpoważniejszy problem polegał jednak na tym, że handel jadeitem oznaczał konieczność współpracy z keczkami. Mógł robić interesy z zachodniakami i ygutami, a nawet z szociakami i tuniakami, jeśli musiał, ale keczki budziły w nim szczególną niechęć. Miały w sobie coś nienaturalnego i nie ufał im nawet w najmniejszym stopniu.

Widział, że jego ludzie również są podenerwowani. Pats podszedł do niego.

– Na jaja Wieszcza, Chudziak, jak długo mamy tu sterczeć i odmrażać sobie dupy? Nigdy przedtem się nie spóźniali. Coś tu nie gra.

Reams rozumiał podejrzliwość płaszcza: by zminimalizować ryzyko przechwycenia przez władze, cały transport jadeitu podzielono na cztery części, które docierały do portu w odstępach od trzech do sześciu tygodni. Dzięki pomocy dokerów z paczki z Wormingwood wszystkie przechodziły tuż pod nosem straży portowej i trafiały w ręce Reamsa w różnych punktach rzeki. Pierwsze transporty przybyły gładko, nie było więc powodu przypuszczać, że tym razem nie będzie tak samo, pomijając fakt, że jeśli keczki chciały ich oszukać, to będzie ich ostatnia szansa.

W tej samej chwili warkot silnika motorówki uciszył Patsa. Z mroku pod mostem wyłoniły się światła zbliżającej się łodzi. Snop blasku skrzył nagle, zbliżając się do nabrzeża, na którym stali Reams i jego ludzie. Na łód wyszedł niski, wyraźnie utykający mężczyzna. Wyglądał na Kekończyka, ale dwaj towarzyszący mu ciemnoskórzy ludzie z pewnością nimi nie byli. Być może pochodzili z tych tropikalnych wysp na Wschodnim Amaryku,

ale Reamsowi trudno było przyjrzeć się im dokładniej. Wspólnie wynieśli na brzeg ciężką metalową skrzynię. Utykający keczek uniósł pokrywę i oświetlił wnętrze skrzyni latarką, by Reams mógł zobaczyć, co jest w środku: nieoszlifowane kamienie różnych rozmiarów; wszystkie nacięto, by odsłonić zielony blask wewnątrz.

– Dwadzieścia pięć kilo – oznajmił mężczyzna. – Chcesz zważyć?

Reams potrząsnął głową. Żaden z poprzednich transportów nie był oszukany. W gruncie rzeczy wszystkie ważyły ponad trzydzieści kilo. Gdy wspomniał o tym fakcie, Kekończyk tylko wzruszył ramionami.

– Zawsze dajemy więcej, by pośrednik też dostał swoją działkę.

Pośrednik. To był on, przodownik. Ten, który wykonywał całą robotę i podejmował ryzyko, podczas gdy tłuści szefowie, tacy jak Kromner, siedzieli sobie bezpiecznie w ciepłe, pili brandy i palili cygara. Reams przypomniał sobie mężczyznę towarzyszącego Daukowi podczas spotkania, młodego przedstawiciela klanu z Kekonu, który zadawał Kromnerowi szczegółowe pytania, nim zaakceptował zawarcie umowy. Keczki wcale nie były takie niecywilizowane, jeśli rozumiały, że kluczem do sukcesu operacji jest kompetencja przodownika, tego, kto wykonuje całą robotę, i dorzucali premię za to, że dopilnował, by wszystko przebiegło gładko. Mimo że Reams sceptycznie podchodził do handlu jadeitem, brał sobie około pięciu kilogramów z każdego transportu i składował ten towar w bezpiecznym miejscu, by on i jego najbardziej zaufane płaszcze mogli działać na własną rękę, bez wiedzy pozostałych członków paczki, gdy nadejdzie odpowiednia chwila. To było zabezpieczenie, na wypadek gdyby Kromnera spotkało coś złego. Resztę jadeitu dostarczali do przemysłowego magazynu, gdzie inny przodownik Kromnera, Moth Duke, wraz ze swoimi płaszczami, nadzorowali prace noszących ołowiane rękawice imigrantów, tnących i szlifujących jadeit, który następnie pakowano i wysyłano do nabywców.

Reams zamknął skrzynkę.

– Idź po forszę – rozkazał Patsowi.

Płaszcz poszedł do samochodu i po kilku minutach wrócił z walizką. Postawił ją na pokrywie skrzynki i zaczął wyjmować pliki stuthalirowych banknotów.

– Chcesz policzyć? – zapytał Kekończyka z lekko szyderczym uśmiechem.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Espeńczycy zawsze dobrze liczą pieniądze.

Zamknął walizkę, podniósł ją i wrócił do motorówki, nie odzywając się już ani słowem. Reams skinął na Coopa i Bairna, rozkazując im podążyć za sobą. Gdy byli w połowie drogi do pojazdu, ujrzeli przed sobą dwie pary reflektorów. Z czarnych samochodów wysiadło ośmiu mężczyzn.

Bliźniacy Breuer natychmiast sięgnęli po broń. Reams również wyciągnął anleva, lecz nagle usłyszał głos Motha Duke'a.

– Chudziak, czy to ty? – zapytał drugi przodownik zatroskanym głosem.

– Aha, Moth. To ja. Kurwa, powiedz chłopakom, żeby skierowali fullertony gdzie indziej. – Płaszcz Duke'a trzymały w rękach pistolety maszynowe skierowane ku nabrzeżu. – Co tu, do chuja, jest grane, Moth? Dlaczego jesteście tutaj, zamiast czekać na nas w magazynie?

– Doszły do nas słuchy, że będzie gorąco, Chudziak. Że to pułapka. – Duke ruszył naprzód i stanął przed swoimi ludźmi. Jego masywna sylwetka rysowała się w blasku reflektorów. Reams zawsze uważał, że drugi przodownik wygląda jak małpa w garniturze. – Dlatego przyjechaliśmy tu, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku, i pomóc wam, gdyby keczki zrobiły jakiś numer. Macie kamienie?

– Aha, mamy – potwierdził Reams.

– Wszystkie? – zapytał Duke.

Gdy Chudziak usłyszał nutę chciwości, z jaką Moth Duke wypowiedział to słowo, natychmiast się zorientował, że go zdradzono. Odwrócił się i popędził w stronę nabrzeża. Płaszcz Duke'a otworzyły ogień, przeszywając kulami Coopa i Bairna. Silnik motorówki włączył się z głośnym rykiem. Próbującą panicznej ucieczki łódź zasypał grad kul. Reams zauważył, że keczek zatoczył się do tyłu i wypuścił walizkę, która wypadła za burtę.

Chudziak skoczył do czarnej wody. Gdy zamknęła się nad nim, zimno przeszło go szokiem tak bolesnym, że przez moment myślał, iż naprawdę go zabili. Potem poczuł, że opada w toń Camres, i wyobraził sobie, że jego ciało spoczywa na dnie zanieczyszczonej rzeki obok kości ludzi, których wrzucił do niej w minionych latach, i instynkt przetrwania obudził się w nim raptownie, przywracając mu jasność myślenia. Zrzucił buty i płaszcz, ciągnące go w stronę dna, a następnie zanurkował i popłynął przed siebie. Nie wiedział, dokąd zmierza ani kiedy się wynurzy, nie miał pojęcia, czy Pats, Carson i jego pozostałe płaszcze jeszcze żyją, był jednak pewien jednego...

Moth Duke nie odważyłby się zaatakować drugiego przodownika bez niewypowiedzianej zgody szefa. To oznaczało, że Kromner, człowiek, któ-

remu Chudziak wiernie służył przez wiele lat, pragnie jego śmierci.

# ROZDZIAŁ 45

## OBIETNICA W PARKU

Wen była zła na męża. Rzecz jasna, rozumiała, że filarowi zawsze brakuje czasu, a obowiązki wobec klanu muszą mieć pierwszeństwo przed wszystkim innym, ale w obecnej chwili to wcale nie poprawiało jej samopoczucia. Kiedy Hilo przebywał z rodziną, zawsze miał wesoły nastrój i poświęcał im wiele uwagi. Siłował się z chłopcami, ganiał się z nimi i słuchał ich dziecięcych słów, jakby nie miał na głowie nic innego. Gdy jednak jakaś klanowa sprawa wymagała jego skupienia, z reguły chciał ją załatwić jak najszybciej, a to oznaczało, że wyznaczone terminy spotkań rodzinnych nigdy nie są pewne. Dzięki ulewie, która nadeszła poprzedniej nocy, letni upał zelżał i temperatura stała się znośna. To był świetny dzień na piknik, ale Hilo nie mógł poświęcić im czasu, mimo że to obiecał. Zamknął się na kilka godzin w gabinecie z przywódcami pomniejszego klanu Kamienny Kubek, by porozmawiać o strajku budowlańców opóźniającym trwające na Eumanie prace, na których zakończeniu zależało Espeńczykom. Potem zgodził się spotkać z przedstawicielami jakiejś humanitarnej organizacji, a całe popołudnie mieli razem z prognostyczką spędzić na naradach z latarnikami.

Wen zjadła śniadanie z braćmi i z synami, a następnie nakarmiła niemowlę, po czym spakowała bagaż na planowaną wycieczkę do parku. Niko i Ru byli niezadowoleni, że ojciec się z nimi nie wybierze, i ciągle próbowali przyciągnąć uwagę Kehna. Róg często pobłażał chłopcom i dawał im smakołyki, gdy Wen nie patrzyła, ale kiedy zasiadł do śniadania, nie dając im przedtem nic zasługującego na uwagę, szybko zaczęła się walka o pistolet na wodę. Popychali się nawzajem, aż wreszcie Ru się rozplakał. Kehn ignorował hałasy, nadal przerzucając gazetę, ale Tar głośno wyraził sprzeciw.

– Hej! – zawołał. Odciągnął chłopców od siebie i posadził na krzesłach za stołem. – Nie wolno się bić. Bracia nie biją się ze sobą.

– On mnie popchnął! – zaprotestował Niko. – Ciągłe zabiera mi zabawki!

– Bądźcie cicho i słuchajcie wujka Tara – skarciła ich Wen, napełniając butelki wodą.

Tar z poważną miną pogroził palcem Nikowi.

– To twój młodszy brat. Powinieneś go dobrze traktować, bo kiedy dorośniesz, będziecie musieli trzymać się razem, rozumiesz? Chodzi o to, by wszyscy wiedzieli, że jeśli sprawią kłopoty któremuś z was, będą mieli do czynienia też z drugim. – Niko gapił się na talerz z naburmuszoną miną. – Nie wierzysz, że to prawda? – zapytał Tar. – Pomyśl o ludziach, którzy przed laty zamordowali twój tatę. Jednemu udało się uciec i myślał, że ujdzie mu to na sucho, ale twój wujek w końcu go znalazł. Wiesz, co zrobił temu złemu człowiekowi?

– Zabił go – odparł Niko, który słyszał już tę historię.

Tar wziął w rękę trzy winogrona i podsunął je pod twarz chłopczyka.

– Wsadził mu trzy jadeity do ust i pochował go żywcem. – Wsunął owoce do ust Nika i zamknął je dłonią, po czym udawał, że nim potrząsa. Po chwili puścił go i pogłaskał czule po włosach. – Dlatego z waszymi wujkami nikt nie zadziera. Trzymajcie się razem. Nie chcę już więcej widzieć, jak denerwujecie mamę, bijąc się o jakieś głupstwo. Musicie zachowywać się lepiej.

– Skończcie śniadanie, bo idziemy do parku – przypomniała im Wen.

Kehn zaproponował, że ich podwiezie – nie miał na dziś żadnych planów poza ćwiczeniami z kilkoma nowymi pięściami, a potem spokojnym popołudniem spędzonym z Liną, która spodziewała się dziecka i musiała leżeć w łóżku – ale Wen obiecała chłopcom, że pojadą autobusem. Park znajdował się zaledwie dziesięć minut drogi stąd, w całkowicie kontrolowanej przez klan Bez Szczytów dzielnicy Zielona Równina. Wen często spotykała na placu zabaw albo w aquaparku żony i dzieci innych wysokich rangą zielonych kości. Tam nie musiała się martwić o bezpieczeństwo. Kyanla wzięła dzień wolny, by odwiedzić starzejącą się matkę, mieszkającą w abujejskiej wiosce plemiennej nieopodal Janloonu, Wen musiała więc sama dźwigać torbę z zapasami i pchać wózek. To zadanie byłoby mniej uciążliwe, gdyby mająca już sześć miesięcy Jaya nie była najbardziej kapryśnym z jej dzieci. Nie mogła wytrzymać w wózku nawet pięciu minut. Hilo żartował, że wyrośnie na jeszcze zieleńszą niż jej bracia, ale Wen odpowiadała



z irytacją, że ten głupi przesąd wymyślono tylko po to, by powstrzymać zdesperowane matki przed duszeniem najbardziej dokuczliwych bachorów.

Rozłożyła koc w ocienionej części trawnika, nieopodal placu zabaw, pozwoliła chłopcom się bawić i zajęła się obserwacją próbującego się czółgać po trawie niemowlęcia. Jaya będzie jej ostatnim dzieckiem. Dała Hilowi syna (a właściwie dwóch synów) i córkę. Kehn i Lina wzięli ślub i również spodziewali się dziecka. Nadal pracowała nad Tarem, ale przyszłość rodziny była obecnie lepiej zabezpieczona. Jaya była jeszcze za mała – a z pewnością tak powiedziałby Hilo – ale dom dla gości odnowiono i Kaul Wan Ria będzie mogła wrócić do Janloonu, by pomagać przy dzieciach. To pozwoli Wen znowu zająć się pracą – zarówno jako dekoratorka wnętrz, jak i przy zadaniach, jakie powierzy jej Shae. Już od kilku lat spotykała się z informatorkami w Niebiańskiej Światłości, była jednak przekonana, że jest w stanie zrobić znacznie więcej. Z ogromną uwagą śledziła sprawy klanowe, o których rozmawiali jej mąż i bracia, a nawet gdy przeszli na inne tematy, zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Prawie nigdy nie zdarzało się jej zapomnieć nazwiska albo twarzy kogoś, z kim się spotkała, co oznaczało, że zna bez mała wszystkich ważnych ludzi w klanie. Nadal chodziła na kursy dekoracji wnętrz oraz języka espeńskiego, a także uważnie studiowała raporty z biura prognostyka, które Shae przynosiła do domu dla Hila, i codziennie czytała gazety, nawet gdy była zmęczona zajmowaniem się dziećmi i miało to być ostatnie, co zrobi przed położeniem się spać.

Robiła to wszystko dlatego, że gdy nocą leżała w łóżku, mąż często dzielił się z nią jakimś problemem, przed którym stał, albo dręczącym go pytaniem, a wtedy mogła mu poradzić: „Powinieneś powiedzieć Kehnowi, żeby zlecił to zadanie Lott Jinowi. On powinien w tym roku awansować na pięść, zgadza się?” albo „I tak masz się w przyszłym tygodniu spotkać z burmistrzem. Czemu nie przyprowadzisz ze sobą tych dwóch latarników, żeby poruszyć ten problem w obecności wszystkich?”.

Hilo zastanawiał się nad jej słowami i odpowiadał: „Też tak sobie myślałem” albo „Nie przyszło mi to do głowy, ale to świetny pomysł, kochanie”. Potem obejmował ją i całował, a gdy problem przestawał go dręczyć, zasypiał po kilku sekundach.

W takich chwilach, na krótko przed tym, nim sama zapadła w sen, Wen czuła, że osiągnęła bardzo wiele. Wiedziała, że naprawdę pomogła rodzinie i klanowi. Przez całe życie dręczył ją straszliwy resentyment: gdyby nie

przysła na świat z wadą, jaką była odporność na jadeit, mogłaby ukończyć akademię i zostać zieloną kością. Teraz jednak doszła do wniosku, że gdyby była inną osobą, mogłaby nigdy nie spotkać Kaul Hila, nie wyjść za niego za mąż i nie mieć z nim dzieci. Być może tak właśnie zrzucił los.

Przygotowała na piknik sałatkę z makaronem, kiszzone ogórki, prażone orzechy i nadziewane bułeczki. Gdy zawołała chłopców na posiłek, rzecz jasna zjedli tylko trochę i znowu pobiegli się bawić. Wen spakowała resztę jedzenia, po czym nakarmiła i przewinęła Jayę. Zobaczyła białą duchesse priza zatrzymującą się przy wejściu do parku i przez chwilę miała nadzieję, że Hilo w jakiś cudowny sposób znalazł trochę wolnego czasu i przyjechał do nich. Potem dostrzegła za kierownicą brata i doszła do wniosku, że filar nadal jest zajęty i poprosił Kehna, by pojechał po rodzinę zamiast niego. Zawołała chłopców, którzy nadal biegali po placu zabaw, i powiedziała im, że pora wracać do domu. Wsadziła Jayę do wózka i pchała go przed sobą jedną ręką, w drugiej niosąc Ru. Kehn otworzył drzwi, by wyjść im na spotkanie.

Nagle duchesse eksplodowała. Pochłonęła ją kula ognia.

W jednej chwili samochód stał przy krawężniku, a w następnej Wen zatoczyła się do tyłu, a w jej gardle uwiązł krzyk. Odruchowo złapała Nika, przytuliła go mocno i obróciła się tyłem do pożaru, by osłonić go przed ogniem. Czowała jego ciepło nawet z odległości pięćdziesięciu metrów. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że drzwi i okna charakterystycznego białego sedana należącego do filaru zniknęły całkowicie. Na ulicy wały się kawałki powyginanego metalu. Z otworów we wraku buchały płomienie i dym. Rodzice biegli z krzykiem po dzieci.

– Niko, złap się wózka Jai i nie puszczaj – rozkazała najstarszemu z dzieci. – Przejdziemy na drugą stronę. Trzymaj się blisko mamy i nie oglądaj się za siebie.

Pchając wózek, zaczęła się oddalać od samochodu. Mocno trzymała Ru i pilnowała, czy Niko robi to, co mu kazała. Cała trójka dzieci płakała ze strachu. Wokół nich ludzie biegali jak szaleni. Niektórzy uciekali od miejsca wybuchu, inni zaś pędzili w jego stronę. Słysząc było krzyki oraz odległe wycie syren, ale nic z tego do niej nie docierało. Jej brat z pewnością zginął. Jej i jej dzieciom nadal groziło niebezpieczeństwo. Szła naprzód z niezachwianą determinacją, skupiała się na kierowaniu wózkiem po trawniku, aż wreszcie znaleźli się na ulicy po drugiej stronie parku. Dłonie zlewał jej pot, ale zdumiewała się, że potrafiła zachować taki spokój. Przeszli

przez ulicę na skrzyżowaniu i podeszła do pierwszego sklepu, w którego oknie wisiała biała latarnia. To był butik z ubraniami dla mężczyzn. Na stojących na wystawie manekinach umieszczono szyte na miarę garnitury, kamizelki oraz filcowe kapelusze. Pod drzwiami stało dwóch sprzedawców, gapiących się na słup dymu i nagłe zamieszanie.

Wen wzięła Jayę na rękę, otworzyła drzwi barkiem i wprowadziła dzieci do środka.

– Kto jest latarnikiem tego sklepu? – zapytała najbliższego sprzedawcę.

Z zaplecza wyszedł wysoki mężczyzna o białych włosach i uniósł cienie brwi ze zdziwieniem oraz lekkim niepokojem na widok Wen i trojga małych dzieci.

– Nazywam się Kaul Maik Wen – zaczęła kobieta, nie dając mu dojść do słowa. – Moim mężem jest Kaul Hiloshudon, filar klanu Bez Szczytów. Muszę skorzystać z twojego telefonu, żeby natychmiast się z nim połączyć. Schowamy się w pokoju na zapleczu i zaczekamy, aż po nas przyjedzie. Jeśli ktoś zapyta, czy nas widziałeś, odpowiedz, że nie, chyba że będziesz miał pewność, iż rozmawiasz z zieloną kością z klanu Bez Szczytów. –

Właściciel gapił się na nią z przerażeniem w oczach. – Jesteś latarnikiem klanu, a to znaczy, że jesteś naszym przyjacielem i mogę liczyć na twoją pomoc.

Właściciel sklepu otworzył i zamknął usta, po czym przełknął głośno ślinę.

– Oczywiście, pani Kaul. Proszę za mną.

Zaprowadził Wen do swojego gabinetu, małego pokoiku wypełnionego próbkami materiałów oraz katalogami. Wziął w rękę telefon i wręczył go Wen. Zadzwoiła do rezydencji. Nikt nie odbierał. Przerwała połączenie i wykręciła numer biura prognostyka. Sekretarka Shae podniosła słuchawkę i poinformowała Wen, że prognostyczka i filar są na spotkaniu w Białej Latarni. Wen kazała jej wysłać kogoś, kto ich zawiadomi, że stało się coś strasznego. Podała sekretarce numer sklepu i zakończyła rozmowę.

\* \* \*

Hilo zjawił się po dwudziestu minutach. Strażacy ugasili już pożar i po parku oraz na okolicznych ulicach kręciło się kilkanaście zielonych kości z klanu Bez Szczytów oraz janloońskich policjantów. Wen nadal siedziała

na zapleczu sklepu i nie wyglądała na zewnątrz, by sprawdzić, co się dzieje albo dowiedzieć się, czy znaleziono jakieś szczątki jej brata. Gdyby bomba wybuchła dwie minuty później, zginęłaby razem z dziećmi. Myślała tylko o tym, by zapewnić im bezpieczeństwo, ukryć je przed spojrzeniami nieprzyjaciół, którzy mogli nadal obserwować okolicę. Sprzedawcy przynosili jej wszystko, co mogło zaprzętnąć uwagę chłopców – papier i ołówki, paczkę krakersów, trochę starych katalogów, pudełko z kredą. Wen kołysała Jayę w ramionach i karmiła Ru krakersami. Wreszcie usłyszała, że drzwi się otworzyły. Potem rozległ się głos wołającego ją po imieniu Hila. Pobieгла na front sklepu i omal nie osunęła się w ramiona męża w paroksyzmie ulgi.

Ręce Hila drżały. Obejmował ją tak mocno, że ledwie mogła się ruszać. Twarz miał zbiełałą ze strachu. Nigdy dotąd nie widziała, by jej mąż przeraził się aż tak bardzo. To właśnie – bardziej niż cokolwiek innego – uzmysłowiło jej, że wszystko to wydarzyło się naprawdę. Do tej pory, dbając o spokój własny i dzieci, nie przelała ani jednej łzy i starała się, by jej głos niczego nie wyrażał. Teraz zaniosła się zdławionym płaczem.

Niko i Ru wybiegli z zaplecza i objęli nogi Hila. Pochylił się, wziął obu na ręce i pocałował ich w główki oraz w buzie, ignorując spojrzenia sprzedawców oraz oddziału zielonych kości, które przybyły tu z nim. Kiedy się wyprostował, jego twarz odzyskała kolor.

– Juen, przyprowadź tu dwa swoje palce. Niech odwiozą moich bliskich do domu. Powierzam ci ich życie.

– Już się robi, Kaul-jen – odpowiedział pierwsza pięść.

– Shae spotka się z tobą w domu – poinformował Wen Hilo. – Wróć, gdy tylko będę mógł.

– Czy Tar już wie? – wyszeptwała.

Hilo potrząsnął głową. Na jego twarzy malował się głęboki żal. Wen poczuła, że oczy znowu zachodzą jej łzami.

– Wracaj do domu – polecił jej Hilo łagodnym, ale stanowczym tonem. – Zajmij się dziećmi.

Wen złapała męża za ramię z gwałtownością zaskakującą nie tylko dla niego, lecz również dla niej samej.

– Powiedz mi, że znajdziesz ludzi, którzy to zrobili. – W głębi ducha czuła, że jej spokój się rozpada, że wszystko ogarnia niepowstrzymana burza ognia. – Bez względu na to, kim są, gdzie się ukrywają, czy jak wiele czasu ci to zajmie. Przysięgnij, że znajdziesz ich i zabijesz.

Przyjrzała się jego twarzy i znalazła w niej to, czego szukała. Mroczną groźbę w jego oczach, szok i strach przeradzające się w zapowiedź przemocy. Hilo objął dłońmi głowę żony i dotknął czołem jej czoła.

– Przysięgam.

# ROZDZIAŁ 46

## NIEWYBACZALNE

Shae błyskawicznie wróciła do domu z Dzielnicy Finansowej i przekonała się, że rezydencja Kaulów zmieniła się w fortecę. Tylko bliskim krewnym i najbardziej zaufanym pięściom Hila pozwalano wchodzić na teren albo go opuszczać. Sądząc po tym, kiedy opuścił dom, Maik Kehn pojechał prosto do parku, nie zatrzymując się nigdzie po drodze, jedyne wyjaśnienie brzmiało więc tak, że ktoś dotarł do samochodu, gdy stał w rodzinnym garażu, i umieścił w nim bombę z zapalnikiem czasowym. Ten tchórzliwy atak przeprowadził ktoś z wewnątrz.

Shae ledwie była w stanie to pojąć. Wszyscy zaproszeni na wesele goście byli członkami klanu albo powiązani z nim ludźmi. Winni mogli nadal ukrywać się na terenie posiadłości bądź w okolicy. Strażników i personel przesłuchiowano po kolei. Zatrzymano również członków klanu Kamienny Kubek, z którymi rozmawiał przedtem Hilo, a także przedstawicieli organizacji non profit. Wysłano dwa palce, żeby sprowadziły Kyanłę. Wydawało się podejrzane, że Abukei była nieobecna akurat tego dnia, choć Shae nie potrafiła sobie wyobrazić, by ich wieloletnia gosposia była współniczką tak odrażającego czynu.

Wen i dzieci byli bezpieczni w rezydencji. Cały dom dokładnie przeszukano, starając się wytropić wszelkie możliwe zagrożenia. Shae nie była pewna, czy żonę Kehna zawiadomiono już o śmierci męża. Nie było trudno zgadnąć, że bombę przeznaczono dla Hila. Wszyscy w mieście wiedzieli, że ogromna biała duchesse była jego własnością. Kehn pojechał nią po Wen i dzieci na prośbę filaru. Jego potężny czarny victor mx sport był w warsztacie. Wymieniano mu gaźnik.

Shae przyjęła założenie, że za atakiem stoi Ayt Mada. Dwa lata tak zwanego pokoju między klanami nie znaczyły, że zrezygnowała z długofalowego celu pozbawienia życia jej brata. Shae odbierała telefony w swym

gabinecie i utrzymywała połączenie konferencyjne z Woonem oraz najważniejszymi pracownikami ze Statkowej. Telewizja podała wiadomości o ataku i biuro prognostyka zasypywano niespokojnymi pytaniami o to, czy to początek nowej wojny klanowej. Nie potrafiła na nie odpowiedzieć, ale kazała swoim ludziom mówić wszystkim, że na razie nie wyciągnięto żadnych wniosków. Nadal miała wątpliwości. Gdy Ayt Mada wyszeptała czyjeś imię, wszystko było dobrze przemyślane i perfekcyjnie zorganizowane, a zamachowcy wykonywali swe zadanie z bliska. Umieszczenie bomby w samochodzie było bezosobowym, skrytym, tchórzliwym uczynkiem kogoś o rzadkiej krwi, beztroskim złamaniem *aisho*, mogącym pozbawić życia wiele niewinnych osób. Zielone kości tak nie postępowały.

Juen zapukał do drzwi gabinetu i wszedł do środka. Jego jadeitowa aura wibrowała od niecierpliwości i ekscytacji.

– Kaul-jen... – odezwał się pierwsza pięść dziwnie pozbawionym wyrazu głosem. – Pod bramą właśnie pojawił się człowiek, który twierdzi, że to on jest odpowiedzialny za zamach.

Żołądek Shae wypełniły gwałtowne mdłości strachu. Nagle sobie uświadomiła, że z całą pewnością nie chce zobaczyć tego, co ma jej do pokazania Juen. Mimo to wstała i podążyła za pięścią. Na podjeździe sześć zielonych kości otaczało klęczącego mężczyznę. Znajomość jego aury uderzyła ją, nim jeszcze go zobaczyła. Maro wyglądał, jakby nic mu się nie stało, ale jego beżowe spodnie były brudne, a niebieska koszula wymiętoszona. Widok klęczącego Mara pilnowanego przez ludzi uzbrojonych w guan dao wydawał się tak nedorzeczny, że Shae nie wierzyła własnym oczom. Zatrzymała się nagle, jakby jej stopy wrosły w ziemię.

Maro zobaczył ją i zaczął się podnosić, ale jeden z ludzi Juena położył dłoń na jego ramieniu i popchnął go brutalnie w dół.

– Pozwólcie mu wstać – sprzeciwiła się Shae, lecz on nie próbował po raz drugi. Pozostał na miejscu i spoglądał na nią z rozpaczą.

To nie miało sensu. Maro nie mógłby zaplanować zamachu bombowego. Rozstali się w gniewie, co wypełniało ją smutkiem i żalem, ale wiedziała, że nie jest z natury mściwy. Nie miał też żadnych powiązań w klanie, nie lubił przemocy i bez względu na to, jak bardzo zły był na nią, zabójstwo Hila nic mu nie dało.

– Obiecali, że nie skrzywdzą nikogo innego – odezwał się cicho. – Nie zgodziłbym się na współpracę, gdybym wiedział, że mogą zaszkodzić tobie albo dzieciom.

Gdyby w pobliżu stał ktoś, kogo mogłaby się złapać, żeby utrzymać się na nogach, zrobiłaby to.

– To spotkanie z Hilem, o które prosiłeś kilka miesięcy temu, odbyło się dziś rano. – Zrozumienie wbiło się w jej stawiający opór umysł niczym klinga. – W ten sposób zamachowcy dostali się do środka.

Twarz Mara zmarszczyła się jak kartka papieru.

– Spotkanie było autentyczne. Żaden z ludzi z Czterech Cnót o niczym nie wiedział. Przysięgam na własne życie. Poproszono mnie jedynie o to, bym w ostatniej chwili dodał do listy dwóch fałszywych studentów, jako stażystów. Powiedzieli mi, że chcą tylko zobaczyć się z filarem. Nie podali żadnych szczegółów.

Juen wciągnął powietrze między zębami. Myśl, że wrogowie mogliby zaatakować filar w jego własnym domu, była czymś niewyobrażalnym. Wszystkie spotkania Hila musiał zaaprobować filarowy, prognostyczka albo róg. Strażnicy Postrzegliby wrogie zamiary zamachowca i nie pozwoliliby mu zbliżyć się do celu. Nie miałyby też szans ująć z życiem. Jednakże jeden albo dwóch nieuzbrojonych gości, dodanych do zaaprobowanej grupy i mogących uchodzić za jej członków, a także nienoszących jadeitu, nie wzbudziłoby podejrzeń. Gdy już znaleźli się w środku, mogliby odłączyć się od pozostałych i dotrzeć do znajdującego się w pobliżu garażu. Ze zrozpaczonej miny Mara łatwo było wyczytać, że choć był uczestnikiem spisku, nie spodziewał się podłożenia bomby, podobnie jak członkowie klanu.

– Kim byli? – Shae czuła się, jakby wbito jej nóż w klatkę piersiową i nie była w stanie go wyciągnąć. – Kto się z tobą skontaktował?

Maro potarł oczy kłębami dłoni.

– Było ich trzech. Szef był półkrwi Szotarczykiem i nosił ukryty jadeit. Pozostali mówili na niego Soradiyo.

– *Barukan* – warknął Juen. – Słyszałem to imię. To werbownik skorpen pracujący dla Zapunya.

Niecierpliwe spojrzenia oraz aury otaczających ją pięści i palców były dla Shae niczym gorący fizyczny nacisk. Spojrzała na Juena. – Pozwól mi porozmawiać z nim w cztery oczy przez kilka minut. Proszę – dodała ciszej po chwili, ponieważ jako prognostyczka nie miała władzy nad pięściami, a po śmierci Maik Kehna Juen Nu pełnił obowiązki rogu klanu Bez Szczytów.

Juen przesunął powoli wzrok na klęczącego na ziemi jeńca, po czym znowu spojrzał na prognostyczkę. Skinął na pozostałe zielone kości, naka-



zując im się odsunąć, ale sam nie ruszył się z miejsca.

– Postąpiłbym nieodpowiedzialnie, pozwalając ci zostać z tym człowiekiem sam na sam, Shae-jen.

Uświadomiła sobie, że te słowa płynęły nie tyle z troski o nią, ile z pragnienia przypomnienia jej, że jako róg jest równy jej rangą i ma prawo usłyszeć wszystko, co zostanie tu powiedziane, ponieważ może to dotyczyć bezpieczeństwa klanu. Nie próbowała się sprzeciwić. Czuła ucisk w gardle i bała się, że za moment może się ono zamknąć całkowicie. Podeszła do Mara i uklękła naprzeciwko niego, by ich oczy znajdowały się na tym samym poziomie.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Suchy, pełen żalu szept, który wydostał się z jej gardła, w ogóle nie przypominał jej głosu. – Czy aż tak bardzo cię skrzywdziłam?

Oczy Mara wypełnił smutek.

– Tak. Ale nie o to chodziło. – Skrył twarz w dłoniach. – Dotarli do mnie, Shae. W Szotarze gangi *barukanów* są bardzo potężne i bezlitosne. Wiedzieli, że odwiedzam Leyolo i często tam dzwonię. – Barki Mara drżały. Jego głos był stłumiony. – Początkowo próbowali szantażować mnie tą informacją, a kiedy ich ignorowałem, przysłali mi zdjęcia ojca. A także moich sióstr i małych siostrzenic, zrobione przez okna ich domów. Fotografie zrobione z bliska na ulicy, w szkole, na placu zabaw. Powiedziano mi, że jeśli nie spełnię żądań Soradiya, stanie im się coś złego. I nigdy się nie dowiedzą, z jakiego powodu.

Shae złapała go za przedramiona i odciągnęła jego dłonie od twarzy.

– Czemu mi nie powiedziałaś? Coś byśmy zrobili. Zapewnilibyśmy ochronę twojej rodzinie, wykończylibyśmy *barukana*...

Maro uniósł wzrok. Umilkła, widząc złowrogie oskarżenie w jego oczach.

– A czy ty komuś powiedziałaś, kiedy czułaś się zagrożona? Gdy sobie uświadomiłaś, że nie masz wyboru?

Nie potrafiła mu odpowiedzieć. Wieczorem po ślubie Wooną był wyraźnie podenerwowany. Chciał z nią porozmawiać. Liczył na pojednanie. Ale zamiast mu je ofiarować, powiedziała mu prawdę, choć wiedziała, że to będzie oznaczało zerwanie.

Maro opuścił barki i odwrócił twarz.

– Soradiyo zagroził, że jeśli powiem komukolwiek choć jedno słowo, *barukani* porwą moje siostrzenice i będą mi przysłali ich maleńkie paluszki,

jeden po drugim. Może to był blef, ale nie ośmieliłem się go sprawdzić. Siostry miło mnie przyjęły, mimo że są Szotarkami, a ja jestem Kekończykiem. Uczyniły mnie częścią swego życia i życia swoich dzieci. Nie mogłem narazić ich na niebezpieczeństwo. – Zacisnął zęby. Do jego głosu wkradła się gorycz. – Ty nigdy nie wprowadziłaś mnie do swojego. Trzymałaś mnie na dystans, miałaś przede mną tajemnice, nawet mi nie powiedziałaś, że postanowiłaś się pozbyć...

Umilkł, zerkając na Juena, nadal stojącego obok i przyglądającego się im z uwagą.

Zacisnął usta. Jego spoczywające na kolanach dłonie splotły się ze sobą tak mocno, że aż zbieleły mu kostki. Miał na mankietach ślady kredy, szczególnie, do którego Shae tak mocno przyzwyczaiła się podczas ich znajomości, że czuła się zdumiona, iż zauważyła go w takiej chwili, jakby to było coś zupełnie nowego.

– Mówisz, że zapewnilibyście ochronę mojej rodzinie, ale prawda wygląda tak, że klany chronią wyłącznie siebie. Czy klan Bez Szczytów rzeczywiście pomógłby obcym, zwłaszcza Szotarczykom? Nie chcecie nawet przeciwstawić się Espeńczykom w sprawie oortokańskich uchodźców. – Maro pokręcił głową. – Klany zielonych kości władają Kekonem, ale wyłącznie nim. Gdyby *barukani* postanowili zaatakować rodziny moich siostr w Szotarze, znaleźliby na to sposób. I kogo na Kekonie by to obeszło, oprócz mnie? Nie mogłem podjąć tak strasznego ryzyka. Wiedziałem, że spróbują zamordować twojego brata. W jakim innym celu mogliby pragnąć dostać się do posiadłości? Ale ty już wybrałaś klan, a nie mnie, musiałem więc postawić bezpieczeństwo swojej rodziny przed twoją i spełnić ich żądania.

– W takim razie dlaczego tu przyszedłeś?! – zawołała Shae bliskim gniewu głosem. – Jeśli *barukani* rzeczywiście są tacy potężni, jak mówisz, dlaczego nie poprosiłeś ich, żeby pomogli ci uciec za granicę?

Z ust Mara wyrwał się cichy, bezradny chichot.

– Kto przy zdrowych zmysłach uwierzyłby, że może uciec przed sprawiedliwością klanu? Jeśli chodzi o gwałtowne wymierzanie sprawiedliwości, zielone kości nie mają sobie równych. Wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny. Gdyby twój brat wyszeptał moje imię, do końca życia byłbym chodzącym trupem, czekającym na wykonanie wyroku. Tak przynajmniej mogłem spojrzeć ci w oczy i wytłumaczyć się przed tobą.

Resentyment zniknął z jego twarzy. Patrzył teraz na nią ze smutkiem i rezygnacją.

– Nigdy nie wyobrażałem sobie czegoś takiego, Shae. Śmierć od klingi jest... dla bardziej zielonych mężczyzn. Zadowolilibym się książkami, rozmowami i od czasu do czasu głupim romantycznym musicaliem. To, co mieliśmy, przez krótką chwilę, było rzeczywiste i doskonałe. – Uśmiechnął się blado, po czym westchnął z fizycznym wysiłkiem i otarł pot z czoła rękawem koszuli. – Proszę, zrób to szybko.

– Powiedz nam, co jeszcze wiesz o Soradiyu i innych *barukanach*, którzy się z tobą skontaktowali. Kim są ci, którzy przyszli tu dzisiaj z bombą? – zażądał Juen bez cienia współczucia.

– To było dwóch młodych mężczyzn. Pracowali dla Soradiya. Mogę ich opisać, ale nie wiem, jak się nazywali. *Barukan* dopilnował, żebym nie dowiedział się zbyt wiele.

W aurze Mara nie wyczuwało się fałszu. Gdy udzielił im jeszcze nieznacznych posiadanych informacji, Juen wezwał skinieniem dłoni jednego ze swych starszych rangą palców, Lotta.

– Skontaktowałeś się z filarem? – zapytał.

– Już tu jedzie – odpowiedział Lott.

Juen spojrział na Mara, a potem na zegarek. Wina więźnia nie ulegała wątpliwości. Dopuścił się nie tylko zdrady klanu, lecz również zamachu na rodzinę filaru. Gdyby ktoś był pięścią obdarzoną choć odrobiną inteligencji, z pewnością zaczekałby na rozkazy Hila.

Shae wstała wypełniona nagłym strachem.

– Czy Maik Tar jest z Hilem?

– Tak sędzę – odparł Juen.

Dopadły ją mdłości. Tar wpadnie w szal. Rozerwie Mara na strzępy. To będzie trwało wiele godzin, być może nawet dni. Hilo mógłby położyć temu kres, ale właśnie stracił swój róg, człowieka, którego uważał za brata. Jego własna żona i dzieci omal nie zginęły. Shae nie mogła liczyć na jego łaskawość.

Maro wyczytał tę straszliwą świadomość w twarzy Shae bądź Postrzegł ją w jej aurze. Resztki koloru odpłynęły z jego twarzy, ustępując miejsca prawdziwemu strachowi.

Kończyny Shae zrobiły się ciężkie jak ołów. Wypełniła ją fala *déjà vu*. Przypomniała sobie chwilę, gdy w chacie w Opii została sam na sam z Yun Doruponem. Opowiadała o tym Marowi. „Nie mogłam go zabić”. Nienawi-

działa Doru od lat, ale w chwili próby nie była w stanie wyciągnąć broni. Podeszła do Juena. Jej twarz zmieniała się w maskę ukrywającą wszelkie emocje.

– Juen-jen... – zaczęła. – Jeśli masz zostać rogiem klanu Bez Szczytów, od tej chwili będziemy współpracować. Wiem, że mój brat i Maik Kehn dobrze mówili o tobie, i chciałabym, żeby nasza współpraca zaczęła się pomyślnie. – Odchrząknęła, by zwilżyć nieco gardło. – Tau Maro zdradził nie tylko klan, lecz również moje osobiste zaufanie. Nie ulega wątpliwości, że musi umrzeć. Zgadzasz się z tą opinią?

Juen przeszył ją długim, wykalkulowanym spojrzeniem, było w nim jednak widać współczucie. Nie mianowano go jeszcze oficjalnie rogiem i przekroczyłyby swoje uprawnienia, podejmując bez skonsultowania się z filarem decyzję w sprawie o tak wielkim osobistym znaczeniu dla rodziny Kaulów. Jednakże Shae była prognostyczką, a on nie chciał się z nią spierać ani nie miał do tego powodu.

– Zgadzam się, Kaul-jen. Wszystko to jest prawdą.

Shae wróciła do Mara i uklękła przed nim. Nawiedził ją przyprawiający o mdłości strach, że może osunąć się na ziemię.

– Przykro mi – zdołała wykrztusić.

Maro skinął z wdzięcznością głową. Ujął rękę Shae w swe wielkie dłonie, a potem uniósł ją do twarzy i dotknął nią policzka, jakby mogło to dać coś w rodzaju pocieszenia.

– Może i jestem tchórzem, ale ty masz odwagę – rzekł i pochylił się, łaskocząc brodą wewnętrzną powierzchnię jej dłoni. Zamknął oczy.

Shae objęła dwiema dłońmi jego głowę oraz szyję. Jego życie pulsowało pod jej dotykiem, a jadeitową aurę przebiegały małe fale cierpienia i żalu, ale nie wypaczały jej już gniew ani strach.

Trudno jej było oddychać. Zacisnęła powieki i wyobraziła sobie, że jest kolumną lodu, kimś takim jak Ayt Madashi, zbudowanym z niezachwianej determinacji i niezłomnej stali. Ze stłumionym, nieartykułowanym krzykiem skupiła całą swą jadeitową energię i Przeniosła ją do podstawy jego czaszki. Nie stawiał oporu, nie przywołał nawet najsłabszej Stali. Jego energia ustąpiła przed energią Shae, aura rozdarła się i umknęła. Naczynia w jego mózgu pękły i umarł po kilku sekundach.

Złapała go, gdy opadł w jej ramiona. Ostrożnie położyła jego ciało na asfalcie, a potem osunęła się na nie, gdy przepłynęła przez nią fala jego uciekającego życia. Uczepiła się jej przez mgnienie oka, pragnąc podążyć

za nią w nieznaną pustkę, ku której zmierzała, ale wymknęła się jej i Shae została sam na sam z ciałem. Obróciła je na plecy. Oczy nadal były zamknięte, a twarz miała niewypowiedzianie smutny, ale spokojny wyraz. Pocałowała go w czoło, a potem w obie zamknięte powieki, po czym wstała. Juen i jego ludzie otoczyli ją kręgiem, ale nie odzywali się ani nie podchodzili bliżej.

Odwróciła się i ruszyła w stronę domu prognostyka. Gdy pokonała połowę drogi, powróciły wspomnienia – najpierw powoli niczym strużka ciekąca ze ściany, w której pojawiły się pierwsze szczeliny – lecz wkrótce przerodziła się w gwałtowny nurt płynący z pękniętego muru. Długie rozmowy i chwile czułości, ogień pojawiający się w oczach Mara, gdy podekscytował go jakiś pomysł, jego łagodny uśmiech, znużone ciepło ich złączonych ciał. O dziwo, nie zwolniła kroku, nie potknęła się, nie upadła ani nie zaczęła biec, miała jednak mroczki przed oczami i ledwie widziała drzwi wejściowe, gdy już do nich dotarła. Gdy wreszcie znalazła się we własnym domu i została sama, zamknęła za sobą drzwi, zrobiła trzy kroki i osunęła się na podłogę. Z jej ust wyrwało się przeciągłe, nieartykułowane wycie, rękę przyciskała do boków, a czołem dotykała podłogi, jakby odbywała wieczną pokutę.

# ROZDZIAŁ 47

## POWRÓT DO PRACY

Przez tydzień Shae prawie w ogóle nie opuszczała domu. Ubrała się i poszła na pogrzeb Kehna, ale wszystko było dla niej zamazaną plamą złożoną z chodzenia, recytowania i pełnego złości milczenia. Hilo był zdruzgotany śmiercią swego rogu. Mocno ścisnął dłoń Wen i nie spuszczał z oczu dzieci. Tar padł na ziemię przy grobie brata i płakał jak dziecko. Potem jego spojrzenie zrobiło się puste, jakby w ogóle nie był tu obecny, poza chwilą, gdy Shae przeszła obok niego i poczuła, że jego spojrzenie padło na nią na chwilę, a aurę wypełniła gorzka wywołana świadomością, że dała Marowi bezbolesną śmierć.

Nie potrafiła się zdobyć na to, by porozmawiać z nim i powiedzieć mu, że ona również oplakuje śmierć Kehna. Początkowo nie znała braci Maik zbyt dobrze i uważała ich tylko za sługusów brata, ale w ostatnich latach zmieniła tę opinię. Widziała, jak Kehn dorósł do roli rogu, jadła z nim kolacje przy rodzinnym stole i poznała go jako lojalnego i niebezpiecznego człowieka, pełnego cichej zaciętości. Produktywna współpraca między dwiema stronami klanu była co najmniej w połowie jego zasługą. Hilo nalegał, by Kehna pochowano obok wielkiego grobowca rodziny Kaulów, a nie na małym, opuszczonym poletku, na którym spoczywał jego okryty nieślawą ojciec, Shae podsłuchiwała jednak, że wybuch nie pozostawił zbyt wiele szczątków. Prochy Kehna zajmowały bardzo niewielką część stalowej skrzynki. Rola rogu była niebezpieczna i ten, kto piastował to stanowisko, mógł się spodziewać, że odda życie dla klanu – tyle że walcząc z bronią w rękę, a nie w taki sposób.

Wróciła do domu. Woon nadal kierował biurem prognostyka pod jej nieobecność. Kyanla przynosiła z rezydencji posiłki i zostawiała je w lodówce, gdzie przeważnie stały nietknięte. Po śmierci Lana Shae już po kilku dniach udała się do wieżowca na Statkowej i przejęła stanowisko po Doru. Gdy

zmarł jej dziadek, żałowała go głęboko, ale natychmiast wróciła do pracy. Tamte tragedie złamały jej serce, ale nie wyrwały kawałka duszy. Tym razem nie była w stanie funkcjonować. Nie chciało się jej wstawać z łóżka, ubierać ani jeść. Nie obchodziło jej też, co się dzieje z klanem pod jej nieobecność.

Zabijała przedtem w walce, ale nigdy nie uważała się za morderczynię, jak teraz. Wszystkie próby trzymania Mara na dystans od klanu oraz nieuniknione decyzje, które podejmowała jako prognostyczka, zraniły go i naraziły na niebezpieczeństwo, a w końcu doprowadziły do jego śmierci. Kochała go. Zadawała sobie pytanie, czy w ogóle o tym wiedział, czy kiedykolwiek mu to powiedziała. Świat potrzebował więcej ludzi takich jak Tau Maro, a ona własnoręcznie położyła kres jego życiu.

Podczas tej izolacji często modliła się do bogów, a w innych chwilach wściekała się na nich i przeklinała ich z goryczą. Kwestionowała wszystko, co uczyniła w życiu, zastanawiała się nawet nad tym, czy znowu nie opuścić Kekonu. Gdy tylko zamknęła oczy, widziała twarz Mara, jej smutny, oskarżycielski wyraz. Pełna bezsilnej grozy i wyrzutów sumienia raz po raz przeżywała w myślach jego śmierć. Narastała w niej gorejąca, nienasycona nienawiść do tego tchórza Zapunya i jego barukańskich zbirów.

Przed kilkoma laty spierała się z Hilem, twierdząc, że mają na głowie ważniejsze problemy niż przemytnik działający na Uwiwach. Teraz uświadomiła sobie, że dramatycznie nie doceniała Zapunya. Kekończycy uważali za oczywiste, że nawet podczas otwartej wojny klanów nie będzie się atakować nienoszących jadeitu cywilów. Zapunyo i jago *barukani* nie byli zielonymi kośćmi. Nie rozumieli *aisho* i nie przejmowali się niewinnymi ofiarami.

Ósmego albo dziewiątego dnia – nie była pewna którego – Shae usłyszała, że drzwi frontowe się otworzyły i czyjeś kroki zbliżają się do jej pokoju. W pierwszej chwili pomyślała, że Kyanla znowu przyniosła jedzenie, które zostanie nietknięte, gdy jednak obudziła ospały zmysł Postrzegania, poznała Wen. Jej bratowa zapukała do drzwi sypialni.

– Siostrze Shae, czy mogę wejść? – zapytała.

Prognostyczka miała ochotę zlekceważyć to pytanie, uznała jednak, że nie ma do tego prawa. Wen widziała na własne oczy, jak zamordowano jej brata, i panicznie bała się o życie własnych dzieci. Miała tyle samo powodów, by wycofać się z życia, ile Shae, być może nawet więcej, a mimo to przysłała teraz tutaj. Prognostyczka uświadomiła sobie, że z pewnością

wygląda okropnie. Od kilku dni nosiła tę samą koszulę i spodnie od pizamy, a włosy miała rozczochrane. Podejrzewała, że ledwie poznałaby siebie w lustrze.

Wen przyjrzała się jej z obojętną miną. Potem odepchnęła ją na bok, weszła do dusznej sypialni i otworzyła okno, wpuszczając do środka świeże powietrze. Następnie odwróciła się w stronę szwagierki i usiadła na skraju niepościelonego łóżka.

– Shae-jen – zaczęła, jakby to była zupełnie zwyczajna, codzienna rozmowa. – Chciałabym wrócić do pracy dla ciebie. Nie natychmiast, oczywiście, ale już wkrótce. Zastanawiałam się nad tym, odkąd Jaya ukończyła dziewiąty miesiąc życia. Nasze wysiłki przyniosły sporo pożytku, ale obie miałyśmy na głowie zbyt wiele spraw. W przyszłości możemy sprawić się lepiej. Przekonałam twoją matkę do powrotu do Janloonu i zamieszkania w domu dla gości, dla jej bezpieczeństwa. Będzie też mogła pomagać przy dzieciach, co pozwoli mi wrócić do pracy, przynajmniej w niepełnym wymiarze godzin.

Shae miała wrażenie, że słowa Wen docierają do niej z jakiejś innej rzeczywistości, w której nie doszło do wydarzeń z ostatnich dwóch tygodni. Spojrzała ze zdziwieniem na bratową i wydała z siebie dźwięk, który mógłby być śmiechem albo odgłosem niedowierzania, gdyby nie fakt, że milczała już tak długo, że wyszła z wprawy.

– Dlaczego prosisz mnie o to akurat teraz?

– A kogo innego miałabym prosić?! – zawołała Wen. – Jesteś prognostyczką. Chyba że zamierzasz zrezygnować z tej pozycji. – Obrzuciła szwagierkę chytrym, pytającym spojrzeniem. – Woląłeś narazić się na śmierć z rąk Ayt Mady niż to zrobić. Czy zmieniłaś zdanie?

– To nie jest odpowiednia chwila, by mnie o cokolwiek prosić, Wen – odparła Shae.

– A kiedy będzie odpowiednia? Kiedy zamierzasz opuścić tę norę?

Prognostyczka poczuła lekkie ukłucie irytacji.

– Jak możesz teraz myśleć o takich sprawach?

Wen skrzyżowała ręce na piersiach.

– Ja też chętnie schowałabym się w swoim pokoju na miesiąc, Shae-jen. Ale nie mogę sobie na to pozwolić. Muszę zająć się dziećmi. Nie przestaną potrzebować matki tylko dlatego, że cierpię. Muszę wyjaśnić Nikowi i Ru, że wujek Kehn nie żyje. Mam też obowiązki wobec Hila. On potrzebuje mojej siły, by móc kierować klanem w tym trudnym okresie i nie martwić



się o nas. – Przeszyła Shae złowrogim spojrzeniem. – Kehn nie żyje – kontynuowała rzeczowo. – Tar jest zrozpaczony. Ty zamknęłaś się w pokoju. Filar został sam.

– Ma do pomocy dziesiątki ludzi – mruknęła Shae.

– Potrzebuje ciebie. Cała rodzina cię potrzebuje, tak samo, jak potrzebowaliśmy cię po zamordowaniu Lana i po śmierci twojego dziadka. Masz obowiązek pomagać Hilowi w kierowaniu klanem. Po tamtych tragediach nie znikaaś na cały tydzień. – Mina Wen złagodniała nieco, lecz nadal wyrażała determinację. Kobieta ujęła szwagierkę za ramię i posadziła ją obok siebie. – Nieraz już zadawano nam ciosy, ale po raz pierwszy czujesz się osobiście odpowiedzialna za to, co się wydarzyło, ponieważ twoje dobre intencje spowodowały tak wiele bólu.

Shae wbiła w nią wzrok.

– Jestem za to odpowiedzialna, Wen. – Poczwała w oczach ogień. Zamknęła je na moment, po czym skierowała ich oskarżycielskie spojrzenie na bratową. – Nie winisz mnie za śmierć Kehna? Za to, że sama omal nie zginęłaś?

– Czemu miałabym cię winić? – odparła z irytacją Wen. – Winię naszych wrogów, Shae-jen, za to, że wypaczyli dla swoich celów kogoś, kto był ci drogi, i wykorzystali go jako narzędzie mające nas zniszczyć. Zakończyłaś jego życie, ale nie jesteś powodem jego śmierci. W naszym świecie to poważna różnica.

– Ale co to ma wspólnego z twoim pragnieniem powrotu do pracy?

Wen wstała, podeszła do okna sypialni i wyjrzała na zewnątrz. Słońce raziło Shae w oczy, ale jej bratowa spokojnie spoglądała w dal.

– Barukańska skorpena pracująca dla uwiwańskiego przemytnika mieszkającego na wyspie odległej o setki kilometrów dopadła nas w parku w Janloonie, tuż obok naszego domu. Nie walczymy już tylko z innymi zielonymi kośćmi. Walczymy z całym światem, Shae-jen. A to znaczy, że *aisho* nie uratuje moich dzieci. – Zwróciła się ku prognostyczce. – Hilo nigdy nie chciał, żebym mieszała się w sprawy zielonych kości. Ale teraz zielone kości nie są już jedynym zagrożeniem dla klanu. – Jej głos zachował łagodne, rozsądne brzmienie, lecz pojawiła się w nim również ostrzejsza nuta. – Wrogowie są gotowi użyć wszystkich metod, by nas zaatakować. Klan stracił jednego z Maików, być może dwóch, bo Tar ledwie jest w stanie funkcjonować. Ale nie stracił wszystkich. Daj mi pracę, Shae-jen.

Podeszła do szafy prognostyczki, wybrała z zamyśloną miną bluzkę oraz spódnice i rzuciła je na łóżko.

– Gdy ofiarowałam Ayt Madzie czystą klingę, to było szokiem dla wszystkich, nawet dla Hila, ale nie dla mnie. Kobiety muszą walczyć o wszystko, co zdobędą na tym świecie, a ty zbyt ciężko pracowałam na pozycję na Statkowej, by pozwolić, żeby ci ją odebrano. Zawsze znajdują się ludzie wypatrujący każdej oznaki słabości, gotowi ukraść nam to, co kochamy. – Wen ominęła Shae i wyszła z sypialni.

– Twoi bratankowie pytali, czy będziesz dziś na kolacji – rzuciła na pożegnanie. – Powiedziałam, że będziesz.

# ROZDZIAŁ 48

## POCZWÓRNA WYGRANA

Bero leżał w szpitalu przeszło miesiąc. Nawet gdy już usunięto z jego krwi truciznę oraz błysk, był zbyt osłabiony, by dokądkolwiek iść. Omal nie umarł z powodu przedawkowania SN1, a miazdzący ciężar, znieczulający letarg i powodująca poty panika wywoływane przez odstawienie jadeitu pozbawiły go resztek sił. Leżał na wpół obłąkany w szpitalnym łóżku obok innych pacjentów, na zmianę pragnąc śmierci i przeklinając wszystkich bogów oraz własny los.

Lekarze mówili, że miał szczęście. Naprawdę wielkie szczęście. Taka dawka błysku zabiłaby przeciętną osobę, ale jego tolerancja na SN1 była wyjątkowo wysoka, ponieważ od dawna regularnie brał ten narkotyk, a silny środek uspokajający, którego Mudt dosypał mu do piwa, spowolnił jego metabolizm i dzięki temu śmiertelny zastrzyk nie wpłynął na jego narządy wewnętrzne tak szybko, jak powinien. Jego sąsiadka, pani Waim, rozdrażniona hałasem przeszkadzającym jej w codziennym oglądaniu mydlanych oper, wyszła na korytarz i zobaczyła leżącego w drzwiach Bera. Zastanawiała się przez chwilę, czy uratować mu życie, czy pozwolić umrzeć, ale w końcu wezwała karetkę.

Bero nie pamiętał nic z tego i czuł się poirytowany myślą, że zawdzięcza życie niesympatycznej pani Waim. Wypisano go ze szpitala z rachunkiem opiewającym na ponad dwadzieścia tysięcy dniów i nienawiścią do całego świata. Zachował życie, ale nic więcej. Jego jadeit zniknął. Nie wątpił, że Mudt ukradł również jego zapas błysku. Bardzo osłabł, ledwie trzymał się na nogach, jak nowo narodzone źrebię. Czuł się bezradny i skrzywdzony ponad wszelkie wyobrażenie. Nie miał pojęcia, co robić dalej. Potrzebował wielu lat niedostatku, walki, planowania i knucia spisków, aktów odwagi i gęstej krwi, by osiągnąć to, co miał przedtem – własny jadeit i wszystko, co się z nim wiązało: pieniądze, szacunek, wpływy oraz

przyszłość. Niebezpieczną przyszłość, rzecz jasna, ale znacznie lepszą niż to, co czekało go teraz. Czyli nic.

Fantazjował o tym, że wytropi Mudta, wsadzi jego głowę w imadło i będzie je powoli zaciskał, aż wreszcie oczy wypadną z jego pękniętej czaszki. Musiał jednak zachować ostrożność. Mudt miał teraz dwa razy więcej jadeitu, a Bero nie miał nic. W walce z nim byłby pozbawiony szans, nawet pomijając fakt, że ledwie był w stanie wejść na schody i nie dostać zawrotów głowy. Niemniej to był jedyny cel, jaki mu pozostał, więc zmierzał do niego uparcie. Gdy jednak wrócił do Domu Szczurów, dowiedział się, że Mudt się tam nie zjawił. Sprawdził w kilku innych miejscach, które często odwiedzali, lokalach, w których nowi zieloni spotykali się i rozmawiali ze sobą, ale wszyscy twierdzili, że już od pewnego czasu nikt nie widział Mudta ani o nim nie słyszał. Chłopak ukradł Berowi jadeit oraz błysk, a potem zniknął bez śladu.

Bero wrócił do mieszkania i już z niego nie wychodził. Mijały miesiące, zima przeszła w wiosnę, a potem w lato. Zamawiał jedzenie, oglądał telewizję i spał. Utykał już od czasu, gdy pobili go Maikowie, teraz zaś stało się to jeszcze wyraźniejsze, a nigdy nieznikający z jego twarzy grymas dodatkowo pogarszał jej wygląd. Miał dwadzieścia jeden lat, a wyglądał jak odrażający starzec, niemający po co żyć. Zawsze uważał się za człowieka, który nie zwykł dawać za wygraną, ale teraz cały czas leżał apatycznie na kanapie i wstawał z niej tylko po to, by zjeść posiłek, odlać się albo przestawić telewizor na inny kanał. Rozważał opcje, jakie mu pozostały: rzucić się pod pociąg metra, skoczyć z dachu najwyższego budynku, znaleźć broń i strzelić sobie między oczy. Zastanawiał się, który z tych sposobów będzie najszybszy, najpewniejszy i najmniej nieprzyjemny. Wiedział już, że musi wykluczyć przedawkowanie narkotyków jako wyjątkowo bolesne, zbyt powolne i wcale nie takie pewne.

Policzył, ile ma jeszcze pieniędzy. Przed rokiem miał mnóstwo forsy, ale teraz zapasy już prawie się wyczerpały. Wystarczy zaledwie na miesiąc czynszu, a nie miał perspektyw na żaden zarobek. Wreszcie podjął decyzję. Pewnego ranka wstał, włożył najczystsze ubranie, jakie mu zostało, ogolił się i umył zęby po raz pierwszy od wielu dni, po czym opuścił mieszkanie, upewniając się, że zamknął za sobą drzwi. Na dworze było słonecznie, lecz odkąd stracił jadeit, cały świat wydawał się mu niejasny i zamazany. Poszedł do banku i wypłacił wszystko, co było na koncie. Potem wziął takśówkę i pojechał na ulicę Dla Ubogich, gdzie znajdowały się największe

i najlepsze kasyna w Janloonie. Jego uwagę przyciągnęły światła Poczwórnej Wygranej. Stał na chodniku i gapił się na nie przez dobrą minutę, nim wreszcie wszedł do środka.

Uważał, że w tym, co robi, jest pewna logika. Przez całe życie pozwalał, by niosły go wiatry fortuny. Starszy Mudt powiedział, że bogowie obdarzyli go niezwykłym szczęściem, i Bero wiedział, że to prawda. Pech ciągle zmieniał się w jego życiu w fart, a fart w pecha. Kapryśni bogowie odbijali go to w tę, to w tamtą stronę, jakby był piłką sztafetową zawieszoną na sznurku. To jednak będzie ostateczna próba. Weźmie całość tego, co mu pozostało na tym świecie, i rzuci to na wiatr szczęścia. Postawi wszystko, co miał, do ostatniego dnia, przy stolikach do gry w karty i na ruletce, i w ten sposób się dowie, czy bogowie chcą, by dalej żył, czy nie.

Usiadł przy największym ze stołów do gry w karty, trzymając w ręce kieliszek hoji. Grano w los żebraka. Ta gra nie wymagała niemal żadnych umiejętności. Prawie wszystko zależało od rozdania kart. Ku swemu zaskoczeniu w kilku pierwszych rozdaniach dostawał dobre karty: kolor miedzi; dwie pary, mosiądźów i srebrników; a wreszcie para jadeitów. Potem jednak, zgodnie z oczekiwaniami, szczęście odwróciło się od niego raptownie. Trzy następne rozdania – para miedzi, singiel żelaza i układ rabusia – odebrały mu wszystko, co zdołał dotąd wygrać. Później przegrywał już regularnie. Po każdym przegranym rozdaniu pociągał łyk hoji i po dwóch godzinach, gdy zostało mu tylko ćwierć sumy, z którą tu przeszedł, był już nieźle zalany. Mimo to dobrze się bawił. Uśmiechnął się z fatalistyczną radością i zamówił kolejny kieliszek, po czym przesunął swoje żetony na środek i poprosił rozdającego o nowe karty.

Krupier spojrzał z lekkim zatroskaniem na jego topniejący zapas żetonów.

– Jesteś tego pewien?

– Nie przestanę w tej chwili! – zawołał Bero. Nie czuł się tak pełen życia i pewny siebie od nocy, gdy ukradł jadeit z grobu Kaul Lana. – Już prawie skończyłem, keke. Kiedy zabraknie mi pieniędzy, pójdę skoczyć z Mostu za Miasto. A może z dachu tego kasyna. – Policzył żetony. –

Bogom zostało tylko... ach, może z pięć szans, żeby mnie przed tym powstrzymać.

Mężczyzna spełnił jego życzenie. Bero odwrócił nowe karty i gdy ujrzał singla żelaza roześmiał się i wypił łyk hoji.

Krupier zebrał karty i odchrząknął.

– Śmiem zauważyć, że bogowie nie władają stołem do gry w karty. Może powinieneś przerwać na chwilę grę. Cokolwiek doprowadziło cię do takiego stanu, z pewnością nie jest warte poświęcenia wszystkich pieniędzy, a potem życia.

– Tego tylko mi brakowało – poskarżył się Bero. – Pracownik kasyna, który ma serce. To nie należy do twoich obowiązków.

Krupier nie odpowiedział, ale spojrział ukradkiem na kogoś stojącego na drugim końcu sali i wykonał gest, którego Bero nie zauważył. Chłopak przegrał dwie kolejne tury i z westchnieniem satysfakcji przesunął na środek stołu wszystkie żetony, które mu pozostały.

– To nie potrwało długo.

– Zaczekaj chwilę – rozległ się czyjś głos za jego plecami.

Krupier znieruchomiał na moment.

Bero odwrócił się i ujrzał najdziwniejszy widok w swym życiu. Mężczyzna miał na sobie białą koszulę i granatową kamizelkę w paski, a na nogach wsuwane pantofle ze skóry. Nie miał rąk, krótkie rękawy jego koszuli zwisały puste. Na jego ramieniu siedziała mała brązowa małpka.

– Czy to jakiś żart? – zapytał chłopak.

Bezręki mężczyzna poruszył lekko podbródkiem.

– Chodź ze mną – rozkazał.

– Nie możesz mnie do tego zmusić – sprzeciwił się Bero, niczym dziecko.

Na twarzy nieznajomego pojawiła się poważna, pełna irytacji mina. Postąpił krok naprzód, pochylając się lekko, jakby wyciągał ręce, których nie miał, i odepchnął chłopaka od stołu do gry silnym Odbijaniem. Bero potknął się i omal nie upadł, zdołał jednak złapać się brzegu stołu.

– Nie masz prawa tego robić! Zostaw mnie, małpiarzu! Nie złamałem żadnych zasad. Dlaczego mnie nękaś?

– Chodź – powtórzył mężczyzna i popchnął Bera kolejnym precyzyjnym Odbijaniem, które utrzymało go w pozycji pionowej, lecz jednocześnie zmusiło do ruszenia naprzód.

Chłopak chwiał się jak pijany i przeklinał, gdy zielona kość prowadził go przez główne pomieszczenie Poczwórnej Wygranej. Goście odrywali spojrzenia od gry, gapiąc się na to. O dziwo, nikt nie sprawiał wrażenia zaskoczonego tym dziwnym widokiem. Małpka zeskoczyła na podłogę i pobiegła naprzód, by otworzyć drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU. Bezręki mężczyzna przytrzymał je stopą, by pozwolić Berowi wejść.

– Drugie drzwi na prawo – powiedział.

Bero go posłuchał, być może wyłącznie dlatego, że zainteresował go ten nieoczekiwany obrót spraw. Był w korytarzu wyłożonym czerwonym dywanem. Z lewej dobiegały go odgłosy płynące z kuchni, po prawej zaś znajdowały się drzwi kilku gabinetów. Bezręki mężczyzna skierował go do jednego z nich. W środku znajdowało się biurko – duże, lecz bardzo niskie, jakby było przeznaczone dla dziecka, a także czarna kanapa oraz kilka wiszących na ścianie oprawionych w ramki dokumentów wyglądających jak jakieś nagrody. Za biurkiem umieszczono półkę, na której stał długi szereg butelek hoji.

– Siadaj – rzucił zielona kość, wskazując głową kanapę. Wyciągnął stopę z pantofla, otworzył dolną szufladę biurka i wyjął z niej butelkę wody, którą następnie potoczył po podłodze w stronę Bera. – Jak wytrzeźwiejesz, oddam ci resztę pieniędzy i wezwę dla ciebie taksówkę, pod warunkiem, że obiecasz, że się nie zabijesz. Masz dokąd jechać? Kogoś, do kogo mógłbyś się zwrócić?

– Co ci do tego? – zapytał Bero, wziął jednak w rękę butelkę i osunął się na kanapę.

– Od czasu do czasu trafia się nam ktoś taki jak ty – wyjaśnił mężczyzna. – Ktoś, kto chce urządzić ostatnie przedstawienie, zanim opuści kurtynę. Albo kto miał złą serię i przyszedł tu w nadziei, że los się odwróci, ale tylko pogarsza sytuację. Niektórzy rzeczywiście próbują skoczyć z dachu kasyna albo palnąć sobie w łeb w którejś z sal gry. To szkodzi interesom.

– Jesteś właścicielem kasyna? Czy jedynie psem stróżującym?

Bero zadał to pytanie drwiącym tonem, ale mężczyzna tylko wzruszył ramionami. Ponieważ nie miał rąk, wyglądało to dziwnie, jakby jego głowa opuściła się nieco, zbliżając się do tułowia.

– Jeśli ktoś ma dobry zmysł Postrzegania, łatwo jest rozpoznać desperatów. Ale nie, nie jestem właścicielem Poczwórnej Wygranej. Produkuję hoji. – Wskazał głową stojące na półce butelki. Bero zorientował się, że wiszące na ścianie dokumenty to certyfikaty rozmaitych nagród. –

Poczwórna Wygrana ma własną gorzelnię, a ja się nią zajmuję. Jestem też... nieoficjalnym kierownikiem planu w kasynach. Mam oko na wszystko, co dzieje się na ulicy Dla Ubogich.

– Dlaczego nie masz rąk? – zapytał Bero.

Zielona kość przeszył chłopaka zimnym, pełnym niesmaku spojrzeniem, jakby żałował, że powstrzymał go przed wykonaniem jego planu.

– Dlatego, że uciął mi je róg klanu Góra. – Przesunął krzesło, zwracając je w stronę kanapy, a potem usiadł na nim i spojrzał na Bera. – Byłem w takiej samej sytuacji, jak ty teraz. Chciałem umrzeć. Błagałem o śmierć. Cierpiałem straszliwy ból i nie widziałem dla siebie przyszłości. Ale przyjaciel powstrzymał mnie przed tym i przekonał, bym żył dalej. A teraz człowiek, który pozbawił mnie rąk, zginął, a ja nadal jestem na tym świecie, a moja rodzina i interesy mają się świetnie. Bez względu na to, co cię tutaj sprowadziło i jakie krzywdy ci wyrządzono, zawsze jest jeszcze coś więcej.

– Przynajmniej nadal masz jadeit – mruknął Bero.

– A ty przynajmniej nadal masz ręce – odparł mężczyzna, pochylając się.

Chłopak mimo woli wypił całą butelkę wody, po czym oklapł, wspierając głowę na oparciu czarnej kanapy. Czuł za oczami uporczywy ból wywołany alkoholem, a jaskrawe światła w kasynie dodatkowo pogarszały sprawę.

– To wszystko spotkało mnie z powodu jadeitu – oznajmił. – Zawsze chodziło tylko o niego. – Nie miał pojęcia, dlaczego przyznaje się do tego zielonej kości z klanu Bez Szczytów. Po prostu przestało mu zależeć na czymkolwiek. Nie czuł niczego poza zobojętną złością na człowieka, który próbował go przekonać, żeby żył dalej, podczas gdy on miał inne plany. – Posłuchałem pierdolonego *barukana*, który obiecał mi, że jeśli przez rok będę pracował dla niego jako skorpena, otrzymam w nagrodę zieleni. Ale potem Góra załatwiła moją ekipę, nawet nie z mojej winy, a ja nie chciałem przyjąć szeptanej roboty, którą mi oferował, więc mnie wywalił. Skurwysyn mnie wywalił. – Nadal miał ochotę krzyczeć, gdy o tym myślał. Kolejne słowa wypływały z jego ust napędzanym alkoholem strumieniem. – Później mały, zaszczany szczur, z którym współpracowałem, zwrócił się przeciwko mnie. Wszystko mi zawdzięczał, ale otruł mnie, ukradł mój jadeit i porzucił mnie na śmierć. Jeśli go kiedyś znajdę, zabiję go w najbardziej nieprzyjemny sposób, jaki mi przyjdzie do głowy.

Bero otworzył oczy i uśmiechnął się szyderczo do zielonej kości, próbując go sprowokować.

– Jestem złodziejem i przemytnikiem. Współpracowałem z *barukanami* i uwiwańskimi poszukiwaczami, kradnąc jadeit z waszych kopalń. Nadal masz zamiar zachować mnie przy życiu, *jen*?

Siedząca na skaju biurka małpka gapiała się na Bera. Bezręki mężczyzna przez chwilę również obserwował go z uwagą. Wreszcie dotknął paluchem



stojącego na blacie telefonu. Małpka skoczyła we wskazanym kierunku i przystawiła mu słuchawkę do głowy. Zielona kość ścisnął je między barkiem a uchem i wykręcił numer, ani na moment nie spuszczać wzroku z Bera.

Chłopak usłyszał trzask odebranej rozmowy.

– Lott-jen, mówi Eiten – odezwał się zielona kość. – Czy mógłbyś przyjechać do Poczwórnej Wygranej? Mam w gabinecie kogoś, kto może bardzo zainteresować filar.

# ROZDZIAŁ 49

## ZAGŁADA DOMU SZCZURÓW

Gdy Hilo przybył do Poczwórnej Wygranej, Eiten przywitał go przy wejściu.

– Kim jest ten chłopak, którego znalazłeś? – zapytał filar, gdy bezręki mężczyzna prowadził go ku drzwiom prowadzącym do sąsiadującej z kasy-nem gorzelni.

Goście przerywali grę, by oddać honory przechodzącemu filarowi. Hilo zauważył przy barze kilku espeńskich żołnierzy, ale wszyscy dobrze się zachowywali. Ulica Dla Ubogich, którą zdobyli po ciężkich walkach z Górą, w ciągu dwóch minionych lat była przyczyną wielu kłopotów, ale ostatnio obywało się bez incydentów.

– Byłą skorpeną, pijaną i bez grosza przy duszy. Opowiedział mi, że oszukał go *barukan* imieniem Soradiyo – wyjaśnił Eiten. – Juen i Lott już z nim rozmawiali, ale pomyślałem sobie, że zechcesz sam zadać mu kilka pytań, Hilo-jen.

Weszli do klimatyzowanego magazynu, w którym panował półmrok. Mijali szeregi wielkich beczek ustawionych na sięgających sufitu półkach. Starzała się w nich hoji. Gorzelnia Przekłete Piękno znacznie poszerzyła działalność i zaczęła eksportować swe wyroby. Hilo uśmiechnął się na widok biznesowych sukcesów przyjaciela. W ciągu ciągu kilku ostatnich, tragicznych i straszliwych tygodni rzadko miał do tego okazję.

– Cieszę się, że trzymasz oczy i uszy otwarte, przyjacielu – rzekł Hilo. – Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Eiten zbył te słowa, potrząsając głową.

– Zawdzięczam ci wszystko, Hilo-jen. Żałuję, że nie mogę pomóc ci bardziej. Jeśli ten chłopak mówi prawdę, to może jego przybycie tutaj jest darem od bogów i pomoże nam znaleźć oraz ukarać przekłete półkości, które zabiły Kehna.

Hilo nie chciał tak szybko rozbudzać w sobie nadziei, ale pokiwał głową. Rozkazał wszystkim pięściom i palcom w klanie poszukiwać wszelkich informacji o agentach Zapunya, a zwłaszcza o *barukanie*, którego imię wymienił Tau Maro, ale do tej chwili był to pościg za zjawą.

Żałował, że nie potraktował poważniej słów Kehna, który ostrzegał go przed Zapunyem. Skupił uwagę na próbach wywołania podziałów w Górze oraz oszukania paczek. Uważał Zapunya raczej za irytujący kłopot niż za naprawdę niebezpiecznego wroga. W końcu przemytnicy i handlarze narkotyków byli jak chwasty. Jeśli wyrwało się jeden, jego miejsce zaraz zajmował następny, nie było więc powodu do pośpiechu. Zapunyo był jednak zupełnie innym rodzajem kryminalisty. Hilo uświadomił sobie, w której chwili popełnił błąd. Gdy przysłano im ciało informatora w kawałkach, nie potraktował śmierci Uwiwanina równie poważnie, jak potraktowałby śmierć Kekończyka. Powinien był zrozumieć zagrożenie i natychmiast dokonać gwałtownego odwetu. Wspomnienie tej pomyłki nigdy nie przestanie go prześladować.

Eiten ruszył przodem i otworzył Odbijaniem metalowe drzwi, prowadzące do obszernego, czystego pomieszczenia. Znajdowały się tam zbiorniki fermentacyjne gorzelni. Juen i Lott stali przy przenośnym drewnianym stole. Rozłożono na nim plany miasta oraz mapy jego okolic, pełne barwnych kropek i napisanych ręcznie notatek. Na metalowym składanym krześle siedział chudy, blady młodzieniec o przekrwionych oczach i skwaszonej twarzy, której wygląd sugerował, że przynajmniej raz w życiu połamano mu w niej jakieś kości. Juen i Lott przerwali rozmowę, by oddać honory filarowi.

– Oto czego się dowiedzieliśmy do tej pory, Hilo-jen – oznajmił Juen, wskazując notatki i plany. – To są miejsca, w których Soradiyo werbuje swoje skorpeny i spotyka się z nimi. To przeważnie nielegalne kluby złodziei jadeitu i uzależnionych od błysku. Są tu też punkty na wybrzeżu, gdzie przekazuje się towar, a także rejony w górach, gdzie działają poszukiwacze Zapunya. Vuay, Iyn i Vin wysłali palce, żeby to potwierdziły. Dyskretnie, by nikogo nie spłoszyć, nim przystąpimy do akcji.

Hilo cieszył się przynajmniej z tego, jak szybko i sprawnie Juen przejął rolę rogu. Nie był jego bliskim kuzynem, jak Kehn, i musiał się jeszcze nauczyć, jak skutecznie wywierać wrażenie na opinii publicznej oraz ludziach spoza klanu, był jednak mistrzem taktyki i potrafił zapamiętać zdumiewająco wiele szczegółów, co w obecnej chwili było bardzo uży-

teczne. Hilo przyjrzał się informacjom zebranych przez jego ludzi i zadawał im pytania, aż się upewnił, że podchodzą do tego zadania z należytą pilnością.

Wreszcie skierował spojrzenie na niespodziewanego informatora. Coś w jego asymetrycznej twarzy o pełnym złości oraz urazy spojrzeniu wydało mu się znajome.

– Mówisz, że pracowałeś dla Soradiya – zaczął. – Dlaczego postanowiłeś go zdradzić?

Młodzieniec zerknął nerwowo na Hila, po czym znowu wlepił spojrzenie w podłogę.

– *Barukan* zerwał ze mną kontakty – wymamrotał. – Obiecał, że zostanie ważniakiem, że da mi jadeit, ale nie dotrzymał słowa. Wszyscy nowi zieloni to tchórze. Pierdołę ich i pierdołę Soradiya. Nie zasługują na to, co mają. W ogóle nie zasługują na jadeit.

Hilo zadał sobie pytanie, czy chłopak nadal jest pijany. Z pewnością robił takie wrażenie. Jego gniewne mamrotanie często trudno było usłyszeć. Wydawało się, że mówił w znacznej mierze do siebie. Jeśli jednak miał w sobie Postrzegalny fałsz albo podstępne plany, tłumiała je wszechogarniająca gorycz. Gdy spoglądał na filar, zawsze kulił się lekko i odwracał wzrok. Hilo próbował sobie przypomnieć, gdzie widział jego zniekształconą twarz. Ciągle miał wrażenie, że skądś go zna.

– Przemyciałeś jadeit, handlowałeś błyskiem i pracowałeś dla zagranicznych przestępców. Nie boisz się, że cię zabijemy, jak już będzie po wszystkim?

Młodzieniec przyjrzał się nagim betonowym ścianom i metalowym zbiornikom, jakby po raz pierwszy zauważył, że w pomieszczeniu nie ma okien i są tylko jedne drzwi, a nikt w ruchliwym kasynie nie usłyszy nic, co tu się wydarzy. Pociągnął nosem i wzruszył ramionami.

Hilowi nadal wydawał się niepokojąco znajomy. Jako róg, a potem filar, spotykał bardzo wielu ludzi i choć nie wiedział, gdzie spotkał tego chłopaka, nie zamierzał zlekceważyć tej sprawy. Zbyt wiele zależało od jego zeznań.

– Spójrz na mnie – rozkazał.

Chłopak wyraźnie napiął mięśnie, lecz z niechęcią wykonał polecenie.

– Skąd cię znam?

Tym razem informator skrzywił się wyraźnie, jakby go spoliczkowano. W tej właśnie chwili Hilo go rozpoznał.

– Podwójne Szczęście – rzekł.

Młodzieniec raz jeszcze wykrzywił twarz w grymasie i skinął głową. Filar roześmiał się w głos. Juen, Lott i Eiten skierowali na niego pytające spojrzenia.

– Przed laty złapałem z oboma Maikami dwóch szczeniaków z Dzielnicy Portowej. Próbowali ukraść jadeit temu staremu pijakowi Shon Ju – wyjaśnił Hilo. – Chciałem skrócić temu skurczybykowi kark, ale Lan puścił go wolno. – Zachichotał raz jeszcze na myśl o ironii wydarzeń. – To jadeitowa gorączka, jak wtedy powiedziałem. Nic dziwnego, że został skorpeną. Ale teraz jest tutaj i dał nam klucz do królestwa Zapunya.

Hilo pokręcił głową, rozbawiony, lecz jednocześnie zasmucony myślą, że optymizm Lana i jego czułościowość pomogły im w takiej chwili. Brat powiedział mu wtedy, że każdemu trzeba dać szansę.

Hilo pochylił się nad blatem stolika i z siłą imadła zacisnął dłoń na podbródku młodzieńca.

– Powiedziałem ci wtedy, że cię zabiję, jeśli jeszcze kiedyś cię zobaczę, pamiętasz? – zapytał cicho.

Chłopak wytrzeszczył zapadnięte oczy, ale filar puścił go z westchnieniem.

– Chyba jednak nie mogę dotrzymać tej obietnicy. Pomogłeś klanowi, a Lan na mnie patrzy.

\* \* \*

Zaledwie kilka godzin po zamachu bombowym Ayt Mada wydała oświadczenie potępiające atak i kategorycznie zapewniające, że Góra nie miała z nim nic wspólnego. Obrażenia odniosło pięć niewinnych osób, w tym jedno dziecko, ale życiu żadnego z nich nie zagrażało niebezpieczeństwo. Ayt stanowczo zapewniła, że to sprawka kryminalistów i żadna zielona kość z Góry nie dopuściłaby się tak drastycznego złamania *aisho*. Przekazała rodzinom Kaulów i Maików serdeczne kondolencje i przysięgła, że pomoże im wymierzyć sprawiedliwość winnym.

Hilo musiał przyznać, że wszystko to brzmiało bardzo przekonująco i zamierzał trzymać Ayt Madę za słowo. Jednakże niektóre tropy odkryte przez jego ludzi prowadziły na terytorium Góry, a klan Bez Szczytów nie mógł skutecznie zaatakować organizacji Zapunya bez współpracy swych rywali. Hilo wysłał Juena na spotkanie z Nau Suenem. Miał poprosić Góre,

by przestrzegała rozejmu i pomogła klanowi Bez Szczytów wyrzucić zemstę na zagranicznym przemytniku jadeitu, a przynajmniej mu w tym nie przeszkadzała.

Za zgodą Nau Sena Juen zabrał ze sobą trzy ze swych najlepszych zielonych kości, by spotkać się z nim w Fabryce, sali treningowej Góry w dzielnicy Grot. Hilo czekał na zewnątrz w victorze mx. Towarzyszyło mu sześciu ludzi w dwóch kolejnych samochodach. Wszyscy byli niecierpliwi i niespokojni. Wsunął rękę przez okno i wypalił dwa papierosy z rzędu, gapiąc się na chmury przesuwające się po niebie nad wagonami towarowymi. Przed czterema laty Lan stoczył w tym miejscu pojedynek czystej klingi. Hilowi trudno było uwierzyć, że to wydarzyło się w tym samym życiu. Nie powinien był walczyć, pomyślał. Trzeba było zaatakować ten pierdolony budynek wszystkimi siłami.

Juen i jego ludzie wrócili po trzydziestu minutach. Hilo wysiadł z samochodu, by usłyszeć, co ma do powiedzenia jego róg.

– Zgodzili się wpuścić nas na swoje terytorium, byśmy mogli zaatakować wskazane przez nas cele, pod warunkiem, że sami będą uczestniczyć w naszych operacjach. Musimy podzielić się z nimi wszystkim, co wiemy o organizacji Zapunya, a zielone kości Nau będą nam towarzyszyły we wszystkich akcjach, jakie przeprowadzimy na terytorium Góry.

Hilo skinął głową. Nie liczył na to, że Ayt Mada pomoże mu za darmo. Z pewnością będzie chciała otrzymać jadeit, pieniądze i błysk przechwycone na jej terytorium.

Juen zmarszczył brwi.

– Teraz rozumiem, dlaczego niektórzy wierzą, że Nau potrafi czytać w myślach. Nie wygląda zbyt imponująco, ale kiedy na niego patrzę, przechodzą mnie ciarki. Nie przypomina innych rogów, jakich w życiu spotkałem.

– Bo nie jest taki jak oni. To wąż Ayt Mady. Poderżnię nam gardła we śnie, jeśli będzie miał szansę. – Hilo wrócił do samochodu. – Musimy działać szybko. Będziemy z nim współpracować.

\* \* \*

Następnego wieczoru zdobyli Dom Szczurów. Każdy, kto zobaczyłby filar owej nocy – a także podczas kilku następnych – pomyślałby, że widzi Kaul Hiloshudona sprzed sześciu lat, młody straszliwy róg ze swą drużyną

wojowników, noszących mnóstwo jadeitu i broni. Hilo pomyślał jednak z przygnębieniem, że to byłoby mylne wrażenie. Zbliżały się jego trzydzieste drugie urodziny, ale nie wyglądał już na tak niewiele lat ani nie czuł się tak młodo. Przybył do dzielnicy Pralnia w victorze mx Kehna, a nie w swej sławnej białej duchesse, a samego Kehna nie było już u jego boku. Tar nadal mu towarzyszył. Młodszy z Maików wyglądał teraz na szaleńca. Przypominał marynarza ocalonego z katastrofy statku albo zagłodzone zwierzę, ale Hilo nie mógłby zostawić go w domu. Nie podczas takiej akcji.

Poza Tarem towarzyszyli mu Lott, Vin oraz trzy palce. Juen, Vuay oraz Iyn kierowali jednoczesnymi atakami na inne podobne lokale. Nim weszli do klubu, Hilo zatrzymał się na ulicy.

– Nie zabijajcie nikogo, dopóki nie znajdziemy Soradiya – przypomniał swoim ludziom.

Wyrwali drzwi z zawiasów i weszli do środka. Było tam kilkunastu ludzi o nieznanym jadeitowym aurach, słabych i nieudolnych, świadczących o braku wykształcenia. Wszystkie zapłonęły przerażeniem i wrogością, gdy do środka wtargnęły zielone kości. Połowa obecnych zerwała się z miejsc i wyciągnęła broń, ale w ciasnym wnętrzu tylko nieliczni zdołali wystrzelić, nim dopadli ich ludzie Hila. Filar stał się zamazaną plamą Siły. Uchylił się przed wymierzoną w niego lufą, złapał wyciągniętą rękę i uderzył w nią otwartą dłonią drugiej kończyny, tuż nad łokciem. Kość złamała się z głośnym trzaskiem. Pistolet wystrzelił, zagłuszając wycie bólu ofiary. Hilo zmiażdżył przeciwnikowi kolano, złapał go za włosy, kiedy upadał, i walnął jego twarzą o blat.

Następnie zrobił jeden wspomagany Lekkością krok, a po nim drugi, odbijając się z krzesła, a potem z baru. Obrócił się w locie i wyciągnął karambit, po czym przywołał Stal i spadł całym ciężarem na napastnika, którego Postrzegł za sobą. Runęli razem na betonową posadzkę. Filar odciągnął głowę przeciwnika do tyłu i omal nie poderżnął mu gardła, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że sam zabronił zabijać ludzi, których tu znajdują. Mężczyzna obrócił się na śliskiej podłodze z głośnym rykiem i uderzył pełną desperacji, nieskupioną Siłą, próbując złapać filar za szyję. Był potężnie zbudowany i mogłoby mu się udać, gdyby Hilo nie zareagował błyskawicznie. Pchnął otwartą dłonią przeciwnika w plecy, przywołał Przenoszenie i zmiażdżył krążek między kręgami tamtego. Tułów i nogi mężczyzny zeszywniały z bólu. Nie był w stanie dłużej stawiać oporu. Filar wstał i otrzepał ubranie.

Kilku innych gości Domu Szczurów straciło przytomność bądź nie było w stanie się ruszać, Hilo podejrzewał jednak, że niektórzy nie pożyją zbyt długo. Tar, trzymający w dłoni guan dao, odciął jednemu rękę w łokciu, drugi zaś, któremu rozpruł brzuch, klęczał teraz na podłodze i pojękiwał słabo, trzymając w dłoniach własne wnętrzności. Pozostali nowi zieloni padli na podłogę i dotykali jej głowami, błagając o zmiłowanie. Lott i Vin, chodzili między nimi, konfiskując broń i nielegalny jadeit: pierścienie, pendenty i pasy. Ich jadeitowe aury wibrowały czujnością. Hilo stanął pośrodku pogrążonej w półmroku sali i przyjrzał się wszystkiemu uważnie. Dom Szczurów był żalonym, zagraconym lokalem. Połowę miejsca zajmowały tu maty, rozbite na kawałki betonowe bloki, worki z piaskiem oraz inne rekwizyty potrzebne do ćwiczenia jadeitowych umiejętności. W drugiej było pełno brudnych stolików i zaskakująco dobrze zaopatrzony bar. Na ścianie wisały dwie skrzynki do wyrzucania metalowych igieł, zaopatrzone w kartki z ręcznie napisanymi poradami dotyczącymi bezpiecznego i higienicznego wstrzykiwania błysku.

– Wszyscy jesteście złodziejami jadeitu i nie zasługujecie na darowanie życia – zaczął Hilo. – Bez względu na to, czy pracujecie dla Góry, dla zagranicznych przestępców, czy po prostu macie jadeitową gorączkę i jesteście za głupi, żeby wiedzieć lepiej. Znaleźliście się w tej sytuacji, ponieważ nie chcieliście zejść z obranej drogi, kiedy mieliście szansę.

Czekał aż jego słowa dotrą do słuchaczy. Spacerował powoli po sali, przyglądając się wszystkim twarzom i porównując je z rysunkami, które zrobił na podstawie opisów, a następnie pokazał wszystkim zielonym kościom w klanie.

– Nie widzę tu tego, kogo szukam – kontynuował, gdy dotarł do końca pomieszczenia. – Daję wam wszystkim minutę, by mi powiedzieć, gdzie znajdę *barukana* Soradiya. Wiem, że przychodzi tutaj, by rekrutować hołotę, taką jak wy, i czynić z niej skorpeny pracujące dla przemytnika Zapunya. Dlatego nie udawajcie, że nie wiecie, o kogo mi chodzi. Chcę też poznać położenie innych kryjówek w mieście, gdzie można spotkać nowych zielonych. Jeśli za minutę dostanę, czego chcę, straciecie jadeit, ale zachowacie życie. W przeciwnym razie zginiecie wszyscy.

\* \* \*



Iyn Ro i jej palce znaleźli Soradiya dwa dni później. Przez cały czas po zamachu ukrywał się w magazynie siłowni w uwiwańskim getcie stanowiącym część Kikuta. Gdy *barukan* dowiedział się, że Góra pozwoliła klanowi Bez Szczytów szukać go na swoim terytorium, spróbował ucieczki za granicę. Miałyby większe szanse uniknąć wykrycia, gdyby zdjął jadeit, ale zapomniał o tym w pośpiechu i desperacji. Ludzie Iyn Postrzegli pasażera na gapę na łodzi płynącej na Uwiwy. Soradiyowi odebrano zielen i zaprowadzono go do magazynu w Dzielnicy Portowej. Przesłuchaniem zajął się Tar.

– *Barukani* to jebani tchórze – poinformował Hilo, gdy ten zjawił się po kilku godzinach. – Podał nazwiska dwóch skorpen, którym rozkazał podłożyć bombę i wyjawiał szczegóły operacji Zapunya – miejsca, w których wysadza się na ląd poszukiwaczy, położenie kopalń, w których pracują, drogi, jakimi wywozi się jadeit z kraju, nazwiska oraz tożsamość innych ludzi działających w Janloonie oraz najważniejszych agentów organizacji Zapunya, policjantów i członków rządu, których opłaca uwiwański przemytnik. Opisał też organizację obrony jego posiadłości na Tialuhii.

– Zapisalesz to wszystko?

– Pano to zrobił – odparł Tar, wskazując stojący za nim palec trzymający w rękach podkładkę do pisania.

To z pewnością nie było przyjemne zadanie i twarz młodzieńca przybrała niezdrowy wyraz. Hilo wyjął podkładkę z jego rąk i uważnie przeczytał wszystkie kartki. Kiedy skończył, skinął z satysfakcją głową, oddał podkładkę chłopakowi, a potem rozkazał jemu oraz Tarowi poczekać na zewnątrz. Następnie udał się do pozbawionego okien pokoju. Półnagi Soradiyo zwisał z sufitu. Uniesione nad głowę ręce skuto mu łańcuchem. Pokrywały go krew oraz siniaki i dygotał z powodu odstawienia jadeitu. Hilo zachekał, aż ledwie przytomny więzień skieruje na niego uwagę.

– Zabijesz mnie? – zapytał z nadzieją *barukan*. Suche gardło i spękane wargi wzmacniały jego szotarski akcent.

Hilo miał dwa decylitrowe kartoniki z sokiem. Zawsze woził je ze sobą, razem z przekąskami, na wypadek gdyby jego synom zachciało się nagle pić albo jeść, gdy wybrał się gdzieś z nimi. Uciążliwa wilgotność janloonskiego lata była w pozbawionym okien pomieszczeniu jeszcze bardziej dokuczliwa niż na dworze. Nieruchome powietrze wypełniał ostry odór szczyń więźnia, tworzących kałużę na betonie pod jego stopami. Hilo podszedł do *barukana*, uwolnił słomkę z plastiku, wbił ją w otwór kartonika

i podsunął go Soradiyowi, który rozchylił pokrwawione wargi i wypił wszystko jednym desperackim haustem. Spojrzał błagalnie na drugi kartonik, ale filar mu go nie dał.

– Jeszcze jedno pytanie – odezwał się Hilo. – Kto wydał rozkaz? Ayt czy Zapunyo?

– Zapunyo – wychrypiął *barukan*. – Ale z poparciem Góry. – Spróbował się przesunąć, by nieco ulżyć przeciążonym barkom. – W zeszłym roku skontaktował się ze mną Nau Suen. Chciał, żebym był łącznikiem między jego klanem a Zapunyem. Nie miałem wielkiego wyboru. Skurwysyn zabił moje skorpeny i poszukiwaczy równie szybko, jak mogłem je wynajmować. Powiedziano mi, że Góra oficjalnie musi podtrzymywać publicznie wyrażone poparcie dla klanu Bez Szczytów w walce z przemytem jadeitu, ale gdyby jego klan zdobył całkowitą kontrolę, sprawy mogłyby wyglądać inaczej. Zasugerowano, że może uda się osiągnąć jakieś porozumienie.

– A Zapunyo w to uwierzył.

– Uznał to za zwyczajną umowę. Klany utrudniały mu życie, kosztowały go zbyt wiele. Ayt powiedziała, że jeśli pozbędziemy się ciebie, dopuści nas do stołu.

Hilo pokiwał głową.

– To musiało być bolesne, że zdradziła cię tak szybko i znalazłeś się tutaj.

Soradiyo wykonał ruch, który mógł być próbą wzruszenia ramionami.

– Cena porażki. Trudno to uznać za zaskoczenie. Z pewnością też nie powiedziałem ci nic, czego już byś nie podejrzewał.

– To prawda – zgodził się Hilo. – Dokąd mamy wysłać twoje ciało? Masz jakichś krewnych?

Soradiyo zamknął oczy.

– Mam, w Oortoko, ale jest wojna i nie wiem, gdzie można ich znaleźć. Nie chciałbym też, żeby zobaczyli mnie w takim stanie. Wyślijcie mnie do mojego kuzyna Iyila na Uwiwach. On pochowa mnie i przynajmniej poczuje się winny, że zostawił mnie tu samego i dopuścił do tego, co się wydarzyło.

Hilo nie powiedział już nic więcej. Wyjął karambit i poderżnął *barukanowi* gardło jednym szybkim ruchem. Zmasakrowane ciało Soradiya zwisło luźno, a jego podbródek opadł na pokrytą czerwonym fartuchem pierś.

– Zabierzcie ciało i wyślijcie je na Uwiwy – rozkazał filar, wychodząc.

– Ta świnia zabiła Kehna! – zawołał Tar. Twarz poczerwieniała mu z gniewu. – Dlaczego pozwoliłeś mu umrzeć tak łatwo? Powinniśmy wrzucić go do oceanu po kawałeczku.

Hilo uciszył filarowego spojrzeniem niepozbawionym współczucia, lecz jednocześnie jasno wyrażającym, że nie będzie tolerował dalszych sprzeciwów.

– Soradiyo i Tau Maro mogli zaplanować i przeprowadzić zamach, ale byli tylko marionetkami. Za sznurki pociągali inni. – Filar wytarł nóż i schował go do pochwy. – Ayt Mada wszystko planuje z wyprzedzeniem. A jeśli chodzi o Zapunya, ostrzegłem tego uwiwańskiego psa, że jeśli nadal będzie wyciągał po Kekon swe brudne łapska, zmiażdżę go. Tak właśnie postąpimy. – Głos filaru przybrał ostrzejszy ton. – Zniszczymy wszystko, co stworzył.

# ROZDZIAŁ 50

## CIERPLIWOŚĆ

W następnych tygodniach zielone kości z klanu Bez Szczytów przeprowadziły w całym mieście bezlitosną czystkę przeciwko lokalom, w których spotykali się ludzie noszący nielegalny jadeit – tak zwani nowi zieloni, skorpeny, *barukani* oraz handlarze błyskiem. Dziesiątki przestępców pobito, pozbawiono jadeitu i uwięziono. Niektórych zabito. Dwóch opłaconych przez Soradiya sprawców podłożenia bomby uciekło z Janloonu. Dotarli aż do miasta Toshon na południowym półwyspie, gdzie pojmał ich miejscowy klan Jo Sun. Błagali jego członków, by zabili ich od razu, ale przekazano ich klanowi Bez Szczytów w geście dobrej woli oraz lojalności wobec rodziny Kaulów. Klan Jo Sun nie był wyjątkiem. Inne pomniejsze klany, janloońska policja, a nawet Góra również im pomagały, a przynajmniej schodziły im z drogi. Sprzeciwianie się zemście Kaul Hila nikomu nie przyniosłoby korzyści.

Większość janlończyków – sądząc po opiniach słyszanych na ulicach i po głosach prasy – popierała tę akcję i uważała ją za konieczną. Wszyscy już wiedzieli, że zamach bombowy był tchórzliwym czynem szotarskiego gangstera pracującego dla uwiwańskiego przemytnika jadeitu. Kekończycy potrafią wybaczyć akty publicznej przemocy między ludźmi o równym statusie, a nawet uważają je za coś normalnego, ale myśl, że pozbawieni honoru cudzoziemscy przestępcy zaatakowali wielką i potężną rodzinę zielonych kości, a w dodatku zadali obrażenia niewinnym ludziom w samym sercu zamożnej dzielnicy Janloonu, była dla nich czymś absolutnie odrażającym.

Powrót Hila na ulice Janloonu zaćmił nawet publiczny wizerunek Ayt Mady jako wielkiej patriotki. Był filarem już prawie cztery lata i jego zdobyta w młodych latach reputacja człowieka skłonnego do niepohamowanej przemocy zaczęła zanikać. Tym razem jednak nie taił, że pragnie krwi,

a ludzie kiwali ze zrozumieniem głowami. Zastąpił zniszczoną duchesse priza nową, piękną duchesse signa, wyglądającą jeszcze bardziej onieśmiejająco od poprzedniczki. Miała silnik o większej mocy, a z przodu wielką, srebrną kratę. Jeździł nią całymi dniami, prowadząc oddział pięści. Wszędzie, gdzie się zjawiał, ludzie schodzili mu z drogi i dotykali czół, nerwowo oddając honory.

Były czasy, gdy to wszystko sprawiałoby Hilowi satysfakcję, teraz jednak obchodził go tylko jeden cel: śmierć Zapunya.

– Nie ma znaczenia, ilu jego poszukiwaczy odłamków oraz skorpen wyślemy do grobu – warknął ze złością. – Zawsze znajdzie nowych kandydatów. – Położył plan Tialuhii na stoliku przed Shae, Juenem i Tarem, po czym zaczął spacerować po gabinecie. – Na Uwiwach życie jest tanie. W niespełna rok zdoła wyrównać straty, które mu zadaliśmy. Może sobie spokojnie siedzieć nad swoim jeziorem i sączyć koktajle z papai.

– Nie może pić soku owocowego – zauważyła Shae. – Ma cukrzycę.

W zamian za tę uwagę otrzymała tradycyjny szydarczy uśmieszek.

– Przychodzi ci na myśl jakiś sposób, żeby podać mu śmiertelną dawkę cukru? Nie? W takim razie musimy wymyślić coś innego, co pozwoli nam wyszeptać jego imię. – Hilo osunął się na najbliższy fotel. – Jakie mamy opcje? – zapytał Juena.

Róg westchnął, przyglądając się niewyraźnym zdjęciom. Widać było na nich ogrodzenie posiadłości Zapunya. Agenci klanu Bez Szczytów na Uwiwach zrobili te fotografie za pomocą teleobiektywów. Uzupełniono je szkicami wykonanymi na podstawie wspomnień Teije Runa, który spędził tam sporo czasu jako gość Zapunya. Jego pamięci nie bardzo można było jednak ufać.

– To nie będzie łatwe. Zapunya stać na najlepszą możliwą ochronę. Wieże strażnicze, psy, czujniki ruchu, kamery monitoringu i oczywiście *barukani*. Cała okolica jest jego własnością i nikt nie zdoła się do niego zbliżyć.

– Musi być jakiś sposób na przemycenie kogoś do tej fortecy – nie ustępował Hilo. – Albo na przekupienie kogoś, kto już tam jest. Co z kurierami, gosposiami, ogrodnikami?

– Nie pozwala się zbliżać do siebie prawie nikomu poza synami, lekarzem i ochroniarzami. Większość służby pracuje dla niego od lat. Zatrudnia wyłącznie Uwiwan wywodzących się z okolicznych rodzin, żeby mieć pewność, że go nie zdradzą. Kilka lat temu konkurencyjny producent błysku

próbował go otruć, korzystając z pomocy kucharza. W ciągu tygodnia zdradzieckiego sługę odesłano do rodziny w siedmiu osobnych wiadrach. Dalszych prób już nie było.

– W takim razie musimy zrobić to sami – oznajmił z pasją Tar. – Co znaczą kamery i wynajęte zbiry Zapunya w konfrontacji z dwoma tuzinami naszych najlepszych pięści? Wedrzemy się do środka i go zabijemy.

– Nawet gdybyśmy podzielili się na grupy i wysłali każdą osobno i w innym czasie, nie umknęlibyśmy jego uwagi – sprzeciwił się Juen. Na Uwiwach nadal obowiązywał zakaz wpuszczania zielonych kości oraz wszelkich kekońskich obywateli podejrzewanych o związki z klanami (czyli prawie wszystkich). – Moglibyśmy spróbować dotrzeć tam drogą morską, tak samo jak poszukiwacze Zapunya, ale w takim przypadku musielibyśmy płynąć prywatną łodzią co najmniej dwa dni. A potem dobrnąć z wybrzeża do jego posiadłości znajdującej się pośród wzgórz, trzysta kilometrów w głąb lądu. Tak czy inaczej, *barukani* Postrzegliby nas, nim znaleźlibyśmy się na miejscu. Mieliby czas przenieść Zapunya w bezpieczne miejsce i przygotować obronę.

Tar spojrział na filar.

– Pozwól mi to zrobić, Hilo-jen – błagał. – Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? Daj mi dziesięć pięści, a przysięgam na swój jadeit, że wyślę Zapunya do grobu.

– Zgadzam się z wami wszystkimi, że trzeba go zabić – odezwała się Shae. Hilo pomyślał, że jego siostra ciągle jest blada i tak chuda, że silny wiatr mógłby ją unieść ze sobą. Od wielu dni studiowała zebrane informacje i leżące teraz na stole zdjęcia równie obsesyjnie jak każdy z nich. – Ale nie możemy tego zrobić, Hilo. Nie możemy wysłać bandy zielonych kości, by nielegalnie wtargnęła na terytorium obcego kraju i urządziła masakrę, żeby załatwić jedną osobę, kimkolwiek mogłaby być. Zapunyo z pewnością zrobi to samo, co poprzednim razem. Wezwie miejscowych policjantów, żeby go bronili, a kiedy oni zginą, sprawa dostanie się do mediów.

– Kogo obchodzą przekupni uwiwańscy gliniarze? – sprzeciwił się Tar.

– To sprowadzi na nas mnóstwo kłopotów z Espeńczykami – kontynuowała Shae, nadal zwracając się do Hila. – Wiesz, że nasze stosunki z nimi są trudne. Ograniczyliśmy eksport jadeitu, nie chcemy wysłać żołnierzy do Oortoko, ponieważ, jak obaj z kanclerzem Sonem jasno wytłumaczyliście kanclerzowi Corrisowi, zielone kości bronią tego, co należy do nas, ale nie najeżdżają na inne kraje i nie zabijają nienoszących zieleni cywili. Gdyby-

śmy zaatakowali Zapunya, to zadałoby kłam tym słowom i osłabiło naszą pozycję w rokowaniach z Espeńczykami. Utrudniłoby im też dyplomatyczne naciski, jakie próbują wywierać na uwiwański rząd, by skłonić go do wzięcia na siebie odpowiedzialności za zwalczanie przestępczości i korupcji w tym kraju. – Hilo zmarszczył brwi. – Nie chodzi tylko o Espeńczyków. Kilka innych państw również zabroniło posiadania jadeitu przez cywilów. Przez te szotarskie filmy gangsterskie mnóstwo ludzi nawet nie wie, że zielone kości to nie to samo, co *barukani*. Jeśli będziemy działać pochopnie, kierując się żądzą krwi i nie szanując praw innych krajów, to cofnie nas pod wieloma względami, zwłaszcza gdy chodzi o zamorskie sojusze i interesy, które staramy się rozwijać.

– Espeńczycy – warknął Tar. – Mam już dość tego, że przed podjęciem każdej decyzji przede wszystkim myślimy... – Spojrzał ze złością na Shae. – Że ty myślisz przede wszystkim o uczuciach cudzoziemców. Ach, co pomyślą o tym Espeńczycy? A co pomyślą nasi rodacy? Oni liczą na klany. Czy chcesz, by doszli do wniosku, że jesteśmy bezsilni wobec zagranicznych nieprzyjaciół? Jeśli boimy się działać, odpowiedzieć na zniewagę wobec klanu, z uwagi na to, co może o nas napisać obca prasa, jesteśmy tylko pieskami pokojowymi, które nie zasługują na zieleni.

Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem, mrużąc powieki w reakcji na ukrytą zniewagę.

– Nie sugeruję, byśmy dali za wygraną. Mówię, że musimy dostać się do niego w inny sposób, niewymagający publicznej masakry przed jego domem na plantacji na Tialuhii.

– Shae-jen ma rację – rzekł Juen. – Zapunyo musi zapłacić za swoje czyny. W tej sprawie wszyscy się zgadzamy. Jednakże podjęlibyśmy wielkie ryzyko, wysyłając tuzin albo i więcej pięści, by zaatakowały go w jego własnym kraju. Potrzebujemy tych ludzi w Janloonie. Ja ich potrzebuję, jako róg. Nie możemy sobie pozwolić na ich utratę, zwłaszcza że wiemy, że bez względu na rozejm Góra pozostaje naszym wrogiem i wykorzysta każdą słabość, jaką okazemy.

Aura Tara iskrzyła od frustracji. Gdy przemówił, był niemal bliski płaczu.

– W takim razie pozwól, bym wyruszył sam, Hilo-jen. W przeciwnym razie, jak będę mógł dalej żyć? Daj mi przynajmniej spróbować.

Hilo obrzucił filarowego spojrzeniem dziwnie łagodnym, lecz również gniewnym.

– Nie gadaj bzdur, Tar. Musimy być gotowi na śmierć, to prawda, ale to nie znaczy, że powinniśmy ginąć nadaremnie. Jak spojrzysz w przyszłym życiu Kehnowi w oczy, jeśli zrobisz z siebie durnia? Myślisz, że pozwolę ci poświęcić życie bez sensu? Straciłem już wystarczająco wielu braci. Co by powiedziała Wen?

Tar otworzył usta, chcąc się sprzeciwić, lecz zaraz je zamknął i odwrócił wzrok z zawstydzoną miną.

Hilo zapadł się w fotel i skrzywił ze złością, odchylając głowę do tyłu. Zza zamkniętych drzwi gabinetu dobiegał tupot biegających po schodach dzieci oraz głos wołającej je na kolację Wen.

– Obiecałem żonie, że pomszczę jej brata i ukarzę ludzi, którzy zagrozili życiu naszych dzieci – rzekł cicho filar. – Gdybym miał powiedzieć, co pragnę zrobić, zgodziłbym się ze słowami Tara. – Zaciśnął usta i uniósł głowę, przesuając spojrzeniem po kręgu najbliższych doradców. – Ale Shae ma rację. Zawsze miała chłodniejszy umysł ode mnie, nawet gdy była wściekła. Zastanawiałem się też nad tym, co powiedział Juen. W kilku ostatnich tygodniach dokonaliśmy bardzo wiele, ale Ayt pragnie, żebyśmy posunęli się dalej, niż możemy sobie na to pozwolić, i wpędzili się w kłopoty, które będzie mogła wykorzystać. Zapewne na to właśnie liczy, bo Góra od początku zachęcała *barukanów* do ataków na nas. Dlatego nie możemy obecnie załatwić Zapunya. Nie w ten sposób.

Hilo mówił to z niechęcią, ale nie zamierzał ustąpić w tej sprawie. Wstał, dając do zrozumienia, że spotkanie skończone, lecz jednocześnie położył dłoń na ramieniu Tara.

– Nie wiem jeszcze, jak to zrobimy, ale pamiętaj, że minęły lata, nim pomściliśmy Lana, lecz w końcu to zrobiliśmy. Choć sprawa nie będzie zakończona, dopóki nie zniszczymy Góry. Musimy mieć cierpliwość.

\* \* \*

Gdy rankiem najbliższego szóstego dnia Ven Sando jak zwykle o tej porze zjawił się na pokładzie *Schedy*, Hilo czekał już tam na niego. Prezes Gwiazdy Kekonu był nieprzyjemnie zaskoczony, gdy ujrzał, że filar klanu Bez Szczytów siedzi spokojnie na krześle na pokładzie i zdążył już nalać sobie kolejkę z minibaru. Mężczyzna otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Hilo powstrzymał go uniesieniem ręki, po czym wstał płynnym ruchem.



– Ven-jen, myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi – odezwał się z łagodnym, lecz mrozącym krew w żyłach rozczarowaniem.

Masywnie zbudowany biznesmen pobladł.

– Jesteśmy nimi, Kaul-jen – zapewnił. – Czemu sądzisz, że jest inaczej?

– Przyjaciele nie składają sobie obietnic, których nie zamierzają dotrzymać – wyjaśnił Hilo, podchodząc powoli do gospodarza. – Gdy poprzednio spotkaliśmy się na tej pięknej łodzi, wydawało mi się, że będziemy ze sobą współpracować, by spowodować poprawę sytuacji obu naszych klanów. –

Hilo wydał usta po jednej stronie. – Ostatnio dzieje się bardzo dużo i rozumiem, że wszyscy mamy mnóstwo zajęć. Mój najpoważniejszy problem polega jednak na tym, że Ayt Mada nadal pozostaje filarem klanu Góra. Moja prognostyczka mówi mi, że nie odpowiadasz już na jej telefony. Nie mogę się powstrzymać przed myślą, że nie traktujesz naszej umowy poważnie.

– Kaul-jen, jasno wyrażałem swą krytyczną opinię o przywództwie Ayt. Stoczyłem owocne rozmowy o przyszłości klanu z bardzo wieloma jego wpływowymi członkami i udało mi się uzyskać silne poparcie dla zmiany kursu... że tak powiem powrotu do naszych bardziej honorowych korzeni.

– Ven odchrząknął głośno i skrzyżował na piersi potężne ramiona. – Potrzeba czasu, by przygotować zmianę o tak... nieodwracalnej naturze. Podczas swej długiej kariery zdarzało mi się pracować nad przejęciami firm i śmiem twierdzić...

– To nie jest przejęcie korporacji – przerwał mu Hilo. – Ayt Mada była prognostyczką i zaczynała karierę po biznesowej stronie klanu, ale po śmierci ojca potrzebowała tylko sześciu dni, by całkowicie przejąć kontrolę nad klanem. Mówiłeś, że Ayt to nieudolna, ambitna kobieta, ciągle popełniająca błędy. W takim razie wytłumacz mi, jak to się stało, że w ciągu prawie dwóch lat nie udało ci się osiągnąć tego, co ona osiągnęła w sześć dni?

Ven nie potrafił na to odpowiedzieć.

– Myślę, że zabrakło ci odwagi – podjął filar klanu Bez Szczytów głosem, w którym pobrzmiwało współczucie, lecz również nuta groźby. –

Wojna w Oortoko jest zła dla świata, ale okazała się korzystna dla naszej gospodarki. Bardzo wielu cudzoziemców chce wozić swoje towary po naszym kraju, więc twoja firma świetnie sobie radzi i w związku z tym koncentrujesz się na innych sprawach. Opinia publiczna i udziałowcy polubili ten tak zwany pokój między klanami. Dlatego jesteś w tej chwili mniej

skłonny ryzykować życie. Być może doszedłeś do wniosku, że nie byłoby tak źle zostawić wszystko po staremu i zapomnieć o naszej rozmowie.

Ven oddalił się od Hila i stanął przy relingu.

– O niczym nie zapominałem – zapewnił zwięźle, choć w jego głosie nie słyszało się już poprzedniej pewności siebie. – Ale potrzebujemy poparcia klanu, żeby przejść do działania. Rodzina Kobenów ma sporo zwolenników. Między innymi Temów i Gamów. Rodzina Iwe również ma sojuszników. – Po zamordowaniu Koben Enta... – Ven obrzucił Hila podejrzliwym spojrzeniem – ...po obu stronach niektórzy domagają się krwi. Ayt urządziła pilne prywatne spotkanie z przywódcami rodziny Kobenów i udało się jej powstrzymać kryzys, ale napięcia nadal się utrzymują i trudno jest znaleźć poparcie dla trzeciej opcji. W dodatku Guim ma wkrótce zastąpić Sona na stanowisku kanclerza Rady Księżęcej i w związku z tym nawet przeciwnicy Ayt wewnątrz klanu nie chcą w tej chwili wywoływać sporów.

– Mówisz jak polityk, nie jak zielona kość – skrytykował go Hilo z pogardą w głosie. – Nie miałem pełnego poparcia swego klanu, kiedy zostałem filarem. A gdyby Ayt miała pełne poparcie swojego, nie musiałaby zabijać rogu ojca i własnego brata. Jeśli chcesz być przywódcą, nie możesz czekać, aż wszyscy ustawią się za tobą. – Filar klanu Bez Szczytów podszedł do relingu i stanął obok Vena. – Niewykluczone, że podczas naszej poprzedniej rozmowy nie wyraziłem się wystarczająco jasno. Zaproponowałem ci poparcie swego klanu, ponieważ obaj pragniemy pozbawienia Ayt Mady władzy oraz życia. Jeśli sytuacja się zmieniła i nasze pragnienia nie są już zbieżne, nie mamy o czym ze sobą rozmawiać. – Hilo przechylił głowę w zamyśleniu, a jego głos złagodniał złowieszczo. – Jeśli nie znajdę chętnych do rzucenia wyzwania Ayt, mogę spróbować otworzyć nowy rozdział w stosunkach z dawną nieprzyjaciółką, informując ją o zdrajcach w jej klanie.

Twarz Vena zamarła.

– Skazałbyś całą moją rodzinę na śmierć?

– Los twojej rodziny zależy od ciebie, nie ode mnie – odparł Hilo. – Gdybyś odciął sobie ucho i padł do stóp Ayt, być może oszczędziłaby twoje dzieci, ale chyba możemy bezpiecznie założyć, że czasy żeglugi byłyby dla ciebie skończone. Wybrałeś już drogę i nie możesz z niej zawrócić. Musisz zmierzać nią dalej albo cię z niej zepchnę. – Hilo odstawił kieliszek i pochylił się w stronę Vena, którego barki nagle zeszywniały, gdy filar zaczął mu szeptać do ucha:

– Moja cierpliwość zaczyna się kończyć. Lepiej, żeby w przyszłym roku o tej porze Ayt Mada karmiła już robaki. W przeciwnym razie odpowiesz przed nią i przede mną.

Hilo położył dłoń na relingu i przeskoczył nad nim, pomagając sobie Lekkością. Wylądował na nabrzeżu i ruszył w stronę Maik Tara czekającego na niego w duchesse.

# ROZDZIAŁ 51

## PECHOWCY

Po przejściu przez espeńską kontrolę graniczną Kaul Maik Wen oddała do kontroli bezpieczeństwa złożony żakiet oraz zamkniętą stalową walizeczkę, a sama przeszła przez wykrywacz metalu. Gdy walizeczka dotarła do końca pasa, celnik wziął ją i poprosił Wen, by poszła z nim. Zaprowadził ją do pokoju rewizji. Były tam szare ściany, dwa krzesła i metalowy stół, a na ścianie wisiała flaga Republiki Espanii. Dołączył do nich drugi celnik. Poprosili Wen o paszport i przyjrzeni się mu uważnie.

– Przyleciała pani z Kekonu? – zapytał jeden z nich. Skinęła głową. – Czy mogłaby pani otworzyć walizeczkę?

Otworzyła szyfrowy zamek i odsunęła zatrzaski, po czym uniosła pokrywę, odsłaniając wyłożone aksamitem wnętrze. Pełno w nim było szlifowanych zielonych klejnotów. Niektóre leżały luźno, inne zaś wchodziły w skład naszyjników, bransolet oraz masywnych złotych pierścieni. Ich zieleń przybierała lekko żółtą barwę w blasku jarzeniówek. Jeden z celników zrobił lekki krok do tyłu, a drugi do przodu.

– Czy to... – zaczął pytać ten, który nosił rękawiczki, ale Wen szybko mu przerwała.

– Z pewnością nie – uspokoiła obu mężczyzn. Roześmiała się, jakby czuła się zawstydzona, że ich przestraszyła – Wygląda jak prawdziwy jadeit, prawda? Ale to tylko nefryt. Bardzo ładny, czyż nie tak? – Wzięła w rękę naszyjnik i podsunęła go jednemu ze strażników. Zawahał się, ale uśmiechnęła się do niego zachęcająco. – Zajmuję się handlem klejnotami. Nefryt to teraz najbardziej chodliwy towar. Wszyscy już słyszeli o jadeitowych mocach i pragną wyglądać groźnie jak kekońskie zielone kości. W Szotarze nazywają to „barukańskim stylem”, ale w Espanii to „moda militarna”. Widzicie? – Rozluźniła apaszkę, odsłaniając trzywarstwowy

naszyjnik, i dotknęła bransolet na nadgarstkach. – Przyleciałam do Port Massy na spotkanie z nabywcami.

Celnik wziął naszyjnik i przyjrzał się mu.

– W pierwszej chwili naprawdę pomyślałem, że to bioenergetyczny jadeit – przyznał. Podał naszyjnik drugiemu mężczyźnie. – Widzisz różnicę?

Wyraz ich twarzy świadczył, że żaden nie potrafi jej dostrzec.

Wyszkolony i doświadczony człowiek mógłby zauważyć różnicę w ziarnistej strukturze nefrytu i prawdziwego jadeitu. Rzecz jasna, kontakt z tym drugim spowodowałby fizjologiczną reakcję, ale zielone kości nie potrzebowałyby nawet dotykać klejnotów, by się zorientować, że wszystko, co miała w teczce, to rzeczywiście blagierski jadeit. Klejnoty nie były tak twarde i błyszczące, a ich odcień był bardziej mleczny i mniej ostry niż w przypadku autentyku. Celnicy byli jednak Espeńczykami i nie wychowywali się w bliskości tej substancji. Nie potrafili się zorientować, że klejnoty w walizeczce różnią się od tych, które miała na szyi i na rękach, od prawdziwego jadeitu wartego nieporównanie więcej niż nieczynne kamienie. Wyjęli kilka klejnotów z walizeczki i przyjrzeni się im uważnie, ale zignorowali jej naszyjnik i bransolety. Zmyłka okazała się skuteczna. Wen liczyła na ich ignorancję. Celnicy z założenia byli skłonni zwracać uwagę na walizeczkę wypełnioną klejnotami, a nie na garstkę tych, które nosiła ona. Na wielu lotniskach, w tym również na Port Massy International, były psy nauczone wykrywania jadeitowych aur, ale Wen nie miała żadnych trudności. Nieabu-kejscy kamiennoocy byli wielką rzadkością i Espeńczycy nie uwzględniali ich w swych procedurach celnych. Mimo to podjęto pewne środki ostrożności. Klejnoty noszone przez Wen pokryto warstewką matowej substancji łagodzącej ich blask. Dzięki temu nawet dla doświadczonego oka przypominały blagierski jadeit. Później warstewkę usunie się zmywaczem do paznokci.

– Ma pani zaświadczenia? – zapytał jeden z celników.

Miała je. Wręczyła im kilka dokumentów spisanych na papierze ze znakami janlońskiej firmy Klejnoty Boskości, zawierających listę próbek oraz ich przybliżoną wycenę. Wręczyła im wizytówkę. Drugi celnik wziął kilka klejnotów oraz papiery i opuścił pokój.

– Dziękujemy za cierpliwość – rzekł pierwszy. – Rozumie pani, musimy wszystko sprawdzić. Sam pomyślałem, że to prawdziwy jadeit.

Wen zachichotała.

– W takim przypadku musiałabym być najpotężniejszą zieloną kością na świecie i towarzyszyłby mi tuzin ochroniarzy strzegących walizeczki wartej wiele milionów thalirów. Moje próbki mają sporą wartość, ale nie aż taką. Jednakże w pełni rozumiem potrzebę kontroli. Przemyt jadeitu to poważny problem.

Usiadła na jednym z krzeseł, żeby zaczekać. Wiedziała, że sprawdzają strukturę próbek pod szkłem powiększającym i zapewne dzwonią też do Klejnotów Boskości, by się upewnić, czy Wen rzeczywiście pracuje w tej firmie. W rzeczywistości był to jeden z niejawnych numerów biura prognostyka. Osoba, która odbierze telefon, zapewni celników, że Wen rzeczywiście jest jednym z dyrektorów sprzedaży w firmie i pracuje w niej od czterech lat.

Obie z Shae omówiły i odrzuciły chyba z pół tuzina różnych planów potajemnego przetrzucania szlifowanego jadeitu do Espenii. Wszystkie one wymagały skorzystania ze szlaków, na których klejnotom mogła zagrozić celna kontrola albo kradzież, bądź też przekazywania ich za pośrednictwem ludzi niegodnych zaufania, mogących ich zdradzić, ewentualnie takich, którzy nie mogli dotykać zieleni, nie narażając się na wykrycie. Obie na własne oczy widziały nieubłaganą kampanię Kehna przeciw ludziom Zapunya i świetnie znały wszystkie sztuczki przemytników, a także wiele przyczyn, dla których mogły się one nie udać.

– To głupie, Shae-jen – oznajmiła wreszcie zniecierpliwiona Wen. – Jestem kamiennooką. Czasami najoczywistsze rozwiązanie jest również najlepsze.

Prognostyczka sprzeciwiała się jeszcze przez chwilę, ale Wen wiedziała, że Shae nie potrafi się oprzeć logicznym argumentom.

Celnik wrócił po dwudziestu minutach i oddał Wen paszport, dokumenty oraz próbki.

– Jest pani wolna.

Wen wyjęła z walizeczki dwa pierścionki z nefrytami i wręczyła je obu mężczyznom.

– Weźcie je sobie, proszę. To próbki. Mam ich mnóstwo.

Jeden z celników zaczął sięgać po pierścionek, ale drugi pokręcił głową.

– Nie wolno nam przyjmować takich prezentów, proszę pani.

– W takim razie weźcie chociaż breloczki – odparła z rozczarowaną miną i wręczyła im dwa wisiorki do kluczy z tego samego materiału. Wytrawiono na nich napisy „Klejnoty Boskości”. Następnie owinęła cia-

śniej szyję apaszką, wzięła walizeczkę i podążyła za celnikiem, który poprowadził ją ku wyjściu.

\* \* \*

Anden czekał na nią w punkcie odbioru bagażu. Towarzyszył mu chudy mężczyzna w czarnej czapce i rękawiczkach. Chłopak przedstawił go jako Rohn Tora. Wen ucieszyła się na widok Andena. Przez pewien czas trudno jej było myśleć o nim dobrze. Zawsze będzie mu wdzięczna za rolę, jaką odegrał w pozbawieniu życia Gont Ascha i uratowaniu klanu oraz jej męża, ale potem odwrócił się plecami do rodziny i wyjechał – podobnie jak przed nim Shae. To złamało serce Hilowi. Nigdy nie rozmawiał na ten temat, ale Wen widziała, że nadal obwinia siebie, mimo że często mu przypominała, iż zrobił to, co było konieczne.

Teraz jednak szczerze się ucieszyła na widok młodzieńca. Stał się przedstawicielem klanu Bez Szczytów w Espenii i okazał się bardzo użyteczny w tej roli.

– Dobrze wyglądasz, młodszy bracie – przywitała go ciepło.

Anden zaprezentował jej typowy dla siebie pełen rezerwy uśmiešek i zapytał, czy miała dobry lot. Zapewniła, że tak.

Pojechali do hotelu i Wen wprowadziła się do apartamentu. Rohn oddał się, mówiąc, że wróci za jakąś godzinę. Anden został z Wen, czekając w odrębnym pokoiku, aż wykąpie się i przebierze. To była jej druga podróż do Espenii. Podczas pierwszej, dwa miesiące temu, miała ze sobą walizeczkę z nefrytem, ale nie wiozła prawdziwego jadeitu. To była próba, mająca stworzyć dla niej historię przedstawicielki handlowej Klejnotów Boskości oraz umożliwić zapoznanie się z procedurami odprawy celnej. Mimo to przeraził ją panujący obecnie w Port Massy chłód i cieszyła się, że wzięła ze sobą swetry, a także chustki. Poszła do głównego pokoju i odsunęła grube zasłony, by wyjrzeć na spowite szarym dymem, pogrążone w zimowym półmroku miasto. Oczarowała ją majestatyczna obcość Port Massy, nawet jeśli Gmach Masztowy w rzeczywistości wydawał się znacznie mniejszy niż na pocztówkach. Cieszyła się na myśl o zwiedzaniu miasta i ujrzeniu niektórych jego sławnych atrakcji.

Anden wyciszył program telewizyjny, który oglądał, i zapytał ją, czy czegoś potrzebuje. Potrząsnęła głową i usiadła obok niego, poprawiając spódniczkę na kolanach.

– Posłuchaj – rzekła, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Hilo wie, że jestem w Port Massy i pracuję dla biura prognostyczki nad programem deweloperskim, ale nie ma pojęcia o tej drugiej sprawie. Nie możesz mu powiedzieć, że to ja przemyciłam jadeit do Hiszpanii.

Anden zerknął na nią, a potem opuścił wzrok, wyraźnie niezadowolony, że prosi się go o zachowanie czegoś w tajemnicy.

– Nie zaaprobowałby tego – wyjaśniła Wen. – Wiesz, co sądzi o pewnych sprawach. Dla niego albo ktoś jest zieloną kością, albo nie.

– Wiem – przyznał Anden. – Nie chce, żebym wrócił do Janloonu, dopóki znowu nie stanę się zielony.

– Nieprawda – sprzeciwiła się Wen. – Wszyscy w domu za tobą tęsknimy. Ale twoi kuzyni mają swoje powody. Shae myśli, że dobrze będzie, jak zdobędziesz hiszpańskie wykształcenie, nauczysz się obcego języka i zapoznasz się z życiem za granicą. Wszystko to przyda ci się w pracy dla klanu, nawet jeśli nie będziesz nosił zieleni. Czy nie warto znieść tej rozłąki, dopóki jeszcze jesteś młody? A Hilo... no cóż. – Wen uśmiechnęła się z nieco zrezygnowaną miną. – Dla niego każdy, kto nie nosi jadeitu, jest jak dziecko, które trzeba trzymać z dala od realiów i niebezpieczeństw, z którymi nie ma nic wspólnego. Nawet ja. Wiem, że mnie kocha i liczy się z moim zdaniem, ale nie jestem częścią jego świata. Nie do końca. Jeśli odnosisz wrażenie, że zachowuje dystans wobec ciebie i nie chce ci wybaczyć, powodem jest fakt, że nie pasujesz do jego obrazu rzeczywistości i nie wie, jak cię traktować, kiedy wrócisz.

Chłopak skierował na nią poważne, pełne nadziei spojrzenie. Wen pomyślała, że choć w jego żyłach nie płynie krew Kaulów, w tej chwili przypomina Lana bardziej niż kiedykolwiek przypominali go Hilo albo Shae.

– Porozmawiasz z nim o mnie? – zapytał. – I z Shae-jen? Oczywiście i tak dochowam twojej tajemnicy, ale wiem, że ciebie posłuchają – zapewnił pośpiesznie.

– Zrobię to – zgodziła się Wen, wzruszona jego szczerością. Ujęła go pod rękę. – Życie w Port Massy nie jest takie złe, prawda? Shae opowiadała, że masz tu przybraną rodzinę, że jest tu cała kekońska dzielnica, a nawet można grać w piłkę sztafetową. Mieszkasz tu już niemal trzy lata. Czy znalazłeś przyjaciół, coś, co czyni cię szczęśliwym, ludzi, na których ci zależy?



– Tak – potwierdził. – Masz rację, tu nie jest tak źle. Właściwie to całkiem nieźle. Ukończyłem już naukę i... spotykam się z kimś. – Zacerwieśnił się. Sprawiał wrażenie niemal zaskoczonego własnym wyznaniem, ale Wen tylko się uśmiechnęła. Oboje byli pechowymi członkami rodziny, każde na swój sposób. Komu mogli się zwierzać, jeśli nie sobie nawzajem? – Nigdy bym się nie spodziewał, że znajdę sobie kogoś w tym kraju. W dodatku on jest bardzo espeński pod wieloma względami. Ale teraz nie widzimy się już tak często. – W głosie Andena pojawiła się lekka nuta niepokoju. – Nie chodzi o to, że czuję się nieszczęśliwy. Po prostu nie sądzę, bym kiedykolwiek mógł uznać Espenię za swój dom. Trudno jest też być tak daleko od wszystkiego, co się dzieje w rodzinie. – Spojrzał na nią. – Kiedy usłyszałem, co się stało Kehnowi, pomyślałem, że powinienem tam być. Wiem, że nie mógłbym w niczym pomóc, i nawet nie znałem go zbyt dobrze, ale... i tak uważam, że powinienem tam być.

Wen uśmiechnęła się ze smutkiem i potarła powieki.

– Ja mam wszelkie powody, by siedzieć w domu. Hilo byłby zadowolony, dzieci są małe... powinieneś zobaczyć chłopczyka Liny. Jest bardzo podobny do Kehna. Kiedy opuszczam dom, bardzo za nimi tęsknię. Mimo to sądzę, że powinnam być tutaj i robić coś więcej. To prawda, że można być szczęśliwym, ale nie czuć satysfakcji.

Ktoś zapukał do drzwi. Anden podszedł do nich i wyjrzał przez judasza. Potem je otworzył, by wpuścić do środka Rohn Tora oraz czterech innych mężczyzn. Wszyscy weszli szybko do środka i zamknęli za sobą drzwi. W pokoju nagle zrobiło się tłoczno. Widząc tak wielu nieznanym mężczyznom, Wen cieszyła się, że ma ze sobą Andena. Wszyscy nowo przybyli byli zielonymi kośćmi i rozmawiali z Andenem oraz ze sobą nawzajem po espeńsku, przywitali jednak Wen po kekońsku, oddali jej z szacunkiem honory i oznajmili, że to zaszczyt ją poznać.

W hotelowym pokoju były tylko dwa krzesła. Wen i Anden usiedli na nich, a zielone kości musiały stać. Żona filaru klanu Bez Szczytów miała na sobie jadeitowy naszyjnik, bransolety, a także zwoje paciorków, które przemyciła pod ubraniem. Po przybyciu do hotelu zanurzyła klejnoty w wypełnionym zmywaczem zlewie, by uwolnić je od maskującej powłoki, a następnie rozłożyła, żeby wyschły, teraz świeciły się jak nic innego na świetle. Nie mogło być wątpliwości, że to prawdziwy kekoński jadeit.

Na oczach wszystkich Wen wyjęła szczypce do cięcia drutu i ostrożnie oddzieliła klejnoty od siebie. Następnie ułożyła je na czarnej tkaninie

pośrodku stołu. Kiedy skończyła, leżało tam równo dwieście paciorków tej samej wielkości – prawie tyle jadeitu, ile można by się go spodziewać u połowy rocznika absolwentów Akademii Kaul Du. Prawdziwy majątek. Zebrani w pokoju mężczyźni umilkli z głębokim szacunkiem. Żaden z nich nie dotykał klejnotów. Nikt nie odważyłby się ruszać tak wielkiej ilości zieleni zebranej w jednym miejscu. Nikt oprócz kamienno-okich.

Rohn sięgnął do torby, którą przyniósł ze sobą. Wyjął z niej pięć małych skrzynek o wzmocnionych ołowiem ścianach. Ich pokrywy zamykały się na zawiasach. Wen włożyła do nich po czterdzieści kamieni, po czym zamknęła je i każdy z obecnych zielonych kości wziął sobie jedną z nich –

Rohn, dwóch jego kapitanów z Port Massy, jeden człowiek z Adamont Capita oraz ostatni, który przybył tu aż z Resville. Wen powiedziano, że miejscowy filar ufa wszystkim zaproszonym ludziom. Po zakończeniu przekazania klejnotów mężczyźni oddali jej honory i wyszli.

– Niech bogowie opromienią swą łaską klan Bez Szczytów – powiedział młodszy z ludzi Rohna. Mówił po kekońsku płynnie, choć z akcentem.

W jeden dzień klan Bez Szczytów zaopatrzył Keko-Espeńską społeczność w ilość jadeitu wystarczającą dla plutonu espeńskiej armii. Przywódcy rozdadzą klejnoty podwładnym, których uznają za godnych tego zaszczytu. Wszyscy zgodzili się przyjąć pełną odpowiedzialność za zielone kości, które wyszkolą i wyposażą, świadomi tego, że roztropność i dyskrecja będą miały kluczowe znaczenie, jeśli chcą wykorzystać tę nową broń, zapewniającą im przewagę nad paczkami, nie przyciągając przy tym uwagi stróżów prawa.

Na koniec Wen wyjęła walizeczkę wypełnioną blagierskim jadeitem i bez zbędnych ceremonii wręczyła ją Rohnowi. Firma Klejnoty Boskości nie istniała. Ale espeńska spółka o nazwie Kekońskie Towary, prowadzona przez keko-espeńskiego biznesmena częściowo opłacanego przez nowo założoną filię biura prognostyka w Port Massy była w pełni realna. Rohn przekaże jej kierownikowi walizeczkę z zielonymi klejnotami, które rzeczywiście zostaną sprzedane espeńskim jubilerom. Mężczyzna z Port Massy zamienił jeszcze kilka serdecznych słów z Andenem i również wyszedł.

Wen została sam na sam z młodym Kekończykiem. Odetchnęła głęboko i zrzuciła buty, a następnie usiadła na kanapie i rozmasowała stopy. Anden nie ruszył się z miejsca, lecz jego mina też wyrażała ogromną ulgę. Przewiezienie tak wielkiej ilości jadeitu przez Amaryk i dopilnowanie, by trafił we właściwe ręce, nie było łatwym zadaniem.

– Chciałabyś coś zjeść? – zapytał.

Wstała, tłumiąc ziewnięcie. Podejrzewała, że została jej jeszcze może godzina, nim jet lag da się odczuć w pełni.

– To by było świetnie. Zaprowadź mnie w jakieś miejsce, które lubisz. Chciałabym się zapoznać z dobrą espeńską kuchnią. Potem chyba powinienam wcześniej położyć się spać.

Jutro rano będzie musiała zjawić się w filii biura prognostyka. Jej oficjalna rola doradczyni w kwestii projektów klanowych nieruchomości nie była fałszem. Czekają ją rozmowy o rozkładzie pięter.

# ROZDZIAŁ 52

## POWAŻNA SPRAWA

Filię biura prognostyka w Espenii ulokowano na Garden Street w Port Massy. Nie było to może samo centrum dzielnicy finansowej, ale znajdowało się wystarczająco blisko niego, by można było mówić o sercu śródmieścia. Anden codziennie jeździł do pracy metrem. Podróż trwała tylko piętnaście minut. Czynnikiem za jego kawalerkę był stanowczo zbyt wysoki w porównaniu z tym, co za niego dostawał, ale mieszkał w jednym z najlepszych budynków w całej Południowej Pułapce, w odległości zaledwie jednej przecznicy od stacji metra, dzięki czemu nie musiał chodzić zbyt daleko podczas mroźnych zimowych miesięcy.

Państwo Hian zapewniali, że może nadal mieszkać z nimi po ukończeniu nauki.

– Anden-se, nie sprawiasz nam nawet najmniejszych kłopotów – oznajmili. – Jesteś najlepszym gościem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Stałeś się dla nas jak trzeci syn i bardzo nam pomagasz.

Chłopak czuł pokusę. Naprawdę polubił starsze małżeństwo. Przyzwyczaił się do kuchni pani Hian i do gościnnej sypialni. (Hałasy dobiegające z zewnątrz już dawno przestały mu przeszkadzać). Musiał jednak z żalem wyjaśnić swym gospodarzom, że ponieważ ma pracować w śródmieściu i nie będzie już jeździł do college'u, powinien się przenieść w dogodniejsze miejsce. Nie wspominał o fakcie, że Daukowie wyremontowali i sprzedali mieszkanie Cory'ego, a ponieważ będzie teraz zarabiał na życie, uważał, że powinien mieć lokum, w którym jego kochanek będzie mógł zatrzymać się na noc, kiedy odwiedzi Port Massy. Obiecał Hianom, że nadal będzie często ich odwiedzał – najwyraźniej częściej niż ich synowie – a także robił im zakupy, zimą zaś pomagał w odśnieżaniu chodnika. Nadal spotykał się z dawnymi znajomymi od piłki sztafetowej, ale już nie tak często. Derek

miał nową pracę, Sammy ćwiczył regularnie z Rohn Torem, a Toda armia wysłała na osiem miesięcy za granicę.

Biuro prognostyka wynajęło pomieszczenie w biurowcu, w którym działało również kilka firm prawniczych oraz księgowych, agencja reklamowa, ośrodek przygotowujący do egzaminów do college'ów oraz kierownictwo firmy prowadzącej kursy na prawo jazdy. Na liście umieszczonej w holu, a także na drzwiach biura umieszczono napis BIURO ŁĄCZNIKOWE DS. HANDLU Z KEKONEM. Pracowało tu w sumie dwanaście osób, cztery więcej niż w chwili, gdy Anden pierwszy raz zjawił się tu sześć miesięcy temu. Oficjalnie nosił tytuł młodszego współpracownika i początkowo nie miał pojęcia, czym właściwie powinien się zajmować, z czasem jednak doszedł do wniosku, że jest to odpowiednik początkującego szczęściodawcy czwartej albo piątej rangi. Była w tym ironia. Anden pamiętał kiepskie oceny z matematyki, jakie miał w Akademii Kaul Du. Wtedy nawet sobie nie wyobrażał, że wyląduje po biznesowej stronie klanu.

Na szczęście nie wymagano od niego zbyt wiele pracy za biurkiem. Jego szef, Hami Tumashon – do niedawna pierwszy szczęściodawca klanu Bez Szczytów – odpowiadał bezpośrednio przez Kaul Shaelinsan i świetnie widział, kim jest Anden.

– Kaul Shae-jen pozwoliła mi wybierać swych pracowników z jednym tylko zastrzeżeniem. Powiedziała, że ciebie muszę zatrudnić – oznajmił bez ogródek.

Anden rozpoznawał w jego głosie janloński akcent, którego nie potrafił usłyszeć u siebie. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że jest on wyraźnie różny od keko-espeńskiego, z jakim mówił Cory. Hami przyglądał mu się przez chwilę.

– Chce, żeby ktoś z rodziny Kaulów obserwował moje kroki i wysyłał informacje do Janloonu, by się upewnić, że nie marnuję klanowych pieniędzy i czasu – dodał z brutalną szczerością, ale bez złości.

– Panie Hami, dopiero co ukończyłem miejski college i kuzyni próbują znaleźć mi jakąś robotę, to wszystko – odparł Anden. – Oczekują, że spróbuję ci pomóc na miarę swych możliwości, ale jeśli na nic ci się nie przydam, po prostu mi to powiedz.

Świetnie zdawał sobie sprawę z tego, że ma niewielkie kwalifikacje.

Jednym z pierwszych zadań, jakie zlecił mu Hami, było zwerbowanie nowych pracowników.

– Potrzebujemy miejscowych – wyjaśnił. – Dwujęzycznych, urodzonych w Hiszpanii albo naturalizowanych, ludzi, którzy znają język oraz kulturę i wiedzą, jak się tu prowadzi interesy. Jeśli masz znajomych wśród Kekończyków mieszkających w Port Massy, zacznij od nich. Może wskażą ci jakieś tropy.

Anden złożył wizytę Dauk Losunynowi i wyjaśnił mu sytuację. Dauk pokiwał z namysłem głową.

– Zrobię wszystko, co będę mógł, by pomóc twojej rodzinie w interesach – zapewnił.

Filar Południowej Pułapki był ostatnio w dobrym humorze. Jego najmłodsza córka wydała na świat dziewczynkę i miał już troje wnucząt, a policja przestała go obserwować, bo miała zbyt wiele kłopotów z gwałtownym konfliktem między trzema głównymi paczkami, który rozgorzał niedawno.

Zgodnie z tym, co Anden usłyszał od Rohn Tora, szef Kromner przestraszył się rosnących wpływów Chudziaka Reamsa i podejrzewał go o zagarnianie dla siebie części zysków z nowego jadeitowego interesu. Dlatego rozkazał innemu swojemu przodownikowi, Mothowi Duke'owi, załatwić Reamsa, ale Chudziakowi udało się uciec. Następnie sprzymierzył się z Angą Slatter z paczki z Baker Street, która wiedziała, że Kromner prędzej czy później spróbuje zniszczyć jej paczkę z Wormingwood, i dostrzegła szansę prewencyjnego ataku. Reams i Slatter zdobyli ciche poparcie paczki z Baker Street. Wkrótce potem ciała Motha Duke'a i dwóch jego ludzi znaleziono w hangarze dla łodzi. Udużono ich, zawiązując im na głowach plastikowe torby. To była typowa egzekucja w stylu paczek, mająca być ostrzeżeniem dla innych. Kromner ukrywał się w południowej części miasta.

Przez całą wiosnę i lato wojny paczek i spektakularny upadek kryminalnego celebryty przyciągały uwagę opinii publicznej, zajmując większość nagłówek gazet. O wybuch przemocy oskarżano jadeit, spopularyzowany na czarnym rynku dzięki przyciągającej międzynarodową uwagę wojnie oortokańskiej. Czterech członków paczki z Wormingwood zabili w biały dzień zamachowcy ponoć poruszający się szybciej niż zwyczajni ludzie. Osiem osób hospitalizowano z powodu zatrucia jadeitem oraz przedawkowania SN1. Portmassański Wydział Policji, oskarżany o korupcję oraz nieudolność, postanowił w odpowiedzi przykręcić śrubę paczkom. Na brze-

gach Camres wykryto szlifiernię jadeitu. Zamknięto ją, a uzależnionych imigrantów deportowano.

Paczki skoczyły sobie do gardeł, a policja była przeciążona. Dzięki temu Kekończycy mieszkający w Południowej Pułapce nie mieli zbyt wielu kłopotów. W zdewastowanym ośrodku nadal trwały prace remontowe, ale salę uraz dyskretnie przeniesiono do będącego własnością wujka Dereka magazynu, specjalnie przebudowanego w tym celu. Gdy dawną salę wreszcie otworzono, okazało się, że zainteresowanie jest tak duże, że nową również zostawiono otwartą. Za dnia zielone kości miały więcej miejsca do ćwiczeń, wieczorami zaś licznie odwiedzający sale ludzie zapewniali wysokie zyski z hazardu. Tydzień po tym, jak policja wytropiła szefa Kromnera i aresztowała go pod sfabrykowanymi zarzutami wyzyskiwania robotników, do Andena zadzwonił Dauk Losun – bez żadnego szczególnego powodu, tylko po to, by zapytać, jak mu się podobają nowe mieszkanie i nowa praca.

– Przyjacielu, jeśli ty albo twoja rodzina będziecie potrzebowali pomocy w jakiejś sprawie, proście o nią bez wahania – powiedział mu filar Południowej Pułapki. – Niech bogowie opromienią swą łaską klan Bez Szczytów, jak mawiają w starym kraju.

Parę tygodni po tym, jak Anden poprosił o pomoc, Dauk Sana zjawiała się w filii biura prognostyka z listą zawierającą dwadzieścia cztery nazwiska. Anden przedstawił ją Hamiemu i, nim Sana przeszła do rzeczy, oboje poświęcili trochę czasu na rozmowę o tym, z której części Kekonu wywodzą się ich rodziny.

– Pani Kuni jest jedną z moich stałych klientek. Dokucza jej żołądek. Jej syn obecnie zajmuje się kredytami hipotecznymi, ale nie jest zbyt zadowolony z tej pracy i chętnie znalazłby sobie nową. Zawsze nieźle się uczył, ale nie za dobrze mówi po kekońsku. – Dauk Sana przesunęła palec do drugiego nazwiska na liście. – To koleżanka mojej najstarszej córki ze studiów prawniczych. Rzuciła pracę, żeby urodzić dziecko. Teraz pragnie wrócić do pracy, ale dawna firma nie chce jej przyjąć z powrotem. Rodzina jej męża to espeńscy wojskowi.

Dziesięć z dwudziestu czterech osób zaproponowanych przez Dauk Sanę wykazało zainteresowanie, gdy się z nimi skontaktowano, siedem stało się na rozmowę kwalifikacyjną, a cztery przyjęło do pracy.

Hami był zadowolony. Najwyraźniej Anden dowiódł, że do czegoś się przyda. Następnie polecono mu zdobyć informacje na temat miejscowego rynku alkoholi, porozmawiać z właścicielami restauracji i barów, a także

nabyć próbki setek różnych rodzajów napojów alkoholowych, by można je było wysłać na Kekon celem poddania testom porównawczym. W klanie Bez Szczytów uważano, że w Espenii można będzie stworzyć rynek na kekońską hoji. Później rozkazano mu przyjrzeć się rynkowi handlu nieruchomościami.

Gdy nadeszły jesienne chłody i wszędzie znowu pojawiły się dekoracje na Wigilię Dożynek, Anden z zaskoczeniem przekonał się, że polubił swoją pracę. Jego współpracownicy byli przeważnie Kekończykami i czuł się swobodnie w ich towarzystwie, a przydzielane mu zadania wymagały częstych kontaktów z miejscowymi, a co za tym idzie, znajomości espeńskiego w mowie i piśmie. Wykonywał najróżniejsze obowiązki, zależnie od tego, czego akurat potrzebował Hami, rzadko więc się nudził, a do tego nauczył się bardzo dużo o działalności niewielkiej części biura prognostyka i zapoznał się z różnymi sektorami espeńskiej gospodarki.

Od czasu do czasu zlecano mu zadanie powiązane z „zieleńszą stroną klanu”, jak po cichu mówił mu Hami. To znaczyło, że sprawa jest ważna dla rogu, a być może nawet dla samego filaru. Kazano mu sprawdzić książki telefoniczne oraz dokumenty rządowe, a także zadzwonić dyskretnie w kilka miejsc, by ustalić miejsce pobytu dwóch żołnierzy, których niedawno zwolniono warunkowo po rocznej odsiadce za porwanie i gwałt na młodej Kekonce, gdy służyli w bazie na Eumanie. Anden dwa razy wybrał się na dłuższą przejażdżkę – raz do Orslow, przedmieścia Port Massy położonego na południe od miasta, a drugi raz do odległego o pięć godzin drogi miasteczka Evenfield – by się upewnić, że zdobyte przez niego informacje są prawdziwe. Wiedział, że obaj żołnierze zostaną ukarani, być może śmiercią. Po przekazaniu tych informacji niespodziewanie zadzwonił do niego Maik Tar, prosząc o uściślenie kilku szczegółów i dziękując mu za dokładność.

Kilka tygodni później dowiedział się, że jednego z winnych napadnięto i pobito – policja uznała to za napad rabunkowy – tak dotkliwie, że został na stałe sparaliżowany od pasa w dół, drugi zaś doznał poważnych poparzeń trzeciego stopnia w pożarze, który zniszczył jego dom. Anden podejrzewał, że jest jedynym młodszym współpracownikiem w filii, któremu zleca się podobne zadania. Ta myśl dała mu nadzieję. Gdy przed niemal trzema laty przybył do Port Massy, widział swą sytuację w najczarniejszych barwach. Był złamanym, pozbawionym jadeitu wygnańcem, czepiającym



się ostatnich opcji, jakie mu pozostały. Teraz wyglądało na to, że otworzyła się przed nim droga, która wyprowadzi go z mgły.

\* \* \*

Anden obserwował Cory'ego, który golił się, stojąc przed lustrem goły do pasa, i nucił jakąś melodię, nieznaną przybyszowi z Kekonu. Był ranek siódmego dnia, sam środek zimy, i za oknami nie pojawiły się jeszcze nawet najdrobniejsze oznaki świtu, Cory jednak musiał złapać poranny autobus, by wrócić na uczelnię, ponieważ wyznaczono mu na dzisiaj naukę własną. Był na drugim roku studiów prawniczych i miał więcej zajęć niż kiedykolwiek dotąd. Czasami przyjeżdżał do Port Massy na rodzinne uroczystości, lecz nie miał czasu spotkać się z Andenem. Za to w innych przypadkach zjawiał się bez zapowiedzi na dzień albo dwa tylko po to, by pobyć z nim.

– Nie wychodź po mnie na dworzec – poinstruował Andena przez telefon. – Rodzice nie wiedzą, że przyjeżdżam, i gdyby ktoś zobaczył nas razem, cholernie trudno byłoby to wytłumaczyć. Przyjadę do ciebie tak-sówką.

Anden brał wolne, uprawiali seks, oglądali telewizję, rozmawiali i znowu uprawiali seks. Kiedy mieli ochotę pójść do restauracji, kina albo do salonu gier, wsiadali do metra i jechali do innej dzielnicy – Lochwood, Quince albo Athwart – gdzie raczej nie powinni spotkać nikogo znajomego. Początkowo Cory odwiedzał go co miesiąc, potem ten okres przedłużył się do sześciu tygodni, a wreszcie do ośmiu. Gdy Anden przyglądał się Cory'emu, nasunęła mu się myśl, że nie rozmawiali o tym, kiedy spotkają się znowu. Żaden z nich nie poruszył tego tematu.

– Z kim jeszcze sypiasz? – zapytał.

Cory zamarł w komicznym bezruchu, z połową twarzy pokrytą kremem do golenia, i spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Skąd to się wzięło? – zapytał z bólem i oburzeniem. – Z nikim. Nie na poważnie.

– Co to znaczy „na poważnie”? Czy traktujesz poważnie to, co robimy?

Anden nigdy nie uważał się za zazdrosnego i zdziwił się gwałtownością własnych słów.

Cory skończył się golić, wytarł twarz ręcznikiem, wrócił do łóżka i położył się na narzucie. Trzy klejnoty otaczające jego pępek ostro kontra-

stowały z bladą skórą.

– Posłuchaj, studia prawnicze są naprawdę bardzo stresujące. Prawie cały czas jesteśmy zajęci, a kiedy uda się nam na chwilę wyrwać, imprezy robią się szalone. Zdarzyła mi się jedna noc, w poprzednim semestrze. To było głupie, jeśli się nad tym zastanowić. Nie spotykam się z nikim innym, daję słowo.

Anden milczał. Cory wyciągnął rękę i ujął jego podbródek.

– Jestem z tobą, ziom. Ty jesteś realny. No wiesz, jesteś młodszy ode mnie, ale masz w sobie coś, co sprawia, że wydajesz się starszy. Traktujesz życie poważniej. A ja... – Wzruszył ramionami. – Właściwie nie przejmuję się przyszłością. No wiesz, żyję chwilą. Nie wiem, czym chcę się zająć po ukończeniu studiów. Staram się nie wykluczać żadnej możliwości. – Pocałował Andena w nagi bark. – Na razie jest nam dobrze, tak?

– Cory... – zaczął Anden. Wahał się, czy poruszyć ten temat, ale irytował go fakt, że nigdy dotąd tego nie zrobili. – Czy mógłbyś kiedykolwiek zamieszkać na Kekonie? Jeśli będę miał szansę powrotu do Janloonu, chciałbym wiedzieć... czy byłbyś gotowy rozważyć taką możliwość.

Cory wsparł się na łokciach i przyjrzał się z uwagą partnerowi, unosząc brwi.

– Czy rozmawiamy hipotetycznie, czy to coś, co ma naprawdę się wydarzyć? Czy rodzina prosiła cię, żebyś wrócił?

– Tylko hipotetycznie – mruknął Anden. – Po prostu uznałem, że powinniśmy o tym pomówić.

– No cóż, hipotetycznie... – Cory przetoczył się na plecy i splótł dłonie za głową, wpatrując się w sufit. – Jasne, mógłbym spędzić trochę czasu za granicą. Zobaczyć kraj, z którego pochodzą moi rodzice, poznać swoje korzenie i tak dalej. Nigdy nie mieszkałem za granicą. To byłoby rewelacyjne doświadczenie. – W jego oczach pojawiły się błyski optymizmu. –

Oczywiście to zależałoby od czasu i okoliczności, ale wszystko jest możliwe, ziom.

– A co pomyśleliby twoi rodzice?

Zirytowany Cory wyrócił oczami.

– Czemu ciągle o to pytasz? Martwisz się, jakby chodziło o twoich rodziców. – Usiadł i wypuścił powietrze, zdmuchując włosy z czoła. – Posłuchaj, zawsze byłem dla nich dobrym synem. Robię to, czego ode mnie oczekują. Noszę jadeit, udzielam się w miejscowej społeczności, studiuje prawo. Mama zawsze chciała trzymać mnie blisko, bo jestem jej ukocha-

nym synkiem, ale tata pragnie, żebym został „człowiekiem sukcesu”, co w jego pojęciu oznacza bardzo szczególne połączenie staromodnej zielonej kości z bogatym prawnikiem. – Cory parsknął śmiechem, ale słyszało się w nim nutę frustracji. Nagle spoważniał i spojrzał kochankowi prosto w oczy. – Chciałbym, żeby rodzice byli ze mnie zadowoleni, ale jestem już dorosły i sam decyduję za siebie, ziom. Jeśli przeprowadzka na Kekon jest ważna dla ciebie, jest też ważna dla nas i powinniśmy rozważyć tę możliwość. – Pochylił się i obdarzył Andena krótkim pocałunkiem. Następnie postawił nogi na podłodze i wstał, prostując wysokie szczupłe ciało. Podniósł ubranie i obejrzał się jeszcze na partnera. – Znowu umilkłeś. Hej, chyba nie musimy tak bardzo się śpieszyć z decyzją, prawda? Porozmawiamy o tym przy innej okazji. Musimy ustalić, czego naprawdę chcemy.

Anden myślał później o tej rozmowie i nadal czuł się niezadowolony. Żałował, że nie był bardziej szczery i asertywny, nie powiedział Cory’emu, że już wie, że chce wrócić na Kekon, i ma nadzieję, że gdy ta chwila nadejdzie, partner zgodzi się mu towarzyszyć.

Potem przypomniał sobie, co powiedział Hilo o jego kochanku podczas ich ostatniej rozmowy, i jego wątpliwości się nasiliły. „Wiesz, że nie poradziliby sobie jako zielona kość w Janloonie”. Czy jego kuzyn miał rację? Czy Cory mógłby czuć się szczęśliwy na Kekonie? Ich pozycje by się odwróciły. To jego partner byłby tam cudzoziemcem. Gdyby nosił jadeit, nie chroniłoby go *aisho*. Czy to nie byłoby dla niego zbyt niebezpieczne? Mimo że wiedział, czym się zajmuje jego ojciec, i często pomagał mu w sprawowaniu funkcji filaru, właściwie nie rozumiał, jak funkcjonują klany na Kekonie. A gdyby Daukowie nie chcieli, żeby ich syn opuścił Espenię, czy nie wywołałoby to napięć między rodzinami, które stały się obecnie sojusznikami i kuzyni Andena liczyli na pomoc Dauków w załatwianiu ich interesów w Espenii?

Wszystkie te troski nie miały jednak obecnie znaczenia. W końcu nie wyznaczono mu żadnego terminu powrotu, nie miał motywacji, by rozstrzygnąć tę sprawę. Lepiej żyć chwilą, jak powiedział Cory.

\* \* \*

Pewnego poranka, szóstego dnia, krótko przed kekońskim Nowym Rokiem, w mieszkaniu Andena zadzwonił telefon. Chłopak wstał dopiero przed piętnastoma minutami i mył zęby w łazience, stojąc na kratce grzej-

nika. Jego sylwetka odbijała się w zaparowanym okienku, za którym nie było widać nic poza szronem i ciemnością. W pokoju był włączony mały telewizor. Nadawano skrót wydarzeń tygodnia. Mówiono o narastającym publicznym oraz politycznym nacisku na rzecz wycofania się z Oortoko, z jakim mieli do czynienia premier Galtz oraz Zgromadzenie Narodowe, o wzroście stóp procentowych i powtarzano najnowsze plotki o jakiejś gwiazdce filmowej.

W pierwszej chwili Anden pomyślał, że dzwonek dobiega z telewizora. Potem sobie uświadomił, że to na pewno telefon z Janloonu. Kto inny zadzwoniłby o tej porze? W domu był wczesny wieczór. Wyłączył telewizor i uniósł słuchawkę.

– Słucham? – powiedział po kekońsku, lecz mimo to zdziwił się, usłyszawszy głos Hila, stłumiony przez długodystansowe połączenie.

– Musimy porozmawiać, Andy – oznajmił filar. – Shae i Juen są ze mną w pokoju. Przełączę cię na połączenie konferencyjne.

Anden mógłby policzyć na palcach jednej ręki okazje, gdy rozmawiał z Hilem przez telefon, odkąd przeniósł się do Espanii.

– On nie lubi rozmów telefonicznych – wyjaśniła mu kiedyś Shae przepaszającym tonem, chłopak podejrzewał jednak, że to z nim filar nie lubi rozmawiać przez telefon, bo to przypominało mu, że młodszy kuzyn okrył się niesławą i przebywa daleko stąd. Anden z pewnością też nigdy nie uczestniczył w konferencji telefonicznej z filarem, rogiem i prognostyczką klanu.

– Czy coś się stało? – zapytał z niepokojem.

– Nic groźnego, Anden – dobiegł go z oddali głos Shae.

– Potrzebujemy twojej pomocy, kuzynie – odezwał się Hilo. – Chodzi o załatwienie pewnej sprawy w Espanii.

Anden zapalił lampę i usiadł na łóżku.

– W czym mogę wam pomóc?

– Trzeba kogoś zabić – odparł filar.

# ROZDZIAŁ 53

## GRZECHY I KOMPROMISY

Po wielu latach cukrzyca wreszcie dopadła Zapunya na dobre i potrzebował przeszczepu nerki. Ochrona zdrowia na Uwiwach zaliczała się do najgorszych na świecie, ale dla bogatego przemytnika pieniądze nie stanowiły problemu. Zapunyo załatwił sobie podróż do Espanii z półrocznym wyprzedzeniem i zapłacił wysoką stawkę za operację w prywatnym szpitalu w Port Massy. Miał opuścić swą ufortyfikowaną posiadłość na Tialuhii, co zdarzało się bardzo rzadko. Ten fakt wykrył ulokowany w dobrym miejscu szpieg klanu Bez Szczytów. Na taką okazję Hilo i Shae czekali już od ostatniego lata.

Anden udał się z prośbą do Dauk Losunyina.

– Dauk-jen... – zaczął – ...ten przemytnik, Zapunyo, rzadko opuszcza swą fortecę na Uwiwach. Kieruje całą organizacją złożoną z *barukanów*, skorpen i tanich pracowników, którzy kradną jadeit z kopalń, wywożą go z Kekonu i sprzedają czarnorynkowym nabywcom w Ygutanie oraz Oortoko, a także niebezpiecznym grupom, takim jak paczki.

Dauk pokiwał głową.

– Szef Kromner czeka na proces i może spędzić w więzieniu wiele dziesięcioleci – rzekł. – Inni szefowie się ukrywają. Czemu miałbym się przejmować tym Zapunyem?

– Nawet jeśli Kromner pójdzie siedzieć, jego miejsce zajmą inni. Dopóki jadeit pozostanie nielegalnym przedmiotem powszechnego pożądania, w tym kraju i na całym świecie znajdą się przestępcy, którzy będą chcieli dostać go w swoje ręce, i ludzie tacy jak Zapunyo, gotowi im go sprzedać. Być może media mają rację i upadek Kromnera oznacza, że w Port Massy skończyły się złote czasy dla paczek, ale może wcale tak nie jest albo ich miejsce zajmą inne grupy, które będą dla nas jeszcze większym

zagrożeniem. Jedyne rozwiązanie to odciąć dostęp do źródeł, czyli powstrzymać przemyt jadeitu z Kekonu.

Siedzieli razem w salonie Dauków. Filar zajął miejsce na fotelu, a Anden na kanapie naprzeciwko niego. Sana właśnie skończyła sesję uzdrawiania z kolejną klientką i spacerowała teraz za plecami męża, trzymając w rękach ich niedawno narodzoną wnuczkę.

Dauk spojrział na młodzieńca z lekkim rozczarowaniem.

– Anden, znamy ciebie i twoją rodzinę już od jakiegoś czasu. Czemu po prostu mi nie powiesz, czego od nas chcesz i z jakiego powodu?

Chłopak opuścił wzrok, spoglądając na filiżankę herbaty, którą trzymał w dłoni. Odstawił ją na stolik.

– Kiedy spotkałem cię po raz pierwszy, powiedziałem ci, że jestem tylko studentem i mimo moich powiązań rodzinnych nie mogę przemawiać w imieniu swoich kuzynów z Janloonu. Tym razem jednak mogę cię zgodnie z prawdą zapewnić, że przychodzę tu jako reprezentant klanu Bez Szczytów. – Spojrzął Daukowi prosto w oczy. – Zapunyo próbował zabić filar i jest odpowiedzialny za śmierć rogu. Gdyby moja szwagierka i jej dzieci były w samochodzie w chwili ataku, również by zginęły. Ten człowiek jest wrogiem mojej rodziny, który do tej chwili unikał kary, ponieważ mieszka daleko i dysponuje wielkimi zasobami. Musimy go zabić, dopóki przebywa w Espenii.

Dauk wypuścił powietrze przez nos.

– Mówisz, że jest tak dobrze strzeżony, że nawet wojownicy zielonej kości z klanu Bez Szczytów nie mogli do niego dotrzeć. Jak zamierzasz to zrobić?

– To nie będzie łatwe – przyznał chłopak. – Moi kuzyni mają pewien plan, który pozwoliłby ominąć strzegących go *barukanów*, ale potrzebujemy twojego pozwolenia i twojej pomocy, Dauk-jen. Potrzebowalibyśmy Rohn Tora.

Dauk Losun obejrzał się na żonę.

– Pozwól mi przez chwilę porozmawiać z naszym przyjacielem w cztery oczy.

Anden był zaskoczony. Nigdy dotąd nie widział, by filar Południowej Pułapki kazał swej żonie odejść. Co jeszcze dziwniejsze, Dauk Sana zaciśnęła usta z wyrazem zrozumienia na twarzy i włożyła niemowlę do wózka.

– Pojadę z nią na spacer i kupię w sklepie parę rzeczy – oznajmiła.

Otworzyła drzwi i wyszła z domu, zostawiając Andena i męża samych.

Dauk Losun napełnił im filiżanki i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Od czasu, gdy Hianowie przyprowdzili cię do nas, moja opinia o tobie cały czas się poprawiała. Natychmiast zauważyłem, że jesteś jednym z ludzi, jakich w starym kraju otacza się szacunkiem, takim, którego słowom zawsze można wierzyć. Chciałbym, żeby mój syn był bardziej podobny do ciebie, ale jest, kim jest. Darzę wielkim szacunkiem ciebie i twoją rodzinę. Dlatego, gdy powiedziałaś, że tu przyjdiesz, byłem gotowy dać ci to, o co poprosisz, ponieważ cenię ciebie i twoją rodzinę prawie tak samo, jak własny jadeit. – Zwykle przyjazna i uśmiechnięta twarz Dauka przybrała poważniejszy wyraz. – Teraz jednak usłyszałem twoją prośbę i nie mogę się na to zgodzić. Nosimy jadeit dla obrony własnej, a także naszych przyjaciół i sąsiadów. Zielone kości zawsze tak postępowały. Żadne ludzkie prawo nie może tego zmienić. Jesteśmy wierni naszym tradycjom, choć inni ich nie rozumieją, i nie krzywdzimy tym nikogo. To prawda, że czasami musimy ukarać ludzi, którzy szkodzą naszej społeczności, albo przestępców stanowiących dla nas zagrożenie. Niemniej pragniemy tego samego, co wszyscy w tym kraju. Dobrego życia dla siebie i jeszcze lepszego dla naszych dzieci. – Dauk przerwał i potarł się po karku. – Nie znam tego Zapunya. Może być złym człowiekiem, ale nie zrobił nic, co bezpośrednio zaszkodziłoby naszej społeczności. Możemy tu odczuwać echa konfliktu o jadeit przemywany z Kekonu na Uwiwy, ale wszystko to dzieje się na drugim końcu oceanu. To nie nasza wojna. Prosisz mnie, bym zamordował człowieka, którego nie znam, na espeńskiej ziemi, narażając własną rodzinę oraz mojego dobrego przyjaciela Rohn Tora na niepotrzebne niebezpieczeństwo i na konflikt z espeńskim prawem.

Anden nie był zaskoczony odpowiedzią Dauka. Ostrzegł kuzynów, że taką właśnie może usłyszeć.

– Cała operacja będzie zaplanowana i przeprowadzona przez klan Bez Szczytów, pod fałszywymi nazwiskami – zapewnił. – Ja będę kontaktem i nie da się wykryć żadnego związku z tobą. Mój filar zapewnia, że tak będzie. Potrzebujemy tylko Rohn Tora. Później mój klan wywiezie go z kraju, żeby ukrył się na Kekonie, czy gdziekolwiek zapragnie. Będzie miał płatne wakacje do chwili, gdy bezpieczny powrót stanie się możliwy.

– Czy nie przybyłeś do Hiszpanii po to, by uciec przed rolą zielonej kości? Posłuchaj siebie, Anden. Mówisz jak pięść. – Starszy mężczyzna uśmiechnął się i pokręcił głową. – Wybacz, ale w tej sprawie nie mogę ci pomóc. –

Anden zrobił rozczarowaną minę. – Jeśli to dla ciebie takie ważne, być

może sam powinieneś podjąć się tego zadania – dodał Dauk. – Oczywiście wiem, że uczono cię jadeitowych umiejętności.

Anden zacisnął zęby.

– Nigdy przedtem mnie o to nie pytałeś, Dauk-jen, ale jestem pewien, że o tym wiesz. Wysłano mnie do Espenii dlatego, że odmówiłem zostania zieloną kością. Minęły lata, odkąd ostatnio nosiłem jadeit. Nie wiem, czy potrafiłbym nad nim zapanować, i nie mam pojęcia, co by to ze mną zrobiło. A to oznacza, że jestem zbyt nieprzewidywalny, bym mógł się przydać w takiej sytuacji. A gdyby nawet tak nie było, poprzysięgłem sobie, że już nigdy nie włożę zieleni. To jedyna sprawa, w której nie pójdę na kompromis.

Dauk milczał przez chwilę dłuższą, niż Anden się tego spodziewał. Najwyraźniej zastanawiał się nad całą tą sprawą.

– Rozumiem – rzekł wreszcie. – Jestem ci wdzięczny za to, że szczerze mówisz o swej przeszłości. Pozwól, że odpowiem ci tym samym. Pora, bym opowiedział ci o jedynej sprawie, w której ja nie pójdę na kompromis.

\* \* \*

Gdy przybyłem do Port Massy z matką i siostrami, miałem czternaście lat. Jedna z moich sióstr, najmłodsza z nas, zmarła na zapalenie płuc zaledwie dwa lata później. Najstarsza siostra uciekła z mężczyzną, którego nasza matka nie akceptowała. Straciliśmy z nią wszelki kontakt. Zostałem sam z matką. Mieszkaliśmy w mieszkaniu nad pralnią. Najlepiej z tamtych czasów zapamiętałem zapach mydła, jakiego wszyscy wtedy używali – to było Twarde Mydło Purely’ego – oraz wilgoć. Okna zawsze były zaparowane, a farba na ścianach pokrywała się pęcherzami i schodziła. Zimą wilgoć dawała się odczuć jeszcze silniej. To było okropne.

Prawie wszyscy ludzie mieszkający w okolicy uciekli ze starego kraju, bo Szotarczycy zniszczyli ich domy lub uwięzili bądź zamordowali krewnych. Nasi rodzice byli dumnymi zielonymi kośćmi albo latarnikami Towarzystwa Jednej Góry, ale w Espenii staliśmy na samym dole drabiny społecznej. Byliśmy uchodźcami pozbawionymi wszelkiego dobytku. Nawet Tuni, mieszkający po drugiej stronie Beecher Street, uważali, że stoją wyżej od nas. Byliśmy jednak dumni z tego, kim jesteśmy i skąd przybyliśmy. Dochowywaliśmy wierności dawnym zwyczajom.



Kiedy miałem dwadzieścia parę lat, pracowałem jako kurier dla właściciela sklepu z artykułami gospodarstwa domowego. Nazywał się Ito. Myślę, że za młodu był dobrym człowiekiem, ale zbyt wiele wycierpiał i trochę mu odbiło. Był zieloną kością. Jego rodzina, podobnie jak wiele innych, przywiozła ze sobą jadeit do Espenii, ale nie śmiała nosić go otwarcie. Byliśmy mniejszością, ze wszystkich stron otaczali nas cudzoziemcy najróżniejszych rodzajów. Kradzież była czymś powszechnym. Dzieci okradają wózki z zakupami, zbiry domy i sklepy, a paczki wszystkich. I rzadko zdarzało się, by ktoś ponosił konsekwencje. Znaleźliśmy się w kraju złodziei. Dlatego każdy, kto miał jadeit, starannie go ukrywał. Urodziłem się w rodzinie zielonych kości i przeszedłem szkolenie, ale mojego ojca i wujków zabrali Szotarczyki. Razem z ludźmi straciliśmy też ich zieleń. Dlatego nasza rodzina była uboga, nawet jak na standardy dzielnicy, w której mieszkaliśmy.

Jak już mówiłem, Ito był dobrym człowiekiem, ale trochę szalonym. Pewnego dnia wdał się w kłótnię z szotarskim klientem. Kiedy był dzieckiem na Kekonie, widział, jak szotarscy żołnierze zgwałcili jego siostrę, a starszego brata pobili tak mocno, że nie mógł już chodzić ani mówić. Dlatego nienawidził Szotarczyków jeszcze bardziej niż my wszyscy. To uczucie było bliskie obłędu. Tego wieczoru wymieniono obelgi, a potem sprawy wyrwały się spod kontroli i nagle zobaczyłem, że Szotarczyk leży martwy na podłodze sklepu. Nikt inny tego nie widział. Ito zwrócił się w moją stronę z szaleństwem w oczach. Nagle dotarło do mnie, że uświadomił sobie, iż jestem jedynym świadkiem i mnie również będzie musiał zabić, żeby nikt się nie dowiedział o jego zbrodni. Pośpiesznie zapewnilem go, że to nie jego wina, że to był wypadek, a Szotarczyk go sprowokował. Pragnąc uratować życie, zaproponowałem, że pomogę mu pozbyć się ciała.

Zrobiliśmy coś naprawdę strasznego. Pokroiliśmy zwłoki na kawałki, popłynęliśmy łodzią wiosłową w górę Camres i każdy fragment wrzuciliśmy do wody w innym miejscu, obciążony cementem. Koszmary dręczyły mnie potem przez wiele lat. Czasami wracają nawet dzisiaj.

Mimo że pomogłem Itowi przy tym makabrycznym zadaniu, ciągle bałem się o własne życie. Wiedziałem, że gdy tylko na mnie spojrzał, próbował Postrzec we mnie poczucie winy i zastanawiał się, czy go nie wydam. Nadal myślał o zabiciu mnie. Spoglądając wstecz, myślę, że pod wpływem stresu zaczynał czuć pierwsze objawy śwędziawki. Na Kekonie jakiś członek klanu mógłby to zauważyć, przyjaciel albo krewny skłoniłby

go, żeby poszukał pomocy lekarskiej, ale w Port Massy był sam i tylko ja o tym wiedziałem.

Zjawiała się policja. Pytali o zaginionego Szotarczyka. Rzecz jasna, nikt im nic nie powiedział, bo gliniarzom nie można było ufać, a w dodatku co drugi brał łapówki od paczek. Mimo to zaczęły krążyć pogłoski, że Ito miał coś wspólnego z tą sprawą. Zrodziło się w nim podejrzenie, że to ja o tym rozpowiadam, ale teraz bał się mnie wykończyć, by nie potwierdzić w ten sposób własnej winy.

Ludzie zaczęli się niepokoić. Jeśli zielona kość traci kontrolę nad sobą i pogrąża się w szaleństwie, staje się kimś niebezpiecznym dla wszystkich, zwłaszcza w Espenii, gdzie miejscowi nie rozumieją jadeitu i coś w tym rodzaju może przyciągnąć nieprzyjazną uwagę obcych.

Mieliśmy w okolicy też inną zieloną kość, młodego mężczyznę nazwiskiem Rohn Toro. Zasłynął on jako dobry wojownik. Nawet paczki go szanowały i wynajmowały do niektórych zadań. Rohn miał już przedtem kłopoty z prawem i policja podejrzewała, że to on jest winien zabójstwa. Gliniarze przyszli go aresztować, ale uciekł i potem przez całe tygodnie ukrywał się w piwnicy. Znałem go, mieszkaliśmy w tym samym budynku, więc przynosiłem mu jedzenie, a on nigdzie nie wychodził.

Ludzie zaczęli się uskarżać na Ita. Mogli mu wybaczyć zabójstwo Szotarczyka i ukrycie ciała, ale nie było w porządku, że milczał, gdy zamiast niego oskarżono inną zieloną kość, co mogło się zakończyć egzekucją. Jednakże Ito dbał tylko o własną skórę. Miał słaby charakter i na Kekonie z pewnością nie poradziłby sobie jako zielona kość. Dowiedział się, gdzie się ukrywa Rohn, i postanowił donieść na niego policji. Doszedł do wniosku, że jeśli młodszego mężczyznę aresztują i ukarzą zamiast niego, będzie bezpieczny. Pozostałoby mu tylko pozbyć się mnie.

Gdy sobie uświadomiłem, co zaplanowałem, poszedłem do Rohn Tora i postanowiliśmy działać. Zastawiliśmy pułapkę na Ita, gdy szedł na posterunek. Było nas dwóch, a Rohn był młodszy i miał więcej jadeitowego talentu niż Ito. Zabiliśmy skurczybyka i zabraliśmy mu jadeit.

Nie miałem wielkich umiejętności ani zbyt wysokiej pozycji wśród Kekończyków, ale już wtedy znano mnie jako uczciwego człowieka, który umie słuchać, zawsze przemawia rozsądnie i potrafi przekonać innych do swoich racji. Po śmierci Ita odwiedziłem wszystkich sąsiadów i powiedziałem im, co trzeba zrobić, by zapobiec dalszym kłopotom. Gdy gliniarze przyszli szukać Rohna, ponad tuzin osób powiedziało im, że prawdziwym

mordercą był Ito, który uciekł z miasta. Policjanci znaleźli w jego sklepie portfel Szotarczyka, a także strzępy ubrania i plamy krwi (naprawdę był głupim człowiekiem), ale samego Ita nigdzie nie było. Ważne jednak było to, że już nie niepokoił Rohna ani nikogo innego.

Prawdziwego mordercę ukarano, gliniarze przestali nas nękać, a noszący jadeit człowiek, któremu nie można było ufać, przestał być dla nas zagrożeniem. Wszyscy uznali, że to moja zasługa, i zaczęli przychodzić do mnie ze swoimi problemami, czasami małymi, a w innych przypadkach dużymi. W głębi serca zdawałem sobie jednak sprawę, że choć wszystko skończyło się dobrze, bogowie wiedzą, co uczyniłem.

Byłem współnikiem ukrycia zabójstwa niewinnego człowieka. Był Szotarczykiem, ale nie zasługiwał na śmierć ani na sprofanowanie jego ciała. Rodzina nie mogła go pochować i odszedł do przyszłego życia w kawałkach. Choć Ito z pewnością planował mnie zabić, był człowiekiem, który wiele wycierpiał, okazał mi dobroć i dał pierwszą pracę, dzięki której mogłem utrzymać matkę i młodą żonę. Zamordowałem go z zimną krwią i jego ciała również się pozbyłem. Bogowie o tym wiedzieli. Myślę, że rozumieli, co mnie do tego skłoniło, i dlatego nie potraktowali mnie zbyt surowo. Zazwyczaj w życiu sprzyjało mi szczęście. Poza jednym.

Przez wiele lat nie mogliśmy z Saną mieć dzieci. A gdy wreszcie nam się udało, rodziły się tylko córki. Chodziliśmy do świątyni, by błagać bogów o łaskę w postaci syna, który odziedziczy rodzinny jadeit, ale Coru przyszedł na świat dopiero po dziesięciu latach. To dobry syn, ale ma frywolną naturę. Zrobiłem, co mogłem, by wychować go na zieloną kość, ale w głębi serca pozostaje dzieckiem. Pragnie tylko nie wychylać się i żyć w zgodzie ze wszystkimi. Jest moim jedynym synem i to jemu przypadnie rodzinny jadeit, gdy Sana i ja opuścimy ten świat. Kocham go, ale jest również karą za grzechy, które popełniłem w młodości.

\* \* \*

Dauk wstał z fotela.

– Zrobię to, o co mnie prosiłeś. Oddam Rohn Tora do dyspozycji klanu Bez Szczytów, by pomógł wam zabić tego przemytnika Zapunya. W zamian proszę cię, byś wyrzekł się mojego syna. Dotąd mu pobłażałem, ale powinien w końcu przestać zabawiać się z mężczyznami i poważnie potraktować swe obowiązki. Spośród czwórki moich dzieci tylko on jest zieloną kością,

nawet jeśli na to nie zasługuje i nie ma pojęcia, co to znaczy nosić jadeit i jakie to ma znaczenie dla tożsamości rodziny. Jest za mało zielony dla staro-  
tego kraju, ale to nie ma znaczenia. Może mieć dobre życie w Espanii, zrobić użytek z drogiego dyplomu prawnika i któregoś dnia doczekać się dzieci, jeśli bogowie będą łaskawi. On nie jest dla ciebie. Ty z pewnością wrócisz kiedyś do Janloonu, a jego miejsce jest tutaj.

Z początku Andenowi trudno było znaleźć odpowiedź.

– W tej sprawie decyzja należy do Cory’ego – wykrztusił wreszcie.

– Nie rozmawiam teraz z nim. Rozmawiam z tobą. Masz takie samo prawo podjąć decyzję jak on. Prosisz mnie, żebym popełnił zbrodnię dla twojej rodziny, i to zrozumiałe, że pragnę od ciebie czegoś w zamian. Oddaj mi syna, a nagnę dla ciebie swe zasady i pomogę tobie i twojej rodzinie osiągnąć upragniony cel. Wyłącznie pod tym warunkiem zgodzę się przekroczyć tę linię.

Anden spojrział na Dauka. Podczas pierwszego spotkania był skłonny go lekceważyć, z czasem jednak nauczył się go szanować jako sprytnego przywódcę społeczności, prawdziwy filar na swój odmienny sposób. Zaciągnął u niego wielki dług, ale w tej chwili go nienawidził.

Wstał.

– Mówiłeś, że jestem człowiekiem, którego słowom zawsze można wierzyć. Nie chciałbym powiedzieć czegoś, czego bym potem żałował, dlatego w tej chwili nie powiem nic, Dauk-jen.

Filar Południowej Pułapki wstał i odprowadził go do drzwi.

– Jesteś mądry na swój wiek, przyjacielu.

\* \* \*

Dopiero późnym wieczorem następnego dnia Anden zdobył się na odwagę, by zadzwonić do domu, który Cory dzielił z trzema innymi studentami prawa. Ku jego zdumieniu już po pierwszym sygnale w słuchawce rozległ się podekscytowany kobiecy głos.

– Co znowu? Dopiero co przyszłam!

Zaskoczony Anden oznajmił, że chce rozmawiać z Corym.

– Na jaja Wieszcza, przepraszam – odparła kobieta. – Myślałam, że rozmawiam z kimś innym. Chwileczkę. – Odłożyła słuchawkę na stół. Z oddali dobiegł jej krzyk: – Cory! Do ciebie!

Anden czekał. Słyszał w tle rozmowy, a potem głośny krzyk radości, jakby liczna grupa oglądała jakieś zawody sportowe. Wreszcie usłyszał głos Cory'ego.

– Hej, wyspiarzu! Co słychać w P-Mass?

Andenowi trudno było mu odpowiedzieć.

– Tęsknię za tobą – zdołał wykrztusić.

– Ja też za tobą tęsknię. W przyszłym tygodniu zaczynają się egzaminy, ale w następny weekend przyjadę. Będziesz miał chwilę, żeby się spotkać?

– Właśnie dlatego dzwonię – odpowiedział Anden. – Przez pewien czas będę zajęty.

– W pracy?

– W pewnym sensie. To sprawy rodzinne.

– Chciałeś powiedzieć sprawy klanowe. – Cory przerwał na chwilę, by powiedzieć coś po espeńsku do kogoś znajdującego się w domu. – W porządku, ale może uda ci się wykroić chociaż jeden wieczór?

Anden poczuł, że poca mu się dłonie. Nie miał pojęcia, jak to załatwić.

– Nie sądzę, byśmy tym razem mogli znaleźć czas dla siebie, Cory – zdołał wreszcie wykrztusić. – Ty masz za dużo zajęć na uczelni, a ja również będę zajęty. Myślę, że... lepiej by było, gdybyśmy na jakiś czas dali sobie z tym spokój.

W słuchawce zapadła długa, świadcząca o niezrozumieniu cisza. Potem rozległ się dźwięk sugerujący, że Cory przeszedł w jakieś inne miejsce. Słyszalne w tle odgłosy sportowych zawodów przycichły.

– O co chodzi, ziom? – zapytał szeptem Cory. – Czy... zrywasz ze mną?

Anden nie był w stanie mu odpowiedzieć. Zbyt mocno ścisnęło go w gardle.

Cory dyszał ciężko przez moment.

– To robota mojego taty, prawda? Wiem, że tak jest. Namówił cię do tego, a ty ustąpiłeś. Co powiedział, hę? Czy zaproponował ci pieniądze?

– Nic w tym rodzaju – wymamrotał Anden.

– Wiesz co? – warknął Cory. – Pierdol się, ty popaprany wyspiarski głąbie!

Anden położył słuchawkę na widełkach, po czym usiadł na podłodze i przez kilka minut wpatrywał się w telefon. Potem złapał kurtkę, wypadł z mieszkania i wybiegł z budynku na szare, pokryte topniejącym śniegiem ulice Port Massy. Szedł bez celu przed siebie przez całe dwie godziny. W pewnej chwili uświadomił sobie, że płacze. Nie głośno czy intensywnie,

ale obraz zamazywał mu się przed oczami, a policzki miał mokre. Gdy wreszcie wrócił do mieszkania, było już po północy. Buty miał mokre, a stopy zimne. Odkręcił gorącą wodę w łazience, żeby je ogrzać, a potem włożył czyste skarpetki.

W domu było popołudnie, wiosenne słońce stało wysoko nad portem, ludzie na ulicach życzyli sobie nawzajem szczęśliwego Nowego Roku i wchodzili na drabiny, by zdejmować z dachów czerwone światła oraz porce. Wziął w rękę telefon i zadzwonił do centrali, by zamówić rozmowę z Janloonem na koszt odbiorcy. Musiał zawiadomić kuzynów, że Dauk Losunynin pomoże im zabić Zapunya.

# INTERLUDIUM 3

## PRZEKLĘTE PIĘKNO

Osiemset lat temu sławny alusyjski odkrywca nazwiskiem Gaubrett pożegłował za morze w poszukiwaniu legendarnej wyspy, na której znajdowały się góry z klejnotów strzeżone przez olbrzymów. Bezpiecznie dobił do brzegu na południowym półwyspie Kekonu i ucieszył się oraz poczuł ulgę, gdy zamiast olbrzymów natknął się na wioskę Abukei. Po pełnych napięcia, ale pokojowych rozmowach z miejscową starszyzną tubylcy przynieśli wygłodzonym żeglarzom żywność i wodę. Przybysze rozbili obóz na brzegu. Choć marynarze byli wdzięczni, ich chciwe spojrzenia szybko padły na zielone klejnoty zawieszane nad prostymi chatami mieszkańców oraz zdobiące ciała miejscowych mężczyzn i kobiet. Jeszcze przed powstaniem kekońskiej kasty zielonych kości jadeit miał wielkie znaczenie w kulturze tubylców, uważających klejnoty za szczątki Pierwszej Matki, bogini Nimumy, a ponieważ byli genetycznie odporni na ich działanie, używali ich jako symboli statusu oraz w celach ceremonialnych.

Gaubrett wymienił na jadeit znaczną część przewożonych przez statek towarów. Tubylcy chętnie oddawali klejnoty w zamian za zagraniczne narzędzia i ozdóbki. Kapitan ulokował zdobyty jadeit w drewnianej skrzyni w swym namiocie, by podziwiać zgromadzony przez siebie majątek. Gdy już ukończono niezbędne naprawy, Gaubrett i jego załoga byli gotowi odpłynąć. W tym momencie podróżnikowi nasunęła się myśl, że można tu znaleźć znacznie więcej jadeitu i szkoda by było, gdyby po pokonaniu długiej drogi przez ocean wrócili z tak niewielką ilością skarbów, którymi głupie dzikusy popisywały się beztrąsko.

Nocą kapitan zebrał swoich ludzi i pomaszerował do wioski. Po masażu mieszkańców zgromadzili wszystkie kawałki jadeitu, jakie udało im się znaleźć. Opuścili Kekon w radosnym nastroju, jednakże, choć nie brakowało im zapasów, a pogoda było przychylna, w ciągu dwóch następnych

miesiący załogę ogarnęło niewytłumaczalne szaleństwo. Wkrótce po tym, jak Gaubrett powiesił dwóch oficerów za zdradę, nastąpił bunt marynarzy. Kapitana i kilku innych zabito, a ich ciała wyrzucono za burtę. Wyłamano drzwi do magazynu i podzielono jadeit równo między wszystkich. Dwa następne bunty pochłonęły kolejne ofiary. Sześciu marynarzy rzuciło się do morza, innych ogarnęła gorączka szaleństwa i pocięli się nożami. Ponoć jeden człowiek wyłupił sobie oko i je zjadł. Garstka tych, którzy przeżyli, w końcu doszła do wniosku, że skarb, który wiozą, jest przeklęty, wyrzuciła cały jadeit za burtę i zdołała się dowlec do portu w południowo-wschodnim Speniusie. Ta tragiczna opowieść szybko się rozeszła i od tej chwili „przeklęte piękno” stało się synonimem odległego miejsca pełnego niemal mitycznych bogactw obłożonych tajemniczą klątwą.

Siedemset pięćdziesiąt lat po podróży Gaubretta szotarski generał Damusaro nie zgodził się z decyzją Gabinetu Wojennego. Jego słowa okryły się sławą.

– Ta przeklęta wyspa jest jak piękna kobieta z cipką z drutu kolczastego. Wygląda kusząco, ale lepiej jej nie ruchać.

Podczas wojny wielu narodów – być może jako opóźnioną karę za te wulgarne słowa – zwierzchnicy wysłali go do okupowanego Janloonu, powierzając mu dowództwo nad Domem Garnizonowym. Towarzystwo Jednej Góry wyszeptalo jego imię i pomimo obsesyjnych środków ostrożności wpadł w pułapkę. W biały dzień zabił go młody zamachowiec nazwiskiem Nau Suenzen.



# ROZDZIAŁ 54

## CIAŁO NIE KŁAMIE

Son Tomarho wyszedł spod prysznic, nucąc pod nosem, i wszedł do salonu swego piętrowego domu w bogatej części miasta znanej jako Zielona Równina. Ze zdumieniem zauważył, że na jego kanapie siedzi wysoki mężczyzna w starszym wieku. W pierwszej chwili nie miał pojęcia, kto to jest, choć jego spojrzenie natychmiast padło na jadeity na skórzanych opaskach na nadgarstkach nieznajomego.

– Kanclerzu Son, wybacz, że cię zaskoczyłem – odezwał się intruz.

Polityk dopiero w tej chwili rozpoznał Nau Suena, róg Góry, i uświadomił sobie, że bez względu na *aisho* za pięć minut zapewne nie będzie już żył.

Były kanclerz Rady Książęcej wyszedł cało z wielu niebezpiecznych sytuacji w ciągu dziesięcioleci kariery biznesowej i politycznej, zachował więc zimną krew.

– Nau-jen, obawiam się, że nie rozumiem, czemu tu przyszedłeś. Chętnie spotkałbym się z tobą w chwili, gdy miałbym na sobie przyzwoitszy strój. – Wskazał przepaszająco na swe niemal nagie ciało. Ręcznik zasłaniał jego dolną połowę, ale poza nim nie miał na sobie nic. – Zgodzisz się zaczekać? Wolałbym włożyć jakieś ubranie.

– Proszę bardzo – zgodził się Nau. – Nie ma powodu do pośpiechu.

Son wycofał się do sypialni i włożył spodnie oraz koszulę. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Gdy był kanclerzem, zawsze towarzyszyli mu rządowi ochroniarze, ale odkąd został zwykłym radcą, mającym wkrótce przejść w stan spoczynku, doszedł do wniosku, że już ich nie potrzebuje. Miał domowy alarm, ale jeśli naciśnie guzik, firma ochroniarzka przyśle tu... Kogo? Jakichś ludzi, którzy przybędą za późno, a poza tym nie będą w stanie się mierzyć z potężną zieloną kością, jaką był Nau Suen. Nie, będzie musiał uratować się za pomocą słów, co udawało mu się

już nieraz w życiu. Son przygładził mokre włosy, żeby zakryć łysinę na szczycie głowy, włożył kaptcie i wrócił do salonu. Obdarzył róg Góry uprzejmym, lecz pozbawionym wesołości uśmiechem polityka, po czym usiadł naprzeciwko niego.

– Przyszedłeś tu, żeby mi grozić?

– Bynajmniej – zaprzeczył Nau. – Jesteś szanowanym, wysokim rangą mężem stanu i przez wiele lat z honorem służyłeś temu krajowi. Groźby byłyby niegodne klanu Góra. Wybacz, że zjawiłem się tak niespodziewanie. Muszę porozmawiać z tobą w cztery oczy.

Son uspokoił się tylko nieznacznie.

– W czym mogę pomóc klanowi Góra?

Nau rozsiadł się wygodniej i zabębnił palcami o poręczce. Pograżony w głębokim skupieniu, wyglądał na młodszego, niż sugerowałyby to jego upstrzone siwizną włosy. Miał przeszywające spojrzenie i można było odnieść wrażenie, że mruga rzadziej niż zwyczajni ludzie.

– Moja filar niepokoi się sprawą losu Ustawy o Uchodźcach z Konfliktu Oortokańskiego – odpowiedział Nau. – Proponowana legislacja była przedmiotem gorącej debaty. Przetrzymano ją w komisjach przez z górą rok. Teraz, gdy wreszcie ma dojść do głosowania, wygląda na to, że Rada Książęca jest w tej sprawie podzielona na dwie równe części. Kanclerzu, niewykluczone, że w przyszłym miesiącu w Gmachu Mądrości decydujący głos będzie należał do ciebie. Jakie stanowisko zamierzasz zająć?

– Obie strony przedstawiły silne argumenty – odparł ostrożnie Son. Niektóre z tych argumentów ciągle do niego wracały w postaci telefonów od ambasadora Mendoffa. Wojna w Oortoko ugrzęzła w sytuacji patowej i Espeńczycy przewidywali długotrwały konflikt. Dlatego bardziej niż kiedykolwiek przedtem zależało im na ochronie regionalnych sojuszników przed ygutańską infiltracją. – W ostatecznym rozrachunku będę musiał wziąć pod uwagę interesy kraju i zagłosować w zgodzie z własnym sumieniem.

– A co, gdybym ci powiedział, że klanowi Góra bardzo zależy na tym, by antyimigranckie interesy nie skaziły dobrej natury naszego kraju? Zachęcamy wszystkich członków Rady Książęcej, by udzielili naszym braciom i siostram kekońskiego pochodzenia mieszkającym w Oortoko azylu przed żądnymi władzy cudzoziemskimi imperialistami. Czy to wpłynie na twoją opinię?

– Nau-jen, jestem gotowy wysłuchać wszelkich rozsądnych argumentów – zapewnił Son.

– A co, gdybym powiedział, że poparcie ustawy może ci się opłacić?

– Nie zasiadam w Radzie Książęcej dla zysku, Nau-jen – odpowiedział Son z silną nutą oburzenia. – Z pewnością jednak jestem gotowy porozmawiać z tobą i z Ayt-jen o waszych niepokojach.

Nau wpatrzył się w Sona ze spokojem i zrozumieniem.

– Nie spodziewam się, by to cokolwiek zmieniło, ponieważ już rozmawiałeś z Kaul Shaelinsan i obiecałeś jej, że, by chronić uprzywilejowaną pozycję klanu Bez Szczytów u Espeńczyków, wykorzystasz swą pozycję emerytowanego kanclerza i zapewnisz, że Rada zablokuje ustawę. Czyż to nie prawda? Nadal pozostajesz w pełni oddany klanowi Bez Szczytów.

Son poczuł, że zalewa go pot.

– Jeśli rzeczywiście tak sądzisz, po co tu przyszedłeś, Nau-jen? Jak sam powiedziałeś, siły są wyrównane. Jest wielu innych członków Rady, których mógłbyś spróbować przeciągnąć na swoją stronę. – Świadomie podjął ryzyko, nadając głosowi ton wzgardliwej nonszalancji. – A jeśli klan Góra wierzy, że może osiągnąć swe cele polityczne dzięki brutalnemu pogwałceniu *aisho*, po prostu kogoś zabijając, czemu wybierać na cel kogoś tak dobrze znanego opinii publicznej jak ja? Kogoś, czyja śmierć stanie się przedmiotem szczegółowego śledztwa?

– Chodzi o to, że jesteś najważniejszym politycznym sojusznikiem klanu Bez Szczytów – wyjaśnił Nau, pochylając się. – Bardzo niewielu radców ma wpływy tak wielkie jak ty, kanclerzu Son. A nikt inny nie ma zablokowanego naczynia wieńcowego w lewym przedsionku serca, które twoi lekarze uważnie obserwują z uwagi na zagrożenie zawałem. Podejrzewam, że wie o tym bardzo niewielu ludzi. Rzecz jasna, starałeś się zachować dyskrecję, ale ciało nie kłamie. Tylko umysł to potrafi.

Nau podniósł się z fotela. Kanclerz Son również wstał, a potem się odwrócił i spróbował ucieczki. Nie odbiegł daleko. Nau złapał grubasa za rękę, pomagając sobie Siłą, a następnie przystawił dłoń do jego piersi. Serce Sona już tłukło mocno ze strachu i wystarczyło lekkie dotknięcie Przenoszenia. Były kanclerz złapał się za pierś, rozpaczliwie próbując zaczerpnąć tchu. Nau zwolnił. Son zeszywniał, poruszając rozdziawionymi ustami.

Wystarczą kilkuminutowe oględziny, by stwierdzić, że Son Tomarho zmarł z przyczyn naturalnych. Niewielu w to uwierzy. Niektórzy członko-

wie Rady Książęcej z pewnością rozkażą wszcząć dochodzenie, które niczego nie wykryje. Ludzie nie przestaną szeptać, lecz to również będzie służyło interesom Góry.

Nau przeszedł nad ciałem Sona i ruszył ku drzwiom.

# ROZDZIAŁ 55

## KOŃCOWE PRZYGOTOWANIA

„Dziennik Kekoński” to niezależny tygodnik wydawany po kekońsku w Espenii. Cieszy się dużą popularnością wśród Kekończyków mieszkających w tym kraju. Jednakże w ostatnich latach, odkąd redakcja przeniosła się z Południowej Pułapki do budynku na Jonsie, w czasopiśmie częściej publikowano pogłębione reportaże oraz artykuły krytykujące kekoński system klanów. W zakres zainteresowań pisma wchodziły też espeńska polityka zagraniczna oraz międzynarodowe prawa regulujące handel jadeitem.

Podając się za urodzonego w Espenii dziennikarza nazwiskiem Ray Caido, Anden poprosił Zapunya o wywiad dla „Dziennika Kekońskiego”. W korespondencji z prawą ręką uwiwańskiego przemytnika, Iyilem, podkreślał, że kekońscy imigranci z wielką chęcią zapoznaliby się ze zdaniem drugiej strony konfliktu dotyczącego handlu jadeitem. Przemytnik otrzymałby niepowtarzalną okazję przedstawienia czytelnikom swych argumentów i podważenia negatywnych opinii dominujących w głównonurtowych mediach. Fałszywe uwiarygodnienia dla Andena przygotowano bardzo starannie, za pomocą tych samych metod, jakich używano do utrzymywania przy życiu fałszywych firm, takich jak Klejnoty Boskości, a także przy pomocy Dauków, którzy w przeszłości nieraz pomagali naczelnemu redaktorowi pisma wyjść z finansowych kłopotów.

– Rzecz w tym, że Zapunyo pozuje na prostego uwiwańskiego wieśniaka, który odniósł sukces jako przedsiębiorca – tłumaczył przez telefon Hilo. – Kiedy go spotkałem, przez cały dzień opowiadał mi pierdolone łzawe historyjki, twierdząc, że to zielone kości stoją po złej stronie, ponieważ straszliwie utrudniają mu interesy. Jeśli cokolwiek może go skłonić do osobistego spotkania, to szansa znalezienia kogoś, kto zgodzi się go wysłuchać.

Opinia filaru okazała się słuszna. Po wymianie korespondencji z Iyilem Andenowi udało się umówić na wywiad z Zapunyem podczas pobytu przemytnika w Port Massy – dzień po jego przybyciu do miasta i przed wyznaczonym terminem operacji w Szpitalu Prawdonośców Wighama-Crossa. Spotkanie miało się odbyć w małym Ośrodku Kulturalnego Dziedzictwa Wysp Uwiwa w Ogrodach Herbacianych w dzielnicy Quince. Widok na Most Żelaznego Oka zapewni dobre tło dla zdjęć. Anden nie będzie nosił broni i będzie mu towarzyszył wyłącznie Rohn Toro, udający jego fotografa. Czarne rękawiczki tego drugiego zostaną dobrze ukryte w ośrodku poprzedniego dnia. Podczas wywiadu Rohn znajdzie je, włoży je i zabije Zapunya.

Plan zamachu stworzono podczas kilku rozmów przy kolacjach za rodzinnym stołem Kaulów. Dochowanie tajemnicy było absolutnym priorytetem, ponieważ po zdradzie Tau Mara trzeba było założyć, że Zapunyo mógł umieścić też innych szpiegów w klanie Bez Szczytów, a nie mogli dopuścić do tego, by choć jedno słowo o ich planach wyciekło na Uwiwy. Dla zmylenia przemytnika rozpowszechniono fałszywe pogłoski i wysłano do niego groźby, sugerujące bardziej oczywisty plan – atak przeprowadzony w szpitalu, gdy będzie wracał do zdrowia po operacji. Wiedzieli, że wtedy Zapunyo podejmie skrajne środki ostrożności. W jadalni rezydencji zainstalowano nowy telefon z połączeniem konferencyjnym. O jego istnieniu wiedzieli tylko najbliżsi krewni. Dzięki niemu Anden, czekający o wyznaczonym czasie w swym mieszkaniu w Port Massy, mógł uczestniczyć w rozmowie.

Andenowi sprawiało to trudności. Spotkania zawsze odbywały się przed południem portmassańskiego czasu, co zakłócało jego harmonogram dnia. Fakt, że słyszał, ale nie widział, powodował, że czuł się dziwnie samotny. Potrafił sobie wyobrazić ich wszystkich w pokoju jadalnym – Hilo na honorowym miejscu, z papierosem w dłoni, Tar obok niego, puste krzesło Kehna, Wen napełniająca filiżanki herbatą, Shae trzymająca Jayę na kolanach – a on tymczasem siedział sam w swoim mieszkanku, przyciskając słuchawkę do ucha, by usłyszeć prowadzoną na drugim końcu świata rozmowę, zagłuszaną przez odgłosy hałaśliwych kaloryferów. Czasami słyszał też krzyki Nika i Ru, bawiących się w sąsiednim pokoju. Zdarzało się, że chłopcy przychodzili do jadalni, by o coś poprosić, i mówiono im, żeby powiedzieli przez telefon „cześć” wujkowi Andenowi, zanim znowu ich przeganiano.

Czasami Anden myślał, że to śmieszne, że musi wymyślać usprawiedliwienie, żeby zrobić sobie dłuższą przerwę obiadową w filii biura prognostyka, żeby móc wspólnie z mieszkającą w Janloonie rodziną planować zamordowanie człowieka, którego nawet nie znał. Nie miał moralnych skrupułów przed zabiciem Zapunya ani pretensji o to, że polecono mu zająć się tą sprawą. Rozumiał, że to bardzo ważne dla jego kuzynów, a także dla Wen, która zawsze odwiedzała go, gdy przybywała tu w interesach. Był z nią teraz znacznie bliżej niż w czasach, gdy mieszkał w Janloonie. W fakcie, że właśnie dzięki zamachowi będzie mógł wrócić do domu, kryło się jednak sporo ironii. Potem obaj z Rohn Torem będą musieli opuścić Espenię. Powiedziano mu, żeby w żaden sposób nie uprzedzał Hianów ani swoich kolegów i współpracowników. Będzie musiał uciekać szybko, a resztą zajmie się Shae. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, po spędzeniu trzech i pół roku w Espenii wreszcie wróci do domu.

Nie potrafił w to uwierzyć. Z pewnego punktu widzenia można to było uznać za akt sprawiedliwości. Zabójstwo Gont Ascha zniszczyło karierę zielonej kości Andena i zmusiło go do udania się na wygnanie, a ta śmierć zakończy jego pobyt za granicą. Wróci na Kekon z dowodem, że nawet bez jadeitu nie jest bezużyteczny i nadal pozostaje kimś ważnym dla klanu. Nadal jest Kaulem. Jeszcze niedawno to było wszystko, czego pragnął, ale teraz wypełniła go słodko-gorzka melancholia. Gorąco pragnął wrócić do domu, ale nie cieszył się, że opuszcza Port Massy. Kiedy tu przybył, widział tylko bezosobową betonową szarość ogromnego zagranicznego miasta, teraz jednak mógł śmiało twierdzić, że dostrzega intensywne, pełne przedsiębiorczości życie pulsujące w żyłach jego ulic i w szpiku stalowych konstrukcji niczym jadeitowa aura.

Port Massy nadal pozostawało handlowym centrum świata, rynkiem, na którym można było kupić albo sprzedać wszystko, gdzie każda rzecz była osiągalna – nawet jadeit i zielone kości oraz inne niezliczone cuda, znane i nieznanne – lecz mimo to zachowywało swe oblicze, nieporównywalne z innymi miastami. Dla swego biologicznego ojca miał tylko obojętność i pogardę, teraz jednak doszedł do wniosku, że mógł on po prostu być typowym przedstawicielem swej rasy i trudno mieć o to do niego zbyt wielką pretensję. Port Massy zawdzięczało swą niepowtarzalną chwałę typowej dla Espeńczyków interesowności i skłonności do wędrówek. W miarę jak zbliżała się chwila spotkania z Zapunym, Anden coraz bardziej doceniał, a nawet podziwiał to miasto. Wen się nie myliła. Miał tu teraz przyjaciół

i własne życie, z którego pod wieloma względami był dumny. Nieustannie myślał ze smutkiem o wszystkim, co będzie musiał poświęcić.

Kilkakrotnie próbował porozmawiać z Corym, by wyjaśnić mu wszystko lepiej niż podczas ich ostatniej rozmowy, ale tamten nie odbierał telefonów od niego. Od Hianów dowiedział się, że Cory rozpoczął staż w kancelarii prawniczej w AC i nie wróci latem do Port Massy. Czasami Anden odnosił wrażenie, że popełnił straszliwy błąd i powinien wsiąść do autobusu do Adamont Capita, by wytłumaczyć wszystko Cory'emu. Kogo obchodziło, czego pragnął Dauk Losun? Jakie znaczenie miały ich rodziny, studia prawnicze, a nawet cały Ocean Amarycki? Mogli razem uciec. To byłoby odważne i romantyczne. Kiedy leżał w łóżku z fiutem w dłoni, nie mogąc zasnąć, karcił się za tak dziecinne myśli, lecz jednocześnie wypełniała go przygnębiająca pewność, że skazał się na wieczną samotność, bo nigdy już nie spotka kogoś takiego jak Cory, a on nawet nie chciał z nim rozmawiać.

Wreszcie postanowił napisać list. Pomyślał z przygnębieniem, że po zerwaniu to bardzo banalne, ale niech i tak będzie.

*Cory – zaczął pisać. Masz wszelkie prawo gniewać się na mnie, ale wiem, że jesteś dobrym człowiekiem i zły humor wkrótce Ci przejdzie. Mam nadzieję, że będziemy mogli pozostać przyjaciółmi. Nie miej pretensji do taty. W ostatecznym rozrachunku to ja podjąłem decyzję. Zrobiłem to, nawet jeśli był to jeden z najtrudniejszych wyborów, jakich musiałem dokonać w życiu. Mam nadzieję, że tak będzie lepiej dla nas obu. W tej chwili nie mogę Ci wszystkiego wytłumaczyć, ponieważ, jak powiedziałeś, to są „klanowe sprawy”, ale wkrótce to zrobię. Siedział za zagraconym biurkiem przy maleńkim okienku, zastanawiając się intensywnie nad tym, w jaki sposób się usprawiedliwić, nadać swym słowom szczerze, ale nie płaczliwe brzmienie. Zaczynał i odrzucał kilka kolejnych wersji listu, nim wreszcie powiedział sobie. „Pierdolić to. Cory zapewne wyrzuci list do kosza, nawet go nie czytając”. Byłeś moim pierwszym kochankiem. Dzięki tobie Port Massy stało się dla mnie specjalnym miejscem. Jesteś lepszym, bardziej szczodrym człowiekiem niż ja. Zasługujesz na wszystko, co najlepsze.*

*Twój przyjaciel, „wyspiarz” Anden.*

Wysłał ten list na adres Cory'ego w Adamont Capita. To było bolesne, lecz z jego umysłu wreszcie spadł ciężar. Od tej chwili Anden mógł ze spokojem oczekiwać przybycia Zapunya. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za kilka tygodni wsiądzie do samolotu do Janloonu. Rzecz jasna, ist-



niała też spora szansa, że zginie. Mogli go zastrzelić ochroniarze Zapunya, znał jednak umiejętności Rohn Tora i wiedział, że miejscowy róg zasłużył na otaczającą go sławę. Dlatego wierzył w ich szanse przeżycia. Anden ukończył Akademię Kaul Du i od dzieciństwa wychowywał się w rodzinie Kaulów. Wpojono mu przekonanie, że ryzyko śmierci jest jak pogoda – można próbować je przewidzieć, lecz to zapewne się nie uda, a nikt nie zmienia najważniejszych planów z powodu nadchodzącego deszczu.

# ROZDZIAŁ 56

## BEZ ZASKOCZENIA

Grzech 8 był jednym z najatrakcyjniejszych klubów nocnych w dzielnicy Psia Głowa. Wieczorem czwartego dnia kolejka modnie ubranych dwudziestoparolatków ciągnęła się przez cały kwartał i jeszcze kawałek za rogiem. Po przedostaniu się przez bramkarzy goście ustawiali się w nowym ogonku do jednego z dwóch oświetlonych neonowym blaskiem barów. Musieli głośno krzyknąć, żeby złożyć zamówienie. Na centralnym parkiecie skąpanym w stroboskopowym blasku było gęsto od spoconych ciał. Ci, którzy liczyli na rozmowę, zajmowali skupiska czerwonych kanap na górze albo – jeśli byli szczególnie nadziani – wynajmowali jedno z piętnastu dźwiękoszczelnych pomieszczeń z własnym barem oraz barmanem. Jedno z nich często rezerwował Ven Haku, pięść Góry i dziedzic Gwiazdy Kekonu. Zapraszał tam swych licznych przyjaciół.

Haku siedział na jednej z kanap. Mimo że w ręce trzymał kieliszek hoji, a po obu stronach miał ładne dziewczyny, jego twarz przybrała posępny, zniecierpliwiony wyraz. Gdy jego najstarszy rangą palec powiedział coś śmiesznego, on jeden się nie roześmiał. Po podaniu następnej kolejki hoji Haku wyprosił z pokoju barmana i rozczarowane dziewczyny, po czym pochylił się, nakazując pięciu innym obecnym tu mężczyznom – wszyscy byli zielonymi kośćmi z Góry, nosili dużo jadeitu i okryli się sławą w walce – przerwać rozmowy i skierować uwagę na niego.

– Czy wszyscy są gotowi? – zapytał Haku. – Znacie plan? Jeśli w tym tygodniu coś pójdzie nie tak, stracimy głowy. Dlatego nie możemy sobie pozwolić na błędy. Nie ma już drogi odwrotu.

Obecni pokiwali głowami.

– Nie udało się nam skontaktować z Sunto-jenem ani Uwan-jenem – odezwał się jeden z nich. – Nie wiemy, czy są z nami, czy przeciwko nam.

– Tak czy inaczej, musimy działać – skwitował Haku. Ojciec oznajmił mu to wyjątkowo jasno podczas ich ostatniej rozmowy. Zaczynało im brakować czasu. – Bez względu na to, co zrobią Sunto, Uwan czy pozostałe pięści, Kaulowie nas poprą, gdy już pozbedziemy się Ayt.

Tak mu powiedział Ven Sando, a Haku tego nie kwestionował. Nie wątpił, że jego ojciec, który miał wielkie doświadczenie jako prezes korporacji, poradzi sobie z kwestią klanowych sojuszy i zdobycia posłuchu latarników. Haku musiał się martwić tylko o logistykę samego przewrotu, co bynajmniej nie było łatwe.

– Pamiętajcie, że Ayt musicie zabić najpierw. Nieważne, jak dobra jest w pojedynkach i w szeptaniu imion, zasadzka sześciu...

Powiedziałby więcej, ale jeden z pięści przerwał mu z nagłym niepokojem.

– Postrzegłeś to?

Wszyscy umilkli, budząc swe jadeitowe zmysły. W pierwszej chwili Haku nie zauważył nic nadzwyczajnego – tylko tło bawiących się w klubie gości. To był jeden z powodów, dla których wybrał właśnie to miejsce na spotkanie ze współspiskowcami. Nawet połączone aury sześciu pięści i palców mogły z łatwością pozostać niezauważone w tak tłocznym i pełnym życia miejscu. Klub płacił daninę Górze i zawsze można w nim było spotkać zielone kości. Postrzeganie Haku nie było szczególnie silne, ale po jakiejś minucie uświadomił sobie, że kilka jadeitowych aur znajdujących się w różnych miejscach budynku zmierza ku jednemu punktowi – wejściu do ich pokoju na piętrze. Wyciągnął karambit i otworzył drzwi gwałtownym ruchem.

– Ven Haku-jen. – Nau Suen wszedł do środka na czele grupy złożonej z ośmiu innych zielonych kości. – Jestem za stary na odwiedzanie klubów, ale słyszałem, że urządzasz tu świetne przyjęcia.

– Nau-jen – odparł Haku, chowając karambit i oddając z szacunkiem honory. Spojrzał za plecy rogu, na ludzi, których przyprowadził ze sobą, i serce zabiło mu szybciej. – Zaskoczyłeś mnie. – Haku nie był pewien, w jaki sposób róg to zrobił. Nau Sen potrafił wyciszyć swą aurę do tego stopnia, że mógł się poruszać niepostrzeżenie nawet dla jadeitowych zmysłów i pojawić się z pozoru znikąd. – Zawsze spotykam się z przyjaciółmi w tym pokoju. Gdybym wiedział, że jesteś zainteresowany, zaprosiłbym cię.

Nau zerknął na towarzyszy Ven Haku.

– Nau-jen – wyszeptali wszyscy jednocześnie, dotykając czoł.

Nau skinął do nich głową, a następnie potarł podbródek kciukiem.

– Haku-jen, jesteś jedną z najstarszych rangą pięści w klanie, ale już od miesięcy rzadko cię widuję. Myślę, że powinniśmy porozmawiać o tym, ile czasu spędzasz na zabawach w Grzechu 8.

Haku ze wszystkich sił starał się zachować spokój. Róg nic nie wiedział. Niemożliwe, by dowiedział się o ich planach. Co najwyżej mógł coś podejrzewać.

– Nie zaniedbywałem swych obowiązków – spróbował odeprzeć zarzut.

– Jeśli zjawiałem się rzadziej niż zwykle, to tylko dlatego, że pomagałem ojcu. Ostatnio musiał poświęcać sporo czasu na kierowanie Gwiazdą Kekonu.

– To zapewne prawda – zgodził się Nau. – Jesteś posłusznym synem, Ven Haku, ale, niestety, bardzo kiepskim kłamcą. Twoje serce bije szybciej, ciśnienie ci wzrosło, oczy poruszają się nerwowo i zalewa cię pot. Nie oszukałbyś nawet zwykłego wykrywacza kłamstw, nie wspominając już o moim zmyśle Postrzegania. Z pewnością właśnie dlatego starałeś się mnie unikać.

Haku wyciągnął karambit i skoczył Nau do gardła, ale dwaj ludzie rogu przystąpili już do akcji. Łącząc swą Siłę, obalili młodego mężczyznę na podłogę i unieruchomili tam. Haku wrzeszczał przeraźliwie, zapewniając o swej niewinności, próbował Odbijania i Przenoszenia, ale dwie kolejne zielone kości pomogły dwóm pierwszym nad nim zapanować.

– Nie pogarszaj sprawy, Haku – rzekł pełnym żalu, niemal delikatnym głosem Waun Balu, który był pierwszą pięścią Nau.

Zdrajca jednak nie posłuchał tej rady. Gdy odciągnięto jego głowę do tyłu, włożył wszystkie swe siły w Stal i minęła makabryczna minuta, nim Waun wreszcie zdołał poderżnąć mu gardło karambitem.

Dwaj współnicy Haku pośpieszyli mu z pomocą, a trzeci wybrał ucieczkę, próbując się wydostać przez drzwi. Wszystkich powstrzymali i ustawili w szeregu pod ścianą pozostali ludzie rogu. Wyciągnęli pistolety, których kul nie sposób byłoby Odbić z tak niewielkiego dystansu. Jeśli nawet ktoś usłyszał dźwięki przebijające się przez ściany i głośną muzykę, nic w tej sprawie nie zrobił. Nikt, w tym również bramkarze, nie byłby aż tak nierozsądny, żeby się wtrącać.

– Czy nie wystarczy, że musimy się użerać z cudzoziemcami, przestępcami i klanem Bez Szczytów? – warknął z niesmakiem Nau Suen, gdy

Haku wreszcie skonał. – Musimy jeszcze walczyć między sobą, obawiać się zdrady i nielojalności w naszym bractwie?

Pięć zielonych kości, które uczestniczyły w spisku Ven Haku i jego ojca, opadło na kolana i dotknęło podłogi czołami. Wszyscy byli pięściami albo starszymi rangą palcami, szanowanymi wojownikami, ale ich spisek wyszedł na jaw, a Ven nie żył. Żaden nie był na tyle głupi, by wierzyć, że może zwyciężyć w walce z klanem albo umknąć przed jego sprawiedliwością.

– Zasługujecie na śmierć – oznajmił im Nau. – Spiskowaliście, żeby zabić filar i postawić na jej miejscu tego mięczaka. Czy wyrażacie skruchę za popełnioną zdradę? Czy przysięgacie na swój jadeit i na życie swych rodzin, że od tej chwili będziecie służyć Ayt-jen z niezachwianą lojalnością?

Wszyscy z pasją zapewnili, że tak będzie, i podziękowali rogowi za łaskę. Nau Suen przez długą chwilę przyglądał się klęczącym zielonym kościom. Wreszcie wskazał na trzech z pięciu mężczyzn.

– Ta trójka – rozkazał.

Stojący za więźniami Waun Balu i jego ludzie poderżnęli gardła trzem zielonym kościom wskazanym przez Nau Suena, po czym pchnęli ciała na podłogę, twarzami w dół. Dwaj pozostali więźniowie pobledli, czekając na śmierć.

– Wasi trzej przyjaciele nie byli szczyrzy – oznajmił Nau. – Czekaliby na okazję, by pomścić śmierć Haku, albo zdradziliby klan w jakiś inny sposób. Ale wy dwaj mówiliście prawdę. – Róg przeszył ich przerażającym spojrzeniem. – Zostaniecie wygnani z Janloonu, by pracować dla Góry w innych częściach kraju. Wiecie, jaki los czeka was i wasze rodziny, jeśli jeszcze raz zdradzicie filar.

Jeden z oszczędzonych mężczyzn poprosił, by pozwolono mu wyjąć karambit. Uciął sobie lewe ucho i położył je na podłodze, pochylając głowę. Krew spływała mu po szyi. Jego towarzysz przełknął ślinę.

– Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem – wyszeptał pośpiesznie i podążył za przykładem pierwszego.

\* \* \*

Następnego ranka Ven Sando był na spotkaniu zarządu Gwiazdy Kekonu, gdy nagle drzwi sali się otworzyły i do środka weszła Ayt Madashi

w towarzystwie rogu, prognostyka oraz niewielkiej świty. Filar Góry omiotła spojrzeniem siedzących za długim stołem menedżerów.

– Panowie, przepraszam, że wam przeszkadzam, ale biuro prognostyka właśnie otrzymało od wiarygodnej i zainteresowanej osoby propozycję nabycia Gwiazdy Kekonu. Muszę omówić tę sprawę w cztery oczy z Ven-jenem, zanim poinformujemy o wszystkim udziałowców.

Wiceprezesa wyszeptali jakieś słowa i wymienili pełne zaskoczenia oraz dezorientacji spojrzenia, ale oddalili się bez sprzeciwu. Kiedy już wyszli, Ven wstał z obitego skórą krzesła u końca stołu.

– Nie skontaktowali się ze mną żadni kandydaci na nabywców – sprzeciwił się pełnym urazy głosem. – A poza tym Gwiazda Kekonu nie jest na sprzedaż.

Skierował podejrzliwe spojrzenie na Nau Suena i dwie stojące za jego plecami pięści. Jeden z mężczyzn trzymał w rękach kartonowe pudło kartonowe. Jeśli to było spotkanie w interesach, to co robili tu róg i jego ludzie? Znał odpowiedź na to pytanie i choć bardzo starał się zachować panowanie nad sobą, ręce zaczęły mu drżeć. Ayt skinęła na dwóch nieznajomych, nakazując im podejść bliżej. To nie byli Kekończycy.

– Ci ludzie przybyli po to, by kupić należącą do twojej rodziny większość udziałów w Gwieździe Kekonu. Iwe-jen przygotował wszystkie papiery.

Iwe Kalundo, prognostyk klanu, był ciemnoskórym, łysym mężczyzną noszącym okulary w czarnych, kwadratowych oprawkach. Postawił na stole aktówkę i wyjął z niej kartonową teczkę z dokumentami. Podszedł do Vena i położył taczki przed nim.

Ven uniósł ją i rzucił w stronę Ayt. Papiery posypały się na stół.

– Nigdy – oznajmił. – Nie sprzedam Gwiazdy Kekonu. Próbując się mnie pozbyć, popełniasz straszliwy strategiczny błąd. Gwiazda Kekonu jest jednym z największych płatników daniny dla Góry, jedną z największych korporacji na Kekonie. Żadna z tutejszych firm nie dysponuje wystarczającymi środkami, by nas wykupić, a już z pewnością nie posiada naszej najwyższej klasy znajomości logistyki transportu, potrzebnej, by kierować operacjami na tę skalę. Jeśli utracę stanowisko, całe kierownictwo odejdzie razem ze mną. Gwiazda Kekonu upadnie, a razem z nią cała kekońska branża transportowa. Klan Góra potrzebuje tej firmy i rodziny Venów.

– Jak na zdrajcę klanu, którego czeka kara śmierci, wykazujesz godną podziwu pewność siebie, Ven-jen – odparła Ayt Mada. – To prawda, że

Gwiazda Kekonu jest jedną z największych firm na wyspie i mogłoby się wydawać, że czyni to rodzinę Venów niezastąpioną. Ale w dzisiejszych czasach świat jest znacznie większy niż sam Kekon. Można by pomyśleć, że ktoś, kto pracuje w branży transportowej, to zrozumie.

– Chcesz oddać Gwiazdę Kekonu cudzoziemcom?! – zawołał z niedowierzaniem Ven.

– Pięćdziesiąt jeden procent akcji otrzyma firma YGL Transport z siedzibą w Bursviku. Jestem przekonana, że ci nowi właściciele mają wszystko, czego potrzeba, by pokierować firmą pod twoją nieobecność. Pozostałe czterdzieści dziewięć procent pozostanie pod kontrolą wybranych kekońskich udziałowców z klanu Góra.

Filar skinęła głową i pięść trzymający w rękach tekturowe pudło postawił je na stole.

– W środku jest głowa twojego najstarszego syna, Haku – oznajmiła Ayt. – Oszczędzę ci tego widoku i nie każę go otworzyć, ale podejrzewam, że nawet ze swoją minimalną ilością jadeitu jesteś w stanie Postrzec, że nie kłamię. Skazałeś go na śmierć, podobnie jak siebie, gdy postanowiłeś spiskować z klanem Bez Szczytów. Dziwiłam się niezwykłą powściągliwością, jaką ostatnio wykazywał Kaul Hilo. Teraz rozumiem jej powody. Podpisz te dokumenty, Ven-jen. Pochodzisz ze starej rodziny zielonych kości i nic z tego nie powinno być dla ciebie zaskoczeniem.

Z twarzy Vena spadła krucha maska oburzenia i pewności siebie. Podbródek i barki mu drżały.

– Moje pozostałe dzieci – wyszeptał. – Nie miały z tym nic wspólnego. Oszczędź je, Ayt-jen. Podpiszę dokumenty. Powiem swoim menedżerom, żeby zostali w firmie po jej sprzedaży. Zrobię przed śmiercią wszystko, o co mnie poprosisz, tylko oszczędź moją rodzinę.

– Synów nie oszczędzę – odpowiedziała Ayt. – Żona i córki mogą opuścić kraj i udać się na wygnanie. Pozwolę, by ciebie i twoje dzieci płci męskiej pochowano z jadeitem w grobie waszej rodziny na Kekonie. To wszystko, co mogę dać człowiekowi, który zdradził swój filar.

Iwe Kalundo zebrał rozrzucone dokumenty i pokazał Ven San-dolanowi, w których miejscach ma je podpisać.

# ROZDZIAŁ 57

## NAGŁE WYPADKI

Tego samego dnia, gdy szpiedzy klanu Bez Szczytów poinformowali go, że Zapunyo ma przybyć do Port Massy, Hilo podał synom kolację, a następnie usiadł na kanapie z własnym posiłkiem i oglądał wiadomości, czekając, aż jego kuzyn zadzwoni z informacją, że wszystko jest przygotowane. Wen poleciała na tydzień do Adamont Capita. Miała pomagać przy nowym projekcie kekońskiej ambasady, a także poszukać nieruchomości, które mogłyby zainteresować biuro prognostyka. Shae często jadała posiłek w rezydencji, ale w tej chwili nadal siedziała na Statkowej, więc Hilo został sam z dziećmi, pomijając tylko jego matkę, sadzącą cebulki kwiatów w ogrodzie, oraz Kyanlę, krzątającą się w kuchni. W telewizji Toh Kita mówił o Ustawie o Uchodźcach z Konfliktu Oortokańskiego, niedawno uchwalonej minimalną przewagą głosów. Kekon stał się jednym z kilku krajów, które zobowiązały się przyjąć uchodźców ze spustoszonego wojną regionu na pograniczu Szotaru i Ygutanu. Kanclerz Guim wygłosił w Gmachu Mądrości przemówienie o straszliwych stratach powodowanych przez cudzoziemski imperializm i o tym, jakie to ważne, by Kekon stał się odpowiedzialnym obywatelem świata. Zakończył mowę, wyrażając żalobę po niedawnej śmierci swego poprzednika, Son Tomarho, oddanego sługi kraju i męża stanu, niech bogowie obdarzą go uznaniem.

Hilo skrzywił się ze złością. Espeńczycy nie będą zadowoleni z ustawy. Na Shae spadnie ciężar poradzenia sobie z dyplomatycznym kryzysem. Hilo wolałby, żeby serce kanclerza Sona było trochę dłużej. Kanclerz Guim wydawał mu się zbyt chytry i gładki. Poza tym był człowiekiem Góry, co oznaczało, że wpływy klanu Bez Szczytów w Radzie znacznie spadły. Koroner orzekł, że Son Tomarho zmarł z powodu ataku serca, ale Hilo nie wierzył w tak dogodne przypadki.



Jaya wyrzuciła z kojca wszystkie zabawki i teraz domagała się, by je pozbierać. Hilowi zostało jakieś pięć minut do chwili, gdy zacznie się atak hysterii. Skończył posiłek – miskę wypełnioną resztkami gulaszu z kurczaka z imbirem – i wziął córkę na kolana, starając się rozweselić ją lalką. Lubił być ojcem i przekonał się, że ta rola pasuje do niego. Dzieci były absolutnie szczerze i żyły chwilą. Ciągłe czegoś chciały, ale łatwo było je zadowolić, pragnęły jedynie prostej miłości oraz uwagi. Nie miałyby nic przeciwko temu, by mieć ich więcej, gdyby Wen nie była zdeterminowana zrobić znaczącej kariery w klanie. Wspierał ją w tym, bo pragnął jej szczęścia, ale nie uważał, by to było konieczne.

Zadzwonił telefon. Spodziewając się, że to Anden, Hilo wręczył córkę Kyanli i odebrał połączenie w kuchni. W słuchawce zabrzmiał głos Juena.

– Hilo-jen, krążą pewne... pogłoski.

Choć minął już ponad rok, słysząc głos Juena w słuchawce, Hilo nadal czasami zadawał sobie pytanie, dlaczego Kehn kazał zadzwonić do niego swej pierwszej pięści, zamiast zrobić to sam. To zawsze prowadziło do bolesnej przerwy.

– Pogłoski są pospolite jak szczury – odezwał się wreszcie. – Co jest takiego niezwykłego akurat w tych?

– Ven Sandolan, znany biznesmen, właściciel firmy transportowej, nie żyje. Klan Góra stracił go za zdradę. Najwyraźniej próbował pozbawić władzy Ayt Madę, ale jego plany wykryto. Ludzie są wstrząśnięci. Był jednym z ich czołowych latarników.

Hilo ściszył telewizor.

– Co z jego synami?

– Ich również zabito, podobnie jak grupę współspiskowców. Podobno Nau Suen i jego ludzie przyłapali Ven Haku i kilka jego pięści na knuciu spisku w klubie Grzech 8. Wszystkim poderżnięto gardła.

– Ayt Mada eksterminowała najbogatszy ród zielonych kości w klanie? I żadna z pozostałych rodzin nie podniosła buntu? – zdumiał się Hilo.

– Ayt uczyniła Koben Ata swym podopiecznym – kontynuował Juen. –

Od tej chwili będzie pokrywała koszty jego nauki w szkole Wie Lona i ćwiczyła z nim osobiście w swej posiadłości. Weźmie go pod swe skrzydła. Nie ogłosiła oficjalnie chłopaka swym dziedzicem, ale to wystarczyło, by kupić poparcie Kobenów i wszystkich, którzy opowiadają się po ich stronie.

– A co z rodziną Iwe?

– Siedzi cicho. Podobno Ayt oddała im mnóstwo udziałów w Gwieździe Kekonu.

– Niech to szlag – warknął pod nosem Hilo.

Był zawiedziony i wściekły z powodu tego, jak szybko wszystkie jego plany spaliły na panewce. Nie potrafił też jednak powstrzymać się przed podziwem. Ayt świetnie to rozegrała. Po zagładzie całej rodziny Venów nikt w Górze nie ośmielił się już jej przeciwstawić. Ani wyniesionej na szczyt rodzinie Kobenów. Spotkania Hila z Ven Sandem, zakulisowe przekazy pieniędzy, utrzymywane w tajemnicy zapewnienia, wykalkulowane podsycanie wewnętrznych konfliktów w Górze za pomocą prowokacji i przemocy, trwające od trzech lat działania budzące nadzieję, że klan Góra sam rozewnie się na strzepy – wszystko to spełzło na niczym.

– Kurwa, dlaczego tę sukę tak trudno jest zabić?

– Wujku – odezwał się Niko, szarpiąc go za rękaw koszuli.

– Nie teraz.

– Wujku.

Tym razem to nie głos chłopca ani ponowne pociągnięcie za rękaw przyciągnęły uwagę Hila, lecz silny impuls dezorientacji i strachu, który Postrzegł w aurze bratanka. Serce chłopca biło jak młot. Niko nie był skłonny ulegać nastrojom, nie dawał się łatwo wyprowadzić z równowagi i nie bał się byle czego. Teraz jednak otwierał szeroko oczy ze strachu.

Hilo polecił Juenowi, by dowiedział się, ile tylko się da, i przekazał mu raport, gdy już zbierze więcej informacji, po czym odłożył słuchawkę.

– O co chodzi? – zapytał chłopca. – Co się stało?

– Ru... bawiliśmy się i... on... on... on je zjadł!

– Co zjadł? – zapytał filar. – Gdzie teraz jest?

Poszedł za Nikiem do gabinetu. Gdy tylko znalazł się w środku, wszystko zrozumiał. Porażający strach wypełnił jego serce, docierając aż do żołądka. Na stoliku leżał otwarty woreczek z jadeitowymi guzikami, dawno temu skonfiskowany na statku *MV Duma Amaryku*. Kilka zielonych klejnotów leżało rozsypanych na blacie. Najwyraźniej chłopcy znaleźli je w otwartej szufladzie Hila i zaczęli się nimi bawić. Ru siedział na podłodze w kącie za kanapą, wtulając głowę i klatkę piersiową w poduszkę, jakby liczył na to, że ukrywając się za nią, uniknie gniewu ojca.

Hilo podszedł bliżej i wyrwał chłopcu poduszkę, po czym przykucnął obok niego i złapał go za ramiona.

– Co tu się stało? – zapytał, mając nadzieję, że chłopcy się uśmiechną, powiedzą, że to był żart, że chcieli go nastraszyć. Gdy jednak ujrzał zalaną łzami buzię Ru, uświadomił sobie, że tak nie jest.

– Połknął je – odpowiedział Niko.

– Niechcący! – zawołał Ru. Policzki mu poczerwieniały. Obrzucił kuzyna złowrogim spojrzeniem zdradzonego. – To twoja wina! Chciałem je wypluć, ale zakryłeś mi usta ręką!

– Czemu to zrobiliście! – wrzasnął Hilo na obu. Uczono ich, że tylko dorośli mogą nosić jadeit oraz go dotykać, i nie wolno traktować go jak zabawki. Powinni to rozumieć.

– Tylko się bawiliśmy.

Niko również był na granicy łez.

Hilo miał ochotę sprawić im obu lanie, lecz to pragnienie stłumiła wściekłość na samego siebie. Nie przyszło mu do głowy, że chłopcy będą się bawić w gabinecie; powinien był zamknąć klejnoty w szufladzie. Dlaczego był tak nieostrożny? Nad tym wszystkim dominował jednak porażający strach. Jadeit w ciele małego dziecka był niebezpieczny. Mógł spowodować zaburzenia akcji serca, napady padaczki, utratę przytomności, a nawet śmierć.

Hilo wziął syna w ramiona, zawołał do Kyanli, by zaopiekowała się Jayą oraz Nikiem, złapał kluczyki od duchesse i popędził ku drzwiom. Większy chłopiec, który również rozplakał się już na dobre, pobiegł za nim.

– Pojadę z tobą. – Chłopczyk uczeplił się go. – Nie zostawiaj mnie.

Filar otworzył tylne drzwi duchesse signa i wpuścił do środka obu chłopców. Ru wlepił w ojca spojrzenie szeroko otwartych ze strachu oczu.

– Czy umrę?

– Nie – zapewnił Hilo. Usiadł za kierownicą i ruszył.

\* \* \*

W Centralnym Szpitalu w Janloonie pośpiesznie poddano Ru badaniom. Na zdjęciu rentgenowskim uwidoczniono dwa jadeity wielkości guzików. Na szczęście nie zatrzymały się w przełyku i dotarły już do żołądka. Chłopca podłączono do aparatury monitorującej akcję serca, ciśnienie krwi oraz temperaturę ciała. Zjawił się białowłosy lekarz i zapewnił, że jego zdaniem kamienie będzie można usunąć bez potrzeby operacji. Podadzą chłopcu środki znieczulające i wprowadzą przez usta giętą sondę, która

pozwole je wydobyć. Hilo usiadł przy łóżku synka i trzymał go za spoconą rączkę, podczas gdy go znieczulano.

– Jesteś na mnie zły? – zapytał Ru niewyraźnym już głosem.

– Nie. – Za bardzo się bał, żeby się gniewać. – Kocham cię.

Pogłaskał chłopca po włosach. Jego czoło było ciepłe i wilgotne. Nie miał pewności, czy to gorączka wywołana przez jadeit, czy tylko skutek płaczu.

– Chcę do mamy – jęknął Ru.

– Zobaczysz ją, kiedy się obudzisz – zapewnił Hilo.

Jego umysł niepowstrzymanie kierował się ku najgorszym możliwościom, jakie potrafił sobie wyobrazić – będzie musiał zadzwonić do żony, która wyjechała w interesach i znajdowała się tysiące kilometrów stąd, z wiadomością, że ich syn umarł z powodu zatrucia jadeitem, gdy pozostawał pod jego opieką. Robiło mu się niedobrze na tę myśl. Raz po raz powtarzał sobie, że tak się nie stanie.

Pielęgniarka przyniosła książeczki twardostronicowe i samochodzik ciężarówkę dla Nika, ale chłopiec spojrział tylko na nie przelotnie, nie okazując zainteresowania. Siedział na krześle obok Hila. Podciągnął kolana do piersi i oplótł je rękami. W samochodzie się rozplakał, ale teraz oczy miał suche. Gapił się na wszystko z zaciekawieniem i lekką wrogością, ale od chwili przybycia do szpitala nie odezwał się ani słowem.

Hilo spojrział na zegarek. Pora kolacji już minęła. Siedzieli w izbie przyjęć od dwóch godzin. Na wschodnich brzegach Espenii był późny poranek. Anden powinien już zadzwonić do niego z wiadomością, że Zapunyo dotarł do Port Massy i wszystko jest gotowe do działania. Kiedy nie zastał Hila w domu, zapewne zadzwonił do biura prognostyka i Shae zastanawiała się teraz, gdzie podział się jej brat. Być może właśnie próbowała się z nim połączyć.

Ru zabrano na zabieg. Hilo podążył za nim tak daleko, jak mu na to pozwolono, aż wreszcie jego syn zniknął za zamkniętymi drzwiami. Biało-włosy lekarz zapewnił Hila, że to nie potrwa długo.

– Nie jesteście pierwszą rodziną zielonych kości, w której wydarzyło się coś takiego, Kaul-jen – oznajmił. – Jeśli uda się nam szybko usunąć jadeit, nie będzie żadnych trwałych skutków. SN1 nie jest zalecane dla dzieci, ale możemy podać małe dawki, jeśli okaże się to konieczne.

Hilo podziękował lekarzowi, po czym wziął Nika za rączkę i wyszedł z nim na korytarz. Posadził bratanka na krześle obok szeregu automatów

telefonicznych.

– Jesteś głodny? Potrzebujesz iść do toalety?

Niko potrząsnął głową. Hilo kupił mu torbę krakersów oraz butelkę soku owocowego, a potem zadzwonił do domu, nie spuszcżając chłopca z oczu. Zapewnił zaniepokojoną Kyanę, że chłopcu nic się nie stanie, po czym poprosił, by przyniosła z gabinetu jego notatnik i znalazła numer telefonu do hotelu, w którym zatrzymała się Wen w Adamont Capita. Zapisał numer na dłoni, a potem wrzucił do automatu tyle monet, żeby wystarczyło na międzynarodową rozmowę. Gdy dodzwonił się pod podany numer, czekał bardzo długo, ale nikt nie odebrał. Wreszcie dał za wygraną i zadzwonił do biura prognostyka na Statkowej.

– Gdzie się podziewałeś? – Głos Shae brzmiał bardziej nerwowo, niż przywykł do tego Hilo. Nawet przez telefon niemalże wyczuwał ożywienie jej jadeitowej aury. Gdy opowiedział, co się stało, jej irytacja przerodziła się w niepokój. Cokolwiek można by powiedzieć o jego siostrze, dzieci zawsze były jej bliskie. – Czy Ru nic się nie stanie?

– Lekarz tak sądzi. Wkrótce się dowiem. Dostałaś wiadomości od Andy’ego?

– Mamy problem – odparła. – Zapunyo nie chce się spotkać w pokoju, który załatwiliśmy w ośrodku kultury. Być może coś go spłoszyło. Albo od początku zamierzał zmienić miejsce, by ochronić się przed potencjalnym zagrożeniem. Upiera się, że spotkanie musi się odbyć w pokoju hotelowym, w obecności jego ochroniarzy. W przeciwnym razie nic z tego.

Hilo zaklął. To wszystko zmieniało.

– Nie damy rady przemycić jadeitu do pokoju Zapunya – stwierdził. – Już jest na to za późno.

– Rozmawialiśmy o tym z Andenem – odparła Shae. – Jeśli chcemy zrealizować swój cel, broń będzie musiał przynieść ktoś udający hotelowego kelnera. Jeśli ukryje ją w serwetce albo pod tacą i Rohn Toro złapie ją, nim zaczną się zastanawiać, kto złożył zamówienie...

– Nie – przerwał jej Hilo. – Zapunyo już coś podejrzewa. Natychmiast się zorientuje.

– Nie mamy innych opcji. Wywiad ma się odbyć za sześć godzin.

Filar mocniej zacisnął palce na słuchawce. Jego syn był w szpitalu, żona przebywała na drugim końcu świata, a kuzyn miał wejść bez jadeitu i broni do pokoju hotelowego, by stawić czoło wrogowi klanu ochranianemu przez oddział *barukanów*.

Gdyby to on był teraz w Port Massy zamiast Andena, gdyby mógł się dostać do pokoju, w którym przebywał Zapunyo, podjąłby niezbędne ryzyko. Spróbowałby przemycić do środka jadeitową broń albo odebrać ją jednemu z ochroniarzy przeciwnika. Zaryzykowałby własne życie, by wbić mu w gardło długopis, gdyby nie znalazł innego sposobu.

Ale nie było go tam. Nawet filar nie mógł osiągnąć bardzo wielu celów jedynie dzięki własnej woli i sile, lecz musiał polegać na innych, nawet gdy chodziło o sprawę tak osobistą jak zemsta. Andy był w Espenii sam. Gdy ostatnio Hilo prosił go o to, by zabił w imieniu klanu, doprowadziło go to do zerwania z rodziną i zniszczyło jako zieloną kość. Hilo był gotowy posunąć się bardzo daleko, by pokonać wroga, i nieraz postępował tak w przeszłości, ale teraz, gdy patrzył, jak jego mały bratanek je krakersy i zbiera okruszki z kolan, mógł myśleć jedynie o bezpieczeństwie rodziny.

– Odwołaj akcję – zdecydował.

– Jeśli wywiad się nie odbędzie, Zapunyo się zorientuje, że to od początku był podstęp – sprzeciwiła się Shae. – Fałszywa tożsamość, jaką stworzyliśmy dla Andena, będzie spalona, i już nigdy nie zyskamy drugiej szansy.

– Nie każemy Andenowi przeprowadzić dwugodzinnego lipnego wywiadu, z którego nie będzie żadnej korzyści, jeśli wystarczy jedna pomyłka – na przykład ktoś mógłby się zorientować, że nie jest tym, za kogo się podaje – żeby dostać kulkę w łeb. Musimy wymyślić jakiś inny sposób, żeby dorwać Zapunya. Odwołaj to, Shae.

Zakończył rozmowę z prognostyczką, wziął Nika za rękę i poszedł z nim do pomieszczenia, do którego mieli przywieźć Ru po zabiegu. W jego umyśle kipiał gniew. Wiedział, że miesiące starannych przygotowań i planowania pójdą na marne. Przed chwilą otrzymał wiadomości o Venie i był pewien, że nic więcej nie może już dziś pójść źle, ale gdy zjawił się lekarz i Hilo zobaczył niepokój na jego twarzy, wypełnił go chłód.

– Gdzie mój syn? – zapytał tonem tak ostrym i zimnym, że lekarz pobladł.

– Za chwilę go przywiozą – zapewnił pośpiesznie. – Zabieg się udał. Chłopiec obudzi się za jakąś godzinę. – Lekarz wręczył Hilowi plastikowy pojemnik z czerwoną pokrywką, w jakim zbiera się próbki moczu. Kawałki jadeitu leżały na jego dnie. – Nie będzie żadnych długotrwałych skutków, Kaul-jen, ale jest coś, o czym powinienes się dowiedzieć. Twój syn jest nie-reaktywny. Spodziewaliśmy się, że tak poważne narażenie na jadeit spowo-

duje zmiany w funkcjach jego organizmu, ale nie stało się nic w tym rodzaju. Równie dobrze mógłby połknąć pestki wiśni.

– Czy nie jest jeszcze za mały, by można było mieć pewność? – zapytał Hilo.

– W pierwszych sześciu latach życia mogą zachodzić wielkie zmiany w reakcji na jadeit, od minimalnej do bardzo poważnej. Dlatego psychiatrzy zalecają, by we wczesnym dzieciństwie ograniczać kontakt z nim i starannie go nadzorować. Ale całkowity brak reakcji... Jesteśmy w zasadzie pewni, że jest niereaktywny.

Hila irytowało, że lekarz ciągle powtarza słowo „niereaktywny”, jakby ten specjalistyczny termin brzmiał łagodniej niż słowo „kamiennooki”. Gdy ujrzał poważną minę lekarza, obawiał się najgorszego. Ta wiadomość nie była taka zła. Nie czuł się wstrząśnięty. Wen była kamiennooką i zawsze liczył się z taką możliwością. Rzecz jasna, miał nadzieję, że tak się nie stanie, ale teraz, gdy już znał prawdę, pogodził się z nią z jakimś nieokreślonym połączeniem rozczarowania, ulgi i pragnienia obrony własnego dziecka. Jego syn był kamiennookim. Czemu lekarz przejął się tym tak, jakby to była jakaś śmiertelna choroba? Można by sądzić, że zawodowi medycy nie będą wierzyć w stare kekońskie przesady łączące kamiennookich z pechem. A może po prostu obawiał się, że Hilo źle przyjmie tę wiadomość, jakby filar klanu zielonych kości miał przestać kochać syna, który nie będzie mógł nosić jadeitu.

– Są gorsze rzeczy niż bycie kamiennookim – rzekł i rozciągnął usta w wymuszonym uśmiechu. Właściwie nie czuł wesołości, ale miał nadzieję, że dzięki temu lekarz przestanie się gapić na niego niespokojnie znad okularów. – Ważne, żeby był zdrowy i otoczony miłością. Opinia innych nie ma znaczenia.

– Masz rację, Kaul-jen – odpowiedział lekarz z wyraźną ulgą.

Przywieźli Ru. Buzię miał trochę bladą, ale jego klatka piersiowa unosiła się i opadała w miarowym oddechu. Pielęgniarka uniosła górną część łóżka i poprawiła poduszki, by chłopcu było wygodniej, po czym się oddaliła. Niko bez słowa wysłuchał całej rozmowy między Hilem a lekarzem.

– Czy Ru naprawdę jest kamiennookim? – zapytał, gdy zostali sami.

– Tak – potwierdził Hilo. Starał się, by w jego głosie nie było smutku, lecz nie do końca mu się udało.

– Czy to z powodu tego, co się stało? Dlatego, że niechcący zmusiłem go do połknięcia jadeitu?

Hilo z westchnieniem posadził bratanka na kolanach.

– Nie. Taki się urodził. To nie jest niczyja wina.

Niko przyjrzał się z zasepioną miną śpiącemu kuzynowi.

– Czy zawsze taki będzie?

– Zawsze pozostanie kamiennookim, ale to nie znaczy, że nie będzie mógł robić mnóstwa innych rzeczy. Popatrz na swoją mamę. Poleciała w interesach do Espanii, wykonuje mnóstwo użytecznych zadań dla rodziny i dla klanu, mimo że nie nosi jadeitu. – Hilo nagle spoważniał. – Ale będziesz musiał się nim opiekować, Niko. Zapewnić mu bezpieczeństwo. Nie możesz nas straszyć tak jak dzisiaj. Rozumiesz?

Niko pokiwał głową.

– Rozumiem. Nie będę już się z nim drażnił. Od tej chwili będę dobrym starszym bratem.



# ROZDZIAŁ 58

## DECYZJA BIAŁEGO SZCZURA

Gdy Wen wróciła do hotelu Capita View, licząc na to, że trochę się prześpi po porannych rozmowach i oglądaniu próbek wykładziny oraz farby, recepcjonista poinformował ją, że mąż kilkakrotnie próbował się do niej dodzwonić i zostawił jej wiadomość oraz numer, pod którym znajdzie go w Centralnym Szpitalu Janloońskim. Wen popędziła do pokoju. Powtarzała sobie, że nie powinna wpadać w panikę, ale dłonie jej drżały, gdy wyciągała kartę telefoniczną, którą dała jej Shae, by mogła zamawiać rozmowy międzynarodowe. Telefonistka odpowiedziała i kazała jej poczekać.

Po kilku trudnych minutach usłyszała w słuchawce głos Hila.

– Wszystko jest w porządku – zapewnił natychmiast jej mąż. – Po prostu trochę się wystraszyliśmy.

Opowiedział jej, co się przydarzyło Ru, po czym dał słuchawkę Nikowi.

– Cześć, mamó. Tęsknimy za tobą. Kiedy wrócisz?

Wen zapewniła, że będzie w domu za trzy dni. Zapytała chłopca, czy codziennie ćwiczy czytanie i pisanie, a potem poprosiła, żeby oddał słuchawkę wujkowi.

– Czy lekarze myślą, że będą jakieś długotrwałe skutki? – zapytała.

– Nie – zapewnił Hilo. – Powiedzieli, że Ru jest kamiennookim.

Usiadła ciężko na skraju hotelowego łóżka. Jej pierwszą reakcją było zaskoczenie, że Hilo przyjął tę wiadomość tak obojętnie, ale z drugiej strony miał już kilka godzin na to, żeby się z tym pogodzić, a ona dowiedziała się dopiero w tej chwili.

– Są tego pewni? – zapytała cicho.

– Tak. – Jej mąż nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego, ale w jego głosie pojawiła się nuta niecierpliwości, jaką słyszało się niekiedy, gdy mówił „to nic” albo „w porządku”. Wen zawsze wtedy wiedziała, że martwi go coś innego.

Niespodziewanie poczuła, że oczy wypełniają jej łzy.

– Przykro mi – rzekła.

– Nie bądź śmieszna – odparł. – Powiedziałem, że wszystko jest w porządku, tak? – dodał łagodniejszym głosem, jakby sobie uświadomił, że na nią warknął. – Tylko to się liczy. Nie przejmuj się. Nie pozwól, żeby to ci zepsuło podróż.

– Czego jeszcze mi nie mówisz? – zapytała Wen. – Czuję, że jest coś więcej.

– To nie ma z tobą nic wspólnego. Klanowe sprawy.

Wen zerknęła na zegar.

– A czy ma coś wspólnego z planem zabicia Zapunya?

Hilo westchnął, jakby dał za wygraną.

– Ten uwiwański tchórz nie chce opuścić pokoju hotelowego, żeby spotkać się w miejscu przygotowanym przez nas. A to znaczy, że próba zamachu byłaby zbyt niebezpieczna dla Andy’ego. Odwołałem wszystko. Tym razem nie możemy go załatwić, Wen.

– Tym razem – powtórzyła. – Zatem kiedy? Tego samego dnia, gdy zamordowano Kehna, obiecałeś mi, że dorwiemy ludzi, którzy to zrobili. Wszystkich. Minał już z górą rok.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – spytał Hilo z frustracją w głosie. – Jesteś zdenerwowana, bo pod twoją nieobecność nie uważałem na chłopców, jak trzeba, i doszło do wypadku. Ale czy kiedykolwiek się zdarzyło, bym nie dotrzymał obietnicy? Czy pozwoliłem, by atak przeciwko naszej rodzinie uszedł bez kary? Czasami potrzeba więcej czasu, to wszystko.

W tle rozległ się jakiś dźwięk. Hilo odwrócił się od słuchawki i przez chwilę z kimś rozmawiał.

– Muszę już lecieć – oznajmił wreszcie. – Chcą wypisać Ru i muszę podpisać papiery. – Przerwał na moment. – Nie chciałem martwić cię złymi wieściami. Właściwie to wcale nie są takie złe. Mogło być znacznie gorzej. Powinniśmy się cieszyć. Nie przejmuj się klanowymi sprawami. Porozmawiamy o nich, kiedy wrócisz do domu. Kocham cię.

– Ja również cię kocham – odparła Wen. – Przypomnij też chłopcom o mojej miłości.

Gdy Hilo zakończył połączenie, Wen przez długi czas wpatrywała się w słuchawkę, nim wreszcie odłożyła ją na widełki. Spadł na nią wielki ciężar. Wstała machinalnie, przebrała się w wygodniejszy strój, wypila butelkę

napoju gazowanego z minibaru, przez jakiś czas krążyła oszołomiona po pokoju hotelowym, aż w końcu znowu usiadła na łóżku.

Czuła się, jakby miała ochotę się rozpłakać, lecz to wrażenie było zbyt nieokreślone, wydarzenia rozgrywały się za daleko. Gdyby była teraz z rodziną, wszystko wydawałoby się jej całkiem realne. Wyobraziła sobie Ru w łóżku szpitalnym, wołającego ją nadaremnie. Zalała ją fala instynktownej macierzyńskiej desperacji. Żałowała, że nie może uściskać syna i dać mu pocieszenia. Czuła też jednak dziwną ulgę, że jej przy tym nie było, że nie musiała patrzeć w jego ufne oczy i okłamywać go, mówiąc, że wszystko jest w porządku. Z pewnością nie było. Starła się odepchnąć wszelkie nieprzyjemne myśli: Ru nie będzie uczeszczał do Akademii, nie zostanie zieloną kością jak jego ojciec i wujkowie. Nie osiągnie znaczącej rangi w klanie Bez Szczytów. Będą go lekceważyć i ignorować jak jego matkę, przez całe życie będzie się musiał borykać ze stygmatem pechowca. W dodatku był chłopcem, zatem dla niego będzie to jeszcze gorsze. Mężczyźni musieli wydawać rozkazy, by ich szanowano, a kto chciałby słuchać kamiennookiego?

W przyływie bolesnej szczerości uświadomiła sobie, że właśnie dlatego od chwili, gdy zobaczyła zdjęcie małego Nika w liście znalezionym w papierach Lana, tak gorąco pragnęła sprowadzić go do Janloonu, dlatego nalegała, by Hilo osobiście poleciał do Stepenlandu, żeby sprowadzić tu chłopca i wychowywać go razem z ich dziećmi. Być może spodziewała się tego od samego początku. Ta możliwość niepokoiła ją podczas pierwszej ciąży. Jej syn, Ru, nie zostanie dziedzicem ojca.

Niko był dzieckiem, którego nie mogła sama urodzić, prawdziwym najstarszym synem klanu Bez Szczytów. W tym, że jego matką była kobieta tak niewierna i niewdzięczna jak Eyni, kryło się sporo ironii, ale bogowie mieli okrutne poczucie humoru. W tej sprawie Hilo i Shae zgadzali się ze sobą. Śmiertelnicy mogli jedynie pogodzić się z losem, jaki przypadł im w udziale, i walczyć o jak najlepsze życie dla siebie i swoich bliskich. Wen siedziała sama w pokoju hotelowym, daleko od domu, wypełniona mieszaniną dumy i wstydu, tak trudną do pojęcia, że oczy zaszyły jej łzami.

Otarła oczy i znowu zaczęła myśleć jasno. Zdawała sobie sprawę, że jej wartość dla klanu, rodziny, dla Hila, a przede wszystkim dla siebie samej, nie polega na tym, co jest w stanie osiągnąć o własnych siłach – kamiennooki zawsze byli pustką pośród otaczających ich silnych aur; pustką, po której spojrzenia i oczekiwania spływały niczym olej – lecz na tym, co pomaga

osiągnąć innym. Sama nie władała mocą jadeitu, lecz jako biały szczur prognostyczki dostarczała go tym, którzy mogli wykorzystać go w interesie klanu. Nie dała filarowi syna, który zostałby jego dziedzicem, ale dopilnowała, by sprowadzono do domu Nika i wychowano go w należnym mu miejscu. Wen nigdy nie zostanie zieloną kością, nawet jeśli czuła się nią w sercu, ale potrafiła myśleć jak zielona kość. Była pomocnicą, asystentką, ukrytą bronią. To również miało swoją wartość. Być może bardzo wielką.

Wzięła w rękę słuchawkę i zadzwoniła do biura prognostyka.

\* \* \*

Gdy Wen skończyła mówić, Shae milczała przez co najmniej minutę.

– Nie mogę się na to zgodzić – stwierdziła wreszcie.

– Pragniesz śmierci Zapunya w takim samym stopniu jak ja – sprzeciwiła się jej bratowa. – Poświęciłaś całe miesiące na przygotowania do tej okazji. Wiesz, że nie będziemy mieli lepszej. Jeśli jej nie wykorzystamy, znowu ukryje się w swojej fortecy.

Te argumenty nie różniły się wiele od tego, co Shae powiedziała bratu przez telefon przed niespełną godziną, lecz tym razem to ona szukała usprawiedliwień.

– Nie mamy czasu na zmianę planu.

– Odwołałaś już wywiad? – zapytała Wen.

Prognostyczka tego nie zrobiła. Zwlekała, starając się znaleźć jakiś sposób uratowania fałszywej tożsamości, którą z tak wielkim wysiłkiem stworzyli dla Andena.

– Zostało nam jeszcze pięć godzin – kontynuowała bratowa. – Za niespełna trzydzieści minut mogę być w autobusie do Port Massy. Podróż trwa trzy godziny. Zostanie mi jeszcze półtorej. – Wen przerwała na moment.

Czy kiedykolwiek cię zawiodłam, Shae-jen? – podjęła spokojnym, błagalnym tonem. – Kiedy ci powiedziałam, że chcę zostać twoim białym szcurem, czy nie uwierzyłaś, że potrafię zrobić wszystko, o co mnie poprosisz?

Shae zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu, rozciągając sznur telefoniczny.

– Wen, to jest bardziej niebezpieczne niż wszystko, co robiłaś do tej pory. Nawet jeśli ci się uda, nie mamy szans ukryć tego przed Hilem. Narażabyś na niebezpieczeństwo nie tylko życie, lecz również swoje małżeństwo.

– Jestem na to przygotowana – odparła Wen po długim milczeniu.

– Nie mam pewności, czy ja jestem – przyznała Shae. – Musisz pamiętać o dzieciach.

– Pamiętam o nich. Dopóki Zapunyo oddycha, dopóki wrogowie naszej rodziny unikają kary, nie przestanę się obawiać o ich życie. Czy ufasz temu człowiekowi, o którym opowiadał nam Anden? Temu Rohn Torowi?

– Anden mu ufa. A Hilo mówił, że to najzbieleńszy człowiek, jakiego spotkał w Port Massy.

– W takim razie rzeczywiście jest naszą najlepszą nadzieją – stwierdziła Wen. – Hilo postanowił odwołać akcję, nie rozważywszy przedtem wszystkich opcji. Teraz daję ci opcję. Bardzo dobrą. Zapunyo jest odpowiedzialny za śmierć Kehna i Mara, nadal pozostaje też zagrożeniem dla nas. Shae-jen, pozwól mi to zrobić. Dla moich dzieci i dla klanu.

Shae czuła się tak, jakby patrzyła na siebie z zewnątrz. Nie wiedziała, co na ten temat sądzić. Hilo był filarem i podjął decyzję. Jako prognostyczka była zobowiązana spełniać jego życzenia. *Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem.* Jednakże Wen miała rację. Hilo nie dysponował wszystkimi informacjami i nie miała teraz czasu, by odszukać go w szpitalu, gdzie czuwał przy synu, i opowiedzieć mu o wszystkim, czego dokonali z Wen w przeszłości, o wszystkich rzeczach, na które nigdy by się nie zgodził, ale które potajemnie pomogły klanowi w kluczowych momentach. Bez nich mogłoby nie być filarem. Mogłoby w ogóle nie być żadnego klanu.

Zapunyo i sprzymierzeni z nim *barukani* okaleczyli rodzinę Kaulów. Zabili Maik Kehna i omal nie pozbawili życia Wen oraz dzieci, w tym również Nika. Shae przysięgła, klęcząc przed bogami, że zapewni mu ochronę. By móc to zrobić, szantażowali Mara, grożąc jego rodzinie, i skłonili go do zdrady. Z ich powodu była zmuszona zabić przyjaciela i kochanka, człowieka o łagodnym sercu, który reprezentował lepszą stronę Kekonu. Przemysłnik Zapunyo – podobnie jak szotarscy *barukani* i espeńskie paczki – był przykładem władzy bez honoru, jadeitu bez ograniczeń, przemocy bez zasad.

*Kierujesz klanem w takim samym stopniu jak twój brat.* Tak kiedyś, dawno temu, powiedział jej Maro, zanim jeszcze w to uwierzyła i omal nie zginęła, próbując tego dowieść. Uczepiła się teraz tych słów, uczyniła z nich włócznie stanowczości, silnej jak ta, z którą stawiała czoło Ayt Madzie w pojedynku czystej klingi.

– Przekażę Andenowi i Rohnowi, żeby spotkali się z tobą na dworcu autobusowym w Port Massy – powiedziała bratowej.

# ROZDZIAŁ 59

## Z RODZINY KAULÓW

Niespełna pięć godzin później Wen siedziała z tyłu starego sedana brock parade ls pod hotelem Crestwood w śródmieściu Port Massy. Samochód parkował w strefie załadunku naprzeciwko głównego wejścia, ale dwaj policjanci stojący przy pobliskich przecznicach nie zwracali na nich uwagi. To byli gliniarze z Południowej Pułapki, świetnie znani Daukom. Nieraz już brali od nich pieniądze za rozmaite przysługi i odnosili się przychylnie do Kekończyków, którzy rzadko handlowali narkotykami czy dopuszczali się aktów przemocy, a kiedy mieli problemy, z reguły rozwiązywali je sami. Jeden z nich sam był półkrwi Kekończykiem. Dobrze im zapłacono za to, by pierwsi reagowali na wszelkie doniesienia o kłopotach i patrzyli w drugą stronę, gdy szary sedan oddali się pośpiesznie. Wiedzieli, że w tym hotelu mieszka Zapunyo, ale nie przejmowali się zbyt perspektywą, że zagranicznego przemytnika jadeitu znanego z wielu brutalnych pogwałceń praw człowieka spotka niefortunny koniec.

Anden odwrócił się na przednim siedzeniu dla pasażera i spojrzał z z troskaniem na Wen.

– Nie jest jeszcze zbyt późno, żeby zmienić zdanie – nalegał. – To bardzo niebezpieczne. Hilo nie chciałby, żebyś brała w tym udział.

Wen sprawdziła makijaż w lusterku i wsadziła kosmyk włosów z powrotem do koka, z którego się uwolnił.

– Zbyt długo to planowaliśmy, żeby teraz dać za wygraną, Anden. Prognostyczka wyraziła zgodę i liczy na nas. – Uśmiechnęła się do niego uspokajająco – Poza tym moja część jest prosta.

– Pamiętaj, padnij na ziemię i nie podnoś się, dopóki ci nie pozwolę – odezwał się siedzący za kierownicą Rohn Toro. Nie mieli czasu na próby. Rozmowa będzie musiała im wystarczyć.

– Dziękuję, że się zgodziłeś – rzekł do Tora Anden.

– Podziękuj mi, jak już będzie po wszystkim i odjedziemy stąd bezpiecznie – odparł mężczyzna. – Najlepiej na innym kontynencie, gdzieś, gdzie jest ciepło.

Wysiadł i otworzył bagażnik. Dwoje pasażerów również opuściło pojazd. Wen nadal czuła się zdumiona zmienionym wyglądem Andena. Miał teraz krótką bródkę, dzięki której wyglądał na starszego o pięć lat, okulary w czarnych oprawkach, modną marynarkę z wąskimi klapami oraz krawat w niebiesko-białe paski. Wyglądał jak typowy mieszkaniec Port Massy i w niczym nie przypominał poważnego ucznia Akademii Kaul Du, którego znała w Janloonie. Zerkał na nią co chwila, najwyraźniej nadal niepewny, czy dobrze zrobił, przyjmując jej pomoc. Z pewnością jednak nie zamierzał zepsuć planu, okazując w tej chwili nieposłuszeństwo. Miała nadzieję, że potrafi ukryć oznaki niepokoju, gdy już znajdą się w środku. Rohn wyjął z bagażnika profesjonalną lustrzanekę razem z torbą na sprzęt i trójnogiem. Aparat zawiesił sobie na szyi na skórzanym pasku. Wen poprawiła spódnicę, wyjęła skórzaną aktówkę i ostrożnie wsunęła pióro z nasadką do kieszeni żakietu.

Weszli do holu i usiedli na wyściełanych fotelach nieopodal baru. Miał się z nimi spotkać jeden z ochroniarzy Zapunya, ale Uwiwanie nigdy nie byli punktualni. Po półgodzinie Wen zaczęła się niepokoić. Zauważyła, że Anden spogląda na zegar na ścianie. Zapewne nasuwały mu się takie same myśli jak jej: Zapunyo w ostatniej chwili zmienił zdanie i zignoruje ich albo po jakimś czasie rozkaże ich odesłać. Nie była pewna, co jest w niej silniejsze – rozczarowanie czy ulga. Jeśli przemytnik ucieknie na Uwiwy, nadal każdego dnia będzie się obawiała kolejnego ataku na swą rodzinę. Ale z drugiej strony zrobiła, co tylko mogła, a mąż nigdy się nie dowie, że postąpiła wbrew jego pragnieniom. Być może trafi się im inna okazja załatwienia Zapunya, jak obiecał Hilo.

Z jednej z wind wysiadł mężczyzna i ruszył w ich stronę. Wen nigdy dotąd nie widziała *barukana*, ale ten człowiek, ostentacyjnie noszący jedwabną koszulę i złote pierścienie z wielkimi jademitami, świetnie pasował do stereotypu. Z ironiczną pogardą i ciekawością zadała sobie pytanie, czy to możliwe, że to *barukani* czerpią wskazówki z filmów, a nie na odwrót. Gdy mężczyzna się zbliżył, Anden wstał. Wen z ulgą zauważyła, że młodzieniec nie okazuje śladów nerwowości. Mówił po espeńsku bardzo płynnie i z dużą pewnością siebie, choć słyszało się u niego akcent. Ucisnęła dłoń *barukana* i zidentyfikował się jako dziennikarz Ray Caido. Następnie



wskazał Rohn Tora i Wen i przedstawił ich pod fałszywymi nazwiskami jako swego fotografa i asystentkę.

Mężczyzna skinął głową i poprowadził wszystkich troje w stronę wind. Pojechali na jedenaste piętro, gdzie znajdowały się najdroższe apartamenty. Na górze czekał na nich drugi, młodszy *barukan*. Obaj rozpostarli ręce, wskazując, że muszą przeszukać dziennikarzy, zanim pozwolą im iść dalej. Oklepali Andena i Rohna w poszukiwaniu broni, a potem przyjrzeni się sprzętowi fotograficznemu. Młodszy *barukan* zrobił niepewną minę, gdy stanął przed Wen. Szotarczycy byli pruderyjni. Rozpostarła ręce i pozwoliła, by przesunął dłońmi wzdłuż jej boków, palców i nóg, po czym się odsunął. Wen zauważyła, że zielone kamienie na jego szyi to był tylko nefryt, ale klejnoty w uszach były prawdziwe. Znieruchomiał na chwilę, by Postrzec, że żadne z ich trojga nie ma jodeitowej aury, po czym poprowadził ich korytarzem do znajdującego się na jego końcu apartamentu. Zapukał i wpuszczono ich do środka.

Zapunyo siedział na szerokim, obitym tkaniną fotelu na środku pokoju. Wen zaskoczył jego niski wzrost. W wielkim fotelu ustawionym w luksusowym apartamencie wyglądał prawie jak dziecko. Miał na sobie lekko zmięty, jasnobrązowy garnitur z płótna z białą, złożoną poszetką sugerującą próbę zachowania elegancji. Zauważyła czubki obrzękłych, pokrytych żyłami stóp sterczące z kapci. O dziwo, w pierwszej chwili jego widok wzbudził w niej litość, a nawet współczucie. Zapunyo mógł być bogatym, kierującym się ambicją człowiekiem, ale jego niebezpieczny umysł był uwięziony w słabym ciele. Nie było w porządku, żeby ktoś taki kontrolował handel jodeitem albo rzucał wyzwanie zielonym kościom.

Najstarszy syn Zapunya stał przy oknie za fotelem ojca. Towarzyszył mu kolejny ochroniarz. W sumie spotkali tu pięciu mężczyzn, a trzech z nich było *barukanami*.

– Panie Zapunyo, dziękuję, że zgodził się pan udzielić nam wywiadu – zaczął Anden. – To wyjątkowa okazja i czuję się zaszczycony, że zechciał mnie pan zapoznać ze swoją wersją wydarzeń. Woli pan rozmawiać po espeńsku czy po kekońsku? Biegle znam oba te języki.

Zapunyo oblizał wargi.

– Nie mówię po espeńsku za dobrze. Niech będzie kekoński.

– Obiecałem, że nie zajmę panu więcej niż godzinę – podjął Anden, natychmiast przechodząc na kekoński. Usiadł w fotelu naprzeciwko przemytnika. – Podczas rozmowy moja asystentka będzie siedziała z boku

i sporządzała notatki, a fotograf zrobi trochę zdjęć. Może pan ich ignorować i udawać, że jesteśmy tu tylko my dwaj.

Wen uśmiechnęła się i skinęła głową. Odsunęła na bok jeden z foteli i usiadła na nim, po czym otworzyła aktówkę na czystej kartce papieru. Wyjęła z kieszeni grube wieczne pióro. Obok niej Rohn Toro ustawił swój trójnóg. Zapunyo zerknął na nich, po czym znowu skierował spojrzenie na Andena.

– Skąd pochodzą pańscy rodzice, panie Caido? – zapytał.

– Moja matka była Kekonką – odparł Anden. – Ojciec jest Espeńczykiem.

– Ale nosi pan kekońskie nazwisko – zauważył przemysłnik.

– Rodzice nie zostali razem. Wychowywała mnie matka – wyjaśnił Anden. – Czy to pan prowadzi wywiad ze mną, a nie na odwrót? – zapytał z wymuszoną wesołością.

– Interesuje mnie historia życia dziennikarza, który tak uparcie chciał się ze mną spotkać – odpowiedział Zapunyo. Jeden z ochroniarzy postawił z boku stolika szklankę z gazowaną wodą, wyposażoną w słomkę. Zapunyo wziął ją w rękę i pociągnął łyk. – Urodził się pan na Kekonie czy w Espeñii, panie Caido? Dlaczego pańscy rodzice przybyli do tego kraju?

– Urodziłem się na wyspie, ale przenieśliem się do Espeñii jako dziecko – odparł Anden.

To była pierwsza półprawda, jaką powiedział, i choć Wen wątpiła, by którykolwiek z *barukanów* władał Postrzeganiem w stopniu wystarczającym, by wykryć tak drobne oszustwo, z każdym następnym kłamstwem delikatne napięcia w ciele Andena będą narastały, aż wreszcie wzbudzi to podejrzenia. Zdjęła zatyczkę z pióra i zatrzymała je nad pustą kartką. Zerknęła na Rohn Tora, który przykucnął po drugiej stronie przemysłnika, robiąc zdjęcia.

– A jeśli chodzi o to, dlaczego moja rodzina tu przybyła, myślę, że dostrzegli szansę dla siebie – kontynuował Anden. – Uważali też, że będę miał łatwiejsze życie w Port Massy, bo wyglądam na Espeńczyka, a w dodatku na Kekonie było wtedy dość niebezpiecznie. A co z panem, panie Zapunyo? – zapytał, próbując zmienić temat. – Jak trafił pan w miejsce, w którym jest pan teraz?

– To pytanie wszyscy zadajemy sobie każdego dnia, nieprawdaż, panie Caido? Jak trafiliśmy w miejsce, w którym jesteśmy teraz? – Zapunyo pogłaskał swe ciemne, szorstkie włosy. Miał zamyśloną minę. – Jak to się

stało, że w mojej rodzinie było siedmioro dzieci, ale tylko czworo przeżyło, a z naszej czwórki tylko ja zdołałem wydostać się z getta i coś osiągnąć, mimo że byłem najmniejszy i fizycznie najsłabszy ze wszystkich chłopaków?

Wszyscy *barukani* i syn Zapunya mieli pistolety, a dwaj nosili też *dur-bhy*. Rohn Toro wrócił do miejsca, gdzie siedziała Wen. Aparat umieścił na trójnogu.

– Jak pan sądzi, panie Zapunyo? Dlaczego tak się stało? Czy to zrządzenie losu, którym kierują wyższe siły, takie jak bogowie?

Przemytnik uniósł tępo zakończony palec. W jego oczach pojawił się błysk satysfakcji.

– Wierzę, że bogowie mają tu coś do powiedzenia, to prawda, ale ludzie sami określają swe przeznaczenie. Na przykład, kto wie, co sprawia, że dwie osoby spotykają się w pewnym miejscu i czasie, by nawzajem zmienić bieg swego życia?

Przemytnik obrzucił Andena chytrym spojrzeniem.

– Mam wielu wrogów, więc oczywiście, zanim zgodziłem się z panem spotkać, sprawdziłem pana dokładnie. Ray Caido rzeczywiście pracuje dla Dziennika Kekońskiego i napisał wiele artykułów oraz przeprowadził liczne wywiady. Ale pan nie jest panem Caido, nieprawdaż? – Zapunyo wyjął z przedniej kieszeni garnituru małe czarno-białe zdjęcie, prawdopodobnie pochodzące ze szkolnego rocznika. – Nie wygląda pan jak on. Mimo to upierał się pan przy spotkaniu ze mną, bez broni i na moich warunkach. To znaczy, że nie planuje pan mnie zabić.

Wen poczuła, że po plecach spływa jej pot. Obróciła pióro w palcach i wypadło jej z ręki. Stoczyło się z kolan i spadło na podłogę. Rohn pochylił się, by je podnieść. Anden nie patrzył na nich. Siedział absolutnie nieruchomo i nie odzywał się ani słowem. Jego twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu.

– Kto pana przysłał? – zapytał Zapunyo z zadowoloną miną. – Klan Góra? A może Kekończycy z Espenii, pragnący zdobyć jadeit?

Pióro Wen złamało się łatwo. Gdy Rohn wyciągnął ze środka łańcuszek z małymi jadeitami. Anden się pochylił.

– Myli się pan, panie Zapunyo. Planuję pana zabić.

Wszyscy strażnicy Zapunya wyciągnęli broń, gotowi naszpikować młodzieńca kulami. Dwaj z nich wyczuli rozbłysk jadeitowej aury i zaczęli odwracać się w stronę Rohna, na ułamek sekundy przed tym, nim zielona

kość uwolnił Odbijanie. Impuls przemknął przez niewielki pokój, przewrócił trójnog, rozlał wodę w szklance i cisnął stojącymi mężczyznami o ściany oraz meble.

Rozległy się strzały. Wen padła na podłogę. Dzwoniło jej w uszach, a serce podchodziło do gardła. Zobaczyła, że Anden skoczył na Zapunya i ściągnął go z fotela na podłogę. Potem przesunął się za przemytnika, objął ramionami jego szyję oraz wątłe ramiona, a następnie przetoczył się i schylił głowę, tak że wrywający się, zwrócony do niego plecami Zapunyo mimo woli służył mu jako tarcza. Ochroniarze nie mogli zastrzelić napastnika, nie trafiając jednocześnie szefa.

Wen wtuliła twarz w dywan.

– Nie, tato! – krzyknął syn Zapunya.

Otwierał szeroko oczy w panice, nie mogąc zdecydować, gdzie wycelować broń. Rohn Toro skoczył ku niemu, z nagłym impulsem Siły, i uderzył go w szyję, miażdżąc tchawicę. Chłopak osunął się na podłogę. Zielona kość wyrwał mu broń, błyskawicznie odwrócił ją w ręce i wystrzelił – najpierw raz, a potem drugi i trzeci. Jeden z *barukanów* padł, a drugi przywołał rozpaczliwy impuls Stali i Odbijania. Kula poleciała w bok, wybijając okno w pokoju. Obaj pozostali przy życiu ochroniarze odpowiedzieli ogniem. Rohn padł na podłogę i wystrzelił dwa razy, roztrzaskując rzepki bliższego przeciwnika. *Barukan* upadł, wrzeszcząc z bólu. Dwa kolejne strzały go uciszyły.

Ostatni ochroniarz pobiegł w panice ku drzwiom, strzelając do zielonej kości. Z tak bliska Rohn ledwie zdołał Odbić pociski. Jeden rozdarł tkaninę jego kurtki, a drugi wbił się w dywan. *Barukan* dopadł do drzwi i złapał za klamkę. Rohn rzucił przed siebie Lekkość, złapał przeciwnika i cisnął nim o zamknięte drzwi. Rozległ się trzask. Obaj mężczyźni padli na podłogę i zaczęli szarpać się ze sobą, Siła przeciwko Sile. Zniknęli za kanapą, ale Wen nadal słyszała łoskot i wysilone oddechy.

Podniosła się na ręce i kolana. Nieopodal leżał pistolet upuszczony przez jednego z zabitych *barukanów*. Podczołgała się bliżej, chwyciła pistolet i uniosła go. Był ciężki, znacznie cięższy od lekkiej broni, z jaką dotąd ćwiczyła. Wstając, musiała mocno trzymać go w obu rękach.

Rohn i ostatni z ochroniarzy nadal walczyli ze sobą. Róg otoczył dłońmi szyję *barukana* i zacisnął je, używając jednocześnie Przenoszenia, aż z ust mężczyzny popłynęła krew. Szarpał się i wierzgał, próbując drapać osłonięte Stalą ręce przeciwnika. Anden leżał na podłodze, unieruchamiając

przemytnika chwytem od tyłu. Uwiwanin próbował się wyrwać, ale był znacznie słabszy fizycznie. Wen ruszyła ku nim. Nadal słyszała dźwięki wydawane przez konającego *barukana*, ale nie zwracała na nie uwagi. Twarz Zapunya poczerwieniała. Poruszał ustami ze zdumienia i strachu, jakby nie potrafił uwierzyć, że po tylu latach, teraz, gdy ciężko zachorował, ktoś wreszcie zdołał go dorwać.

– Puść go, Anden – poleciła Wen.

Zapuno padł na podłogę, krztusząc się gwałtownie. Podźwignął się na kolana i uniósł ręce. Krew odpłynęła mu z twarzy, gdy ujrzał swego martwego syna i zabitych ludzi.

– Jestem bogatym, potężnym człowiekiem – wycharczał. – Mogę zapłacić więcej, niż ci oferowano. Kto cię przysłał?

– Sama się przysłałam – odpowiedziała mu Wen. – Jestem z rodziny Kaulów z klanu Bez Szczytów.

Nacisnęła spust. Pistolet podskoczył w jej dłoniach, szarpiąc boleśnie nadgarstki. Zapuno padł z powrotem na dywan, rozsuwając nogi pod dziwnym kątem. Pod jego ciałem zbierała się krew. Anden spojrzał na ciało, a potem na Wen. Rohn Toro podszedł bliżej i popatrzył z góry na przemytnika. Po śmierci Zapuno wydawał się jeszcze drobniejszy i bardziej kruchy. Trudno było uwierzyć, że uczynił na świecie tak wiele zła.

Róg spojrzał na Wen.

– Mówiono mi, że ludzie boją się Maików. Nie dziwię się temu. – Pochylił się, żeby zaczerpnąć tchu. Czoło pokryła mu warstewka potu. – Starzeję się – mruknął pod nosem.

Wyjął z torby ściereczkę do obiektywów. Wylał rękojeści pistoletów, które trzymali w rękach on i Wen, a następnie położył je obok ciała. Rękaw jego podartej marynarki splamiła krew. Zdjął ją i również rzucił na podłogę.

– Pośpiesz się, Rohn-jen – ponaglił go Anden. – Musimy stąd zniknąć.

Przykucnął przy ciele młodszego *barukana*, tego, który przeszukiwał ich w korytarzu. Wyjął jadeity z jego uszu i wyciągnął rękę do Rohna.

– Co ty wyprawiasz? – zdziwił się mężczyzna.

– Zabieram twoją zielen, żebyśmy mogli szybciej stąd zniknąć.

– Oszalałeś? Nie bierz stąd nic, co mogłoby cię połączyć z miejscem zbrodni. Jeśli weźmiemy jadeit z ich ciała, to będzie jasna wskazówka, że odpowiedzialne są zielone kości. Zostaw go. Weź tylko klejnoty, z którymi tu przybyliśmy.

Wręczył cienki łańcuszek Wen, która znowu ukryła go w fałszywym piórze. Następnie wsadziła je do kieszeni. Twarz Rohna wykrzywiła się na kilka sekund w grymasie wywołanym odstawieniem jadeitu. Zachwiał się i wsparł dłoń na oparciu fotela, na którym jeszcze przed chwilą siedział Zapunyo. Po paru sekundach wyprostował się i ruszył ku drzwiom. Otworzył je i wyjrzał na korytarz.

– Szybko – rzucił.

Anden gapił się na trzymane w dłoni klejnoty. Poderwał się, jakby nagle uświadomił sobie, co trzyma. Wypuścił je pośpiesznie. Obejrzał się, gdy wychodzili za Rohnem. Wen zastanawiała się, czy niedowierzenie widoczne na jego twarzy jest wywołane tym, co uczynili, czy raczej niezadowolaniem z tego, że zostawili jadeit na ciałach wrogów. Żadna zielona kość w Janloonie nie zrobiłaby czegoś takiego.

Zamknęli drzwi i oddalili się pośpiesznie korytarzem. Być może ochroniarze Zapunya dla bezpieczeństwa wynajęli również sąsiednie pokoje, ponieważ nikt nie otwierał drzwi zaciekawiony nagłymi hałasami. Wen przyśpieszyła kroku. Trudno jej było za nimi nadążyć w koturnach. Kręciło się jej w głowie od adrenaliny, ale, choć nadal się bała i tętno miała bardzo szybkie, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Mogli jeszcze ich złapać i zamknąć w espeńskim więzieniu, ale była przekonana, że Shae znajdzie sposób, by ich wydostać. Ważne, że to zrobili. Ona, kamiennooka, to zrobiła. Choć raz nie musiała czekać, aż Hilo wymierzy klanową sprawiedliwość, tylko sama uporała się z tym zadaniem. Nie wszystkie zielone kości mogły się pochwalić czymś takim.

Zjechali windą na pierwsze piętro, a potem zeszli po schodach na parter. W holu kręciło się sporo ludzi, gońcy hotelowi biegali w obie strony, goście rejestrowali się albo wyrejestrowywali, i nikt nic nie wiedział o tym, co wydarzyło się dwanaście pięter wyżej. Wen podejrzewała, że usłyszano odgłosy strzałów i zawiadomiono o tym władze. W rejestracji dwóch pracowników hotelu rozmawiało z jednym z policjantów, którzy przedtem pełnili straż na ulicy.

Rohn Toro zwolnił, wziął gazetę, wsunął ją sobie pod ramię i ruszył nieśpiesznie ku wyjściu. Wen ujęła Andena pod rękę, jakby byli parą wybierającą się na kolację. Oboje podążali w pewnej odległości za Rohnem. Policjant na nich nie spojrział ani w żaden sposób nie okazał, że ich zauważył. Wyszli z hotelu bez przeszkód i wsiedli do sedana zaparkowanego w niedozwolonym miejscu. Rohn zapalił silnik i ruszył naprzód. Gdy już się odda-

lili, ciągle zerkał we wsteczne lusterko, ale nie śledziły ich policyjne światła ani syreny. Wen westchnęła z ulgą, ale żadne z nich nie odzywało się ani słowem.

Zgodnie z planem Rohn odwiózł ich do odległego o piętnaście minut drogi sklepu „Narzędzia i Drobiazgi Starra”, w którym kiedyś pracował Anden. Sklep zamknięto przed godziną, a parking w zaułku na zapleczu był pusty, pomijając tylko czarnego hatchbacka, którego zostawili tu dziś Rohn i Anden. Róg wyjął z tyłu pojazdu torbę z ubraniami na zmianę.

Anden miał klucz dla pracowników, który dawno temu zapomniał zwrócić. Otworzył tylne drzwi i zaprowadził ich do sklepowego garażu. Włączył światła i jarzeniówki obudziły się do życia nad paletami świeżo dostarczonego drewna oraz skrzyniami z towarem. Chłopak odetchnął głęboko. Ramiona wreszcie mu opadły. Wen spojrzała na wiszący na ścianie zegar. Za kilka godzin będą już siedzieli w nocnym samolocie do domu.

– Wybierzesz się z nami do Janloonu. Rohn-jen? – zapytała.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie chciałbym się znaleźć w nieznanym mieście, w którym jest mnóstwo zielonych kości – odparł. – Wyszukam dla siebie ciepłą plażę w Alusiusie. Zostawiam tu ludzi, których sam wyszkoliłem, i wierzę, że są wystarczająco zieloni, by utrzymać porządek i pomóc Daukom, gdy już ich opuszczę.

– Zadzwoń do Dauk-jena i powiem, żeby wysłał ludzi po nas – oznajmił Anden. – Przebierzcie się oboje. Łazienka jest tam.

Postawił torbę na ziemi, poszedł do małego gabinetu kierownika i wybrał numer.

Wen otworzyła torbę i wyjęła podróżne ubranie dla siebie. Pod spodem były czyste koszule i spodnie dla Rohna i Andena, a w bocznej kieszeni para czarnych męskich rękawiczek. Rohn skinął na nią, prosząc, by pierwsza poszła do łazienki. Miała już to zrobić, gdy drzwi garażu otworzyły się gwałtownie i do środka wpadło sześciu ludzi.

– Zadarliście z niewłaściwymi paczkowcami, keczki – oznajmił mężczyzna w filcowym kapeluszu, kroczący na czele grupy.

Wen krzyknęła, gdy strzelił Rohn Torowi w kolana.

# ROZDZIAŁ 60

## KONIEC UGODY

Shae nie spała przez całą noc. Zabrała telefon z kuchni, zaniosiła go do sypialni i podłączyła tuż obok łóżka. Następnie wsunęła się pod pościel i zamknęła oczy na kilka godzin, wiedząc, że wszystko wprawiono w ruch i nie mogła już zrobić nic poza czekaniem na wiadomości. Anden miał zadzwonić, gdy tylko zadanie zostanie wykonane, a Wen wróci bezpiecznie do Dauków i będzie miała dostęp do telefonu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wydarzy się to wczesnym wieczorem według czasu Port Massy, czyli tuż przed wschodem słońca w Janloonie. Postawiła na parapacie dwa budziki. Jeden pokazywał czas w Janloonie, a drugi w Port Massy. Przez całą noc towarzyszyło jej ich tykanie, złowieszcze niczym dźwięk zegara odmierzającego czas do wybuchu bomby ostatecznej zagłady.

Niebo zaczął rozświećlać niezdecydowany blask jutrzeńki. Zapaliły się światła w rezydencji. Zobaczyła w kuchni Kyanłę, która rozsunęła żaluzje w drzwiach na patio. Matka Shae wyszła z domku dla gości i zaczęła w ogrodzie swą powolną gimnastykę. Telefon przy łóżku Shae nie zadzwonił. Anden powinien już się odezwać. Coś było nie w porządku. Siedziała z plecami opartymi o wezglowie łóżka i kolanami podciągniętymi pod podbródek. Strach wypełniał jej klatkę piersiową, podchodząc do gardła i wnioskując w kończyny.

\* \* \*

– Nie dajcie mu zadzwonić – rozkazał Chudziak Reams, kierując broń w stronę przebywającego w gabinecie Andena.

Rohn Toro padł na ziemię, ale mimo bólu spróbował sięgnąć po torbę, w której miał rękawiczki z jadeitem. Reams podszedł bliżej i odkopnął ją



poza jego zasięg. Wen wyjęła z kieszeni pióro, ale nim zdążyła podać je Rohnowi, jeden z paczkowców złapał ją od tyłu i uniósł nad podłogę. Krzyzczała i próbowała się wyrwać, lecz bezskutecznie.

Anden wykręcił ostatnią cyfrę numeru Dauków i schował się za na wpół otwartymi drzwiami, schodząc z linii ognia. Wcisnął plecy w ścianę. Tarcza telefonu obróciła się z cichymi stukami. Na drugim końcu linii rozległ się sygnał, jeden, a potem drugi. Słuchawka drżała w jego rękach. Szybciej, szybciej! Ktoś odebrał połączenie, ale w tej samej chwili wyrwano telefon z rąk Andena i ciśnięto urządzenie na bok. Kabel wysunął się ze ściany. Anden rozpoznał rumianą, piegowatą twarz, nim Carson Sunter uderzył go w brzuch, a potem w twarz. Anden zdążył już zapomnieć, jak silny cios ma młody paczkowiec, ale teraz to sobie przypomniał. Poczłł smak krwi na języku i padł na cztery kończyny za biurkiem. Gorączkowo szukał czegoś, co mógłby wykorzystać jako broń. Sięgnął po srebrny otwieracz do listów leżący na biurku, ale kolba pistoletu z całej siły uderzyła w jego palce, łamiąc dwa. Anden zawył z bólu. Wylot lufy pistoletu przycisnął się do jego kości policzkowej.

– Nie mówiłem ci? – warknął Sunter. – Nie powiedziałem ci, że cię zabiję, skurwysyński półkeczku? Myślałeś, że o tym zapomnę?

– Sprawa była zamknięta. Zawarliśmy ugodę – wymamrotał Anden.

– Zawarliście ugodę z szefem Kromnerem, ale Kromner siedzi i już dla niego nie pracujemy. Teraz władzę ma Chudziak, a on uważa, że to keczki były od początku wszystkiemu winne.

Sunter złapał Andena za tył kołnierza i, nadal przyciskając mu pistolet do twarzy, poprowadził go z powrotem do garażu.

Serce chłopaka już przedtem tłukło potężnie, ale teraz nogi się pod nim ugięły. Rohn Toro leżał na betonie, wokół niego utworzyły się kałuże krwi wypływającej z ran postrzałowych. Pobito go i skopano. Oczy i wargi miał opuchnięte. Chudziak Reams i trzech jego ludzie stali w kręgu wokół niego.

– Demon, który potrafi zabić pięciu ludzi gołymi rękami szybciej, niż zwykły człowiek zdąży się odlać – mówił Willum Reams bliskim rozczarowania tonem. – Okazuje się, że jesteś tylko zwykłym facetem z krwi i kości.

Rohn kaszlnął i skrzywił się z bólu.

– Jak mnie znalazłeś, Chudziak? Kto zdradził?

– Gliniarze z hotelu, oczywiście – odpowiedział Reams. – Powiedzieli nam, za którym samochodem mamy jechać.

Jeden z jego ludzi prychnął pogardliwie.

– Keczki to amatorzy. Paczki trzymały w dłoni portmassańską policję, jak alfons dziewicę, nim jeszcze pierwszy z waszej rasy wylądował na naszym brzegu.

– Co mam zrobić z tym młodym, Chudziak? – zapytał Sunter.

– Posadź go obok dziewczyny – odparł Reams. – Zwiąż oboje.

Spojrzenie podbitych oczu Rohna skierowało się na moment na Andena. Widniało w nich coś przypominającego przeprosiny, lecz znacznie bliższe żalowi. Wen klęczała na podłodze przy ścianie. Jej twarz utraciła wszelką barwę i wyraz. Kolejny człowiek Reamsa celował w nią z pistoletu. Gdy Andena obalono na klęczki w odległości kilku metrów od niej, zerknęła na niego, a następnie na odkopniętą na bok torbę. Obok niej leżało pióro.

– Ręce do tyłu albo przetrzele ci kolana, jak twojemu kumpłowi – warknął Sunter.

Myśli Andena pulsowały w rytmie bólu w połamanych palcach. Nawet gdy wiązano mu ręce, starał się myśleć o tym, w jaki sposób odwrócić ich uwagę i zdobyć szansę przekazania Rohnowi rękawiczek albo pióra z ukrytym jadem, co mogłoby dać im szansę ocalenia.

– Czy się dodzwonił? – zapytał Reams swojego płaszcz. – Ktoś tu przyjedzie?

– Nie słyszałem, żeby z kimś rozmawiał, ale nie jestem pewien – przyznał Sunter.

– Chudziak – odezwał się leżący na podłodze Rohn. Jego głos był przepełniony bólem, ale brzmiał spokojnie, nawoływał do zachowania rozsądku. Być może słowa umożliwią mu wydostanie się z tej sytuacji, pozwolą dotrzeć do jadeitu albo przynajmniej przeciągną sprawę. – Znamy się od bardzo dawna. Dorastaliśmy w Południowej Pułapce, w praktyce na sąsiednich ulicach. Zdarzało się już, że staliśmy po przeciwnych stronach, ale zawsze jakoś sobie radziliśmy, mimo sporów między naszymi szefami.

– To prawda – zgodził się Reams. – Byliśmy dobrymi przodownikami.

– Nadal możemy jakoś się dogadać – kontynuował Rohn. Jego twarz zrobiła się biała jak kreda, a spodnie miał czerwone od krwi. – Kromner był chciwy, upaść się na swoich zyskach, ale ty zawsze byłeś praktycznym człowiekiem, Chudziak. Jesteś teraz szefem własnej paczki. Po co masz robić sobie wrogów zamiast przyjaciół?

Chudziak Reams zdjął filcowy kapelusz i zaczął obracać go w dłoniach.

– Masz sporo racji, Rohn. Wyjaśnię ci, w czym rzecz – zaczął poważnym tonem nauczyciela. – Chodzi o to, że nie lubię keczków. Wszystko szło dobrze, dopóki szefowi Kromnerowi nie przyszło do głowy, żeby zaangażować się w handel jadeitem. Nic mnie nie obchodzi, ile można zarobić na tych kamieniach. Są nienaturalne. Nie ma tu dla nich miejsca. I dla was też nie. Jestem tu nowym szefem i muszę jasno oznajmić, że w tej sprawie różnię się od Kromnera. Dlatego nie mam innego wyjścia.

Najwyższy i wyglądający na najsilniejszego z ludzi Reamsa wyjął białą plastikową torbę oraz dwa zwoje sznura. Rohn wiedział, co się teraz wydarzy. Szarpnął się w górę, odsuwając się od kata i próbując się zbliżyć do torby. Utrata krwi, kule w nogach oraz dwóch mężczyzn, którzy złapali go za ramiona – wszystko to nie pozwoliło mu dotrzeć zbyt daleko. Założyli mu torbę na głowę i zawiązali sznur.

Anden rzucił się do przodu z krzykiem desperacji, ale ręce miał związane za plecami i nie mógł nic zrobić. Sunter kopnął go z satysfakcją, obalił na podłogę i postawił stopę na jego plecach. Okulary spadły mu z oczu i uderzyły ze stukiem o podłogę. Drugi napastnik zdjął szmatę wiszącą na ścianie obok szafki ze środkami czyszczącymi i zatkał nią usta chłopaka, tłumiąc jego krzyki. Anden zakrzuszył się od smaku smaru i płynu czyszczącego, a gdy szmatę wciśnięto mocniej, poczuł ból w kącikach ust.

Rohn Toro walczył jak lew. Miotał się na betonowej powierzchni, wyginał ciało, starając się zmniejszyć nacisk na tchawicę, był jednak ranny i nie miał jadeitu. Po krótkiej chwili jego ruchy zaczęły słabnąć. Płaszcz Reamsa zaciskał garotę coraz silniej, ze spokojną obojętnością stroiciela fortepianów. Leżący na podłodze Anden widział, jak najpotężniejszy z zielonych kości w Port Massy, człowiek, który w pojedynkę poradził sobie z całym pomieszczeniem pełnym *barukanów*, słabnie z każdą chwilą, a jego nogi uderzają spazmatycznie o podłogę. Plastik przylegający do jego twarzy odcinał dopływ powietrza. Nagle pojawił się smród. W ostatnich sekundach życia Rohn Tora jego kiszki nie wytrzymały. Kat odsunął się od ciała. Plastik nad rozdziawionymi ustami ofiary przestał się poruszać.

Reams dotknął czubkiem palca środka czoła i uniósł go w geście Jedynej Prawdy.

– Niech Bóg podniesie jego duszę – mruknął.

Płaszcz posłusznie podążyły za jego przykładem.

Kat skierował się w stronę Wen i Andena.

– Czy musimy zabijać cipkę, szefie? – zapytał Sunter, spoglądając na Wen. – Jest ładna. Moglibyśmy po prostu...

Reams obrzucił go surowym, pełnym rozczarowania spojrzeniem. Sunter umilkł. Andenowi zamgliło się przed oczami. Przyszło mu na myśl, że jego serce się zatrzyma, nim paczkowcy zdążą go zabić. Wen odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy. Spróbował coś powiedzieć, ale knebel to uniemożliwił. Mógł tylko skierować na nią pełne paniki spojrzenie. Miał wrażenie, że próbowała się do niego uśmiechnąć, jakby w geście solidarności, przekazać mu, żeby miał odwagę, że przynajmniej stawią temu czoło razem.

Wen zwróciła się w stronę Reamsa i uniosła wzrok, by spojrzeć mu prosto w oczy.

– Wiesz, kim jestem? – zapytała, mówiąc po espeńsku z wyraźnym akcentem. Ręce miała związane z tyłu. Nie ulegało wątpliwości, że się boi, ale jej głos brzmiał szokująco spokojnie. – Znasz nazwisko Kaul? Albo Maik?

Reams popatrzył na nią obojętnie.

– Przykro mi, cipko. Nie obchodzi mnie, kim jesteś. Jeśli jesteś kimś ważnym wśród swoich, to tym lepiej posłuży moim celom.

Splunęła mu pod nogi.

– Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem – oznajmiła po kekońsku, prostując się.

Mężczyzna z garotą stanął za nią. Włożył jej na głowę plastikową torbę, otoczył szyję sznurem i zaczął go zaciskać. Wen nie próbowała się opierać. Przed chwilą widziała, jak Rohn Tora – mężczyznę znacznie silniejszego niż ona – pobito i zamordowano. Nie miała zamiaru znosić podobnej hańby. Nadal unosiła nieco wzrok i powtarzała to samo zdanie, aż wreszcie zabrakło jej powietrza i tylko jej usta się poruszały. *Klan jest moją krwią, a filar...*

Szarpnęła nagle nogami. Potem zeszytywniała, a jej ciało zrobiło się bezwładne.

Anden krzyczał bez końca przez zakneblowane usta. Ten dźwięk całkowicie wypełniał jego umysł, a kiedy założono mu torbę na głowę i zaciśnięto sznur na szyi, nie potrafił się zdobyć na spokój, jaki zademonstrowała Wene. Łkał z bezsilnej, gorącej, przepojonej żalem furii, przeklinał swych zabójców z każdą kroplą jadu, jaką potrafił wycisnąć ze swojej osobowości. Nie potrafił uwierzyć, że zginie marnie, z rąk takich szumowin,

całkowicie bezradny, i to w takim miejscu, na podłodze garażu w pierdolo-nej Espanii. Jego pole widzenia wypełniła czerwień, a potem biel.

\* \* \*

Shae otworzyła książkę adresową, sięgnęła po telefon i powiedziała telefonistce, że chce zamówić rozmowę międzypaństwową. Numer do mieszkania Andena nie odpowiadał. Wcześniej poradzono jej, żeby nie dzwoniła do domu Dauków, bo ten numer mogą nadal monitorować espeńskie władze, ale i tak to zrobiła. Tam również nikt nie odbierał. Na koniec spróbowała się połączyć z filią biura prognostyka, na wypadek gdyby Anden z jakiegoś powodu tam się udał, ale zgodnie z jej przewidywaniami okazało się, że o tej porze jest już zamknięte. Nacisnęła widełki, a potem je puściła i zadzwoniła do swej sekretarki, by jej powiedzieć, że nie przyjdzie dziś do pracy i kobieta ma odwołać wszystkie spotkania.

Pomyślała o małej salce modlitewnej w głównym budynku, ale nie śmiała oddalać się od telefonu. Włożyła do kubka trzy pałeczki kadzidła, ustawiła go przy oknie i uklękła. Cienkie smużki wonnego dymu z sandałowego drewna mieszały się ze sobą przy szybie. Trzy razy dotknęła głową podłogi i zaczęła szeptać:

– Yatto, Ojcie Wszechrzeczy, Jenshu, Stary Wujku, błagam, wysłuchajcie mnie. Mojego kuzyna. Emery Andena, przyjęto w skład naszej rodziny i wychowano jako mojego najmłodszego brata. Mógłby zostać potężną zieloną kością, ale odmawia noszenia jadeitu, ponieważ nie chce, by jego życie wypełniły zabijanie i szaleństwo. Moja bratowa, Kaul Maik Wen, jest kamiennooką, ale to nigdy jej przed niczym nie powstrzymywało. Zaryzykowała dla klanu życie i małżeństwo, a jest matką trójki małych dzieci, które jej potrzebują. Anden i Wen są zieloni w głębi duszy, a teraz przebywają w Espanii i grozi im niebezpieczeństwo. To ja ich tam wysłałam. Błagam, otoczcie ich opieką i pozwólcie im bezpiecznie wrócić do domu.

Cisza, która odpowiedziała na jej słowa, była tak głęboka, że panika wypełniająca Shae przerodziła się w gniew.

– Dlaczego zawsze jesteście tacy okrutni? – zapytała kobieta ostrym szeptem. – Co tydzień przychodzę do was na kolanach. Jeśli w ogóle istnie-ecie, pomóżcie nam. Nie jesteśmy rodziną, która zawsze przestrzega Boskich Cnót, ale któż może to o sobie powiedzieć? Któż miałby na to choć najmniejszą szansę, gdyby znalazł się w takiej sytuacji jak my? Błagam

was, nie karzcie Andena ani Wen za cokolwiek, co mój brat albo ja uczyniliśmy w przeszłości. – Czuła drżenie swych wspartych na udach dłoni. – Błagam was, na mój honor, moje życie i mój jadeit.

\* \* \*

W pierwszej chwili Anden nie usłyszał hałasów, a gdy już dotarły do jego uszu, nie zdawał sobie sprawy, że to wizg opon i trzaskanie drzwi samochodów. Dobrze jednak zrozumiał krzyk Suntera:

– Kurwa, są tu... – A potem rozkaz Reamsa: – Wychodzimy przodem.

Nacisk na szyję chłopaka osłabł nagle. Anden osunął się na podłogę, twarzą do dołu. Ból w gardle i piersi był tak straszliwy, jakby w jego płucach gorzał ogień.

Hałas nasilił się raptownie – strzały i krzyki, tupot nóg uciekających, kolejne strzały niosące się echem w ciasnej przestrzeni – nie miał pojęcia, z której strony dochodzą ani ile ich jest. Potem rozległ się łoskot, nieco dalej, u wejścia do sklepu. Nie widział nic poza cieniami i ruchem, ledwie dostrzegalnymi przez warstwę białego plastiku zasłaniającą mu twarz. Nadal nie mógł oddychać. Tracił przytomność, świadomość wypływała z niego niczym wrzący olej.

Ktoś złapał go i przetoczył brutalnie. Zerwano mu plastik z głowy i powietrze wypełniło jego nos oraz usta. Anden odetchnął gwałtownie i zamrugał. Stał nad nim Shun Todorho. Twarz miał poszarzałą i pełną przerażenia. Trzymał w ręce pistolet, ale odłożył go, by wyjąć Andenowi knebel. Chłopak zakasłał, a potem splunął. W kącikach ust czuł ból i swędzenie. Ktoś inny – Sammy – rozwiązał mu ręce. Potem pomogli mu usiąść, podtrzymując go. Do garażu weszły trzy kolejne zielone kości. Znał je z sali uraz.

– Rozmowę przerwano... myśleliśmy, że się spóźnimy – odezwał się Tod.

– Spóźniliśmy się – odparł Sammy, zwracając się ku Dauk Losunowi klęczącemu przy ciele Rohn Tora.

Filar Południowej Pułapki kołysał się przykucnięty. Po twarzy spływały mu strumienie łez.

Anden zerwał się raptownie, zachwiał się i powłókł ku leżącej nieruchomo na betonie Wen. Zerwał torbę z jej twarzy i przyłożył ucho do klatki piersiowej, modląc się, by usłyszeć bicie serca. W swoim czasie uczył się

podstaw udzielania pierwszej pomocy i teraz spróbował sobie przypomnieć, co należy zrobić, kiedy ktoś nie oddycha. Odchylił głowę Wen do tyłu, otworzył jej usta, dotknął ich własnymi i zrobił dwa silne wydechy. Potem zaczął uciskać klatkę piersiową. Ile czasu minęło? To nie mogło być więcej niż parę minut... być może... Ponownie wdmuchnął powietrze do jej ust.

– Proszę – błagał wszystkich bogów. – Proszę.

Ciało Wen nadal było bezwładne.

Sammy przykucnął i położył rękę na jego ramieniu.

– Odeszła, ziom – rzekł.

Anden znieruchomiał porażony desperackim objawieniem, po czym odwrócił się z szaleństwem w oczach i sięgnął po torbę podróżną, która nadal leżała otwarta na podłodze tuż poza zasięgiem Rohn Tora, przez cały czas, gdy potrzebował jej najbardziej. Anden złapał jego czarne, wysadzone jadeitami rękawiczki i popędził z powrotem do Wen. Włożył je, nim ktokolwiek zdążył go zapytać, co właściwie robi.

Z jego złamanych palców promieniował ostry, fizyczny ból, docierający aż do ramienia. Chłopak jęknął, złapał się za nadgarstek i zgiął się wpół, czekając niecierpliwie na nadejście silniejszego bólu. Minęło już bardzo wiele czasu, odkąd ostatnio nosił jadeit, i spodziewał się, że fala uderzy go z siłą młota kowalskiego. Przygotował się. Wyobraził sobie, że przykucnął i rozpostarł szeroko ręce niczym człowiek optymistycznie przekonany, że zdoła pochwycić ciśnięty w jego stronę gład. Wciągnął powietrze, a potem je wypuścił i po raz drugi w życiu jego zmysły oraz świadomość wypełnił wir energii. Jadeitu nie było tak wiele jak podczas ostatniej walki z Gont Aschem, lecz i tak wystarczająco dużo, by odnosił wrażenie, że jego czaszka rozpada się na kawałki. Odrzucił głowę do tyłu, otworzył szeroko usta i odetchnął głęboko. Nie cofnął się przed burzą, choć boleśnie zdawał sobie sprawę z upływu czasu. Każda sekunda poświęcona na dostrojenie się do przyływu jadeitowej energii była stratą, na którą nie mógł sobie pozwolić.

Miał tylko jedną szansę, tu i teraz.

Gwałtownym szarpnięciem siły woli uwolnił jadeitową moc. Zaniedbał umiejętności, ale ich nie utracił. Zapanował nad strumieniem energii i skupił go w jednym punkcie. Zamknął oczy, ale wyczuwał obecność otaczających go ludzi, oddychających, pulsujących, żywych istot. Ignorował wszystkich. Skupił się całkowicie na leżącej na podłodze postaci, ciele, które było żywe zaledwie przed kilkoma minutami. Widział, czym jest teraz

– organizmem jeszcze niedawno wypełnionym energią, która szybko z niego odpływała.

Zacisnął mocno pięści, wgniółł je w klatkę piersiową Wen i Przeniósł. Energia popłynęła do serca i płuc kobiety. Anden trzymał się jej ze wszystkich sił, jak ktoś, komu drżą ręce, mógłby ścisnąć w nich włócznię. Wyteżył swą jadeitową moc do granic możliwości i nacisnął.

Serce Wen zadrżało w jego uścisku. Targnął nim spazm i uderzyło jeden raz, a potem drugi i już się nie zatrzymało, tylko pompowało krew przez naczynia, aż wreszcie wypełniła narządy wewnętrzne i dotarła do mózgu. Całe ciało chłopaka drżało z potwornego wysiłku. Pot zalewał mu twarz, ale on nie przestawał naciskać. Płuca kobiety się skurczyły. Westchnęła spazmatycznie, wyginając ciało, i otworzyła szeroko oczy.

Anden wypuścił ją z uścisku, odwrócił się i zwymiotował. Ręce drżały mu zbyt mocno, by mógł zdjąć rękawiczki. Ściągnął je zębami i pozwolił, by upadły na podłogę. Wen gapiła się na niego z bezradną dezorientacją i bólem. Potem jej oczy wypełniły łzy.

Jadeitowa energia opuściła ciało chłopaka niczym ciężar ciągnący go ku środkowi Ziemi. Czuł się straszliwie zmęczony, wycieńczony i pusty, jakby biegł przez wiele dni albo czołgał się przez pustynię. Przytulił Wen i zaczął łąkać, a ona objęła go mocno. Kołysali się razem na podłodze garażu, tylko niejasno świadomi obecności Dauk Losuna oraz innych zielonych kości z Południowej Pułapki, które otoczyły ich kręgiem i gapiły się na nich bez słowa porażone zdumieniem.



# ROZDZIAŁ 61

## PRZEKRACZANIE GRANIC

Gdy tylko telefon w sypialni zadzwonił, Shae powlokła się do niego i podniosła słuchawkę. Kiedy usłyszała głos Andena, osłabiony przez wielką odległość, w pierwszej chwili oparła się o łóżko z nagłą ulgą, ale jego brzmienie było tak dziwne, że natychmiast znowu ogarnął ją niepokój.

– Shae-jen, przepraszam, że nie zadzwoniłem wcześniej – wydyszał chłopak. – Wszystko poszło zgodnie z planem, ale później wpadliśmy w pułapkę i... – Głos uwiązał mu w gardle. – Rohn Toro nie żyje.

– Ale tobie i Wen nic się nie stało? – zapytała Shae.

Nastała chwila przerwy. Jej kuzyn oddychał ciężko.

– Jeszcze nie jestem pewien – odparł tak cicho, że ledwie go usłyszała, mimo że mocno przyciskała słuchawkę do ucha. – Czy będziesz mogła oddzwonić, jeśli podam ci numer? Rozmawiam z płatnego telefonu w szpitalu i zaraz zabraknie mi monet.

Kiedy zadzwoniła do Andena, opowiedział jej, co się wydarzyło. Zaczynał się tak często, że łatwo było zauważyć, że nadal jest w szoku i trudno mu zapanować nad emocjami.

– Jak powiemy Hilowi?! – zawołał.

Odrzekła, żeby się tym nie przejmował, i poprosiła, żeby zadzwonił do niej za dwie godziny, by miała pewność, że wrócił bezpiecznie do domu.

Po zakończeniu rozmowy była wstrząśnięta. Potrzebowała kilku minut, by wziąć się w garść. Potem zamówiła kolejną rozmowę międzypaństwową, do prywatnego mieszkania Hami Tumashona. Złapała go, nim położył się spać, i powiedziała, by natychmiast pojechał do szpitala i zrobił, co tylko leży w jego możliwościach, by załatwić wszystkie potrzebne sprawy.

Ubrała się i ruszyła do głównego budynku. Kyanla siedziała przy stole w kuchni, próbując namówić Jayę do jedzenia owsianki. Dziewczynka wal-

nęła pięściami w krzeselko do karmienia i rzuciła łyżkę na podłogę.

– Gdzie jest Hilo? – zapytała Shae.

Gospośnia uniosła brwi, usłyszawszy jej ton.

– Chyba w sali treningowej. Czy wszystko jest w porządku, Shae-se? Nie pójdziesz dzisiaj do biura?

Shae zatrzymała się przed wejściem do sali treningowej i oparła czoło o drzwi. Bała się bardziej, niż kiedy była w chacie z Doru, bardziej nawet niż podczas walki z Ayt Madashi, gdy wiedziała, że w każdej chwili może zginąć. Postrzegła aurę brata i małą obecność bratanka. Zawahała się, nie chcąc zrobić następnego kroku, zepsuć tej chwili i zniszczyć wszystkiego.

Otworzyła drzwi. Hilo i Niko siedzieli na podłodze, grając w ślepego górnika. Shae natychmiast poznała tę grę. Znano ją we wszystkich rodzajach zielonych kości. Na podłodze leżał kawałek tkaniny pokrywający dwanaście kamieni. Tylko jeden z nich był prawdziwym jademitem. Niko dotykał szmatki i leżących pod nią twardych przedmiotów. Stuknął palcem w jeden i Hilo uniósł tkaninę.

– Znowu punkt dla ciebie – oznajmił z uśmiechem.

To była prosta, niezbyt mądra gra, ale wystawiała dzieci na działanie jadeitu i pomagała im dostroić się do jego fizycznych efektów. *Który z nich sprawia ci przyjemność, gdy go dotykasz? Przy którym czujesz ciepło i lekkie mrowienie?*

Niko uniósł ku niej wzrok.

– Chcesz zagrać, ciociu Shae? – zapytał.

– Nie, Niko-se, nie w tej chwili. Muszę porozmawiać z twoim wujkiem.

Hilo zebrał kamyki, w tym jeden jademitem, wsypał je do zawiązywanego sznurkiem woreczka i schował do szuflady.

– Idź się pobawić na dworze – polecił Nikowi. – Później pozwolę tobie i twojemu bratu oglądać telewizję.

Chłopiec wybiegł z Sali, a Hilo spojrział na swoją prognostyczkę.

– Jak się czuje Ru? – zapytała.

– Jeszcze śpi. Wróciliśmy do domu dopiero po północy. – Shae świetnie o tym wiedziała. Nie spała o tej porze i zobaczyła na podjeździe światła duchesseę. – Jest senny po znieczuleniu i boli go gardło, ale nic mu nie będzie.

Hilo sprawiał wrażenie, jakby chciał powiedzieć więcej, ale przymrużył powieki i obrócił lekko głowę. Wiedziała, że nie ma możliwości, by nie Postrzegł jej gwałtownie pobudzonej aury.

– Co się stało, Shae? – zapytał.

– Zapunyo nie żyje – odpowiedziała. – Po naszej wczorajszej rozmowie Wen zadzwoniła do mnie z Adamont Capita. Postanowiłyśmy wykonać plan, bo drugiej szansy mogło już nie być. Wen wniosła jadeit do pokoju. Na spółkę z Andenem i Rohn Torem zabili przemytnika i jego strażników, lecz potem wpadli w zasadzkę. Anden i Wen żyją, ale zabrano ich do szpitala.

Nie pamiętała później, jak wiele mu powiedziała, ani czy wyjaśniła wszystko spokojnie, czy jąkała się i zacinała. W jej pamięci zapisał się jedynie kontrast: twarz Hila utraciła nagle wyraz, jakby wszystkie jej mięśnie znieruchomiały, natomiast aura stawała się coraz gorętsza i bardziej intensywna, aż wreszcie zaczęła kipieć, wzbierać, pienieć się i buchać dymem, a na koniec stanęła w płomieniach, jakby wchłonęła w siebie fizyczną energię jej brata, zmieniła go w posąg w tej samej chwili, w której w jej Postrzeganiu stał się pożarem.

Nieoczekiwanie przypomniała sobie, że od lat doprowadzanie Hila do gniewu sprawiało jej okrutną, skrywaną przyjemność. Gdy byli dziećmi, potem nastolatkami, a nawet w wieku dorosłym, zawsze potrafiła go sprowokować i uśmiechała się w duchu, gdy robił z siebie widowisko. Teraz wstydziała się wszystkich tych chwil.

– Anden został ranny i jest w szoku, ale wróci do siebie – kontynuowała, jakby fakty mogły przyćmić rzeczywistość. – Jeśli chodzi o Wen, nie mają jeszcze pewności. Zależy, jak długo jej mózg był niedotleniony. Espeńscy lekarze robią jej badania. Kiedy wróci do Janloonu...

Hilo w mgnieniu oka podszedł do siostry i uderzył ją w twarz. Odruchowo osłoniła się Stalą, ale i tak jego Siła obaliła ją na kolana. Uniosła rękę do policzka, mrugając z bólu. W głowie jej dzwoniło, jak po uderzeniu w gong. Raczej Postrzegła niż zobaczyła, że Hilo zamierza znowu ją uderzyć. W jego oczach zapłonęła furia. Odruchowo rzuciła Odbijanie, po którym zatoczył się do tyłu.

Shae wstała. Nie sądziła, by była w stanie coś powiedzieć. Jej twarz wypełniał ból, nie mogła poruszać jej mięśniami. Podjęła jednak próbę.

– Hilo...

Brat rzucił się do ataku. Z jego ust wyrwał się nieartykułowany dźwięk. Zasypywał wściekłymi ciosami jej osłonięte Stalą ręce, wstrząsając całym jej ciałem. Ich jadeitowe aury zderzały się ze sobą, gwałtowne i wybuchowe, falowały i mocowały się niczym splątane, roziskrzane druty.

– Jak mogłaś? – Hilo mógł wyszeptać te słowa albo je wykrzyknąć. Nie była tego pewna. Czuła tylko siłę, z jaką ją uderzały, twardsze niż jego pięści. – Jak mogłaś?

Chwiała się na nogach od jego szalonych ciosów. W przypiływie desperacji wyprowadziła kopnięcie wymierzone w brzuch brata, a po nim rzuciła kolejne Odbijanie, ciskając Hila na szafki stojące w sali. Od siły zderzenia pękły zawiasy i wypaczyły się belki. Oszołomiony filar potrząsnął głową i w mgnieniu oka zerwał się na nogi. Shae nagle zaczęła się bać – nie Hila, ale tego, co mogło się wydarzyć. Być może jedno z nich będzie musiało pobić drugie do nieprzytomności, by wreszcie to zakończyć. Wtem jednak drzwi sali odsunęły się nieco ze zgrzytem i do środka zajrzeli Ru oraz Niko. Otworzyli szeroko oczy i rozdziawili usta ze zdumienia oraz dezorientacji.

– Tato? – odważył się zapytać Ru.

Hilo zwrócił się błyskawicznie w ich stronę. Twarz wykrzywił mu grymas gniewu.

– Idźcie stąd!

Chłopcy byli tak zdumieni niewytłumaczalnym gniewem ojca, że zamarli w bezruchu niczym króliki. Usta Ru zadrżały. Potem chłopiec odwrócił się i uciekł z płaczem w stronę rezydencji. Niko popędził w przeciwnym kierunku, do wnętrza sali. Podbiegł do Shae, objął ją mocno w talii i wtulił twarz w jej brzuch, jakby chciał się ukryć. Objęła go bez zastanowienia.

Coś w minie Hila zmieniło się nagle, rozsypało niczym wałca się wieża. Oklapł i osunął się na podłogę, wsparty plecami o uszkodzone szafki. Skrył twarz w dłoniach.

– Wracaj do domu z bratem – wyszeptała Shae do Nika. Jej głos był pełen napięcia, ale starała się nadać mu uspokajające brzmienie. Pogłaskała plecy chłopca. – Ćwiczmy z twoim wujkiem i nie można nam teraz przeszkadzać. Wujek się na ciebie nie gniewa, daję słowo. Niedługo wrócimy.

Ostrożnie cofnęła ręce. Niko spojrzał niepewnie na Hila. Miał ochotę do niego podbiec, ale Hilo, zawsze skory do uśmiechów i do siłowania się z nim, nie uniósł wzroku ani nie ruszył się z miejsca. Chłopiec wyszedł z niechęcią z sali. Shae cicho zamknęła za nim drzwi i odwróciła się powoli.

Hilo odsunął dłonie od twarzy i wlepił spojrzenie w siostrę. Ze zdumieniem ujrziała w jego oczach łzy.

– Pamiętasz, jak zapytałaś mnie, czy ci ufam?

– Odpowiedziałeś, że nie masz wyboru.

– Bo nie miałem – potwierdził. – Mimo że od początku wiedziałem, że nigdy nie chciałaś być w klanie, być jedną z Kaulów ani mieć mnie za brata. – Jego głos przybrał martwe brzmienie, stał się zimny i odległy. Shae widywała to już nieraz: eksplozja furii i urazy, a potem wycofanie się oraz odrzucenie. – Odejdź. Nie jesteś już moją prognostyczką, Shae. Jesteś wolna. Tego właśnie zawsze chciałaś.

Położyła dłoń na drzwiach sali treningowej. Przez mgnienie oka wyobrażała sobie, że mogłaby posłuchać brata. Otworzyć drzwi, wyjść z sali, wrócić do domu, zabrać trochę rzeczy, a potem ruszyć długim podjazdem, ku żelaznej bramie posiadłości, którą zbudował jej dziadek, i wyjść na zewnątrz, nie oglądając się za siebie. Kiedyś już coś takiego zrobiła, wiele lat temu, ale była wtedy inną osobą. Młodą kobietą, która nigdy nie mieszkała za granicą, nie złamano jej serca i nie przeżyła straszliwej straty ani nie sprawowała władzy nad klanem i całym krajem. Nie walczyła w pojedynku czystej klingi i nie była bliska śmierci, nie odebrała nikomu życia dla zemsty ani w akcie łaski, nie kołysała do snu w ramionach brataników ani bratanicy. Wtedy nie potrafiłaby nawet wyobrazić sobie takich rzeczy.

Zrobiła kilka kroków w stronę brata.

– Nie odejdę, Hilo. – Mówiła z wysiłkiem, ale w jej głosie pobrzmiwała pewność siebie. – Oddałam klanowi Bez Szczytów równie wiele jak ty. Pracowałam dla niego i poświęciłam wiele rzeczy, krwawiłam i zabijałam. Po wszystkim, przez co przeszliśmy, jak możesz wątpić, że zależy mi na nim tak samo jak tobie? Przeciwwstawiłam się twojej woli, ale nigdy nie szkodziłam klanowi.

– Mówisz jak Doru. – Hilo uśmiechnął się szyderczo, widząc, że jego słowa ją zraniły. Z cichym stuknięciem oparł głowę o szafkę. Nagle wydał się pokonany i pełen goryczy. Nigdy go takim nie widziała, nawet w najgorszych chwilach, gdy wydawało się, że wrogowie ich zniszczą. – Może nie wierzę w bogów, jak ty, ale wiem, że niektóre rzeczy nie bez powodu są takie, jakie są. Jesteśmy Kaulami. Urodziliśmy się dla tego życia, czy tego chcemy, czy nie. Klan może zażądać ode mnie wszystkiego, co ma. Mojego czasu, mojej krwi i potu, mojego życia i jadeitu. Ale nie dostanie mojej żony. Jest kamiennooką. Jedynym na świecie, czego jadeit nie może tknąć. Wiedziałaś, że to jedyna granica, której nigdy nie przekroczę.

Shae zerknęła w kierunku, w którym oddalił się Niko.

– Oboje przekraczaliśmy granice, których nigdy nie chcieliśmy przekroczyć. Podejmowaliśmy decyzje, z którymi już zawsze będziemy musieli żyć. – Dotknęła ostrożnie swej twarzy. Żuchwę nadal miała obolałą i mówienie sprawiało jej trudności. Podeszła do Hila i zerknęła na niego z góry. – Nigdy nie zachęcałam Wen ani jej do niczego nie zmuszałam. Przyszła do mnie już przed laty, Hilo. Ty chciałeś wyłączyć ją ze spraw klanu, ale ona pragnęła w nich uczestniczyć. Wiedziała, że tego nie zaakceptujesz, ale w głębi serca jest zbyt zielona i była gotowa zaryzykować nawet twoją miłość. Bez niej nie udałooby się nam załatwić sprzedaży klejnotów Espeńczykom podczas wojny z Górą, kiedy najbardziej jej potrzebowaliśmy, nie zdobylibyśmy cennych informacji od agentek, którymi kierowała, ani nie dostarczylibyśmy jadeitu zielonym kościom w Espenii, co pozwoliło nam znaleźć sojuszników. Nie mielibyśmy też szans dotrzeć do Zapunya i go zabić.

Usiadła na podłodze obok brata i oparła się posiniaczonymi plecami o roztrzaskaną szafkę.

– Możesz mnie nienawidzić, jeśli chcesz, ale potrzebujesz mnie, Hilo. Potrzebujesz też Wen i Andena. Sam to powiedziałeś przed laty: mamy siebie nawzajem i być może to jedyne, czego nie mają nasi wrogowie. – Aureę Hila przebiegł mroczny impuls, przypominający gniewne westchnienie, ale filar nie poruszył się ani nie uchylił powiek. Shae oklapła i również zamknęła oczy. – Klan jest moją krwią, a filar jest jego panem – wyszeptowała. – Żałuję w życiu bardzo wielu rzeczy, ale ta przysięga się do nich nie zalicza.

# ROZDZIAŁ 62

## NADAL TRWA WOJNA

Shae siedziała w Świątyni Boskiego Powrotu już dość długi czas, nim Postrzegła nieoczekiwaną obecność Ayt Madashi. Gęsta, płynna jadeitowa aura starszej kobiety rozproszyła mgłę jej myśli. Gdy się zbliżała, na zamknięte powieki prognostyczki padał coraz gorętszy żar. Ayt uklękła na zielonej poduszce obok niej.

– Mówiono mi, że przychodzisz tu co tydzień o tej samej porze – odezwała się swobodnym tonem. – To nierozsądne z punktu widzenia bezpieczeństwa.

Poczucie dziwnie intensywnego *déjà vu* unieruchomiło Shae na krótką chwilę. Wyobraziła sobie, że sięga umysłem w przeszłość i spogląda na siebie sprzed prawie pięciu lat, gdy spotkała Ayt Madę w tym samym miejscu, nie wiedząc, czy ona i jej klan przetrwają ówczesną konfrontację. Tym razem się nie bała, choć poczuła mrowienie w bliźnie na brzuchu. Otworzyła oczy i mimo woli zerknęła na gołe przedramiona Ayt. W otaczających je srebrnych bransoletach było teraz więcej jadeitów. Część z nich tworzyła niegdyś dwuwarstwowy naszyjnik Shae.

Ze spokojem spojrzała w oczy Ayt.

– Nieraz już miałaś okazję mnie zabić.

– To prawda. Kiedy ta chwila nadejdzie, obie będziemy o tym wiedziały.

Jej bliskość jak zwykle wywierała przytłaczające wrażenie, ale wokół oczu starszej kobiety pojawiły się nowe bruzdy. W ostatnich latach podczas wszystkich publicznych wystąpień, a także wtedy, gdy pokazywała się w telewizji, zawsze nosiła makijaż. Shae nagle zdała sobie sprawę z własnego wyglądu. Nadal miała na twarzy siniaki po uderzeniach Hila.

Skierowała spojrzenie przed siebie, na mural przedstawiający Wygnanie i Powrót, a także na krąg medytujących pokutników.

– Nie kłaniasz się w świątyni – zauważyła. – Czy kiedykolwiek przychodzisz tu błagać bogów o przebaczenie? Czy w ogóle w nich wierzysz, Ayt-jen?

– Wierzę – zapewniła Ayt. – Ale nie czuję potrzeby, by się przed nimi tłumaczyć. Kiedy miałam osiem lat, zniszczyli moje miasteczko, zabili moją rodzinę i wszystkich, którzy byli mi bliscy. W sierocińcu powiedziano mi, że to nie bogowie spowodowali osunięcie się ziemi, tylko Szotarzczycy i ich bomby. To dowodzi, że nie bogowie decydują o kolejach losu, lecz ludzie. Potężni ludzie. – Popatrzyła obojętnie na pokutników, którzy ponoć przekazywali wszystkie ich słowa do uszu bogów w niebie. – Nigdy nikogo nie zabiłam ani nie kazałam zabić z gniewu albo z żądzy osobistej zemsty. Odbierałam ludziom życie tylko z konieczności, dla dobra klanu i kraju. Czy możesz powiedzieć to samo o sobie i swojej rodzinie, Kaul Shae-jen?

Shae zadała sobie pytanie, czy Ayt nienawidzi jej z jakiegoś powodu, czy oprócz prostego pragnienia, by jej klan pokonał klan Bez Szczytów, nie chciałyby też ukarać jej osobiście. Kiedy poprzednim razem spotkały się w tej świątyni, Shae odrzuciła jej propozycję bratobójstwa i wspólnego władania zjednoczonym klanem, wołając walczyć z nią na każdym kroku. Potem oferowała Ayt czystą klingę i w zasadzie powinna już nie żyć. A mimo to była tutaj.

– Gratuluję zabójstwa Zapunya – kontynuowała Ayt, nie licząc na to, że Shae odpowie na jej retoryczne pytanie. – Być może kierowała tobą żądza zemsty, ale wszyscy skorzystaliśmy na jego śmierci. Zapunyo był plagą dla całego świata. Niewyszkolony cudzoziemiec, Uwiwanin, sprzedawał nasz jadeit innym zagranicznym kryminalistom. Jako Kekonki i zielone kości możemy się zgodzić, że musiał umrzeć. Jego synowie również nie żyją. Iyilo i jego *barukani* zadbali o to tej samej nocy.

Spokój, z jakim to powiedziała, sprawił, że klocki w umyśle Shae ułożyły się nagle w całość.

– Współpracowałeś z nimi od samego początku.

– Twój brat chciał zniszczyć działalność prowadzoną przez Zapunya – odpowiedziała Ayt. – Ja pragnęłam ją przejąć. Obie doszłyśmy do takiego samego wniosku, Kaul-jen. Jeśli mamy nadzieję rozszerzyć swe wpływy poza naszą wyspę, potrzebujemy zagranicznych sojuszników. Sojuszników mających jadeit. Iyilo jest przywódcą *barukanów* na Uwiwach i ma wpływowych przyjaciół w Szotarze, a teraz kontroluje posiadłość Zapunya i jego znaczne zasoby.



– To znaczy, że ty je kontrolujesz – poprawiła ją Shae. – Co dałaś półkościom, żeby zapewnić sobie ich wierność? – Wydała z siebie dźwięk sugerujący zrozumienie, nim Ayt zdążyła jej odpowiedzieć. – Oczywiście. Uchwalenie Ustawy o Uchodźcach z Konfliktu Oortokańskiego. Wyszepałaś imię kanclerza Sona, by się upewnić, że głosowanie w Radzie Książęcej przebiegnie po twojej myśli.

– Uważamy ich za drobnych gangsterów, ale *barukani* są takimi samymi ludźmi jak my wszyscy. Pragną wydostać swoje rodziny z rozdartego wojną Oortoko. – Ayt strzepnęła nitkę z gładkich, czarnych spodni. – Rada zgodziła się pozwolić siedmiu tysiącom Szotarczyków o kekońskim pochodzeniu na imigrację do naszego kraju. Przeciwnicy ustawy twierdzili, że zagrożą oni naszemu bezpieczeństwu i staną się obciążeniem dla gospodarki. Na szczęście zielone kości przyszły z pomocą Kekonowi, tak samo jak w przeszłości.

Uśmiech Ayt był zimny i pełen zadowolenia. Wyglądała jak wąż, któremu udało się połknąć wielką ofiarę.

– Prawnicy w moim biurze prognostyka przygotowują się na skutki tej ważnej ustawy. Klan Góra będzie rozpatrywał podania uchodźców i sponzorował ich, pomagał im znaleźć nowe domy, pracę zapewniającą utrzymanie oraz miejsce w naszym społeczeństwie. Dzięki nam zostawią za sobą swe cudzoziemskie zwyczaje, nauczą się naszych i zintegrują się w kekońskim społeczeństwie. A to oznacza, że zaakceptują autorytet klanu.

Shae pokiwała głową. Niemal siedem tysięcy nowych zaprzysiężonych członków Góry, wybranych i zaakceptowanych przez Ayt oraz jej ludzi. Nowe barukańskie palce, które już nosiły jadesit i miały romantyczną wizję stylu życia zielonych kości, a także silne powiązania z czarnym rynkiem jadesitu oraz innych rodzajami przestępczej działalności w Szotarze, na Uwiwach, w Ygutanie oraz w reszcie regionu. Góra wiele osiągnęła. Podczas gdy klan Bez Szczytów rozbudowywał międzynarodową działalność i wzmacniał więzy łączące go z espeńskim rządem oraz zielonymi kośćmi z Port Massy, Ayt zdobywała wpływy bliżej domu.

– Zawsze potrafiłaś tworzyć wielkie wizje strategiczne, Ayt–jen, ale czy naprawdę wierzysz, że potrafisz zapanować nad *barukanami*, których sprowadzasz do kraju? – odezwała się Shae, nie próbując ukrywać niechętnego podziwu słyszalnego w jej głosie. – Mogą nosić jadesit, ale nie są zielonymi kośćmi. Nie uczęszczali do Szkoły Wie Lona albo Akademii, nie uczyli ich *aisho*. Miejscowi przestępcy, z których usług korzystałaś przed laty, ci,

których wykorzystywałeś jako informatorów na terytorium klanu Bez Szczytów, by potem zostawić ich własnemu losowi, stali się źródłem społecznej zgnilizny i to właśnie *barukani* wykorzystali ich, by kradli jadeit z naszych brzegów.

Shae nasunęła się myśl, że łączy ją z Ayt Madą coś jeszcze – arogancja pozwalająca uzasadnić nawet najgorsze pomysły i zdecydować się pod wpływem pychy na taki czy inny kurs, bez świadomości zagrażającej katastrofy.

– Pozujesz na patriotkę, obrończynię Kekonu i naszego sposobu życia, ale jesteś gotowa sprzedać to wszystko dla własnych korzyści, sprzymierzyć się z każdym, kto pozwoli ci zbliżyć się do ostatecznego celu. Nawet jeśli uda ci się go osiągnąć i Góra będzie władała całym Kekonem, nie poznamy już własnej wyspy. Jeśli zrealizujesz swoje zamiary, bycie zieloną kością nie będzie już nic znaczyło.

Ayt zastanowiła się nad jej słowami.

– Będzie znaczyło coś innego, jeszcze potężniejszego niż przedtem. Zmiany są nieuniknione, Kaul-jen. Jedyne pytanie brzmi: „Czy będziemy kontrolować ich kierunek, czy damy się ponieść niepowstrzymanej fali?”. Zawsze znajdą się ludzie, którzy stawiają opór, spróbują pociągnąć nas w tył. Tacy jak Ven Sandolan, który wierzył, że pochodzenie i bogactwo czynią go nietykalnym. – Z gęstej jadeitowej aury Ayt płynął żar płonących od dawna węgielków. – A teraz Ven i jego następcy nie żyją, a Gwiazda Kekonu przeszła w ręce ygutańskiego konglomeratu, który zapewnił, że kekońska firma nadal będzie działała niezależnie. Wszyscy mamy uprzedzenia wobec cudzoziemców, ale świat otwiera się coraz bardziej i wolę zagranicznych sojuszników od zielonych kości, które uparcie stoją mi na drodze.

– Przyszłaś do świątyni tylko po to, żeby się przechwalać, Ayt-jen? – zapytała Shae.

Po raz pierwszy podczas ich rozmowy filar Góry okazała irytację.

– Chcę jasno oznajmić, że nawet po tych wszystkich latach klan Bez Szczytów nadal pozostaje w słabszej pozycji. Rozbudowaliście swoje interesy i zdobyliście sojuszników. Ale Góra znowu ma więcej ludzi i zasobów. Oba nasze klany rozszerzyły swoją działalność poza granice Kekonu, mamy międzynarodowe sieci i udziałowców. Sytuacja się zmieniła. Nie jest już tak, jak pięć lat temu, gdy jeden z klanów mógł wygrać wojnę na ulicach i podporządkować sobie drugi przemocą.

Shae milczała. Wiedziała, że Ayt ma rację.

– Z pewnością wiesz już, że podpisano zawieszenie broni w Oortoko. Zachodnia część prowincji pozostanie pod władzą Szotaru, a niezależnemu państwu na wschodzie zapewni „ochronę” Ygutan. Konflikt trwał prawie cztery lata i bogowie wiedzą, ile pieniędzy oraz strat w ludziach kosztował obie strony, a ostateczne rozstrzygnięcie każdy mógł przewidzieć. Zawsze tak jest, gdy zderzają się ze sobą równie zdeterminowane potęgi. – Ayt przesunęła się na poduszce, by patrzeć Shae prosto w oczy.

Prognostyczka po raz pierwszy zobaczyła z bliska jej lewe ucho. Jego górna trzecia część była ucięta. Tego typu okaleczenie mogło symbolizować pokutę bądź być raną odniesioną w walce. Tak czy inaczej, Ayt nie okazywała wstydu i nawet nie próbowała ukrywać rany.

– Siedziałyśmy przed kamerami w hotelu Generalska Gwiazda, wiedząc, że pokój, którego zawarcie właśnie ogłosiliśmy, był tylko tymczasowym rozwiązaniem, płynącym z konieczności – kontynuowała filar Góry. – Zagraniczna wojna przez pośrednika się skończyła, ale konieczność nie zniknęła. Militarne napięcia między Espenią a Ygutaniem nie osłabły. Wojna oortokańska mogła być niefortunnym wydarzeniem dla świata, ale pomogła gospodarce Kekonu i zwiększyła nasze międzynarodowe znaczenie. Cudzoziemcy nadal pożądamy naszego jadeitu, lecz teraz interesują ich także nasze towary, pieniądze i wpływy. Niech ta chwila da początek prawdziwemu porozumieniu między nami, Kaul Shae-jen. Naszemu prywatnemu zawieszeniu broni. Obie próbowałyśmy zakończyć konflikt potajemnie, manipulując agentami. Bez powodzenia, co jest najlepszym dowodem na to, że w sprawach zielonych kości nie można ufać obcym. Wyszepiałam imię Kaul Hila już tyle razy, że przeszło mi to w nawyk i czuję się tym zmęczona. W Oortoko światowe mocarstwa uświadomiły sobie, że muszą się powstrzymać, żeby nie wciągnąć całego świata w nową wojnę wielu narodów. Twój brat może nie być w stanie myśleć na tak szeroką skalę, ale ty z pewnością to potrafisz. Przemów mu do rozsądku, nawet jeśli ma go niewiele. W waszej rodzinie są teraz małe dzieci i chyba nie chcielibyście, żeby straciły kolejnych ojców albo wujków. – Głos Ayt nabrał cichego, groźnego brzmienia. – Jeśli znowu wystąpisz przeciwko mnie albo po prostu nie zdołasz pohamować mściwej natury Kaul Hila, pamiętaj, że Ven Sando był patriarchą starej i potężnej rodziny zielonych kości, która powinna była świetnie prosperować jeszcze przez wiele lat, ale z powodu zdrady stracił wszystko: swe biznesowe osiągnięcia, życie bliskich, istnienie i schedę nazwiska oraz rodu. To samo może spotkać każdego.

Tak, pomyślała Shae. Nawet ciebie.

Ayt nie osiągnęła triumfu bez strat. Prześladowały ją konflikty wewnątrz Góry, na każdym kroku podsycane przez klan Bez Szczytów. Sprzedała cudzoziemcom największą firmę należącą do jej klanu, zawarła sojusz z kryminalistami, jakimi byli *barukani*, pogwałciła *aisho*, mordując kancle-rza Sona i po raz kolejny splamiła swe ręce krwią własnych zielonych kości. Była zmuszona uznać prawa niesprawdzonego dwunastoletniego chłopca i dopuścić rodzinę Kobenów, która nigdy dotąd niczym się nie wyróżniła, do udziału we władzy, choć do tej chwili nie zamierzała dzielić się nią z nikim. Shae podejrzewała, że mimo samozadowolenia, jakie wykazywała z powodu odzyskania przewagi nad klanem Bez Szczytów, nie chciała żadnej z tych rzeczy.

Na moment poczuła osobliwą empatię wobec swej największej rywalki. Ayt miała rację. Nikt nie był nietykalny. Czuła aurę starszej od siebie kobiety, naciskającą na nią niczym rozszerzająca się, twarda powierzchnia. Przypomniała sobie krytyczną chwilę podczas ich pojedynku, gdy ich energie się zwały i żadna z nich nie była w stanie zyskać przewagi nad drugą. Gdy na moment udało się jej uzyskać równowagę w starciu z przeciwniczką, wypełniło ją uniesienie. A teraz zrobiła to znowu. Ayt nie groziłaby jej, gdyby pomimo swych znaczących sukcesów nie budził jej strachu fakt, że rodzina Kaulów nadal żyje. Mogła być zraniona, ale żyła i rosła, ze swymi sojusznikami, zasobami i niepowstrzymaną żądzą zemsty. Podobnie jak podział na wschodnie i zachodnie Oortoko nie przestanie się jątrzyć niczym zakażona rana, długa historia przemocy między klanem Bez Szczytów a Górą oznaczała, że prędzej czy później któryś z klanów musi zatriumfować – czy to przez nieodwołalny wyrok klingi, czy w jakiś inny sposób.

Zgięła się w pół i dotknęła czołem posadzki przed poduszką.

– Yatto, Ojcie Wszechrzeczy, błagam, obdarz uznaniem wszystkie zielone kości, które były przed nami, zwłaszcza mojego dziadka Kaul Seningtuna i jego towarzysza Ayt Yugontina, którzy walczyli za Kekon, starając się jednocześnie dochować wierności *aisho* i Boskim Cnotom.

Wyprostowała się.

– Wszystko, co powiedziałaś, jest prawdą – rzekła swej nieprzyjaciółce.  
– Stawki są teraz wyższe i w interesie wszystkich leży, by pokój między naszymi klanami się utrzymał. Ale to nigdy nie będzie prawdziwy pokój. Ty nie przestaniesz bezlitośnie zmierzać ku swoim celom, a my ku swoim. Nadal prowadzimy wojnę, po prostu w inny sposób. Niech ci się nie zdaje,

że jest inaczej. – Wstała i poczuła, że sztywność w jej plecach ustąpiła. –  
Muszę odebrać bratanków z lekcji pływania. Wybacz, Ayt-jen, rodzina  
mnie potrzebuje.

# ROZDZIAŁ 63

## NARESZCIE W DOMU

Gdy Anden wylądował na Międzynarodowym Lotnisku Janloońskim, czekał na niego samochód z kierowcą. Kiedy minęli Most za Miasto i włączyli się do porannego ruchu, wbił wzrok w panoramę metropolii, którą opuścił trzy i pół roku temu. Widok wydawał się bardzo znajomy, lecz jednocześnie się zmienił. Z budynkami stojącymi tu od niepamiętnych czasów mieszały się nowe, których nie poznawał. Nad brzegiem morza przypominające pomarańczowe bociany dźwigi wyciągały ramiona ku Portowi Letniemu. Opuścił szybę i wciągnął w płuca żar oraz woń Janloonu, pozwalając, by zalała go miejska muzyka klaksonów oraz krzyczących po kekońsku głosów. Samochód mijał gęstą zabudowę Pralni i Miasta Rybaków, eleganckie budynki mieszkalne oraz drogie sklepy Północnego Sotto, miejskie parki i modne restauracje między Zieloną Równiną a Yoyoyi oraz wypielegnowane fasady rezydencji na Wzgórzu Pałacowym. Widział drzewa połamane przez niedawny tajfun, kioski z gazetami oznajmiającymi koniec wojny oortokańskiej, czerwone lampy oraz wstęgi z trawy na okapach i słupach ogłoszeniowych, zwiastujące nadejście Święta Jesieni. W oknach sklepów wisiały latarnie – zielone albo białe, zależnie od dzielnicy.

W piersi Andena wezbrał głęboki, bezimienny ból. Janloon był upalny i niebezpieczny, pulsował życiem i gorącokrwistym ruchem, był świadomy swej niezwykłości i wiedział, że na całym świecie nie ma drugiego takiego miasta. Inne miasta oszukiwały, ludzie ukrywali w nich jadeit, płacili sobie pod stołem i zabijali pod osłoną ciemności. Janloon nie skrywał swej brutalności, był dumną pięścią wśród narodów świata, nie udawał kogoś, kim w rzeczywistości nie był. Stolica Kekonu była szczerą.

Po przybyciu do domu Kaulów Anden wyjął walizkę z bagażnika, uważając, by nie urazić zranionych palców. Na podjeździe spotkał dwóch mężczyzn wychodzących z rezydencji, być może po rozmowie z filarem. Anden

od bardzo dawna nie widział otwarcie noszonego jadeitu i zieleni na ich nadgarstkach oraz szyjach przyciągnęła jego spojrzenie, nim rozpoznał ich twarze. Juen Nu i Lott Jin zatrzymali się na jego widok.

– Witaj w domu, Emery Anden – rzekł po chwili Lott.

Wyglądał teraz dorośle, miał na sobie koszulę z kołnierzykiem i szarą marynarkę, u pasa nosił karambit, a faliste włosy ostrzygł krótko, by odsłonić jadeit wszczepiony w szczyty uszu. Nie uśmiechał się, ale jego usta w kształcie łuku utraciły nieodłączny kiedyś wyraz nastoletniego naburmszenia. Mówił wolniej i poważniejszym tonem, jak przystało pięści klanu Bez Szczytów.

– Witajcie, Juen-jen i Lott-jen.

Anden dotknął czoła i pochylił się, oddając im honory. Potem wziął walizkę i ruszył do domu.

Podobnie jak miasto rezydencja Kaulów oszołomiła Andena. Wiele jej części wyglądało tak samo jak poprzednio, ale dostrzegał też znaki, że wszystko się zmieniło. Pojawiły się nowe meble, a stare przestawiono w inne miejsca. Zajrzał do gabinetu i nie poznał pomieszczenia, które kiedyś zajmował Lan. Biurko było zagracone, zwiększono liczbę krzeseł, na ścianie wisiły zdjęcia rodziny. Telewizor był włączony, ale bez dźwięku. Najmocniej uderzyły go znaki świadczące, że w domu są teraz małe dzieci – kojec w jednym kącie, częściowo rozłożona kolejka na podłodze, stosik książeczek na stoliku, para bucików przy drzwiach. Anden stał przez długą chwilę w holu, nie mogąc się ruszyć. Wreszcie Kyanla wypadła z kuchni i podbiegła do niego z radosnym krzykiem.

– Anden-se, wreszcie wróciłeś!

Postarzała się wyraźnie. Jej włosy posiwiały, a twarz pokryły zmarszczki.

Anden wyszedł na zewnątrz i przekonał się, że filar siedzi na dziedzińcu. Z palców jego dłoni zwisał papieros, wyglądało jednak na to, że go nie pali. Zmęczone spojrzenie kierował w dal, a oczy miał podkrążone. Anden podszedł do kuzyna i zatrzymał się obok niego, ale nie usiadł za stolikiem na patio. Hilo spojrzał nań, jakby dopiero w tej chwili go zauważył, mimo że z pewnością Postrzegł go już przed kilkoma minutami. Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Przyglądali się sobie w milczeniu.

– Jak się czuje Wen? – zapytał wreszcie chłopak.

Hilo zgasił papierosa, którym nie zdążył się nawet zaciągnąć.

– Wraca do zdrowia w Marenii. Doktor Truw mówi, że to potrwa długo, z powodu uszkodzenia mózgu. Ma częściowo sparaliżowaną prawą połowę ciała. Rozumie, co do niej mówią, ale ma trudności z formowaniem słów. –

Głos Hila brzmiał rzeczowo i obojętnie, a jego zapadnięte oczy kierowały się w inną stronę. – Przynajmniej żyje – dodał nieco ciszej. – Mogło być gorzej.

Przysłano ją do domu samolotem z Port Massy, gdy tylko jej stan na to pozwolił. Hami Tumashon, działający na polecenie Shae, szybko i dyskretnie zawarł kilka kosztownych umów w imieniu biura prognostyka. Obsługa hotelu jakimś dziwnym trafem nie przypominała sobie, by widziała, że ktokolwiek wchodził do pokoju Zapunya. Raport policji stwierdzał, że przemytnika zabili jego własni ochroniarze, gdy doszło do strzelaniny, podczas której zginęli wszyscy obecni w pokoju. Kilku członków kekońskiej społeczności zeznało, że Wen była kuzynką Andena z Janloonu i nową dziewczyną Rohn Tora. Dlatego wszyscy troje byli razem, gdy ludzie odtwarzającego paczkę z Południowego Brzegu Willuma Reamsa dokonali brutalnego odwetowego ataku na Rohna. Wen, która nie była w stanie odpowiadać na pytania miejscowych władz, przed upływem czterdziestu ośmiu godzin odesłano do Janloonu z powodów medycznych. Minęło jeszcze półtora tygodnia, nim Hami i klanowi prawnicy zdołali uwolnić od zarzutów Andena. To wystarczyło, by wrócił do zdrowia w domu Dauków, otoczony opieką Sany. Wycieńczony i wstrząśnięty, spał całymi dniami. Leżał pod kocami i karmiono go rosółem jak ciężko chorego, ale nie czuł się aż tak źle, jak poprzednim razem, gdy nadużył mocy jadeitu.

Na pogrzebie Rohn Tora złożył jego czarne rękawiczki i umieścił je w trumnie. Żałował, że owego straszliwego dnia nie zdołał uratować również jego. Podjął próbę, ale tchawicę rogu zmiażdżono, gdy opierał się gwałtownie, i minęło zbyt wiele czasu. Kiedy Anden zdołał się do niego doczołgać, energia życiowa odpłynęła już z ciała Tora. Zastanawiał się, czy Daukowie winią go za to niepowodzenie, ale gdy spróbował przeprosić, filar Południowej Pułapki tylko pokręcił głową i położył ciężką dłoń na jego ramieniu.

– Człowiekowi tak zielonemu jak Rohn Toro nie była pisana pokojowa śmierć – stwierdził ze smutkiem. – Niech bogowie obdarzą go uznaniem.

Anden zawsze uważał Rohn Tora za najbardziej kekońskiego ze wszystkich ludzi, których poznał w Południowej Pułapce. Mimo to był on też częścią Port Massy, w takim samym stopniu, jak Most Żelaznego Oka. Bez



niego Espenia znowu wydała się Andenowi obcym krajem, z którym rozstał się bez żalu. Choć Daukowie byli przytłoczeni żałobą, przyszli na lotnisko, by się z nim pożegnać, tak samo jak państwo Hian.

Cory'ego tam nie było. Przyjechał do miasta na pogrzeb Rohna, ale już następnego dnia wrócił do Adamont Capita. Choć okazja była tragiczna, Anden ucieszył się, że może znowu się z nim zobaczyć. I przeprosić go.

– Kiedy mówiłeś, że jesteś zajęty sprawami klanu, nie wspomniałeś, że możesz z ich powodu zginąć. – Cory wyglądał wyjątkowo poważnie w czarnym garniturze z krawatem. Wlepił spojrzenie w trumnę Rohna, ale po chwili potarł twarz i odwrócił się powoli w stronę Andena. – Mój tata zawsze mówi, że jesteś zielony w głębi duszy, jakby to było coś dobrego. To nie jest dobre, ziom.

– Dostałeś mój list? – zapytał Anden, zmuszając się do oderwania spojrzenia od pożółkłej trawy u jego stóp. – Wszystko, co w nim napisałem, było szczere.

Wyraz twarzy Cory'ego nie był ciepły, lecz wystarczająco łagodny, by Andena zabolalo serce.

– Nie wybaczyłem tobie ani tacie – oznajmił Keko-Espeńczyk. – Ale cieszę się, że nic ci się nie stało. I z tego, że wreszcie możesz wrócić do domu. Wiem, że tego pragnąłeś.

Anden nie był pewien, czy to nadal jest prawda. Teraz, gdy znalazł się na dziedzińcu posiadłości Kaula, żałował, że nie ma choć tyle jadeitu, by móc Postrzec aurę kuzyna. Z twarzy Hila nie sposób było nic wyczytać.

– Wybacz, Hilo-jen – rzekł. – Nie powinienem był się zgodzić na akcję z udziałem Wen.

Hilo nie odpowiadał przez tak długą chwilę, że chłopak nie był pewien, czy w ogóle go usłyszał.

– Sama podjęła tę decyzję – odezwał się wreszcie. – Wiem, że potrafi być bardzo przekonująca, gdy czegoś naprawdę pragnie. Tylko dzięki tobie moje dzieci nie straciły matki. – Twarz filaru przybrała zraniony, zdeorientowany wyraz. – Od lat sprzeciwiała się mi, działając za moimi plecami – kontynuował ochryplym, bliskim szeptu głosem. – Jak mogę jej wybaczyć?

Anden spuścił wzrok i wpatrzył się w kamienną nawierzchnię.

– Nie chodziło nam o ciebie, Hilo-jen. Ani mnie, ani Wen. Wiem, jak się czuje ktoś, kto nie jest taki, jakim chce go widzieć rodzina. I jak trudno jest komuś takiemu pozostać sobą. – Odkaszlnął, bo jego głos nabierał ochry-

łego brzmienia. – Nie potrzebujemy twojego wybaczenia. Tylko zrozumienia.

Na dziedzińcu zapadła cisza, maćona tylko przez ciepły wiatr, poruszający liśćmi drzewa wiśni i pokrywający zmarszczkami tafle stawu.

– Musisz znowu wprowadzić się do domu, Andy – rzekł cicho Hilo. – Brakowało mi ciebie.

Anden od lat czekał, aż usłyszy te słowa z ust kuzyna, ale w tej chwili nie czuł wielkiej ulgi ani zadowolenia. To przypominało raczej przygnębienie, jakie czuje ktoś, kto pragnął czegoś tak długo, że gdy to się stało, ma wrażenie, że coś utracił, ponieważ oczekiwanie, które właśnie się skończyło, stało się częścią jego tożsamości i trudno mu było się go wyrzec.

– Mam zamiar rozpocząć studia w College’u Medycyny Bioenergetycznej – oznajmił Anden. – Rozmawiałem z ich działem przyjęć i jeśli w tym tygodniu dostarczę podanie i wniosem opłatę, będę mógł rozpocząć naukę w przyszłym roku. W Akademii Przenoszenie zawsze było moją najsilniejszą dyscypliną. Zabójstwo Gont Ascha sprawiło, że poczułem się krwiożerczym potworem, ale... – Po raz pierwszy podjął próbę ubrania motywów swej decyzji w słowa. – Tym razem, kiedy użyłem jadeitu, nie chciałem jego mocy dla siebie. Nie chodziło mi o walkę. Myślałem tylko o Wen, a jego moc była narzędziem w moich rękach. Narzędziem, dzięki któremu mogłem ją wyrwać z rąk śmierci.

Anden wypuścił powietrze. Wspomnienie tych kilku pełnych desperacji sekund na zawsze wytrawiło się w jego pamięci, świeższe i bardziej żywe niż te o śmierci Gonta czy obłędzie matki.

– Niewykluczone, że będę mógł nosić jadeit w inny sposób. Pobyt w Espenii nauczył mnie, że są różne rodzaje zielonych kości. Wracam do Janloonu na stałe i znowu włożę zieleń, czego zawsze chciałeś, ale tylko po to, by leczyć, a nie zabijać. – Anden przerwał. Przez cały czas jego długiej przemowy Hilo się nie odezwał. – Nie będę prosił klanu o opłacenie cześniego – zakończył.

Filar rozciągnął usta w czymś pośrednim między grymasem a uśmiechem.

– Myślisz, że opłaty za naukę to dla mnie problem? Nie zmieniłeś się tak bardzo, jak ci się zdaje, Andy. – Wstał i ruszył ku drzwiom na patio, omijając Andena.

Chłopak odwrócił się i zauważył, że dzieci Kaulów stoją za szybą i gapiąc się na nich. Hilo otworzył drzwi.

– Chodźcie, wszyscy troje.

Dzieci ruszyły nieśmiało naprzód.

Anden przykucnął.

– Cześć, Niko. Wiesz, kim jestem?

Chłopiec skierował na niego spojrzenie wielkich, spokojnych oczu, pełnych zainteresowania i lekkiego sceptycyzmu.

– Jesteś mój wujek Andy – oznajmił.

– Ten, o którym tak dużo ci opowiadałem – dodał Hilo. – Który studiował daleko w Hiszpanii. Ale teraz wrócił do domu i będziesz mógł go poznać. Cieszysz się z tego?

# EPILOG

## TRAFIŁEŚ WE WŁAŚCIWE MIEJSCE

Bero zakończył swoją zmianę w kuchni Poczwórnej Wygranej. Pracował tu już od prawie roku – nigdy dotąd nie wytrzymał w jednym miejscu tak długo – i wreszcie zaoszczędził wystarczająco wiele pieniędzy, by móc się wyprowadzić z domu dla wychodzących z uzależnienia od jadeitu. Eitenjen zgodził się dać mu list polecający, by Bero mógł wreszcie znaleźć mieszkanie. Powiesił fartuch na haku i wyszedł z kasyna, w którym nie tak dawno chciał położyć kres własnemu życiu, skacząc z poziomu penthouse'ów. Idąc ulicą Dla Ubogich, minął jaskrawe światła Pałacu Fortuny i Pani Cong. Po drugiej stronie ulicy budowano nowe kasyno. Plakaty na płocie z siatki otaczającym plac budowy głosiły, że Zielony Lotos, budowany przez Grupę Budowlaną Enke, zostanie otwarty za dziesięć miesięcy. Napływ espeńskich żołnierzy na przepustkach w ostatnich latach znacznie zwiększył ruch w janloońskich kasynach i choć większość z nich miała wkrótce opuścić Kekon, biznesmeni z Pachy byli przekonani, że po zakończeniu wojny oortokańskiej powrócą rozrzutni zagraniczni turyści.

Bero szedł na południe, aż dotarł do końca ulicy Dla Ubogich i znalazł się w Psiej Głowie. Różnica była drastyczna. Po jednej stronie alei Janto znajdowała się Pacha kipiąca handlową aktywnością i pełna dobrze ubranych ludzi wydających pieniądze, po drugiej zaś były małe sklepy z cegły, wąskie uliczki oraz pranie suszące się w otwartych oknach mieszkań na piętrze. Bero przeszedł nad śpiącym psem i otworzył nieoznaczone drzwi po prawej stronie ulicy. Wszedł po wąskich schodach do znajdującego się na piętrze lokalu. Po południu niewielki parkiet wypełniali spoceni ludzie tańczący w rytm skocznej muzyki, inni zaś siedzieli na czerwonych ławkach i rozmawiali przy brandy. Do tej chwili zostało jednak jeszcze kilka godzin. Obecnie przebywało tu tylko trzech mężczyzn siedzących przy stoliku, gra-

jących w karty i palących papierosy. Barman przecierał kieliszki za kontu-  
arem.

Gdy Bero się zbliżył, gracze unieśli spojrzenia.

– Ej? – odezwał się jeden z nich, mężczyzna o gęstej brodzie opadającej na pierś, noszący kwadratowy biret. Wyglądał podejrzanie, w jego żyłach z pewnością płynęła mieszana krew.

Chłopak wyciągnął z kieszeni zmiętą ulotkę. Czarnym grubymi literami napisano na niej: **Przyłącz się do rewolucji!**

– Dałeś mi to wczoraj na ulicy – wyjaśnił Bero.

– Aha. – Mężczyzna rozpromienił się natychmiast. – Jeśli chodzi ci o wiec, trafiłeś we właściwe miejsce.

Mówił z obcym akcentem i przedstawił się jako Guriho. Jego towarzysze nazywali się Otonyo i Tadino.

– Nie spodziewałem się spotkać szociaków – odezwał się Bero, spoglądając na naszyjnik z fałszywego jadeitu noszony przez Otonya. Miał już serdeczne dość *barukanów*.

Mężczyźni najężyli się wyraźnie i Bero uświadomił sobie, że popełnił błąd.

– Jak jeszcze raz nazwiesz nas szociakami, utnę ci pierdolone jaja i zjem z solą – warknął Tadino. Sprawiał wrażenie człowieka zdolnego zrobić coś takiego, jego twarz miała twarde, kanciaste rysy. – Jesteśmy Oortokanami, obywatelami niepodległego kraju, należącego do Koalicji Ygutańskiej.

Bero wzruszył ramionami. Geopolityczne rozróżnienia nic dla niego nie znaczyły.

– Ale jesteś *barukanem*.

– Byłem *barukanem*. Odsiedziałem swoje i zacząłem nowe życie. – Otonyo włożył palce pod naszyjnik z bliższego jadeitu. – Noszę to wyłącznie z symbolicznych powodów, żeby pokazać, że jadeit jest narzędziem ucisku, pozwalającym utrzymać władzę tym, którzy ją mają, i niewolnić innych. Tutaj, na Kekonie, są to zielone kości, w Espenii klasa wojskowo-kupiecka, a w Ygutanie arystokracja. W miarę jak jadeit się rozpowszechnia, to samo będzie się działo na całym świecie.

– Chyba że lud powstanie – dodał Guriho, stukając kartą do gry o blat. – Jadeit w rękach ludu mógłby skruszyć kajdany i wyzwolić cały świat.

– Nie chcę jadeitu. On zniszczył mi życie.

Te słowa wyrwały się z ust Bera tak szybko i bez zastanowienia, że sam poczuł się zaskoczony. Gdy jednak już je wypowiedział, uświadomił sobie,

że są prawdziwe. Przez bardzo długi czas pożądał jadeitu bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Zaryzykował wszystko, by go zdobyć, nosił go przez bardzo krótki czas, a potem stracił go w równie dramatyczny sposób. Od dwóch lat był pustą skorupą, nie miał pewności, czy jego życie zachowało jeszcze jakieś znaczenie. Prawie wszyscy ludzie, których znał, nie żyli albo zaginęli: Pyskaty, obaj Mudtowie. Soradiyo, Mo i Krewetka, poszukiwacze, nowi zieloni z Domu Szczurów. A wszystko to przez jadeit i klany, które go kontrolowały.

Fakt, że Bero jeszcze żył, podczas gdy oni wszyscy zginęli, był tylko szczęśliwym trafem, żartem bogów. A może był w tym jakiś cel?

– Ale obalenie klanów brzmi dobrze – przyznał.

# PODZIĘKOWANIA

Nie pierwszy raz zdarzyło mi się pisać sequel, ale trudno jest przygotować się do z pozoru niewykonalnego zadania, jakim jest stworzenie po najdłuższej, najbardziej ambitnej powieści, jaką w życiu napisaliśmy, jeszcze dłuższego i ambitniejszego ciągu dalszego, w dodatku będącego drugim tomem trylogii. Drodzy czytelnicy, wielkiej radości, jaką czuję, oddając tę książkę w Wasze ręce, dorównuje jedynie ulga z powodu tego, że wszystko wyszło, jak trzeba.

Ponownie serdecznie dziękuję ludziom z wydawnictwa Orbit, w pierwszej kolejności mojej redaktorce, Sarah Guan, która zawsze potrafi wzbogacić moje słowa o dodatkowe niuansy, zwiększyć stopień komplikacji opowieści i zatruć życie postaciom. Jeśli sprawiły Wam ból dramatyczne wydarzenia, jakie dotknęły rodzinę Kaulów, w znacznym stopniu jest to wina słów zachęty Sarah.

Raz jeszcze dziękuję też specjalistom od marketingu – Alexowi Lencickiemu, Ellen Wright, Laurze Fitzgerald i Paoli Crespo, odpowiedzialnym za oprawę graficzną Lauren Panepinto i Lisie Marie Pompilio, redaktorce Jenni Hill i specjalistce od public relations Nazii Khatun z Wielkiej Brytanii, kierownikowi produkcji Andy’emu Ballowi, zawsze czujnej korektorce Kelley Frodel, rysownikowi map Timowi Paulowi, i wszystkim, którzy przyłożyli się do tego, by moja książka trafiła na fizyczne i wirtualne półki.

Wczesną, surową wersję *Wojny o jadeit* pokazałam swemu agentowi Jimowi McCarthy’emu wcześniej niż komukolwiek innemu. Jego cenne sugestie i niezachwiana nadzieja przekonały mnie, że nie wszystko jeszcze stracone. (Jest w tym bardzo dobry).

Czytelnikom wersji beta, Curtisowi Chenowi, Simone Cooper, Vanessie MacLellan, Carolyn O’Doherty i Sonji Thomas, dziękuję za uwagi i burze mózgów. Tina Connolly poświęciła cały czas podróży samochodem do

Seattle na pomaganie mi z fragmentem, który stał się najlepszą sceną walki w całej książce.

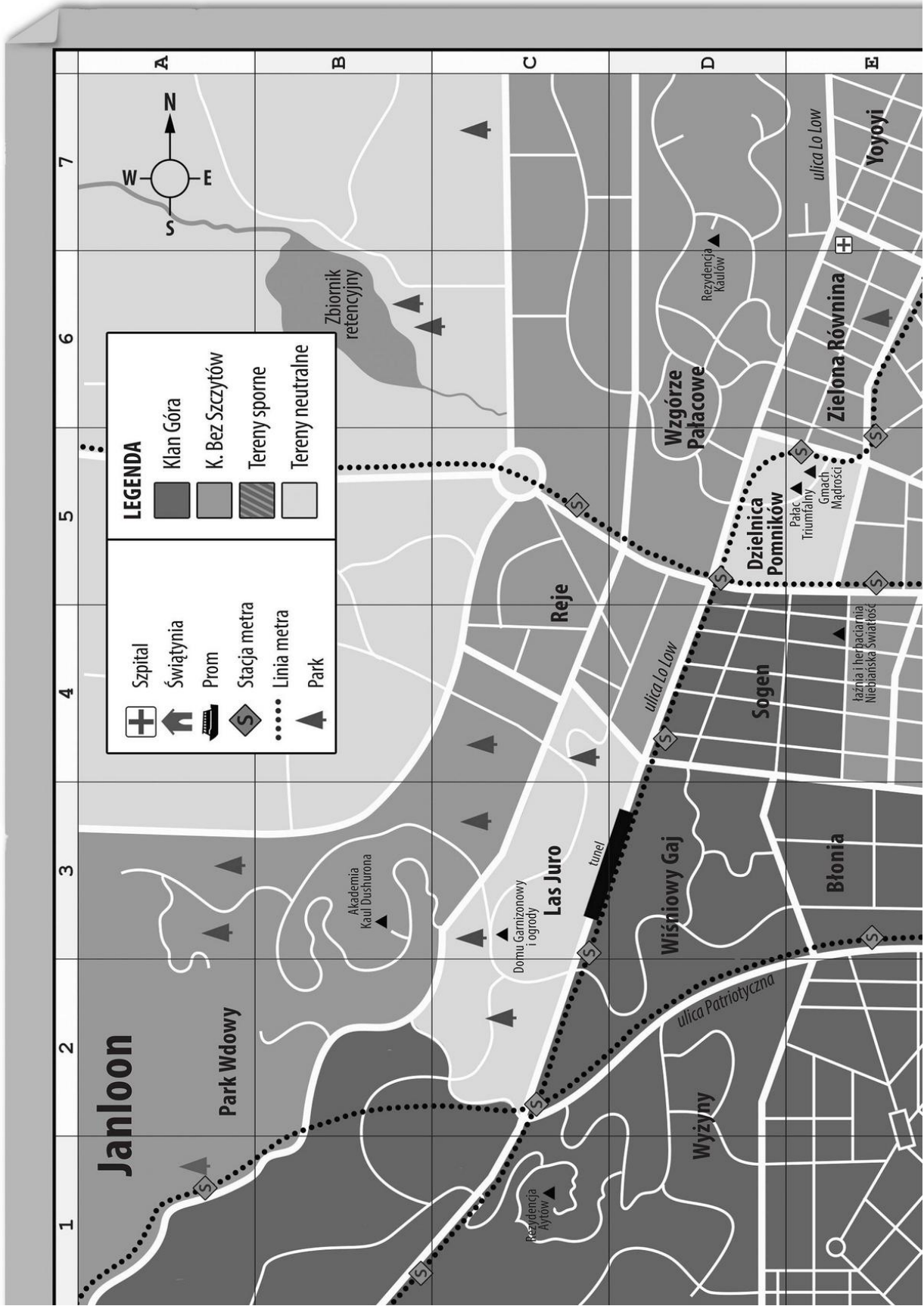
Mój mąż Nathan pomagał mi jako czytelnik, korektor i powiernik, udzielał mi też wsparcia emocjonalnego. Nie poradziłabym sobie bez jego pomocy. Dwójka naszych dzieci nieustannie przypominała mi, że są w życiu sprawy ważniejsze niż to, jak dobrze danego dnia idzie mi pisanie.

Cudowny entuzjazm czytelników dla *Sagi o zielonych kościach* motywował mnie każdego dnia pracy nad tą powieścią. Jestem wdzięczna za wszystkie zachęcające e-maile, tweety, recenzje oraz rozmowy, jakie otrzymałam od tych nowych klanowych lojalistów. Mam nadzieję, że wszyscy pozostaniecie w kontakcie, bo to jeszcze nie koniec.

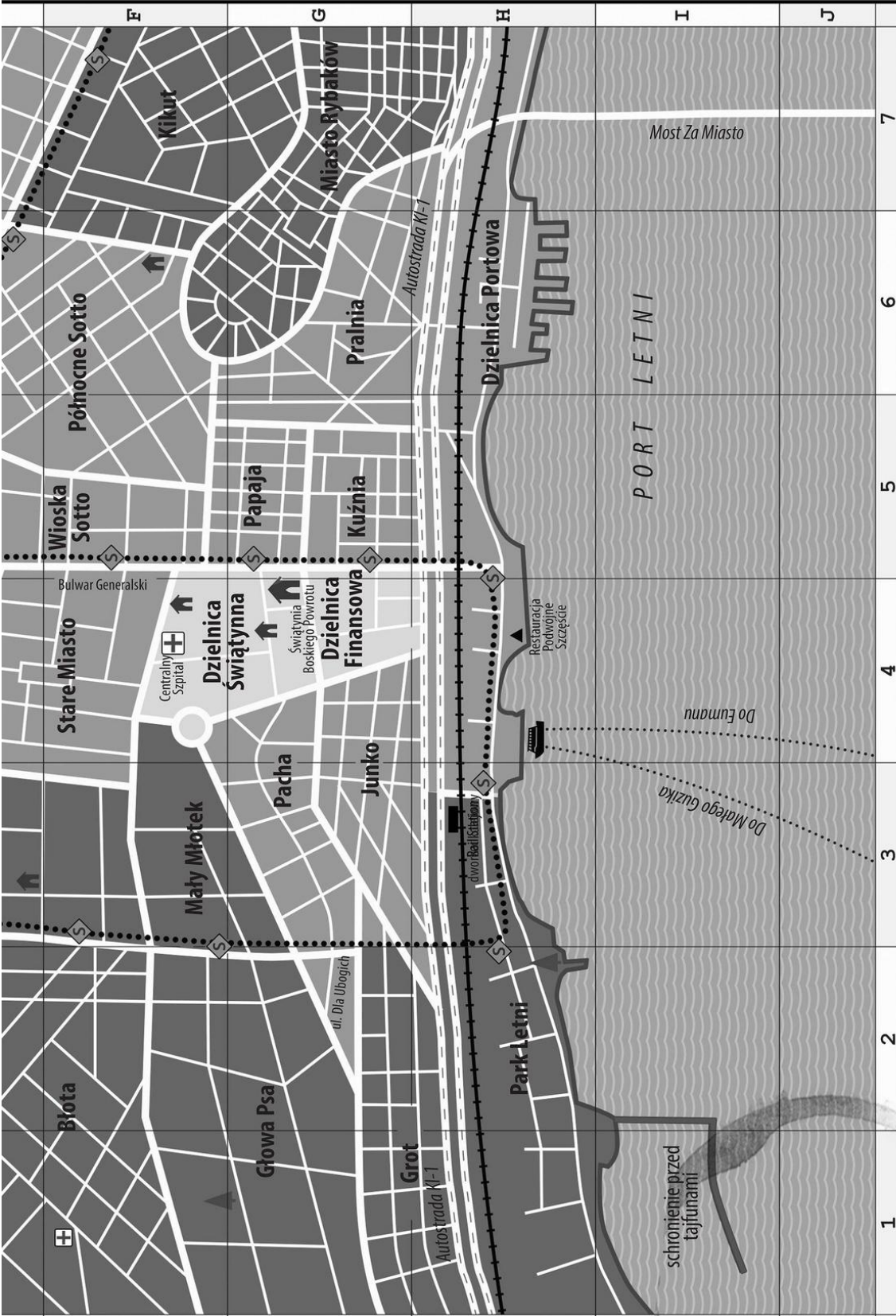
*Fonda Lee*







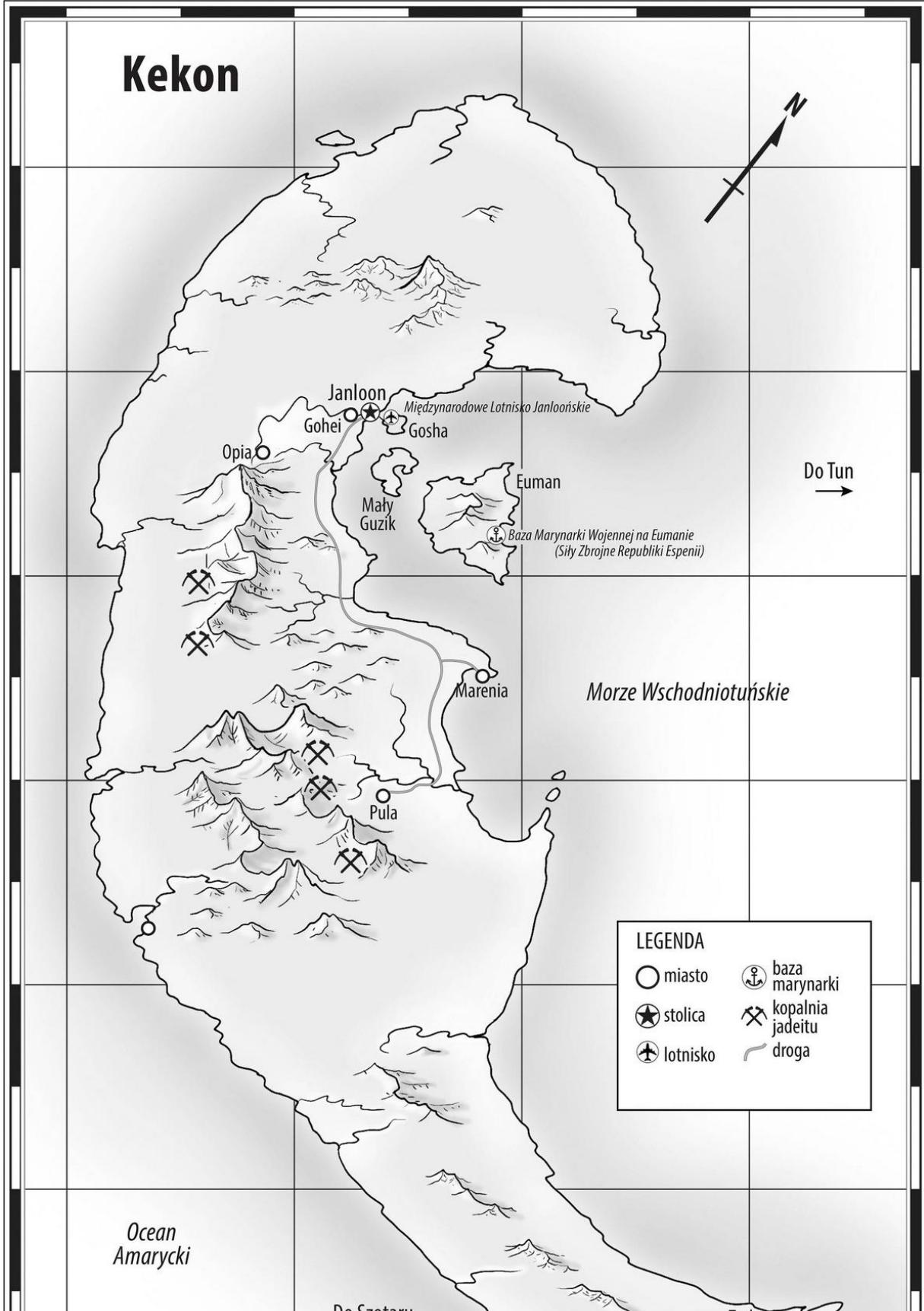




szczędzono wysiłków, by podzielić terytorialne były zgodne z sytuacją w chwili powstania mapy, ale granice ciągle się zmieniają. system radzi się zwrócić do władz miejscowych o aktualne informacje.



# Kekon



Do Tun  
→

Morze Wschodniotunskie

Ocean Amarycki

Do Szatru

